



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 57

1821/92

ROMAN
STARZYŃSKI

CZTERY LATA WOJNY

W
SŁUŻBIE
KOMENDANTA

PRZEŻYCIA WOJENNE
1914 — 1918

W A R S Z A W A 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

CZTERY LATA WOJNY
W SŁUŻBIE KOMENDANTA



WSZELKIE PRAWA PRZEKŁADU I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ROMAN STARZYŃSKI — WARSZAWA 1937

CZTERY LATA WOJNY
W ŚRODZIE KOMENDANTA



57

ROMAN
STARZYŃSKI

119. 1742

CZTERY LATA WOJNY

W
SŁUŻBIE
KOMENDANTA

PRZEŻYCIA WOJENNE
1914 — 1918

W A R S Z A W A 1937

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONY BADANIU NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

CZTERY LATA WOJNY

DRUKOWANO
W ZAKŁ. GRAFICZNYCH
„BIBLIOTEKA POLSKA“
W
BYDGOSZCZY

PRZECYCIĄ WOJENNĄ
1918 — 1919

WARSZAWA 1937
INSTITUT JOZEF PISUDSKIEGO
ROZWIĄZANIU WAIOWEJ HISTORII POLSKI

PRZEDMOWA

Pokolenie nasze nie może skarżyć się na brak wrażeń. Przeżyło Wielką Wojnę, uczestniczyło w szeregu rewolucyj i przewrotów, przetrwało kryzysy polityczne i gospodarcze, widziało wiele i wiele się nauczyło. W Europie nazwano je pokoleniem „Kombatantów“, które z tytułu zasług poniesionych dla swego kraju ma prawo decydować o jego losach. Nic więc dziwnego, że rządzi ono we Włoszech, w Polsce, w Niemczech, domaga się władzy we Francji...

Jednakże pokolenie to nigdzie nie przeżyło tylu przemian, co w Polsce. „Urodzone w niewoli, okute w powiciu“ wychowywało się patrząc na krew i łzy bezbronного społeczeństwa, wierzącego, że jedynie „pracą organiczną“ można uratować imię narodu, coraz bardziej przystosowującego się do noszenia obroży. Pokolenie to od dzieciństwa odczuwało przemoc wroga w obcej szkole i podświadomie „rozdrapywało rany polskie, aby się nie pokryły błoną podłości“. Gdy tylko nadarzyła się sposobność — wystąpiło do walki: najprzód o szkołę polską, później o sprawiedliwość społeczną, wreszcie o niepodległość narodu.

Toteż gdy przyszła „chwila osobiwa“, a „od krakowskiego gościńca zabrzmiał złoty róg“ Komendanta Piłsudskiego — pokolenie to „rzuciło na stos swój życia los“, aby przynajmniej zaznaczyć wolę narodu do życia i bytu niepodległego, jeśliby jeszcze tym razem niepodległości nie udało się zdobyć.

Jako kilkunastoletni chłopcy wypowiedzieliśmy wojnę Rosji: najprzód drogą biernego oporu przeciw szkole rosyjskiej, później biorąc czynny udział w walce zbrojnej. Jako młodzieńcy walczyliśmy orężnie z Rosją, a równocześnie broniliśmy przed Austrią niezależności Legionów i prawa do własnego wojska. Jako doświadczeni żołnierze przeciwstawiliśmy się „niezwycięzonej“ armii niemieckiej i poprzez obozy jeńców i internowanych, poprzez podziemia P. O. W. dotrwaliliśmy chwili, gdy gołymi rękami można było rozbrajać żołnierzy niemieckich.

Nic więc dziwnego, że wśród nas zrodziła się ta „najdumniejsza“, jak ją nazwał Komendant, pieśń I Brygady, która najlepiej bodaj charakteryzuje nasze pokolenie. A pokolenie to można nazwać najszczęśliwszym spośród wszystkich pokoleń Polski, co najmniej od dwóch stuleci, bo przeżyło ono wszystko od mroków najstraszniejszej

niewoli aż do jutrzeźki wolności, która zaświtała pełnym blaskiem odzyskanej własnym wysiłkiem niepodległości.

Dlatego obowiązkiem naszego pokolenia jest przekazanie następcom tego wszystkiego, cośmy widzieli, cośmy przeżyli, w czym braliśmy udział jako żołnierze i wykonawcy idei Komendanta Piłsudskiego.

Tymczasem szeregi nasze powoli topnieją. Odchodzą najszlachetniejsze postaci naszego pokolenia zabierając do grobu swe wspomnienia z czasów walk o niepodległość narodu. Toteż gen. Tadeusz Kasprzycki¹⁾ wzywa rzeszę kolegów do przekazania swych doświadczeń następnyim pokoleniom. Staję na rozkaz i jako jeden z szarych żołnierzy I Brygady oddaję do druku swe przeżycia z lat „górných i chmurných”. Praca moja nie ma charakteru pamiętników, bo częściowo tylko pisana była pod bezpośrednim wrażeniem wypadków, nie ma też charakteru wspomnień, gdyż oparta została na ścisłych notatkach, dzień po dniu prowadzonych w czasie pobytu na froncie. A więc są to po prostu — przeżycia wojenne.

Wychodząc na wojnę wziąłem ze sobą notes, w którym codziennie zapisywałem ważniejsze zdarzenia życia żołnierskiego. Notatki te robiłem podczas pobytu w polu, a gdy znajdowałem się na tyłach, spisywałem na podstawie tych notatek pamiętniki.

W roku 1915 w czasie kuracji w szpitalu w Rabce spisałem pamiętniki z lat 1914/15, w roku 1916 w czasie pobytu w Kozienicach uzupełniłem je wypadkami z roku 1916, wreszcie w roku 1917 w czasie pobytu w obozie internowanych w Beniaminowie spisałem wypadki z roku 1917.

W ten sposób powstały moje pamiętniki wojenne, które uzupełniłem wspomnieniami z czasów przedwojenných oraz z czasów po rozbiciu Legionów. Całość opracowałem w latach 1922—1924; praca ta przeleżała kilka lat w biurku. Dziś przerobiłem ją pod względem stylistycznym nie zmieniając treści, którą oddaję w ręce czytelnika w tej formie, w jakiej ująłem ją w swoim czasie. Nie prostuję błędów, nie koryguję poglądów pozostawiając je w nieskażonej postaci, jaką nadałem wypadkom w chwili, gdy je bezpośrednio przeżywałem.

W przeciwieństwie do innych prac tego rodzaju nie daję map ani szkiców, gdyż jako podoficer i młodszy oficer rzadko się nimi posługiwałem, nie daję również fotografii, bo zbiór moich fotografii zaginął na froncie w roku 1916, a inne były już wielokrotnie reprodukowane.

ROMAN STARZYŃSKI

¹⁾ Kasprzycki T., gen. — Kartki z dziennika oficera I Brygady. Warszawa 1934,

Z MOTYKĄ NA SŁONCE!

W pierwszych dniach grudnia 1909 r. około północy z lokalu „Spójni“, stowarzyszenia akademickiej młodzieży postępowej w Krakowie, mieszczącego się wówczas w Rynku 1.9, wyszło dwóch akademików i mimo mroźnej nocy, brodząc w śniegu, wielokrotnie okrażali Rynek żywo o czymś rozprawiając.

Jeden z nich starszy przekonywał młodszego, młodszy słuchał uważnie z zaciekawieniem, czy z niedowierzaniem.

Śnieg padał i wielkimi płatami kładł się na jesiennych, wiatrem podszytych paltach akademickich i słał się pod nogami w coraz to grubsze warstwy. Zegar z wieży Mariackiej wydzwaniał kwadrans, hejnał oznajmiał godziny, a dla nich czas nie istniał. Krążyli po Rynku na nic nie zważając.

Starszy mówił o konieczności przystąpienia do realizacji czynnej hasła niepodległości, o potrzebie przygotowywania się do wystąpienia orężnego, o konieczności szkolenia kadr powstańczych, o możliwości studiowania sztuki wojennej. Młodszy nie negował potrzeby walki, nie widział jednak możliwości „rzucania się z motyką na słońce“. Walkę traktował jako obowiązek, jako nakaz tradycji narodowej, ale obecnie po krwawym stłumieniu rewolucji 1905 r., w okresie szalejącej reakcji i upadku ducha w społeczeństwie Królestwa, nie widział możliwości podjęcia walki orężnej. Na razie trzeba przygotować grunt pod względem politycznym, trzeba przekonać opinię społeczną, obudzić ducha, psychicznie przygotować wolę czynu, a później dopiero przystąpić do prac technicznych, wojskowych. Starszy twierdził, że prace te muszą iść równolegle, że ktoś musi wreszcie dzieło rozpocząć i kadry instruktorskie przygotować. Wojny bez przygotowania prowadzić nie podobna, a my nie znamy dnia ani godziny, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila. Przed rokiem podczas konfliktu Austrii z Rosją z powodu aneksji Bośni i Hercegowiny zdawało się, że lada chwila wojna wybuchnie i zastanie nas zupełnie nieprzygotowanych. Pokój w Europie nie jest trwały, lada moment może powstać nowy zatarg międzynarodowy, w którym zaborcy nasi znajdą się na przeciwnych frontach, a my będziemy musieli wyzyskać go dla naszych

niewoli aż do jutrzeźki wolności, która zaświtała pełnym blaskiem odzyskanej własnym wysiłkiem niepodległości.

Dlatego obowiązkiem naszego pokolenia jest przekazanie następcom tego wszystkiego, cośmy widzieli, cośmy przeżyli, w czym braliśmy udział jako żołnierze i wykonawcy idei Komendanta Piłsudskiego.

Tymczasem szeregi nasze powoli topnieją. Odchodzą najszlachetniejsze postaci naszego pokolenia zabierając do grobu swe wspomnienia z czasów walk o niepodległość narodu. Toteż gen. Tadeusz Kasprzycki¹⁾ wzywa rzeszę kolegów do przekazania swych doświadczeń następnyim pokoleniom. Staje na rozkaz i jako jeden z szarych żołnierzy I Brygady oddaje do druku swe przeżycia z lat „górných i chmurných”. Praca moja nie ma charakteru pamiętników, bo częściowo tylko pisana była pod bezpośrednim wrażeniem wypadków, nie ma też charakteru wspomnień, gdyż oparta została na ścisłych notatkach, dzień po dniu prowadzonych w czasie pobytu na froncie. A więc są to po prostu — przeżycia wojenne.

Wychodząc na wojnę wziąłem ze sobą notes, w którym codziennie zapisywałem ważniejsze zdarzenia życia żołnierskiego. Notatki te robiłem podczas pobytu w polu, a gdy znajdowałem się na tyłach, spisywałem na podstawie tych notatek pamiętniki.

W roku 1915 w czasie kuracji w szpitalu w Rabce spisałem pamiętniki z lat 1914/15, w roku 1916 w czasie pobytu w Kozienicach uzupełniłem je wypadkami z roku 1916, wreszcie w roku 1917 w czasie pobytu w obozie internowanych w Beniaminowie spisałem wypadki z roku 1917.

W ten sposób powstały moje pamiętniki wojenne, które uzupełniłem wspomnieniami z czasów przedwojenných oraz z czasów po rozbiciu Legionów. Całość opracowałem w latach 1922—1924; praca ta przeleżała kilka lat w biurku. Dziś przerobiłem ją pod względem stylistycznym nie zmieniając treści, którą oddaje w ręce czytelnika w tej formie, w jakiej ująłem ją w swoim czasie. Nie prostuję błędów, nie koryguję poglądów pozostawiając je w nieskażonej postaci, jaką nadałem wypadkom w chwili, gdy je bezpośrednio przeżywałem.

W przeciwieństwie do innych prac tego rodzaju nie daję map ani szkiców, gdyż jako podoficer i młodszy oficer rzadko się nimi posługiwałem, nie daję również fotografii, bo zbiór moich fotografii zagiął na froncie w roku 1916, a inne były już wielokrotnie reprodukowane.

ROMAN STARZYŃSKI

¹⁾ Kasprzycki T., gen. — Kartki z dziennika oficera I Brygady. Warszawa 1934,

Z MOTYKĄ NA SŁONCE!

W pierwszych dniach grudnia 1909 r. około północy z lokalu „Spójni“, stowarzyszenia akademickiej młodzieży postępowej w Krakowie, mieszczącego się wówczas w Rynku 1.9, wyszło dwóch akademików i mimo mroźnej nocy, brodząc w śniegu, wielokrotnie okrażali Rynek żywo o czymś rozprawiając.

Jeden z nich starszy przekonywał młodszego, młodszy słuchał uważnie z zaciekawieniem, czy z niedowierzaniem.

Śnieg padał i wielkimi płatami kładł się na jesiennych, wiatrem podszytych paltach akademickich i słał się pod nogami w coraz to grubsze warstwy. Zegar z wieży Mariackiej wydzwaniał kwadrans, hejnał oznajmiał godziny, a dla nich czas nie istniał. Krążyli po Rynku na nic nie zważając.

Starszy mówił o konieczności przystąpienia do realizacji czynnej hasła niepodległości, o potrzebie przygotowywania się do wystąpienia orężnego, o konieczności szkolenia kadr powstańczych, o możliwości studiowania sztuki wojennej. Młodszy nie negował potrzeby walki, nie widział jednak możliwości „rzucania się z motyką na słońce“. Walkę traktował jako obowiązek, jako nakaz tradycji narodowej, ale obecnie po krwawym stłumieniu rewolucji 1905 r., w okresie szalejącej reakcji i upadku ducha w społeczeństwie Królestwa, nie widział możliwości podjęcia walki orężnej. Na razie trzeba przygotować grunt pod względem politycznym, trzeba przekonać opinię społeczną, obudzić ducha, psychicznie przygotować wolę czynu, a później dopiero przystąpić do prac technicznych, wojskowych. Starszy twierdził, że prace te muszą iść równolegle, że ktoś musi wreszcie dzieło rozpocząć i kadry instruktorskie przygotować. Wojny bez przygotowania prowadzić nie podobna, a my nie znamy dnia ani godziny, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila. Przed rokiem podczas konfliktu Austrii z Rosją z powodu aneksji Bośni i Hercegowiny zdawało się, że lada chwila wojna wybuchnie i zastanie nas zupełnie nieprzygotowanych. Pokój w Europie nie jest trwały, lada moment może powstać nowy zatarg międzynarodowy, w którym zaborcy nasi znajdą się na przeciwnych frontach, a my będziemy musieli wyzyskać go dla naszych

celów. Wojna wisi w powietrzu, rywalizacja Austrii z Rosją na Bałkanach jest zbyt silna, aby konflikt między tymi państwami mógł być zażegnany w drodze dyplomatycznej. Młodszy godził się z zasadą szkolenia kadr oficerskich, ale osobiście, nie mając ambicji wojskowych, gotów był każdej chwili pójść jako szeregowiec, nie potrafił się jednak zainteresować na tyle studiami wojskowymi, aby się im poświęcić nie mając w tym kierunku żadnego pociągu.

Śnieg padał, a oni, pochłonięci dyskusją, nie zwracali nań uwagi. Dopiero gdy hejnał z wieży Mariackiej zwiastował trzecią po północy, zorientowali się, że czas pójść do domu.

Chociaż z górą 25 lat minęło już od tej chwili, jakże żywo scena ta tkwi w pamięci! Bo starszym spośród dwóch akademików był Stanisław Rouppert, słuchacz IV roku medycyny, a młodszym byłem ja, „świeżo upieczony“ słuchacz I roku filozofii. Dyskusja, którą wówczas toczyliśmy, bardzo mię przejęła, mimo że zagadnienia, które poruszaliśmy, nie były mi obce. Od dziecka wierzyłem, że kiedyś „wybije godzina powstania“, w którym naturalnie wezmę czynny udział. Matka moja, śp. Jadwiga z Lipskich, od najmłodszych lat wychowywała mię w tym duchu. Przygotowując mię osobiście do szkół uczyła historii Polski, wpajała kult bohaterów powstań narodowych, a przede wszystkim jako najstarszemu synowi dała imię Roman, które nosił Jej ojciec, uczestnik powstania 1830 r. oraz Jej najstarszy brat, który jako 15 letni uczeń kl. 5 gimnazjum w Pińczowie poszedł i zginął w powstaniu 1863 r. Toteż w swej dziecinnej wyobraźni widziałem siebie jako ich następcę, który jak oni będzie walczył z powodzeniem lub bez powodzenia. Będąc najstarszym z braci miałem jednak tyle rozsądku, że przy obcych nigdy o tym nie mówiłem. Natomiast brat mój młodszy, Mieczysław, który przysłuchiwał się nieraz, jak matka opowiadała mi o rozbiorach Polski, brał to bardziej bezpośrednio i po jednej z takich lekcyj, gdy wyszliśmy na podwórze, aby jak zwykle bawić się w piasku z córką mieszkającego w tym domu oficera rosyjskiego, Wierą, oświadczył nagle, że więcej się z nią bawić nie będzie, „bo wyście nam ziemię zabrali“. Na próżno Wiera zapewniała, że ona bawi się swoim piaskiem, a naszego piasku nie ruszała, brat mój pozostał nieugięty i na zabawę z Wierą godzić się nie chciał. Sprawa oparła się o matkę Wiery, która też matce naszej zwróciła uwagę na niebezpieczeństwo wychowywania dzieci w tym duchu. Nie miało to oczywiście żadnego wpływu na dalsze nasze wychowanie. Toteż szkoła rosyjska, do której oddano mnie w roku 1899, miała we mnie od początku zdecydowanego wroga. Na ogół zachowywałem się i uczyłem dobrze, toteż nigdy karany nie byłem. Raz tylko „pedel“ Aleksander Aleksandrowicz Macenko

ukarał mnie godziną aresztu za polskij razgovor w koridorie“¹⁾. Dumny byłem z tej godziny „kozy“ i nigdy nawet z kolegami Rosjanami po rosyjsku nie rozmawiałem. Wychowawców swoich Kriczków, Czajków, Macenków nienawidziłem nie wyłączając nawet nauczycieli języka polskiego i religii. Język polski początkowo wykładany był po rosyjsku, a nauczyciel ucząc nas pisowni stale wołał „pieriewodi na russkij“²⁾, co mnie do pasji doprowadzało, a prefekt wykladał wprawdzie po polsku, ale takim językiem: „ty (tu następowało nazwisko stale po rosyjsku wymawiane np. Starzynskij) taki owaki, po dachach chodzisz, gołębie łapiesz, ja tobie jedynię z wnimanija postawię“³⁾.

Nic więc dziwnego, że naukę w szkole traktowałem jak ciężkie roboty. Kupowałem sobie polskie podręczniki matematyki i nauk przyrodniczych i w domu przyswajałem sobie polską terminologię. Z biblioteki szkolnej nie korzystałem, książek rosyjskich nie czytałem. Zaczytywałem się natomiast trylogią Sienkiewicza, powieściami z epoki napoleońskiej Gąsiorowskiego, „Popiołami“ Żeromskiego...

Należałem do chóru szkolnego, który śpiewał podczas nabożeństw szkolnych w kościele. Śpiewaliśmy po łacinie, choć jako uczniowie szkoły realnej ani słowa nie rozumieliśmy. Nadto na uroczystościach szkolnych musieliśmy śpiewać hymn państwowy po rosyjsku. Ja zawsze wówczas milczałem. Na obchodzie Gogola, czy Żukowskiego pedel Władimir Fomicz Czajko zauważył, że nie śpiewam. Nie przypuszczając aby taki przykładowy uczeń jak ja z innych powodów mógł nie śpiewać, jak tylko ze zbytniego wzruszenia zawołał do mnie: „poczemu nie pojotie? Nie stiesniajtię! Nado piet“⁴⁾. Poruszałem więc na niby wargami, ale nie śpiewałem.

Zaczęła się wojna rosyjsko-japońska. Ogłoszono mobilizację. We wsi Sierzniki, koło Łowicza, gdzie chodziłem do szkół, chłopci się zbuntowali i nie chcieli iść na wojnę. Mnie się już zdawało, że „bunt“ w Sierznikach to początek powstania. Toteż, gdy jeden z kolegów-Rosjan odgrażał się, że tych chłopów wyrzną, oświadczyłem mu, że nie wiadomo czy kosy nie są dłuższe od karabinów z bagnietami. Choć powstanie nie wybuchło, jakoś mi to powiedzenie uszło „na sucho“.

Tymczasem do Łowicza przyjechał sam car Mikołaj II w towarzystwie następcy tronu W. Ks. Michała celem dokonania przeglądu wojsk. Wszystkie drogi obstawiono wojskiem. Nauczyciele

1) „za rozmowę po polsku na korytarzu“.

2) „tłumacz na rosyjski“.

3) jedynkę z uwagi.

4) „Czemu nie śpiewacie, proszę się nie krępować, trzeba śpiewać“.

we wszystkich klasach mieli pogadanki na temat „zaszczytu“, jaki nas spotyka. Popędzono nas dwójkami na dworzec Kaliski (dziś stacja Zielkowice) i ustawiono szpalerem, którym car miał przechodzić. Inspektor Ławrentjew pouczał nas, jak mamy krzyczeć „Urra“ w chwili przejścia cara. Skonfudował się mocno, gdy w krytycznym momencie słyhać było tylko jego głos przy wtórze kilkunastu uczniów — Rosjan, reszta zachowała grobowe milczenie.

W roku 1904, gdy byłem w kl. IV, starszy mój kolega i korepetytor, Roman Markiewicz, wprowadził mnie do tajnej Organizacji Młodzieży Narodowej. Byłem dumny, że nareszcie biorę udział w „spisku“. Kiedy jednak przyjrzałem się bliżej organizacji, rozczarowałem się do tej roboty. Wydawało mi się, że organizacja tajna może mieć tylko jeden cel — odzyskanie niepodległości. Tymczasem o tym nie było mowy. Było to raczej kółko samokształcenia, w którym zajmowano się historią Polski i to w bardzo popularnym zakresie („24 obrazki“), którą ja znałem dokładniej. Wykłady prowadził jeden ze starszych kolegów, który sam historię znał słabo, toteż nieraz musiałem go poprawiać. Czułem, że w organizacji czegoś brak. Z Warszawy przyjeżdżali czasem studenci, którzy nie wnosili jednak ducha walki z zaborcą, mówili o konieczności „utrzymania“ stanu posiadania narodowego, o walce z socjalistami, z żydami, ale nie o walce z zaborcami.

Dopiero demonstracja zbrojna na Grzybowie jesienią 1904 r. zrobiła na mnie silniejsze wrażenie. Od tej chwili nabrałem szacunku dla socjalistów, do czego przyczynili się również trzej najbliżsi mi koledzy szkolni: Eugeniusz Jeleniewski, Jerzy Roszczycki i Gustaw Frydberg, z których pierwszy był członkiem Związku Młodzieży Socjalistycznej, a dwaj pozostali sympatykami Z. M. S. Toteż, gdy po strajku szkolnym nastąpił rozłam w O. M. N., byłem jednym z pierwszych, którzy wraz z Romanem Markiewiczem wystąpili z O. M. N. i wspólnie z kolegami z Z. M. S. założyli w Łowiczu — Związek Młodzieży Postępowej.

Jeszcze przed strajkiem szkolnym życie organizacyjne na terenie szkoły realnej w Łowiczu było silnie rozwinięte. Prócz wspomnianych wyżej dwóch organizacji ideowo-politycznych istniała „Samopomoc Koleżeńska“ i „Sądy Koleżeńskie“. Wprawdzie i do tych organizacji nie należeli wszyscy koledzy, lecz były to organizacje szersze, na terenie których dobierano członków do organizacji politycznych.

Toteż grunt do strajku szkolnego był należycie przygotowany. Nadszedł wreszcie upragniony dzień, w którym jawnie wypowiedzieliśmy posłuszeństwo znienawidzonym władzom szkoły rosyjskiej. 31 stycznia 1905 r., gdyśmy przyszli rano do szkoły, o niczym innym się nie mówiło, jak o strajku szkolnym, który miał wybuchnąć

w Warszawie, a podobno również w Piotrkowie i Pułtsku. Po pierwszej lekcji języka rosyjskiego, gdy chcieliśmy już wychodzić ze szkoły, koledzy z wyższych klas: VI i VII, polecili nam czekać sygnału. O godzinie 11 — ktoś zawołał „Wychodzimy“. W mgnieniu oka porwaliśmy tornistry i wybiegliśmy na korytarz. Szkoła zajmowała ogromny budynek poklasztorny, w którym od frontu mieściła się tylko klasa wstępna, inne klasy były w oficynie poprzecznej, kl. VII i VI na I piętrze, pozostałe klasy na parterze. Nasza klasa V znajdowała się w samym końcu korytarza, tuż obok pokoju nauczycielskiego („uczitielskoj“), a więc „terenowo“ niekorzystnie położona. Mimo to zdołaliśmy wydostać się na podwórze razem z uczniami klas VI i VII. Młodszych kolegów zatrzymano. Co do nas, to pędem wybiegliśmy na dziedziniec i przez frontowe wejście usiłowaliśmy wydostać się na zewnątrz. Wybiegło jednak zaledwie kilkunastu uczniów. Resztę zatrzymano zatraskując ciężkie drzwi dębowe od zewnątrz. Kolega mój, Jan Szretter, usiłował drzwi rozbić, ale bezskutecznie. W czasie tej czynności schwytał go inspektor Ławrentjew wołając ironicznie „Maładiec,¹⁾ Szretter, maładiec“. Został on potem wydalony ze szkoły z tzw. „wilczym biletem“.

Tymczasem my, widząc że nie wydostaniemy się przez główne drzwi, rzuciliśmy się do bocznego wyjścia, prowadzącego do prywatnych mieszkań inspektora i pedli. Tu znowu zagroził nam drogę Ławrentjew. Koledzy, którzy już byli na ulicy, przyszl nam z pomocą. Jeden z nich, śp. Józef Kacperski, wybił szybę tornistrem, raniąc stojącego przy drzwiach inspektora. To zdecydowało o naszym zwycięstwie.

Drzwi wyłamał i wybiegliśmy na ulicę, a połamawszy palemki szkolne udaliśmy się pochodem przez Stary Rynek (dziś Rynek Kościuszki) i ul. Podrzeczną (dziś ul. Piłsudskiego) do Progimnazjum Żeńskiego, mieszczącego się wówczas w gmachu teatru miejskiego.

W progimnazjum przerwaliśmy wykłady i uczennicom klas, znajdujących się na parterze, pomogliśmy wyskoczyć przez okna na ulicę. Następnie udaliśmy się do szkoły miejskiej przerywając i tam naukę, a o godzinie 12, gdy młodszy koledzy wyszli na ulicę, powstrzymaliśmy ich od powrotu do szkoły.

Po południu zwołany został wiec strajkującej młodzieży w jakimś nowobudującym się domu przy szosie do Arkadii. Gdy wracaliśmy z wiecu, natknęliśmy się na naczelnika powiatu Budiłowicza, który stojąc na Rynku kierował policjantami, mającymi rozkaz wyłapywania wszystkich uczniów, którzy nie mieli palemek na czapkach. Między innymi i ja dostałem się do „kozy“. Ponieważ

¹⁾ Zuch.

areszt miejski nie mógł pomieścić wszystkich zatrzymanych, zebrano nas wszystkich w wielkiej sali Magistratu, gdzie Budiłowicz wygłosił do nas przemówienie wzywając do powrotu do szkoły. Zaznaczył ponadto, że każdy uczeń schwytany na ulicy bez palemki na czapce zostanie niezwłocznie aresztowany. Przemówienie swoje zakończył zwrotem dość niespodziewanym dla nas: „Wam zachatieleś Polshi, a my iz Polshi sdielajem Germaniju“.¹⁾

W ten sposób w 14 roku życia stałem się zdecydowanym „rewolucjonistą“.

Rozpoczęły się dni chmurne i górne. Walczyliśmy z „łami-strajkami“, wybijaliśmy szyby tym obywatelom, którzy swe dzieci posyłali do szkoły, aż doprowadziliśmy do tego, że w szkole zostało około 40 uczniów przeważnie Rosjan, a częściowo Żydów.

Trzeba jednak było myśleć o nauce. Zorganizowaliśmy t. zw. „komplety“ szkolne do klasy V włącznie. Komplet klasy V, do którego należałem, poprowadził uczeń klasy VII i członek Komitetu Strajkowego — Leon Blum. Ja z kolei prowadziłem komplet klasy I, w którym między innymi miałem wśród uczniów mego najmłodszego brata, Stefana.

Do wykładów języka polskiego i historii Polski Komitet Rodzicielski (do którego wchodziła matka moja i p. Maria Jeleniewska, córka prezydenta miasta Podolszycy, a matka kolegi mego, p. Maria Potocka, dr Szymon Karlsbad, dr Stanisław Stanisławski, rejent Konstanty Konopacki, inżynier Henryk Tokarzewski, Józef Moczulski i kilka innych osób) zaangażował studentkę genewską Marię Górską.

Tak upłynęło pół roku. Sytuacja w szkolnictwie nie uległa zasadniczej zmianie. Komitet Rodzicielski postanowił sprowadzić nauczycieli z Warszawy. Byli to studenci: Marian Falski, Konrad Siwicki i obywatelka Jadwiga, której nazwiska nie pamiętam. Wszyscy troje byli członkami P. P. S., którzy ideowo pracowali wśród młodzieży. My, młodzi, przedtem już założyliśmy klub „Olimp“. Mieścił się on w niezamieszkanym budynku w ogrodzie poklasztornym tzw. „Panien“. W klubie tym zbieraliśmy się na narady o dalszych losach strajku, a raczej bojkotu szkoły rosyjskiej, przechowywaliśmy nielegalną literaturę, odbywaliśmy wiece i zebrania.

Kiedy przyjechali nasi wychowawcy z Warszawy, życie nasze wypłynęło na szersze tory. Zwłaszcza tow. Rafał, pod którym to pseudonimem występował Marian Falski, wykladał nam nauki społeczne i zapoznawał z podstawami socjalizmu. Młodzież radykalizowała się niezmiernie szybko, co musiało doprowadzić do

¹⁾ Zachciało wam się Polski, a my z Polski zrobimy Niemcy.

konfliktu z „postępowym“, ale umiarkowanym Komitetem Rodzielskim. W naszym mieszkaniu odbywały się jego posiedzenia, toteż ja pierwszy wiedziałem o decyzji Komitetu o odebraniu dzieci z kompletów, aby wyrwać je spod „szkodliwego“ wpływu naszych przewodników. Mnie matka postanowiła wywieźć do Warszawy, gdzie otwarto już pierwsze prywatne szkoły polskie. Wobec tego, że w Łowiczu miano otworzyć tylko pierwsze cztery klasy szkoły prywatnej, nie opierałem się zbyt, zwłaszcza że pokusa powrotu do rodzinnej Warszawy, po z górą 10 letnim pobycie na prowincji była zbyt wielka, aby się opierać.

W ten sposób w końcu października 1905 r. dostałem się do Szkoły Realnej W. Wróblewskiego w Warszawie. Mieszkalem u naszych znajomych pp. Jankowskich na Krakowskim Przedmieściu 24, w domu szpitala św. Rocha, gdzie p. Jankowski był intendentem. Okno mego pokoju dawało rozległy widok na ul. hr. Berga (dziś Traugutta). Tu przeżyłem pamiętne dni listopadowe. Nie należąc do partii (miałem lat 15) byłem zdecydowanym zwolennikiem P. P. S., czytywałem „Kuriera Codziennego“, dyskutowałem namiętnie z „endekami“.

1 listopada byłem podczas masakry na Placu Teatralnym i cudem uniknąłem stratowania w tłumie. Późno w nocy widziałem z okna, jak pustymi ulicami miasta przewożono z Placu Teatralnego trupy na wozach strażackich. 2 listopada widziałem z okna salwę, którą wojsko, ukryte w gmachu uniwersytetu, witało manifestantów posuwających się ul. Berga. Z okna mego pokoju 5 listopada widziałem pamiętny pochód „narodowy“. A chociaż uważałem się za socjalistę, pochód ten, pierwszy chyba na taką skalę od roku 1861, zrobił na mnie potężne wrażenie.

W szkole była większość „endeka“. Nieliczni socjaliści ze śp. Zygmuntem Braulińskim i kolegą moim z Łowicza, Eugeniuszem Jeleniewskim na czele, założyli „Koło Samokształcenia“. Zebrania tego Koła odbywały się na ul. Sosnowej w mieszkaniu kolegi Konstantego Gołajewskiego. Zasady Marxa wykladał nam jakiś student — socjaldemokrata, którego nazwiska nie pamiętam. I znowu źle się czułem w tym kółku. Nie mogłem pogodzić się z pójściem „w ogonie rewolucji rosyjskiej“, nie widziałem łączności duchowej pomiędzy tym, co było do roku 1863, a tym co się zaczynało w roku 1905, nie tylko pod wpływem S. D. K. P. i L., ale i w opanowanej przez żywioły lewicowe P. P. S.

Toteż, gdy na wiecu uczniów szkoły Wróblewskiego zastanawiano się nad tym, czy świętować 1 czy 3 maja, a jeden z uczniów klasy VI, Waław Orłowski, oświadczył, że nie rozumie tego sporu, gdyż dla niego jest świętem zarówno tradycyjny dzień 3 maja jak i święto robotnicze 1 maja — oklaskiwałem go bardzo gorąco.

Wakacje 1906 r. — spędziłem w Łowiczu. Tu przeżyłem „krwawą środę“ — 15 sierpnia. W przeddzień jeden z kolegów, członek O. B. P. P. S., prosił mnie o przechowanie paczki rewolwerów. Miałem do dyspozycji duży lokal, bo mieszkanie mieliśmy przy pensji żeńskiej, którą matka otworzyła po strajku. Rewolwery przechowałem na strychu, ale przeżyłem dużo emocji, kiedy w czasie strzelaniny na mieście ktoś do nas zadzwonił. Byłem pewny, że to rewizja, a matka nic nie wie o przechowanej przeze mnie broni. Na szczęście był to jeden z kolegów, który z powodu strzelaniny nie mógł przedostać się do domu. Został u mnie na noc i do świtu obserwowaliśmy przez okno walkę, jaką toczyła Organizacja Bojowa P. P. S. z policją, żandarmerią i wojskiem.

Po wakacjach musiałem opuścić szkołę Wróblewskiego z powodu nieoddania kartki od spowiedzi. Wraz z kolegą moim Mieczysławem Kwiatkowskim przeniósłem się do „postępowej“ szkoły Zrzeszenia Nauczycieli. W szkole tej wybieraliśmy „delegatów do Rady Pedagogicznej“, zamiast religii — ks. Włodzimierz Kirchner wykladał nam etykę. Uczniowie byli bardzo radykalni. Najsłabszą „prawicę“ stanowili: postępowy demokratą Tadeusz Balicki oraz zwolennicy frakcji rewolucyjnej P. P. S. Zygmunt Molenda, Bronisław Mansperl i kolega mój jeszcze z Łowicza, Henryk Karlsbad.

Większość kolegów z Henrykiem Lauerem i Anatolem Mühlsteinem na czele należała do S. D. K. P. i L., lub za braćmi Wikto-rem i Izaakiem Alterami zaliczała się do „Bundu“.

Co do mnie, zbliżyłem się do Molendy i Mansperla jako do najbliższych mi ideowo.

Podczas świąt Wielkanocnych 1907 r. w szkole naszej odbywał się Zjazd Związku Młodzieży Postępowej Szkół Średnich Królestwa, „nakryty“ przez żandarmerię rosyjską. Na skutek tego szkołę zamknięto.

Do końca roku szkolnego pozostałem więc w domu, uczyłem się sam i zdałem do kl. VII szkoły Konopczyńskiego (obecnie gimnazjum im. Mickiewicza na Sewerynowku) w Warszawie. Należałem nadal do Z. M. P., ale zrażony zarówno do endeków jak i do „lewicowych“ socjalistów, czynniejszego udziału w pracy nie brałem. Z bliskimi mi ideowo kolegami z frakcji rewolucyjnej P. P. S. straciłem kontakt, bo w szkole Konopczyńskiego w Z. M. P. przeważały wpływy „lewicowe“. Nie czułem się z nimi związany, toteż, gdy po ukończeniu oddziału realnego szkoły Konopczyńskiego w roku 1908 i zdaniu dodatkowych egzaminów z języków starożytnych, znalazłem się w roku 1909 w Krakowie celem rozpoczęcia studiów polonistyczno-historycznych, nie bardzo wiedziałem, w którą stronę się zwrócić.

Jako „realista“ na Uniwersytecie Jagiellońskim nie znalazłem swych szkolnych kolegów, prócz jednego rolnika — Witolda Rabka, oraz znajomej mojej z czasów łowickich, Jadwigi Pogorzelskiej. Oboje należeli do postępowej „Spójni“ i ten fakt raczej, a nie przekonania polityczne, zdecydował o moim przystąpieniu do tego stowarzyszenia.

W Krakowie były wówczas tylko dwa stowarzyszenia ideowo-polityczne, do których należeli Królewiacz: narodowe „Zjednoczenie“ i postępowe „Spójnia“. Dwa pozostałe stowarzyszenia demokratyczny „Związek Akademicki“ i ludowa „Czytelnia Akademicka“ były stowarzyszeniami czysto „galicyjskimi“.

Zapisałem się więc do „Spójni“, ale nie czułem się tam jak u siebie w domu. Wprawdzie koleżanki Kazimiera i Zofia Bujwidówny usiłowały stworzyć miłą atmosferę i nastrój koleżeński, ale bez większych rezultatów. „Spójnia“ nie była bowiem stowarzyszeniem wyłącznie polskim. Należeli tu Rosjanie i Żydzi, którzy się do polskości nie przyznawali, byli Litwini i Ukraińcy. Wprawdzie przewodniczącym Zarządu był osobiście bardzo miły i powszechnie lubiany słuchacz IV roku filozofii, Witold Suchodolski, ale większość członków stanowili zwolennicy S. D. K. P. i L. oraz niewiele od nich różniący się zwolennicy lewicy P. P. S. na czele ze znanymi dziś działaczami komunistycznymi lub dygnitarzami Z. S. R. R., jak Stefan Heltman, Roman Jabłonowski, Julian Leszczyński, Eugeniusz Przybyszewski lub wieczny medyk, śp. Józef Kuć. A choć wielu z nich zerwało później z tym kierunkiem, jak Mieczysław Czarnecki, Jan Łazowski, Bolesław Mitkus, Roman Ciborowski, ale w owe czasy wszyscy byli jednomyślni.

Znalazłem się znowu w dobrze znanej mi z lat 1905—1907 atmosferze, rzekomo rewolucyjnej, kiedy to wszystkie partie socjalistyczne prześcigały się w „czystości“ doktryny marxowskiej, „prawdziwej“ klasowości i zwalczania istotnie świadomych, rewolucyjnych dążeń niepodległościowych, odsądzonej od czci i wiary frakcji rewolucyjnej P. P. S. Największą pogardą otoczone było w „Spójni“ słowo „frak“, co znaczyło tyleż co „reakcjonista“, „pseudosocjalista“, zgoła „burżuj“. Zebrania i odczyty kończyły się stale „pryncypialną“ dyskusją na temat scholastycznych różnic w programach i taktyce poszczególnych lewicowych partii politycznych, na temat takiego czy innego pojmowania „ewangelii“ Marxa i materializmu historycznego. W jednym wypadku „esdecy“ wszystkich autoramentów, „lewicowcy“ i „bundowcy“ szli ręką w rękę, gdy chodziło o „frakcję“, która nigdy nie mogła mieć racji. Dążenie do niepodległości uznawane było jako hasło „reakcyjne“, odciągające uwagę klasy robotniczej od walki klasowej o jej wyłącznie ekonomiczne interesy, rzekomo wymagające organicznego

wcielenia Królestwa Polskiego do Rosji, „objawionego“ przez Różę Luxemburżankę.

Nieliczni zwolennicy „frakcji“ rzadko zabierali głos, ale gdy któryś z nich przemówił, to przemówienie odbijało swoją młodością, tężyzną, rozsądkiem od „głędzenia“ młodocianych starców. Toteż od razu przyłączyłem się do tej nielicznej garstki. Poznałem ich i zbliżyłem się do nich. I jeden z nich, wspomniany wyżej medyk, Stanisław Rouppert, w dość oględnej zresztą formie, zapoznał mnie z robotą wojskową, prowadzoną już wówczas w Krakowie przez nieznany mi jeszcze z nazwy Związek Walki Czynnej. Drugi z tej grupy, również medyk, Kazimierz Sawicki, namówił mnie do uczęszczania na odczyty działaczy frakcji rewolucyjnej P. P. S., których cykl organizowało właśnie „Zjednoczenie“. W tym samym bowiem czasie, gdy w „Spójni“ rozwielały się prądy, które z czasem przybrały nazwę „komunizmu“, w „Zjednoczeniu“ powiał nowy duch. Zwolennicy Romana Dmowskiego, reprezentowani przez Romana Rybarskiego i Bohdana Winiarskiego, znaleźli się w mniejszości, a przewodniczącym „Zjednoczenia“ został przedstawiciel „secesji“, reprezentujący nowy prąd w O.M.N. — Sławomir Czerwiński.

Nowy prezes zorganizował cykl odczytów działaczy niepodległościowych z N. Z. R. i P. P. S. frakcji rewolucyjnej, wśród których, o ile sobie przypominam, byli: śp. mecenas Kułakowski, Michał Sokolnicki, Leon Wasilewski, śp. Witold Jodko-Narkiewicz, Władysław Studnicki i inni.

Grupa niepodległościowa kolegów ze „Spójni“ pilnie uczęszczała na te odczyty, zapoznające nas z dziejami walk rewolucyjnych ostatnich lat i szczegółami śmierci bohaterów walki o niepodległość: Montwiła-Mireckiego, Stefana Okrzei, Henryka Barona, Kopisia i innych.

Na jednym z tych odczytów poznałem Tadeusza Szpotańskiego. Był on członkiem frakcji rewolucyjnej P. P. S., ale do „Spójni“ nie należał. Uważał, że jeśli szukać terenu do pracy na gruncie akademickim, to raczej znaleźć go można w „Zjednoczeniu“ niż w esdeckiej „Spójni“. Tadeusz Szpotański był tym, który pierwszy zwrócił mi uwagę na osobę „tow. Mieczysława“. Nie wiedziałem wówczas, kto to jest. On powiedział mi, że jest to twórca i kierownik Organizacji Bojowej, członek Centralnego Komitetu Robotniczego P. P. S. i wódz Polski rewolucyjnej. Nie powiedział mi jedynie, że jest on równocześnie duszą Związku Walki Czynnej.

Gdy wreszcie przyszła kolej na odczyt „tow. Mieczysława“ — sala była przepelniona. Wszyscy oczekiwali prelegenta z jakimś naprężeniem, które mimo woli i mnie się udzieliło. Nie wiedziałem, że na sali byli wszyscy ówcześni członkowie krakowskiego oddziału Z. W. C.

Wreszcie na salę wszedł szybkim, miarowym krokiem — oczekiwany prelegent. Jego postać z brodą, jaką wówczas nosił, stanowcze, pewne, choć łagodne spojrzenie spod krzaczastych brwi, akcent litewski, specjalny styl i sposób mówienia, ale przede wszystkim niezwykła siła, jaka była z każdego słowa — przejmowała dreszczem. Tak sobie wyobrażałem wodzów powstania 63 roku, tak musieli wyglądać ci, którzy na swe barki brali losy narodu.

Słyszałem później wiele innych odczytów Komendanta, ale to pierwsze wrażenie pozostało na zawsze najsilniejsze, niezapomniane. Dzisiaj nie pamiętam już treści odczytu, pamiętam natomiast tę ciszę, jaka zapanowała na sali. Komendant mówił, a każde Jego słowo zapadało gdzieś w głęb duszy, gdyż czuło się, że mówi Człowiek, który nie słowem żyje, lecz czynem.

Komendant zawsze przy pierwszym zetknięciu wywierał od razu najsilniejsze wrażenie. Toteż i ja byłem odczytem tym oczarowany, zachwycony, zdecydowany na wszystko. Od tej chwili byłem przekonany, że obóz, który ma takich ludzi, musi zwyciężyć. Gdyby mi kto wówczas powiedział o istnieniu Z. W. C., ani chwilibym się nie wahał i niezwłocznie przystąpiłbym do pracy. Ale ja byłem na gruncie krakowskim człowiekiem nowym i nieznanym. Nikt mi też nic bliższego o organizacji nie powiedział, nie znałem jej nawet z nazwy, choć wiedziałem, że coś istnieje, co identyfikowałem wówczas z Organizacją Bojową P. P. S.

Tymczasem w „Spójni“ walka rozgorzała na dobre. Poszło o drobną na pozór sprawę zdawania przez wychowawców szkół polskich matur rosyjskich w gimnazjach rządowych w Królestwie. Pomimo bowiem jednomyślnych pod tym względem uchwał Zjazdu Zakopiańskiego z lipca 1909 r. „lewica“ usiłowała stępić nieco ostrze bojkotu szkół rosyjskich. Na tym tle doszło do rozłamu w „Spójni“. Po złożeniu odpowiedniej deklaracji grupka nasza opuściła demonstracyjnie „Spójnię“. Było nas na razie tylko sześciu. Wspomniani wyżej: Stanisław Rouppert i Kazimierz Sawicki oraz: Tytus Jemielewski, śp. Janusz Wyszacki, Stanisław Małkowski i ja.

Wprawdzie w „Spójni“ było więcej niepodległościowców, ale albo nie byli obecni na tym zebraniu, albo jako Galicjanie nie przywiązywali takiej wagi do sprawy, obchodzącej przede wszystkim Królewaków, toteż z dr Janem Baścikiem i Zygmuntem Przybylskim na czele na razie w „Spójni“ pozostali.

My natomiast w kilka dni po rozłomie zebraliśmy się na Zwierzyńcu w mieszkaniu Tytusa Jemielewskiego i uradziliśmy założenie nowego stowarzyszenia. Wiedzieliśmy już o tarcjach na Zjeździe Wiedeńskim Związku Stowarzyszeń Młodzieży Postępowej, wiedzieliśmy o powstaniu w Brukseli i Leodium stowarzyszeń

filareckich, głoszących hasło: „Wolny człowiek w wolnej Polsce“, nie mieliśmy jednak na razie żadnej łączności z tamtymi kolegami. Postanowiliśmy więc zupełnie samodzielnie utworzyć związek młodzieży postępowo-niepodległościowej, który ze względu na tradycje galicyjskiej młodzieży postępowej zdecydowaliśmy nazwać „Promieniem“. Postanowiliśmy zwrócić się do Tadeusza Szpotańskiego z propozycją współdziałania z nami, zaprosiliśmy również nie należące do „Spójni“ sympatyczki P. P. S. frakcji rewolucyjnej siostry Kazimierza Sawickiego — koleżanki Janinę i Halinę Sawickie, Irenę Szpotańską, Jadwigę Lubińską i kilka innych osób.

Równocześnie doszły nas słuchy, że inna grupa młodzieży z Adamem Uziembłą na czele ma zamiar stworzyć nowe stowarzyszenie. Porozumieliśmy się z tą grupą i wspólnymi siłami zorganizowaliśmy zebranie dyskusyjne w gościnnym zawsze lokalu Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza przy ul. Szewskiej 16.

Zapał był duży. Nie omawialiśmy żadnych szczegółów, gdyż zdawało się, że sprawa jest zupełnie jasna. Pomiędzy dwoma skrzydłami socjalistyczno-komunistycznym i reakcyjno-nacjonalistycznym wydawało się, że jest miejsce na stworzenie stowarzyszenia nowego, postępowego, ale wyraźnie niepodległościowego, które skupiłoby całą zdolną do czynu młodzież akademicką, pamiętającą o tym, że „dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze, w młodości zdusi centuary“. Toteż do wskazań filaretów wileńskich, zawartych w nieśmiertelnej „Odzie do młodości“, dodaliśmy nowe hasło ukute przez ich spadkobierców brukselskich, czy leodyjskich: „Wolny człowiek w wolnej Polsce“ i pod tym hasłem chcieliśmy skupić krakowską młodzież akademicką do walki i pracy w imię odzyskania niepodległości i budowania Polski ludowej i demokratycznej.

Na zebranie nasze przyszli niepodległościowcy należący dotąd do „Spójni“, przyszli również niepodległościowcy ze „Zjednoczenia“ z Tadeuszem Kupczyńskim i Juliuszem Ulrychem na czele. Otwierały się przed nami perspektywy stworzenia od razu dużego stowarzyszenia, złożonego z elementów niezadowolonych zarówno ze „Spójni“ jak i ze „Zjednoczenia“. Trzeba było tylko znaleźć wspólną platformę.

Tadeusz Szpotański, najlepszy wśród nas mówca, uważał, że niebezpiecznie będzie tworzyć od razu zbyt duże stowarzyszenie z elementów nieznanych pod względem ideowym. Obawiał się, aby nas nie zmajoryzowała secesja młodzieży narodowej, związana dość ściśle z Narodowym Związkiem Robotniczym. Toteż wystąpił ostro przeciwko nim, żądając aby najpierw stanęli szczerze na gruncie demokratycznym, socjalistycznym, a dopiero wtedy będziemy mogli wraz z nimi przystąpić do wspólnej pracy nad od-

zyskaniem niepodległości. Wszystkie poprzednie próby powstań zawiodły — jego zdaniem — wskutek nieszczerości ich kierowników, którzy nie mogli pociągnąć za sobą mas ludowych. Nie wolno powtarzać błędów historycznych. Chcemy mieć w swym gronie jedynie szczerych demokratów, którzy będą mieli prawo odwołać się do chłopów i robotników, aby wezwać ich do naszych szeregów, ramię przy ramieniu w walce o niepodległość. Ja również byłem wtedy tego samego zdania, bo wierzyłem w instynkt mas, zdawało mi się, że w razie wybuchu powstania te masy pójdą w bój. Tymczasem przemówienie Tadeusza Szpotańskiego spowodowało, że secesja ze „Zjednoczenia“ założyła równoległe z nami stowarzyszenie młodzieży niepodległościowej „Znicz“, które wraz z lwowską „Kuźnicą“ stworzyło ruch tzw. zarzewiacki czyli narodowo-niepodległościowy.

Do nas przystąpiła jedynie grupa młodzieży tzw. narodowo-rewolucyjnej („Studniczyków“) z Wiesławem Kosińskim na czele. W chwili powstania więc, „Promień“ liczył około 40 członków. Powołano tymczasowy Wydział z przewodniczącym Tytusem Jemielewskim, wiceprzewodniczącym Tadeuszem Szpotańskim, sekretarzem Adamem Uziembłą, skarbniczką Jadwigą Lubińską. Ja w tym Wydziale pełniłem funkcje zastępcy sekretarza.

Był to „Sturm und Drangperiode“ ruchu niepodległościowego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nie mieliśmy na razie lokalu, ani zalegalizowanego statutu, ale zbieraliśmy się w sali Uniwersytetu Ludowego, zabieraliśmy głos na wiecach akademickich i szturmem zdobywaliśmy prawo obywatelstwa w społeczności akademickiej. Po zebraniach chodziliśmy „całą bandą“ na spacer na Błonia Krakowskie i tam po raz pierwszy usłyszałem odgłos komend i miarowe kroki musztrującego się w nocy oddziału Z. W. C. W dalszym ciągu nie znałem tej nazwy, ale wiedziałem już konkretnie o istnieniu „roboty wojskowej“, prowadzonej, jak mi się zdawało, równoległe do „roboty politycznej“.

Byłem na wskroś „cywilem“. Nie rozumiałem zupełnie wojska, nie doceniałem znaczenia wyszkolenia wojskowego. Zdawało mi się ciągle, że tylko oficerowie powinni się szkolić, a szeregowcy mają ich słuchać i strzelać, tam gdzie im każą. Zawsze pociągała mnie więcej praca umysłowa, niż wysiłek fizyczny. Kiedy mając lat 6 przebywałem na kuracji w Ciechocinku i kazano mi chodzić na gimnastykę, korzystając z braku nadzoru uciekałem z książką do parku. Entuzjazmowałem się pięknem walki o niepodległość, ale zdawało mi się, że pracując w „Promieniu“ spełniam już swoje zadanie w miarę sił i możliwości.

W czasie wakacji odbywał się w Krakowie Zjazd młodzieży postępowo-niepodległościowej szkół średnich z Królestwa.

Na zjeździe tym poznałem cały szereg działaczy wśród tej młodzieży z Mieczysławem Niedziałkowskim, Janiną Steinówną, Leonem Kozłowskim, Janem Glinką, Zygmuntem Mierzejewskim na czele.

Po wakacjach, które spędziłem w Królestwie, wynajęliśmy lokal dla „Promienia“ przy ul. Senackiej 6. Członków mieliśmy już ponad stu. Przybyło sporo Galicjan, którzy w poprzednim roku pozostali w „Spójni“, przybyło też sporo młodzieży postępowo-niepodległościowej z Królestwa.

Spośród tej młodzieży przyjechali na studia: Leon Kozłowski, Kazimierz Polkowski, Stojan Stefanowski, ponadto z Kijowa przenieśli się do Krakowa — Artur Maruszewski i śp. Kazimierz Czyżewski.

Wydział „Promienia“ pozostał prawie bez zmian. Jedynie na stanowisku sekretarza zastąpił Uziembłę śp. Zygmunt Przybylski, przywódca galicyjskiej młodzieży promienistej, a ja objąłem funkcję skarbnika.

Rok akademicki 1910/11 rozpoczął się bardzo niespokojnie. 15 listopada odbył się słynny wykład ks. Zimmermanna, profesora socjologii chrześcijańskiej, autora słynnej „Mojej baby“. Zerwany przez nas wykład ks. Zimmermanna rozpoczął burzliwy okres tzw. Zimmermaniady. Uniwersytet zamknięto. Kilku kolegów relegowano. Wszyscy dostaliśmy tzw. „consilium abeundi“. Sprawa walki o świecką katedrę socjologii tak opanowała umysły młodzieży, że ani praca polityczno-niepodległościowa, ani wojskowa nie mogły w tych warunkach postępować naprzód.

„Promień“ wziął czynny udział w walce, przeszedł chrzest bojowy, wysunął się na czoło ruchu akademickiego. Wysłaliśmy po raz pierwszy delegatów na Zjazd Związku Młodzieży Postępowej w Genewie oraz na Zjazd Stowarzyszeń Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej w Paryżu, które odbyły się podczas świąt Bożego Narodzenia. Delegatami naszymi byli: Paweł Kittay, świeżo przybyły z Uniwersytetu Lwowskiego, oraz śp. Zygmunt Przybylski.

Wobec zamknięcia uniwersytetu wyjechałem do Królestwa na Boże Narodzenie i przyjąwszy kondycję na wsi do końca roku akademickiego nie wróciłem już do Krakowa.

W tym czasie brat mój najmłodszy, Stefan, wówczas uczeń kl. VII gimnazjum Konopczyńskiego w Warszawie, czynny działacz Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej szkół średnich w Królestwie, został aresztowany, sądzony i skazany na miesiąc twierdzy w Cytadeli w Warszawie. Odwiedzałem go kilkakrotnie w więzieniu i miałem okazję przyjrzenia się stosunkom więziennym, bo choć sam byłem dwukrotnie aresztowany w czasach

szkolnych, ale za każdym razem kończyło się na noclegu w „cyrkule“ i wypuszczaniu mnie po przesłuchaniu w „ochronie“ na Daniłowiczowskiej przez słynnego Zawarżina.

W r. 1911 powinienem był stanąć do wojska. Ponieważ matury rosyjskiej nie miałem, musiałbym służyć 3 lata jako zwykły szeregowiec. Wobec tego zdecydowałem nie stawiać się do wojska i pozostać do „lepszyc czasów“ w Galicji.

Jesienią więc gdy wróciłem do Krakowa, pozostałem tu już „na stałe“. Aby uchronić ojca mego śp. Alfonsa od kary pieniężnej postarałem się początkowo o świadectwo lekarskie, które wydał mi profesor dr Stanisław Pareński, urzędowy lekarz Konsulatu rosyjskiego. Świadectwo to nie na długo starczyło i ojca mego ciągle nachodzono, aż oświadczył, że nie wie, co się ze mną dzieje, gdyż wyjechałem zagranicę i znaku życia o sobie nie daję. Odtąd więc już tylko „nielegalnie“ mogłem jeździć do Królestwa. Raz zresztą tylko byłem za paszportem Juliana Stachewicza w Przybysławicach pod Miechowem u Leona Kozłowskiego.

W Krakowie zastałem zmienione do gruntu stosunki. Na czoło życia akademickiego wysunęła się tzw. Konferencja Międzystowarzyszeniowa, po usunięciu z niej „Spójni“ i nie przyjęciu „wyznaniowej „katolickiej „Polonii“, złożona z czterech niepodległościowych stowarzyszeń: „Promienia“, „Znicza“, „Zjednoczenia“ i „Czytelni akademickiej“.

„Promień“ reprezentowali teraz zwykle: Zygmunt Przybylski, Kazimierz Sawicki, Paweł Kittay, Teofil Wojeński, Tadeusz Hołówko, Leon Kozłowski i ja. „Znicz“ reprezentowali: Tadeusz Kupczyński, Juliusz Ulrych, Józef Błoński, Eugeniusz Zdrojewski, Ludwik Waszkiewicz, Bolesław Fichna, śp. Stanisław Długosz. „Zjednoczenie“: śp. Kazimierz Wyszyński, Stanisław Cheliński, Zygmunt Rusinek, Konrad Libicki, Józef Pryffer, Melchior Wańkowicz. „Czytelnię akademicką“ przeważnie: Stanisław Krzewski. Konferencja Międzystowarzyszeniowa, reprezentująca wyłącznie stowarzyszenia niepodległościowe, nadała piętno całemu życiu akademickiemu w Krakowie. Wszystkie rezolucje były między nami uzgadniane i solidarnie na wiecach przeprowadzane. Niezbyt podobało się to konserwatywnemu Senatowi akademickiemu Wszechnicy Jagiellońskiej, niezadowolonemu z nie dość „lojalnego“ w stosunku do Austrii oblicza młodzieży akademickiej. Toteż próbowano represji; relegowano nawet ówczesnego prezesa „Promienia“ Zygmunta Przybylskiego, który zmuszony był do przeniesienia się do Lwowa, ale frontu młodzieży nie zdołano rozbić. Aż do wybuchu wojny w roku 1914 utrzymano jednolity i wyraźny front niepodległościowy całej krakowskiej młodzieży akademickiej.

„Promień“ przodował teraz w życiu młodzieży. Pomimo że Tadeusz Szpotański przeniósł się do Zurychu, mieliśmy znowu świetnego mówcę w osobie Pawła Kittaya. Prezydium „Promienia“, złożone z Zygmunta Przybylskiego jako prezesa, Pawła Kittaya jako wiceprezesa, Maryli Sawickiej jako skarbniczki i mnie jako sekretarza, dokładało wszelkich starań, aby „Promień“ utrzymać „na poziomie“. Celem zachowania jednolitej linii postępowania dużego już stowarzyszenia, jakim był „Promień“, wewnątrz stowarzyszenia zorganizowaliśmy tzw. sekcję akademicką P. P. S., która faktycznie objęła kierownictwo „Promienia“. Z ramienia C. K. R. P. P. S. (oczywiście frakcji rewolucyjnej) delegowano autora „Zagadnień postępu“ — Tytusa Filipowicza, który miał nadawać nam kierunek i czuwać nad taktyką „Promienia“.

Na sekcji omawialiśmy wszystkie ważniejsze zagadnienia, które później jako „Promień“ realizowaliśmy przy pomocy Konferencji Międzystowarzyszeniowej. Jedno z pierwszych posiedzeń sekcji jesienią 1911 r. poświęcone było sprawie roboty wojskowej.

Na tym posiedzeniu sekcji zdecydowaliśmy, że wszyscy członkowie sekcji powinni wstąpić do Z. W. C., a wszyscy członkowie „Promienia“ jeśli na razie nie do Z. W. C., to przynajmniej do jego legalnej ekspozytury „Strzelca“, stworzonej na skutek tzw. aresztowań królewiaków, tj. represyj zastosowanych przez rząd austriacki w stosunku do roboty wojskowej w Galicji.

W ten sposób i ja czynnie przystąpiłem do roboty wojskowej, którą na razie traktowałem jako odbycie „powinności wojskowej“, zamiast służby rosyjskiej, od której się uchyliłem.

HEJ, STRZELCY WRAZ!

Było to, o ile sobie przypominam, 3 listopada 1911 r. Po południu poszedłem ze Stojanem Stefanowskim do lokalu „Strzelca“, mieszczącego się wówczas przy ul. Łobzowskiej. Sala, do której wszedłem, zrobiła na mnie wrażenie sali gimnastycznej, ale zamiast przyrządów gimnastycznych pod ścianami ustawione były stojaki na karabiny z bronią różnych systemów. Wiedziałem już, że komendantem Okręgu Krakowskiego jest obywatel Bohdan (Aleksander Prystor), a jego zastępcą natomiast kolega nasz z „Promienia“ i sekcji P. P. S. obywatel Wicz (Julian Stachiewicz), niedawno przybyły ze Lwowa.

Po chwili oczekiwania wezwano nas do sąsiedniego pokoju. Pokój miał przysłonięte okna i było w nim prawie zupełnie ciemno. Jedynie blask dwóch zapalonych świec, stojących na stole, przykrytym suknem, rozpraszał ciemności. Za stołem siedział Wicz, który w kilku słowach formalnie poinformował nas o zadaniach Związku Walki Czynnej. Zaznaczył, że powinniśmy się dobrze zastanowić, nim przystąpimy do Z. W. C., gdyż po złożeniu przyrzeczenia — odwrotu nie ma. Będziemy musieli złożyć uroczyste przyrzeczenie, że stawimy się na każde żądanie, kiedy nas rozkaz do walki powoła. Z. W. C. jest organizacją ściśle wojskową (nie polityczną), której wykładnikiem politycznym była Polska Partia Socjalistyczna, (zastąpiona w rok później przez Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych).

Po tych wyjaśnieniach, kiedyśmy oświadczyli mocne postanowienie wytrwania w przyjętych na siebie obowiązkach, obywatel Wicz odczytał nam deklarację ideową Z. W. C. i odebrał od nas uroczyste przyrzeczenie posłuszeństwa, potwierdzone uściśnieniem dłoni. Polecono nam wybrać sobie pseudonimy. Stojan pierwszy wybrał sobie pseudonim „Litwin“, a ja za jego przykładem zostałem „Mazurem“.

Wcielono nas obu do sekcji obywatela Ignacego (Kordiana Zamorskiego) plutonu ob. Sawy (Stanisława Machowicza). Oddział Krakowski „Strzelca“ składał się wówczas z 2 plutonów po 4 sekcje, złożone z 8 strzelców każda. Pierwszym plutonem dowodził ob.

Kazimierz (Czesław Jarnuszkiewicz), drugim — Sawa. Zebrania na musztrę i wykłady odbywały się dwa razy w tygodniu, w soboty były ćwiczenia w strzelaniu na strzelnicy wojskowej na Woli Justowskiej. W niedzielę odbywały się ćwiczenia polowe w okolicach Krakowa. W naszej sekcji było nas czterech członków „Promienia“, a mianowicie prócz nas dwóch jeszcze dwaj koledzy Galicjanie rzeszowiacy: Antoni Brzęk i Jan Kłeczek. Poza tym było czterech innych obywateli, których dotąd nie znałem. Wśród nich był obywatel Ludomir (Wacław Rowiński), który, niestety, później okazał się szpiegiem ochrony rosyjskiej.

Pierwsze ćwiczenia, w których brałem udział, odbyły się na Krzemionkach pod Kopcem Krakusa w Podgórzu. Wybrałem się na nie, jak na prawdziwego „cywila“ przystało w... meloniku i w kaloszach. Kalosze więzły mi w glinie podczas musztry, a koledzy mieli z tego powodu uciechę. Co do mnie to nabrałem odtąd takiego wstrętu do kaloszy, że do dziś ich nie noszę i nigdy nie używam.

O ile w „Promieniu“ byłem jednym z czołowych „działaczy“, to w „Strzelcu“ czułem się niesłychanie małym, niedoświadczonym rekrutem, nie mającym elementarnego pojęcia o „rzemiośle“ wojskowym. Wiele wody musiało w Wiśle upłynąć, zanim z zakamieniałego „cywila“ i „polityka“ stałem się w końcu żołnierzem.

„Strzelec“ był wówczas jeszcze nieliczny. Było nas w obu plutonach coś 60. I pluton obywatela Kazimierza był bardziej zaawansowany, nasz II pluton składał się przeważnie z takich jak ja rekrutów. Praca wojskowa, która z początku wydawała mi się ciężkim obowiązkiem, powoli zaczęła mię pociągać. Z początku dziecinny wydał mi się antagonizm pomiędzy obywatelem Kłeczkiem a obywatelem Ludomirem, którzy rywalizowali między sobą o zastępstwo sekcyjnego, a więc tytuł „starszego żołnierza“, ale z czasem i ja nabrałem ambicji wojskowej i chciałem pomyślnie złożyć egzamin podoficerski.

Musztra, służba wewnętrzna i polowa, organizacja wojska, a nawet nauka o broni szły mi jako tako. Najtrudniejsze wydały mi się: terenoznawstwo, umocnienia polowe i materiały wybuchowe. Tam, gdzie w grę wchodziła technika i matematyka, czy chemia, już nie czułem się mocny. Mimo to z wiosną 1912 r. zdałem egzamin z „kursu niższego“, jak się wówczas nazywała szkoła żołnierska i podoficerska, i przeszedłem na „kurs średni“, czyli późniejszą niższą szkołę oficerską. Czułem się dumny z tych moich „wyczynów“ wojskowych.

Wstąpienie do Z. W. C. przyczyniło się do pewnej przemiany wewnętrznej, której ulegałem pod wpływem wyszkolenia wojskowego. Poczulem się pełnoprawnym obywatelem przyszłego pań-

stwa polskiego, poczułem się obywatelem-żołnierzem, nie tylko tracącym czas na „politykę“.

Mimo to nie zaniedbywałem pracy w „Promieniu“. W grudniu 1911 r. odbył się III Zjazd „Filarecji“ w Krakowie. Brałem czynny udział w organizacji tego zjazdu jako sekretarz „Promienia“ i byłem naturalnie jednym z delegatów na Zjazd. Pisałem sprawozdania ze Zjazdu dla „Naprzodu“ i „Głosu“ we Lwowie. W Zjeździe wzięli również udział obaj moi bracia: Mieczysław, słuchacz Politechniki Lwowskiej, jako delegat „Życia“ oraz Stefan, słuchacz Wyższych Kursów Handlowych im. Zielińskiego w Warszawie, jako delegat z Królestwa z ramienia Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej.

Zjazd zdecydował nazwać zrzeszenie nasze „Unią Stowarzyszeń Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej“ (filareckiej) i przenieść do Krakowa Zarząd Główny, znajdujący się dotychczas w Leodium pod przewodnictwem Piotra Góreckiego. Na jego czele stanął po powrocie z Zurychu Tadeusz Szpotański. Wiceprezesem został Kazimierz Sawicki, skarbnikiem Julian Stachiewicz, sekretarzem ja, a członkiem zarządu — Zygmunt Przybylski (jako prezes „Promienia“).

Zdecydowaliśmy ponadto wydawać organ Unii pt. „Nasza Praca“, który miał informować o postępach naszego ruchu. Zabraliśmy się do pracy organizacyjnej i wkrótce „Unia“ liczyła blisko 30 stowarzyszeń, rozsypanych po całej Europie nie wyłączając Rosji, którą na Zjeździe Krakowskim reprezentował kol. Kazimierz Kamiński („Luboń“) z Petersburga.

Praca wojskowa i polityczna pochłaniała mi tyle czasu, że zaniedbałem nieco studia na Uniwersytecie, gdyż jako słuchacz III roku filozofii powinienem był zabrać się do prac seminaryjnych.

Tymczasem ruch nasz rozwijał się z żywiołową siłą. Stowarzyszenia filareckie istniały w Belgii (Bruksela, Leodium, Viers, Antwerpia, Glons, Mons), we Francji (Paryż, Nancy, Grenoble, Tuluza, Montpellier), w Szwajcarii (Zurych, Genewa, Lozanna, Fryburg, St. Gallen, Winterthur, Neuchâtel), w Austrii (Wiedeń, Graz, Praga, Leoben, Przybram), w Niemczech (Lipsk, Tybinga, Monachium, Frankenhausen), w Anglii (Oxford), w Rosji (Petersburg, Moskwa, Dorpat, Kijów, Charków) oraz w kraju (prócz Warszawy, Krakowa i Lwowa także w Rzeszowie, Złoczowie, Jaśle i Bochni). Tam, gdzie powstała „Filarecja“, tworzył się zaraz oddział Z. W. C. legalnie lub nielegalnie. W samym „Promieniu“ też było coraz więcej roboty. Wypadki polityczne dostarczały coraz więcej tematów do wieców akademickich, nie było bowiem zagadnienia, co do którego ówczesna młodzież akademicka Krakowa, czy Lwowa nie chciałaby się wypowiedzieć.

Wiece kończyły się najczęściej demonstracjami ulicznymi, które nieraz doprowadzały do starć z policją. Pierwszy raz brałem udział w takiej manifestacji, kiedy protestowaliśmy przeciwko aresztowaniu strzelców-królewików, których trzymano w areszcie „Pod telegrafem“. Później demonstrowaliśmy z powodu endeckiej deklaracji o zniesieniu bojkotu szkół rosyjskich i artykułów przeciwbojkotowych w konserwatywno-ugodowym „Czasie“. Ponieważ w Krakowie nie było endeków, więc nasz temperament wyładowywaliśmy na „Stańczykach“. Demonstrowaliśmy z powodu uroczystości 300-lecia dynastii Romanowów, w czasie której to demonstracji spaliliśmy portret Mikołaja II na rynku pod pomnikiem Mickiewicza, co było nawet przedmiotem interwencji rządu rosyjskiego. Demonstrowaliśmy wreszcie z powodu oderwania Chelmszczyzny, wojny włosko-tureckiej, wojny bałkańskiej itp.

Podczas tych manifestacji nierzadko oberwaliśmy coś niecoś od policji austriackiej, ale i policjanci mieli nieraz „wbite dekle“ na głowy. Kończyło się zwykle wybiciem okien w Dyrekcji Policji lub redakcji „Czasu“. Raz nawet pod tą redakcją zostałem zatrzymany przez policję. Jakie nastroje panowały wówczas wśród młodzieży, zilustruje rozmowa, jaką miałem z c. k. komisarzem policji. Kiedy spisywano ze mną protokół, komisarz, który uważał, że wszelkie „awantury“ robią tylko „lästige Ausländer“, tj. królewiaci, „ci z Rosji“, jak nas nazywano nie tylko zresztą na policji, zapytał mnie o obywatelstwo. „Naturalnie rosyjskie“ mówi c. k. komisarz. Odpowiedziałem stanowczo: „Nie“. Uważałem, że jako „dezter“ z wojska rosyjskiego, nie mający możliwości powrotu do kraju, w żadnym wypadku nie jestem już „poddanym rosyjskim“. C. k. komisarz, któremu nie mogło się w głowie pomieścić, aby obywatel austriacki mógł tak „stawiać“ się policji, zapytał ze złością: „Jakież więc? — „Polskie!“ — odpowiedziałem bez namysłu. Pan Komisarz oburzony w swej lojalności austriackiej oświadczył mi kategorycznie, że nie pozwoli na kpiny z siebie i mimo mego oporu wpisał, że jestem obywatelem rosyjskim. Kiedy w dwa lata później na Uniwersytecie w Genewie w rubryce „Nationalité“ wpisałem: „Pologne“, nie robiono mi żadnych trudności, ale c. k. komisarz „polskiego pochodzenia“, który zresztą w kilka lat później był dygnitarzem w służbie administracyjnej Rzeczypospolitej, do tego stopnia był oburzony, że nie mógł mi długo zapomnieć tych „kpin z siebie“. Wypomnił mi to jeszcze, kiedy w kilka tygodni później wezwano mnie i Kazimierza Sawickiego na policję dla „zlikwidowania“ całego zajścia. Ponieważ oskarżyliśmy policję publicznie na łamach „Naprzodu“ o znęcanie się nad aresztowanymi akademikami, więc c. k. komisarz zaproponował nam „zatuszowanie“ całej sprawy i niekierowanie jej na

drogę sądową, o ile i my „wycofamy“ swoje skargi przeciw policjantom. Ponieważ nie mieliśmy w ogóle żadnego zamiaru kierowania sprawy na drogę sądową, więc chętnie zgodziliśmy się na ten „kompromis“, a policja poprzestała na wytoczeniu skargi jedynie przeciw kol. Janowi Marciniakowi („Promień“), którego schwytano na gorącym uczynku wybijania szyb w „Czasie“.

W ten sposób płynął nam czas na przygotowywaniu się do walki z głównym wrogiem, tj. Rosją, i na utarczkach z drugim zaborcą, tj. Austrią. Nadeszły wakacje 1912 r., pierwsze wakacje, które musiałem spędzić „na emigracji“. Nie było mowy o tym, abym mógł wrócić do kraju, bo policja ciągle nachodziła ojca żądając mego stawienia się do wojska lub zapłacenia 300 rubli kary, jakie nakładano na rodziców synów uchylających się od poboru. Spędziłem więc wakacje w Krakowie. Po wakacjach praca na nowo zawrzała w „Promieniu“ i „Strzelcu“. W „Promieniu“ prezesem został Teofil Wojeński, wiceprezesem Kazimierz Sawicki, a po nim, relegowany z uniwersytetu w Petersburgu, śp. Tadeusz Hołówko, który przeniósł się do Krakowa i znakomicie wzmocnił nasze szeregi. Chociaż mówił źle po polsku, gdyż urodzony i wychowany w Rosji miał wybitnie wschodni akcent, ale za to mówił tak mocno, tak gorąco, z takim przekonaniem, że wkrótce stał się naszym najlepszym mówcą. Ja będąc już na IV roku musiałem wziąć się nieco do roboty. Otrzymaawszy od profesora Ignacego Chrzanowskiego temat studiowałem „Listy patriotyczne“ Józefa Wybickiego i wycofałem się trochę z roboty. W „Strzelcu“, gdzie na kursie średnim prowadził teraz ciekawe wykłady ob. Śmigły (Edward Rydz), musiałem także wziąć urlop i przeszedłem chwilowo do „rezerwy“. Zatrzymałem jedynie sekretariat Zarządu Głównego Unii, który mi zresztą wiele czasu nie zabierał.

W „Strzelcu“ tymczasem z powodu konfliktu austriacko-rosyjskiego rozpoczął się okres intensywnej pracy. Do jesieni 1912 r. „Promień“ był ciągle liczniejszy od „Strzelca“, teraz „Strzelec“ rozrósł się do pełnego batalionu czterekompanijnego, a ilość uczestników roboty wojskowej wielokrotnie przewyższała ilość członków „Promienia“.

Powstała Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych jako przedstawicielstwo polityczne ruchu niepodległościowego. Obywatel Gustaw (Walery Sławek) montował Polski Skarb Wojskowy. Drużyny strzeleckie jako organizacja wojskowa, będąca emanacją ruchu zarzewiackiego, uznała wspólną Komendę naszego Komendanta Głównego, Józefa Piłsudskiego. Coraz to nowe placówki Związków i Drużyn Strzeleckich powstawały na terenie całej Galicji, a liczebność ruchu strzeleckiego w sierpniu 1914 r. doszła coś do 14 tysięcy członków. Jednocześnie

rozszerzał się ruch strzelecki wśród placówek filareckich za granicą, które objeżdżał sam Komendant Główny oraz szef sztabu ob. Józef (Kazimierz Sosnkowski). Ob. Bohdan wyjechał do Warszawy, aby organizować Z. W. C. w Królestwie, ob. Wicz objeżdżał placówki filareckie w Rosji.

Będąc w rezerwie nie biorę teraz czynnego udziału w pracy. Od czasu do czasu jestem powoływany jedynie na ćwiczenia polowe. Ogólny nastrój oczekiwania lada chwila wojny jakoś nie udzielał mi się wcale. Nie wiem czemu, byłem przekonany, że tak jak w roku 1908 i tym razem do wojny nie dojdzie. Toteż próbowałem się uczyć. Napisałem wreszcie pracę seminaryjną i od prof. Chrzanowskiego otrzymałem temat do rozprawy doktorskiej. Nawiasem mówiąc prof. Ignacy Chrzanowski, chociaż był odmiennego zdania, swymi wykładami niemało przyczyniał się do wzmożenia ruchu niepodległościowego wśród młodzieży. Prof. Chrzanowski mówił pięknie i zajmująco, budził patriotyzm młodzieży i pośrednio wpływał na zaangażowanie się w ruch niepodległościowy. Toteż wśród jego uczniów, prócz licznych członków „Promienia“, jak Adam i Leon Kocowie, Karol Liljenfeld-Krzewski, Bohdan Górski, Stanisław Krawczyk, Maryla Sawicka, Halina Chelmska, Zofia Kozłowska, Stojan Stefanowski, Teofil Wojeński, Tadeusz Hołówko, Jerzy Winiarz i wielu innych, cały szereg słuchaczy, którzy dotąd nie brali udziału ani w ruchu politycznym, ani wojskowym zaczęło zgłaszać się do „Strzelca“. A więc Jerzy Ferek-Bleszyński, Alojzy Konas, Alfred Birkenmayer, Stefan Podworski i inni zgłaszali się do „Strzelca“.

Wstąpili również masowo do „Strzelca“ członkowie „Czytelnia akademickiej“ (ludowcy) ze Stanisławem Krzewskim na czele, a w charakterze hospitantów członkowie „Zjednoczenia“ pod wodzą Kazimierza Wyszyńskiego.

Atmosfera na Uniwersytecie była coraz gorętsza. Zdarzało się nieraz, że wykład czy ćwiczenia na Uniwersytecie nie mogły się odbyć, bo wszyscy członkowie byli na ćwiczeniach strzeleckich. Prof. Morozewicz, kierownik pracowni mineralogicznej, musiał kiedyś zamknąć pracownię, bo wszyscy jego asystenci i słuchacze z Julianem Stachiewiczem i Tadeuszem Furgalskim („Wyrwą“) byli na ćwiczeniach strzeleckich.

Jakkolwiek robota polityczna w roku 1912 nie posuwała się w tym tempie, co robota wojskowa, jednakże rok ten był szczytowym punktem rozwoju ruchu filareckiego. Na Boże Narodzenie 1912 r. zwołany został IV Zjazd do Zurychu. Jako delegaci z Krakowa pojechali: Paweł Kittay i ja. Tadeusz Szpotański był już wtedy w Paryżu i stamtąd przyjechał na Zjazd.

Szwajcaria zrobiła na mnie duże wrażenie, gdyż po raz pierwszy byłem faktycznie poza granicami Polski. Po drodze zwiedziłem Wiedeń i Innsbruck, w Szwajcarii prócz Zurychu zwiedziłem Rapperswil i Lucernę.

Zjazd w Zurychu miał doniosłe znaczenie dla ruchu postępowo-niepodległościowego młodzieży filareckiej. Najważniejszą uchwałą było postanowienie, że wszyscy filareci muszą być członkami „Strzelca“. Uchwała ta wywołała u nas w „Promieniu“ opozycję, która była odpowiednikiem „opozycji P.P.S.“, reprezentowanej wówczas przez Feliksa Perla (Resa).

Na czele tej „opozycji“ stanęli: Teofil Wojeński, Jan Cynarski, bracia Kuczewscy, Dominik Zbierski b. p. Gustaw Kempner, Artur Maruszewski, śp. Kazimierz Czyżewski, a skłaniali się ku niej śp. Tadeusz Hołówko i Stojan Stefanowski. Z koleżanek popierała opozycję jedna tylko Władysława Weyher-Szymanowska.

My stanowiliśmy partię „rządową“ i przez opozycję nazwani zostaliśmy „militarystami“. Na czele partii „rządowej“ stał Paweł Kittay, Kazimierz Sawicki, Bogusław Miedziński niedawno przybyły ze Lwowa, Julian Stachiewicz, Bohdan Górski, a ponadto w razie potrzeby mobilizowaliśmy „strzelców“ z Bogusławem Kun-cem, Tadeuszem Furgalskim, Adamem Kocem, Władysławem Beliną-Prażmowskim na czele.

Opozycja początkowo była dość łagodna, później przybrała nieco ostrzejsze formy, co jednak nie wpłynęło na stosunki towarzyskie, które zawsze były jak najlepsze i koncentrowały się koło rodziny Sawickich: Kazimierza, Haliny i Maryli, gdyż Janina po wyjściu za mąż za Witolda Rabka wyjechała do Zurychu oraz koło rodziny Kozłowskich, z których po wyjeździe Leona do Tybingi pozostały siostry: Bronisława, Zofia i śp. Helena oraz kuzynka ich Halina Chelmicka. Ponadto stale przebywali z całą „bandą“ Paweł Kittay, Tadeusz Hołówko, Stojan Stefanowski, Zofia Strzałkowska, Bogusław i Janina Miedzińscy, Czesława Grünbaumówna, Teofil Wojeński, a z młodszych roczników Tadeusz Święcicki, Tadeusz Bajkowski, Maria Bittnerówna, Henryk Kąkolewski, Jerzy Winiarz. Jeden tylko Bohdan Górski z powodu kalectwa nie mógł brać udziału w naszych wycieczkach i spacerach, które odbywaliśmy po zebraniach na Błonia, na Panieńskie Skały i w swobodnej atmosferze koleżeńskiej łatwiej dochodziliśmy do porozumienia niż na oficjalnych zebraniach. To koleżeństwo i życie się, jakie cechowały „Promienistów“, rozwinęły się później w całej pełni w I Brygadzie, a przedtem jeszcze przeniosło się do „Strzelca“, zwłaszcza gdy została tam zorganizowana sekcja kobieca.

Z końcem letniego semestru zdecydowałem się na wyjazd do Genewy na kurs wakacyjny języka francuskiego przy tamtejszym

uniwersytecie. Stamtąd zrobiłem wycieczkę do Paryża do Tadeusza i Ireny Szpotańskich. Z powodu tego wyjazdu straciłem okazję uczestniczenia w kursie „letnim“ w Stróży, w którym brali udział wszyscy moi koledzy-strzelcy wyprzedzając mnie tym samym w hierarchii strzeleckiej.

Po wakacjach 1913 r. mając już absolutorium filozofii zabrałem się do pisania rozprawy doktorskiej. Wybrany jednak po Kazimierzu Sawickim przewodniczącym „Promienia“, musiałem zapisać się na wydział prawa, aby być „akademikiem“.

Miałem znowu mnóstwo roboty, prezesura „Promienia“, sekretariat Zarządu Głównego Unii, zwłaszcza że Tadeusz Szpotański siedział w Paryżu, Zygmunt Przybylski we Lwowie, a Julian Stachiewicz całkowicie zaabsorbowany był robotą wojskową, pochłaniały mi mnóstwo czasu. Był to okres, kiedy mówiło się o „dynastii“ naszej w ruchu filareckim, bo brat mój Mieczysław był wtedy prezesem „Życia“ we Lwowie, a Stefan stał na czele roboty w Królestwie jako członek Centralnego Komitetu Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej w Warszawie.

W „Strzelcu“ byłem jeszcze w rezerwie, ale miałem funkcję sekcyjnego w plutonie ob. Andrzeja (Kazimierza Sawickiego) kompanii rezerwowej ob. Pandora (Teodora Furgalskiego). To mi także wiele czasu zabierało, bo jako sekcyjny musiałem zawiadamiać wszystkich członków swej sekcji o ćwiczeniach.

Po przesileniu 1912/13 zapal wojenny nieco osłabł. Wprawdzie Komisja Tymczasowa rozwijała czynną działalność, a Polski Skarb Wojskowy gromadził fundusze na przyszłą wojnę, ale liczebność „Strzelca“ zmniejszyła się znacznie. Co do mnie, to o ile w ubiegłym roku odnosiłem się sceptycznie co do wybuchu wojny, teraz nabrałem przekonania, że wojna zbliża się. W związku z tą pewnością poprosiłem o przeniesienie w stan czynny i wróciłem do Niższej Szkoły Oficerskiej. Komendantem szkoły był ob. Karasiewicz (Michał Tokarzewski). Szkoła składała się z dwóch plutonów, komendantem mego plutonu był ob. Antek (Antoni Chamiec). Wykłady prowadził ob. Herwin (Kazimierz Piątek). Odbывały się one w obszernym lokalu „Strzelca“ w Parku Krakowskim, gdzie zwłaszcza na wiosnę warunki pracy były niezmiernie miłe. Poza szkołą oficerską były wówczas trzy kompanie 1. ob. Stanisława (Pawła Kittaya), 2. ob. Zbigniewa (Bronisława Rappaporta) i 3. ob. Bolka (Władysława Kubali). Komendantem Okręgu był ob. Ryszard (Mieczysław Trojanowski). Okręg dzielił się na szereg obwodów, przy czym komendatem obwodu północno-krakowskiego był ob. Kordian (Bogusław Kunc).

Praca w „Strzelcu“ pochłaniała mi coraz więcej czasu, gdyż poza pracą w szkole oficerskiej zostałem zwербowany przez ob.

Kordiana do pracy w jego obwodzie. Co niedziela wyruszałem więc do wsi okolicznych jako instruktor. Najchętniej jeździłem w okolice Kocmyrzowa, gdzie dworzec kolejowy był na samej granicy, i mogłem w mundurze strzeleckim poprzez posterunki rosyjskiej straży granicznej rzucić okiem na zakazane dla mnie ziemie Królestwa.

Zajawszy się robotą wojskową musiałem nieco zlikwidować swe prace polityczne. Na semestr letni zrzekłem się prezesury „Promienia“, którą objął Bohdan Górski, a po V Zjeździe Unii, który odbył się w Leodium i na który już nie pojechałem, przekazałem także sekretariat Zarządu Głównego, bo powrócił on znowu do Leodium. Pozostała mi tylko jeszcze redakcja „Nurtu“, pisma ideowo-politycznego, które obok „Naszej Pracy“, oficjalnego organu Unii, wydawaliśmy nieoficjalnie. Redaktorem naczelnym był Tadeusz Szpotański, ja byłem sekretarzem redakcji. Ponieważ Tadeusz był w Paryżu, więc dawał mi tylko ogólne wskazówki, a strona redakcyjna całkowicie mnie obciążała, administrację prowadziła kol. Stefania Kudelska (Hanna).

Poza tym kończyłem swoją pracę doktorską „O stosunku Niemcewicza do przyszłości narodowej“, gdyż po wakacjach miałem objąć stanowisko nauczyciela w gimnazjum Tow. Szkoły im. Staszica w Zakopanem. Dyrektorem tego gimnazjum był Ksawery Prauss, który zaangażował mię od 1 września. Nie wiedziałem oczywiście, że wojna te plany moje pokrzyżuje.

Tymczasem robota niepodległościowa rozwijała się. Koleżanki i koledzy wyjeżdżając do Królestwa zabierali „bibułę“, którą dostarczał ob. Gustaw (Walery Sławek). Od czasu do czasu ktoś „wpadał“. A więc wpadł mój b. szlafkamrat Stefan Rzewuski. Na 10 lat katorgiskazany też został ob. Bohdan. W Królestwie na czele roboty politycznej stał obecnie w Warszawie kol. Włodzimierz (Rajmund Jaworowski), jeden z założycieli „Promienia“, który kierował fr. rew. P.P.S.; na czele roboty wojskowej stał ob. Krok (Henryk Paszkowski), robotę niepodległościową wśród młodzieży polskich szkół akademickich w Warszawie prowadził śp. Mieczysław Marusiński, Zygmunt Mierzejewski, brat mój Stefan i inni.

Tak samo rozwijała się robota niepodległościowa w Rosji, kierowana z Petersburga przez śp. Kazimierza Kamińskiego, śp. Tadeusza Hołówkę, który po rocznym pobycie w Krakowie wrócił do Rosji, Mieczysława Niedziałkowskiego, Mariana Kościalkowskiego i wielu innych, których nazwisk wówczas nie znałem.

Niezależnie od tej pracy dla podtrzymania ducha obok legalnie wydawanych pism: „Runi“ w Warszawie i „Głosu Młodych“ w Petersburgu, wydawano w Warszawie nielegalnie „Jutro“ i kolportowano „bibułę“ zza kordonu.

Między innymi i kol. Halina Chelmska zdecydowała się na przewiezienie większej partii bibuły. Nie zwierzając się przedtem nikomu udała się do ob. Gustawa i uzyskała od niego zezwolenie na wykonanie swego zamiaru. Przed wyjazdem jednak prosiła mnie o odwiezienie jej do Granicy (dziś stacja Maczki). W drodze przyznała mi się, dlaczego nie chciała jechać sama. Do Szczakowej udaliśmy się w przedziale II klasy. Droga do Trzebini upłynęła nam bez przygód, lecz tutaj do wagonu weszli jacyś pasażerowie, przybyli od strony Wiednia i rozmawiający między sobą po rosyjsku. Obojgu nam zrobiło się nieprzyjemnie, a koleżanka Halina, aby ukryć swe zmieszanie, wyszła na korytarz. Wpadło mi na myśl, aby odegrać rolę rozstających się narzeczonych i w ten sposób pokryć zmieszanie kol. Haliny. Z rozmowy z towarzyszami podróży wynikało, że jest to gubernator z Piotrkowa ze swoją żoną. Wykorzystałem tę wiadomość i w Szczakowej poprosiłem panią gubernatorową o opiekę nad „moją” narzeczoną. Pani gubernatorowa współczując naszej rozłące obiecała zaopiekować się koleżanką w dalszej drodze, pożegnałem się więc, pewny, że wszystko pójdzie dobrze. Nie przypuszczałem, że żandarmeria w Granicy może być uprzedzona przez szpiegów w Krakowie o przewożeniu „bibuły” i że koleżanka Halina jest już śledzona od Krakowa.

Toteż gdy nazajutrz rano obudziło mnie gwałtowne dobijanie się do drzwi, nie przypuszczałem, że to zwiastunka nieszczęścia kol. Wołkówna, która umyślnie wróciła z Granicy, aby nas ostrzec o aresztowaniu Haliny Chelmskiej. Zrobiło to na nas wszystkich duże wrażenie, bo choć strzelcy siedzieli już w więzieniach, po raz pierwszy jednak jedna z najczynniejszych koleżanek „Promienia” dostała się do więzienia.

Aby utrzymać z nią kontakt postanowiliśmy, aby któryś z kolegów Galicjan odgrywał dalej rolę „narzeczonego”, którą ja zapoczątkowałem w wagonie. Wybór padł na Ludwika Młynarskiego, pełniącego funkcje „redaktora odpowiedzialnego” „Naszej Pracy”, tak jak Ludwik Strojek był redaktorem „odpowiedzialnym” „Nurtu”. Wszędzie bowiem tego rodzaju funkcje musieli spełniać koledzy Galicjanie, bo nam jako „obcokrajowcom” nie wolno było ani wydawać czasopism, ani nawet zwoływać zebrań itd. A więc Ludwik Młynarski pisał teraz do Haliny Chelmskiej, a z otrzymanych odpowiedzi dowiadaliśmy się, co się z nią dzieje.

Wypadki jednak toczyły się szybko. Złożyłem pracę doktorską prof. Chrzanowskiemu i powinienem był „siadać do rygorozów”. Nie przerywałem jednak prac wojskowych, które mię coraz bardziej absorbowwały.

29 czerwca 1914 r. w straszliwie upalny dzień wracałem właśnie z sekcją instruktorską z ćwiczeń strzeleckich Oddziału miejsco-

wego w Toniach, kiedy na obszernej werandzie „Strzelca“ w Parku Krakowskim spostrzegłem grupę oficerów strzeleckich. Oddałem im wraz z całym oddziałem przepisowe honory, ale nikt mi nie odpowiedział. Wszyscy zaabsorbowani byli czytaniem dodatku nadzwyczajnego „Illustrowanego Kurjera Codziennego“ i na werandzie panował zgiełk i zamęt. Zaciekawiony tym dałem komendę: „rozejść się“ i pobiegłem dowiedzieć się, co się stało.

„Jak to? Nic nie wiecie jeszcze? — zawołano — w Serajewie zamordowano następcę tronu arcyks. Franciszka Ferdynanda. Będzie wojna! Najpierw z Serbią, a potem z Rosją!“

Dreszcz mię przeszedł, ale nie był to bynajmniej dreszcz trwogi! Wojna! Ileż grozy, ale zarazem i radości brzmiało dla nas w tym wyrazie! Od tylu lat wyczekiwana, spodziewana, upragniona wojna staje się rzeczywistością. „Wojna, wojna z Moskalami, w Polsce — wielkie święto!“

Płynęły jednak dni, a o wojnie nie było nic słyhać. W okresie „tajnej dyplomacji“, szły jakieś noty dyplomatyczne, odbywały się gdzieś za kulisami jakieś rokowania, ale szeroki ogół społeczeństwa nic o tym nie wiedział. Dzienniki nie notowały wtedy tego, co się działo za kulisami. Już zdawało się, że nasze marzenia znowu się rozwiewają, że znów ludzimy się, jak ludziliśmy się w roku 1912.

Rozpoczęły się wakacje, koleżanki i koledzy rozjeżdżali się do domów. Nie mając dokąd jechać po raz trzeci pozostałem w Krakowie. Dom akademicki opustoszał. Należało się brać do przygotowania do rygorozów, nie mogłem jednak znaleźć na to czasu. Cały dzień spędzałem w „Strzelcu“, nawet kolacje tam jadałem. Jeszcze ostatnie ćwiczenia pod Tyńcem. Ostatni przedwakacyjny wykład Herwina. Żegnał nas, nie przeczuwając że już nigdy nas nie powita. Zalecał studiowanie taktyki w czasie wakacji i pogłębianie wiadomości wojskowych. Ostatnie spacery na Błonia, na Panieńskie Skały, na Kopiec Kościuszki. Podczas tych spacerów zwróciło naszą uwagę jakieś gorączkowe szkolenie żołnierzy austriackich. A może to się nam tylko zdaje?

Ostatnia zabawa pożegnalna w „Strzelcu“, koleżanki się rozjeżdżają, a wśród nich śp. Wanda Karśnicka jedzie do Żytomierza, gdzie też w kilka lat później zginęła jako P. O. W-iaczka z ręki bolszewików.

W Krakowie zostało nas niewielu. Spędzaliśmy czas, jak kto mógł i umiał, czekając co czas przyniesie.

Wreszcie wśród ciszy wakacyjnej w ostatnich dniach lipca, jak grom z jasnego nieba uderzyła w nas wieść o ultimatum Austrii, skierowanym pod adresem Serbii. Było to przed wieczorem. Szedłem z Kazimierzem Sawickim i Januszem Wyszackim przez Rynek. Na wprost Pałacu Spiskiego spotkaliśmy posła Zygmunta Klemen-

siewicza, który nas o ultimatum zawiadomił. Poseł Klemensiewicz, jak cała zresztą ówczesna P. P. S. D. Galicji i Śląska, sceptycznie odnosił się do wojny. Mówił o zawieszeniu Konstytucji i o gwałtach żołdackich, o nędzy ekonomicznej, jaka spadnie na kraj, jednym słowem widział wszystko w czarnych barwach. My, młodzi, nie podzielaliśmy jego pesymizmu, co prawda nic nie mieliśmy do stracenia, wojny pragnęliśmy z całej duszy, na wszystko patrzyliśmy przez różowe okulary. Wesolo nam było na duszy!

Na mieście znać było wielkie poruszenie...

Senny zazwyczaj, zwłaszcza w czasie wakacyj, Kraków ożywił się nagle. Wieczorem ukazał się dodatek nadzwyczajny „Kurjera Codziennego“, podający wiadomość o przyjęciu ultimatum przez Serbię. Wiadomość ta zmartwiła nas szczerze, na szczęście jednak nie była prawdziwa.

Wobec tego we trzech z Sawickim i Wyszynackim przedefilowaliśmy przez planty wyśpiewując sobie: „Woinka, woinka to je pikna pani“!

Wojna wreszcie została Serbii wypowiedziana i na kilka dni w całej Europie zapanowała cisza, głęboka cisza przed burzą....

Ja tymczasem przygotowywałem się do wymarszu na „Szkołę letnią“ Strzelca, chcąc powetować sobie nieobecność na zeszłorocznej szkole w Stróży. Szkoła ta miała się odbywać, gdzieś w okolicach Dobczyc, ale wobec rozgrywających się wypadków nic nie było wiadome, czy się tam odbędzie.

W PRZEDEDNIU BURZY

29 lipca 1914 r. zameldowałem się w Komendzie Okręgowej „Strzelca“, mieszczącej się przy ulicy Siemiradzkiego, celem otrzymania przydziału na „Szkółę Letnią Związków Strzeleckich“. Otrzymałem rozkaz, aby nazajutrz stawić się w tymczasowych koszarach „Szkóły Letniej“ w Oleandrach. Szkoła nasza miała się wprawdzie odbywać w tym roku, jak wspomniałem wyżej, gdzieś w okolicach Dobczyc, wobec jednak niepewnej sytuacji politycznej odmarsz wstrzymano i tymczasowo kurs rozpoczął się w lokalu „Oleandrów“ w Krakowie.

Zlikwidowałem więc wszystkie moje sprawy „cywilne“, oddałem swój pokój w Domu Akademickim do dyspozycji zarządu, a rzeczy oddałem portierowi na przechowanie. Ubrałem się w nowy mundur strzelecki, okazjnie kupiony za 15 koron od krawca-drużyniaka, dostawcy mundurów dla Drużyn Strzeleckich, wziąłem plecak, zrolowałem koc i tak wyekwipowany pomaszzerowałem do Oleandrów.

Na ulicy Wolskiej (dziś Piłsudskiego) natknąłem się na prof. Jana Łosia, przed którym miałem właśnie składać rygorozum z języka polskiego. Prof. Łoś, zobaczywszy mnie, zatrzymał się i zagadnął o czekający mnie egzamin, ale widząc mnie w mundurze i pełnym ekwipunku przeszedł zaraz na tematy aktualne i ku memu wielkiemu zdziwieniu przekonałem się, że jest bardzo przychylnie usposobiony do ruchu strzeleckiego. Rozmowa ta dodała mi ducha, uważałem że sprawa nasza zaczyna robić ogromne postępy, jeśli już nawet profesorowie konserwatywnego Uniwersytetu Jagiellońskiego zaczynają rozumieć nasze idee „rewolucyjne“.

Pełen dobrych myśli zameldowałem się w Oleandrach. Ogółem było nas 120. Sformowano z nas 2 kompanie po 3 plutony, po 20 w każdym plutonie. Pierwszą kompanię objął ob. Zosik (śp. Stanisław Tessaro), drugą kolega mój z ławy szkolnej Belina (Władysław Prażmowski). Pomimo że jako członek „Niższej Szkoły Oficerskiej“ powinienem był być zaliczony do I plutonu 1. kompanii (pluton podoficerski), byłem zadowolony, że zaliczono mnie do plutonu „galicyjskiego“ 2. kompanii i będę ćwiczył pod Beliną.

W 1. kompanii prócz plutonu podoficerskiego były 2 plutony „królewiackie“, złożone ze strzelców przybyłych z Królestwa i Rosji. W naszej kompanii było prócz plutonu „galicyjskiego“, t. j. złożonego ze strzelców z b. Galicji, 2 plutony „etranżerskie“, t. j. złożone ze strzelców z zagranicy, przeważnie filaretów.

Ponieważ zameldowaliśmy się o godzinie 12, więc pierwsze popołudnie „na szkole“ upłynęło nam na zajęciach przygotowawczych i zainstalowaniu się „w koszarach“. Nazajutrz, 31 lipca, po rannym apelu rozpoczęliśmy ćwiczenia od musztry formalnej. Po południu miały być wykłady. Wobec jednak gorączkowych prac, związanych z mobilizacją strzelecką, wykładowcy nie mogli przyjść i znowu odbyły się tylko ćwiczenia na placu przykoszarowym. W czasie ćwiczeń otrzymałem rozkaz, aby stawić się do Komendy Głównej, świeżo przeniesionej ze Lwowa i zainstalowanej w lokalu Komendy Okręgowej przy ulicy Siemiradzkiego.

Wzruszony wielce wezwaniem do Komendy Głównej, przybyłem na ul. Siemiradzkiego i zameldowałem się u dyżurnego oficera ob. Grota (Leona Machonbauma). Ruch tam panował niesłychany. Co chwila rozbiegali się gońcy z rozkazami, to znów przybywali kurierzy z prowincji. Po dłuższej chwili oczekiwania wezwano mnie. Przyjął mnie Komendant Okręgu Krakowskiego ob. Ryszard (Mieczysław Trojanowski), który krótko mnie zapytał:

„Umiecie milczeć?“

„Rozkaz!“ — odpowiedziałem.

„Chcemy Was wziąć do pewnych prac w Komendzie Głównej, teraz możecie wrócić do koszar i oczekiwać wezwania“.

Wróciłem więc do koszar i — czekałem.

1 sierpnia rano znowu wezwano mnie do Komendy Głównej. Tym razem przyjął mnie ob. Gustaw (Walery Sławek).

Otrzymałem rozkaz: przebrać się w ubranie cywilne i pierwszym pociągiem wyjechać do Szczakowej. Zbadać sytuację na granicy rosyjskiej, sprawdzić czy prawdą jest, że Moskale wysadzili most kolejowy, spróbować przedostać się do Zagłębia, zbadać co się tam dzieje i natychmiast wracać. Pojedzie ze mną ob. Filip (Józef Szajewski), pochodzący z Dąbrowy Górniczej i znający miejscowe stosunki. Ob. Filip pozostanie w Zagłębiu, zmobilizuje miejscową organizację strzelecką i przygotuje przyjęcie strzelców.

W ten sposób dowiedziałem się o pierwotnym planie Komendanta Głównego — marszu w kierunku Zagłębia Dąbrowskiego.

Natychmiast udałem się do Domu Akademickiego, przebrałem się w ubranie cywilne i w godzinę byłem już na dworcu Krakowskim, gdzie mnie miał oczekiwać ob. Filip. Na dworcu panował ruch, jakiego nigdy nie widziałem w cichym, spokojnym, prawie śpiącym Krakowie. Co chwila przychodzą pociągi wprost przeładowane

żołnierzami i rezerwistami. Tysiące rezerwistów spieszą do swych pułków. Biletów do Szczakowej nie sprzedają. Można jedynie otrzymać bilet do Trzebini na pociąg idący w kierunku Wiednia. Przy tym żaden rozkład jazdy nie obowiązuje, trzeba czekać aż pociąg nadejdzie.

Wreszcie ładujemy się do jakiegoś przepełnionego pociągu i jedziemy do Trzebini. Tu mamy adres kolejarza-sympatyka, który nam dalszą drogę ma ułatwić. Z wielkim trudem odnajdujemy go, ale człowiek ten, który „w czasie pokoju“ był sympatykiem „Strzelca“, teraz stracił głowę i oświadcza nam kategorycznie, że ruch do Szczakowej wstrzymany i nic nam poradzić nie może. Szukamy więc na własną rękę możliwości dostania się do Szczakowej. W bufecie kolejowym zaznajamiamy się z kolejarzami, od których dowiadujemy się, że pójdzie pociąg służbowy do Szczakowej. Po kilku kieliszkach jesteśmy zaprzyjaźnieni już z tymi przypadkiem spotkanymi kolejarzami i przy ich pomocy dostajemy się do pociągu. Jedziemy i — po godzinie jesteśmy w Szczakowej.

Szczakowa robi wrażenie jakiegoś obozu wojennego. Na dworcu wyłącznie niemal wojskowi i żandarmi. Przekradamy się wraz z kolejarzami do bufetu i tu znowu przy kieliszku zwierzamy się jednemu z nich, który zrobił na nas najlepsze wrażenie, kim jesteśmy i prosimy o pomoc w przedostaniu się do Granicy. Kolejarz nasz zgodził się chętnie pod warunkiem, że nas wyprowadzi jedynie za stację, a dalej już sami się przemkniemy między patrolami, które strzegą granicy. Zgodziliśmy się i na to, i w towarzystwie kolejarza przechodzimy pewnie przez peron, a następnie przekradamy się za stację pomiędzy wagonami. Pod osłoną nocy, która w międzyczasie zapadła, mamy nadzieję przedostać się przez gęstą sieć patroli wojskowych i żandarmskich. Zetknąć się z jakimkolwiek patrolem nie możemy nie mając żadnych dokumentów. Stosunek „Strzelca“ do Austrii nie był jeszcze określony, więc nie możemy przyznać się, kim jesteśmy. Nasz kolejarz słysząc kroki patroli waha się, czy ma iść dalej. Posuwamy się niesłychanie powoli. Nie doszliśmy jeszcze do końca stacji, kiedy kolejarz nasz oświadcza, że dalej nie pójdzie. Nie mamy innego wyjścia — zostajemy sami i pod osłoną wagonów wydostajemy się za stację. Teraz nie mamy już żadnej osłony. Posuwamy się niemal bezszelestnie. Mimo to musiał nas usłyszeć jakiś podsluch ukryty w rowie. Nagle słyszymy:

„Halt! Wer da?“ Przypadamy do ziemi. Czekamy. Słysząc kroki patrolu. Świecą latarką elektryczną. Na szczęście nie dostrzegli nas. Przeszli. Idziemy dalej. Znowu słysząc odgłos kroków zbliżającego się patrolu. Sytuacja beznadziejna. Chowamy się

do rowu. Ob. Filip przypomina sobie, że w Szczakowej ma znajomego przemytnika, może on by nas za kilka koron przeprowadził. Decydujemy się wracać!

Na dworzec dostaliśmy się pod osłoną wagonów bez przygód. Wydostajemy się poza dworzec na ulicę. Ciepły sierpniowy wieczór. Latarnie jasno świecą. Na ulicy — tłumy. Grupy mężczyzn głośno omawiają wypadki ostatnich dni. Jakiś osobnik zbliża się do nas. Poznał, czego szukamy. Ob. Filip odchodzi z nim na bok i omawia kwestię przedostania się przez granicę. Przemytnik jednak żąda zbyt wiele na nasze kieszenie. Idziemy dalej — szukać znajomego Filipa. Nie pamięta on jednak adresu, nie chcemy pytać, gdzie mieszka. Wahanie nasze obserwuje jakiś osobnik w sokolskim mundurze. Nie podobamy mu się. Idzie za nami. Zastanawiamy się, jak się pozbyć niepożądanego towarzysza, kiedy mija nas patrol żandarmski.

„Skąd Panowie?“ —

„Z Krakowa“ — odpowiadamy.

„Proszę o legitymacje!“

Wyjmuję swoją legitymację akademicką. Filip nie ma żadnych dokumentów.

„Muszę Panów zatrzymać“ — mówi komendant patrolu.

„Dlaczego?“ — pytamy.

„To się Panowie później dowiedzą“.

Patrol odprowadza nas w stronę dworca. Za nami tłum gapiów z owym Sokołem na czele przyjmuje wobec nas nieprzychylną postawę.

Usiłuję wytłumaczyć żandarmowi, że nie ma żadnych podstaw do aresztowania nas. On jednak twierdzi, że to my nie mamy żadnych powodów do włóczenia się nad granicą w takich chwilach. W końcu decyduje, że o ile natychmiast wrócimy do Krakowa, to może nas zwolnić. Właśnie nadchodzi pociąg z Mysłowic, który ma odejść wprost do Krakowa. Żandarm kupuje nam bilety, odstawia nas do wagonu i pilnuje dopóki pociąg nie ruszył. Za chwilę jesteśmy wolni, ale zadania nie wypełniliśmy. Wywiad się nie udał. W wagonie dowiadujemy się, że Niemcy zajęli Sosnowiec. O północy dostajemy się do Krakowa i udajemy się do „Esplanady“ — gdzie można zawsze zastać kogoś z Komendy Głównej. Są wszyscy — odbywa się „zbratanie“ oficerów Związków i Drużyn Strzeleckich. Zdaję raport ob. Gustawowi i wracam do koszar. Jeszcze nie zdążyłem zasnąć na swojej pryczy, kiedy wszedł na salę komendant kompanii Belina, a za nim Komendant Główny, Szef Sztabu ob. Józef i Komendant Okręgu ob. Ryszard. Belina świeci latarką w oczy i budzi niektórych strzelców. Widzę jak wstają: ob. Janusz (Janusz Głuchowski) i Zdzisław (Antoni Jabłoński)

i wychodzą z Beliną. Nazajutrz nie ma ich i kilku innych w kompanii. Pojechali na słynny pierwszy patrol kawaleryjski — do Jędrzejowa.

Następnego dnia wyruszył do Zagłębia nowy patrol wywiadowczy, tym razem jednak przez Olkusz, nie przez Szczakową. Pojechał Andrzej (Kazimierz Sawicki), Pietrek (Piotr Górecki) i ponownie Filip (Józef Szajewski).

Przed południem wezwano nas wszystkich do sali wykładowej. Po chwili — wchodzi Komendant Główny. Widać, że jest bardzo zmęczony, znać troskę o przyszłość w przededniu ostatecznej decyzji. My wszyscy, pełni młodzieńczego entuzjazmu, spodziewamy się płomiennego wezwania do czynu, boć wojna już jakby się zaczęła. Tymczasem Komendant oblał nas strumieniem zimnej wody.

„Królestwo zawiodło“ — mówił — „żaden nawet najsłabszy odruch żywiołowy nigdzie nie nastąpił. Pójdziemy więc sami jako awangarda. Rzucimy iskrę, a może natrafimy na materiały palne. Musimy jednak być na wszystko przygotowani. Będę od Was dużo wymagał“...

My już byliśmy na wszystko przygotowani.

3 sierpnia zbiórka. Na placu Komendant z Szefem Sztabu. Szef z listy uczestników Szkoły Letniej wyczytuje pseudonimy strzelców i poleca im występować z szeregu.

Kolejno występują wszyscy strzelcy z Królestwa, z Rosji, z zagranicy... Zostaje tylko pluton podoficerski i nasz, galicyjski. Ja nie zostałem wyczytany, nie wiem czemu, ale mi przykro... Sirko (Wacław Sieroszewski) wyskakuje z szeregu i prosi, aby go też wzięto.

Podzielono nas na dwie grupy. Pierwsza, większa, ma stanowić zawiązek 1. kompanii kadrowej, druga, mniejsza, pozostaje jako kadra dalszych kompanii.

Tamci — szczęśliwcy! Dostają nowiutkie mundury, wprawdzie drelichowe, ale za to pełny ekwipunek, a co najważniejsze — nowiusieńkie Mannlichery, szczyt marzeń strzeleckich!

Po południu przemaszerował do naszych koszar oddział drużyniaków, złożony z uczestników Szkoły Letniej Drużyn w Nowym Sączu. Ustawiono ich naprzeciwko naszych. Naszych 70 i ich 70. Uformowano z nich kompanię złożoną ze 140 ludzi. Drużyniaków wyekwipowano tak samo jak Związkowców.

Kiedy kompania była już sformowana, Komendant przemówił do niej mniej więcej w te słowa: „Jesteście pierwszym zorganizowanym oddziałem wojska polskiego. Nie ma już związkowców, nie ma drużyniaków, wszyscy od dziś jesteście żołnierzami polskimi“. Słowa te wywarły olbrzymie wrażenie nie tylko na kadrow-

cach, ale i na nas wszystkich pozostałych i na nielicznej garstce osób cywilnych. Słysząc było płacz jakiejś matki, a poza tym w zupełnej ciszy na znak pojednania dwóch organizacyj Komendant odpiął swój orzełek strzelecki z czapki i zamienił go z komendantem oddziału drużyniaków, ob. Bukackim (Stanisławem Burhardtem) na jego „blachę“ drużyniacką. Za przykładem Komendanta to samo uczynili wszyscy pozostali „kadrowcy“. Potem Komendant mówił dalej: „Szarż na razie nie wyznaczam, każdy z was może zostać oficerem, każdy może z powrotem zejść do stopnia szeregowca, tymczasem wyznaczam spośród was starszych, którzy szlify oficerskie zdobywać będą musieli w polu“.

Czasowo komendę kompanii objął ob. Zbigniew (Tadeusz Kasprzycki), najmłodszy z oficerów Związku, komendant obwodu w Genewie, a plutony otrzymali: Herwin (Kazimierz Piątek), Krok (Henryk Paszkowski), Bukacki i Kruk (Jan Kruszewski). Po zorganizowaniu się kompania kadrowa zajęła nasze koszary, nas przeniesiono gdzie indziej.

Tymczasem mobilizacja strzelecka odbywała się sprawnie i szybko. Co chwila przeciągały przez miasto oddziały strzelców i drużyniaków, śpieszące na wezwanie mobilizacyjne. Od czasu do czasu zjawiały się również „zbuntowane“ oddziały sokołów i drużyn bartosзовych, które, nie mogąc doczekać się decyzji swoich władz naczelnych, na własną rękę ciągnęły na miejsce mobilizacji strzeleckiej.

Oficerowie strzeleccy przypasali szable i jawnie ukazali się na mieście z bronią. W kawiarniach krakowskich orkiestry bez przerwy grały pieśni strzeleckie i patriotyczne, choć co prawda przeplatane czasem hymnem austriackim „Boże wspieraj“, granym na żądanie c. i k. oficerów. Na ulicach Krakowa entuzjazm nieopisany, niepodobna go odtworzyć, trzeba było to przeżyć.

Nas, resztkę Szkoły Letniej, przeniesiono z Oleandrów do koszar zaimprovizowanych z lokalu Towarzystwa Emigracyjnego przy ul. Radziwiłłowskiej. Ćwiczenia już się nie odbywają. Wszyscy niecierpliwie oczekują wymarszu. Dochodzą nas słuchy, że Niemcy rozkwaterowali się na dobre w Zagłębiu i wobec tego zmieniony będzie nasz kierunek marszu. Austria zwleka z wypowiedzeniem wojny i uniemożliwia nam przekroczenie granicy.

Dopiero 5 sierpnia wojna nareszcie została wypowiedziana.

6 sierpnia rano wyruszyła kadrówka, a 7 rano zebrano nas wszystkich w Oleandrach.

Było nas dużo — chyba kilka tysięcy chłopów.

Chodzą słuchy, że w nocy odeszły już dwie nowe kompanie: ob. Zosika (St. Tessaro) i Scaevoli (Wacława Wieczorkiewicza) po 140 ludzi w każdej. Kompanie formują oficerowie Związków i Dru-

żyn, wyznaczeni przez Komendę Główną. Kompanię 1. formuje ob. Stanisław (Paweł Kittay) głównie z 1 kompanii robotniczej „Strzelca“ krakowskiego, 2. ob. Sawa (Stanisław Machowicz), 3. ob. Kazimierz (Czesław Jarnuszkiewicz), kto formuje 4., 6. i 7. nie pamiętam, 5. ob. Wicz, 8. ob. Narbutt (Jerzy Łuczyński), 9. ob. Wir (Alojzy Konas), 10. ob. Szaleniec (Jerzy Trojanowski), 11. ob. Bończa (Władysław Uzdowski), 12. ob. Sas (Julian Kulczycki), 13. ob. Rojan (Jerzy Śladky).

Wszystkich członków szkół oficerskich (wyższej z prawem noszenia „czerwonego“ sznurka i niższej z prawem noszenia „zielonego“) ustawiono osobno. Komendanci kompanii podchodzili kolejno i wybierali sobie spośród nas komendantów plutonów, podoficerów zafrontowych, komendantów sekcji.

Do mnie podszedł ob. Stanisław i proponuje mi objęcie plutonu w jego kompanii. Miał już dwóch dowódców w osobach ob. Koguta (Eugeniusza Wyrwińskiego) i ob. Mazura (Franciszka Sękary) i proponuje mi trzeci pluton. Z różnych względów nie miałem ochoty być w kompanii ob. Stanisława, nie chciałem jednak mu kategorycznie odmówić i dłuższy czas z nim rozmawiałem, dopóki sam nie zrezygnował ze swojej propozycji. Tymczasem wszyscy komendanci kompanii dobrali sobie już „plutonowych“. Teraz dobierano podoficerów zafrontowych. Uważałem tę funkcję, za niezupełnie liniową, boć podoficer za frontem był tylko zastępcą plutonowego, t. j. komendanta plutonu, a ja chciałem być dowódcą i otrzymać sekcję. Tę zaproponował mi ob. Włada (Felix Kwiatek) komendant I plutonu 11. kompanii. Jakkolwiek 11. kompania miała prawie całą obsadę lwowską, nie miałem już wyboru i dostałem się w nowe dla siebie środowisko, II pluton naszej kompanii miał ob. Stary (Eugeniusz Dobaczewski), III pluton ob. Orlicz (nazwiska nie pamiętam), który wkrótce zachorował i zniknął mi z oczu, IV pluton ob. Prot (Jan Berlinerblau). Podoficerem zafrontowym był ob. Kratowicz (Józef Blauer). W I plutonie sekcje mieli I — ob. Wendlicz, II — ja, III — ob. Jezierski, IV — ob. Tur (dr Stanisław Galos).

Moja sekcja złożona była w większości z sokołów z Nowego Miasta pod Przemyślem. Po zorganizowaniu się kompanii po raz pierwszy „za przepustką“ wyszedłem na miasto, aby po raz ostatni zobaczyć — Kraków.

Kiedy wróciłem do koszar, bo tę ostatnią noc biwakowaliśmy w Oleandrach pod gołym niebem, zastałem wielką radość na biwaku z powodu powrotu ob. Wyrwy, komendanta batalionu „Strzelca“ krakowskiego, który zdołał wydostać się z wojska austriackiego.

Niestety nie wszystkim strzelcom — Galicjanom udało się wyreklamować z wojska austriackiego, a szczególnie żałowano

Kordiana (Bogusław Kunca), jednego z najpopularniejszych strzelców krakowskich.

Chodząc po biwaku natknąłem się na oddział strzelców, przybyły ze Skawiny. Sądziłem, że wśród nich znajdę mego brata, Mieczysława, który jako słuchacz Politechniki Lwowskiej odbywał właśnie praktykę przy budowie kanałów galicyjskich u inż. Andrzeja Galicy. Inż. Galica był komendantem obwodu „Strzelca“ w Skawinie i brata mego wyznaczył na swego zastępcę. Tymczasem proboszcz miejscowy, bardzo energicznie zwalczający „Strzelca“, skorzystał z tego, że brat mój jest królewakiem i zademonstrował go żandarmerii austriackiej. Ta najgłupsza w świecie żandarmeria zrobiła u brata — rewizję, a znalazłszy plany kanałów, nad którymi pracował, aresztowała go pod zarzutem... szpiegostwa. Była to pierwsza fala dzikich orgii żandarmerii austriackiej, aresztującej zupełnie niewinnych ludzi, których więziła, a często posyłała na śmierć.

Znalazłem się w niezwykle trudnej sytuacji.

Za kilka godzin mamy wyruszyć, a tu trzeba ratować brata, którego mogą lada dzień powiesić. Dostałem ponownie przepustkę i wybiegłem na miasto, aby zwyczajem galicyjskim znaleźć kogoś z posłów, którzy jedni mogli coś wskórać u władz austriackich.

Znałem osobiście obu socjalistycznych posłów krakowskich: Ignacego Daszyńskiego i śp. Zygmunta Marka. Żadnego z nich nie zastałem w domu. Biegałem więc po kawiarniach, ale ich nie znalazłem. Ponieważ musiałem wracać, więc poprosiłem spotkane koleżanki z Promienia, śp. Wandę Kaschnitzównę i Czesławę Wojeńską, aby zechciały zająć się sprawą mego brata i częściowo uspokojony, wróciłem na biwak. Spać jednak nie mogłem, zwłaszcza, że nie mieliśmy ani płacht namiotowych, ani słomy, a ziemia była wilgotna. Zmarznięty przeczekałem do 2, kiedy zagrano pobudkę.

Menażka ciepłej kawy znakomicie robi po nieprzespanej nocy na biwaku. Powoli — zbierają się kompanię, wyciągają w kolumnę czwórkową, by za chwilę ustawić się na Błoniach w masie! O. Kosma Lenczewski, późniejszy kapelan I Brygady, przemówił do nas: Padła komenda: „Czapki zdejm“ i po odśpiewaniu „Boże coś Polskę“ ruszyliśmy znowu długą kolumną, odprowadzani przez Błonia przez nieliczną garstkę krewnych i znajomych.

Brzydki, pochmurny dzień wstał 8 sierpnia, kiedyśmy z pieśnią „Hej strzelcy wraz“ maszerowali pod Kopcem Kościuszki przez Zwierzyniec za rogatkę Bielańską. „Dokąd idziemy?“ tukało nam się po głowie. Czemu nie idziemy ku granicy? Gdzie broń, której dotąd nie mamy? Te myśli gnębiły nas wszystkich, ale nikt z nas nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć. Tymczasem miarowe kroki

blisko dwutysięcznej kolumny budzą uśpione przedmieście. W oknach ukazują się głowy niewieście i dziecięce, uśmiechnięte, wesole, boć patrzą po tylu latach na wojsko polskie, na polskich żołnierzy. A my maszerujemy szosą na Liszki, jak tyle razy maszerowaliśmy dawniej na ćwiczenia. Nie mamy jeszcze wrażenia wojny, nie zdajemy sobie sprawy, co nas czeka, nie myślimy o tym, że wielu z nas już nigdy nie wróci, nie zdajemy sobie sprawy z tego, że czeka nas nie tylko głód i chłód fizyczny, że walczyć będziemy nie tylko z wrogiem, ale i z robactwem, że przejdziemy ciężkie chwile doświadczeń i chłodu... społeczeństwa polskiego, dla którego chcemy walczyć o wolność. W wyobraźni widzimy milionowe rzesze żołnierzy polskich, stojących na rozkaz Komendanta i nie możemy zrozumieć Polaka, któryby w takiej chwili został w domu, lub szedł służyć najeźdźcy. Maszerujemy z humorem, wesoło, ochoczo, z uczuciem beztroski, która zawsze dominowała później w Legionach i pozwalała przetrwać najcięższe chwile. Nauka Komendanta, że na wojnie przede wszystkim decyduje „morale” żołnierza żywo stała nam zawsze w pamięci. Toteż poszczególni strzelcy prześcigali się w dowcipach, humorze i facecjach.

Dzięki temu nie czuliśmy zmęczenia w marszu i w „dobrej formie” stanęliśmy przed wieczorem w Czernichowie. Zakwaterowano nas w gmachu Szkoły Rolniczej. Po kolacji wymykamy się na miasto, aby się coś dowiedzieć od znajomych oficerów.

Nazajutrz 9 sierpnia spędzamy na postoju w Czernichowie. Kilka kompanii odmaszerowało po broń do Zatora, gdzie jakimś sposobem Komendant uzyskał broń od Austriaków.

Komendant w chwili wymarszu nie miał jeszcze żadnego układu z Austrią i mieć go nie chciał. Kadrówka wyekwipowana została w karabiny, zakupione przez Polski Skarb Wojskowy. Dla reszty jednak nie starczyło. Toteż Komendant zażądał broni od Austriaków, którą musieliśmy zdobyć. I dostaliśmy ją. Wprawdzie były to stare, jednostrzałowe karabiny Werndlowskie, ale zawsze karabiny. One to posłużyły Rosjanom za pretekst do nieuznania nas za kombatanów, gdyż pociski ołowiane bez płaszczy stalowych działały, rzekomo, jak kule dum-dum.

Dostaliśmy jednak wszyscy karabiny i po 120 ładunków. Karabiny były bez pasów i trzeba je było ze sznurka zaimprovizować; ładownic nie było, więc trzeba było ładunkami wypychać sobie plecak i kieszenie, w których wielkie ciężkie ładunki robiły dziury. W dodatku nie wszyscy mieli mundury i niektórzy maszerowali w cywilnych ubraniach, długich spodniach i bucikach spacerowych, nie nadających się do dłuższego marszu. Ale humor był, bo mieliśmy nareszcie broń!

10 sierpnia raniutko ruszamy dalej. Dumni z posiadanej broni, maszerujemy wesoło, zwłaszcza że kierujemy się już na północ na Krzeszowice. Dzień ten był dniem naszego marszu tryumfalnego. Chłopi krakowscy wiedzieli, kim jesteśmy i po co idziemy. Toteż każda wioska na wieść o zbliżającej się kolumnie gromadnie wybiegała na powitanie. Wynoszono chleb, mleko, wodę i za zaszczyt poczytywano sobie, jeśli strzelec nie odmówił przyjęcia daru. W którejś wsi wybudowano wielką bramę tryumfalną. W innej hoża dziewczyna śmieje się do nas serdecznie, a gdy ujrzała koniec kolumny, załżała się łzami. Tam znowu tęgi parobczak patrzy, patrzy, oczymu na wierzch wylaża, aż w końcu „nie strzymał“, skoczył na koniec którejś kompanii i bez pożegnania nawet ze swoimi maszeruje z nami.

Krakowskie to chyba najbardziej patriotycznie usposobiony zakątek ziem polskich, który ani chwili nie wahał się z kim i przeciw komu iść należy.

Przed nocą jesteśmy w Krzeszowicach. Zakwaterowano nas w olbrzymiej ujeżdżalni hr. Potockich. Część, która nie zdołała się pomieścić, biwakuje obok. Wesoło płoną ogniska, przy których tworzą się grupki dowcipkujących i śpiewających do późnej nocy. A najweselszy jest w 9. kompanii, gdzie śp. ob. Król (Stanisław Kaszubski) rej wodzi intonując coraz to nowe piosenki.

Nazajutrz o świcie — zbiórka na dużej łące, obok toru kolejowego. Co chwila przebiegają pociągi umajone zielenią i chorągiewkami o barwach austriackich, węgierskich i polskich. Przejeżdżający żołnierze witają nas okrzykami: „Hoch“, „Eljen“, „Zivjo“, „Wiwat“. Wszystko w kierunku Lwowa! Idą transporty koncentracyjne, które za kilka dni utworzą armię, maszerującą w kierunku Lublina.

Upał panuje szalony. Niektórzy mdleją. Wreszcie — zbiórka. Apel. Uzupełnienie ekwipunku. A my czekamy cierpliwie odmarszu. Czekanie to najcięższa rzecz w wojsku, a jednak $\frac{3}{4}$ czasu marnuje się na czekanie. A czekać w dwurzędzie na placu zbiórki to chyba najcięższe. Z prawdziwą ulgą dowiadujemy się, że dla nas ekwipunku zabrakło i możemy się rozejść. Kto ma pieniądze, może iść na miasto (po raz ostatni w Galicji), kupić sobie na wojnę, co uważa za potrzebne.

O zmroku zbiórka. Na pół-cywilie z karabinami na postronkach, z plecakami, wypchanymi niemiłosiernie, ruszamy z Krzeszowic po raz pierwszy — marszem ubezpieczonym!

Marsz po upalnym dniu, spędzonym na zbiórce, sam przez się jest bardzo ciężki, marsz ubezpieczony, gdy co pięć minut się staje, męczy podwójnie. Toteż posuwając się powoli ku Paczółtowicom po raz pierwszy odczuwamy śmiertelne znużenie. W ciem-

ności nocy posuwająca się kolumna wygląda jak szereg duchów. Rozmawiać, śpiewać, palić nie wolno. Trzeba tłumić szcęk karabinów. Dokoła las. Krok za krokiem posuwamy się naprzód. Nagle — czyżby granica? Nie, to tylko drogowskaz. Jeszcze jesteśmy w Galicji, a ściślej biorąc na terenie Wielkiego Księstwa Krakowskiego. Jako sekcyjny I plutonu maszeruję z Wendliczem na czele kolumny. Przede mną o kilka kroków kompanijny Bończa z plutonowym Władą. Przed nami — 10. kompania. Na końcu maszeruje patrol sanitarny, a w jego składzie koleżanka moja z „Promienia“ — Stefa Fedkowiczówna.

Ciemny las dokoła. Po upalnym dniu chłód nocy sierpniowej dolega straszliwie. Posuwamy się żółtym krokiem. Co kilka kroków ciche: „Stać“!

Jestem wyczerpany do ostatnich granic. Czuję, że ledwie trzymam się na nogach. Nagle ktoś wciska mi do ust manierkę. Kilka kropel koniaku przywraca mi siły. To Stefa, widząc co się ze mną dzieje, wykonuje swój obowiązek sanitarny. Las się kończy, od pół wiatr przynosi aromat ziół i traw, aż nasza kamienista droga, wznosząc się po wzgórzach, doprowadza wreszcie do jakiegoś mostku czy kładki. Od czoła kolumny komenda „Stóóój“, „Bagnet na broń“, „Dwójki w tył“, „Szereg w tył“ i... pojedynczo, szeregiem, jak cienie przesuwamy się przez kładkę, przerzuconą przez..... granicę.

Ta wąska kładka to symbol rozdarcia żywego ciała Polski na trzy zabory, to symbol rozdarcia ducha narodu, który nie umiał w tej chwili „osobliwej“ zdobyć się na jednolity, solidarny wysiłek celem odzyskania niepodległości.

Tuż za kładką — słup z dwugłowym orłem. To granica! Każdy z nas po kolei, pomimo zmęczenia, ostatnim wysiłkiem czuje się w obowiązku słup ów kopnąć, wałnąć kolbą, podważyć, aż nie zdołał się oprzeć sile uderzeń tysięcy strzelców i — runął, by już nigdy więcej nie powstać.

„Polska jest teraz wszędzie tam, gdzie stąpnął nogą żołnierz polski, żołnierz niewolnego narodu“.

Toteż my braliśmy 12 sierpnia przed świtem w posiadanie tę ziemię umęczonego narodu w tym przekonaniu, że gdziekolwiek staniemy, tam Polska wstaje! tam Polska niepodległa już jest i nigdy już swej niepodległości stracić nie może!

W chłodną noc sierpniową wkraczaliśmy na ziemię zaboru rosyjskiego z drżeniem w sercu, jak ta umęczona ziemia nas przyjmuje, czy zrozumie, czy odczuje, czy będzie współdziałać w dziele wyzwolenia jej od hańby niewoli i upodlenia. Czuliśmy się po raz pierwszy na wojnie, czuliśmy, że wkraczamy na drogę, z której

nie ma powrotu, że czeka nas teraz jedynie — śmierć lub zwycięstwo!

Ja po trzech latach wygnania wracałem do swej „ściślej-szej“ Ojczyzny już nie jako dezterter z wojska rosyjskiego, ale jako żołnierz polski z karabinem w rękę, który tylko śmierć odebrać mi może.

Wojna się zaczęła!

WOJNA

(Marsz na Kielce)

Przekroczywszy granicę posuwamy się powoli z bagnetem na broni. Wszak lada chwila możemy natknąć się na nieprzyjaciela. Ścieżka wśród łąk prowadzi nad potokiem. Nic nie przerywa ciszy nocnej prócz szumu wód, bo kroki nasze tłumi posadzka trawników. Każdy z nas stara się, by żaden szczeńk broni nie obudził czujności ewentualnie czającego się gdzieś w ciemności nieprzyjaciela. Mija godzina 2 i coś prześwituje na wschodzie, gdy z ciemności wyłania się sylwetka wsi. To — Raclawice, wprawdzie nie Kościuszkowskie, ale wieś o tej samej nazwie, co wydaje mi się dobrą wróżbą na przyszłość. Zimno przenika do szpiku kości, kiszki marsza grają, od rana nie mieliśmy nic w ustach, bo obiad miał być po przekroczeniu granicy, a wobec opóźnionego wymarszu wypadnie dopiero rano. Robi się coraz jaśniej. Świta i w blasku zorzy porannej widzimy kontury budynku rosyjskiej straży pogranicznej. Jakiś żołnierz stoi na warcie. Ściskamy karabiny, ale zaraz rozpoznajemy w nim austriackiego „landsturmiste“. Idące przodem kompanie już rozłożyły się na biwaku. To tu, to tam rozpalają ogniska, mile kuszące zziębnięte członki. Z radością obserwujemy, jak w wielkich kotłach gotuje się obiad. Nie mieliśmy kuchni polowych, więc jadący przodem kucharze musieli rozpalać ogniska i rozpoczynać gotowanie w chwili, gdy czoło kolumny przymaszewowywało na kwaterę. Zaglądam do kotła, gotuje się drobna żółta kasza jaglana.

Rozkładamy się na biwaku. Od wymarszu z Krakowa pierwsza to noc pod gołym niebem. Płaszczy nie mamy. Zimno. Owijam się w koc i czekam na upragniony posiłek. Kotłów niestety jest mało, toteż kto pierwszy się dostanie ten zje, dla reszty może zabraknąć. Tak się też stało i dzisiaj. Zanim przyszła kolej na naszą 11. kompanię — kaszy zabrakło. Trudno, na wojnie jak na wojnie. Owijam się w koc i śmiertelnie znużony — zasypiam.

Po kilku godzinach spoczynku — pobudka. Zrywam się i po umyciu się w potoku biegnę do wsi, aby coś znaleźć do zjedzenia.

Szukam na próżno. Nigdzie nic nie ma, choć jeszcze „Moskale nie zabrali“. W jednej z ostatnich chałup dostałem dzbanek kwaśnego mleka. Płacę koronami, nieufnie oglądanymi przez gospodarza.

Usiłuję nawiązać rozmowę. Pytam: „Wiecie kto my jesteśmy? Czemu się nas boicie. My nie Austriacy, my w większości wasi, tutejsi“. Ośmieliłem babę.

A Pan skąd? — pyta.

Z Warszawy, z Królestwa, z „tutejszej“ Polski.

Baba z powątpiewaniem kręci głową. Widzę, że nie wierzy.

— „Czytać umiecie?“

— „Ih, skądby, była kiedyś w roku 1905 szkoła, ale zaraz po rewolucji zamknęli“.

Cóż żądać od analfabetów? Wychodzę i natrafiam na sklepik wiejski. Kupuję sobie 10 sztuk papierosów „Cabinet“ — „rosyjskich“, których od 3 lat nie paliłem, i wracam do kompanii.

Widzę, że na śniadanie gotuje się znowu ta sama kasza jagłana. Oczekujemy więc na to śniadanie...

Wtem wpada z krzykiem baba, że jej gęś zabrali. Okazuje się, że korzystając z mojej nieobecności jeden z żołnierzy z mojej sekcji „zarekwirował“ gęś, a nawet zdołał już ją wypaproszyć. Oburzam się, zwymyślałem go i przedstawiam go do raportu komendanta plutonu. Włada wyśmiał mnie jednak. Wszak to wojna, żołnierz głodny musi rekwirować. Rekwizycja to nie kradzież! Nie mogłem się zgodzić z tą opinią mego bezpośredniego przełożonego i odwołuję się do raportu komendanta kompanii. Idziemy do Bończy. Komendant kompanii wysłuchał Władę, wysłuchał mnie, uśmiecha się przy tym pierwszym raporcie i decyduje: „Rekwirować na własną rękę nie wolno. Tym razem jednak, ze względu na to że kompania nie dostała obiadu, trzeba być wyrozumiałym, zwłaszcza, że gęś już wypaproszona. Babie się nic złego nie stanie, jeśli gęś ofiaruje głodnym strzelcom“.

Nie byłem zachwycony tą decyzją, uważałem, że musimy dbać o dobre imię strzelców, zwłaszcza bezpośrednio po przekroczeniu granicy. Nie mogłem zrozumieć subtelnej różnicy pomiędzy rekwizycją wojskową, a zwykłą grabieżą. Ale rozkaz — to rozkaz!

Wracam do swej sekcji i czekam na kaszę. Wtem — alarm. Zbiórka! Kotły pakować! I oto widzę, jak wylewają niedogotowaną kaszę ku rozpaczycy tych żołnierzy, którzy żywności we wsi nie znaleźli, a od 24 godzin nic w ustach nie mieli.

Maszerujemy przez wieś w skwarne przedpołudnie. Wieś jakby wymarła. Drzwi i okiennice szczelnie pozamykane, na drodze ani żywej duszy. Tak wita nas pierwsza wieś w Królestwie!

Za wsią na obszernej łące ustawiają się kompanie w masie. Przed frontem na koniu dowódca całości ob. Ryszard donośnym

głosem odczytuje pierwszy rozkaz pułkowy. W rozkazie tym podano „artykuły wojenne“. Ucieszyłem się, gdy usłyszałem, że grabież i rabunek będą ostro karane, aż do kary śmierci włącznie. Po rozkazie odczytano odezwę Rządu Narodowego. Słowa te elektryzują nas. Magiczne słowa, które w roku 1863 cudów dokonywały. A więc jest — Rząd Narodowy i jest Wódz Naczelny — Komendant sił zbrojnych polskich — Józef Piłsudski!

Mieliśmy niegdyś wojsko, mieliśmy broń i ekwipunek, nie było wodza, któryby umiał osiągnąć zwycięstwo. Dziś nam brak wszystkiego, ale mamy Wodza, który nas do zwycięstwa poprowadzi!

Jednocześnie rozchodzą się wieści, jak się później okazało — fałszywe, o bitwie pod Miechowem. Mówiono, że kompanie kadrowe miały stoczyć walkę, rozbiły podobno batalion rosyjski, ale poniosły ciężkie straty. Wśród zabitych miał być pono Herwin.

Herwina znałem dobrze. Kazimierz Piątek („Herwin“) był dawnym członkiem „Promienia“. Jako oficer rezerwowego austriackiego po powrocie z wojska i zapisaniu się na uniwersytet wszedł do „Promienia“ (był przedtem członkiem P. P. S. D. Galicji i Śląska) a zaraz potem do „Strzelca“, gdzie też szybko się wybił na jedno z czołowych stanowisk. Był to człowiek o żelaznej woli. Mając bardzo skromne środki materialne jadał raz na dzień. Podziwiałem go nieraz, jak na ćwiczeniach strzeleckich maszerował bez zmęczenia, nigdy nie tracił humoru, nigdy nie był przygnębiony ani zmęczony. Skąd miał tyle sił, gdy żył dosłownie chlebem i wodą? A choć od siebie wymagał niezmiernie wiele, dla innych był zawsze wyrozumiały, koleżeński, gotów zawsze podzielić się ostatnim kęsem chleba. Poznałem go za pośrednictwem jego przyjaciela, Ludwika Strojka, który wprost słów znaleźć nie mógł, gdy o nim mówił, a ja gdy poznałem Herwina — całkowicie jego zdanie podzieliłem. Toteż wiadomość o jego śmierci, tym razem fałszywa, bardzo mię przygnębiła.

Tymczasem pułk nasz rozwinął się w długą kolumnę marszową. Idziemy cudną drogą wśród wąwozów i lasów w kierunku na Skagę. Idziemy, pewni że za chwilę zza zrębu skalnego może wyłonić się jakiś patrol moskiewski, na którym będziemy mogli wyrzucić zemstę za śmierć tych, co polegli pod Miechowem. Jest nas — kupa chłopów. Chociaż batalion Wyrwy odłączył się od nas i pomaszerował gdzieś przodem, ale w Krzeszowicach otrzymaliśmy uzupełnienie przez wcielenie do nas 2 czy 3 oddziałów strzelców podhalańskich i jest nas pełne 3 bataliony, a spotkać możemy co najwyżej patrole, czy podjazdy, gdyż straż pograniczna wycofała się w głąb kraju.

Maszerujemy doliną Prądnika wśród skał Ojcowskich, które widzę po raz pierwszy w życiu. Nic nie zakłóca pogodnego sierpnio-

wego wieczoru, prócz miarowego kroku czwórek, maszerujących przed nami i za nami. Po kilku godzinach marszu docieramy wreszcie do Pieskowej Skały.

Po prawie nieprzespanej nocy, po długim męczącym marszu prawie naczczo, bo o rannym kwaśnym mleku z kawałkiem czarnego chleba oddawna zapomniałem, czuję się znowu śmiertelnie znużony. Droga — straszna. Wyrwy i wyboje kaleczą nogi. W wyobraźni naszej zdaje nam się, że to Moskale uciekając umyślnie drogi nam popsuli. Toteż nawet cuda otaczającej nas natury nie mogą zrównoważyć straszliwego zmęczenia. Księżyc wzeszedł i oświeca nam wyboje drogi. Zza skał słychać głos sowy. W jakiejś wyrwie drogi ugrzęzła bryczka i wydostać się nie może. „Daleko do Skały?” — pytam.

„Jeszcze 7 wiorst” — słyszę okropną odpowiedź.

Droga dłuży się nam w nieskończoność. Niedoświadczony żołnierz nie przywykł do tak forsownych marszów. Coraz bardziej rozluźniają się szeregi, coraz więcej rozciągają się plutony i kompanie. Kolumna wydłuża się w nieskończoność. Coraz częściej ktoś wali się z nóg, ktoś pada, ktoś zostaje w rowie. Sanitariusze na końcu kompanii mają dużo roboty. Przejścia przez mostki i kładki nad strumieniami jeszcze bardziej rozluźniają kolumnę. W końcu zniknęła nam z oczu idąca przodem 10. kompania, został gdzieś w tyle II pluton i maszerujemy sami. Nasz pluton z komendantem kompanii — w zmniejszonym składzie. Księżyc zaszedł. Jest nas chyba z 20. Ciemno, co chwila potykamy się o kamienie, plecak ciąży straszliwie. Czuję, że lada chwila i ja powiększę liczbę maruderów, jedynie ambicja sekcynego dodaje mi sił. Widząc w jakim stanie się znajduję, kompanijny Bończa zdejmuje mi plecak i sam bierze go na plecy. Coraz więcej spotykamy maruderów z idących przodem kompanii, którzy zostają na szosie, bo sanitariusze nadszperzyć nie mogą z ich zbieraniem. Wreszcie z ciemności wyłania się jakieś światełko. To Skała!

Jest już północ. Mimo to na rynku tłum ciekawych obserwuje przemarsz „obcego” wojska. „Nasi” — odeszli. Tych „obcych” nikt nie wita, nikt nie pozdrawia. Ciekawy tłum — patrzy i milczy. Nikt nie wyniesie szklanki wody, nikt nie poda kromki chleba. To już nie Krakowskie, nie polska Galicja, to Rosja, zaludniona szczepem mówiącym po polsku, ale czującym po rosyjsku!

Od rana nie mieliśmy nic w ustach, kilkunastogodzinny marsz wyczerpał wszystkie nasze siły, ale wszystko to nic wobec uczucia, jakie wzbudziło w nas to wrogie milczenie mieszkańców Skały, którzy 13 sierpnia 1914 roku wylegli na Rynek ze swym proboszczem na czele, aby zupełnie obojętnie przyglądać się szaleńcom, których nikt nie wołał!

W tym momencie przypomniały mi się słowa Żeromskiego z „Róży” — „Niewola idzie przez miasta, niewola idzie przez siola. Szlak wasz szalejem obrasta. Nikt was nie woła!” I po co, dla kogo głosić to „wariackie” hasło Polski Niepodległej? Naród widocznie pogodził się już z niewolą, przyzwyczaił się do obroży, nie chce rozrywać ran, które już się pokryły błoną podłości! I to ta Kielecczyzna, która w 1863 roku tak długo opierała się Moskalom! I ten „potomek” ks. Ściegiennego, który w imię chrześcijańskiej zasady miłości bliźniego nawet wody dla żołnierzy nie każe przynieść swoim parafianom.

Pod wpływem takiego przyjęcia rodziły się w nas myśli, które później znalazły wyraz w hymnie Pierwszej Brygady.

My, Pierwsza Brygada, odcinamy się od Was wszystkich, niewolnicy, nie chcemy od Was żadnego uznania, ni waszych łez, ni waszych kies. Rzuciliśmy na stos swój życia los, a może śmierć nasza obudzi wreszcie sumienie narodu!

Najcięższym chyba przeżyciem wojennym było dla mnie to powitanie żołnierzy polskich przez pierwsze w Królestwie miasteczko. Pocieszałem się myślą, że to zapadła prowincja i że ci na pół analfabeci Skąły wraz ze swym plebanem nie reprezentują przecież opinii Królestwa. Idziemy do Warszawy! Stolica, gdy posłyszysz głos „od krakowskiego gościńca” odezwie się, chwyci swój „złoty róg”, dosiędzie koni...

Nie wiedziałem jeszcze, że w tym czasie Warszawa obsypywała kozaków kwiatami... Stojąc na rynku Skąły myślałem tylko, aby jak najprędzej stąd wymaszerować. W tym momencie nadchodzi rozkaz do naszego batalionu: „Natychmiast siadać sekcjami na przygotowane podwozy i w drogę do Miechowa!” Setki podwód przygotowano za miastem. Siadamy. Żołnierze moi kładą się pokotem na wozie i momentalnie zasypiają kamiennym snem. Ja siadam koło woźnicy i usiłuję czuwać. Nie mogę zapanować nad sobą i mimo wybojów drogi powieki odmawiają mi posłuszeństwa. Zdrzemnąłem się na siedzący.

Nagle — budzą mnie dźwięki orkiestry. Słyszę najwyraźniej — „Jeszcze Polska nie zginęła!” Co to? Przejeżdżamy przez wieś. Tłum chłopów wita nas okrzykami. Czy to sen? W Królestwie witają nas tak jak tam w Krakowskim? Formalna owacja! Kapela wiejska rżnie „Marsz, marsz Dąbrowski z ziemi włoskiej do Polski!” A obok — 19 chłopców wiejskich w dwurzędzie — woła: „Niech żyją strzelcy!” Przecieram oczy. To Iwanowice. Tajny „Związek Strzelecki” ujawnił się dzisiaj i chłopcy zmobilizowani przyłączają się do nas. Siadają na wozy i jadą z nami. Po grobowym milczeniu Raclawic i Skąły ta demonstracja Iwanowic dodaje nam wszystkim otuchy. A więc nie wszystko w Kró-

lestwie skarłało i spodłało. Trzy lata nie byłem już w swej „ściślejszej“ Ojczyźnie. Przed trzema laty, gdy byłem w czasie wakacyj w Warszawie, Łodzi, Sosnowcu, spotkałem kolegów z organizacji postępowo-niepodległościowej, którzy mię zapewniali, że nie tylko tam „zagranicą“ rozwija się ruch niepodległościowy, że i w Królestwie po odrętwieniu porewolucyjnym ruch się budzi, że młodzież robotnicza i chłopska garnie się pod sztandary niepodległościowe. Teraz miałem dowód, że tak jest istotnie, że tam gdzie dotarła „dobra nowina“, trafiła na grunt podatny.

Żałowałem, że nie możemy zatrzymać się w Iwanowicach. Musimy śpieszyć, gdzie nas rozkaz woła. Spać już nie mogłem, mimo że po wjechaniu na znakomitą szosę krakowską, wyboje pozostały za nami i szybko zbliżaliśmy się do Słomnik.

Widno było zupełnie, gdy zatrzymaliśmy się na Rynku w Słomnikach. Wszędzie warty austriackie. Pomimo nocy otwarta piekarnia, a milicja miejska z białymi opaskami na rękawach każe otworzyć i restaurację. Wykorzystujemy postój półgodzinny i posilamy się, gdzie i jak kto może. Po chwili ruszamy dalej, by już bez przygód około 6 rano stanąć w Miechowie.

I tu pełno już Austriaków. Ale prócz formacyj etapowych widać już oddziały liniowe — dragonów i artylerię. Na rynku spotykam mego kolegę uniwersyteckiego Józefa Serugę, zarzewiaka i drużyniaka, powołanego do wojska austriackiego. Jest kadetem — aspirantem w oddziale telefonicznym i mówi mi, że Austriacy za chwilę wyruszają w kierunku Pińczowa, my podobno mamy uzupełnić wyekwipowanie i maszerujemy na Jędrzejów. Nasze kompanie kadrowe pod Śmigłym już są podobno pod Chęciny. Żadnej bitwy pod Miechowem nie było. Herwin żyje! Wszystko to były plotki, puszczane przez krakowską „Nową Reformę“.

My wyładowujemy się na Rynku. Zbiórka. Maszerujemy do prowizorycznych koszar, mieszczących się w budynku po rosyjskim monopolu spirytusowym. Znajdujemy się znowu w ciepłej atmosferze dawnych strzeleckich czasów. Pełno tu „obywatelek“ z krakowskiego „Strzelca“ z kol. Bronisławą Kozłowską na czele. Jedne kierują „kuchnią etapową“, inne są sanitariuszkami w prowizorycznym szpitalu etapowym, inne wreszcie kierują warsztatami krawieckimi, szyją bieliznę, mundury. Witamy się serdecznie, pytamy o nowiny. Bierzymy przygotowane już dla nas śniadanie i rozkosznie wyciągamy się na świeżej słomie w nadziei, że otrzymamy zasłużony wypoczynek. Znajdujemy się na głównym szlaku etapowym Kraków—Chęciny, więc wszystkie nasze troski materialne — skończyły się.

Toteż wkrótce słyhać tylko chrapanie dokoła. W południe — pobudka. Obiad znakomity. Niestety, każą się śpieszyć. Zbiórka! Batalion maszeruje dalej. Wprawdzie pogłoski o bitwie pod Miechowem okazały się fałszywe, ale kompanie kadrowe pod Śmigłym i batalion Wyrwy biją się gdzieś za Jędrzejowem i my śpieszymy na pomoc. Po znakomitym obiedzie, złożonym z rosółu oraz sztuki mięsa i kartofli, odświeżeni, wyspani i syci maszerujemy ze śpiewem ulicami Miechowa, aby następnie marszem ubezpieczonym skierować się szosą przez Książ Wielki do Jędrzejowa. Droga doskonała. Mija nas samochód, a w nim ob. Gustaw z ob. Świętopelkiem, (Rajmundem Jaworowskim), który jest pono mianowany komendantem Oddziału Wywiadowczego. Kolumna wita ich śpiewem:

„Miły Komendancie prowadź ze nas dalej!

„Bo my chcemy jeszcze dzisiaj szturmować Moskali

Wieczorem stajemy w Książu. Znać już, że jesteśmy na szlaku etapowym naszych straży przednich. Przed pałacem hr. Wielopolskich czeka nas kolacja, przygotowana uprzednio przez tutejszego komendanta placu ob. Kubę (śp. Kazimierza Bojarskiego). Oficerowie idą na kolację do pałacu, my ją spożywamy na obszernym dziedzińcu pałacowym. Jest — gulasz i kawa. Co więcej potrzeba? Żołnierz musi być syty, a wtedy chętnie idzie na plac boju.

Pomimo że od trzech lat byłem w „Strzelcu“ i studiowałem różne nauki wojskowe, o wojnie miałem „zielone“ pojęcie. Jako „literat“ ze studiów, wyobrażałem ją sobie trochę po literacku. Zdawało mi się, że wojna musi tak wyglądać jak na obrazach Andriollego, czy Grottgera. Sądziłem, że składa się z bitew, które kończą się z reguły „szturmem“, tj. walką wręcz. Czytałem wprawdzie w regulaminach, że wojna składa się w $\frac{9}{10}$ z marszów. Ale nie mogłem sobie tego wyobrazić inaczej jak pod ogniem artyleryjskim, lub co najmniej karabinowym. A tutaj — 6 dni upłynęło od chwili wymarszu na wojnę i bitwy ani na lekarstwo.

Toteż chciałem wreszcie zobaczyć bitwę. Ucieszyłem się, gdy po krótkim wypoczynku przychodzi rozkaz załadowania na podwozy. Znowu jedziemy długim sznurem jak ze Skały do Miechowa. Wyspawszy się w Miechowie czuwać teraz na wozie. Jedziemy szosą na Jędrzejów. Mijamy pogrążony we śnie Wodzisław, ciche i puste. Tylko gdzieś snują się postaci brodatych żydów — milicjantów z białymi opaskami. Nie zatrzymując się jedziemy dalej, by raniutko stanąć w Jędrzejowie. Tu już są nasze władze. Na Rynku na balkonie wielki biały szyld z czerwonym napisem: „Komisariat Wojsk Polskich“. Komisarzem jest

dr Emil Bobrowski, poseł z Podgórze do parlamentu austriackiego. Podobnie jak w Miechowie jest tu już „Liga Kobiet“, która przygotowała nam śniadanie.

Batalion po wyładowaniu ustawił w kozły broń. Żołnierze śpiewają. Otacza nas przychylnie usposobiony tłum. Kiedy zaintonowano „Boże coś Polskę“ — wszyscy odkryli głowy. Z początku nieśmiało odzywa się parę głosów cywilnych, później coraz więcej, wreszcie cały tłum śpiewa z nami. Jędrzejów to drugi punkt w Królestwie po Iwanowicach, gdzie nas rozumieją, współczują, życzą powodzenia. Wykorzystując nastrój, na balkonie Komisarjatu ukazuje się dr Emil Bobrowski, który pięknie, gorąco przemówił. A końcowy jego okrzyk: „Niech żyje Polska Niepodległa“ tłum podchwycił „Niech żyje“.

Nastrój w mieście jest podniecony. W pobliżu są pono Moskale. Ludność widzi w nas swoich obrońców, garnie się do nas w obawie przed powrotem Moskali, którzy nie zdołali przeprowadzić tu mobilizacji. W chwilę po śniadaniu batalion nasz idzie, celem wystawienia placówek. Nasza kompania w straży przedniej. Nasz pluton jako oddział przedni. Ja prowadzę patrol boczny prawoskrzydłowy.

Maszeruję ze swoją sekcją w odległości 300—400 m od szosy wśród niezżętych zbóż i pilnie rozglądam się dokoła. Śliczny sierpniowy dzień, słońce rozkosznie grzeje, lekki wiatr południowy kołysze łany owsów i jęczmieni. W oddali widać sylwetkę wsi. To — Podchojny. W ustronnej chacie na południowym skraju wsi zatrzymujemy się. Widzę, że czoło kolumny na szosie zostało w tyle. Wypytuję, czy nie ma nieprzyjaciela. Uzyskawszy informacje czekam zbliżenia się kolumny. Gościnny gospodarz zaprasza do siebie na mleko. W chacie baba i dzieci płaczą i pytają, czy tu będzie bój. Zapewniam ich, że pójdziemy dalej, że Moskale już nigdy nie wrócą. Widzę niedowierzanie. Czy aby na prawdę nie wrócą?

Z szosy sygnalizują mi, abym wracał. Zatrzymujemy się w Podchojnych. Zaciągamy placówki. Nasza kompania rozmieszcza się na skraju wsi, tuż przy szosie. Zakładamy biwak na łące nad sadzawką, zamaskowani drzewami ogrodu. W oddali widać skraj lasu, z którego spodziewamy się ujrzeć nieprzyjaciela. Gdy tylko spostrzegamy jakiś ruch pod lasem, kompanijny Bończa osobiście bada sytuację przez lornetkę.

Chłopi chętnie znoszą chleb i mleko. Zamiast obiadu spożywamy więc „drugie śniadanie“. Po śniadaniu pół kompanii, będącej w odwodzie, zezwolono spać. Korzystam więc z okazji, wyciągam się na kocu i zasypiam...

Obudził mnie jakiś hałas. Zrywam się. Alarm. Zbiórka w dwurzędzie. „Gotuj broń“. Widzę, że zanoszą się na walkę z kawalerią.

Czekamy komendy z palcami na cynglu. Z lasu wyłania się patrol kawaleryjski i posuwa się powoli. Pozwalamy mu się zbliżyć na odległość strzału karabinowego. Kompanijny Bończa śledzi jego ruchy przez lornetkę. Po chwili — „Do nogi broń“! To był — nasz patrol kawaleryjski z oddziału Beliny.

I znowu długie godziny oczekiwania w skwarne popołudnie sierpniowe. W wojsku ciągle się czeka, na wojnie czeka się wielokrotnie więcej. Ale oczekiwanie na placówce ma pewien smak specjalny. Myśl, że lada chwila można mieć do czynienia z nieprzyjacielem, nie pozwala ulec znużeniu. Toteż takie czekanie nie męczy. W cieniu drzew skwar nie daje się zbyt w znaki. Nagle słychać strzały gdzieś na sąsiedniej placówce. Na linii bojowej wiadomości rozchodzą się szybko powtarzane z ust do ust. Toteż wkrótce wiemy już, że znowu ukazał się patrol z lasu, tym razem patrol kozacki. Spłoszony zbyt wcześnie — umknął pozostawiając w naszych rękach trzech jeńców. A więc pierwsi nasi jeńcy!

Tak upłynęło popołudnie i zmierzch powoli zapadał. Otrzymujemy rozkaz powrotu do miasta. Wyloty zastajemy obsadzone placówkami. Na ulicach budują barykady. W Jędrzejowie są już dwa dalsze bataliony ob. Ryszarda, które nas właśnie luzują. Mamy noc do naszej dyspozycji. Pierwsza to noc po trzech nocach prawie nieprzespanych. Należy się nam zasłużony wypoczynek. Ponieważ jednak drzemałem kilka godzin po południu, więc korzystając z wolnego czasu wchodzę do jakiejś knajpki. Pełno tu strzelców z różnych kompanii. Szukam któregoś z krakowskich kolegów.

Natykam się na płocczanina śp. kol. Janusza Bernatowicza. Nie wiedziałem, że jest z nami, bo należał przed wojną do „Spójni“. Jako dawny ochotnik w pułku dragonów rosyjskich jest w kawalerii. Kawaleria ma tę przewagę nad piechotą, że się dużo rusza, dużo wie i ma zawsze coś nowego do opowiadania. Na wojnie żołnierz lubi trzy rzeczy: wypaść się, najeść się i dowiedzieć się czegoś nowego. Toteż chciwie słucham opowiadania kol. Bernatowicza o potyczce strzelców w Kielcach i o bitwie pod Karczówką. Przyjechał właśnie z Chęcin, eskortując pierwszych naszych rannych i chorych. Od niego dowiaduję się, że przed nami operuje dywizja rosyjska gen. Nowikowa i właśnie dziś w nocy planuje napad na Jędrzejów. Dlatego to nasz batalion, który miał maszerować dalej, aby się połączyć z batalionami Śmigłego i Wyrwy, które są na przedzie, zatrzymano w Jędrzejowie. Placówki nasze w ciągu dnia spłoszyły patrole Nowikowa i powstrzymały natarcie na Jędrzejów do wieczora, aż nadeszły dwa bataliony ob. Ryszarda, które dają gwarancję bezpieczeństwa miasta przed niespodziewanym napadem.

Mieliśmy po raz pierwszy w Królestwie nocleg pod dachem. Zakwaterowano nas w jakiejś szkole tuż obok kościoła. Walają się po ziemi carskie portrety, moskiewskie książki, które szarpiemy w strzepy. Wyciągamy się na słomie i zażywamy spoczynku. W nocy była strzelanina z patrolami moskiewskimi, ale my nawet tego nie słyszeliśmy. Rano, wedle meldunków, Moskali w pobliżu nie było. „Karna“ wyprawa gen. Nowikowa na Jędrzejów nie udała się.

W tym samym czasie batalion Wyrwy i batalion Śmigłego toczyły walkę nad Nidą pod Brzegami i również odparły nieprzyjaciela. Toteż mamy drogę wolną do dalszego marszu na północ — do Warszawy!

15 sierpnia rano wyruszamy z Jędrzejowa. Przodem patrol kawalerii. Za nim grupa dwóch batalionów ob. Ryszarda w kierunku Małogoszcza. Nasz batalion pod komendą ob. Kordiana lwowskiego (śp. Monasterskiego) maszeruje samodzielnie wzdłuż toru kolejowego w kierunku na Miasową. Opuszczamy gościnnie Jędrzejów śpiewając wesoło „Hej strzelcy wraz“, żegnani czule przez mieszkańców miasta, życzących nam szczęśliwego powrotu. Zaraz za miastem idziemy już marszem ubezpieczonym. Nasza kompania w straży przedniej. Nasz pluton znowu stanowi oddział przedni, ja prowadzę patrol boczny, tym razem lewoskrzydłowy. Idę równolegle do szpicy przez las, który wczoraj obserwowaliśmy z placówki. Posuwanie się w lesie jest zawsze utrudnione. Rozsypałem sekcję w tyraliery. Z „bagnetem na broni“ przedzieramy się przez lekko podszyty las, dbając o to aby nie oderwać się od szpicy, maszerującej swobodnie torem kolejowym. Coraz trudniej jednak posuwać się naprzód, czuję że zostaję w tyle. W jakiejś gajówce dowiaduję się, że wczoraj była tam sotnia kozaków. Z bagnetem w rękę z trudem przebijam się przez las o coraz gęstszym podszyciu. Gąszcz krzewów i zdradliwe bagienka strasznie dają się nam we znaki. Bagnetami torujemy sobie drogę, przeskakujemy przez bagna, ale częściej musimy je obchodzić. Obawiam się, aby w gęstwinie nie pogubić swej sekcji, coraz trudniej utrzymać w niej łączność. Nareszcie las się kończy i wydostajemy się na obszerną polanę.

Krótki postój i odpoczynek kolumny marszowej pozwala i nam wytchnąć przez chwilę. Widzę z oddali, że łącznik konny przywiózł jakieś rozkazy batalionowemu. Bezpośrednio potem ściągają ubezpieczenia, widocznie nieprzyjaciół wycofał się daleko. Maszerujemy dalej marszem podróжным.

Idziemy teraz polnymi drogami przez Mzurową i Bizorendę, aż docieramy do Nidy. Wczoraj tutaj toczyła się bitwa. Widać świeże okopki. Spodziewamy się wypoczynku. Tymczasem batalionowy wydaje krótki rozkaz: „Maszerować“. A posłuszna

kolumna, ostatkiem sił goniąca, wlecze się powoli, czekając jak Boskiego zmiłowania odpoczynku.

Znowu idziemy przez las, który dłuży nam się w nieskończoność. Batalionowy na koniu nie czuje, co cierpi kolumna. Nareszcie — las się kończy, a na skraju lasu z bronią w dłoni spuszcza się w wąwóz i znajdujemy się w kotlinie, w której rozłożyła się wieś Korzecko.

Tu zastajemy już rozkwaterowany batalion Śmigłego. Batalion Wyrwy stoi w Chęcinach. Późny wieczór i szalone zmęczenie nie pozwoliło mi zobaczyć się z towarzyszami z kadrówki, których nie widziałem od 10 dni. Obiecuję sobie to powetować naza-jutrz rano.

Tymczasem 16 sierpnia jeszcze przed śniadaniem otrzymuję rozkaz udania się z moją sekcją na placówkę. Idę więc na czczo i rozstawiam swoją placówkę Nr 1 na wzgórzu, dzielącym wieś Korzecko od miasta Chęcin. Placówka moja prawoskrzydłowa wypadła tuż nad miastem. Widzę doskonale Chęciny, widzę nawet pojedynczych ludzi, kręcących się po ulicach, widzę sklepy, w których na pewno można dostać kawałek chleba... Kiszki marsza grają, żołnierze szemrzają, że nie mogą na głodno pełnić służby. A tu trzeba czekać. Może komuś z przełożonych przypomni się, żeśmy wymaszerowali na placówkę bez śniadania. Te kilka dni wojny przekonały mnie, że dobry dowódca musi przede wszystkim dbać o żołądki swych żołnierzy, bo „morale“ żołnierza na wojnie zależna jest w pierwszej linii od pełnego żołądka. Niestety, wszyscyśmy byli „cywilami“, a nasi komendanci nigdy żołnierzami nie byli i na własnej skórze głodu nie doświadczyli. Staram się więc, jak mogę, pocieszyć swoich żołnierzy, że dostaniemy za to podwójną porcję obiadu i rozglądam się w położeniu. Widzę na prawo od nas w dole jakiś biwak kawalerii austriackiej. Artyleria zajeżdża na pozycję. Czyżby zanosilo się na bitwę? Koło południa zlurowano nas. Prawie biegiem wracamy do wsi, ale, niestety, obiad jeszcze nie gotów. Oczekujemy więc obiadu, a tu znowu otrzymuję rozkaz zlurowania placówki Nr 2, wystawionej przez II pluton. Zakląłem siarczyście, ale rozkaz — to rozkaz!

Placówka Nr 2 była dotąd placówką oficerską, mimo to stwierdziłem, że nie mogę jej pozostawić w dotychczasowym miejscu, bo przed sobą miałem wzgórze, które mi zasłaniało pole widzenia. Przesuwam się więc dalej o paręset kroków od wsi na sąsiednie wzgórze i posyłam o tym meldunek do kompanii. W lewo mam dobrą łączność z placówką Nr 3 ob. Kratowicza. Wystawiam osobiście wedety-czujki. Baterie rozstawione na pozycjach mam na prawym skrzydle. Co chwila widzę od strony Chęcin pędzące patrole ze zwiadów.

Nagle na biwaku austriackim — alarm. Baterie zaprzodkują i zjeżdżają z pozycji. Cały oddział austriacki koncentruje się pod lasem i szykuje się do odmarszu w kierunku... Jędrzejowa. Czyżby Rückzug?

Batalion Wyrwy wycofuje się z Chęcín i maszeruje drogą przechodzącą z tyłu mojej placówki do Korzecka. Z mego wzgórza mam świetny widok na całą okolicę, ale zupełnie nie orientuję się w sytuacji. Uważam, że to świetna pozycja do przyjęcia bitwy i nie rozumiem przyczyny odwrotu. Nie mam wprawdzie lornetki, ale i gołym okiem widzę jasną smugę szosy Chęcín—Kielce. W oddali widać — Karcówkę. Po chwili widzę na szosie patrole kawalerii, posuwające się z Kielc do Chęcín. Za nimi widzę całe szwadrony cwałujące i wpadające do Chęcín. Gołym okiem nie mogę rozpoznać czy to kawaleria austriacka, czy rosyjska. Ogólnego położenia naszego nie znam. Posyłam meldunek jeden, drugi. Żadnych rozkazów nie otrzymuję. Łącznicy moi nie wracają. Po odwrocie austriackim nie wiem, czy bitwę sami przyjmiemy, czy się wycofamy. Czuję zdenerwowanie moich żołnierzy, staram się dodać im ducha dobrym humorem. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że jeśli kawaleria, która wpadła do Chęcín, jest kawalerią rosyjską, to lada chwila grozi mi odcięcie od Korzecka, gdyż kawaleria ta szybciej znajdzie się na drodze na moich tyłach, nim ja zdążę ściągnąć placówkę i zejść na drogę Chęcín—Korzecko—Małogoszcz. Do wsi mam 500 metrów. Wysyłam łączników do sąsiednich placówek. Placówka Nr 3 nic nie wie, placówki Nr 1 pono już nie ma na swoim miejscu.

Po raz pierwszy doznałem uczucia strachu. Nie chodziło mi o mnie, chodziło mi o honor oddziału, którego byłem dowódcą. Zejść z posterunku nie mogłem, rozkazów żadnych nie otrzymuję, łącznicy moi nie wracają, a tu lada chwila mogę być odcięty od drogi Chęcín—Małogoszcz i znaleźć się pomiędzy nieprzyjacielem, który maszeruje za nami do Korzecka, a oddziałami, które są niewątpliwie w Chęcínach.

Kiedy męczyłem się nad decyzją, co w tych warunkach począć, wpada zadyszany kompanijny Bończa i każe nam placówkę na gwałt ściągać. Bitwy nie przyjmujemy. W Chęcínach jest kawaleria rosyjska, która, na szczęście, zatrzymała się w mieście i dzięki temu uniknęliśmy odcięcia. Nasze bataliony już odmaszerowały z Korzecka. Podczas alarmu o nas zapomniano. Dopiero w marszu zauważono brak naszego plutonu i kompanijny Bończa sam wrócił po nas.

Biegiem wycofujemy się wraz z placówką Kratowicza. Na przełaj przez wzgórza i wertepy gonimy oddalającą się w kierunku Małogoszcza kolumnę. Ściemnia się powoli. Maszerujemy godzinę

i drugą, a batalionu naszego nie widać. Dopiero w Jedlnicy na postoju doganiamy kolumnę. Nasz pluton ma być teraz strażą tylną. Obok nas patrol żandarmerii Kostka (Wacława Biernackiego) prowadzi jakiegoś żyda. Głowę ma obwiązaną, jest ranny. Podobno to szpieg z Chęcín, który miał dawać jakieś znaki Moskalom. Aresztowany usiłował zbiec i dostał cięcie szablą.

Koło 10 wieczorem stajemy na nocleg w Bolminie. Jestem wściekle głodny. Sierżanta prowiantowego nie widać. Kompanijny pyta, kto pójdzie poszukać mleka dla kompanii. Zgłaszam się na ochotnika i idę na poszukiwania. Wracając zbłądziłem i zamiast na naszą kwaterę, wchodzę na kwaterę... sierżanta prowiantowego. Wówczas to mogłem stwierdzić, jak słodki jest żywot sierżanta prowiantowego na wojnie. Siedział sobie za stołem i pałaszował obfitą jajecnicę, którą mu przystojna gospośnia podsuwała. A ja po całodziennym poście za niego starałem się o mleko dla kompanii, i ostatecznie nie wiem, czy po pół szklanki wypadnie...

W nocy była gwałtowna strzelanina. Jak się później okazało, nasze placówki strzelały do krów i koni pasących się na łące, a także do patrolu niemieckiego, który zapędził się aż z Częstochowy, aby nawiązać łączność z oddziałami austriackimi. Podobno wzięto nawet do niewoli jakiegoś... pruskiego ułana. Nazajutrz zdegradowano wszystkich komendantów tej kompanii.

My mamy dzień wypoczynku. Pierwszy dzień wolny od czasu wymarszu z Krakowa. Rano były ćwiczenia kompanijne. Po południu — wolne. Słysząc jakieś strzały. Pono żandarmeria rozstrzelała tego szpiega, któregośmy wczoraj widzieli. Przed wieczorem zobaczyłem go. Leżał pod lasem z żółtą kartką, przypiętą na piersi z napisem: „Za zdradę Ojczyzny“. Czy jednak mógł on Polskę uważać za swoją Ojczyznę, jeśli tylu Polaków służył Rosji, Prusom, czy Austrii?

Po dość późnym obiedzie — zbiórka. Mamy ruszać dalej. Nadciąga grupa ob. Ryszarda z Małogoszcza. Zdaje się po raz pierwszy jesteśmy wszyscy razem. Pierwszy raz od wymarszu zobaczyłem Komendanta. Jechał na kasztance w otoczeniu całego sztabu, wśród którego, prócz ob. Gustawa i Świętopełka, zauważyłem Wicza i Kazika Sawickiego. Wśród „niższego sztabu“ zauważyłem jakichś żołnierzy niemieckich i austriackich, pono łączników konnych od sąsiednich oddziałów „sprzymierzonych“. Dziękuję za takich sprzymierzeńców! Wśród żołnierzy rozchodzi się pogłoska, że doszło do porozumienia pomiędzy luźnie dotąd operującymi naszymi oddziałami i oddziałami niemieckimi i austriackimi i mamy wziąć Nowikowa w trzy ognie. Austriacy nacierają od frontu z linii Pińczów—Jędrzejów, my od zachodu z Piekoszowa na Kielce, a Niemcy od północy z Końskich.

Tymczasem posuwamy się marszem ubezpieczonym. Idziemy to drogą, to polami, po rżyskach, na przełaj, to znowu jesteśmy na jakiejś polnej drodze. Ciemno, trudno się zorientować w kierunku marszu. W jakiejś wsi schwytano podobno przebranego po cywilnemu strażnika (policjanta) rosyjskiego. Żandarmeria nasza wiąże go postronkami i przemocą zabiera na podwodę. My maszerujemy i maszerujemy w noc ciemną i chłodną. Tabor nasz utyka na ciężkich drogach w błocie, czy piasku i trzeba wóz za wozem wyciągać. A tabor nasz składa się z dwóch chłopskich wozów na każdą kompanię. Jeden wóz amunicyjny, drugi żywnościowy. Nie można ich zostawić bobyśmy nie mieli ani rezerwy amunicji, ani tej trochy kaszy, którą nam co dzień dają. Dochodzę do przekonania, że najuciążliwsze na wojnie są marsze. Wlecz się wlecz niefortunna piechota, ostatkiem sił goni...

Przed świtem stajemy w Rykoszynie. Rozstawiają placówki. Postój ubezpieczony. Nasza kompania w pogotowiu. Spać nie wolno. Złożyliśmy tylko broń w kozły, ułożyliśmy rynsztunki pod kozłami i rozeszliśmy się po dziedzińcu dość obszernym, należącym do zagrody jakiegoś bogatszego gospodarza. Zimno przenika do kości. Tabor ugrzązł gdzieś przed wsią w błocie i o śniadaniu ani marzyć. Nie ma się gdzie ogrzać, bo chałupę naszego gospodarza zajęto na komendę batalionu. Batalion nasz zmienił właśnie komendanta. Zamiast Kordiana objął go dawny znajomy mój i kolega krakowski ob. Karasiewicz. W chałupie zebrali się oficerowie naszej kompanii i grzeją się przy ogniu. Na dworze ognisk palić nie wolno, batalionowy pozwolił jednak kolejno wchodzić sekcjami do chałupy. Przyszła i na mnie kolej. Wchodzę i widzę oficerów przy jajecznicy, głodny jestem straszliwie, osłabłem i ledwie trzymam się na nogach. Karasiewicz poczęstował mię haustem koniaku z manierki. Świetnie mi to zrobiło, udało mi się dostać od gospodarza kilka ziemniaków i tak pokrzepiony wychodzę na dwór, aby zrobić miejsce innym. Brak płaszcza dotkliwie daje się we znaki. Choć nogi odmawiają posłuszeństwa, usiłuję biegać w koło kozłów, aby nie przemarznąć. Wreszcie — świta. Nad ranem pozwolono nam wejść do stodoły i nie rozbierając się zdrzemnąć się na sianie.

18 sierpnia postój ubezpieczony w Rykoszynie. Widocznie czekamy, aż „sprzymierzeńcy“ zajmą podstawy wyjściowe do natarcia na Kielce... Brak tytoniu daje się dotkliwie odczuć. W całej okolicy nie można dostać ani szczypty, wszystko już strzelcy wykupili. Korzystając z wolnego czasu włóczę się po wsi i natrafiam na kwatery 1. kompanii kadrowej. Od wymarszu z Krakowa nie widzieliśmy się. Miło płynie czas na pogawędce ze starymi już weteranami, uczestnikami bitew pod Kielcami i Karcówką. Ale trzeba wracać do swojej kompanii.

Po 10 dniach w polu bielizna domaga się gwałtownie prania. Żołnierze moi umieją to robić znakomicie. Ja jako „inteligent“ nie umiem się wziąć do tego, próbuję na wszystkie strony — nie idzie. Na szczęście natykam się na jakąś babę, która za kilka ha-lerzy zrobiła to świetnie. Suszę więc bieliznę na słońcu i znowu mam ją czystą na dni kilkanaście.

Wieczorem — zbiórka ogólna. Ogłaszają nam rozkaz o nowym podziale organizacyjno-taktycznym. Nasz batalion dotąd bez numeru, otrzymuje numer V. Kompanie, dotychczas numerowane wewnątrz grupy ob. Ryszarda, tak jak wymaszerowaliśmy z Krakowa, otrzymują numery wewnątrz batalionów. Nasza kompania 11. otrzymuje Nr 2. Kompania 9 — Nr 3 itd. Nasz pluton dotąd I w kompanii otrzymuje Nr II. Zamiast więc dotychczasowego I plutonu 11. kompanii, jestem w II plutonie 2. kompanii V batalionu.

Cała polska siła zbrojna pod naczelnym dowództwem Komendanta Piłsudskiego składa się obecnie z 5 batalionów strzeleckich. Batalion I, złożony z dotychczasowych kompanii 5., 6., 7. i 8. ma Żegota (Marian Januszajtis), batalion II, złożony z kompanii 13. i kompanii podhalańskich, które „doszlusowały“ w Krzeszowicach, ma Norwid (Mieczysław Neugebauer). Batalion III, złożony z kompanii kadrowych, ma Śmigły (Edward Rydz). Batalion IV, złożony z kompanii krakowskich 1.—4., ma Wyrwa (Tadeusz Furgalski) i wreszcie nasz batalion V, złożony z kompanii 9.—12. ma Karasiewicz (Michał Tokarzewski).

W naszym batalionie, 1. kompanię (dawną 12.) objął Mieczysław Sław-Zwierzyński jako zastępca komendanta batalionu, 2. kompanię (dawną 11.) ma nadal Władysław Bończa-Uzdowski, 3. kompanię (dawną 9.) — Alojzy Wir-Konas i wreszcie 4. kompanię (dawną 10.) objął obecnie Franciszek Kruk-Mioduszeński.

Tabory kompanijne złączono obecnie tworząc tabory batalionowe jako tabory I rzędu. Tabor ogólny jako tabor II rzędu objął Zygmunt Klemensiewicz. Prócz tego mamy dwa małe oddziały konne: Władysława Beliny-Prażmowskiego i Zbigniewa Wąsowicza (sokoli konni), oddział wywiadowczy Świętopełka i oddział sanitarny Stanisława Roupperta.

Po zbiórce — wypoczynek przed jutrzejszym wymarszem. Jutro bowiem mamy dalej prowadzić manewr oskrzydłający na Kielce. 7. K.T.D. (dywizja austriackiej kawalerii) posuwa się od Pińczowa, gdzie są Niemcy nie wiemy.

Ja mam pecha. Wyznaczają mi służbę w kompanii i znowu spać nie mogę.

Rano — ruszamy. Idziemy na Piekoszów, przecinamy linię kolei herbsko-kieleckiej, ale... omijamy Kielce. Podobno 14. dy-

wizja rosyjska Nowikowa opuściła Kielce. Idziemy więc wprost na Radom.

W Piekoszowie w jakimś sklepiku udało mi się dostać trochę papierosów. Oddycham z ulgą, bo brak tytoniu daje się we znaki znacznie silniej niż głód. W Chełmcach — postój obiadowy. Po obiedzie — maszeruje się znacznie lepiej. Maszerujemy przez Miedzianą Górę w kierunku lasów Samsonowskich. Pogoda, która od początku nam dopisywała — zepsuła się. Ulewny deszcz zmoczył nas do suchej nitki. Chcąc ochronić mundur, z braku płaszcza okrywam się kocem, co w nocy odpokutowałem podwójnie, trzęsąc się z zimna pod wilgotnym kocem. Wieczorem docieramy do Tumlina, wsi położonej przy linii kolejowej dęblńsko-dąbrowskiej. Postój.

Rozbiegamy się po wsi, aby coś znaleźć, po przemoczeniu trzeba się rozgrzać. Niestety, nigdzie nic dostać nie można, bo wieś objadły przed nami maszerujące bataliony. Wreszcie w którejś chacie dostaję kwaśnego mleka i chleba razowego i nierozgrzany wprawdzie, ale syty, wracam do kompanii. A tu znowu — zbiórka. Batalion nasz odmaszerowuje do Humra, wsi położonej o 2 km od Tumlina.

Nazajutrz 20 sierpnia od rana ćwiczenia plutonowe. Ćwiczymy z naszymi rekrutami — rozwijanie się w tyralierę, wyzyskiwanie terenu. Łopatek nie mamy, więc okopywać się nie możemy. Ćwiczenia te są jednak konieczne, bo większość naszej kompanii to rekruci, którzy tyralierki nigdy nie widzieli.

Po południu znowu ćwiczenia. Ja zostałem od tych ćwiczeń zwolniony, bo drzazga weszła mi w palec wskazujący prawej ręki, palec spuchł, więc karabinem ćwiczyć nie mogę. Kawałek mydła zabrany z Krakowa wyszedł mi od dawna, a nowego nie ma gdzie kupić. Nie mogę nawet umyć się porządnie, a tu przyplątało się lekkie zakażenie. Medyk naszego batalionu, kolega krakowski Jan Kazimierz Gołąb, opatrzył mi ranę i rękę obandażował. Wyglądam jak ranny inwalida, dostałem zwolnienie od służby. Komendant kompanii chce mnie odesłać na tyły z maruderami. Bronię się, jak mogę, przed tą ewentualnością, bo za nic na świecie nie chcę wyjść z pierwszej linii. Mam nadzieję, że opuchlizna za kilka dni zejdzie i będę mógł władać prawą ręką. Maruderów traktuje się u nas fatalnie, krótko mówiąc, wobec braku ekwipunku obdziera się ich niemal do koszuli, aby wyekwipować tych, co pozostają. Za nic w świecie nie rozstanę się z mundurem, kupionym przed wymarszem za ostatnie prawie pieniądze. Toteż proszę, aby mi nie robiono despektu i pozwolono pozostać w kompanii. Komendant kompanii odsyła mnie do raportu batalionowego. Proszę komendanta batalionu o zezwolenie pozostania w linii. Poleca mi zameldować się ponownie wieczorem.

Mam więc pół dnia — wolne. Chodzę po wsi, obserwuję, co się dzieje na postoju. Spotykam „kadrowca“ — Wacława Sieroszewskiego, który miał przepustkę do Kielc, skąd właśnie wrócił. Odczytuję jakiś komunikat o bitwach pod Karczówką i Brzegami. Otaczają nas chłopci miejscowi, którzy interesują się bardzo wypadkami. Sieroszewski wyzyskuje ten moment i przemawia do nich, ja również próbuję nawiązać rozmowę polityczną. Chłopci robią wrażenie dość inteligentnych, ale nie znać, aby dotarła tu jakaś robota polityczna. Podczas pobytu w Krakowie tyle się nasłuchiwałem o robocie naszych stronnictw niepodległościowych w Królestwie, że zdawało mi się, że na każdym kroku na ślady tej pracy natrafić będzie można. A tu poza organizacją strzelecką, a więc wojskową, w Iwanowicach nigdzie żadnego śladu roboty politycznej nie znajduję.

Muszę przerwać rozmowę, bo właśnie wołają na zbiórkę. Staję w szeregu bez broni. Ma być przegląd lekarski. Lekarz naszego batalionu dr Sławoj Składkowski dokonuje przeglądu. Chorych wydzielają w osobny oddział maruderski. Ja unikam usunięcia z szeregu dzięki poparciu kol. Gołąba, który wstawił się za mną, poświadczając że za kilka dni powinienem być zdrow.

Po przeglądzie lekarskim nadjeżdża szef sztabu Kazimierz Sosnkowski i rozpoczyna się przegląd amunicji. Szef sztabu z adiutantem liczą ładunki wszystkich żołnierzy i za brak ładunków z miejsca karzą aresztem. Następnie odczytano nam rozkaz Komendy Głównej o utrzymaniu w czystości broni i amunicji. Za nieumiejętność obchodzenia się z amunicją mają być stosowane surowe kary.

Nie mamy pakułów ani wazeliny, nie mamy ładownic ani żadnych środków utrzymania czystości broni i amunicji, więc rozkaz jest ciężki do wykonania. Dura lex, sed lex. Później przekonałem się jednak, że na wojnie można wiele wymagać nie dając środków ku temu. A nasz „dłubnosek“, jak później nazywano strzelców I Brygady, potrafi w każdej sytuacji dać sobie radę.

Tymczasem wzywają mnie do batalionu. Idę więc i czekam na ganku dalszych rozkazów. Adiutant Orsza (śp. Jerzy Winiarz) wzywa mnie do komendanta batalionu, który oświadcza, że dopóki służby nie będę mógł pełnić w linii, będę przydzielony do „sztabu“ batalionu.

Orsza wskazuje mi kwaterę „sztabu“. Składał się on wówczas z 8 ludzi: sierżanta batalionu, kucharza, pisarza i ordynansów. Zakwaterowani byli nieźle, odżywiali się doskonale i chwalili sobie służbę w tym „sztabie“ batalionowym. Właśnie siedzieli przy trzeciej z rzędu kolacji. Usiadłem i obserwuję nowe otoczenie.

Ciasno tu, ale ciepło. Zjadłem kolację i położyłem się spać, po raz pierwszy w izbie od wymarszu z Jędrzejowa.

Nazajutrz rano obywatel sierżant Warta mianował mnie swoim zastępcą. Funkcje moje jak i całego „sztabu“ nie były ściśle określone. Poszczególni „sztabowcy“ uważali się za „kancelistów“ batalionowych, chociaż żadnej służby kancelaryjnej nie pełnili, gdyż wszystkie rozkazy na bloku meldunkowym pisał komendant batalionu lub adiutant. Inni uważali się za taborytów, choć taborytami nie byli, bo tabor składał się z 8 wozów, świeżo przydzielonych z kompanii, które dotąd nie zerwały swej łączności z kompaniami i do „sztabu“ batalionu nie zaliczały się. Najchętniej tytułowali się „sztabowcami“ i uważali się za coś lepszego od „linii“.

Ból obierającego się i ślimaczącego się palca oraz nastrój, jaki panował w tym „sztabie“, oddziaływał niekorzystnie na moją psychikę. Otoczenie swoje uważałem za „dekowników“, których należało odesłać do linii, ale niestety to nie ode mnie zależało. Po raz pierwszy odczułem niechęć do wszelkich jednostek pozaliniowych, które żyją kosztem poniewieranej przez siebie „linii“.

Zresztą nie miałem powodu do narzekania. Jadłem do syta, spałem wygodnie na słomie, nic właściwie nie miałem do roboty. Wszak to raj dla żołnierza na wojnie. Korzystając ze swobody włóczyłem się po Humrze i Tumlinie, odwiedzałem kolegów z różnych batalionów. Najchętniej zaglądałem do „kadrówki“, gdzie gawędziłem sobie z kolegami filaretami: śp. Bronkiem Mansperlem, śp. Kazimierzem Kamińskim, śp. Mieczysławem Marusińskim, śp. Aleksandrem Napiórkowskim i innymi, którzy w większości już nie żyją.

Raz natrafiłem przypadkiem na kwaterę oddziału wywiadowczego ob. Świętopełka. Spotkałem tam po raz pierwszy od wymarszu z Krakowa — Kazika Sawickiego, filaretę fryburskiego ob. Sępa (śp. Janusza Dłużniakiewicza) i młodszego kolegę z gimnazjum Konopczyńskiego, Bolesława Zawadzkiego. Oddział ten miał bardzo miły skład pod względem ideowym. Byli tu dawni członkowie bojówki P. P. S. (tzw. becy) i młodzi skauci (harcerze) pod komendą Zawadzkiego. Funkcje tego oddziału wydały mi się bardzo tajemnicze, ale szczególnie ciekawe i interesujące. Zaproponowano mi, abym się do nich przeniósł, skoro nie mogę pełnić służby w linii. Myśl ta uśmiechała mi się, zwłaszcza, że dość miałem bezczynnego sterczenia w „sztabie“ batalionu. Ob. Świętopełk polecił mi, abym zameldował się u komendanta batalionu i, jeśli dostanę zwolnienie, abym niezwłocznie przeniósł

POSTÓJ W KIELCACH

22 sierpnia rano nadszedł rozkaz odmarszu. Nasz „sztab“ jechał szosą na wozach taborowych. Kolumna piechoty maszerowała bocznymi drogami. Nie widziałem więc powtórnego wmarszu strzelców do Kielc. Tabor nasz wjechał zupełnie niepostrzeżenie od strony Niewachłowa przez roгатkę Staro-Warszawską i drogą przez Rynek, ul. Dużą i plac Katedralny udał się prosto do przeznaczonych na kwatery V baonu koszar po 6. pułku strzelców pieszych rosyjskich.

W przejeździe przez miasto widziałem rozlepione na Rynku jakieś odezwy Sejmowego Koła Polskiego, nie zdołałem ich jednak odczytać. Poza tym w mieście nie widziałem nic osobliwego. Na ulicy Dużej minęliśmy baon landszturmu austriackiego, maszerujący jakby w kierunku Radomia. Po zakwaterowaniu się i spożyciu obiadu zawiadomiono nas o rozkazie niewydalania się z koszar.

Nazajutrz, wykorzystując swą funkcję zastępcy sierżanta batalionowego, zdołałem wydostać się na miasto pod pozorem jakichś zakupów dla batalionu. Pierwszą osobą, na którą się natknąłem w Kielcach był ob. Leszek (Michał Sokolnicki), który dopiero co mianowany został Generalnym Komisarzem Narodowym z siedzibą w pałacu gubernatorskim. Ob. Leszek zakomunikował mi, że szuka ludzi do służby cywilnej, ponieważ jednak Komendant nie chce nikogo zwalniać z linii, więc ma z tym duże trudności. Zapytał mnie czy wobec chwilowej mej niezdolności do służby liniowej, nie zechciałbym choćby czasowo przejść do służby cywilnej. Zgodziłem się chętnie, o ile naturalnie dostanę zwolnienie z baonu. Wiedziałem jednak, że natrafię na trudności ze strony komendanta batalionu. Toteż po powrocie do koszar nie mam wielkiej nadziei, aby udało mi się wydostać z baonu. Przez 3 dni włóczę się z kąta w kąt, bo nie biorę udziału w ćwiczeniach, a nie mam nic do roboty. Upatrzyłem jednak chwilę, kiedy ob. Kara-siewicz nie było, a zastępował go mój komendant kompanii ob. Bończa i zameldowałem mu o propozycji ob. Leszka. Ob. Bończa, wiedząc że na razie służby z bronią pełnić nie mogę, zwolnił mnie z baonu i odesłał do Komisariatu Generalnego.

26 sierpnia rano zabrałem plecak, oddałem karabin i ładunki i po 4 dniach niczym niezasłużonego „aresztu koszarowego“ znalazłem się na ulicy. Był cudny sierpniowy poranek. Nie mogłem oprzeć się, aby choć kilka chwil nie nacieszyć się wolnością. Nie poszedłem wprost do Komisariatu Generalnego, lecz zaszedłem do Ogrodu Miejskiego, usiadłem na ławce, odetchnąłem świeżym powietrzem, zajrzałem do cukierni Smolińskiego i po raz pierwszy od trzech tygodni wypilem szklankę białej kawy, przeczytałem odezwy Sejmowego Koła Polskiego i Naczelnego Komitetu Narodowego o tworzeniu Legionów, rozlepione na murach miasta, kupiłem numer „Dziennika Urzędowego Komisariatu Wojsk Polskich“ i wreszcie zameldowałem się w Komisariacie Generalnym.

Tutaj polecono mi zgłosić się naprzód do ob. Oli (Aleksandry Szczerbińskiej), która była „kwatremistrzem“ służby cywilnej. Tu otrzymałem kwaterę w pałacu gubernatorskim, gdzie sypiało się nie na słomie, ale na „prawdziwych“ łózkach lub kanapach, jadało się przy stole, na talerzach, a nie w menażkach, jednym słowem zupełnie po europejsku w warunkach „cywilnych“ i „pokojuowych“. Po 3 tygodniach ponieważ wojennej wszystko to było nie do pogardzenia. Do obiadu zasiadło sporo osób ze służby cywilnej z Komisariatu Generalnego, Powiatowego i Miejskiego, Poczty Polowej, Redakcji Dziennika Urzędowego itd. Wśród tych osób było wielu znanych działaczy z Krakowa, jak ob. Aleksander Sulkiewicz, Leon Wasilewski, adw. Mieczysław Jarosz, red. Emil Haecker i wielu innych.

Tutaj też mogłem zorientować się w ogólnej sytuacji politycznej i zrozumieć, co się działo na teatrze wojennym, w którym dotąd brałem jedynie udział jako statysta. Dowiedziałem się, że po naszym wymarszu z Krakowa będący pod wpływem N. D. — Centralny Komitet Narodowy we Lwowie zdecydował się połączyć z Komisją Stronnictw Niepodległościowych i utworzyć nowe ciało — Naczelny Komitet Narodowy, którego odezwę czytałem rozlepioną na mieście. Pozornie to połączenie winno wpłynąć na wzmocnienie naszych sił. Ale — timeo Danaos et dona ferentes! Przyłączenie się Narodowej Demokracji, na pewno nieszczerze, nie rokuje nic dobrego. Naczelny Komitet Narodowy postanowił formować Legiony, od samego początku jednak chce wprowadzić dwoistość dowództwa. Legion Wschodni ma być wyłączony spod władzy naszego Komendanta, co świadczy o jakichś ukrytych celach rozbijania Legionów przy samym ich założeniu. Dziwni są ci Polacy — „narodowcy“, zawsze ugodowo nastroszeni wobec wszelkich zaborców, a wrogo wobec tych, którzy jedynie szczerze chcą wszystkie swe siły oddać sprawie Niepodległości.

Tutaj dopiero zrozumiałem dlaczego staliśmy 3 dni w lasach Samsonowskich. Komendant nasz męczył się wówczas nad decyzją, co robić dalej. Wobec tego że Królestwo zawiodło — o stworzeniu samodzielnej siły zbrojnej na większą skalę nie można na razie marzyć. Austriacy, zaniepokojeni posuwaniem się strzelców w głąb Królestwa, mieli zażądać ultimatywnie zawarcia porozumienia z armią austriacko-węgierską, albo rozbrojenia. W Krakowie — pozorna zgoda narodowa na podkładzie austrofilskim. Co robić? Albo pozostać niezależnym oddziałem polskim i bijąc się na trzy fronty zapaść w lasach i beznadziejnie zginąć ostatecznie z braku żywności, a zwłaszcza amunicji, albo przyjąć propozycję N. K. N. i stać się kadrą Legionów, związanych z armią austro-węgierską. Właściwie wyboru nie było. Komendant nie mógł w tej sytuacji powziąć innej decyzji. W ten sposób oto z wolnych strzelców polskich staliśmy się kadrą Legionu Zachodniego.

Musiałem zabrać się do pracy. Zostałem przydzielony do Komisariatu Miejskiego w Kielcach do dyspozycji komisarza miejskiego ob. Michała (Aleksandra Sulkiewicza). Zaraz po obiedzie udałem się do Magistratu, aby zorientować się w moich nowych funkcjach. Uczestniczyłem w posiedzeniach 2 komisji: sanitarnej i podatkowej i miałem możność przyjrzenia się „ojcom miasta”. Nastrój tych panów był wprost okropny. Zupełnie niedwuznacznie traktowano nas jak okupantów. Wszystko robiono „z musu”, pod grozą oręża, w oczekiwaniu, że „nasi przyjdą” i nieproszonych gości wypędzą. Portrety carskie starannie pochowano, abyśmy ich nie zniszczyli, starano się zachować język rosyjski w aktach, jednym słowem zachować 100 % lojalności wobec rządu rosyjskiego. W tych warunkach nasza praca nie była miła. Ob. Michał zaproponował mi do wyboru funkcję komendanta milicji miejskiej, lub przewodnictwo w miejskiej Komisji szkolnej. Wybrałem to ostatnie, bo na sprawach policyjnych nie znałem się zupełnie.

Zmieniłem swój zielony sznurek podoficerski na biało-amarantowy sznurek służby cywilnej, dający prawo chodzenia po mieście do godz. 10 wieczorem, na równi z oficerami, i pierwszy wieczór spędziłem w cukierni Smolińskiego, źródle wszelkich wiadomości, gdzie zbierali się wszyscy oficerowie i urzędnicy komisariatów wojskowych.

Od wymarszu z Krakowa nie miałem żadnego dziennika w rękę, nie wiedziałem nic, co działo się w Europie, a nawet w Polsce. Teraz zorientowałem się w sytuacji, dowiedziałem się, że punkt ciężkości zmagających wojennych jest na Zachodzie. Dotąd nie wiedziałem nic o wzięciu Leodii, o zajęciu Belgii przez Niemców, o wkroczeniu w granice Francji i nadziejach niemieckich na zdobycie łada dzień Paryża. Szczerze zmartwiłem się tymi wiadomościami, bo było to

odwrotnością tego, czego oczekiwaliśmy. My pragnęliśmy, aby Austria i Niemcy zwyciężyli na Wschodzie, ale aby wzięli górę na Zachodzie, tego nie przewidywaliśmy. Tymczasem na froncie francusko-belgijskim Niemcy posuwali się naprzód, a Moskale wdzierali się do Wschodniej Galicji zagrażając Lwowowi. Cała nadzieja skupiła się teraz na armii Dankła, która, pracując przez Kraśnik w kierunku Lublina wraz z armią Auffenberga, operującą w rejonie Tomaszowa, mogła oskrzydlić Moskali i odciążyć Lwów.

Na lewym brzegu Wisły właściwie nic się nie dzieje. Niemcy zajęli Kaliskie, zdobyli sobie smutną sławę na całym świecie okrucieństwami i spaleniem Kalisza, dotarli do Łodzi, Piotrkowa, Radomia i dalej się nie posuwają. Moskale jakby umyślnie opróżnili cały lewy brzeg Wisły, co pozwala nam przypuszczać, że niedługo wkroczymy do Warszawy.

Nazajutrz stanąłem do pracy i zorientowałem się w organizacji służby cywilnej w Kielecczyźnie oraz w gospodarce miasta. Wieczorem u Smolińskiego spotkałem ob. Świętopełka wraz z oficerami oddziału wywiadowczego. Świętopełk zrobił mi wymówkę, że przeszedłem do służby cywilnej, i oświadczył, że zażąda oddania mnie do swojej dyspozycji.

28 sierpnia rano zostałem wezwany do Komisarza Generalnego, który oświadczył mi, że oddział wywiadowczy zażądał zwrotu mojej cennej osoby, a że wedle rozkazu Komendanta oddział ten ma pierwszeństwo w doborze ludzi, więc musi mnie odstąpić. W ten sposób skończyła się moja dwudniowa służba cywilna.

Zameldowałem się więc w oddziale wywiadowczym, zakwaterowanym w gmachu byłej Izby Skarbowej przy ul. Wniebowstąpienia 2.

Oddział wywiadowczy składał się wówczas z Komendy oddziału i dwóch pododdziałów. Komendę stanowiło 5 etatowych oficerów, a mianowicie: komendant Świętopełk (Rajmund Jaworowski), jego zastępca ob. Stary (śp. Adam Skwarczyński), Andrzej (Kazimierz Sawicki), Sęp (śp. Janusz Dłużniakiewicz) i Waligóra (Stanisław Hempel). Pododdziałami dowodzili nieetatowi oficerowie ob. Stanisław (Tomasz Arciszewski) i Bolesław Zawadzki. Pododdział Stanisława złożony był z „beków“, tj. byłych członków Organizacji Bojowej P.P.S. Zastępcą ob. Stanisława był ob. Bernard (Bronisław Galbarz). Pododdział Zawadzkiego złożony był z młodziutkich skautów-wywiadowców. Zastępcą Zawadzkiego był nauczyciel gimnazjalny, dawny mój znajomy, ob. Mirski (Tadeusz Młodkowski).

Wśród „beków“ spotkałem dawnych kolegów: śp. Zygmunta Zahorskiego („Lubicza“), braci Kuczewskich i kilku innych.

Becy byli „w cywilu“ i powołani byli do zadań dywersyjnych na tyłach nieprzyjaciela. Skauci przeznaczeni byli do bliskich wywiadów i służby łącznikowej.

Ja zostałem przydzielony do Komendy oddziału i miałem pełnić funkcje adiutanta, czy sekretarza oddziału wywiadowczego. Miałem pewne trudności w wykonywaniu tych funkcji ze względu na obandażowaną rękę, mimo to od razu wpadłem w wir roboty. Dano mi mnóstwo nieuporządkowanych adresów, z których musiałem ułożyć sieć organizacyjną punktów oparcia dla naszych agentów. Miałem codziennie znaczyć chorągiewkami położenie wojenne. Wreszcie obowiązkiem moim było badanie i przesłuchiwanie wszystkich przejeżdżających przez Kielce, zatrzymanych na rogatce przez posterunki skautowskie i odstawianych do Biura Wywiadowczego. Ta praca pochłaniała mi niemal cały dzień. Wstawałem o 5, a pracę kończyłem nieraz o 1 w nocy. Nie było mowy o wychodzeniu na miasto, zostałem przykuty do stolika. Ale praca była przyjemna, zajęcie ciekawe.

Od przyjezdnych zbierałem mnóstwo informacji, z których codziennie zdawałem sprawozdanie na odprawie oficerskiej u komendanta oddziału. Czasem miałem dużo trudności z wydostaniem jakiejś informacji, zwłaszcza od chłopów lub żydów, ale po kilku dniach tak dokładnie orientowałem się, co się dzieje w rejonie między Wisłą a Pilicą, że zmuszanie do mówienia prawdy nie robiło mi żadnej trudności.

Na tym jednak nie kończyły się moje obowiązki. Prowadziłem coś w rodzaju referatu prasowego. Gromadziłem wszelkie czasopisma i zestawiałem na ich podstawie komunikaty o sytuacji wojennej. Toteż wiedziałem teraz, co się dzieje nie tylko na naszym odcinku frontu, ale na całym świecie. Niemcy wciąż zbliżali się do Paryża, gdy Moskale pomimo „zwycięstw“ austriackich pod Kraśnikiem i Niedrzwicą coraz bardziej parli do Lwowa.

Na codziennych odprawach oficerskich u komendanta Świętopelka wszyscy oficerowie oddziału zdawali sprawę ze swych całodziennych czynności. W odprawach tych prócz „etatowych“ oficerów, to jest przyznanych oddziałowi przez Komendanta Głównego, brali udział oficerowie „nieetatowi“, tj. mianowani jedynie przez komendanta oddziału. Do tych ostatnich należeli 3 oficerowie oddziału „beckiego“, nie biorący udziału w odprawach, gdyż byli stale w rozjazdach „na robocie“ aż po Końskie, czy Przedbórz, oraz pełniący funkcje oficerskie w oddziale ob. ob. Tetera (Stanisław Długosz), Walipagórek (Zygmunt Hempel) i ja.

Po odprawie obowiązkowo wszyscy pod komendą ob. Świętopelka udawali się do Smolińskiego, ja jedynie musiałem zostawać, aby przesłuchiwać przejezdnych.

Praca w oddziale była ciężka, nie miałem możności odwiedzenia znajomych w Kielcach, nie orientowałem się, jakie nastroje panują wśród ludności miasta. Na odwrót doskonale orientowałem się w nastrojach poza Kielcami z powodu badania nielicznych zresztą inteligentów, przejeżdżających przez miasto. Z wyjątkiem jednego tylko adwokata Zubowicza, zdecydowanego niepodległościowca, jadącego z Warszawy do Krakowa celem nawiązania kontaktu z krakowskimi sferami politycznymi, wszyscy inteligenci odnosili się do nas obojętnie, jeśli nie wrogo. Wszyscy powtarzali hasła rzucane przez „Dwugroszówkę” — neutralności, passywizmu lub nawet przejęci byli „wielkoduszością” odezwy Mikołaja Mikołajewicza. Nawet Henryk Sienkiewicz, którego nasi kawalerzyści odwiedzili w Obłęgorku podczas postoju w Tumlinie, przyjął ich wprawdzie serdecznie i gościnnie, ale czynnie zaangażować się nie chciał i pojechał przez Kielce do Krakowa, skąd udał się do Szwajcarii, aby już nigdy do kraju nie wrócić.

Organizacja Legionów posuwała się powoli naprzód. W Krakowie i we Lwowie tworzone nowe oddziały. Komendantem Legionów mianowano emerytowanego c. k. pułkownika Rajmunda Baczyńskiego, podobno z narodowości Ukraińca. Szefem Sztabu został c. k. kapitan Sztabu Generalnego Włodzimierz Zagórski, oficer wywiadowczy, który jako syn Rosjanki dłuższy czas spędził w Rosji na wywiadzie na rzecz Austrii. Komendantem Legionu Zachodniego miał być nasz Komendant, komendantem Legionu Wschodniego, organizowanego we Lwowie, ktoś z ramienia Narodowej Demokracji.

Tymczasem rozchodzą się słuchy, że będziemy musieli złożyć przysięgę, przepisaną dla wojska austriackiego. Na odprawie w dniu 3 września komendant Świętopełk zawiadomił nas, że najutrz odbędzie się przysięga. Na wszystkich nas wywarło to przygnębiające wrażenie. Porywczy ob. Walipagórek zerwał się i oświadczył, że żadnej przysięgi Franciszkowi Józefowi składać nie myśli. Zanosilo się na akt niesubordynacji, który ob. Świętopełk zażegnał oświadczeniem, że my na przysięgę nie pójdziemy i że on sam złoży przysięgę za oddział wywiadowczy.

4 września na placu Katedralnym odbyła się przysięga. Nie widziałem jej, gdyż zgodnie z rozkazem ob. Świętopełka pełniłem służbę w oddziale. Na ogół wywarła ona przykre wrażenie na wszystkich.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że przysięgę złożyć trzeba, bo tak zdecydował Komendant. Ale niesmak tego aktu długo jeszcze spać nam nie dawał. Nastrój ten znalazł swój wyraz w znanej piosence legionowej:

„Austriacki generał,
gdy przysięgę odbierał,
wiara cała się cieszyła,
ręce, nogi podnosiła.

A to ci frajda była!
Czy na lądzie, czy wodzie
czy kto stoi, czy siądzie
Czy kto chudy, czy mizerny
Zawsze Austrii będzie wierny
O Boże miłosierny!”

Na ogół jednak złagodził nieco sprawę zwrot użyty przez kpt. Zagórskiego, który odczytując rotę przysięgi, przepisaną dla c.k. pospolitego ruszenia, składaną w języku polskim, po słowach „cesarzowi Austrii, Królowi Węgier“ dodał słowa „Królowi polskiemu“. Do dziś nie wiem, czy sprawa ta została wyjaśniona, czy kpt. Zagórski zrobił to na własną rękę, czy miał takie polecenie c. i k. władz. W każdym razie poza tym jedynym wypadkiem przysięgi w Kielcach nigdy dodatek ten w przysiędze dla legionistów nie był później stosowany. Na odwrót zaś Austriacy nigdy I Brygady nie uważali za część składową c. i k. Legionów, skoro jeszcze w roku 1916 w rozkazach austriackich pisano: „Division der Polnischen Legionen“ odnośnie do II i III Brygad, a o nas mówiono: „I Polnische Brigade“, co komentowano w ten sposób, że I Brygada nie jest częścią składową Legionów, bo złożyła przysięgę Królowi polskiemu.

Tymczasem czas płynął szybko, zwłaszcza że pracy było coraz więcej. Komendant Świątepek był bardzo wymagający i niezmiernie gwałtowny. Raz nawet niezadowolony z raportu któregoś z wywiadowców zerwał ze ściany telefon i rzucił nim o ziemię. Poza tym jednak warunki pracy, zakwaterowania, wyżywienia były znakomite, a sprawy gospodarcze spoczywały w ręku doświadczonej ob. Resowej (Felixsowej Perlowej).

Wiadomości, które otrzymywaliśmy, były coraz gorsze. 7 września dowiedzieliśmy się, że od 4 dni Moskale są już we Lwowie. Armie Dankla i Auffenberga były w pełnym odwrocie spod Lublina. Moskale zajęli Łódź i Piotrków i powoli zbliżali się do Kielc. Niemcy opuścili linię kolejową Herby—Kielce, Moskale wpadli do Włoszczowej i Ludyni. Widziano ich pod Suchedniowem, a nawet pod Chęcinami. Wprawdzie strach ma wielkie oczy, ale trzeba się było liczyć z możliwością otoczenia. Załoga Kielc była znaczna: 5 baonów strzelców, baon landszturmu austriackiego i 2 baony niemieckiego z półbaterią artylerii. Całość taktycznie nie podlegała

Komendantowi Piłsudskiemu, chociaż był on Komendantem garnizonu, a służba placu była w naszych rękach.

My w oddziale wywiadowczym orientowaliśmy się w sytuacji, ale reszta załogi nie miała najmniejszego pojęcia o niebezpieczeństwie. Toteż, gdy 9 września wieczorem przyszedł rozkaz przygotowania się do wymarszu, zaskoczyło to wszystkich. Z początku nikt nie chciał wierzyć, że opuścimy Kielce, tę jedyną naszą bazę operacyjną w Królestwie. Pierwotnie łudzono się nadzieją, że wyruszamy na północ w kierunku nieprzyjaciela, ale gdy zbiórka wyznaczona została na szosie w kierunku Chmielnika, wszelkie złudzenia przysły. Odwrot! po blisko 3 tygodniowym postoju opuszczamy Kielce, z którymi już zdołaliśmy się żyć, których nastrój coraz bardziej zdawał się być nam przychylny. Widocznie Komendant nie miał innego wyjścia, nie mógł wyodrębnić się z ogólnego odwrotu frontu niemiecko-austriackiego. Późnym wieczorem — rozkaz odwrotu odwołano. Noc przeszła spokojnie. Nazajutrz rano wyszedłem na miasto po gazety i przechodząc przez ulicę zauważyłem, jak żydzi z pośpiechem zrywają płótna, którymi zasłonięto rosyjskie napisy na szyldach. Coraz więcej napisów rosyjskich widać na sklepach. W Kielcach od kilku dni panował już popłoch, który teraz przeszedł w panikę. Sklepy to zamykają, to otwierają. Towary pochowane, nic dostać nie można, koron austriackich już nie chcą przyjmować. Inteligencji prawie nie widać, wszyscy, którzy się zaangażowali w akcji legionowej, na gwałt wyjeżdżają. Aby umożliwić reszcie wyjazd zostaliśmy o dzień jeden dłużej już po wymarszu Austriaków.

Dnia 10 września o godz. 11 — zbiórka. Oddział wywiadowczy miał plac alarmowy na ul. Wniebowstąpienia. Oddział nasz rozrósł się w Kielcach. Prócz „skautów“ i „beków“ mamy oddział żeński i pluton rekrutów, sformowany z ochotników z Suchedniowa. Ten ostatni czasowo przyłączony został do służby cywilnej.

Ostatnia odprawa. Ob. Świętopełk zawiadamia nas, że oddział musi się podzielić na 2 grupy; oddział wywiadu taktycznego, złożony ze skautów i beków pod komendą ob. Świętopełka, i oddział wywiadu strategicznego, złożony z oddziału żeńskiego i plutonu rekrutów. Pierwszy odmaszeruje razem z batalionami 1. p. p. i będzie pracował na bliższy dystans, drugi pod komendą ob. Starego odjedzie kolejną na tyły do Olkusa. Jeden z nas pojedzie z ob. Starym jako komendant plutonu rekruckiego. Z powodu ciągle ślimaczącej się rany palca — wybór padł na mnie.

Odmarsz. Pożegnanie. Pierwsza część odeszła na szosę do Chmielnika. Druga — pod pałac gubernatorski, gdzie była już zebrana służba cywilna, która wraz z nami jedzie do Olkusa.

Przykry był nasz przemarsz przez miasto. Mieszkańcy patrzyli na nas jakby z wyrzutem, że ich opuszczamy. Przygnębienie było ogólne, ale nadrabialiśmy miną, zresztą jesteśmy zupełnie pewni, że tu jeszcze wrócimy.

Na dworcu zastajemy Ligę Kobiet, kilkanaście osób cywilnych, skompromitowanych wobec władz rosyjskich, i tzw. VI batalion rekrutów, zwerbowanych w Kieleckim. O 2 ruszyliśmy. Był to ostatni pociąg, który odszedł z Kielc. Bezpośrednio po jego odejściu rozległy się detonacje wysadzanych zwrotnic i szyn. To bęcy kończyli swe dzieło.

Epopeja kielecka, pierwszy etap naszej walki o niepodległość — skończona.

W SŁUŻBIE WYWIADOWCZEJ

Do dnia ewakuacji Kielc uważałem, że „morale“ żołnierza polega na tym, aby nigdy się nie cofać. Wydawało mi się, że należy zwyciężać lub ginąć. Toteż wycofanie się z Kielc było dla mnie nie tylko bardzo ciężkim ciosem, ale i nauką. Przekonałem się, że sprawdzianem ducha żołnierza jest nie zachowanie się w chwilach zwycięstw i tryumfów, ale właśnie w chwilach najcięższych, w czasie klęsk i odwrotów. Dobry żołnierz nie traci ducha w najcięższych chwilach i to zarówno na froncie jak na tyłach, gdzie tego ducha utrzymać jest znacznie trudniej. Na tyłach mamy do czynienia z elementem moralnie słabszym, który o wiele łatwiej poddaje się panice, niż żołnierz frontowy. Los zrządził, że te najcięższe chwile przeżyłem na tyłach w służbie wywiadowczej, tak samo jak w sześć lat później w Oddziale II miałem przeżyć natarcie na Warszawę.

Służba wywiadowcza ma to do siebie, że daje dużo zadowolenia z pracy. W tej służbie wie się znacznie więcej, niż w każdej innej, a ta „wiedza“ daje pewność siebie. Kiedy w roku 1920 ponownie znalazłem się w tej służbie i 15 sierpnia byłem w licznym towarzystwie w Warszawie, gdzie panował wówczas popłoch i panika, w odpowiedzi na trwożliwe głosy, zwracające mi uwagę na rzekomo zbliżający się huk armat z pod Radzyna — zupełnie spokojnie odpowiedziałem, że są to ostatnie odgłosy armat, jakie tu słyszeć, bo jutro bolszewicy będą już w odwrocie. Wszyscy spojrzeli na mnie z politowaniem, jako na człowieka, który nie wie, co mówi, ale moja pewność siebie dała im wiele do myślenia. Jako oficer wywiadowczy wiedziałem już o decyzji Komendanta z dnia 6 sierpnia i o terminie rozpoczęcia ofensywy z nad Wieprza. To dawało mi taką pewność siebie, że mimo woli udzieliła się i innym. Służba wywiadowcza nie jest służbą łatwą, wymaga nie tylko dużej inteligencji od tych, którzy do niej przystępują, ale wymaga również dużej siły charakteru. Tym, którzy pracują w tej służbie, daje nie tylko pewność siebie, ale pozwala dodatkowo oddziaływać na otoczenie, dodawać ducha innym. Ludzie o słabym charakterze mogą się w tej służbie załamać łatwiej i szybciej, niż

gdziekolwiek indziej, a nawet mogą stać się źródłem paniki i upadku ducha wśród otoczenia, jeśli nie panują nad swymi nerwami.

Służba wywiadowcza wymaga ponadto dużego wykształcenia wojskowego, które pozwala na podstawie drobnych szczegółów, zdobytych przez wywiad, odtworzyć organizację, czy ordre de bataille przeciwnika. Toteż oficer wywiadowczy musi być wybierany spośród najzdolniejszych oficerów sztabu generalnego, musi bowiem być równie dobrym organizatorem, który zna w szczegółach nie tylko własną organizację, ale i nieprzyjaciela, jak i operatorem, który zorientuje się zarówno w działaniach operacyjnych własnych jak i nieprzyjacielskich.

Poglądy te urobiłem sobie dopiero później na podstawie doświadczeń uzyskanych w służbie wywiadowczej, ale już wówczas miałem przebliski ważności tej służby i szczyłem się tym, że mnie do niej powołano. Żał mi było rozstawać się z linią, ale na duchu nie upadałem. Uważałem, że obowiązkiem moim jest świecić przykładem. Zresztą w podróży z Kielc znalazłem się pod dobrą komendą ob. Starego, wraz z którym wsiedliśmy do wagonu towarowego, przeznaczonego dla oddziału żeńskiego. Komendę nad tym oddziałem sprawowała ob. Ola, która wraz z ob. Westą (Stefania Minkiewiczowa), należały niegdyś do Organizacji Bojowej P. P. S., bywały więc pod wozem i na wozie, nigdy nie traciły ducha i teraz spokojnie patrzyły w przyszłość jak wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli do czynienia z Komendantem i wierzyli Mu bezgranicznie.

Pociąg nasz, złożony wyłącznie z wagonów towarowych, posuwał się powoli przez Chęciny, Jędrzejów, Miechów. Wyruszyliśmy z Kielc o 2 po południu. Miechów mineliśmy późnym wieczorem. W nieoświetlanych wagonach nie mogliśmy się nawet zorientować, która była godzina. W myśl rozkazu ob. Świętopełka mieliśmy zatrzymać się w Olkuszu. O celu podróży reszty transportu nic nie wiedzieliśmy. Komendantem transportu był komisarz cywilny, późniejszy oficer artylerii legionowej, śp. Zygmunt Klinger, zapewne poinformowany o tym, dokąd jedziemy. Gdy pociąg stanął w Olkuszu, oczekiwaliśmy rozkazu wyładowania. Tymczasem nadeszły rozkazy, aby batalion rekrucki jechał dalej, gdyż ma się wyładować w Krakowie. Komendant transportu nie zawiadomił nas o tym i ku naszemu zdziwieniu pociąg nagle ruszył dalej. Nie otrzymawszy rozkazów o zmianie miejsca postoju powinniśmy zostać w Olkuszu, ale było już za późno. Przed świtem pociąg stanął w Strzemieszycach. Ob. Stary wyładował nasz oddział, co spotkało się ze sprzeciwem pruskiego komendanta dworca. Po dłuższych pertraktacjach udało się nam uzyskać jego zgodę na powrót do Olkusza najbliższym pociągiem. Koło

4 rano — ruszamy z powrotem. W Olkuszu — nowa przeprawa. Tym razem z austriackim komendantem dworca, w dodatku Polakiem, który nas nie chce wpuścić do miasta. Zgodził się w końcu puścić pluton rekrucki, ale za nic na świecie nie chce puścić oddziału żeńskiego. Wobec tego ob. Stary zostaje na dworcu, a ja z plutonem maszeruję do miasta. Na rynku bezskutecznie szukam naszego „Komisariatu Wojsk Polskich“, czy Komendy Placu. Wreszcie w jakiejś bocznej uliczce wskazują mi koszary „legionistów“. Komendantowi warty poleciłem rozkwaterować mój pluton, a sam z ordynansem idę na kwaterę komendanta placu, ob. Jura (Jana Gorzechowskiego). Śpi jeszcze, ale go zbudzono i wraz ze mną idzie do komisarza powiatowego, którym był tu dr Kiernik. We trzech udajemy się więc do „starosty austriackiego“, którym był także Polak — por. Rozwadowski.

W Starostwie zastaliśmy już ob. Starego i cały oddział żeński, który komendant dworca odstawił do starostwa. Wkrótce zdołaliśmy uwolnić się z tej „niewoli autriackiej“. Nie mieliśmy jednak żadnych papierów, czy legitymacyj i to było powodem naszych nieporozumień z Austriakami.

Ob. Stary przystąpił niezwłocznie do zainstalowania oddziału w Olkuszu i urzędnienia biura. Ja rozstawiłem posterunki dokoła miasta i rozpocząłem przesłuchiwanie przejezdnych systemem wypraktykowanym w Kielcach. Ob. Stary wysłał wywiadowczyńnię z oddziału żeńskiego, które zaraz w pierwszym dniu wyruszyły do Warszawy, Łodzi i Radomia.

Na pierwszy obiad dostaliśmy zaproszenie do inżynierostwa Osmołowskich, gdzie kwaterował ob. Jur. Poznaliśmy tam doktorostwa Buchowieckich i inż. Minkiewiczów, tj. całe sympatyzujące wówczas z nami społeczeństwo olkuskie. Wolne chwile od zajęć spędzaliśmy w towarzystwie panien: Buchowieckiej i Izy Osmołowskiej oraz dr. Witoszyńskiej, znanej mi ze słyszenia jeszcze z Genewy, która troskliwie zajęła się moim wciąż jeszcze ropiącym palcem.

Rozgościliśmy się na dobre w Olkuszu, kiedy patrol ułański pod komendą ob. Kazimierza Stamirowskiego zawiadomił nas, że Kozacy są już w Ogródzieńcu i Pilicy. Bezpośrednio po otrzymaniu tej wiadomości, a w 3 dni po przybyciu do Olkusza, 14 września, otrzymaliśmy z Komendy Austriackiej rozkaz natychmiastowej ewakuacji Olkusza.

Powtarzały się sceny dobrze znane z okresu ewakuacji Kielc. Wyjeżdżamy, a wraz z nami doktorostwo Buchowieccy z córką, inż. Minkiewiczowie i dr Witoszyńska. I znowu jedziemy pociągiem „wojskowym“, czyli z szybkością 5 km na godzinę. Podróż z Olkusza do Krakowa trwała całą noc. W Szczakowej czekała

nas gorąca owacja. Rano stanęliśmy w Krakowie, dokąd wracałem po 6 tygodniowym „wojowaniu“. Stary Kraków nie zmienił się bardzo. Wszędzie tylko wojska pełno, a przede wszystkim Legiony, Legiony, Legiony. Pełno ich na ulicach, w kawiarniach, na plantach. Nasze pięć batalionów nazwano 1. pułkiem, tu sformowano już 2. pułk, a 3. się formuje. Wprawdzie zrobił trochę zamieszania Legion Wschodni, który miał być „domeną“ Narodowej Demokracji, ale Legion Zachodni się tworzy. Wobec tego, że Legion Zachodni miał być pod komendą Józefa Piłsudskiego, jako męża zaufania Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, więc Legion Wschodni „musiał“ być pod komendą męża zaufania Centralnego Komitetu Narodowego, czyli N. D. Nasze partie polityczne uważały, że nawet w wojsku musi być „podział wpływów“. Rezultat był ten, że Legion Wschodni przed inwazją rosyjską wymaszerował ze Lwowa w kierunku południowo-zachodnim. Niewycwiczony, niewyekwipowany, nieuzbrojony żołnierz Legionu Wschodniego został wystawiony przez menerów endeckich na nieprawdopodobną próbę. Pędzono go o chłódzie i głódzie, przy czym na tak zmordowanego i zdemoralizowanego żołnierza zaczęto wywierać nacisk, aby dobrowolnie zgłaszał się do wojska austriackiego, gdzie będzie miał i wyżywienie i ekwipunek i będzie miał prawo „dekować się“, aby nie walczyć z rodakami z armii rosyjskiej. Gdy Legion Wschodni wyczerpany do cna doszedł do Mszany Dolnej, nacisk „naganiaczy“ endeckich Wierczaka i Biegi pod ogólnym patronatem hr. Aleksandra Skarbka doszedł do zenitu. Rozegrały się smutne wypadki, zakończone rozwiązaniem Legionu Wschodniego. Większość odeszła do wojska austriackiego, część internowano, nieliczna garstka, która wytrzymała to piekło, wcielona została do 3. p. p. Legionu Zachodniego.

Narodowi Demokraci najgorszego, bo austriackiego autoramentu — dopięli swego. Ale mało im było, pragnęli rozbić i Legion Zachodni. Wobec tego, że nie można było liczyć na zdemoralizowanie żołnierza ideowego, który szereg lat gotował się do walki o niepodległość, zastosowano inne metody: pragnęli zohydzić Legiony. W tym celu Stanisław Stroński, członek N. K. N., pod pozorem, że Moskale nie uznają Legionów jako kombatanatów, o ile nie będą miały widomych znaków przynależności do austriackiego pospolitego ruszenia, wyjednał u władz austriackich, aby „zezwoili“ legionistom nosić na rękawach opaski czarno-żółte pospolitego ruszenia.

Legioniści w Krakowie nałożyli opaski, my — wolni strzelcy nigdy byśmy czegoś podobnego nie włożyli. Brak opasek u strzelców Piłsudskiego stał się przyczyną licznych aresztowań i kon-

fliktów z władzami austriackimi, które kategorycznie domagały się noszenia opasek. Mimo to nikt z 1. p. p. opasek tych nie nosił.

Biuro nasze zostało zainstalowane w mieszkaniu posła Ignacego Daszyńskiego. Kwatera mego plutonu znajdowała się w jakimś niezajętym sklepie na ul. Św. Jana. Ja początkowo zamieszkałem u wuja mego na Czerwonym Prądniku, ale wkrótce przeniosłem się do Biura. Wobec tego, że ob. Stary polecił mi teraz intensywne szkolenie plutonu, nie biorę więc już udziału w pracach wywiadowczych Biura, a pośrednio nie uczestniczę również w walce, jaka się rozwija między naszym oddziałem a Biurem Wywiadowczym c. i k. Komendy Legionów, zorganizowanym przez kpt. szt. gen. Włodzimierza Zagórskiego i powierzonym pierwotnie Zygmuntowi Klingerowi, a następnie por. Zygmuntowi Dzwonkowskiemu. Zagórski usiłuje zwerbować do siebie nasze wywiadowczynie, co naturalnie nie idzie mu łatwo, boć wszystko są to nasze ideowe koleżanki ze Związków i Drużyn Strzeleckich, które jedynie z pobudek ideowych pełnią służbę wywiadowczą, ale w żadnym wypadku nie będą pracować dla c. i k. austriackiej Komendy Legionów.

O walce tej wiem tylko pośrednio, gdyż omawiamy ją podczas obiadów na Topolowej, gdzie jadamy z ob. Starym w domu matki ob. Ignacego. Spotykamy przedstawiciela naszego pułku przy N. K. N. kpt. Mariana Kukiela oraz komendanta placu ppor. Kazimierza Świtalskiego.

Oficerowie w Krakowie już mają rangi i gwiazdki, a my jedynie czerwone sznurki i tym odznaczamy się od innych oficerów Legionów.

Na obiadach na Topolowej omawiamy sprawy rozwiązania Legionu Wschodniego, z którego tylko jeden batalion, przyprowadzony przez kpt. Józefa Hallera, wcielony został do 3. p. p. Wśród maruderów 1. p. p. są teraz wahania, słabsze jednostki zgłaszają się do wojska austriackiego, ale są to sporadyczne wypadki, wszyscy bowiem wiemy, że Komendant „wie co robi” i my jedynie posłuszni Mu być musimy.

Tymczasem Rosjanie rozwinęli swój „walec parowy” i prą ciągle na zachód. Po bitwie pod Gródkiem Jagiellońskim oblegli Przemyśl, zajęli Rzeszów, a patrolami docierają już do Dębicy. Nasz pułk walczy nad Wisłą broniąc przed Moskalami przeprawy pod Nowym Korczynem i Opatowcem. Przychodzą wieści o pierwszych stratach.

Zignął strzelec lwowski ob. Krynicki — Tymkowicz, zginął Janusz Bernatowicz, beliniak, którego widziałem ostatni raz w Jędrzejowie.

Na zachodzie jakoś Niemcom przestało się powodzić. Szumnie zapowiadany pochód na Paryż zatrzymał się nad Marną. Niech ich biją na zachodzie, byleby zwyciężali na Wschodzie i wypędzili Moskali z Królestwa. Na szczęście na tym froncie Hindenburg zadał klęskę w Prusach Wschodnich i przepędził ich z Suwałk i Augustowa. Po rozwiązaniu Komisarjatów wojsk polskich w Kieleckim zorganizowano ze służby cywilnej „Polską Organizację Narodową“ (P. O. N.), która wydaje dalej „Dziennik Urzędowy“ nominalnie w Strzemieszycach, faktycznie w Olkuszu, a następnie w Krakowie. Ale poza tym zajmuje się organizacją niezależnego od c. i k. Komendy Legionów — „Legionu Zagłębia Dąbrowskiego“ w Częstochowie i Dąbrowie. Niemcy na razie to tolerują i coraz to któryś z oficerów 2. i 3. pułków, „wieje“ do Zagłębia, a stamtąd do niezależnego od austriackiej Komendy — Legionu. Tam też pojechał i brat mój Mieczysław, który po trzytygodniowym więzieniu zdołał się wydostać na wolność i był w 3. p. p., gdzieś w Choczni, koło Wadowic.

A kiedy uderzył w nas nowy cios, piekielnie obmyślany przez endeków — wysłanie 2. i 3. pułków na Węgry, wówczas wedle instrukcji Komendanta cała masa oficerów 2. i 3. p. p. z ob. Ryszardem, komendantem baonu w 3. p. p., na czele, wyruszyła do Zagłębia. Do instrukcji Komendanta nie zastosowali się pod tym względem tylko dwaj byli oficerowie 1. p. p. — Marian Januszajtis, b. komendant naczelny Drużyn Strzeleckich i Paweł Kittay, b. komendant kompanii „Strzelca“ krakowskiego. P. O. N. przygotowuje wyprawę do Suwałk, aby i na tamtym terenie spróbować swych sił, ale wyprawa ta nie dochodzi do skutku. Kraków coraz bardziej pustoszeje. Kpt. Kukiel odprowadził baon uzupełniający do 1. p. p., na Węgry odeszły 2. i 3. p. p. Pozostała tylko artyleria ob. Brzozy, która ćwiczy w Przegorzałach. Jest tam brat mój cioteczny, Tadeusz Procner, przez którego nawiązuję kontakt po raz pierwszy z „naszą“ artylerią.

Tymczasem w oddziale wywiadowczym zaszły zmiany. Komendant Piłsudski polecił ob. Świętopelkowi udać się wraz z całym oddziałem do Krakowa, gdyż wywiad taktyczny przejęła całkowicie kawaleria Beliny, a wywiadów strategicznych nie można było prowadzić na froncie. Wobec tego jednak, że ob. Świętopelk nie chciał porzucić linii, na komendanta oddziału wywiadowczego wyznaczono ob. Eugeniusza Tora.

Nowy komendant bezpośrednio po objęciu naszego oddziału zdecydował, że nie podobna jest siedzieć na miejscu w Krakowie, ale należy utworzyć ekspozytury i placówki Biura Wywiadowczego przede wszystkim na terenie Królestwa. Pierwszą taką placówką na terenie okupacji niemieckiej miała być ekspozytura w Często-

chowcie. Drugą ekspozyturę na terenie okupacji austriackiej miałem zorganizować ja. Nie wyznaczono mi miejsca tej ekspozytury, bo wobec rozwijającej się ofensywy nie można było z góry określić, gdzie będzie dla niej najdogodniejsze miejsce. Ob. Tor udał się ze mną do c. i k. Komendy Twierdzy, gdzie od austriackiego por. Morawskiego otrzymałem legitymacje potrzebne mi dla władz austriackich, aby nie robiły mi trudności w organizowaniu ekspozytury na terenie okupacji austriackiej.

Miałem jechać więc do Królestwa i zorganizować ekspozyturę możliwie blisko frontu. Jako punkt wytyczny na razie wskazano mi — Kielce, jednakże wobec rozwoju słynnej ofensywy 9. armii Hindenburga, która z rejonu koncentracji na Śląsku ruszyła w kierunku na Kielce — Radom — Dęblin oraz Łódź — Łowicz — Skierniewice, nie widziałem na razie, gdzie mi się oprzeć wypadnie.

Przed wyruszeniem do Kielc miałem rozkaz wstąpić do Częstochowy, aby przygotować kwatery dla Centrali Biura Wywiadowczego, która lada dzień miała się przenieść do Częstochowy, gdyż tam tworzył się ośrodek organizacji „Legionu Zagłębia Dąbrowskiego“, formowanego przez ob. Ryszarda na terenie okupacji niemieckiej.

ORGANIZACJA LEGIONÓW W KRÓLESTWIE

5 października wyruszyłem w towarzystwie ob. Pociuchy (Wandy Piekarskiej) z Krakowa, aby przez Katowice—Sosnowiec dotrzeć do Częstochowy. Przybywszy na miejsce zastaje tu stosunki przypominające czasy kieleckie. Organizacja Legionów w Królestwie rozwija się w całej pełni. Wprawdzie Komenda miasta jest w rękach niemieckich, ale urzęduje już nasz Komisariat Polskiej Organizacji Narodowej, jest nasza Komenda placu i formująca się kompania ochotnicza Wojsk Polskich. Nastrój w mieście nie lepszy jak w Kielcach, bezpośrednio po zajęciu przez nas miasta. A nawet kwitnie tu moskalofilstwo, z jakim się w Kielcach nie spotykałem. Toteż jesteśmy w społeczeństwie tutejszym odosobnieni. Bawię tu 3 dni, przygotowuję kwatery dla Biura Wywiadowczego, którego spodziewamy się lada dzień. Załatwiwszy wszystko, 9 października rano wyruszam do Kielc, tym razem w towarzystwie ob. Marii Popielówny. Musimy jechać okreśną drogą na Sosnowiec, bo kolej Herby—Kielce jeszcze nie funkcjonuje. Drogę mieliśmy straszną. Z Częstochowy do Kielc pociąg „wojskowy“ szedł — 3 dni. Na każdej stacji staliśmy po kilka godzin, bo linia jednotorowa zagwożdżona była wojskowymi transportami żywności i amunicji dla 9. armii niemieckiej. W Sędziszowie staliśmy 12 godzin. Jedynym jasnym wspomnieniem tej strasznej drogi, w czasie której musiałem bronić ob. Popielównę przed agresywnością oficerów niemieckich, był postój w Jędrzejowie. Miasto to, podobnie jak i rok później Lublin, było istną oazą wśród pustyni moskalofilstwa. Nas, legionistów, witano tu zawsze z prawdziwie polską gościnnością. Toteż, gdy w bufecie kolejowym zobaczono mój mundur legionowy, nie chciano słyszeć o zapłacie za cokolwiek i wprost demonstracyjną zgotowano mi owację wobec przyglądających się Niemców.

Po całonocnym postoju w Chęcinach dobrnęliśmy wreszcie do Kielc. Poczciwe, kochane Kielce, jakże się zmieniły w ciągu miesiąca! Wszyscy dopytują się o znajomych strzelców, co się z nimi dzieje, wszak wywieźliśmy stąd cały baon rekrutów, który niestety wcielono do 3. p. p. i wysłano na Węgry. Pomimo serdeczności

wieje tu jakiś chłód i jabky żal do nas, żeśmy wydali miasto na pastwę Moskali. Toteż teraz już z większą rezerwą odnoszą się do nas, niż dawniej. Inaczej jest tylko w domu pp. Filipkowskich, gdzieśmy się zatrzymali. Zastaliśmy tu już ob. Westę, która po nas wyjechała z Częstochowy, ale jadąc już wprost linią Herby—Kielce wcześniej dotarła na miejsce.

Jest tu również ob. Waligóra, którego wysłał ob. Świętopelk, na nowo organizujący swój oddział wobec rozpoczętej ofensywy. Porozumiewam się z ob. Waligórą i ustalamy, że będziemy pracować razem, bo nie ma celu organizowania dwóch ekspozytur obok siebie. Dochodzimy również do przekonania, że Kielce są już zbyt daleko za frontem i że trzeba naszą połączoną ekspozyturę przenieść do Radomia. W Radomiu jest już kilka niewiast, zabieramy więc te, które są w Kielcach i jedziemy do Radomia.

Idę więc do austriackiego K-Stelle i próbuję wyłudzić od nich samochód, bo linia Kielce—Radom jeszcze nie czynna. Niestety, samochodu uzyskać mi się nie udało, więc decydujemy się na podróż końmi, których dwie pary ma Waligóra do swej dyspozycji.

13 października raniutko wyruszamy z Kielc, serdecznie żegnani przez pp. Filipkowskich. Przodem jedzie bryczką Waligóra z ob. Pocięchą, która wraz z ob. Westą przyjechała z Częstochowy. Za nimi jadę ja powozem z ob. Wandą (Filipkowską) i ob. Westą. Ob. Popielówna pozostaje jako łącznik w Kielcach.

Na obiad zatrzymujemy się w Suchedniowie. Przyjęli nas bardzo gościnnie pp. Łuniewscy, którzy jednak politycznie trzymają się jeszcze w rezerwie. Po krótkim postoju, gdy wytchnęliśmy trochę i konie wypoczęły — ruszamy dalej. Na drodze tysiące wozów, samochodów. Im bliżej frontu, tym większy ruch na szosie. Dotarliśmy wreszcie do kolumn taborowych 9. armii, które nieprzerwanym szeregiem wozów zatarasowały kompletnie drogę. Usiłujemy wymijać kolumny, co na razie z trudem nam się udaje. Zimno dotkliwie dokuca, bo płaszczy nie mamy. W Szydłowcu, pełnym Prusactwa, nie zatrzymujemy się zupełnie, dopiero w następnej wsi wchodzimy do budki drożnika szosowego, aby ogrzać się nieco i wypić szklankę mleka. Wieczór już zapadł, a posuwać się jest coraz trudniej. Od Orońska kilka kolumn taborowych posuwa się obok siebie, nie podobna już ich wyminąć. Jedziemy noga za nogą. Zatrzymanie się taborów wykorzystujemy, aby obok szosy wyminąć je. Napotykamy teraz maszerujące kolumny piechoty niemieckiej. Jesienny deszcz chlupie, zimny wiatr przenika do kości, ciemności straszliwe nie pozwalają zorientować się na drodze. W pewnym momencie tracimy łączność z bryczką ob. Waligóry. Nagle uczułem uderzenie kolbą w bok powozu i jakiś głos w ciemności zawołał: „Halt! Wer da“? Przy świetle latarki elektrycznej ujrza-

łem jakiegoś feldfebla pruskiego, który nas pytał o przepustki. Zwróciłem mu uwagę na nieodpowiednie zachowanie się wobec oficera Legionów i — jedziemy dalej. Później dowiedziałem się od ob. Waligóry, że miał taką samą przeprawę tylko w dodatku usiłowano skonfiskować mu karabin, w który uzbrojony był woźnica. Nareszcie na prawo od szosy ujrzelśmy łunę na horyzoncie, zwiastującą bliskość Radomia. Około 11 wieczór wjechaliśmy w słabo oświetlone ulice miasta. Zatrzymaliśmy się na placu Soborowym. Ob. Waligóra poszedł do „swoich“ niewiast, aby omówić umieszczenie „moich“. Po chwili wrócił z ob. Maryską, która zabrała nasze niewiasty, a my z ob. Waligórą zajechaliśmy do Hotelu Polskiego.

Po zajęciu numerów w hotelu idziemy na poszukiwanie czegoś do zjedzenia. O tej porze, w myśl zarządzenia władz niemieckich, wszystko w Radomiu zamknięte. Jedyne restauracja Hotelu Rzymskiego, zarekwirowana na kasyno oficerskie, jeszcze funkcjonuje. Po kolacji, zapłaceniu za nią jakiejś bajonńskiej sumy, udaliśmy się na dobrze zasłużony odpoczynek.

Nazajutrz rano udaliśmy się na kwaterę naszych niewiast. Prócz 3 niewiast, które z nami przyjechały, były tu już 3 niewiasty z oddziału Świętopełka: ob. Maryska (Marja Kornilłowiczówna), Jadwiga (Jaworowska) i Zofia (Szybalska). Trzeba się było w Radomiu urządzić. Bawił tu na urlopie ob. Władysław Włoskowicz z oddziału „beków“. Udaliśmy się do niego, ale on choć Radomianin sam nie wiedział, gdzie i co znaleźć można, gdyż dopiero co przyjechał. Wskazał nam jednak adresy „naszych“ ludzi. Niestety wojna tak wiele zmieniła w psychice społeczeństwa, że nie wszyscy „nasi“ przed 2 miesiącami, dziś „naszymi“ pozostali. W ogóle mieszkańcy Radomia przyjmowali nas bardzo chłodno. Szukamy więc kogoś miejscowego, kto szczerze chciałby nam dopomóc. Idziemy więc naprzód do inż. Bilka, związkowca lwowskiego, później do literata Banderckiego, drużyniaka krakowskiego, wreszcie do słuchacza kursów rolniczych w Warszawie Mieczysława Jastrzębowskiego, z Organizacji Młodzieży Narodowej. Ten ostatni wydał nam się najbardziej zdecydowany i istotnie dopomógł nam do zarekwirowania dwóch opuszczonych mieszkań przy ul. Lubelskiej, nadających się na nasze biuro. W jednym umieściliśmy nasze niewiasty, które mieszkaly u jakiejś właścicielki magazynu mód, żony i siostry wojaków rosyjskich, która nie miała żadnego powodu do bezinteresowności w stosunku do legionistów „z Galicji“ i dość słono za kwaterę sobie liczyła. W drugim mieszkaniu umieściliśmy biuro i zakwaterowaliśmy się sami. Niewiasty zajęły się stroną gospodarczą naszego Biura, bo w Radomiu panowała straszliwa drożyzna, a my nie mieliśmy zbyt wiele pieniędzy. I przystąpiliśmy do pracy.

W Radomiu stał wówczas sztab 9. armii Hindenburga. Zobaczyłem zwycięzcę znad jezior Mazurskich, jak przechadzał się po parku Miejskim, który z tego powodu zamknięty był dla publiczności. Musieliśmy nawiązać kontakt z armią „sprzymierzoną”. Udaliliśmy się do sztabu armii, gdzie przyjął nas szef Nachrichtenabteilung, znany już ob. Waligórze z czasu pobytu w Kielcach, kapitan Lüders. Układny i grzeczny, na nasze oświadczenie, że nie władamy płynnie językiem niemieckim, przemówił do nas po rosyjsku, którym to językiem biegle władał. Obiecał nam wszelkie ułatwienia, ofiarował samochód, którym mogliśmy nasze niewiasty odesłać aż do Grójca, będącego już w rękach niemieckich, stąd końmi mogły się dostać do Warszawy. Przy tej okazji zaobserwowałem agentów niemieckich. Byli to przeważnie Niemcy — koloniści, jacyś podejrzani żydzi, sutenerzy i prostytutki, jednym słowem element zdolny do wszystkiego. Ani jednej ludzkiej twarzy. Kpt. Lüders interesował się bardzo, jakim my elementem dysponujemy. Na nasze oświadczenie że pracujemy wyłącznie przy pomocy ideowej młodzieży akademickiej, nie mógł pojąć, aby ktoś bez pieniędzy narażał swe życie dla idei. Proponował nam pomoc pieniężną, którą grzecznie, lecz stanowczo odrzuciliśmy, i równie grzecznie choć kategorycznie odmawiając mu odstąpienia choćby jednego naszego „agenta”. Toteż stosunki nasze ograniczyły się do przyjęcia samochodu dla odwiezienia naszych niewiast do Grójca, za co obiecaliśmy mu dostarczyć w najbliższym czasie kilka numerów dzienników warszawskich.

Zadowoleni z uzyskanego samochodu, wyprawiliśmy dwie nasze niewiasty (Westę i Jadwigę) do Warszawy i czekaliśmy na meldunki zza frontu oraz na rozkazy naszych szefów. Rozglądaliśmy się teraz po Radomiu, badamy nastroje. Radom, którego dotąd nie znałem, jako miasto zrobił na mnie miłe wrażenie. Czysty, większy od Kielc, obecnie w czasie inwazji niemieckiej dziwnie jednak wyludniony. Inteligencja, będąca pod świeżym wrażeniem dzikich gwałtów pruskich w Kaliszu, uciekła niemal w komplecie. Pozostała garść nie była bynajmniej do nas przychylnie usposobiona. Od lat tumaniona przez prasę „narodowo-demokratyczną” nie mogła w ogóle pojąć, aby jakikolwiek samodzielny ruch polski mógł się pojawić w czasie wojny. Wychowywano społeczeństwo w tym przekonaniu, że powstania były szaleństwem, że Polacy mogą coś uzyskać jedynie, gdy się uda im wkraść w łaski cara. I psychicznie inteligencja stała się „nawozem” na trójjaborowej glebie, którym dysponować może jedynie Moskal lub Prusak. Toteż każdy, kto nie chciał się zachwycać „naszymikozakami”, był oczywiście „pruski sługa”. Takie też nastroje panowały wśród ogółu inteligencji radomskiej, a co gorsza ten nastrój udzielał się nawet młodzieży, zalicza-

jącej się do obozu niepodległościowego. Toteż inteligencja uciekła przed „Prusakami“, a częściowo zaciągnęła się nawet „na ochotnika“ do wojska moskiewskiego, lub do kopania rowów w Dęblinie, lojalnie przez Radomian zwanym wówczas Iwangrodem. Strzelców w Radomiu nie widziano. Toteż przyglądano nam się ciekawie, głównie z powodu „maciejówek“, którymi odróżnialiśmy się od Prusaków i Austriaków. Ponieważ błękitne nasze mundury były identyczne z austriackimi, więc przeważnie brano nas za Austriaków, lub w najlepszym razie za „galicyjskich sokołów na służbie austriackiej“, co mówią po polsku, ale palą i grabią gorzej od Prusaków! Któregoś dnia idąc ulicą Lubelską widzę starszego pana, idącego z córką, która zauważywszy mnie zawołała: „Tatusiu! Sokół idzie, jak to miło widzieć polskiego sokoła“. Zapamiętałem te słowa, bo były to pierwsze serdeczne słowa, którymi nas przywitano w Radomiu. Obejrzałem się, a pan ów podszedł do mnie i zapytał dyskretnie, czy nie znam przypadkiem jego syna, który też poszedł do „Sokołów“. Był to p. Osiński, właściciel fabryki narzędzi rolniczych, którego syn ob. Brząk (Tadeusz Osiński) był istotnie w Kadrówce. Naturalnie zaproszono mnie na wieczór do siebie, gdzie spędziłem miło kilka chwil nie w dusznej atmosferze Radomia. W tym czasie dom pp. Osińskich był jedynym domem w Radomiu, który gościł strzelca, obok domu pp. Jastrzębowskich, właścicieli „Gazety Radomskiej“, będącego wówczas oazą legionową w tym mieście.

O pułku nie mieliśmy żadnych wiadomości. Wiedzieliśmy, że wyruszył znad Wisły i przez Sandomierz, Opatów i Ilżę maszeruje w składzie armii Dankła na Dęblin. Łudziliśmy się nadzieją, że nie ominie Radomia i że będziemy mieli okazję powitać go tutaj. Ale kiedy to może nastąpić nie mieliśmy pojęcia.

16 października przed południem szedłem od ob. Włoskowi-cza z ulicy Długiej przez plac Soborowy na Lubelską, gdy spostrzegłem jakieś zbiegowisko na ulicy. Słyszę trąbki. Grają marsza i to marsza strzeleckiego. Czyżby nasi? Biegnę co sił na ulicę Lubelską i spostrzegam maszerującą kolumnę strzelecką. Poznaje znajome twarze. To II baon ob. Norwida. Ulica wita obojętnie to „nowe wojsko“. Patrzą zimno jak w Skale. Żadne serce nie drgnie w piersi tego bezbarwnego tłumu na widok niewidzianego od lat własnego wojska polskiego!

Spotykam mnóstwo znajomych. Z ob. „Ignacym“ i „Gadem“ — Dobrodzickim idziemy do cukierni, oni opowiadają o pułku, ja nawzajem opowiadam im, co zastanę w Radomiu.

Batalion zajął kwatery. Nie obeszło się bez incydentu z burmistrzem p. B. Pan ten znał tylko dwie armie: austriacką i niemiecką, o żadnych Legionach Polskich nie słyszał, wojska takiego nie zna, władzy takiej nie uznaje, kwater nie da, chyba na rozkaz

z komendy niemieckiej lub austriackiej. Wobec tego kwatery zdobyliśmy sobie sami, tak jak kwatery naszego Biura, a pan burmistrz „polskiego pochodzenia“, ale obcy Polsce z ducha, musiał to przyjąć do wiadomości.

Od kolegów z II baonu dowiedziałem się, że pułk jest w pobliżu. Stoi w Skaryszewie, Makowcu i Bardzicach i lada dzień powinien być w Radomiu. II baon został wydzielony i idzie pod Warszawę, jako przeznaczony do wmarszu do stolicy w razie wzięcia Warszawy. Reszta maszeruje na Dęblin.

Wieczorem odwiedził nasze Biuro komendant baonu major Norwid wraz z szeregowcem swojego baonu ob. Filipkowskim, bratem ob. Wandy. Był u nas na kolacji i mile spędziliśmy czas na słuchaniu opowiadań o pułku. Nazajutrz rano II baon pomaszerował dalej. My oczekujemy wmarszu reszty pułku. Ale na próżno. Dopiero 18 października przed południem od strony Ilży nadszedł kpt. Wyrwa ze swoim IV batalionem. Tym razem p. Jastrzębowska i nasze niewiasty urządziły strzelcom owację, obrzucając ich kwiatami. Mimo to wmarsz IV baonu był jeszcze mniej efektowny od wmarszu II, bo jadący równolegle z nimi jakiś tabor pruski robił tyle hałasu, że chłopcy nawet śpiewać nie mogli. Za inicjatywą p. Jastrzębowskiej kilka pań miejscowych złożyło się na obiad dla żołnierzy i zebrało trochę bielizny. A Mieczysław Jastrzębowski umieścił oględną, ale serdeczną wzmiankę w „Gazecie Radomskiej“ o wmarzu Legionów.

W tym baonie miałem mnóstwo kolegów i znajomych. Wszak był to baon „Krakowskich dzieci“. Wraz z Wyrwą przyszli podporucznicy: Mazur, Kogut, Prot, Robak i szereg innych.

Batalion zakwaterował się w zabudowaniach nieczynnej garbarni Wiekenhagena i tam w pięknych, ale opustoszałych apartamentach dyrektora kpt. Wyrwa wydał przyjęcie godne tego lokalu. W przeciwieństwie do II baonu, który był jeszcze bez odznak, tu wszyscy oficerowie po słynnych „nominacjach Jakubowickich“ z dnia 9 października, przyozdobieni byli czerwonymi „zygzakami“ oficerskimi. Ob. Waligóra dowiedział się, że też został podporucznikiem. Sytuacja moja stawała się niewyraźna, bo pełniłem funkcje oficerskie, ale nominacji jako nieetatowy oficer oddziału wywiadowczego nie miałem.

Po kolacji niewiasty nasze grały na pianinie, my śpiewaliśmy chórem, a potem ob. Korab-Słonecki bawił nas anegdotami, a adiutant baonu Szelepin i ob. Długi różnymi dowcipami.

Wieczór ten żywo utkwiał mi w pamięci, bo był tak podobny do sceny z „Warszawianki“ Wyspiańskiego. Wszak znów toczy się bitwa o Warszawę, a my bawimy się wprost z szubieniczym humorem, a jutro „na placówce może staniam już“.

Nazajutrz przyjechał do Radomia Komendant Piłsudski. Obaj z ob. Waligórą zameldowaliśmy się natychmiast u Komendanta i zdaliśmy raport z naszych czynności. Komendant przyjął nasz raport i zdecydował, że we dwóch nie mamy co robić w Radomiu. Polecił nam porozumieć się między sobą: jeden ma pozostać w Radomiu, a drugi wracać do oddziału. Postanowiliśmy, że ob. Waligóra zostanie, a ja odjadę koleją do mego oddziału do Częstochowy. Z polecenia Komendanta kpt. Wyrwa wystawił mi wówczas moją pierwszą legitymację oficerską, na podstawie której mogłem wyjechać na podróż powrotną.

Po odmarszu baonu IV zlikwidowałem swoje agendy w Radomiu, przekazałem „swoje“ niewiasty Waligórze i — 20 października wyjechałem do Kielc.

W Kielcach zastałem już nowe porządki. Stał tam oddział ob. Świętopełka. Komendantem placu był ppor. Kazimierz Sawicki, komendantem kadry rekrutów ppor. Bończa-Karwacki. Znowu było rojno i gwarno jak w sierpniu. Por. Świętopełka nie zastałem, wyjechał do Częstochowy, dokąd i ja spieszyłem. Przenocowawszy w Kielcach w oczekiwaniu na połączenie kolejowe, nazajutrz razem z por. Rojanem-Sładky'm i jego żoną ob. Norą wyjechałem do Częstochowy.

W Częstochowie jak i w Kielcach zastałem duże zmiany. Był to najświetniejszy okres rozwoju organizacyjnego P. O. N. Komendantem placu był por. Jerzy Narbutt (Aleksander Łuczyński), komisarzem — ob. Głuchowski — senior. Mnóstwo było oficerów 1. p. p. odkomenderowanych „na organizację“. Zatrzymałem się na noc u ppor. Kazimierza Polkowskiego i nazajutrz wyruszyłem do Piotrkowa, gdyż tam w międzyczasie przeniosło się moje Biuro Wywiadowcze.

Piotrków stał się obecnie „stolicą“ roboty legionowej. Tu urzędował Komisariat Generalny z ob. Michałem Sokolnickim jako komisarzem i prof. Wacławem Tokarzem jako jego zastępcą na czele. Tu też była „Komenda Główna Wojsk Polskich na okupację niemiecką“, teoretycznie niezależna od 1. p. p. Leg. Komendantem był major Mieczysław Trojanowski (ob. „Ryszard“).

Obszerny gmach gimnazjalny zajęto na koszary formującego się batalionu. Na ul. Bankowej mieścił się Komisariat Generalny, na ul. Pocztowej — Komisariat Powiatowy. Komendantem placu był śp. kpt. Albin Fleszar („Satyr“).

Komenda Główna miała lada chwila przenieść się do Łodzi jako największego miasta na terenie 9. armii niemieckiej, na którym tolerowano działalność P. O. N. Miał tam również przenieść się później i Komisariat Generalny.

Bezpośrednio po przybyciu do Piotrkowa zameldowałem się u mego szefa ob. Eugeniusza Tora w lokalu Biura Wywiadowczego przy ul. Kaliskiej. Na wstępie dowiedziałem się, że por. Świętopełk jest już w Piotrkowie i nasze biuro ma być zlikwidowane. Ob. Tor przechodzi do Komisariatu Generalnego i proponuje mi, aby wraz z nim tam się przenieść. W ten sposób po raz drugi znalazłem się w służbie cywilnej. Otrzymałem przydział do Komisji Finansowej pod przewodnictwem ob. Wojtka Malinowskiego. Do czasu jednak zorganizowania tej komisji miałem zastępować sekretarza generalnego Komisariatu ś.p. ob. Ksawerego Praussa, którego dotychczasowy zastępca ś.p. Józef Szenk został mianowany komisarzem m. Radomia i właśnie wyjeżdżał celem objęcia nowej funkcji.

Dzięki powtórnemu przydziałowi do Komisariatu Generalnego zorientowałem się w całości sytuacji politycznej, zapoznałem się z umowami zawartymi między P. O. N. a 9. armią niemiecką. Był to okres kiedy pod wpływem endeków N. K. N. zobowiązał się wobec Austriaków do niewerbowania ochotników na terenie Królestwa. P. O. N. niezależna od N. K. N. prowadziła robotę na własną rękę, ale ograniczoną obecnie do okupacji niemieckiej. Ponieważ nie rozporządzała środkami pieniężnymi, więc trzeba było z N. K. N. wyciągać, co się dało, niby dla 1. p. p. Legionów, a właściwie na organizację nowych kadr, tworzonych przez P. O. N.

Praca była o wiele cięższa, niż w Kieleckim, P. O. N., pracująca za wiedzą i zgodą Niemców, z góry była skazana na niepopularność społeczeństwa, które grosza nie chciało dać na utrzymanie całego zastępu instruktorów i werbunkowców. Wskutek tego często trzeba było uciekać się do ostatecznego środka na wojnie — do rekwizycji. Toteż i ten czynnik wpłynął ujemnie na stosunek ludności do kadr wojska polskiego. Rekrutacja szła niezmiernie słabo. Do wojska zgłaszały się nieliczne jednostki ideowe oraz ci, którzy przez wojnę byli pozbawieni chleba. W tych warunkach nastrój Piotrkowa niewiele odbiegał od nastroju Radomia.

Nawet „nasi“ ludzie „organizacyjni“ stronili od nas lub zachowywali rezerwę, albo zgłaszali się do pracy wbrew własnemu przekonaniu, jedynie przez solidarność z ludźmi, z którymi niegdyś pracowali.

Ja otrzymałem kwaterę u pp. Wojeńskich na ul. Bykowskiej, gdzie mieszkalem razem ze Stojanem Stefanowskim, przydzielonym do Komisariatu Powiatowego. W Komisariacie Generalnym stosunki były bardzo miłe i praca ciekawa, ale po dwóch dniach, podobnie jak ongiś w Kielcach, por. Świętopełk dowiedział się o mnie i postanowił się o mnie upomnieć.

Właśnie poszukiwano kogoś zdecydowanego na wyjazd do Warszawy celem nawiązania łączności, czy też wzmocnienia kadry

tamtejszej organizacji P. O. W., której to nazwy nawet wówczas nie znałem. Ob. Tor proponował mi właśnie, abym podjął się tej ciekawej misji, kiedy zgłosił się oficer oddziału wywiadowczego ob. Stanisław Długosz („Tetera“) i zawiadomił mnie, że za chwilę przyjdzie osobiście por. Świętopełk, aby się o mnie upomnieć, jako należącego do oddziału.

I zamiast jechać do Warszawy, musiałem natychmiast wyjechać do Krakowa w charakterze kierownika ekspozytury O. W. przy Departamencie Wojskowym N. K. N. Por. Świętopełk dał mi krótką instrukcję: „Macie reprezentować oddział, wyszukiwać odpowiednich ludzi do pracy wywiadowczej, wydostać pieniądze od N. K. N. i pośredniczyć pomiędzy P. O. N., a A. O. K. (Armeeoberkommando) czyli Naczelnym Dowództwem armii austriackiej.

Tu zdawało się, że Warszawa lada chwila będzie wzięta, a ja muszę jechać do Krakowa, na głębokie tyły, na zesłanie niemal, przy Departamencie Wojskowym N. K. N. Ale rozkaz, to rozkaz! Otrzymałem formalne papiery, legitymacje, polecenia, między innymi polecenie do reprezentanta 1. p. p. przy Departamencie Wojskowym kpt. Kukiela, aby wyrobił mi formalną nominację oficerską, bez której nie mógłbym nic na tamtejszym terenie zdziałać, i opuściłem Piotrków i Królestwo tym razem z górą na dwa miesiące.

W DEPARTAMENCIE WOJSKOWYM N. K. N.

W drodze do Krakowa doszły mnie pierwsze wieści o bitwie pod Laskami, w której brały udział I, III, V i VI baony. Wieści te głosiły, że kpt. Żymierski zabity, a kpt. Karasiewicz ciężko ranny i w ogóle ponieśliśmy duże straty.

Pod tym przykrym wrażeniem stanąłem ponownie w Krakowie 27 października. Zameldowałem się u komendanta placu ppor. Kazimierza Świtalskiego i otrzymałem kwaterę przy ul. Św. Krzyża 1, gdzie dawniej była Komenda placu. Tu założyłem swoje biuro. Zwerbowałem sobie kilku żołnierzy 1. p. p., którzy mieli utrzymywać łączność między mną a oddziałem. Ob. Waligóra, przejeżdżający przez Kraków, odstąpił mi ob. Stanisława Kossutha, którego zrobiłem swoim zastępcą. Za pośrednictwem kpt. Kukiela uzyskałem formalną nominację oficerską od szefa Departamentu Wojskowego ppłk. Władysława Sikorskiego, co jednak stało się dla mnie poważnym kłopotem. Mianowany zostałem chorążym, którego to stopnia w 1. p. p. nie było, na tyłach musiałem nosić jakieś odznaki, a w ten sposób nie mogłem założyć odznak 1. p. p. Dla ob. Kossutha uzyskałem nominację na sierżanta. Ob. Dąbrowa (dr Janina Antoniewiczówna) komendantka oddziału żeńskiego, dostarczyła mi kandydatek na wywiadowczynie i — ekspozytura była gotowa.

Tymczasem z frontu nadchodziły groźne wieści. Pod Laskami straciliśmy 30 zabitych i 100 rannych, w tym 3 dowódców baonów: Michał Żymierski (I), Michał Karasiewicz-Tokarzewski (V) i Zygmunt Bobrowski (VI). Moskale uderzyli taranem od Dębłina i Modlina i zmusili 9. armię niemiecką do odwrotu. Wkrótce wpadły w ręce rosyjskie: Radom i Piotrków, oblężono Przemyśl, zajęto Rzeszów i Dębicę. Położenie nasze pogorszyło się znacznie. Oddział wywiadowczy cofał się powoli z Piotrkowa do Częstochowy, Dąbrowy, Sosnowca, aż oparł się wreszcie w Zagórz.

Cała P. O. N. zjechała do Krakowa, jak po wycofaniu z Kielc, a wraz z nią przyjechał brat mój, Stefan, który wraz z żoną wstąpił do Legionów w Łodzi. Ponieważ nie miał innego przydziału zwerbowałem go do swojej ekspozytury.

Tymczasem przygotowywano już ewakuację Krakowa. Otrzymawszy wiadomość że N. K. N. opuszcza Kraków, wysłałem kuriera do oddziału po dalsze dyspozycje. Dostałem rozkaz, aby udać się tam, gdzie przeniesie się Departament Wojskowy.

9 listopada wraz z Dep. Wojsk., ze Szkołą Podchorążych i kompanią garnizonową załadowałem się do pociągu. Znowu przykra ewakuacja, jak dwa miesiące temu z Kielc. Byliśmy wówczas pewni, że Kraków będzie oblężony. Moskale na Wawelu! Ta myśl spać nam nie dawała. Zniszczą wieżę Mariacką, zdepczą, zbezczeszczą bezcenne pamiątki narodowe! A my opuszczamy Kraków i nawet nie wiemy, dokąd nas wiozą. Pociąg wojskowy stał na dworcu towarowym. Oczekujemy chwili odjazdu. Czas dłuży nam się w nieskończoność. Dokąd jedziemy? Ostatni wolny skrawek Polski opuszczamy, aby oddać go na pastwę Moskali. Czy oprzemy się pod Lipskiem jak ongiś ks. Józef Poniatowski? O godz. 9 wieczorem pociąg ruszył. Rano obudziliśmy się w Boguminie. Jedziemy w kierunku Cieszyna. Tutaj wyładowano Komendę Placu, reszta ma jechać dalej, bo kwater nie ma. Wieczorem 10 listopada zatrzymaliśmy się w Jabłonkowie, niemal na samej granicy węgierskiej. Nocowaliśmy w pociągu. Rano — wyładowujemy się, by zakwaterować się w Nawsiu koło Jabłonkowa. Ja czekam dyspozycji, gdzie będzie Dep. Wojsk.: w Cieszynie, czy Jabłonkowie. Jadę do Cieszyna, aby zasięgnąć języka. Nie zastałem tam ppłk. Sikorskiego, natomiast dowiaduję się, że jest por. Świętopełk-Jaworowski. W chwili jednak, gdy się o tym dowiedziałem, już wyjechał samochodem do Frysztatu, gdzie u dr Ryszarda Kunickiego zakwaterowała się P. O. N. Ponieważ do Frysztatu jedzie właśnie p. Maria Piłsudska z p. Kazimierzową Sosnkowską, więc jadę z nimi. W Frysztacie zastałem władze P. O. N. z dr Michałem Sokolnickim i dr Witoldem Jodko-Narkiewiczem na czele, ale por. Świętopełk już wyjechał. Zrezygnowany wsiadam w tramwaj do Karwiny i stąd już koleją późnym wieczorem docieram do Jabłonkowa.

Na dworcu dowiaduję się, że Departament pozostaje w Nawsiu, a więc i moja ekspozytura tu zostanie. Sierż. Kossuth uzyskał już nawet kwatere dla szeregowych ekspozytury w mieszkaniu p. Bełdowskich w Rynku. Bardzo tu dobrze moim chłopcom, ale lokal na biuro za mały. Udamę się więc do kwatermistrza por. Władysława Dunin-Wąsowicza i otrzymuję lokal przy ul. Polskiej nr 111 u pp. Cięciałów. Tutaj ulokowałem ekspozyturę i zamieszkałem sam z moim zastępcą sierż. Kossuthem i bratem moim Stefanem. Urządziłem biuro i rozpocząłem werbunek wywiadowczyń. Zgłosiło się pierwotnie 5, potem 9 wywiadowczyń, ale wszystkie galicjanki, nie znające języka rosyjskiego, niezbędnego na terenie

Królestwa. Zorganizowałem więc kurs wywiadowczy. Język rosyjski wykladała ob. Zofia Daszyńska-Golińska, a później ob. Jan Cynarski („Krzesławski“), ja wykładałem organizację wojska rosyjskiego i geografię militarną Królestwa. Por. Świętopełk polecił mi niewiasty te zatrzymać jako rezerwę, natomiast werbować superrewidowanych strzelców-królewików lub P. O. N.-owców, pozostających obecnie bez zajęcia. Zwerbowałem kilkunastu i wysłałem do Zagórza.

Z Zagórzem miałem codzienną łączność przez kurierów, którzy jeździli drogą na Bogumin-Trzebinie-Katowice i przywozili mi raporty wywiadowcze przeznaczone dla Komendy 1. p. p., Dep. Wojsk. N. K. N., a niektóre także dla austriackiego A. O. K. Raporty te musiałem więc kopiować w dwóch, czasem trzech lub czterech egzemplarzach i przez kurierów rozsyłać je pod właściwymi adresami. Wiadomości polityczne przysyłało się jedynie do władz polskich, wiadomości ściśle wojskowe, nie dotyczące terenu, na którym operował 1. p. p. Leg. przysyłało się władzom austriackim w Cieszynie, za co uzyskiwało się od nich różne koncesje w dziedzinie uzbrojenia i wyekwipowania Legionów.

Celem dostarczania wiadomości 1. p. p., który w międzyczasie przeszedł na Podhale, musiałem zorganizować filię mojej ekspozytury w Zakopanem, z którą miałem łączność przez Węgry drogą Czaca—Suhahora—Nowy Targ. Filie tę prowadził ob. Tytus Czaki, ale łączność z nią rwała mi się nieustannie.

Poza tym szturmowałem o pieniądze na robotę wywiadowczą w Dep. Wojsk. N. K. N. Kierowniczka Wydziału Finansowego, ob. Helena Radlińska, mogła mi wypłacać jedynie za asygnatą ppłk. Sikorskiego, a szef Departamentu Wojskowego niechętnie dawał pieniądze na robotę wywiadowczą. To doprowadziło w końcu do ostrego starcia między por. Jaworowskim a ppłk. Sikorskim, a ten ostatni oświadczył mi, że więcej pieniędzy dawać nie będzie.

Prawie cały dzień miałem zajęcia służbowe: wydostawanie „marszrut“, wysyłanie kurierów, wyjeżdżających na wszystkie strony, wykłady na kursie wywiadowczym, kopiowanie raportów, co sam musiałem robić, raporty do oddziału, w końcu codzienne odprawy u komendanta stacji kpt. Kukiela zajmowały mi cały dzień od rana do późnego wieczora.

Życie w Jabłonkowie płynęło dość monotennie. Tyły podczas wojny, to jakby odległa prowincja w czasie pokoju. Jediną atrakcją są przybywający z frontu lub ze szpitali żołnierze liniowi, jako uzdrowieńcy rozmieszczani po wsiach okolicznych. Biuro moje powiększa się o dwóch kadrowców, którzy, jako czasowo niezdolni do służby frontowej, wolą pełnić służbę w Biurze Wywiadowczym, niż siedzieć beczynnie w Domu Uzdrowieńców. Byli to: śp. Syl-

wester Wojewódzki („Stefan“) ¹⁾ i Kazimierz Kuśmierski ²⁾). Wreszcie przybył oficer oddziału wywiadowczego ob. Stanisław Długosz („Tetera“), z którym miałem okazję do dyskusji na temat naszej przyszłości.

Położenie nasze nie było godne w tym momencie pozazdroszczenia. Moskale zajęli Tarnów, Bochnię, Wieliczkę i zdawało się, że lada chwila oblegną Kraków. Niemcy zatrzymali wprawdzie toczący się „walec rosyjski“ i zajęli z powrotem Radomsko, Piotrków, Łódź, Kutno i Łowicz, ale Moskale trzymali prawie całą Galicję i usiłowali przedrzeć się na Węgry.

Legiony przeżywały ciężki kryzys. Po krwawej bitwie IV i VI baonów pod Krzywopłotami, po słynnym przemarszu Komendanta z I, III i V baonem przez Ulinę Małą walczyły wprawdzie pomyślnie pod Chyżówkami, Dobrą, Tymbarkiem, Limanową i Marcinkowicami w niezwykle pomyślnych warunkach, otoczeni opieką, pomocą i gorącym sercem ludności Podhala, ale nie będąc dostatecznie przygotowani i wyekwipowani do kampanii zimowej, miały dotkliwe straty nietyłe w zabitych i rannych, ile w chorych i do ostatecznych granic wyczerpanych.

Okolice Jabłonkowa zaroily się tłumami wyczerpanych, wycieńczonych i schorowanych żołnierzy 1. p. p.

Toteż wiadomość o wkroczeniu 1 p. p. do Nowego Sącza przyjęliśmy wszyscy z uczuciem ulgi. Spodziewano się powszechnie dłuższego odpoczynku, dawno zasłużonego. W Nowym Sączu na rękach noszono naszych „dłubinósków“, toteż echa przyjęcia Legionów w tym mieście długo jeszcze wspomniano z rozrzewnieniem. W Nowym Sączu wydał Komendant swój historyczny rozkaz z datą 18 grudnia 1914 r., przekształcający 1. p. p. na sławną I Brygadę. Utworzono dwa pułki dwubatalionowe. 1. p. p. (z dawnych I i III baonów) i 2. p. p. I Brygady (z dawnych IV i II baonów), pozostawiając dwa samodzielne bataliony: V i VI.

II Brygadę uważaliśmy wówczas za straconą całkowicie dla Polski. Wysłana na Węgry, tak jak ongiś Legiony Dąbrowskiego na San Domingo, krwawiła się straszliwie na obcej ziemi, przeważnie na Węgrzech i Bukowinie, od czasu do czasu wdzierając się do kraju przez szczyty Karpackie, by znowu składać ofiary w obronie granicy węgierskiej pod Mołotkowem, Rafajłową i Zieloną.

4. pułk, którego etat zatwierdzono od dawna, nie mógł się sformować z powodu wstrzymania rekrutacji w Galicji i zmiany polityki niemieckiej w Królestwie. Niemcy nie tylko nie dopuszczają werbunku w Królestwie, ale każdego legionistę, który się znajdzie

¹⁾ Stracony w Rosji.

²⁾ Nauczyciel gimnazjalny.

na ich terytorium, bezwzględnie aresztują i zabraniają pobytu na ich okupacji. Ponieważ jedyna linia kolejowa łącząca nas z Zagórzem biegnie przez Katowice, więc niemal każdy mój kurier jest aresztowany i badany, co wiezie. Toteż łączność z oddziałem mam teraz prawie przerwana. Jedyne batalion zapasowy Legionów pod komendą kpt. Andrzeja Galicy stoi w Bystrzycy pod Jabłonkowem. Nie mając dopływu rekruta niewielkie uzupełnienia może formować jedynie z maruderów i uzdrowieńców. Pułki na froncie topnieją szybko, a równocześnie rosną szpitale w Wendryni i Szygłach i liczne stacje wypoczynkowe we wsiach okolicznych. Komisje superrewizyjne dziesiątkują szeregi zdolnych do linii, a nowych rekrutów nie mamy.

Legiony topnieją, P. O. N. rozwiązuje się i łączy z N. K. N., ale szczerze niepodległościowe żywioły z Królestwa nie mogą pogodzić się z lojalizmem austriackich działaczy galicyjskich z N. K. N.

Wszystko to razem stwarza niewesoły obraz początku „potępieńczych swarów“, tak dobrze znanych z historii po upadku powstania 1831 r. Musimy się przygotować do stosunków emigracyjnych, które nas czekają wkrótce w razie przegranej wojny. Oświadczamy ewentualności, na które trzeba być przygotowanym na codziennych herbatkach w miejscowej cukierce, na co możemy sobie pozwolić wobec ustanowienia gaży 60 koron miesięcznie, którą Departament Wojskowy wypłaca tytułem zasiłku wszystkim oficerom, nie mającym nominacji austriackiej. Na herbatkach tych bywamy z ob. Teterą, śp. por. Górskim („Szarym“), ob. Stanisławem Majewskim i innymi przebywającymi przejściowo w Jabłonkowie oficerami I Brygady.

Ja, ostatecznie odcięty od oddziału, bo przez Katowice nikogo nie przepuszczają, a linia Szczakowa—Strzemieszyce jest nieczynna, korzystam z okazji bytności por. Świętopełka-Jaworowskiego i proszę go o zwolnienie z oddziału oraz zezwolenie powrotu do linii, z tą samą prośbą zwraca się i Stach Długosz. Por. Świętopełk-Jaworowski z zasady nikogo nie chce zwolnić, kto raz dostał się do oddziału, musi tu służyć. Tymczasem i w Zagórzu stosunki panują nie lepsze. Wobec zastoju zimowego w operacjach coraz trudniej przedostać się przez front, wobec stosunku Niemców i Austriaków do nas coraz trudniej pracować. Oddział wywiadowczy traci sens swego istnienia. W czasie chwilowego pobytu Komendanta Piłsudskiego w Jabłonkowie przyjeżdża tu ppor. Hempel (Waligóra) z ob. Olą i Wandą i referują sytuację oddziału Komendantowi. Oficerowie oddziału „dezertują“ do linii. Poszedł już ppor. Kazimierz Sawicki, odszedł ppor. Janusz Dłużniakiewicz.

Nie uzyskawszy zezwolenia na powrót do linii „zdezertował“ z Jabłonkowa i Stach Długosz. Mnie, jako komendantowi ekspozycji

zytury, związanemu z oddziałem, nie wypadało rzucić wszystko i uciec do Brygady. Niespodziewanie przychodzi mi z pomocą Departament Wojskowy, który z okazji przeniesienia się do Królestwa — rozwiązał moją ekspozyturę. Rozkazem tym część moich podkomendnych z sierżantem Kossuthem na czele przydzielona została na kurs karabinów maszynowych w Brucku nad Leitą, część z bratem moim Stefanem przydzielona została do Departamentu Wojskowego, a wreszcie ostatnia część wraz ze mną przydzielona została do batalionu uzupełniającego kpt. Andrzeja Galicy.

Szpitala, domy uzdrowieńców i kolonie wypoczynkowe rozwiązano, zdrowych odesłano do ich pułków, słabszych do baonu uzupełniającego. Spośród moich kolegów: Stanisław Majewski, Franciszek Joniak, Lucjan Janiszewski odeszli do pułków, Wacław Denhoff-Czarnocki, Leon Czechowski, Zygmunt Rumiński, Stanisław Biegański — do baonu uzupełniającego. Wszyscy oficerowie garnizonu Jabłonkowskiego prócz por. Adolfa Sternschussa, który pozostał przy Departamencie, przydzieleni zostali do baonu uzupełniającego.

Do Królestwa miał odejść cały Departament Wojskowy N. K. N., oraz batalion uzupełniający kpt. Galicy, złożony w tej chwili z 20 oficerów i około 100 szeregowych. Batalion ten miał być kadraj 4. pułku, którego komendantem miał być ppłk. Sikorski.

Szef Departamentu Wojskowego zdołał uzyskać od szefa oddziału wywiadowczego Armee-Ober-Komando w Cieszynie płk. Hranilovića zgodę na werbunek rekrutów na terenie okupacji austriackiej w Królestwie i w tym celu przenośli się obecnie na teren Królestwa, aby formować 4. pułk.

FORMOWANIE 4. PUŁKU LEGIONÓW

Dotychczas, jakkolwiek „zesłany“ do Departamentu Wojskowego, liczyłem się ciągle na służbie I Brygady, po raz pierwszy znalazłem się w batalionie nie wchodzącym w skład Brygady.

Zadowolony byłem, że wyszedłem ze służby wywiadowczej, która w obecnych warunkach straciła już wszelki sens istnienia, ale jednocześnie niezmiernie przykre było dla mnie to choćby chwilowe znalezienie się poza obrębem Brygady. Mogłem być tego uniknąć jedynie przez „dezercję“ na front z oddziału wywiadowczego. Gdybym nie był komendantem ekspozytury jak ob. Tetera, gdybym nie musiał oddać w porządku swoich podkomendnych, sprzętu, a co najważniejsze funduszków, byłbym uciekł. Teraz po zlikwidowaniu ekspozytury i przydzieleniu mnie do baonu było już za późno. Jedyna droga, jaka mi pozostała, to odejście z uzupełnieniem na front.

6 stycznia około 11 rano wyruszyliśmy do Królestwa, aby już nigdy na Śląsk nie wrócić. Żegnała nas cała ludność miejscowa od granicy węgierskiej aż po Cieszyn. Ludność ta, germanizowana od wieków, po raz pierwszy miała okazję „skąpania się w polskości“ dzięki pobytowi Legionów na Śląsku i nie mogła się pogodzić z myślą, że odchodzimy na stałe.

Nazajutrz rano dotarliśmy do st. Trzebinia. Tu staliśmy w wagonach cały dzień, oczekując ostatecznej decyzji, dokąd jedziemy. Mówiono o Częstochowie, Dąbrowie, Będzinie, Sosnowcu, wreszcie stanęło na Olkuszu. Wysłano przodem kwatermistrzów. Noc spędziliśmy w wagonach.

8 stycznia rano „batalion“ nasz, składający się z 2 plutonów i patrolu kawalerii, ruszył przez granicę do Olkusza. Droga była uciążliwa przy kilkunastostopniowym mrozie. Maszerowaliśmy zwykłym marszem podróжным, nie było emocji ani zaciekawienia, które zawsze towarzyszą marszom na froncie. Wieczorem zmęczeni dobrnęliśmy do Olkusza. Tu okazało się, że nie ma dla nas stałych kwater, tylko przejściowe. Batalion nasz ma na stałe zakwaterować się w Bolesławiu, Departament Wojskowy będzie urzędował w Sławkowie. Dano nam kartki kwaterunkowe. Kiedy przyszedłem jednak na kwaterę, stwierdziłem, że była już zajęta przez kogoś innego.

Zmęczony, zmarznięty, czując że mam gorączkę, nie wiedziałem co z sobą zrobić. Na szczęście przypomniałem sobie, że mieszka tu kolega mój z czasów genewskich, Giedroyć. Poszedłem tam i zostałem niezmiernie gościnnie przyjęty przez pp. Giedroyciów. Zmęczony położyłem się i tak twardo spałem, że nie słyszałem zbiórki, która raniutko odbyła się na Rynku. Kiedy się obudziłem, stwierdziłem, że batalion już odmaszerował. Spotkałem na mieście chor. Królikiewicza i wraz z nim pomaszerowałem do Bolesławia. Tam otrzymałem wraz z nim kwaterę i stwierdziwszy bardzo silną gorączkę położyłem się natychmiast do łóżka. Miałem grypę, którą wówczas nazywano jeszcze influenżą. Kilka dni przeleżałem w łóżku. Kiedy wyzdrowiałem, batalion był już rozkwaterowany i zainstalowany na dobre. Komenda batalionu we dworze, komenda placu w urzędzie gminnym, batalion, a właściwie kompania dwuplutonowa — w szkole. Dowodził nią por. Izydor Modelski, typowy oficer tyłowy, który nigdy na froncie nie był. Na szczęście komenda batalionu wydzielila z kompanii szkołę podoficerską, którą objął por. Modelski, a dowódcą kompanii został oficer I Brygady por. Kordian Zamorski („Ignacy“), pod którym zaczynałem swoją służbę wojskową w „Strzelcu“ krakowskim.

W ogóle w batalionie były trzy grupy oficerów: oficerowie I Brygady z nominacji Komendanta, oficerowie, mianowani przez austriackie A. O. K., którzy przeważnie dotąd na froncie nie byli, ale uważali się za oficerów II Brygady, bo w I nie uznanoby ich nominacji, i wreszcie oficerowie z nominacją Departamentu Wojskowego, uważający się za przyszłych oficerów 4. p. p.

Dziwnym zrządzeniem losu, ja pomimo że cały czas dotąd służyłem w I Brygadzie, należałem do tej trzeciej kategorii oficerów, gdyż na polecenie por. Świętopełka miałem nominację Departamentu Wojskowego.

Przez pierwsze kilka dni siedziałem w Bolesławiu bez przydziału jak większość oficerów batalionu. Dopiero, gdy przyszła pierwsza partia rekrutów ze Sławkowa, por. Zamorski zażądał mnie do swej kompanii. Otrzymałem komendę III plutonu 1. kompanii, złożonego z samych rekrutów — sławkowiaków, a jako kadre otrzymałem plut. Pankowskiego i 4 kaprali. Kompania składała się teraz z 3 plutonów. Prócz mnie plutony mieli śp. chor. Roman Bereski i chor. Zygmunt Rumiński, pozostali z dawnej obsady kompanii por. Modelskiego, kiedy znowu przybyła partia rekrutów i stworzono IV pluton, otrzymał go chor. Henryk Bigoszt. Zastępstwo komendanta kompanii należało się właściwie chor. Rumińskiemu, który służył dawniej w I baonie I Brygady i miał najwięcej służby frontowej. Ponieważ por. Zamorski nie znał go, więc na razie powierzył mi zastępstwo komendanta kompanii, jako strzelcowi, którego znał

już od przeszło trzech lat. Zaczęła się więc praca nad wyszkoleniem młodego rekruta. Rano i po południu zajęte miałem ćwiczeniami, wieczorem byłem tak zmęczony, że spieszyłem na kwaterę, którą miałem teraz w odległości 2 km od koszar u pp. Kramarczyków na kopalni w Krążku, gdzie mieszkalem ze śp. chor. Stanisławem Szumskim. Co tygodnia jeden pluton naszej kompanii odchodził na tydzień do Sławkowa dla pełnienia tam służby garnizonowej. Na ogół oficerowie chętnie udawali się do ówczesnej „stolicy“ Legionów, ja jednak, gdy na mnie kolej przychodziła, inaczej się na tę sprawę zapatrywałem. Służba garnizonowa wytrącała pluton z normalnych zajęć, przerywała szkolenie, a ja jako oficer inspekcyjny garnizonu musiałem obchodzić liczne szynki i knajpy, aby wyciągać z nich włóczących się po nocy „departamentowców“, przeważnie nie umiejących zachować się po wojskowemu „cywilów“, którzy pili i awanturowali się po nocach. Przyglądałem się nieco i pracy Departamentu Wojskowego, którego polityka coraz bardziej odbiegała od polityki Komendanta, toteż dawni P.O.N-owcy stopniowo wycofywali się z roboty Departamentu i przechodzili do roboty politycznej, prowadzonej obecnie pod firmą P. P. S. i N. Z. R. w Zagłębiu Dąbrowskim.

Toteż atmosfera Sławkowa nie była miła i z radością dowiedziałem się, że przed ukończeniem swej tygodniowej służby mam ściągnąć warty i natychmiast maszerować do Bolesławia. W czasie marszu minął nas samochód, a w nim nominalny komendant 4. p. Leg. ppłk Sikorski wraz z przysłanym przez A. O. K. na inspekcję austriackim c. i k. płk von Grzesickim.

Kiedym przymaszerował do Bolesławia już na obszernym błoni pod wsią odbywał się przegląd naszej kompanii. Udałem się więc na zwykły nasz plac ćwiczeń, gdzie przedefilowałem przed c. i k. ekscelencją, zyskując uznanie dla postawy mego plutonu.

W czasie mej nieobecności zaszły zmiany w naszej kompanii. Wedle zwyczajów austriackich zastępcą kompanii był komendant I plutonu, drugi z kolei oficer był komendant IV plutonu (skrzydłowego), później szli komendanci II i III plutonów.

Chor. Bigoszt, dowodzący IV plutonem, uważał się za najstarszego w kompanii, gdyż wraz z chor. Bereskim mieli oni nominacje austriackie, których ja i chor. Rumiński nie mieliśmy. Stanął więc do raportu batalionowego domagając się zastępstwa komendy kompanii dla siebie. Przyznano mu rację i pluton chor. Bigosza przemianowano na I, a pluton chor. Bereskiego — na IV. Ja jako komendant III plutonu stałem się teraz najmłodszym oficerem kompanii. Nie przejąłem się tym bardzo, bo pracę w kompanii uzupełniającą traktowałem jako przejściową. Pochłonięty byłem całko-

wicie szkoleniem mego plutonu. Praca ta dawała mi zadowolenie, bo widziałem wyniki włożonych w nią wysiłków.

Miałem jednak różne przeszkody. Prócz służby garnizonowej przerywały pracę ustawiczne parady i uroczystości, które z punktu widzenia agitacyjno-werbunkowego były oczywiście potrzebne.

Co niedziela maszerowaliśmy z orkiestrą do Olkusza, gdzie chór batalionowy śpiewał w kościele podczas nabożeństwa. Rocznicę powstania styczniowego obchodziliśmy uroczystie w Olkuszu, Sławkowie i Bolesławiu. Na miejscu, gdzie zginął płk. Franciszek Nullo w r. 1863, postawiliśmy na Krzykawce krzyż pamiątkowy.

Podczas jednej z takich uroczystości w Olkuszu doszło do przykrego zajścia. W czasie defilady na Rynku w Olkuszu posprzeczał się kapelmistrz Martynowicz z podchorążym Roźnieckim. Ponieważ w tym dniu jako oficer dyżurny prowadziłem kompanię do kościoła, musiałem obu przedstawić do raportu batalionowego. Komendant batalionu jako oficer rezerwowy austriacki był zwolennikiem ostrej dyscypliny wojskowej. W wojsku regularnym każdy, kto ma o jedną gwiazdkę więcej, ma rację. Wobec tego, że kapelmistrz Martynowicz był chorążym, więc podchorąży Józef Roźniecki został ciężko ukarany i zdegradowany. W ogóle stosunki w baonie były tu zupełnie inne, niż w I Brygadzie. Na ogół żywcem stosowano regulamin wewnętrzny austriacki, tzw. „Dienstreglement I Teil“. Karność w batalionie była duża, niestety jednak tylko wśród szeregowych. Oficerowie baonu uzupełniającego żądali bardzo wiele od szeregowego, ale stosunek oficera do szeregowca na tym się kończył. Nie było zupełnie tej serdecznej troski o podkomendnego, którą odznaczeni się oficerowie I Brygady. Co prawda i element był nieco inny. Gdy w I Brygadzie szeregowcem był przeważnie inteligent student, akademik, profesor, tutaj elementu inteligentnego było niezmiernie mało, zwłaszcza wśród rekrutów.

Na ogół istniała przepaść pomiędzy oficerem a szeregowym. Oficerami byli przeważnie ludzie młodzi, często nawet bez matury, którzy dopiero co opuścili ławę szkolną i jakimś cudem, czasem nawet bez żadnych ku temu kwalifikacji, uzyskali gwiazdki oficerskie. Natomiast wśród podoficerów, zwłaszcza podchorążych z I Brygady, było sporo akademików lub inteligentów na odpowiednich stanowiskach w „cywilu“. W tych warunkach zwracanie się oficerów per „ty“ do szeregowych, przy wymaganiu dla siebie zwrotu „panie“ w przeciwieństwie do ogólnie przyjętego w I Brygadzie „wy“, i „obywatelu Komendancie“ raziło mnie niezmiernie. Celowali w niewłaściwym traktowaniu szeregowych najmłodszy wiekiem oficerowie, którzy w ten sposób próbowali dodać sobie powagi.

W naszej kompanii, dowodzonej przez oficera I Brygady, było nieco inaczej, zwłaszcza w plutonie moim i chor. Rumińskiego. To-

też szeregowi nieraz w prywatnych rozmowach, któreśmy z nimi poza służbą miewali, skarżyli się do nas na złe traktowanie ich przez innych oficerów.

Większość oficerów, zwłaszcza ci, którzy nie mieli przydziałów, nie mając co z czasem robić, bawiła się, grała w karty, piła, zwłaszcza oficerowie z tzw. nominacją austriacką, którzy pobierali pełne gaże oficerów austriackich, wynoszące 250 kor. dla chorążego, 300 dla podporucznika itd. Oficerowie I Brygady i oficerowie mianowani przez Departament Wojskowy z gaż tych nie korzystali, gdyż oficerowie I Brygady wszyscy bez względu na stopień otrzymywali z kasy oficerskiej I Brygady po 100 koron, a oficerowie mianowani przez Departament zapisani byli na listach płacy jako sierżanci i otrzymywali 9 kor. na dekadę.

Żołnierze wiedzieli to wszystko i choć w służbie nie okazywali tego po sobie, poza służbą kpili i wyszydiali „oficerów austriackich“ i marzyli jedynie o dostaniu się do I Brygady.

W tych warunkach i werbunek nie mógł dawać dużych wyników. Większość „werbunkowców“ nie stała na wysokości zadania i usiłowała naśladować manieri oficerów „austriackich“ batalionu. Żołnierze źle się czuli w batalionie, co nie mogło przyciągać rekruta. Natomiast, gdy żołnierz frontowy I Brygady dostał się na tyły, musiał odpowiednio potraktować oficerów „tyłowych“, którzy z kolei włosy sobie z głowy wyrywali, jak nauczyć żołnierza I Brygady oddawania honorów czy stawania na baczność wobec siebie, lub co gorsza wobec c. i k. oficerów „sławnej“ armii austriacko-węgierskiej.

Sytuacja ogólna także nie była zbyt pomyślna. Przemysł trzymał się jeszcze, Moskale nie mogli przedrzeć się przez Karpaty, ale okopali się i bronili linii Bzury, Rawki, Nidy i Dunajca. Niewiele było nadziei na wypędzenie ich przed wiosną z Królestwa i z Galicji. W dodatku dochodziły wieści, że w Warszawie organizują się drużyny ochotnicze, Kainowe, jakieśmy je nazwali, które Moskale chcieli przeciwstawić Legionom.

Brygada nasza po ciężkich walkach pod Łowczówkiem korzystała z dobrze zasłużonego wypoczynku w Kętach.

Tymczasem Departament Wojskowy wszystkie swe siły wytężył, by jaknajwięcej rekruta zwerbować i jak najszybciej wystawić 4. pułk. Toteż nie przebierano w metodach i między innymi zastosowano nieszczęsny system zatrzymywania każdego przejeżdżającego chłopca i przekonywanie go, że powinien wstąpić do Legionów, póty póki nie zaprzestał oporu, gdy go ubierano w mundur i zapisywano do Legionów.

Niektórzy oficerowie tak rozochocili się tym półprzymusowym werbunkiem, że pojechali do Ujkowa, gdzie zarządzili coś w rodzaju przymusowego poboru, zabierając wprost z chałup wszystkich mło-

dych chłopców. Podobny „pobór“ w Krzykawie nie powiódł się, bo wszyscy chłopci w wieku poborowym uciekli do lasu. Dowiedziawszy się o tym wieś Ujków zaczęła domagać się zwolnienia swych synów. Matki i żony „pobranych“ tłumnie nadciągnęły przed Komendę w Bolesławiu, domagając się zwolnienia ich synów i mężów. Mimo to rozpoczęty pobór nie ustawał. Przejeżdżający szlakiem Olkusz—Sławków, przeważnie robotnicy z Zagłębia, zaczęli omijać „niebezpieczne“ miejsca, gdzie polowano na rekruta. Wówczas rozesłano patrole, które miały pilnować, aby nikt nie mógł omijać szosy Olkusz—Sławków. Wszystko to wywołało wrzenie w całej okolicy i dawały się słyszeć pogrożki pod naszym adresem. Dla nas, oficerów z I Brygady, było to niezmiernie przykre widowisko, ale nie mieliśmy żadnego wpływu na to, co się działo.

Tymczasem 2 lutego po sumie — pod Komendą Placu zebrał się tłum kobiet, który począł odgrażać się komendantowi placu. Wezwano wartę pod broń, która tłum rozpedziła. Równocześnie na powracającego z Olkusza legionistę napadło kilku chłopów w lesie, którzy go dotkliwie poturbowali. Otrzymałem rozkaz pójścia z plutonem do lasu celem dokonania obławy na sprawców napadu, przetrząsnąłem cały las, ale nic podejrzanego nie znalazłem. Dopiero w powrotnej drodze spostrzegłem człowieka, który począł uciekać przed naszym patrolem. Zatrzymałem go i wylegitymowałem. Okazało się, że to robotnik z Zagłębia, który się wybrał w Miechowskie po zakup chleba dla rodziny i omija Bolesław w obawie zaciągnięcia go do wojska. Wobec tego zwolniłem go i wracam do Bolesławia. Już koło domu Resursy Rzemieślniczej zauważyłem uciekającego człowieka. Posłałem za nim dwóch szeregowców. Człowiek ten zamiast na wezwanie zatrzymać się, począł uciekać jeszcze prędzej. Wówczas goniący go rekruci, świeżo przydzieleni do plutonu, rozgorączkowani pościgiem, pomimo wyraźnego mego zakazu używania broni, dali dwa strzały. Chwyciłem gwizdek i dałem im sygnał powrotu, obawiając się aby nie spowodowali jakiego nieszczęścia. Ale zapamiętali żołnierze gwizdka mego nie słyszeli i dotąd gonili, aż schwytali lekko draśniętego zbiega. W tej chwili usłyszałem na drugim końcu Bolesławia dwie salwy. Zdziwiony tymi niespodziewanymi strzałami, biorę w środek aresztowanego i pośpiesznie maszeruję w stronę Komendy Placu. Po drodze widzę alarm w całej osadzie. Ułani i taborcy biegną z karabinkami w rękę w kierunku Komendy Placu. Na ulicy stoi tłum i zerka w kierunku zachodniego wylotu osady. Z urywkowych zdań wnioskuję, że tłum demonstrantów napadł na Komendę Placu. Skomenderowałem „biegiem“, ale przybywam na miejsce — po wszystkim. Przed Komendą Placu ładują na wóz dwa trupy.

Przebieg zajścia był następujący: od strony Krążka, wsi, w której mieszkałem, nadszedł tłum kilkuset osób, przeważnie tym razem mężczyzn—robotników tamtejszej kopalni galmanu, uzbrojony w kije, który, przyszedłszy pod Komendę Placu, zajął groźną postawę. Wartownik, stojący przed Komendą Placu, został zepchnięty z posterunku. Wówczas z koszar, znajdujących się po drugiej stronie szosy, wybiegł tłum żołnierzy, który otoczył demonstrantów z dwóch stron, od strony koszar i od strony Olkusza. Komendanta Placu chor. Feliksa Gwizdza nie było na miejscu. Oficer inspekcyjny garnizonu chor. Mieczysław Jarosz wyszedł przed Komendę Placu i zażądał rozejścia się. Kiedy to nie poskutkowało, a demonstranci zaczęli szamotać się z poszczególnymi żołnierzami, na przymcę kamieni przydrożnych wszedł sympatyzujący z nami inż. Waśniewski, który przemówił do robotników jako dawny PPS-owiec i obrońca interesów robotniczych. Pomimo to tłum nie ustępował, domagając się wydania w jego ręce komendanta placu. Wówczas przemówił do tłumu pisarz gminy, mający duże wpływy u chłopów. Ale i to nie pomogło, przeciwnie, z tłumu miały paść dwa strzały rewolwerowe. To stało się hasłem do ogólnej strzelaniny, którą ja w oddali przyjąłem za salwy. Podobno żołnierze bez komendy chwycili karabiny i poczęli strzelać do tłumu. Padły dwa trupy i kilku rannych...

Stała się rzecz straszna, smutna, bolesna. Formujące się ochotnicze wojsko polskie strzelało do sfanatyzowanych, podburzonych, moskalofilskich, ale w każdym razie polskich chłopów i robotników.

W Bolesławiu nie było w tym momencie ani komendanta batalionu, ani komendanta placu. Oficer inspekcyjny, prawnik z zawodu, spisał protokół zajścia, które na wszystkich zrobiło fatalne, przysiębiające wrażenie. Zajście to głośnym echem odbiło się w całej uwolnionej od Moskali części kraju i było przez naszych przeciwników i agentów moskiewskich umiejętnie przeciwko nam wyzyskiwane. A wszystko przez nietakt, nieumiejętność postępowania i złe podejście do duszy chłopca i robotnika kilku, czy kilkunastu zbyt gorliwych werbunkowców.

Wieczorem wrócił komendant batalionu i zarządził aresztowania i rewizje w Bolesławiu, Krążku, Ujkowie i Bukownie, które dały 42 podejrzanych o udział w rozruchach. Wśród aresztowanych znalazł się dyrektor kopalni w Krążku — Francuz, oraz zawiadowca tej kopalni — Litwin. Ten ostatni miał podobno przemawiać do robotników w duchu rusofilskim i przeciwlegionowym. Na śledztwie przyznał się do wszystkiego i oświadczył, że jest Litwinem, Polska go nic nie obchodzi, a jako obywatel rosyjski broni interesów swego państwa. Śledztwo w tej sprawie prowadził audytor batalionu ppor. dr Herman Libermann, były poseł do parlamentu austriackiego,

socjalista, który z dziwną nienawiścią odnosił się do Królewiaaków, nikomu nie ufał, wszędzie węszył spisek przeciwko... Austrii.

Wiadomość o rozruchach doszła jednak do wiadomości władz austriackich w Olkuszu i Wolbromiu i 3 lutego wieczorem przysłano szwadron ułanów landwery, na szczęście Polaków — rzeszowiaków i batalion landszturmu węgierskiego (honwedów). Wobec tego, że pomoc ta była spóźniona i zbyt późna, batalion odszedł do Olkusza, a szwadron rozkwaterował się w Bukownie. Aresztowanych odstawiono do Olkusza, gdzie oddano ich pod sąd polowy.

Wreszcie jednak ppłk. Sikorski spostrzegł, że sprawa poszła za daleko i na skutek interwencji Departamentu Wojskowego zwolniono wszystkich aresztowanych razem z zawiadowcą kopalni Dwiłińskim z zastrzeżeniem, że w razie powtórzenia się rozruchów wszyscy zostaną rozstrzelani.

Odtąd już rozruchów nie było. Ale i werbunek został wstrzymany w całym powiecie Olkuskim. Poza tym popełniono nowy błąd — wstrzymano wydawanie obiadów biednej ludności Bolesławia, która dotąd korzystała z resztek, pozostałych na kuchni żołnierskiej.

Rekruci napływali teraz bardzo słabo, chociaż baon składał się już z 2 kompanii po 100 szeregowych i szkoły podoficerskiej z 80 elewami. Oficerów w baonie było z górą trzydziestu, ale tylko 10 — 12 pracowało nad wyszkoleniem, a reszta nie mając co robić bawiła się na przemian w Olkuszu i Sławkowie, nie przyczyniając się do wyrobienia nam dobrej opinii w społeczeństwie. Toteż atmosfera w Bolesławiu była ciężka i przykra, i wszyscy z ulgą przyjęli wiadomość o przeniesieniu batalionu do Radomska, a Departamentu do Piotrkowa.

W KADRZE LEGIONÓW

21 lutego baon nasz odmaszerował do Dąbrowy Górniczej na jakąś uroczystość narodową. Ja wskutek niedyspozycji nie pomaszzerowałem z baonem, ale załadowałem się na pociąg w Bukownie. Wieczorem dojechaliśmy do Strzemieszyc. Tu po powrocie z Dąbrowy załadował się batalion. Całą noc spędziliśmy w zimnych wagonach na postoju w Strzemieszycach. Rano ruszyliśmy okrężną drogą przez Gołonóg—Dąbrowę do Ząbkowic, skąd na noc pociąg dotarł do Częstochowy. Tu znowu postój całonocny. Ja, chory, leżałem w wagonie, ale wielu oficerów baonu ze znanym później „ententofilem“ Modelskim na czele poszło do bufetu, gdzie nie mogli powstrzymać się od wypicia „braterstwa broni“ z tyłowymi oficerami niemieckimi armii okupacyjnej.

23 lutego rano ruszyliśmy dalej, aby na wieczór dobrnąć po 3 dniowej podróży do Radomska. Wówczas to przekonałem się, jak ważna jest w czasie wojny dobra organizacja kolejnictwa, pozwalająca na utrzymanie normalnego ruchu na kolejach, przy równoczesnym znacznym zwiększeniu przelotności linii kolejowych ze względu na liczne transporty żywności i amunicji dla armii, walczących w polu.

Bezpośrednio po wyładowaniu się z pociągu pojechałem do rozłąką na kwaterę, którą wraz z chor. Zygmunt Rumińskim otrzymałem w oficynie domu przy ul. Częstochowskiej, gdzie mieściły się koszary naszej kompanii. Mieszkanie to należało do niejakich pp. Wolskich. Ponieważ choroba zatrzymała mnie przez kilka dni w łóżku, więc gdy batalion instalował się w Radomsku, ja musiałem przez ścianę słuchać rozmów „gospodarzy“, zdecydowanych „moskalofilów“, wspominających pobyt w Radomsku „kainowych“ drużyn agenta ochrony Snarskiego.

Jak daleko duch moskalofilstwa wszczepiony był w dusze tych biednych ludzi, niech świadczy fakt, że mimo iż prawie od wakacyj Moskali już tu nie było, nie chcieli oni posyłać dzieci do szkoły, gdzieby musiały uczyć się po polsku, lecz uczyli je w domu przy pomocy jakiegoś studenta rosyjskiego Uniwersytetu Warszawskiego i co jakiś czas słyszałem, jak nieszczęśliwe dzieciaki

recytowały: „dwaždy dwa czetyri“, lub deklamowały wiersz Puszkina, jak to „wsie słowianskije ruczji soljutsia w ruszkom morie“.

Leżałem w łóżku, a chwilami chciałem się wyrwać i uciec, aby nie słyszeć tej hańby, tego upodlenia, do jakiego doszli różni Wolscy w tym nieszczęśliwym Królestwie, wydani na łup kilkoletniej agitacji moskalofilskiej, prowadzonej przez stronnictwo rzekomo „narodowe“. Zdawałem sobie jednak sprawę, że oni niewinni i przypominałem słowa horau Ujejskiego: „O rękę karaj, nie ślepy miecz!“

Na wprost moich okien były koszary. Zatykałem uszy, aby zza ściany nie usłyszeć przypadkiem „Boże caria chrań“ i samotnie obserwowałem, jak chor. Rumiński ćwiczył musztrę na dziedzińcu, a w czasie przerwy obiadowej jak dyrygował chórem i uczył rekrutów śpiewać piosenki legionowe.

8 marca wstałem po 2 tygodniowej chorobie. Dostałem teraz nowych rekrutów, przeważnie skautów łódzkich. Element baonu sympatyczny, ideowy, chętny, pilny. Miałem jeszcze większą satysfakcję z pracy, niż przy wyszkoleniu moich sławkowiaków. Ćwiczyłem z nimi najprzód musztrę formalną, potem bojową, ale przeplatałem ją wykładami z historii walk o niepodległość, o ideologii Legionów, o służbie wewnętrznej i wartowniczej, o organizacji wojska i Legionów, a później terenoznawstwa, umocnień polowych i zasad służby polowej. Programów wyszkolenia nie było. Każdy komendant plutonu ćwiczył swój pluton wedle własnego programu. My z chor. Rumińskim omawialiśmy nasze programy wspólnie, korzystaliśmy również z uwag i spostrzeżeń komendanta kompanii por. Zamorskiego. Wykłady sam odbywałem, w mustrze pomagał mi plut. Pankowski oraz sekcyjni-kaprale: Karch, Daniluk, Landau i Kozłowski. Później do wykładów wzywałem także kaprała Landaua, który jako student, pochodzący ze środowiska ideowego, mógł mi być w tym pomocny. Kapral Kozłowski zachorował wkrótce na tężec karku i zmarł. Odprowadziłem go z całym plutonem na cmentarz i oddałem przepisane honory.

Tymczasem przyszedł rozkaz sformowania kompanii marszowej o 200 karabinach dla II Brygady. Nasza 1. kompania uważana była jako kompania uzupełniająca I Brygady.

Wobec tego jednak, że 2. kompania por. Milana Marszałka, uważana za kompanię uzupełniającą II Brygady, nie była tak liczna, jak nasza, więc polecono uzupełnienie dla II Brygady wybrać z wyszkolonych szeregowych obu kompanii. Był to niezmiernie przykry moment dla kadry 1. kompanii. Żołnierzy naszych szkoliliśmy z myślą o I Brygadzie, całe ideowe przygotowanie uzyskali pod tym kątem widzenia. Toteż nieswojo im było jechać na Węgry, boć byli to prawie sami Królewiaczy. Ale rozkaz musieliśmy wykonać.

Z całej kompanii został tylko mój III pluton rekrutów łódzkich. Reszta — poszła na Węgry. Z moich dawnych żołnierzy odeszli: Lato, Wałęga, Sanecki, wkrótce potem polegli na obcej ziemi. Żał nam było tych chłopaków, jak ze łzami w oczach rozstawali się z nami, jadąc w dal nieznaną na obcą im i obojętną ziemię. Niektórzy szlochali, że nie dostąpią zaszczytu służby w I Brygadzie. 29 marca odjechała kompania marszowa. Stan naszej kompanii zmalał chwilowo, ale wkrótce napłynęli nowi rekruci i znowu mieliśmy pełny stan kompanii. Porządek dnia był taki jak w czasie pokoju. O 6 rano — pobudka, mycie się, śniadanie. O 7 raport poranny i zmiana służby. Potem odmarsz na ćwiczenia, które, gdy się tylko zrobiło nieco cieplej, odbywaliśmy w polu. O 12 powrót do koszar i do 2 przerwa obiadowa. Od 2 do 5 wykłady albo ćwiczenia. Od 5 do 6 czyszczenie broni i kolacja. Od 6 do 8 wieczór — odpoczynek, w tych godzinach wolno nam było wychodzić na miasto i żołnierze szli najczęściej do herbaciarni Ligi Kobiet przy ul. Kaliskiej. Por. Zamorski, chor. Rumiński i ja chodziliśmy często z szeregowymi do herbaciarni, co jednak nie było dobrze widziane przez wielu oficerów, we wszystkich należących do oficerów austriackich. Myśmy jednak stosowali w naszej kompanii obyczaje I Brygady, choćby one nie były całkiem „standesgemäss“ z punktu widzenia oficerów austriackich.

Od czasu do czasu por. Zamorski organizował ćwiczenia kompanijne. Raz, pamiętam, wyruszyliśmy o 5 rano przez Bartodzieje w kierunku Żarek nad Widawką. Kompanię podzielono na dwie partie. Partię niebieską w sile 1½ plutonu, którą dowodził por. Zamorski mając mnie do pomocy. Partię czerwoną objął chor. Rumiński przy pomocy podchor. Roźnieckiego, któremu na wniosek por. Zamorskiego w dniu 19 marca, jako w dniu imienin Komendanta Piłsudskiego, przywrócono dawną rangę, oraz sierż. lin. komp. Sadowskiego.

Zadaniem niebieskich była osłona odwrotu z Radomska nad Widawką, w charakterze straży tylnej większych sił, cofających się w kierunku Kamińska. Pierwszy raz rozwinęliśmy się w lesie i po krótkiej wymianie strzałów z „nieprzyjacielem“ (ślepyimi ładunkami) por. Zamorski sekcjami wycofywał się za rzekę, a ja z półplutonem osłaniałem jego odwrót. Po okopaniu się naszym za rzeką chor. Rumiński uderzył na nas frontalnie, przechodząc wpław przez rzekę, ale wobec spóźnienia się sierż. Sadowskiego, który miał nas oskrzydlić, atak się załamał i nasi chłopcy byli niezmiernie dumni ze zwycięskiego wykonania zadania.

Ponieważ były to pierwsze większe ćwiczenia w garnizonie radomskim, więc komendant baonu kpt. Andrzej Galica wraz z adiutantem chor. Hubertem Brzozowskim wyjechał naprzeciwko

nas z orkiestrą, która następnie odprowadziła nas do koszar. W czasie ćwiczeń mieliśmy z sobą kuchnię polową, aby chłopcy przyzwyczajali się do warunków polowych. Po odtrąbieniu obiad dostaliśmy w polu.

Prócz takich większych ćwiczeń odbywaliśmy również półdniowe ćwiczenia w pobliżu miasta na błoniach pomiędzy Radomskiem a wsią Stobiecko, gdzie przeważnie zadaniem naszym był atak na wieś, lub walka o las pod Wymysłówkiem.

Kiedy do Piotrkowa zjechała c. i k. Komenda Legionów, a kadry III Brygady, wybrane z II rozłożyły się w okolicach Piotrkowa, Komenda Legionów chciała zorganizować większe ćwiczenia polowe z udziałem naszego baonu. Ćwiczenia te miały zakończyć się w Częstochowie, ale nie doszły do skutku, z powodu niewyrażenia zgody przez władze pruskie na wmarsz Legionów do okupowanej przez Niemców — Częstochowy. Tak potraktowali „sprzymierzeńcy“ c. i k. Komendę Legionów, rozmieszczoną na terenie dwóch powiatów b. gubernii Piotrkowskiej, należących do okupacji austriackiej.

Od czasu do czasu odbywały się różne parady wojskowe z okazji jakichś uroczystości w Radomsku, Piotrkowie lub okolicy. Z okazji przybycia Komendy Legionów zakrzątnięto się około jej powitania. O ile jednak społeczeństwo Królestwa niezbyt licznie witało I Brygadę, o tyle w stosunku do c. i k. Komendy Legionów nie było absolutnie żadnego entuzjazmu. Toteż chętnych do tego powitania nie było zupełnie. Wówczas jeden z oficerów naszego batalionu napisał odezwę powitalną, którą podpisał „Piotrkowianki“ — odtąd go inaczej nie nazywaliśmy, jak „Piotrkowianką“. Czas wolny od zajęć spędzałem bądź w herbaciarni Ligi Kobiet wraz z moimi chłopcami, bądź w Kasynie oficerskim, zwanym z austriacka „menaż“, gdzie najczęściej grałem w szachy z por. Milanem Marszałkiem, chor. Mieczysławem Jaroszem, chor. Władysławem Szczepańskim lub por. Mieczysławem Rawicz-Mysłowskim.

Batalion nasz tymczasem rozrastał się. Sformowano 3. kompanię, którą objął oficer I Brygady por. Rawicz-Mysłowski. Kompania ta miała być kadrą III Brygady. W koszarach radomskich nie było już miejsca. Toteż 2. kompanię por. Marszałka i Szkołę Podoficerską por. Modelskiego przeniesiono do pobliskiego Kamieńska.

Rekruci napływali coraz liczniej, ale przeważnie tzw. deklaranci, tj. ci, którzy przy zaciągu składali deklarację, że wstępują pod warunkiem przydzielenia ich do I Brygady Legionów. Sprawa ta stała się przyczyną poważnych tarć w naszym batalionie.

Po odmarszu pierwszej kompanii kadrowej na Węgry, wstępujący do Legionów, ideowi rekruci, nie chcąc doświadczyć ich losu

zastrzegli się, że chcą służyć, ale tylko w I Brygadzie, walczącej w Królestwie pod wodzą Komendanta. Ppłk. Sikorski widząc, że inaczej werbunek nie pójdzie, przyrzekł solennie, że wszyscy „deklaranci“ będą przydzielani do 1. kompanii. Widocznie jednak „po cichu“ wyszły inne rozkazy, gdyż władze zaciągowe stale przydzielały deklarantów do 2. kompanii, przeznaczonej dla II Brygady.

Ponieważ sprawa ta wywoływała spory między nami, oficerami 1. kompanii a oficerami 2., przeto kpt. Galica, aby kres tarciom tym położyć, wyznaczył kontrolera „deklarantów“ w osobie por. Rawicz-Mysłowskiego.

W ogóle wśród większości oficerów baonu oficerowie I Brygady nie byli dobrze widziani. Młodym oficerom imponowali „standowi“ oficerowie austriaccy, natomiast nie podobały się „obyczaje“ I Brygady, odznaki czerwone, tytułowanie się „obywatelami“, a nade wszystko pobieranie tylko 100 kor. miesięcznej pensji, zamiast pełnych „poborów“ austriackich. Na tym tle wywiązała się między nami dyskusja, a czasem ostrzejsze tarcia. Sprawa zaostrzyła się szczególnie, gdy po przyjściu większej partii rekrutów „deklarantów“ z Płocka, stwierdziliśmy, że wszystkich „deklarantów“ przydzielono do 2. kompanii. Kiedy stanęli do raportu upominając się o swoje prawo, zastosowano w stosunku do nich różne sztuczki. Grożono, proszono, agitowano — wszystko bezskutecznie. Wówczas wydzielono wszystkich, którzy mieli co najmniej 4 klasy gimnazjalne, i odesłano do Szkoły Podoficerskiej, w ten sposób zredukowano ich liczbę do 8 i tych dopiero przysłano nam celem wymiany na niedeklarantów. Kiedyśmy z trudem takich 8 znaleźli, zwrócono nam ich jako „nieodpowiedni materiał“.

Wobec tych stosunków por. Zamorski postanowił rozpocząć kontrakcję. Dotychczas wszyscyśmy nosili dla jednolitości w baonie zielone odznaki Legionów. Teraz por. Zamorski polecił odpruć zielone „patki“ i naszyć czerwone odznaki I Brygady. Żołnierze samorzutnie pozamieniali „wyfasowane“ konfederatki na własnym kosztem sprawione maciejówki pierwszobrygadowe. Por. Zamorski w odznakach I Brygady przyszedł na odprawę oficerską baonu celem zasadniczego poruszenia sprawy. Zjawienie się por. Zamorskiego w odznakach I Brygady zrobiło duże wrażenie. Por. Zamorski poprosił o głos i przedstawił kpt. Galicy niesłychane praktyki 2. kompanii w stosunku do „deklarantów“. Komendant tej kompanii broniąc się oświadczył, że są to po prostu intrygi „pewnego rozpolitykowanego oficera 1. kompanii“ (było to pod moim adresem). Komendant batalionu kpt. Galica ostro zareagował na przedstawione przez por. Zamorskiego fakty, oświadczając że nie pozwoli na tego rodzaju walkę w baonie. Oficer 2. kompanii, który te szykany stosował, otrzymał ostrą nagane, a „gwałcenie sumień“

deklarantów ustало. Ponieważ por. Rawicz-Mysłowski odszedł do I Brygady, więc teraz kpt. Galica, dając mi satysfakcję za niesłuszną napaść na mnie oficerów 2. kompanii, wyznaczył mnie jako kontrolera „deklarantów“. W porze obiadowej bywałem od-tąd codziennie w Biurze Ewidencyjnym (odpowiednik dzisiejszego P. K. U.) w charakterze oficjalnym, notowałem wszystkich dekla-rantów i dopilnowywałem przydzielania ich do 1. kompanii. Nie podobało się to oficerom werbunkowym, z którymi miałem ciągle nieporozumienia.

Wśród rekrutów znajdowałem teraz wielu znajomych i kolegów z lat szkolnych, jak śp. Hieronima Lewandowskiego, Stefana Cieślaka, Tadeusza Pełczyńskiego i innych. W kompanii naszej zaszły zmiany. Chorąży Bigoszt, który miał odejść z kompanią marszową na Węgry, zachorował i wyjechał do Meranu. Por. Zamorski uzyskał w Komendzie baonu, że na jego miejsce nikogo nam nie przydzielono, a jego pluton objął podchor. Roźniecki. Nastąpiła więc znowu zmiana numeracji. Podchorąży Roźniecki, jako najmłodszy, miał pluton III, ja — II, a chor. Rumiński — I. A kiedy chor. Bereski odszedł z kompanii, jego pluton objął sierżant Sadowski.

W ten sposób kompania nasza nabierała coraz bardziej charak-teru pierwszobrygadowego i odcinała się od innych kompanii, we wszystkim wzorujących się na wojsku austriackim. Wielu oficerów batalionu, choć przeważnie nie byli nigdy w II Brygadzie, przeciwstawiało Żelazną Karpacką Brygadę, walczącą w niezmier-nie ciężkich warunkach na Węgrzech, rzekomo „dekującej“ się I Brygadzie w Kętach. I ci sami oficerowie, którzy tak wojowniczo byli w stosunku do I Brygady usposobieni, jednocześnie po prostu drżeli przed każdym feldfeblem austriackim. Kiedy jakiś urzędnik austriacki XI stopnia służbowego (odpowiadającego podporuczni-kowi) zrobił awanturę, że nasz żołnierz stojący na posterunku przy areście zgodnie z Regulaminem nie oddał mu honorów, wtedy wbrew Regulaminowi zniesiono zakaz oddawania honorów przez wartownika przy areście, by nie drażnić Austriaków, nie znających Regulaminów.

Na Święconym, urządzonym w teatrze miejscowym przez Ligę Kobiet dla żołnierzy naszego baonu, jeden z oficerów wyrwał się jak Filip z Konopi i wznosił toast na cześć cesarza Franciszka Jó-zefa. Wszyscyśmy oniemieli, a obywatele miejscowi nie wiedzieli, co mają robić z tym fantem. Na szczęście por. Zamorski zerwał się z miejsca i wznosił toast na cześć Komendanta Piłsudskiego, pod-chwycony z niebywałym entuzjazmem zarówno przez żołnierzy jak przez przedstawicieli miejscowego społeczeństwa.

Jeśli dziś wspominam o tym wszystkim to dlatego, żeby przypomnieć, jak ciężko było przedzierać się nam niepodległościowcom przez zapuszczoną glebę, porośłą chwastami trójzaborowego lojalizmu nawet wśród tych, którzy stanęli na gruncie walki o niepodległość, ale nie umieli odróżnić idei Komendanta od austrofilstwa różnych galicyjskich karierowiczów, którzy choć byli w Legionach, nie odróżniali interesu Polski od interesów państwa austriackiego, którego byli obywatelami.

Wszystkie te przejścia wówczas dużo mnie kosztowały, obrzydzając mi życie w baonie, pomimo że komendant baonu kpt. Galica starał się stosunki łagodzić. Chciałem co prędzej wydostać się do Brygady. Kompania nasza, która już w marcu miała sformować kompanię marszową do Brygady, wobec zabrania jej wszystkich wyszkolonych żołnierzy do marszówki dla II Brygady, nie mogła na razie wystawić drugiej kompanii marszowej dla I Brygady. Por. Zamorski, który też nie mógł doczekać się odmarszu, kiedy pojawiły się pogłoski, że Komenda Legionów nie ma zamiaru żadnych dalszych uzupełnień wysłać dla I Brygady, układał plan wyjścia na dwudniowe ćwiczenia w kierunku południowo-wschodnim i zanim nasze władze zorientowałyby się, co się stało, chciał forsownymi marszami dostać się do Brygady.

Tymczasem Brygada po króciutkim postoju w Nowym Sączu, wezwana pośpiesznie pod Tarnów, stoczyła w czasie świąt Bożego Narodzenia najkrwawszą w roku 1914 bitwę Legionów pod Łowczówkiem, gdzie zginęło wielu najdzielniejszych. Wśród nich było wielu bliskich mi kolegów, jak Janusz Wyszynski i Kazimierz Luboń-Kamieński. Tam dostał się do niewoli ppor. Król-Kaszubski i ppor. Niłski-Łapiński.

Po tej bitwie otrzymała wreszcie Brygada dwumiesięczny odpoczynek w Kętach, po którym wyruszyła na nową pozycję nad Nidą, gdzie od początku marca zajmowała odcinek na wprost Pińczowa.

Ogólna sytuacja niewiele zmieniła się przez zimę. Moskale trzymali się na ustabilizowanym froncie i nacierali w Karpatach. A chociaż przedrzeć się na Węgry nie zdołali, 22 marca mieli poważny sukces przez zdobycie Przemyśla. Myśmy oczekiwali zmian w związku z ciągłymi pogłoskami o wycofaniu II Brygady z Węgier i spodziewanym przybyciu jej do Królestwa. Tymczasem przybyła tylko Komenda Legionów i jeden batalion Roji, który miał być kadrą 4. p. p.

Komenda Legionów wydała teraz nowy rozkaz organizacyjny, który „uznawał“ wreszcie I Brygadę, dotąd „oficjalnie“ tytułowaną 1. p. p. Legionów, ale nie przyjęła istniejącego stanu rzeczy, tj. 1. i 2. p. p. I Brygady oraz 2 samodzielnych batalionów, tylko nazwała

2. p. p. I Brygady — 5. pułkiem Legionów, pomimo że składał się on ze starszych żołnierzy, niż żołnierze 2. i 3. p. p. nie mówiąc już o nie istniejącym 4. p. p.

Równocześnie uznano oficjalnie dywizjon ułanów Beliny, składający się już z 3 szwadronów, ale znowu uznano tylko dwa szwadrony (1. i 4.) zamiast „szwadronu“, który dotąd istniał „oficjalnie“.

W ten sposób „urzędowe“ ordre de bataille Komendy Legionów, niezgodne zresztą ze stanem faktycznym, przedstawiało się jak następuje:

I. Brygada Komendanta Piłsudskiego:

1. i 5. pułki piechoty (faktycznie już 3 pułki po 2 baony) po 3 baony.

1. i 4. szwadrony jazdy (faktycznie dyon 3 szwadronowy)

4. i 5. baterie artylerii
oraz formacje pomocnicze.

II. Brygada pułkownika Zielińskiego:

2. i 3. pułki piechoty (po 3 baony)

2. i 3. szwadrony jazdy

1., 2. i 3. baterie artylerii.

Poza tym organizowała się III Brygada płk. von Grzesickiego, w skład której miały wejść przysłe pułki: 4. i 6. p. p.

Na razie formowano 4. p. p. w ten sposób, że I baonem miał być dotychczasowy baon uzupełniający kpt. Galicy. II baon (4. p. p. tworzył się z IV/2. p. p. kpt. Edwarda Terleckiego, wreszcie III/4. p. p. miał być sformowany z uzdrowieńców II Brygady, przebywających w Domu Uzdrowieńców w Kamieńsku (baon kpt. Fr. Sikorskiego).

Dzień 18 maja wyznaczono jako termin reorganizacji baonu kpt. Galicy, przedtem jednak polecono wydzielić kompanię marszową „deklarantów“, jako uzupełnienie dla I Brygady w sile 200 karabinów oraz 3 kadry dla 3 baonów uzupełniających poszczególne brygady legionowe. Po wykonaniu tych czynności baon uzupełniający kpt. Galicy miał odmaszerować do Rozprzys już jako I baon 4. p. p.

Kiedy się o tym wszystkim dowiedziałem, rozpocząłem starania o odejście z kompanią marszową do Brygady. Szanse moje nie były wielkie, bo także pragnęli odejść z tą kompanią por. Zamorski i chor. Rumiński, a najwyżej 2 oficerów wysyłano z marszówkami.

Tymczasem 5 maja ogłoszono rozkaz Komendy Legionów z nowymi nominacjami „austriackimi“. Między innymi i ja zostałem „mianowany“ — chorążym, a właściwie zatwierdzony w tym

stopniu, który oficjalnie brzmiał w ten sposób, że zostałem oficerem Legionów w XII stopniu służbowym. Wraz ze mną mianowani zostali chorążymi: Józef Relidzyński, Feliks Gwiżdż, Mieczysław Jarosz, Ludwik de Laveaux, Jan Bolesławski, Adam Ajdukiewicz, Roman Górecki i kilku innych.

W ten sposób otrzymałem od razu 250 koron pensji za maj i 300 koron na wyekwipowanie. Były to wówczas wprost bajońskie sumy. Ale musiałem się wyekwipować na front. Kupiłem więc zaraz nowy mundur, długie buty, płaszcz, szablę, lornetkę i tak wyekwipowany byłem gotów do wymarszu.

Zwróciłem się do mego bezpośredniego przełożonego por. Zamorskiego i usilnie go prosiłem, aby poparł moją prośbę o przydzielenie mnie do kompanii marszowej. Tymczasem batalion przygotowuje się do reorganizacji. Wszystkich ukrytych dawniej deklaratów wydzielono z 2. i 3. kompanii. Tę ostatnią po por. Rawicz-Mysłowskim objął por. Modelski, oddając szkołę podoficerską chor. Jeziorańskiemu. Nowopowstałą 4. kompanię objął dawny mój komendant z V baonu por. Bończa-Uzdowski. Kompania nasza wzrosła już do 300 ludzi. Wydzieliliśmy rekrutów, których nie można było zabierać na front, i pozostało kilkunastu ponad przewidzianych 200. Ćwiczyliśmy teraz kompanię niezmiernie intensywnie, aby nowoprzybyłych podciągnąć i zasymilować ze starym żołnierzem 1. kompanii, ale w pracy przeszkadzała nam budowa strzelnicy. Budowaliśmy ją na błoniach Stobieckich niby pod kierunkiem kapitana-Węgry, przysłanego z Komendy Obwodowej austriackiej. On był przekonany, że robi nam wielką przysługę, a my przeklinaliśmy tę robotę, nie wiedząc dla kogo właściwie tę strzelnicę budujemy. Spieszyliśmy się, aby z tym prędzej skończyć, aż wreszcie strzelnica stanęła. Udekorowano ją kwiatami i flagami polskimi i węgierskimi i w dniu 3 maja bezpośrednio po obchodzie rocznicy majowej po południu odbyło się otwarcie strzelnicy. Po poświęceniu odbyła się natychmiast próba strzelania, a od następnego dnia rozpoczęliśmy systematycznie strzelanie naszej kompanii, które wypadły wcale nieźle.

Wreszcie wyznaczono odmarsz naszej kompanii na 15 maja. Ja ostatnie dni byłem bardzo podniecony, nie wiedząc czy uda mi się odmaszerować z kompanią. Do 14 maja nie było wiadomo, kto pójdzie z kompanią. Chor. Rumiński otrzymał przydział do Szkoły Podoficerskiej i odszedł do Kamieńska, więc jeden rywal mniej, ale nie wiedzieliśmy, czy pójdzie 1 czy 2 oficerów i czy kompanię odprowadzi por. Zamorski, czy ktoś inny. W ostatniej chwili dowiaduję się, że por. Zamorski został wyznaczony na oficera broni 4. p. p. W ten sposób szanse moje rosną. Zgłaszam się do raportu batalionowego i proszę kpt. Galicę o przydzielenie mnie od kom-

panii marszowej. Kpt. Galica, który bardzo przywiązywał się do swoich oficerów, nie chce o tym słyszeć. Przypomina mi, że wystarał się o nominację dla mnie, daje mi nadzieję szybkiego awansu i otrzymania kompanii w 4. p. p., wreszcie decyduje krótko: „Jesteś moim oficerem i zostaniesz w 4. p. p.“. Mimo to nie dałem za wygraną. Wreszcie 14 maja nieoficjalnie dowiaduję się, że kompanię odprowadza z obowiązkiem powrotu por. Zamorski, ja mam być przydzielony do pomocy. Myślę sobie, że jak raz się dostanę do Brygady, to dam sobie radę i więcej nie wrócę. W ostatniej chwili znowu zmieniono rozkazy. Kompanię odprowadza świeżo przybyły por. I Brygady Narbutt-Łuczyński.

Por. Narbutta znałem dawniej, poznałem go bliżej jesienią 1914 r. w Piotrkowie, gdzie spotykaliśmy się w domu pp. Strzeleckich, rodziców mojej krakowskiej koleżanki, Czesławy. Jako o oficerze baonu uzupełniającego nie mógł on o mnie mieć dobrego pojęcia, zwłaszcza, że wracał z Piotrkowa, gdzie od por. Juliana Stachiewicza („Wicza“) musiał się nasłuchać o naszym baonie. Przydzielony wówczas do Departamentu Wojskowego, por. Stachiewicz miał mieć nadzór nad szkoleniem oficerów naszego baonu. Aby przekonać się, co umieją nasi oficerowie, przyjechał kiedyś na grę wojenną do Radomska. Miała się ona odbyć w Kasynie po kolacji. Dowiedziawszy się o tym, połowa oficerów „zachorowała“, a ci co przyszli, wykazali taką nieznajomość służby polowej i taktyki, że por. Stachiewicz oświadczył, że szkoda przyjeżdżać, i więcej się nie pokazał.

Serdecznie ucieszyłem się, że pod komendą doświadczonego oficera I Brygady wracam na front i że w czasie drogi będę się mógł wobec niego wykazać wiadomościami wojskowymi, które pod komendą por. Zamorskiego, oraz własną pracą zdobyłem jednak w baonie uzupełniającym, mimo złej opinii, jaką por. Narbutt miał niewątpliwie o kadrze baonu.

15 maja o 6 rano pomaszerowałem jeszcze z kompanią na cmentarz, gdzie kapelan baonu ks. Gilewicz poświęcił krzyż, ufundowany przez żołnierzy naszej kompanii na grobie śp. kaprała Kozłowskiego.

Po powrocie z cmentarza zarządzono natychmiast zbiórkę już w pełnym rynsztunku polowym i kompania pomaszerowała na błonia Stobieckie.

Dzień był zimny, ponury, pochmurny. Staliśmy w oczekiwaniu ostatnich rozkazów. Na błoniach ustawione były wszystkie oddziały garnizonu, trochę publiczności, rodziny żołnierzy no i trochę gapiów.

Nadjechał płk. Grzesicki i ppłk. Sikorski. Dokonał przeglądu kompanii i pyta, czy który z żołnierzy nie ma jakiego życzenia.

Wówczas ku memu zdumieniu wyszedł z mojego plutonu szer. Czesław Stelmaszczyk i prosi, aby go puszczono do domu. Żołnierze w śmiech, a on płacze. Plk. Grzesicki poleca skierować go do superrewizji. Dziwny to był chłopak. Zgłosił się do Legionów wbrew woli matki. Gdy ta rozpaczala — zdezerterował. Wysłałem za nim patrol, który sprowadził go do kompanii. Kiedy ponownie zdezerterował, matka z siekierą rzuciła się na patrol, a on wrócił na złość matce do kompanii. Teraz strach go obleciał. Nie był to żaden żołnierz. Był krnąbrny, nieposłuszny, żadne kary ani tłumaczenia nań nie działały. Może lepiej, że z nami nie poszedł.

Po defiladzie przed plk. Grzesickim wracamy z orkiestrą do koszar. Ostatni obiad. Żegnam się bez żalu. Ciężko mi tylko rozstać się z por. Zamorskim.

O 2 zbiórka. Por. Zamorski przekazuje kompanię por. Narbuttowi. Widzimy wszyscy, jak mu trudno żegnać się z nami: „Idziecie chłopcy a ja, niestety, nie mogę z Wami“. Por. Narbutt krótko powitał kompanię, wspominał o trudach, jakie nas czekają.

Kompania stoi w kolumnie kompanijnej. Obok inne kompanie. Batalion w masie. Na prawym skrzydle — orkiestra. Publiczności — tłumy.

Nadjeżdża plk. Grzesicki. Żegna nas i z jego mowy dowiadujemy się o przerwaniu frontu rosyjskiego na linii Tarnów—Gorlice. „W takiej chwili idziecie do sławnej I Brygady“ — zakończył. Potem żegna nas komendant baonu kpt. Galica. Żegna, jak zawsze serdecznie, po góralsku. Orkiestra gra: „Jeszcze Polska nie zginęła“, a potem ze względu na obecność plk. Grzesickiego — hymn austriacki.

Rozwijamy się w kolumnę marszową. Przodem orkiestra, potem plk. Grzesicki z kpt. Galicą i całym korpusym oficerskim, później nasza kompania pod komendą por. Narbutta. Ja maszeruję w pierwszej czwórce jako komendant I plutonu, inne plutony mają podoficerowie. Za nami pluton honorowy prowadzi chor. Rumiński. Potem tłum żołnierzy i publiczności.

Maszerujemy ul. Częstochowską, Rynkiem, Alejami na dworzec. Tłumy publiczności w oknach, na balkonach. Z balkonu komendy obwodowej obserwują nas „sprzymierzeńcy“. W Alejach grupa pań rzuca nam kwiaty. Przypinamy narcyzy do mundurów. Dworzec. Kompania w rozwiniętym szyku czeka na nadejście pociągu. Ostatnie pożegnania, ostatnie zlecenia. Odjeżdżam po blisko 4 miesięcznym pobycie w kadrze, wracam do Brygady, do linii, na front. Nie mogę się opanować z radości.

Nadjeżdża pociąg osobowy w kierunku Katowic. Por. Narbutt siada ze mną do zarezerwowanego przedziału klasy II. Przyłącza się do nas dwóch oficerów I Brygady, wracających do swych

pułków: ppor. Modest Słoniowski wraca ze szpitala po wyleczeniu rany otrzymanej pod Brzechowem, ppor. Nilski-Łapiński, wzięty do niewoli pod Łowczówkiem, uciekł, przetrwał inwazję w Tarnowie i po przełamaniu frontu rosyjskiego wrócił z 8 żołnierzami z „tamtej” strony frontu.

Żołnierze intonują „Jeszcze Polska nie zginęła” i o 3 po południu pociąg rozśpiewany rusza, unosząc wesołą czeredę na front — do Brygady!

POWRÓT DO BRYGADY

2 maja 1915 r. wojska austriacko-niemieckie przełamały front rosyjski na linii Dunajca, zajęły Gorlice, Tarnów i rozpoczęły wielką ofensywę na całym froncie. 11 maja odbiło się to i na sytuacji nad Nidą. Brygada nasza ruszyła do pościgu z 2. pułkiem w straży przedniej. Moskale cofali się tak szybko, że ułani Beliny dopadli ich dopiero nad rzeczką Czarną i, stoczywszy szereg drobnych potyczek pod Kurozwękami, Oględowem, Staszowem i Rytwaniami, dotarli w dolinę rzeczki Pokrzywianki.

Tu po raz pierwszy piechota nasza natrafiła na opór nieprzyjaciela w dniu 16 maja, tj. nazajutrz po wyruszeniu naszej kompanii z Radomska. Baon III/1. p. p. stoczył potyczkę pod Beradziem, 2. p. p. wziął Swojków, zabierając do niewoli 300 jeńców, 2 k. m., zdobyte przez II pluton 1. kompanii I baonu pod komendą ppor. Władysława Wąsika. Natarcie 2. p. p. na Włostów nie udało się wskutek braku poparcia ze strony sąsiadującego pułku austriackiego. W obawie oskrzydlenia 2. p. p. musiał cofnąć się do Garbowic. Tu bił się w dniu 17 maja, po czym dla wyrównania linii frontu wycofał się do Konar i zajął pozycję na płu. od tej wsi naprzeciw Przepiórowa i Kamieńca.

Przeszedłszy do obrony odpierał natarcia rosyjskie od 18 do 22 maja, gdy Moskale, ośmieleni poddawaniem się Czechów z 8. p. p. austriackiej, coraz silniej nacierali na odcinek 4. dyw. piechoty austriackiej, do której przydzielona była nasza Brygada.

Baon I/1. p. p. zajmował w tym czasie od 19 do 22 maja pozycję pod Gorzkowem, a baon VI, wydzielony z Brygady, walczył pod Wszachowem, gdy od 18 maja rozpętała się wielka bitwa pod Kozinkiem, w której uczestniczyły III i V baony I Brygady, ponosząc znaczne straty w ciągu 4 dni walki.

W ten sposób rozwijały się wypadki na froncie, kiedy nasza kompania, wyruszywszy z Radomska, spieszyła do Brygady.

My tymczasem, nic o tem nie wiedząc, jedziemy dobrze znaną linią Radomsko-Sosnowiec i rozmyślamy nad tym, gdzie uda nam się Brygadę dogonić. Poprzedniego dnia doszła nas wprawdzie wiadomość o wyruszeniu Brygady z nad Nidy, ale nie wiemy, jaki

kierunek wskazano jej w pościgu za nieprzyjacielem. W Częstochowie wysyłamy depeszę do Komendy dworca w Sosnowcu, aby przygotowano dla nas kolację. Kiedy jednak wieczorem stanęliśmy na dworcu w Sosnowcu, dowiadujemy się, że niemiecka Komenda dworca żadnych zarządzeń co do kolacji dla nas nie wydała. Po krótkim postoju pociąg rusza i wiezie nas na dworzec Dęblińsko-Dąbrowski, który w tym dniu przeszedł właśnie w ręce austriackie. Tutaj możemy coś dostać w bufecie, żołnierzom wydano konserwy i na jadącej z nami kuchni polowej ugotowano kawy. Mamy stać tu całą noc. Zimno w wagonach. Jakiś żołnierz szuka mnie i zawiadamia, że ktoś się o mnie dopytuje. Był to mój wuj Mirosław Lipski, zamieszkały w Sosnowcu, który przyszedł się ze mną zobaczyć wraz z obu ciotkami. Są to jedyne osoby z najbliższej rodziny, z którymi mogę się pożegnać przed wymarszem na front, gdyż od ojca, będącego w Warszawie, jestem całkowicie odcięty prawie od roku, a do matki, przebywającej na okupacji niemieckiej w Łodzi, nie mogę się dostać, bo Niemcy nie dają legionistom przepustek na okupowane przez nich tereny. Porozmawiałem więc chwilę z rodziną, pożegnałem się i wracam do wagonu. Widzę scenę, jaka się rozgrywa przed wagonem. Rodzina szeregowca z mego plutonu Jana Sikorskiego usiłuje nakłonić go, aby pozostał w domu. Chłopak rozplakał się, ale mimo to dzielnie się broni i oświadcza, że chce walczyć, a do największej hańby żołnierza — dezercji, nie da się nakłonić. Widziałem ciężką walkę wewnętrzną szer. Sikorskiego, widziałem jak oparł się matce, która niemal siłą nie chciała puścić go z powrotem do wagonu.

Pomimo zimna zdrzemnąłem się nieco. O 1 zbudził mnie wstrząs wagonu. Ruszamy. Starym szlakiem dobrze mi znanym przez Strzemieszyce—Sławków—Bukowno—Olkusz. Spać nie mogę, więc obserwuję okolice, które wielokrotnie piechotą przemierzyłem. Wojna nie pozostawiła tu żadnych śladów. Dopiero od Wolbromia widać opuszczone rowy strzeleckie, zgliszcza i inne niezbędne akcesoria wojny. W Wolbromiu żołnierz mój, Klek, wita się z siostrą, chce biec do położonego o kilka kroków domu rodzinnego, aby się pożegnać. Nie mogę na to pozwolić, bo pociąg krótko stoi. Biedak, nie pożegnał się i już domu nigdy nie zobaczył, bo bezpośrednio po przyjeździe do Brygady był pierwszym na liście naszych strat. Nie zginął wprawdzie od kuli, ale w czasie kąpieli utonął w rzece.

Wreszcie dojeżdżamy do Jędrzejowa. Po raz trzeci jestem tu i zawsze miłe, zawsze gorące znajdują przyjęcie. Wyładujemy się. Kompania maszeruje przez miasto, które, mając przez dwa miesiące w pobliżu Brygadę, miało okazję przywyknąć do widoku Legionów, a jednak zawsze wita nas serdecznie. Na dworcu

dostaliśmy herbatę. Ppor. Słoniowski poszedł z sierżantem Grzebieniowskim do „Fassungsstelle“. My maszerujemy do miasta śpiewając. Po drodze spotykamy jeńca rosyjskiego, prowadzonego przez żołnierza austriackiego. Widząc to por. Narbutt zawołał: „Zdorowo riebiata“ — „Zdrawja żelajem“ — odpowiada kompania! Jeniec blade się uśmiecha. Zatrzymujemy się na rynku przed Komendą Placu.

Jędrzejów! Tu po raz pierwszy byłem w obliczu nieprzyjaciela, stąd rozpoczynam marsz, który miał trwać bez przerwy niemal 5 miesięcy!

Komendantem Placu był ppor. Protassewicz-Szuszkowski Leon. Od niego dowiadujemy się, że Brygada przed 5 dniami ruszyła z nad Nidy i prawdopodobnie w tej chwili jest w okolicach Staszowa.

Na obiad zaprosili nas jacyś państwo, których nazwiska nie zanotowałem, znajomi ppor. Protassewicza-Szuszkowskiego. Przyjmują nas bardzo gościnnie, jakby to były pierwsze miesiące wojny. Po obiedzie, ugotowanym w naszej kuchni polowej, żołnierzom pozwolono się rozejść i załatwić ostatnie sprawunki. Największy kłopot mamy z taborem, nie mamy wozów ani koni, nie mamy czym zabrać prowiantów. Ppor. Protassewicz-Szuszkowski szuka wozu na wszystkie strony, ale nigdzie go dostać nie może, obiecują dopiero na dzień następny. Ponieważ jednak w mieście nie ma wolnych kwater, musimy wymaszerować w kierunku Chmielnika i zanocewawszy w którejś wsi pobliskiej, nazajutrz po sprowadzeniu wozów — maszerować dalej.

Zbiórka. Kompania ustawiona w dwurzędzie na Rynku. Żegna nas ppor. Protassewicz-Szuszkowski. Por. Narbutt wydaje ostatnie polecenia ppor. Słoniowskiemu, zostającemu w Jędrzejowie celem przyprowadzenia podwód. Pada komenda: „Bacność! Kolumna czwórkowa w prawo! Czwórki w prawo zwrot! Marsz!“! Po wydaniu komendy „Odtrąbiono“ maszerujemy ze śpiewem ul. Pińczowską w kierunku Chmielnika. 16 maja o godz. 18 poczułem się znowu w polu już w atmosferze naszej kochanej Brygady.

Chłopcy ochoczo maszerowali, zanudzając nas pytaniami kiedy nareszcie będziemy w Brygadzie. Mnie dokuczały bardzo nowe długie buty przez niedoświadczonego szewca niedostosowane do marszów. A tu jak na złość wysłany przodem ppor. Nilski-Łapiński przysyła meldunek, że w Mogile kwater nie ma i musimy maszerować dalej do Jasionnej. Po dwugodzinnym marszu docieramy wreszcie do wsi. W momencie gdy mijamy park dworski, wybiegło na drogę kilka panien dworskich, witając nas słowami: „Szczęść Boże“.

Jasionna cała niemal zajęta była przez różne tyłowe formacje II korpusu i 4. dywizji austriackiej, w której składzie walczyła obecnie nasza Brygada. Stały tu szpitale polowe, liczne kolumny taborowe itp. Na samym skraju wsi udało nam się wreszcie znaleźć kilka chałup, które zarezerwował dla nas ppor. Nilski. Kiedy rozkwaterowaliśmy się, zmrok zapadł. Najgorszym było to, że nie mieliśmy żadnych prowiantów i trzeba było żołnierzom polecić wyżywić się własnym przemysłem. Nie było to łatwe w pobliżu Nidy, gdzie tyle miesięcy stojące wojska opustoszyły okolicę z wszelkich zapasów. Toteż niewielu żołnierzy znalazło coś niecoś, reszta poszła spać na głodno. My również, niezbyt syci, choć gospodarz nasz wydestał skądś kilka jajek, poszliśmy spać na słomę, rozścieloną w chałupie. Dla mnie po 8 miesiącach był to pierwszy nocleg w polu.

Nazajutrz, kiedy pozostawiony w Jędrzejowie ppor. Słoniowski z podwodami nie nadjeżdżał, posłał mię por. Narbutt do rozkwaterowanych we dworze władz austriackich celem wypożyczenia koni. Stała tam Komenda taborów II korpusu. Kiedy przyszedłem do dworu, Komendant spał jeszcze, adiutant natomiast młody podporucznik objaśnił mi, że oni zaraz ruszają, więc koni wypożyczyć nie mogą, ale radził zwrócić się do właściciela majątku, który niewątpliwie koni nam użyczy. Udałem się więc do mieszkania właściciela, ale na podwórzu spotkałem już „dziedziczkę“ (której nazwiska niestety nie zanotowałem), a która po krótkiej naradzie z mężem bardzo chętnie zgodziła się na wypożyczenie koni. Czekać na konie miałem okazję poznać panienki ze dworu, które wczoraj nas tak serdecznie witały. Opowiadały mi one, że znają wielu oficerów, naturalnie i ułanów I Brygady, a sam Komendant bywał tu często na odprawach w 4. dywizji, która stała we dworze. Z pobliskich Grudzyn często przyjeżdżali nasi ułani. Cały dom właścicieli Jasionnej zrobił na mnie bardzo miłe wrażenie ze względu na pozytywne ustosunkowanie się do Legionów.

Tymczasem konie zaprzężono i trzeba było jechać. Przy pożegnaniu serdecznie zapraszano mię na obiad. Wracam więc tryumfalnie do kompanii i konie wysyłamy do Jędrzejowa po żywność. Czekamy na ich powrót, gdy będzie można wreszcie coś ugotować. Tymczasem nadjechał ppor. Słoniowski z naszą kuchnią polową i jedną podwodą. Mamy więc już własny tabor i możemy maszerować dalej. Czekamy tylko na ugotowanie obiadu. Ponieważ zameldowałem por. Narbuttowi o zaproszeniu mnie do dworu, więc pozwala mi się udać tam na obiad, chociaż ja ze względu na kolegów krępuję się skorzystać z zaproszenia. Ale na rozkaz por. Narbutta idę ponownie do dworu. Dwa małe pokoiki pozostawiono właścicielom, reszta zajęta przez wojsko austriackie.

Obiad skromny, jarski, wojenny, ale wydaje mi się wspaniały, wobec perspektywy oczekiwania aż nasi kucharze coś ugotują. Właściciel dworu, bardzo miły staruszek, typowy szlachcic polski. Córkę bardzo sympatyczne panny i kuzynka Galicjanka, a raczej Królewianka, która wyszła za mąż za Galicjanina, powołanego na wojnę, oficera zamkniętego w twierdzy Przemyśkiej. Nastrój miły w stosunku do nas, chociaż powiedziałbym, zanadto już austro-filski. Panie założyły tu trafikę dla żołnierzy i pracują w niej cały dzień, więc tam spędzamy na pogawędce poobiedniej miłą chwilę. Podpisałem się w „sztambuchu“ i wracam. Por. Narbutt, nauczony doświadczeniem, uważa, że należy jeszcze raz pojechać po żywność do Jędrzejowa, bo dalej możemy mieć jeszcze większe trudności z zaprowiantowaniem. Jadę więc furą do Jędrzejowa razem z ppor. Słoniowskim. Nie dojeżdżając do Jędrzejowa spostrzegam w oddali na polnej drodze maszerującą kolumnę strzelecką. Zatrzymujemy furę, wyskakujemy z wozu i biegnę na przełaj w kierunku maszerującej kolumny, aby sprawdzić, kto to taki. Stwierdzam, że to kompania uzupełniająca, która z Kęt wraca do Brygady. Ogółem 100 karabinów, złożonych z chorych i rannych wracających do Brygady. Prowadzi ją ppor. Kazimierz Sawicki! Nie widziałem się z nim prawie 7 miesięcy. Toteż po przywitaniu się ustalamy, że dalej pomaszerujemy razem i wskazuję im, gdzie kwateruje nasza kompania. Wracam na wóz i jadę do Jędrzejowa. Ppor. Słoniowski wysiada na Rynku, ja pojechałem wprost na dworzec do „Fassungsstelle“. Po pobraniu prowiantów, głównie sera holenderskiego, którego mieli bardzo dużo, wracam na Rynek i w cukierni czekam na ppor. Słoniowskiego. Umówiliśmy się na 7, ale nie mogę się go doczekać, szukam w Komendzie Placu, w aptece — na próżno. Widząc że mija 8, nie czekam dłużej i jadę. Przyjeżdżam późno — wszyscy już kładą się spać, bo wymarsz o 6. Późno w nocy wrócił piechotą ppor. Słoniowski, przeklinając mnie, chociaż nie byłem winien jego niepunktualności.

18 maja rano wymarsz półbatalionu, który objął por. Narbutt. Naszą kompanię powierzył ppor. Słoniowskiemu jako najstarszemu stopniem.

Maszerujemy przez Motkowice nad Nidą do Kijów. Motkowice zniszczone zupełnie, widać rowy strzeleckie tak niedawno opuszczone, leje od granatów, druty kolczaste. We wsi nie ma zupełnie ludności, tylko wojsko. To samo mniej więcej w Kijach, tylko tu widać już powracających mieszkańców. Jest to własność ob. Łuszczewskiego, który wstąpił do Beliny, a przejściowo był też w oddziale wywiadowczym. Syn jego służy w naszej artylerii. We dworze — pustka. Jest tylko jakiś starszy jegomość, zdaje się administrator, który naogół robi sympatyczne wrażenie. Pa-

triota, dawny członek Ligi Narodowej, ale dziś wierzy ślepo jej spadkobiercom i wydaje mu się, że Dmowski nie może się mylić. Szkoda, że tego miłego staruszka otumaniała ugodowa polityka Narodowej Demokracji.

Po wypoczynku obiadowym — maszerujemy dalej. Podczas postoju miałem robotę fachową jako b. oficer oddziału wywiadowczego. Przytrzymano jakieś podejrzané indywiduum, które zbyt interesowało się różnymi sprawami wojskowymi. Ponieważ rewizja żadnych materiałów przy nim nie wykryła, po przesłuchaniu go — puściłem go wolno, dając ostrzeżenie aby na przyszłość nie interesował się zbytnio sprawami wojskowymi, bo jak wpadnie w ręce Austriaków, może się to skończyć gorzej dla niego. Przez Lipnik, Samostrzały i Holendry maszerujemy do Chmielnika. W Samostrzałach spotykamy pierwszą formację Brygady — kolumnę amunicyjną 5. baterii artylerii, która czeka tu na kpt. Brzozę, dowódcę naszej artylerii.

Wieczorem stajemy w Chmielniku. Mam służbę inspekcyjną półbatalionu, więc jestem cały wieczór zajęty. Po kolacji w jakiejś restauracji por. Narbutt zarządził odprawę. Na tej odprawie dochodzi do nieporozumienia między mną a ppor. Słoniowskim na temat kompetencji oficera inspekcyjnego i komendanta kompanii, które rozstrzyga por. Narbutt na moją korzyść, gdyż ja ściśle trzymam się regulaminu.

Wieczór spędzamy na kwaterze u kierowniczkę sklepu monopolowego, której córki wypytują nas o różnych legionistów, znanych im z czasów przemarszu Brygady z Kielc we wrześniu ubiegłego roku.

Nazajutrz wymarsz o 9. Przed wymarszem por. Narbutt był w miejscowym szpitalu wojskowym, gdzie widział pierwszych rannych z pod Swojkowa. Między nimi był też ob. Bronisław Hełczyński z 1. komp. I baonu 2. p. p. I Brygady, kolega nasz z Krakowa, drużyniak i zarzewiak. Dowiedziawszy się o tym i ja poszedłem do szpitala, ale Hełczyńskiego już nie zastałem, bo odjechał dalej na tyły, za to spotkałem wielu innych rannych 2. p. p., od których dowiedziałem się, że ppor. St. Długosz został zabity. Wiadomość tym razem nie była prawdziwa.

Maszerujemy dalej już niejako w rejonie I Brygady. Wypoczynek południowy wypadł nam w Gnojnie. Tutaj znowu wynikł spór kompetencyjny między mną a ppor. Słoniowskim i po raporcie batalionowym por. Narbutt chcąc temu kres położyć polecił mi objąć kompanię, a ppor. Słoniowski pozostał à suite przy półbatalionie. W czasie postoju minęła nas kolumna rannych z pod Kozinka i Swojkowa. Przykry to był widok, zwłaszcza z ciężiej rannymi. Nie ma jednak tego złego, które by na dobre nie wyszło. Widok ten chłopców naszych oswajał powoli z wojną.

Po wypoczynku — ruszyliśmy dalej w kierunku Szydłowa. Mijamy teraz coraz częściej kolumny sanitarne, idące od frontu, lub kolumny amunicyjne, posuwające się ku frontowi. Coraz bliżej czujemy się frontu, coraz bardziej oswajamy się ze zwykłym widokiem wojny. Późnym wieczorem stajemy w Szydłowie.

Miasteczko to o wyjątkowym wprost położeniu pośród wzgórz i wąwozów w czasie wycieczki turystycznej byłoby bardzo interesujące. Przypominam sobie, że czytałem gdzieś, że jest tu wspaniały zabytek architektury: kościół z XVI w., zdaje się w stylu Odrodzenia. Niestety jednak pochmurna noc i straszliwe ciemności w nieoświetlonym miasteczku nie pozwalają myśleć o zwiedzaniu zabytków.

Batalion nasz rozkwaterowany został na dole we wsi, stanowiącej jakby przedmieście Szydłowa. Rozłożyliśmy się na kwaterze u dość sympatycznego gospodarza. Dowiadujemy się jednak, że nie można nic dostać do zjedzenia. Trzeba poszukać w miasteczku. Idziemy więc po błocie w górę. Brodzimy niemal po kolana w ciężkim, gliniastym bajorze, a w ciemności omal nie dostajemy się pod koła jakiejś austriackiej kolumny taborowej. W końcu przez starożytną bramę dochodzimy do Rynku. Wszystko zamknięte. O żadnej restauracji, czy knajpie nie ma mowy. Jedyna karczma zajęta na kasyno oficerskie, wypełniona tłumem oficerów, ale mniejsza nie ma i nic dostać nie podobna. Wreszcie właściciel wystarał się o coś dla nas i podał nam w swoim prywatnym mieszkaniu.

Nie zdoławszy nawet obejrzeć miasteczka, skoro świt wyruszyliśmy w dalszą drogę. Maszerujemy obok nie kończących się kolumn amunicyjnych. Z oddali słychać już głuchoe grzmoty, pierwsze zwiastuny placu boju. Walka trwa. W dolinie Pokrzywianki krwawią się nasze bataliony.

W południe 20 maja ze śpiewem „Hej strzelcy“ wkroczyliśmy w ulicę Staszowa i złożyliśmy karabiny w kozły w ogrodzie miejskim. Tu spotykamy ul. Tadeusza Kornilłowicza, który wskazał nam, gdzie szukać mamy Brygady. Walczy ona w samym ośrodku bitwy, toczącej się na linii Opatów-Klimontów. Komenda Brygady jest w Ułanowicach. Ciężkie straty poniosły III i V bataliony pod Kozinkiem. Poległ komendant V baonu kpt. Kazimierz Herwin-Piątek, któremu śmierć przepowiedziano na samym początku wielkiej wojny, poległ drugi strzelec krakowski por. Mikołaj Sarmat-Szyszlowski, obaj członkowie krakowskiego „Promienia“.

W niezbyt dobrym nastroju z powodu tych wiadomości idziemy do restauracji na Rynku. Tu mieliśmy zajście z wywiadowcami austriackimi, których wzięliśmy za szpiegów rosyjskich. Po obiedzie wracamy do ogrodu i spotykamy dwóch austriackich lekarzy — Polaków, którzy dzielą się z nami nowinami o postępach ofensywy

w Galicji, wyczytanymi w „Nowej Reformie“. My od wymarszu z Jędrzejowa nie widzieliśmy gazet i od 4 dni nie znamy już sytuacji wojennej. Poza tym Staszów nie robił milego wrażenia. Moskalofilstwo musiało tu być tak ugruntowane jak w Skale, czy Radomiu. Aptekarz miejscowy spoglądał na nas spođe łba. Ludność mijała obojętnie śpiewających strzelców.

O 3 po południu ruszyliśmy dalej. Mijamy dużą kolumnę jeńców rosyjskich, prowadzonych z Klimontowa. Wieczorem zatrzymujemy się na nocleg w Mostkach. Ostatni nocleg przed przybyciem do Brygady. Kwaterę mieliśmy u żyda — karczmarza, więc tym razem kolację mieliśmy obfitą. Huk armat słyhać już zupełnie wyraźnie. Bitwa toczy się w całej pełni. Idziemy prosto w ogień!

Nazajutrz po drodze do Bogorii spotykamy już stale rannych naszych i austriackich, jeńców, maruderów, kolumny wozów, armaty, szpitale polowe. Zamęt, hałas, jak zwykle na tyłach w bezpośredniej bliskości bitwy. Na obiad zatrzymujemy się w Bogorii. Nędzne to miasteczko, ludność przeważnie żydowska, wystraszona i drżąca. Odgłosy bitwy słyhać doskonale. Stoi tu Komenda II Korpusu. Ordynansi konni, gońcy, łącznicy wpadają co chwila galopem, to znowu ruszają z kopyta ku frontowi. Stoją tu nasze armaty, pono zepsute, odstawione do naprawy. Obiad dostaliśmy z Komendy Korpusu, smaczny, obfity. Chłopcy nasi nabrali animuszu. Bliskość Brygady napelnia ich radością. Śpiewają: „Grzmia pod Stoczkiem armaty“. Zebrało się trochę mieszczan. Pod wpływem wesołych min naszych strzelców i oni rozchmurzyli swe czoła. Słuchają śpiewów i widzę, że robi to na nich wrażenie. Ale już — zbiórka. Maszerujemy teraz wśród wawozów leśnych, a huk, głucho huk artylerii wciąż się wzmacza. Chłopcy zakładają zielone gałazki na czapki. Wszak idą po chrzest bojowy. Maszerujemy przez Wysoki i Wysoczki Średnie i dochodzimy do Wysoczek Małych 21 maja o godz. 5 po południu. W Wysoczkach Małych kwateruje komenda 3. p. p. I Brygady, złożonego z V i VI baonów. Por. Narbutt zameldował się u komendanta pułku mjr. Trojanowskiego i zdawszy mi Komendę nad półbatalionem pojechał sam po dalsze dyspozycje do Brygady. Wszyscy oficerowie znaleźszy się w Brygadzie rozeszli się po okolicy, szukając swoich oddziałów. Ja zostaje przy Komendzie 3. p. p. i wraz z mjr. Trojanowskim i adiutantem pułku ppor. Michałem Funiem-Fuksiewiczem, wychodzę na wzgórze za wsią. Wspaniały widok, widać całą okolicę. Doskonały punkt obserwacyjny. W oddali widać pasmo wzgórz i wsie: Gorzków, Grzybów Szczyglice, Domaradzice, Pokrzywiankę. Na wzgórzach tych dostrzegam pozycje naszych baterii. Co chwila widać nad nimi białe dymki wybuchających szrapneli rosyjskich, lub słyhać huk naszych wystrzałów, przeplatany nieustającym grzechotem kara-

binów maszynowych. Moskale widać atakują, a nasz silny ogień artyleryjski stwarza ogniową zasłonę przed naszymi okopami. Ze wzgórza widzimy bitwę jak na dłoni. Pierwszy, a zarazem jedyny to raz, kiedy miałem możliwość obserwowania bitwy w tak dużej skali. Toteż widok to był niezapomniany.

Wieczorem wrócił por. Narbutt. Bitwa mimo zmroku nie ustawała. Zebraliśmy się wszyscy w Komendzie pułku. Opowiadam o stosunkach w batalionie uzupełniającym, inni opowiadają o Brygadzie, zwłaszcza szef sztabu pułku kpt. Wyrwa informuje mnie o losach naszych wspólnych kolegów krakowskich. Pogawędkę naszą przerywają meldunki i rozkazy. Mjr Trojanowski odczytuje je i w pewnym momencie mówi: „Istnieje możliwość cofnięcia się. Nasz półbatalion musi być w pogotowiu“. Por. Narbutt wydaje rozkazy.

Późnym wieczorem wpadają do wsi ranni i dezenterzy z 8. p. p. austriackiej i szerzą popłoch wśród naszych chłopców, mówiąc o klęsce i o tym że z ich pułku nic nie zostało. Później przyszło kilku maruderów z naszego III baonu 1. p. p. Tych ostro skarcił kpt. Wyrwa i odesłał z powrotem na linię. My czuwamy, spać zresztą nie podobna w tym piekle ognia i huku. Dopiero nad ranem ogień przycicha. Nasi przyprowadzają trochę jeńca. Przed południem ogień znowu się wzmacnia i bitwa trwa w całej pełni.

Losy nasze dotąd niezdecydowane. Dowiadujemy się, że w Bogorii Komenda Korpusu dla tego dała nam tak wspaniały obiad, bo miała ochotę „zafasować“ nas, aby wypełnić jakąś lukę w froncie, ale opór Brygady temu zapobiegł. Już rozbili 1. i 3. p. p., które walczą pojedynczymi baonami, jeden 2. p. p. dotąd trzyma się w kupie. Ciągłe nadchodzą ranni. Opowiadają o bitwie pod Kozinkiem o śmierci Herwina i Sarmata.

Wieczorem przyjechał ppor. Mały-Skwarczyński z rozkazem objęcia naszej kompanii. Plutony obsadzono w ten sposób: I pluton ppor. Kazimierz Sawicki, II pluton (dawny III) ppor. Kogut-Wyrwiński, III pluton (dawny IV) — ja. Ponieważ w Brygadzie kompanie są trzyplutonowe, więc jeden z plutonów (II) przeznaczono na uzupełnienie III baonu 1. p. p. i wydzielono z naszej kompanii.

My mamy stanowić 4. kompanię V baonu, a więc wcieleni będziemy do 3. p. p. mjr. Trojanowskiego. Kompania 2. naszego półbatalionu, którą ppor. K. Sawicki przyprowadził z Kęt, została rozwiązana, a żołnierze wracają do swoich macierzystych kompanii. Por. Narbutt żegna się z nami i wraca do 2. p. p., by objąć tam swoją 1. kompanię I (dawnego IV) baonu.

Dnia 23 maja rano przemaszerował do rezerwy w Wysoczkach cały V baon, który po śmierci Herwina objął kpt. Józef Olszyna-Wilczyński.

My witamy baon w kolumnie i uroczyście wcieleni jesteŝmy do baonu. W ostatniej chwili następuje zmiana komendanta kompanii. Ppor. Stanisław Mały - Skwarczyński obejmuje 3. kompanię, którą prowadził od początku wojny por. Alojzy Wir-Konas, a naszą kompanię oddano temu ostatniemu.

Ledwie dokonano tej reorganizacji baonu, już nadchodzi rozkaz podciągnięcia rezerwy. Wyruszamy więc i przez Zagórzycze i Do-maradzice maszerujemy do Konar.

POD KONARAMI

Wśród strasznego huku dział posuwa się nasz baon powoli wąwozami Sandomierskimi ku frontowi. Od czoła idzie komenda „Stóóój“. Zatrzymujemy się w wąwozie. Wykonujemy „w tył zwrot“ i maszerujemy szykiem odwróconym z 4. kompanią na przodzie. Początkowo myśleliśmy, że to odwrót. Wkrótce przekonujemy się jednak, że to poszukiwanie przejścia przez otwartą przestrzeń. Zdecydowano, aby obok kolumny amunicyjnej 4. baterii przesunąć się sekcjami przez odsłoniętą przestrzeń. 48 sekcji batalionu, zanim zdoła się przesunąć, to musi potrwać czas dłuższy. Przebiegamy więc kolejno i znajdujemy się w kotlinie, w której leży wieś Konary. Nie zatrzymując się we wsi maszerujemy dalej do wylotu drogi idącej od wsi do dworu konarskiego. Posuwamy się polną drogą w wąwozie, wznoszącą się w kierunku dworu. Na wzgórzu pozycja 4. baterii naszej artylerii. Bateria nie próżnuje. Wali bez przerwy — mało bębni w uszach nie popekają. Po raz pierwszy jestem w ogniu artylerii, mając armaty tuż nad sobą, gdyż pozycja była na wzgórzu nad drogą. Za chwilę mamy wejść w linię. Po krótkim zatrzymaniu się komendant batalionu decyduje, aby obejść baterię górą przez pole. Zrobiono to, aby nie przeszkadzać baterii w strzelaniu przez defiladę przed paszczami armat. Ale nie było to rozwiązanie najbezpieczniejsze dla batalionu. Znowu przebiegamy sekcjami, nieprzyjaciel widzi nas jak na dłoni. Pierwsza przeszła nasza kompania. Nieprzyjaciel począł wstrzeliwać się w nas. Przebiegaliśmy szybko, ale kiedy ostatnie sekcje zdołały się ukryć za drzewami, wybuchł granat zaledwie w odległości 10 metrów od szlaku, którym przebiegaliśmy. Wzmocniony ogień kilku baterij rosyjskich skoncentrowano na naszym wzgórzu. Moskale, jak zwykle, strzelali „Panu Bogu w okna“, jak mawiali nasi strzelcy. Toteż szczęśliwie ani jeden granat nie trafił ani w batalion, ani w baterię. Dlaczego nie użyto szrapneli, które byłyby dla nas niebezpieczniejsze, nie rozumiem. Czyżby naszego manewru nie dostrzegli i bili tylko w pozycję baterii? Batalion przeszedł szczęśliwie, Moskale wymacali jednak baterię i walili w nią bez przerwy. My wróciliśmy na drogę, prowadzącą ze wsi Konary, obok dworu,

do Kujaw. Droga biegła w wąwozie, więc rozłożyliśmy się spokojnie na zboczu wzgórza, zasłonięci od nieprzyjaciela. Teraz nad nami była pozycja Oddziału Karabinów Maszynowych Nr 2, w którym służył brat mój Mieczysław. Nie wiedziałem o tym wówczas, ale będąc tak blisko — i tak nie mogłbym się z nim zobaczyć, chociaż nie widzieliśmy się od ośmiu miesięcy.

Nadjechały kuchnie polowe. Wydano nam obiad. Batalion nasz stanowił odwód 2. p. p., walczącego w pierwszej linii o Przepiórów. Komendant kompanii por. Wir zawezwał nas komendantów plutonów do siebie. Weszliśmy na wzgórze i położywszy się za kopcem granicznym w odległości pięćdziesięciu kroków od pierwszej linii bojowej za okopami I baonu 2. p. p., obserwowaliśmy teren. W nocy mamy być użyci do natarcia na Przepiórów. Ledwie rozejrzeliśmy się w terenie, już nas Moskale „wymacali“. Walnęli granatem w odległości piętnastu kroków od naszego kopca, obrysypując nas piaskiem i ziemią. Zsunęliśmy się ze wzgórza i leżymy spokojnie na zboczu, bo już i świst kul karabinowych daje się słyszeć nad nami.

Byłem po raz pierwszy w prawdziwym ogniu. Obserwuję więc wszystko pilnie, aby otrząskani w bojach moi koledzy nie śmieli się z mego niedoświadczenia. Teoretycznie może i umiałem więcej od nich, bo przeszedłem dobrą szkołę por. Zamorskiego, ale praktycznie, wszak byłem po raz pierwszy w prawdziwej bitwie.

Przyzwyczaiłem się już do nieustającego huku dział i grzechotu ognia karabinowego, zacząłem odróżniać świst naszej kuli od grzechotu rosyjskiej. W ogóle muzyka karabinowa robi wrażenie gry na fortepianie o głuchym dźwięku klawiszy, lub gry nieskończonej ilości partii krokiet.

Co chwila przejeżdżają obok nas wózki amunicyjne, zasilające oddziały, walczące w pierwszej linii, to znowu od strony Kujaw podwozy chłopskie przewożą rannych. Wśród nich znalazłem znajomych: ob. Zielonego Brata (por. Zygmunta Borkowskiego), byłego skauta z oddziału wywiadowczego, oraz ppor. Wacława Styka-Stachiewicza, komendanta 4. kompanii I baonu 2. p. p. Od nich dowiedziałem się o śmierci sierż. Młockiego z 4. komp. I baonu 2. p. p., przywódcy skautów łódzkich i pierwszego instruktora moich chłopców, których przyprowadziłem z Radomska.

Późnym wieczorem przymaszerował I baon 1. p. p. z pozycji pod Gorzkowem, zmienił nas i on poszedł do ataku na Przepiórów, zamiast naszego batalionu, przetrzebionego pod Kozinkiem. Nam wprawdzie w ubraniu, ale pozwolono spać. Zajęliśmy jedną jedyną chałupkę i stodółkę i tam pokotem leżeli do snu cały batalion.

Przemęczony wrażeniami całego dnia, mimo piekielnego ognia artylerii, karabinów maszynowych i ręcznych, zasnąłem tak

twardo, że zupełnie nie słyszałem nocnego ataku na Przepiórów. Wstaliśmy o świcie. Kawa, ta nieodstępna kawa żołnierska, to najlepszy „trunek na frasunek“ w czasie bitwy. Podczas śniadania dowiadujemy się, że atak nie udał się, a I baon 1. p. p. ma 50 ludzi strat. Wczoraj wieczorem maszerowali obok nas, a dziś ilu już z nich nie żyje, ilu nie wylize się z ran. Nadszedł brat mój, który dowiedział się o moim przybyciu do Brygady. Ale już — zbiórka. Idziemy na pozycję. Posuwamy się drogą w kierunku Kujaw. Obok drogi saperzy przygotowują okopy rezerwowe. Przymaszerowawszy do Kujaw zostawiamy kompanię w wąwozie, a my, komen-danci plutonów z por. Wirem na czele, idziemy obejrzeć pozycję. Mamy zmienić 99. p. piechoty austriackiej. Idziemy skrajem lasu w kierunku samotnej chałupki pod lasem Kamienieckim. Z przodu osłania nas las i ta chałupka, ale z prawej strony jesteśmy całkowicie odsłonięci i z wysokich, jakby warownych murów Przepiórowa widać nas jak na dłoni. Szczęściem jest dość spokojnie na froncie. Nadchodzi kpt. Olszyna i oficerowie 2. kompanii, z którą wspólnie mamy objąć odcinek. Po obejrzaniu pozycji, wracamy do swoich kompanii. Nagle otrzymujemy rozkaz, aby pozycji nie zajmować. I znowu stoimy cały dzień w rezerwie, tym razem we wsi Kujawy. Dopiero wieczorem idziemy na odcinek, ale nie ten austriacki, któryśmy rano oglądali, położony na północ od lasu Kamienieckiego, ale sąsiedni z tej strony lasu biegnący na ukos od lasku położonego na zachód lasu Kamienieckiego w kierunku południowo-wschodnim do parku Konarskiego.

Przez całą noc kopimy okopy, umacniamy pozycję. Na lewo od nas — 2. kompania, moja dawna kompania z wyprawy kieleckiej. Z dawnych żołnierzy niewielu już zostało. Spotykam jednak ze swoich znajomych szer. Grełę. Do pomocy w naszej pracy nadchodzi kompania saperów austriackich. Od czasu do czasu słychać wystrzał i w górze ukazuje się smuga rakiet austriackiej. To znowu wybucha gdzieś w górze cały bukiet gwiazdek — to rakiety rosyjskie. Przypadamy do ziemi, aby nie zauważono naszej pracy. Nagle pada strzał rosyjski, jeden, drugi, zrywa się cała fala. Chowamy się w okopach. Nie odpowiadamy. To zawsze sprowadza uspokojenie. Strzały cichną. Praca idzie dalej. Przed świtem wycofano nas z pozycji, bo jest to pozycja rezerwowa, niezbędna dla wyrównania linii. Wróciliśmy na drogę do Kujaw.

Ledwie położyliśmy się, już — alarm. Zbiórka. Patrol, pozostawiony w okopach, dał znać, że Moskale podchodzą. Był to jednak fałszywy alarm. Artyleria rozpoczęła wprawdzie swój koncert poranny i strzelanina na froncie się wzmogła, ale żadnego niebezpieczeństwa ataku nie było. Ponieważ jednak kule karabinowe

coraz gęściej padały na drogę Konary—Kujawy, więc odmaszerowaliśmy głębiej do wsi i zajęliśmy kwatery w chałupach. Należy nam się wypoczynek. Już było dobrze po południu, kiedy zbudził mnie łącznik kompanii, wzywając natychmiast do por. Wira. Stawiam się na rozkaz i otrzymuję następujące polecenie: „Oddacie natychmiast pluton ppor. Huraganowi (Henrykowi Bębnowi) i zameldujecie się w 3. kompanii na jego miejsce! Rozkaz batalionu.“ Nie miałem ochoty opuszczać swoich chłopców, więc udałem się do kpt. Olszyny z prośbą o pozostawienie mnie w 4. kompanii. Kpt. Olszyna przyjął mnie nieprzychylnie i oświadczył, że mogę pójść do raportu pułkowego, ale on swego zarządzenia nie zmieni. Chcąc wyczerpać wszelkie środki pomaszerowałem do komendy pułku, która była już w Konarach. Mjr Trojanowski obiecał rozpatrzyć moją sprawę, a tymczasem kazał zameldować się w 3. kompanii u ppor. Małego-Skwarczyńskiego. Nie miałem wyboru. Wobec nierozstrzygnięcia mojej sprawy ppor. Mały polecił mi zaczekać i nie obejmować na razie plutonu ob. Huragana. Pozostałem więc à suite przy kompanii. Wieczorem tego dnia, 25 maja, cały baon V odmaszerował do Konar na kilkudniowy wypoczynek w rezerwie Brygady.

O ile w 4. kompanii por. Wir stronił nieco od swoich „nowych“ oficerów, tj. mnie i Kazika Sawickiego, o tyle w 3. kompanii stosunki były bardzo miłe. Zarówno komendant kompanii jak i komendanci plutonów byli bardzo koleżeńscy i sympatyczni. I plutonem dowodził sierż. Bezeg Antoni, II pluton po Huraganie był wolny, III plutonem dowodził ppor. Czech.

Tutaj w rezerwie mogłem się rozejrzeć w batalionie. V batalion po ciężkich stratach pod Kozinkiem, a zwłaszcza po stracie swego komendanta, przechodził ciężki kryzys. Kpt. Olszyna, bardzo zdolny oficer i doskonały administrator, objął batalion w najcięższych chwilach, nie znał go jeszcze i musiał się z nim zżyć. Najstarszy oficer batalionu, por. Wir, zmienił kompanię, którą dowodził od początku wojny, gdyż kompania ta nie spisała się w walce pod Kozinkiem. Dawni oficerowie tej kompanii ppor. Kazek (Kazimierz Hozer) i Huragan (Henryk Bęben) odeszli wraz z por. Wirem. Ppor. Kazek zastąpił ppor. K. Sawickiego, który odszedł do 1. kompanii śp. por. Jerzego Sawy-Sawickiego. W tych warunkach 3. kompania wymagała specjalnej pieczy, aby przyjść do siebie po ciężkich stratach pod Kozinkiem. Dlatego też wyznaczono ppor. Małego-Skwarczyńskiego, który jako świetny wychowawca miał tchnąć nowego ducha w kompanię. Przeciwnieństwem 3. kompanii była świeża, znakomicie wyćwiczona, o wysokim „morale“ żołnierskim 4. kompania. Ciężko mi było rozstawać się z nią, ale nie miałem żadnej nadziei zmiany decyzji co do mojej osoby.

I Brygada, ta najdumniejsza w świecie Brygada, nie uznawała żadnych kompromisów. Kto nie był w Brygadzie, kto nie był na froncie, ten nie mógł liczyć na żadne względy. Jako stary strzelec, uczestnik kampanii kieleckiej, oficer oddziału wywiadowczego, nie przypuszczałem, że i ja doświadczę ostracyzmu Brygady. A jednak przekonałem się, że na żadne względy liczyć nie mogę. Z górą 4 miesiące byłem na tyłach, nic to, że Brygada odpoczywała w Kętach, że była na spokojnym odcinku nad Nidą. Kto chce mieć wszystkie prawa obywatelskie w Brygadzie — musi być na froncie. Inaczej zasłuży sobie na miano „tyłowego“ oficera, któremu się nie ufa, któremu się odpowiedzialnej funkcji nie powierza. A ja miałem jeszcze jeden mankament nieszczęsny: nominację Komendy Legionów na chorążego. Primo takiej rangi w I Brygadzie nie było. Byli tylko sierżanci lub podporucznicy. Chorąży to ni pies, ni wydra. Secundo: oficerem w I Brygadzie może być tylko ten kto w polu zdobył uznanie i otrzymał polską nominację naszego Komendanta. Ja tej nominacji nie miałem i mieć nie mogłem, bo zdobywało się ją jedynie w polu. Nic to, że miałem szkołę oficerską Związku Strzeleckiego, nic to, że wedle mego głębokiego przekonania teoretycznie umiałem więcej od niejednego oficera I Brygady. Nie miałem doświadczenia bojowego i miałem nieszczęsną nominację „austriacką“. Długo mi to jeszcze potem wypominano i dłużej niż inni musiałem czekać na stopień podporucznika.

Toteż nie zdziwiło mnie wcale, kiedy 27 maja kpt. Olszyna polecił ppor. Małemu, aby zrobił mnie zastępcą komendanta plutonu ppor. Czecha, a pluton po ppor. Huraganie oddał świeżo przybyłemu ze szpitala ppor. Wiktorowi Nehayowi. W Brygadzie były dwa rodzaje sierżantów. Jedni nosili trzy paski i pełnili funkcje podoficerów zafrontowych, sierżantów liniowych lub prowiantowych, drudzy byli komendantami plutonów, żadnych odznak nie nosili, czekając na nominację na podporucznika. Ja byłem również bez odznak, ale nie miałem właściwie nawet prawa do tytułu sierżanta I Brygady, bo i takiej nominacji nie miałem. Wyszedłem w pole jako sekcyjny, w Kielcach już objąłem pluton, a później dwa razy mianowany byłem chorążym, w październiku 1914 r. przez Departament Wojskowy i w maju 1915 r. przez Komendę Legionów. Obie nominacje nie obowiązywały w I Brygadzie, która oczywiście uznawała tylko nominacje Komendanta Piłsudskiego.

Sytuacji takiej w żadnej innej armii wyobrazić sobie nie podobna. Na tym polegała oryginalność, to był właśnie „czar“ Brygady. Przyjeżdżając do Brygady przywiozłem z sobą tzw. Richtigkeitzeugniss, na podstawie którego wciągało się na tzw. listę

gażystów. Oddałem je w kancelarii rachunkowej Brygady sierżantowi Maurycemu Thornowi, który polecił mi udać się do przewodniczącego Kasy Oficerskiej I Brygady kpt. Ludwika (Tadeusza Piskora) celem ustalenia, co ze mną robić. Kancelaria rachunkowa I Brygady pobierała wówczas pieniądze od Austriaków na podstawie listy oficerów (gażystów) wedle stopni odpowiadających stopniom austriackim, ale wypłacała wszystkim oficerom I Brygady bez względu na stopień po 100 koron miesięcznie. Resztę Kasa Oficerska oddawała do dyspozycji Komendanta, który używał tych pieniędzy na wypłacanie gaży tym oficerom I Brygady, którzy nie byli uznawani przez Austriaków, bo nie mieli potwierdzenia swej nominacji przez Komendę Legionów, oraz na pracę niepodległościową za frontem (P. O. W.).

Zameldowałem się więc u kpt. Ludwika (Tadeusza Piskora), który mi oświadczył, że pomimo mej służby w Brygadzie, dopóki nie jestem oficerem I Brygady, mogę nie należeć do Kasy Oficerskiej i pobierać swą gażę (250 k.) wprost z kancelarii rachunkowej. Jeżeli jednak chcę przystąpić do kasy, to będę otrzymywał na równi z oficerami I Brygady 100 k. miesięcznie. Wybrałem oczywiście to drugie i byłem bodaj jedynym członkiem Kasy Oficerskiej I Brygady, nie będąc jednak jej oficerem.

Byłem pewny, że wkrótce zdołam przekonać swych przełożonych, że mogę zostać oficerem Brygady. Zresztą w 3. kompanii zarówno komendant kompanii jak i komendanci plutonów w niczym nie dali mi odczuć różnicy między mną a nimi. Ponieważ zastępstwo komendanta nie wkładało na mnie żadnych prawie obowiązków, więc chodziłem sobie po wsi i odnajdywałem dawnych kolegów.

29 maja uciszyło się w ogóle na froncie. Moskale wycofali się na lepsze pozycje na linii Mydlów—Przepiórów i odległość od naszych okopów jest taka duża, że nie ma powodu do strzelania. „Mamy drugą Nidę“ mówiono w Brygadzie. Walka pozycyjna nie nuży tak jak walka ruchowa. Chociaż tu się częściej strzela, ale za to nie potrzeba maszerować.

Chodząc po Konarach spotkałem kiedyś por. Narbutta, który dowiedziawszy się, że właściwie jestem pez przydziału, zaproponował mi pluton w jego 1. kompanii I baonu 2. p. p. Por. Narbutt poznał mnie w czasie marszu i ocenił, toteż dał mi kartę do kpt. Olszyny. Zaniósłem ją do baonu i czekam decyzji.

Tymczasem 3 czerwca kompania nasza dostała rozkaz ustawiania kozłów przed pozycją II/2. p. p. wzdłuż lasu Płaczkowickiego. Podczas tej roboty, zresztą niebezpiecznej, bo zupełna cisza panuje na froncie, obejrzałem dokładnie pozycję. Śliczny widok w pogodny czerwcowy dzień rozciąga się z góry na Prze-

piórów. Obok okopy rosyjskie świetnie zamaskowane. Kiedy wracaliśmy z roboty na obszernym placu kotliny Konarskiej, widzę tłum żołnierzy i ludności. Orkiestra 1. p. p. gra. Radosne okrzyki: Przemysł odebrano Moskalom! Linia Sanu sforsowana. Odbije się to niewątpliwie i na naszym odcinku.

Wieczorem orkiestra gra w okopach „Jeszcze Polska nie zginęła“. Na skrzydłach wiatraka, górującego nad Konarami, wywieszono wielką chorągiew biało-czerwoną. Moskale rozdrażnieni widocznie poczęli bić granatami w wiatrak, ale bez żadnego skutku.

Nazajutrz rano wybraliśmy się z ppor. Czechem do Klimontowa. Zakupiliśmy różne drobiazgi i na czwartą po południu wróciliśmy do Konar. Zostałem poleconie, aby natychmiast stawić się do pułku. Melduję się mjr. Trojanowskiemu, który oświadczył, że zwalnia mnie z 3. p. p. i poleca natychmiast zameldować się w 2. p. p. Zabrałem rzeczy, pożegnałem się z kolegami z 3. kompanii i marszeruję do Brygady. Zameldowałem się w Brygadzie, potem w 2. p. p. u mjr. Leona Berbeckiego, w baonie u kpt. Stanisława Sława-Zwierzyńskiego i jestem już w 1. kompanii u por. Narbutta. Nie przypuszczałem w dniu 4 czerwca 1915 r., że w kompanii tej będę służył dwa lata.

1. kompania stała wówczas na Kolonii Konarskiej. Poznaję moich nowych kolegów: ppor. Władysława Wąsika i ppor. Mariana Podolskiego, komendantów II i III plutonów. Pierwszy pluton po odejściu ppor. Juliusza Ulrycha jest pod komendą sierż. Jaśko (Filipa Śmiłowskiego). Ten pluton właśnie por. Narbutt dla mnie przeznaczca.

Po kolacji idziemy spać, prócz ppor. Wąsika, który ma w nocy iść na placówkę do Kamieńca. 2. pułk ma połączenia telefoniczne ze wszystkimi kompaniami i ta okoliczność spać mi nie pozwala, gdyż nad ranem wraca ppor. Wąsik i tak długo i głośno dyktuje swój meldunek do pułku, że wszystkich nas pobudził, a ja już do rana zasnąć nie mogłem.

5 czerwca stoimy nadal w Kolonii Konarskiej w rezerwie 2. p. p. Tego dnia doszła nas wiadomość o tragicznej śmierci por. Grudzińskiego (Franciszka Pększyca). Był to drużyniak krakowski, kolega por. Narbutta, dobrze znany również kolegom moim w kompanii, także drużyniakom. Wieczorem odczytano przed frontem kompanii rozkaz Komendanta, zamykający okres walk pod Konarami. Rozkaz ten podnosi ciężkie straty, jakie poniosły III i V baony, podkreśla znakomitą postawę III baonu. Podnosi także zasługi 2. p. p., zwłaszcza I baonu w ataku na szosę Opatowską, a II baonu w nieudanym ataku na Przepiórów. Wreszcie zaznacza bohaterstwo I/1. p. p. w ataku na Przepiórów i wawrzyny otrzymane przez VI baon pod Wszachowem. W końcu podnosi

czyny bohaterskie mjr. Edwarda Rydza-Śmigłego, por. Zygmunta Żarskiego-Radońskiego i ppor. Dorobczyńskiego z III baonu, ppor. Józefa Tunguza-Zawiślaka byłego komendanta naszej kompanii (przed powrotem por. Narbutta), por. Witolda Kołodziejskiego z VI baonu oraz kilkunastu podoficerów i szeregowców.

Jak zwykle po zakończeniu walk wychodzą nominacje nowych oficerów. Wśród nich znajduję wiele znanych mi nazwisk, jak: Mieczysław Karski w kawalerii, Mieczysław Mak-Piątkowski w saperach, Jan Rychlik-Swarzeński w VI baonie. Poza tym awansowano mjr. Rydza-Śmigłego na podpułkownika, kpt. Leona Berbeckiego na majora, śp. por. Franciszka Pększyc-Grudzińskiego na kapitana, porucznikami zostali ppor. Żarski-Radoński, Jerzy Ferek-Bleszyński, Konstanty Kostek-Aleksandrowicz, Włodzimierz Konieczny, Józef Zawiślak-Tunguz i inni. U nas mówi się teraz tylko o walce o Lwów. Od strony Sandomierza słychać głucho dudnienie artylerii. Ciekawi jesteśmy, jak długo Moskale będą się jeszcze trzymać na lewym brzegu Wisły. Może wkrótce ruszymy już za Wisłę, w Lubelszczyznę, która zawsze odznaczała się wielkim patriotyzmem i nas niewątpliwie inaczej przyjmie niż Kieleckie i Radomskie.

Na naszym froncie było czterogodzinne zawieszenie broni celem zebrania trupów, pozostałych między liniami. Niestety, dwa nasze trupy pod okopami rosyjskimi pozostały. Widać je dokładnie przez ośmiokrotną lornetkę, ale widocznie dotrzeć tam nie było można.

Wieczorem III pluton ppor. Podolskiego idzie na placówkę. Idę z nimi razem na ochotnika, aby zorientować się w sytuacji, bo następnego dnia na mnie przyjdzie kolej. Zapoznałem się z drogą do placówki, ale nic szczególnego w ciągu nocy nie zaszło.

6 czerwca objąłem formalnie I pluton i idę wieczorem na placówkę. Tym razem idzie z nami patrol wywiadowczy z Komendy pułku pod komendą sierż. Cybulki-Cybulskiego.

Maszerujemy szlakiem znanym mi już z poprzedniej nocy. Początkowo idziemy drogą Konary—Kujawy, skąd zbaczamy następnie w pole. Pod osłoną nocy posuwamy się początkowo w szyku zwartym, następnie rozciągamy się nieco i sekcjami posuwamy się w kierunku placówki. Mijamy okopy obsadzone przez II batalion, przechodzimy przez druty i posuwamy się do okopów placówki. Obsadzamy placówkę, a patrol ob. Cybulskiego wsparty przez jedną sekcję mojego plutonu pod komendą ob. sierż. Łuby posuwa się dalej.

Kiedy patrol oddalił się od nas — padły strzały, z naszej strony nikt nie odpowiedział. Cisza nocy niczym nie zamącona. Mimo to nie mam pewności, czy który nie został ranny lub zabity. Godziny

oczekiwania się dłużej. Placówka ta do przyjemnych nie należała. Okopki słabe, płytkie, trzeba by chyba w nich leżeć, aby nieoczekryły przed kulami. O leżeniu nie ma oczywista mowy, bo trzeba sprawdzać, czy ludzie nie śpią. W dodatku co chwila z boku II baon wypuszcza nam rakiety i oświetla od tyłu nasze stanowiska. Nareszcie patrol wraca. Meldują, że dotarli na 300 kroków od rzeki Pokrzywianki i że stwierdzili z tej strony rzeki placówkę rosyjską (wiadomość ta, jak się później okazało, była błędna). Nad ranem z tyłu wybucha gdzieś pożar i oświetla całe przedpole okopów, a więc drogę naszego odwrotu. Palila się wieś Domaradzice na skutek zaproszenia ognia przez nieostrożność naszych ułanów. Czekam, aż pożar przygaśnie, bo przed świtem mam się wycofać, a świt już blisko. Wreszcie decyduję się wycofywać sekcjami. Sam cofam się z ostatnią sekcją. Bez przeszkód dotarliśmy do linii naszych drutów, a raczej kozłów, a stamtąd już łatwa droga powrotna do Kolonii Konarskiej.

8 czerwca kompania nasza otrzymała rozkaz dokonania nocnego wypadu do Kamieńca, leżącego pomiędzy liniami bojowymi. Po zbiórce wezwał nas por. Narbutt i przedstawił nasze zadanie. Przypuszczamy, że we dworze w Kamieńcu lub w parku dworskim jest placówka nieprzyjacielska. Zadaniem naszym będzie wzięcie jej żywcem, albo co najmniej schwytanie jeńca. Przodem pójdzie patrol z jednej sekcji, aby dokonać wywiadu terenu. Około ósmej cała kompania podsunie się na północny skraj lasu Kamienieckiego i w tzw. chałupie Grabałowskiego¹⁾ będzie komenda kompanii, punkt opatrunkowy i połączenie telefoniczne z baonem. W akcji wezmą udział dwa plutony I i III, jeden pluton w rezerwie przy komendzie kompanii. Ja ze swoim plutonem mam obejść park Kamieniecki i od strony północno-zachodniej rozwinąć się celem zamknięcia odwrotu placówce rosyjskiej znajdującej się w Kamieńcu, drogą nawiązania łączności z plutonem III, który rozwinęto od strony południowo-wschodniej. Głównym zadaniem naszym — przyprowadzić jeńca. Patrol przedni sierż. Łuby nadeśle meldunek o dotarciu na skraj północno-zachodni parku. Otrzymaawszy ten meldunek — wyruszamy. Kompania maszeruje powoli wzdłuż okopów naszej 4. kompanii. Przekraczamy linię kozłów i wkrótce jesteśmy już na skraju lasu Kamienieckiego przy chałupie Grabałowskiego. Chałupa opuszczona przez mieszkańców, więc ułatwia to rozmieszczenie naszej podstawy operacyjnej. Ponieważ mam dotrzeć dalej niż III pluton, więc wyruszam pierwszy ze swoim plutonem. Jako przewodnika dodano mi jednego żołnierza z patrolu wywiadowczego pułku. Posuwając się powoli docieram do mostku na Pokrzywiance.

¹⁾ Chałupa tak nazwana od nazwiska żołnierza naszego baonu, który tu był ranny.

Tu mój przewodnik, silnie zdenerwowany, oświadcza mi, że dalej już jest — Kamieniec. Ledwie mu wytłumaczyłem, aby przynajmniej doprowadził mnie do dworu, gdyż nigdy tu nie byłem i po nocy trudno się zorientować. Posuwamy się dalej. Omijamy z daleka dwór z zamkniętymi okiennicami i skrajem parku posuwamy się w kierunku jego krańca północno-zachodniego. Nikt z mego plutonu nie był tu dotąd, więc kieruję się tylko węchem. Wieś cała we śnie pogrążona. Dziwna to wieś — prawie od trzech tygodni znajduje się między liniami bojowymi. Wieś neutralna, bo obie pozycje znajdują się na sąsiednich wzgórzach, a ona przypadła w wąwozie, żyje między liniami, jakby nie było wojny. Posuwając się na północ przechodzę strumyk i docieram do jakiegoś wąwozu. Nie wiem dokładnie, czy jestem jeszcze w parku, czy już poza parkiem, na szczęście spotykam sierż. Łubę, który wskazuje mi, gdzie zajął stare okopy rosyjskie ze swoim patrolem. Zostawiam pluton w wąwozie, a sam z Łubą idę zmienić posterunki w okopach. Cisza niczym nie zamącona utrudnia posuwanie się, bo każdy szelest może nas zdradzić. Docieramy do starych okopów rosyjskich. Obecna linia bojowa przebiega nieco wyżej na wzgórzu. Z oddali słychać głosy żołnierzy rosyjskich. Gdzieś jeszcze dalej słychać śpiew. Żołnierze nucą jakąś tęskną, smutną jak dola ludu rosyjskiego piosenkę. Korzystając z tych szmerów i odgłosów zmieniamy posterunki i wracamy do plutonu, znajdującego się w odległości 100—150 kroków w wąwozie. Wysyłam łączników dla nawiązania łączności z plutonem III ppor. Podolskiego. Jest godzina dwunasta. Za godzinę mamy rozpocząć akcję, ale przedtem muszę mieć łączność z III plutonem. Łącznicy moi wracają, ale plutonu III nie znaleźli. Wreszcie przychodzi łącznik ppor. Podolskiego i melduje, że III pluton się wycofał. Wysyłam meldunek do kompanii, że moim zdaniem w parku nikogo nie ma, bo gdyby placówka była, to teraz po wycofaniu się III plutonu groziłoby mi odcięcie. Teren pomiędzy wąwozami nadaje się do wszelkich niespodzianek. Dostaję znowu wiadomość, że III pluton wrócił na swoje stanowisko, więc czekam wyznaczonej godziny 1. Nagle z lewego skrzydła padły strzały. Teraz mogę dostać się w krzyżowy ogień. Nie mam chwili do stracenia. Rozwijam pluton i przechodzę przez park aż do wąwozu, gdzie miał być III pluton, którego jednak już nie zastałem. Wobec tego, ostrzeliwując się przeciw ewentualnemu pościgowi, powoli wycofuję się w kierunku rzeczki Pokrzywianki, którą na szczęście osiągam bez strat. Kule świszczą, ale przeważnie górują. Moskale widocznie nie spodziewają się nas w parku w tak niedalekiej odległości od ich okopów.

Od Pokrzywianki wąwozem, którym biegnie droga, docieram już bez przygód do chałupy Grabałowskiego. Zastaję tu komen-

danta pułku mjr. Berbeckiego, któremu zdaję raport. Zadanie nie zostało wykonane, bo założenie było błędne. W każdym razie wiemy, że placówki rosyjskiej nie ma nie tylko z tej strony Pokrzywianki, ale ani we dworze, ani w parku. Wszystko oparte było na błędnych meldunkach wywiadowców pułkowych.

9 czerwca wieczorem odmaszerowaliśmy do okopów, aby zmienić 3. kompanię. Nudne były te okopy. Nie strzela się prawie zupełnie. Toteż czas monotonnie upływa. W nocy trzeba spać w piaszczystej norze, niesłusznie ziemianką nazwanej, gdzie wszystko sypie się na człowieka, a nie ma gdzie się umyć. W rezerwie było przynajmniej urozmaicenie: placówki i wypadły do Kamieńca dawały mnóstwo tematów do rozmów i rozważań na temat rozłożenia ubezpieczeń nieprzyjacielskich. Tutaj — nuda niebywała. Ruszać się nie można, a w okopach nie ma co robić. Po śniadaniu czekamy na obiad, który dostajemy nad wieczorem, po obiedzie czekamy na kolację, którą dostajemy po północy. Sześć dni trwała ta kanikuła.

15 czerwca zmieniła nas 3. kompania. My poszliśmy tym razem do Konar na „wypoczynek“ w rezerwie. Ale jakież to był wypoczynek? Wywiadowcy pułkowi ciągle niepokoili wyższe władze meldunkami o placówkach rosyjskich, które były gdzieś w pobliżu ich nowych okopów, a my ciągle szukaliśmy ich pomiędzy liniami i Kamieńcem.

Toteż 16 czerwca znowu wypadł po jeńca. Tym razem „fasował“ go 1. pułk. My mieliśmy osłaniać mu skrzydła. Nasza kompania po wtórnie ma swą podstawę operacyjną w chałupie Grabałowskiego. Ja z moim plutonem mam wystawić placówkę tym razem na północno-wschodnim skraju Kamieńca. Ponieważ osobiście przeszedłem przez park Kamieniecki, byłem pewny, że w Kamieńcu nikogo nie ma, ale rozkaz — to rozkaz. Wyznaczono mi stanowisko na rozstaju dróg biegnących z Kamieńca do Kaczyc i Przepiórowa. Miejsce to było w dole, bez żadnego pola widzenia, więc musiałem podsunąć się nieco dalej aż do wylotu wąwozu, którym idzie droga do Kaczyc. Na miejscu wyznaczonym zostawiłem jedną sekcję łącznikową. W tył miałem łączność z placówką ppor. Gustawa Świdzkiego z I baonu 1. p. p. z kompanii por. Władysława Dragata. Ponieważ akcję prowadził 1. pułk, więc my byliśmy pod ich komendą. Kiedy por. Dragat dowiedział się o moim wysunięciu, kazał mi natychmiast cofnąć się, pozostawiłem więc tylko podwójny posterunek obserwacyjny i wycofałem się na stare miejsce. Podczas zajmowania tej placówki miałem zabawną przygodę. Przechodzimy obok jakiejś chałupy i słyszymy hałasy i krzyki. Sądząc że to patrol rosyjski dokonuje jakowegoś gwałtu nad biednym chłopem, otaczamy cha-

łupę i budynek gospodarczy, skąd dochodzą krzyki i wpadamy z wołaniem: „Ręce do góry“. Okazało się jednak, że Moskali tu nie ma, a tylko... krowa się cieli, co postawiło na nogi wszystkich mieszkańców zagrody.

Stojąc na rozstaju dróg do Kaczyc i Przepiórowa nagle zostaliśmy obsypani kulami rosyjskimi. Schroniliśmy się pod ściany stodółki i czekamy. Wkrótce otrzymałem rozkaz wycofania się znaną mi już dobrze drogą przez mostek na Pokrzywiance do chałupy Grabałowskiego.

Wyprawa ta, jak i wszystkie poprzednie, nie dała żadnego wyniku, gdyż wiadomości o istnieniu rosyjskich placówek w pasie „neutralnym“ były błędne. Przez trzy dni następne chodziliśmy co dzień na wyprawy do Kamieńca, ale ja z moim plutonem byłem już tylko w rezerwie przy chałupie Grabałowskiego. Wyprawy te były bardzo męczące, bo codziennie chodziliśmy spać o 4 rano, a rezultatów, niestety, dać nie mogli. Tak to niesumienne meldunki służby wywiadowczej mogą narazić żołnierza liniowego na niepotrzebne przemęczenie, a może i straty zupełnie bezcelowe.

Toteż odetchnęliśmy z ulgą, gdy 21 czerwca przyszło nam znowu zająć okopy. Tym razem otrzymaliśmy odcinek na skraju parku Konarskiego. Śliczny to był stary park, zapuszczony w tym roku. Okopy były głębokie w czarnoziemiu sandomierskim. Upał tu tak nie dokuczał i pod osłoną drzew można było pójść w tył, aby się umyć. Jednym słowem wymarzona pozycja. 22 czerwca przyszła wiadomość o odzyskaniu Lwowa. Z jaką radością przyjęliśmy tę wiadomość. Lwów, kolebka Z. W. C., druga po Warszawie stolica Polski — wolna od Moskali! Wiadomość przyszła po linii i przyjęta była trzykrotnym okrzykiem „hurra“. O godzinie dziewiątej wieczorem na wszystkich odcinkach oddaliśmy trzy salwy demonstracyjne. Strzelanina długo potem nie ustawała. O 11 wieczorem nadeszła orkiestra i długo grała w okopach, aby Moskale słyszeli naszą radość. Żołnierze śpiewali „Jeszcze nie zginęła“. Po wrażeniach tego wieczoru późno obudziliśmy się nazajutrz.

Ledwie wstaliśmy z naszych legowisk, a tu nadchodzi wiadomość, że Moskali — nie ma. Wyszliśmy na wiatrak za naszymi okopami, obserwujemy pozycje pod Przepiórowem szesnastokrotną lornetką artyleryjską. Żadnego ruchu. Najwyraźniej „niezdobyte“ pozycje pod Przepiórowem — puste. Jeszcze o 3 rano dość gęsto ostrzeliwali nasze okopy, a teraz — cisza. Nie ma tam nikogo. W Przepiórowie widać już patrol austriacki. I my wysyłamy patrole naprzód w kierunku okopów. Nadchodzi rozkaz: „przygotować się do odmarszu“. Z naszej pozycji widać doskonale całą okolicę. Oto już dywizjon Beliny przekracza okopy, już jest w lesie kamieniec-

kim i tylko tuman kurzu zdradza jego marsz. Później rozwija się kolumna 1. p. p. Wreszcie o 11.30 wyrusza i nasz pułk. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że oddał maszerować będziemy niemal bez przerwy za Wisłę, za Bug, na Litwę i Ruś za uciekającymi na zawsze z Polski tyloletnimi ciemiężcami.

ZA WISŁĘ!

(Ożarów, Tarłów).

Jako przedni oddział wywiadowczy wyruszył III. baon 1. p. p., oddział karabinów maszynowych Nr 1, pluton saperów, 5. bateria i kawaleria Beliny (1. szwadron), bo drugi użyto do łączności z sąsiednimi kolumnami marszowymi. Na lewo maszeruje grupa 99. p. p. austr., na prawo 15. p. obrony krajowej. Na szczęście nie mamy już na skrzydle czeskiego 8. p. p.

Straż przednią stanowił I/1. p. p. kpt. Burhardta-Bukackiego. Przy straży przedniej Komenda Brygady i pluton 2. szwadronu.

Siły główne stanowią 2. i 3. p. p. O. K. M. Nr 2. i 3, dwie baterie artylerii austr., przydzielone do Brygady, 4. bateria artylerii i pluton saperów.

W straży tylnej 3. szwadron ułanów, tabory, zakład sanitarny, audytoriat, żandarmeria, weterynariat, kolumny prowiantowe i amunicyjne itd.

Nasz pułk ruszył o 11.30 drogą przez las Kamieniecki, Pokrzywiankę do dworu w Kamieńcu. Drogę tę znałem dobrze z nocnych wycieczek, teraz przyglądam się jej po dniu. Zdaje się wszystko znajome, a jakieś inne. Noc zmienia kształty przedmiotów, które się inne wydają.

Przed dworem — postój. Czekamy, aż straż przednia oddali się. Właściciele dworu ustawiają stoły na dziedzińcu, przynoszą mleko, dzielą się wszystkim, co mają. Radość ich nie ma granic. Po czterotygodniowej niewoli w pasie neutralnym są — wolni. Opowiadają, że pierwotnie Moskale bywali we dworze w nocy, w ostatnich czasach zaniechali wycieczek, wówczas gdy myśmy ich tam szukali. Po godzinnym postoju — ruszamy dalej.

Maszerujemy drogą na północ, a raczej północny wschód. Mijamy okopy rosyjskie, pozostawiamy Przepiórów na prawo, a Borków na lewo i kierujemy się wprost do Kaczyc. Tu zatrzymujemy się na postój obiadowy. Chłopi mówią, że Moskale wczoraj wieczorem już się cofali, ale kozacy jeszcze o 6 rano byli w Kaczy-

cach. Dochodzą nas wieści, że ułani mieli już dopaść straży tylnych nieprzyjaciela nad Opatówką i tam się z nimi potykają.

Okolo 4 ruszamy dalej. Maszerujemy przez Grocholice, częściowo spalone podczas ostatnich walk. Mijamy jakiegoś rządcę, czy administratora majątku, wyraźnie niechętnym okiem spoglądającego na nas, i dochodzimy do Włostowa. Teraz widzimy, jak trudno byłoby tę wieś zdobywać. Z cmentarza Włostowskiego zrobiono istną fortecę. Podczas przemarszu przez Włostów — śpiewamy. Na drodze ludność skupia się i obserwuje. Tu jakoś przychylniejszym wzrokiem patrzą na nas. My jednak nie zatrzymujemy się i omijając Tudorów dochodzimy do pięknie położonej wsi Karwów, gdzie przeprawiamy się przez Opatówkę. Na noc zatrzymujemy się w Nikisiałce Dużej. Ładna to wieś i malowniczo położona o milę od Opatowa. Chłopi witają nas tutaj serdecznie, chętnie dostarczają nabiału, bo mają dość Moskali, którzy w odwrocie są okrutni, a nawet próbują palić wsie, które opuszczają.

24 czerwca raniutko wyruszamy na Lisów, gdzie była w nocy linia forpoczt, i maszerujemy do Stodół. Tutaj stoimy zatrzymani rozkazem aż do wieczora. Tymczasem dochodzą wiadomości o walkach kawalerii. Mają podobno piętnastu rannych i zabitych. Wkrótce przywożą ciała pięciu poległych ułanów. Wśród nich jest kolega mój jeszcze ze szkoły Wróblewskiego, a później z Krakowa, słuchacz rolnictwa Kazimierz Karski, kapral od Beliny.

Pierwszy raz ujrzałem skrwawione zwłoki legionistów z tak bliska. Ileż ofiar pochłonie jeszcze ta straszna wojna, a jednak wojna to konieczna o honor narodu, o niepodległość!

Prócz poległych przywieziono rannych naszych ułanów i żołnierzy rosyjskich. Są także jeńcy z pułków rosyjskich, które stały na przeciw nas pod Konarami: 331. i 329. p. p., 11. i 7. p. grenadierów.

Przed wieczorem ruszamy dalej. Maszerujemy w kierunku Bidzin. Przed Bidzinami — stop! Oficerowie wchodzą na wiatrak i stamtąd obserwują przez lornetki teren na płn. od Bidzin. Toczy się bitwa. Straż tylna okopała się za torem kolejowym nowej linii kolejowej Ostrowiec—Sandomierz, a po wyparciu ich stamtąd wycofała się na Wyszmontów, gdzie walka trwa. My jesteśmy w rezerwie, w walce bierze udział tylko 1. p. p. Grupą naszą dowodzi szef płk. Sosnkowski, bo Komendanta nie ma.

Nagle najeżdża samochód, a w nim Komendant! Mówią, że był w Wiedniu i przywiózł jakieś ważne wiadomości. Kiedy wiara ujrzała Komendanta, krzyk przebiegł wzdłuż całej kolumny „Niech żyje!” Bo chociaż jesteśmy tuż za linią bojową, żołnierz I Brygady nie może powstrzymać radości, gdy widzi swego Komendanta. Wśród radosnych okrzyków przejechał wzdłuż kolumny do Bidzin.

Wkrótce po przejeździe Komendanta — ruszamy i zatrzymujemy się na nocleg w Kunicach. Ponieważ por. Narbutt przed wymarszem z Konar zachorował, kompanię naszą objął ppor. Wąsik, dowódca II plutonu, a jego pluton objął sierżant Wojno-Szczepanowski. W Kunicach przybył do naszej kompanii „aspirant oficerski” sierż. Bąbiński, któremu sierż. Wojno przekazał II pluton.

25 czerwca cały dzień spędzamy na postoju w Kunicach. Moskale zajęli pozycje uprzednio przygotowane pod Ożarowem i tam walczą z nimi nasz 1. pułk. Nad wieczorem otrzymaliśmy rozkaz przesunięcia się do Bidzin. We dworze jest teraz Komenda Brygady.

Bidziny — to pierwsza wieś, którą Moskale cofając się usiłovali całkowicie ewakuować. Jedyne właściciel pozostał we dworze, nauczyciel i paru gospodarzy. Reszta wyjechała z Moskalami, księdza przymusowo wywieziono.

26 czerwca idziemy na pozycję. Minęliśmy tor kolejowy i przez Smugi, przeciąwszy szosę Ćmielów—Ożarów, dochodzimy do Julianowa. Tutaj jest pozycja austriackich ciężkich haubic. Wieś ewakuowana częściowo, ale ludność ukryła się w lesie i jest podobno w pobliżu. Wieczorem mamy wypełnić lukę, która wytworzyła się między naszym 3. p. p. a austriackim 99. p. p. Podsuwamy się powoli przez las do kolonii Struża. Na linię poszły 2. i 4. kompanie. Nasza i 3. pozostały na razie w rezerwie batalionu. Ja mam służbę inspekcyjną w baonie, więc spać nie mogę, choć moja kompania jest w rezerwie.

Nazajutrz maskujemy wieś, miejsce postoju rezerwy. Ustawiamy gałęzie od strony Moskali, aby można było po wsi chodzić swobodnie. Szczególnie trudny jest dostęp do studni. Już dwaj żołnierze nabierający wodę zostali ranni. W linii też mamy rannych. W 2. kompanii został ranny ppor. Nilski-Łapiński, a w 4. zabity jeden z podoficerów. Komendant pułku mjr Berbecki podczas inspekcji kompanii na linii został ranny w nogę. Mimo to pozostał w pułku, nie chcąc opuszczać linii.

Moskale zastosowali nowe metody wypędzania ludności z ich siedzib. Podobno Ożarów całkowicie ewakuowano. W jednej z opuszczonych chałup nasi strzelcy znaleźli płaczące kilkuletnie dziecko, pozostawione całkowicie bez opieki, bo rodziców Moskale ze sobą zabrali. Wieczorem zmieniamy 4. kompanię i zajmujemy odcinek od wsi Struża, gdzie pod kątem prawie prostym mamy łączność z 3. p. p. na północ w kierunku lasu, w którym znajduje się pozycja 3. kompanii. Między kompaniami jest luka około 300 kroków. Pozycja nasza jest bardzo nieprzyjemna ze względu na to, że łączymy pod kątem prostym pozycje naszego 3. p. p. z pozycjami

99. p. p., stojącego w lesie. Nasze okopy w szczerym polu, doskonale widoczne z umocnionych i zawczasu przygotowanych pozycji rosyjskich w Karsach są ostrzeliwane i to do tego ogniem flankowym. Toteż całą noc pogłębialiśmy i umacnialiśmy naszą pozycję, aby, gdy nadejdzie świt, mieć jakąś osłonę przed nieprzyjacielem.

28 czerwca stoimy na tej nieszczęsnej pozycji. Mój pluton na lewym skrzydle ma sytuację najgorszą. Upał szalony. Głowy wychylić nie można, bo Moskale ciągle nas ostrzeliwują. Ani marzyć, aby coś dostać do zjedzenia, albo zaspokoić pragnienie choćby kroplą wody. Toteż mamy tylko jedno życzenie — doczekać wieczora. O 9 wieczorem podwożą nam obiad, najpóźniej o 1 trzeba zjeść śniadanie, bo przed świtem już wszelka łączność z tyłami zerwana.

I znowu straszny, upalny dzień. Moskale walą do nas bez przerwy. Aby ich uspokoić kropimy salwami do ich okopów. To trochę pomaga, ale nie na długo. I znowu upał i kule, głód i pragnienie przez cały dzień. Tam za frontem dziś święto, a tu piekło na ziemi. Czekamy zmierzchu jak zbawienia. Wieczorem zmieniła nas 4. kompania. Ledwieśmy się położyli, przemęczeni dwudniową służbą w okopach, a tu — alarm. Patrol 2. kompanii stwierdził, że Moskale wycofują się ze swych pozycji. Od 2 jesteśmy w pogotowiu, o 6 ruszamy dalej.

W Karsach podziwiamy wspaniałe okopy, jakby przygotowane na kampanię zimową. Nie możemy pojąć, jak można było takie okopy opuścić. Podobno obawiano się oskrzydlenia. Ale Moskale to mistrze w budowie umocnień polowych. Mają dużo ludzi i za frontem zawsze przygotowują sobie okopy rezerwowe. Cóż im jednak z tych pozycji, kiedy nie mają sprawnego dowództwa i z najlepszych pozycji muszą się cofać.

Maszerujemy po ciężkich piaszczystych drogach. Upał i piasek dają się we znaki. Wsie wszystkie opuszczone, mamy wrażenie, że jesteśmy na pustyni. Postój obiadowy w Bronisławowie. Potem maszerujemy do Wólki Lipowej. Zatrzymujemy się w lesie. Znowu na froncie 1. p. p., my w rezerwie. Czekamy do wieczora. Podsuwają rezerwy. My stajemy na biwaku pod Wólką Tarłowską.

1 lipca dostajemy rozkaz przygotowania się do natarcia. III/1. p. p. zaatakuję prawą redutę na wzgórzu 184, my mamy iść na lewą na wzgórzu 209. Cały nasz pułk podsuwa się przez zupełnie wyludnioną Wólkę Tarłowską na linię bojową. Początkowo padają pojedyncze strzały, gdy jednak coraz gęściej ostrzeliwują nas, otrzymujemy rozkaz przesuwania się do lasu sekcjami. Tak jak kiedyś kpt. Olszyna przeprowadzał V baon pod Konarami,

tak teraz kpt. Sław po linii okopów rezerwy 1. p. p. przesuwa nasz baon. Przebiegamy sekcja za sekcją, pluton za plutonem, kompania za kompanią. Kpt. Sław osobiście kieruje tym przesunięciem. Przebiegamy, padamy, znów biegniemy i padamy. Nieprzyjaciół, zobaczywszy tę „koncentrację“ do ataku, otworzył na nas wściekły ogień karabinowy. I doprawdy cud, że przeszliśmy przez ten ogień bez szwanku. Jakieś dziwne szczęście nam sprzyjało w tej ostatniej bitwie na lewym brzegu Wisły. W Konarach przebiegając byliśmy oddaleni o 1000—1500 m od pozycji nieprzyjacielskiej i byliśmy tylko pod ogniem artylerii, tu odległość była paręset metrów zaledwie, ostrzeliwano nas gestym ogniem karabinowym, a przeszliśmy zupełnie bez strat. Dotarliśmy wreszcie do lasu i tu okopaliśmy się w cztery linie, przygotowani do natarcia. Kule dość gęsto padają w las, ale teraz to już nam niewiele zrobić mogą. Nad wieczorem podwieziono nam obiad. Żołnierze pojedynczo podbiegają i biorą jedzenie. Wtedy to miałem pierwszego rannego w plutonie. Szer. Marcin Radosz, w chwili gdy brał obiad, został zabłąkaną kulą lekko ranny w rękę.

O 9 wyznaczony był atak III baonu 1. p. p. Równocześnie my mieliśmy rozpocząć atak na drugą redutę. III baon 1. p. p. okopywał się coś dwadzieścia razy, zanim zdołał podsunąć się pod druty rosyjskie, przy tym poniósł dość znaczne straty. O 9 nadeszła wiadomość o wzięciu Rachowa (Annopola) przez wojska austriackie. Wywołało to taki entuzjazm na linii, że okrzykiem „hurra“ nie było końca. Moskale sądząc, że idziemy do szturmu, otworzyli wściekły ogień na nasze pozycje. Czy wskutek tego, czy z innej przyczyny, dość, że atak odłożono do godz. 1. Czekamy, sygnału. Tymczasem uciszyło się na linii. O 1 przecięto druty i III baon 1. p. p. wpadł do rosyjskich okopów. Okopy były puste. Tylne patrole rosyjskie słabo ostrzeliwując się uciekały w popłochu. Duża ilość trupów świadczyła o spustoszeniu, jakie musiała szerzyć tutaj nasza artyleria.

Równocześnie z 1. p. p. i my ruszyliśmy do ataku. Mineliśmy okopy austriackie, obsadzone tylko przez jakiś patrol, który widząc nasz atak zawołał bohatercko „Hoch! Legionäre!“ i przyłączył się do nas. Dopadliśmy drutów rosyjskich, przecięliśmy je i znaleźliśmy się w okopach rosyjskich, opuszczonych tak samo jak na odcinku 1. p. p. Przy słabym świetle brzasku ujrzelśmy rosyjskie pozycje pod Tarłowem. Były to kute w skałę głębokie i szerokie okopy od dawna widocznie przygotowane. Przeszedłszy okopy baon nasz ruszył do pościgu. Kompania nasza w straży przedniej, mój pluton jako oddział przedni. Wysłałem patrole i jeden z bocznych patroli szer. Leona Asta przyprowadził wkrótce jeńca. Pierwszy to jeniec wzięty przez mój pluton.

Później ilość jeńców wzrosła, ale komendant pułku mjr Berbecki, jadący na koniu z obandażowaną nogą, kazał zatrzymać pościg.

Wkrótce nadjechała kawaleria Beliny i pierwszy raz miałem okazję podziwiać nadzwyczajną sprawność dywizjonu kawalerii, który rozwijał się w linię, rozciągnął później szeroko, obejmując całą przestrzeń w widłach między rzeką Kamienną a Wisłą.

Właśnie wczoraj zginął jeden ze znajomych Beliniaków, dawny bojowiec, strzelec i członek „Promienia“ ppor. Stefan Krak-Dudzieniec. Toteż z obawą patrzyłem na rozwijających się ułanów, czy znowu poniosą ofiary w ostatniej chwili, gdy Moskale uciekają już za Wisłę.

W oddali było widać topole nad Wisłą, a dalej wzgórza już na ziemi Lubelskiej. Wkrótce ujrzeliśmy białe dymki szrapneli rosyjskich, którymi ostrzeliwano naszych ułanów zza Wisły, z Józefowa. Lecz oni mknęli z niesłychaną szybkością, niby dawni Lisowszczycy, aż znikli w jakimś wgłębieniu terenu. Tymczasem nadeszła już cała Brygada, ale nie maszerujemy dalej. Nie było nam dane zobaczyć tego dnia Wisły. Zwróciliśmy się czołem na północ i pomaszerowaliśmy w kierunku Janowa. Brygada stanęła w lesie obok ślicznie położonej leśniczówki, a dwie kompanie naszego baonu odmaszerowały do wsi. Dwa plutony wysunięto nad samą Kamienną, gdzie zajęły jakieś stare okopy, zdaje się austriackie, jeszcze z zeszłorocznej ofensywy. Stoimy cały dzień w opustoszałym Janowie. Nad wieczorem artyleria rosyjska zaczęła ostrzeliwać wieś zza Kamiennej. Bili tym razem dość celnie, ale naszej kompanii nie „wymacali“. O zmierzchu dostajemy rozkaz odmarszu. W lesie Janowskim zebrała się cała Brygada. Wycofano nas z frontu. Wobec zwężenia się odcinka część pułków austriackich wycofano na front włoski, my pono idziemy na odpoczynek.

Tymczasem kawaleria, artyleria oraz 1. i 3. pułki piechoty już odmaszerowały. My czekamy jeszcze na dwa plutony, które zostały w okopach nad Kamienną. Wreszcie o 2 w nocy — odmarsz. Idziemy przez Tarłów, zupełnie opuszczony i wyludniony. Część miasta spalona jeszcze podobno podczas zeszłorocznej ofensywy, reszta opuszczona widać nagle i w popłochu, bo drzwi i okna pootwierane, a po ziemi wała się wiele przedmiotów domowego użytku.

Druga to noc, gdy nie zmrużyliśmy oka. Marsz nocny męczy, sen oczy klei. Idziemy przez Wólkę Tarłowską i Julianów aż do Słupi Nadbrzeżnej. Tu ujrzeliśmy wreszcie szare fale kochanej Wiselki. Spokojnie płyną leniwie hen gdzieś od Krakowa ku tej tak upragnionej, a wciąż jeszcze dalekiej stolicy — Warszawie. W tym miejscu lubelski brzeg jest płaski i nizinny, radomski przeciwnie

— wysoki i stromy. Pięknie położona jest Słupia Nadbrzeżna. Liczymy na to, że zatrzymamy się tutaj. Niestety! Pozwolono nam wprawdzie użyć kąpieli rzecznej, ale zaraz maszerujemy dalej. W czasie kąpieli utopiło się dwóch szeregowców z 4. kompanii. Ci chociaż nie muszą maszerować. A tutaj znowu maszerować trzeba przez Nowe, Biedrzychów do Dębna. Tu mieliśmy pono przepłynąć się na drugi brzeg Wisły, ale most nie był gotowy. Wieczór się zbliżał, gdyśmy na nocleg przemaszerowali do Lasocina. Czekало nas miłe przyjęcie. Ludność tego miasteczka, rolnicza wprawdzie, ale miejska jednak, wykazuje znacznie więcej zrozumienia dla nas, niż ludność wiejska Radomskiego. W ogóle ludność Powiśla czy wskutek brutalnego zachowania się Moskali, którzy całą ludność siłą wypędzali z ich siedzib, czy też wskutek bliskości Lubelszczyzny przyjmuje nas o wiele lepiej niż ludność w Sandomierszczyźnie. Toteż kilkunastogodzinny postój w Lasocinie dla wszystkich nas był miłym wytchnieniem. Spaliśmy twardo po dwóch nieprzespanych nocach, mając świadomość że żaden alarm już nam snu nie zakłóci.

4 lipca przeszliśmy Wisłę w Łęgu. Zatrzymał się pułk, a mjr Berbecki powitał nowe pole walki i chwały — drogą, bo umęczoną, ziemię Lubelską.

Zatrzymaliśmy się na postój obiadowy. Pozwolono się wykąpać, ale w miejscu ściśle oznaczonym, aby uniknąć wczorajszych wypadków. Wreszcie — ruszamy. Idziemy do Rachowa, przezwane przez Moskali Annapolem. Chłopcy w doskonałym humorze zdjęli karabiny, które nosiliśmy na pasach i wzięli je na sposób rosyjski na ramię. Śpiewają. W chwili gdy wchodziliśmy do Rachowa, ktoś zaintonował: „Rossija, Rossija, ach żal mnie ciebie!” Żydzi Rachowscy słysząc to z przerażeniem patrzą na nas, a oficerowie austriaccy — Polacy, śmieją się, śmieją się do rozpuku, z konceptu naszych żołnierzy.

Bez zatrzymania w Rachowie pomaszerowaliśmy do Wymysłowa. Bardzo biedna to kolonia, położona na piaskach, zupełnie bezdrzewna, ale tu właśnie po raz pierwszy doznaliśmy tej niezwyklej serdeczności chłopca z Lubelszczyzny, z którą odtąd mieliśmy już stale do czynienia. Najserdeczniejsze nawet przyjęcie w Radomskim było raczej przychylną neutralnością, tutaj po raz pierwszy spotykamy się z zainteresowaniem, ze współczuciem dla naszych trudów, ze zrozumieniem naszych intencji, ze współudziałem w sprawie walki o niepodległość.

5 lipca to pierwszy dzień od czasu wymarszu z Konar, który całkowicie oddano nam do dyspozycji. Toteż od rana zaczęło się krzątanie około naprawy butów i ubrania, prania bielizny, czyszcze-

nia broni. Resztę czasu poświęciliśmy na pogawędkę z chłopami. Tutaj to jakby inna ludność zupełnie. Interesuje się wszystkim, Moskali za „swoich“ nie uważa, nie może tylko uwierzyć, abyśmy zdołali niepodległość wywalczyć. Wszak wszystkie powstania się nie udawały. Tłumaczymy im, jak umiemy, że to jedyny moment, kiedy niepodległość odzyskać możemy. Idealnym, choć nieświadomym agitatorem okazał się szeregowiec mego plutonu Tomasz Wyparło, syn gospodarza z Tarnobrzeskiego.

WALKI WŚRÓD ZGLISZCZ LUBELSZCZYZNY

(Dzierzkowice — Urzędów — Babin).

Rankiem 6 lipca zapowiedziano zbiórkę na szosie Rachów—Kraśnik. Oczekujemy marszu w kierunku Kraśnika. Tymczasem prowadzą nas z powrotem do Rachowa. Nie dochodząc jednak do miasteczka skierowujemy się na północ. Przez nieskończenie długą wieś Świeciechów maszerujemy wzdłuż biegu Wisły w kierunku Józefowa. Wreszcie dotarliśmy do Popowa. Tu dobrze już słyhać huk dział, któregośmy już 3 dni nie słyszeli. Tymczasem jesteśmy w rezerwie, spodziewamy się jednak nazajutrz natarcia na Józefów. Noc spędzamy pod gołym niebem w oczekiwaniu rozkazu zajęcia podstawy wyjściowej. Wstał jasny poranek 7 lipca, lecz rozkaz nie nadchodzi. Dopiero około południa — alarm. Zbiórka i pospieszny marsz, tym razem jednak na południe z powrotem do Świeciechowa. Czyżby odwrót? Nie, ze Świeciechowa kierujemy się na wschód, a więc znów w kierunku Kraśnika. Maszerujemy bez żadnych odpoczynków, wprost bez wytchnienia, w skwarne lipcowe popołudnie. Pędzimy jak na jarmark, mijając Natalin, Stasin, Stefanówkę, Boiska, Sosnową Wolę, by w nocy dotrzeć do nieskończenie długiej wsi Dzierzkowice. Wielka ta wieś, ciągnąca się na przestrzeni 8 km, cała w zgliszczach. Moskale cofając się doszczętnie ją spalili. Toteż nasz nocny marsz wśród zgliszczy przypomina pochód duchów na Dziady. Po nieprawdopodobnie wprost męczącym, z górą 30-kilometrowym marszu zatrzymujemy się wreszcie około 2 w nocy we wsi Wyżniance, stanowiącej przedłużenie Dzierzkowic. Przed nami w odległości około 1000 kroków wśród mgieł przedświt zarysowują się za rzeczką Stróżką kontury folwarku, własność ojca jednego z oficerów naszej artylerii, ppor. Jana Śląskiego. Za folwarkiem na wzgórzu mają być okopy rosyjskie. Folwark ten to jak by „nowy Kamieniec“.

Wzdłuż drogi ciągną się gotowe okopy austriackie, nie potrzebujemy przynajmniej kopać. Okopy te musiały być niedawno opuszczone, jak świadczą walające się puszki od konserw i inne

przedmioty, pozostawione przez Austriaków, a nie zabrane przez ludność. Pono Moskale cofnęli się za Urzędówkę, Austriacy poszli w ślad za nimi, Moskale jednak kontratakami nie tylko ich powstrzymali, ale mieli „wyfasować“ całą dywizję. W ten sposób powstała luka we froncie, którą mamy zatkać. To była przyczyna naszego tak pośpiesznego marszu. Okopy rosyjskie są jeszcze podobno puste, ale lada chwila Moskale w pościgu za rozbitkami dywizji austriackiej mogą się ukazać na horyzoncie i muszą natrafić na nasz zdecydowany opór.

Toteż o świcie 8 lipca obsadzamy okopy.

Na przedpolu mamy jeszcze resztki rozbitej dywizji austriackiej, więc mamy czas, aby przygotować się do odparcia ataku Moskali. Mój pluton trafił na nieszczęśliwy odcinek, poprzerywany lukami, ogólnej linii okopów. Pół plutonu mam w wysuniętym rowie strzeleckim o jakie 300 kroków w przód nad rzeczką. Jest to coś w rodzaju placówki, czy oddziału obserwacyjnego, który ma powierzoną specjalną pieczę nad folwarkiem, przypuszczalną podstawą wyjściową przeciwnika. Na prawo od naszego odcinka coś się dzieje. Widzimy przygotowania do zniszczenia mostu. W okopach rosyjskich także ruch. Jakieś patrole niszczą okopy, podpalają blindáže i szybko wycofują się za rzeczkę. Kiedy wszystkie już patrole wycofały się, most podpalono. W tym samym momencie na szczycie przeciwnego wzgórza ukazały się pierwsze patrole rosyjskie. Rozległy się strzały, które jednak po chwili umilkły. Patrole nieprzyjacielskie, stwierdziwszy że nasze okopy są obsadzone, wycofały się za wzgórze.

Wobec tego wystawiliśmy normalne posterunki obserwacyjne i zakrzętnęliśmy się około urządzenia się na nowej pozycji. Chłopcy nasi ze zgłiszcz i niedopalonych chałup ściągają do okopów, co się dało: słomę, stołki, garnki, łyżki itp. przedmioty nieodzownego użytku. W którejś z chałup znaleziono nawet sporo zapasów żywnościowych, pozostawionych prawdopodobnie przez kwaterujący tam przed tym sztab austriacki. Przygotowujemy się do spania po całonocnym marszu, kiedy od komendanta kompanii ppor. Wąsika otrzymuję rozkaz udania się do komendy batalionu. Znajduję się ona o jakie 1000 kroków w tyle na skraju lasu, na wzgórzu przy będącej w odwodzie 4. kompanii.

Idę więc powoli, zmęczony i niewyspany, i dochodzę właśnie do punktu, w którym kończy się orne pole, a zaczyna lesisty wąwóz, gdy usłyszałem za plecami terkot karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Zostałem w jednej chwili obsypany dokoła pociskami, które padały tuż obok jak natrętne osy. W mgnieniu oka skończyłem w wąwozie kryjąc się wśród drzew i byłem już bezpieczny. Znowu zagrały karabiny maszynowe, ale już nie mogły minic zrobić.

Kiedy po wykonaniu rozkazu wróciłem z baonu do kompanii, zastałem już okopy rosyjskie na dobre obsadzone przez Moskali, a wedle meldunków naszych posterunków obserwacyjnych patrole ich dotarły do folwarku. Rozpoczęła się zwykła strzelanina, a artyleria nasza biła w folwark. Chodziły słuchy, że to ppor. Ślaski kieruje ogniem na swe gniazdo rodzinne, byle nie dopuścić tam Moskali. Toteż widać jak stopniowo wycofują się z folwarku. Reszta dnia upłynęła nam na zwykłej „rozmowie karabinowej“ z Moskalami, toteż o śnie nie było mowy.

Dopiero po zmierzchu zmieniła nas 3. kompania, a my odmaszerowaliśmy do lasu na dobrze zasłużony odpoczynek. Rozłożyliśmy się biwakiem na polanie, ale byliśmy tak zmęczeni, że nawet nie rozstawialiśmy namiotów. Każdy, gdzie się położył, tam zasnął.

9 lipca spędziliśmy w lesie w rezerwie. Pełno było tu biwakujących wraz z nami mieszkańców Dzierzkowic i Wyżnianki. Nie chcieli uciekać przed nami, nie usłuchali Moskali, którzy ich do Rosji pędzili, poukrywali się po lasach, a kozacy za to wsie im popalili. Toteż natrafiwszy na legionistów poczcwi mieszkańcy wsi lubelskich nie ukrywają swych sympatji dla nas i dzielą się z nami, czym mogą. Mamy więc świeże mleko, masło, jaja, sery, które chętnie nabywamy, uświadamiając jednocześnie chłopów kim jesteśmy. Wieczorem wracamy na pozycję, ale tym razem na inny odcinek. Na mnie wypadła służba, więc rozstawiam placówki. Poprzednicy nasi wystawili je daleko nad rzeczką. Do każdej placówki było oddzielne dojście po grobelce, ale między nimi nie podobna było utrzymać żadnej łączności z powodu bagnistości terenu. Całą noc — czuвам. Rano ściągnąłem placówki i wysłałem patrol do folwarku. Wrócił przyprowadzając 3 „jeńców“, którzy im się bez oporu poddali. Byli to jednak żołnierze austriaccy z 77. p. p. z Sambora, z tzw. „Sim, sim“. Przesiedzieli 3 dni w jakiejś dziurze obawiając się głowy wychylić z powodu strzelaniny, aż ich nasz patrol wybawił. Myśleli, że są w niewoli i wojna dla nich skończyła się, a tu masz ci los, tych „legionarzy“. Błagają, aby ich przynajmniej do ich pułku nie odsyłać, bo tam feldfelbel ich głodzi. Przydzieliliśmy ich sobie do kompanii, a choć jeden z nich — Rumun, a dwaj Serbowie i trudno z nimi dogadać się, ale st. żołw. Klemczak, który wszystko potrafi, jakoś się z nimi porozumiewa, a oni chwalą sobie „legionarów“, bo mają co jeść i dobrze się z nimi obchodzą.

10 lipca upłynął nam na zwykłej strzelaninie, ja po nocnej służbie spałem spokojnie w nędznej ziemiance nie biorąc czynnego udziału w „wypadkach wojennych“. Dopiero nazajutrz, 11 lipca, patrole nasze wzięły znowu kilku jeńców, tym razem rosyjskich,

od których dowiedzieliśmy się, że Moskale, widząc nasz skuteczny opór na linii Dzierzkowic, w nocy opuścili swoje pozycje wycofując się do Urzędowa. Nasz 3. p. p., będący w rezerwie, ruszył w pościg za nimi. Nam polecono na razie zostać na miejscu i zniszczyć do reszty linię okopów rosyjskich. A pozycja ich przedstawia się znowu wspaniale. Okopy, kute w skale jak pod Tarłowem, dla czego je opuszczono, na razie pozostanie dla nas zagadką. Niszczymy pozostałe jeszcze blindáže, strzelnice, ziemianki i wracamy na nasz odcinek. Wobec nieobecności nieprzyjaciela przenosimy się tylko do części nie spalonych chałup i kwatrujemy sobie wygodnie przez 3 dni, zażywając „dolce farniente“.

Dopiero 14 lipca wieczorem otrzymujemy rozkaz wymarszu. Idziemy marszem bojowym w kierunku Urzędowa. Noc ciemna, choć oko wykol. Posuwamy się przez las w zwartej kolumnie. Nasza kompania na czele kolumny. Nagle las się urywa i my znajdujemy się na stoku wzgórza w dolinie rzeczki — Urzędówki. I od razu dostajemy się w pojedynczy ogień karabinowy, więc w kolumnie czwórkowej — padamy.

Na szczęście nikt nie został ranny, prócz konia adiutanta pułkowego ppor. Tadeusza Trapszy.

Cofamy się jednak do lasu i zatrzymujemy się na biwaku, gdzie przepędziliśmy cały dzień następny oczekując dalszych rozkazów.

15 lipca wieczorem podsuwamy się do Urzędowa. Tym razem bez żadnej przygody dostajemy się do miasteczka i zajmujemy kwatery tuż za linią okopów, ciągnących się wzdłuż drogi nad rzeczką. Zapowiedziano nam, że z domów nie wolno wychodzić, a jedynie wieczorem można się wychylać tylko na podwórza. Miasteczko nie jest ewakuowane, chociaż częściowo spalone. Ludność pała nienawiścią do Moskali za podpalenie miasteczka i wraz z nami bierze czynny udział w walce. Podobno nawet cofających się Moskali baby oblewały ukropem. Zwłaszcza mieszkańcy przedmieścia Mikuszowieckiego i Rankowskiego są szczególnie zażarci, proszą o karabiny, by móc strzelać do Moskali. Służą nam za przewodników, schwytali szpiega, którego kpt. Satyr kazał powiesić na Rynku.

Na rano zapowiedziano przygotowanie się do ataku. Trzeba więc się wyspać. Ledwie jednak zasnąłem — zbudzono mnie. Przyszedł rozkaz, aby kompania nasza wysłała silny patrol celem zbadania przeprawy przez rzekę — Urzędówkę. Mój pluton — służbowy. Ponieważ przyszliśmy w nocy i nie byliśmy zorientowani w terenie, zdecydowałem, że sam patrol poprowadzę. Wziąłem ½ plutonu i przez Rynek udałem się na placówkę VI baonu, strzegącego mostu. Zawiadomiłem komendanta placówki o moim za-

daniu, prosiłem o informację, co do ich przedpola. Dowiedziałem się, że wedety są po drugiej stronie mostu, dalej jest teren neutralny, potem drugi most, a za nim przedmieście, do którego docierają jedynie patrole nieprzyjacielskie.

W tej sytuacji — zostawiłem jedną sekcję na placówce, a z jedną tylko poszedłem na drugi brzeg rzeki, aby zbadać stan, w jakim się znajduje drugi most. Minąłem wedety placówki VI baonu, wysłałem w szpicy 2 żołnierzy i powoli posuwałem się naprzód. Słyszę jakieś podejrzanym szmery. Zatrzymuję się i orientuję, że to krzyk ptactwa domowego, widocznie łapanego przez patrol nieprzyjacielski na przedmieściu. Może więc będzie okazja do wzięcia jeńca. Posuwałem się rowem przydrożnym i uszedłem już jakie 300 kroków od placówki, gdy nagle padły strzały rosyjskie, wyraźnie wymierzone w naszą stronę. Czyżbyśmy trafili na zasadzkę? Padamy. Przywarliśmy do ziemi czekając uspokojenia. Nagle, pada — salwa, tym razem od tyłu z placówki VI baonu. Jedna, druga, trzecia. Kule padają na drogę tuż obok nas. Widzę, że to nie przelewki i daję rozkaz odwrotu pojedynczo do placówki. Nigdy jeszcze nie byłem w takiej sytuacji. Przywykłem zarówno do huków strzałów jak do trupów i rannych. Ale ginąć od własnej kuli bynajmniej nie miałem ochoty, a już jako dowódca nie mogłem dopuścić, aby od własnej kuli zginął któryś z moich żołnierzy. A tu pada salwa czwarta i piąta. Orientuję się, że wystrzelali pełne magazynki. Trzeba ten moment wyzyskać. „Biegiem“. Zanim naładowali, jesteśmy już na placówce. Nigdy nie zapomnę, jak zwymyślałem sierżanta VI baonu, komendanta tej placówki. On twierdzi, że nie wie, jak się to stało, jest zmieszany i prosi o przebaczenie. Żołnierze przemęczeni, w nocy są zdenerwowani, nie zorientowali się, że my jesteśmy na przedzie. Pokora jego rozbawiła mnie, obiecałem, że o całym zajściu nie zamelduję w baonie. Już i tak, to nic nie pomoże. Zresztą nadchodzi goniec z kompanii i wzywa mnie do powrotu. Batalion już wyrusza. Idziemy jednak inną drogą po kładce przez bagno, bo tamto przejście nie jest strzeżone ze strony nieprzyjacielskiej. Przed świtem jesteśmy już w pasie „neutralnym“, na przedmieściu Mikoszowickim. Cały baon leży na stoku wzgórza wzdłuż drogi. Na tym wzgórzu mają być gdzieś dawne okopy austriackie, które mamy zająć. Patrole poszły przodem. W naszej kompanii jest już jeden ranny na patrolu. Z całej kompanii tylko pluton służbowy (II) ma iść do ataku, dwa pozostałe podsuną się nieco i pozostaną jako zabezpieczenie wąwozu, przecinającego wzgórze. Tym wawozem Moskale wdarli się na tyły Austriaków i spowodowali cofnięcie się ich do Urzędowa.

Posuwamy się powoli wąwozem pod dość gęstym ogniem karabinowym. Jest już zupełnie widno, a jednak nie podobna się zorientować, skąd strzelają. Kule padają zarówno z przodu jak z obu flank. Wynika z tego, że gdzieś w wąwozie jest zasadzka, a ponadto widzą nas ze wzgórza i strzelają do nas w dół do wąwozu. Mnie się wydaje, że strzelają z lewego skrzydła, trzymam się więc lewej ściany wąwozu. III pluton z komendantem kompanii ppor. Wąsikiem posuwa się wzdłuż prawej ściany wąwozu. Wreszcie otrzymujemy rozkaz zatrzymania się i okopania. Kopać jest dość trudno, bo piaszczyste ściany wąwozu obsypują się. Wreszcie jednak wykopaliliśmy jamy, w których od biedy można skryć się przed kulami.

Tymczasem ponury wstał poranek 16 lipca, a gęste chmury nie rokowały nic dobrego. Toteż wkrótce lunął deszcz i aby przed nim się ochronić, wkopujemy się głębiej we wzgórze. Usiłuję sporządzić sobie coś w rodzaju daszka nad głową. Ledwie jednak, jak zdawało mi się, ukończyłem robotę, mój „daszek“ spowodował katastrofę. Kawał ściany wąwozu obsunął się i zasypał całkowicie moją jamę wraz ze mną. Zdawało mi się, że to już koniec. Masa piasku przysypała mię i całkowicie skrępowała mi ruchy. Czuję duszność, piasek wypełnia mi jamy uszne, nosowe, oczy i usta. Na szczęście sąsiadujący ze mną żołnierze zauważyli katastrofę i natychmiast rzucili się na ratunek. W mgnieniu oka byłem odkopany i bardzo szybko wróciłem „z tamtego świata“. Jedynie piasek w nosie, uszach, oczach i ustach pozostał jako niemiłe wspomnienie tej przygody.

Przesiedzieliśmy w ten sposób cały dzień w tym nieszczęsnym wąwozie. Wśród potoków deszczu z nieba i gradu kul nieprzyjacielskich trwaliśmy tak w nieświadomości, co się dzieje na „otwartym teatrze wojennym. Od czasu do czasu dochodziły nas tylko wieści o śmierci ppor. Leonarda Rybarskiego z V baonu, to znów o zgonie kpr. Sokoła z 4. kompanii. O zmierzchu dostałem rozkaz zlurowania II plutonu, który zajmował odcinek od naszego wąwozu w lewo, przedłużając linię II baonu. Okopy były stare, głębokie jak wszystkie okopy austriackie, ale nie urządzone. Brak było ziemianek, a że deszcz lał cały dzień, więc w okopach stała woda i nie podobna było choćby na chwilę głowy skłonić. Zimno przemoczonego ubrania dolegało dotkliwie, więc, aby nie przemarznąć do reszty, chodziłem po okopach tam i z powrotem, wyszukując sobie najrozmaitsze zajęcia. Wystawiłem czujki przed okopami, nawiązałem łączność z placówką w wąwozie, na wypadek nocnego ataku rozdałem granaty ręczne, odwiedziłem komendanta sąsiadującego ze mną plutonu II baonu, wreszcie aby tylko nie zasnąć, gwarzę sobie z ppor. Bolesławem Wrońskim-Czajkowskim z OKM Nr 2, który ma na moim odcinku swoje „maszynki“.

Nagle czujki moje gwałtownie cofają się do okopów i meldują, że nieprzyjaciel się podsuwa. Będący na czujce szer. Wilk jest ranny. Dowiaduję się, że czujki II baonu też się wycofały. Pochmurna, czarna noc, nic nie widać na odległość 3 kroków. Upewniwszy się że wszystkie czujki wróciły do okopów, otwieram ogień. Najprzód pojedynczy od lewego, a później „paczkami“. Zagrały k. m. ppor. Wrońskiego. Wali cała linia II baonu. Na chwilę zrobiło się piekło. Moskale bardzo słabo wprawdzie, ale odpowiadają ze swoich okopów, wnoszę więc, że alarm był fałszywy. Gdyby podchodzili, toby z okopów nie strzelali. Widocznie musiał to być po prostu patrol jakiś, który narobił tyle alarmu. Porozumiewam się z sąsiednim plutonem II baonu i zaprzestajemy ognia. Może to ranny szer. Wilk narobił tego kłopotu. Pozostałe czujki wycofały się bezkrytycznie, bo żołnierz w nocy bardzo łatwo wierzy święcie w rzeczy, których wcale nie widzi.

O świcie otrzymuję rozkaz zmiany odcinka. Przesuwam się na prawą stronę wąwozu i tu znajduję się w bardzo marnych okopach, zupełnie niewykończonych. Bierzemy się więc na gwałt do roboty, aby rowy pogłębić i wykończyć. Jesteśmy prawie dosłonięci, a za chwilę będzie widno i Moskale wystrzelają nas jak dzikie kaczk. Tymczasem wstaje świt, robi się widno. Spokój panuje na całej linii. Moskale nie odpowiadają nawet pojedynczymi strzałami na strzały II baonu. To doprowadza ppor. Wąsika do wniosku, że Moskale się wycofali. Kompania 4. wysłała patrol. Wkrótce i ja otrzymuję rozkaz wysłania patrolu. Idzie Wacław Kaucz z 2 ludźmi. Posuwają się ostrożnie, ale bez przeszkód. Obserwuję ich pilnie. Już są o jakie 20 kroków od drutów rosyjskich, a o 80 od okopów. Moskale czekali tej chwili i dopiero obecnie obsypali ich kulami. Padają. Chwila ciszy. Czyżby wszyscy poległ, czy byli ranni? Nie, pojedynczo podnoszą się i biegną co sił z powrotem. Kaucz świetnie manewr przeprowadza. Nowe strzały i znowu padli. Znowu biegną, padają, czołgają się w naszą stronę. Widać ich jak na dłoni. Po prostu cud, że żaden z nich dotąd nie został trafiony. Wloką się straszne minuty.

Cały mój pluton w naprężeniu obserwuje ich odwrót. Aż wreszcie — są już w okopach — cali i zdrowi. Patrol 4. kompanii wrócił również bez strat.

Widzieliśmy wszyscy, jak się cofali, jak silnie byli ostrzeliwani, toteż nikt w linii nie ma wątpliwości, że okopy nieprzyjacielskie są obsadzone i nie ma mowy o żadnym odwrocie. W tym duchu posyłam meldunek do kompanii, znajdującej się nieco w tyle na stoku wzgórza, i do baonu, znajdującego się w dole na drodze. Jestem pewny swego meldunku, gdyż z dotychczasowych doświadczeń wiem, że Moskale cofają się zawsze wieczorem, zostawiając słabe

patrole do świtu, i rano nie ma już nikogo. Dziś całą noc trzymali się w okopach i rano byli, więc obecnie o godz. 8 rano bezwzględnie okopy są obsadzone.

Meldunek mój nie przekonał jednak moich dowódców. Po chwili otrzymuję rozkaz z baonu, aby wysłać silny patrol, wzmocniony dwoma saperami, którzy przy pomocy materiałów wybuchowych wysadzą druty. Znając dokładnie sytuację, uważam to za szaleństwo i melduję komendantowi kompanii, że wysłanie patrolu w otwartym terenie w biały dzień, to wysłanie go na pewną śmierć. Ponieważ w baonie i kompanii panuje przekonanie, że Moskale się cofnęli, uzyskuję tylko tyle, że patrol pójdzie wąwozem, a nie szczerym polem. W nocy stwierdzono tam istnienie placówki rosyjskiej, więc przedsięwzięcie jest równie niebezpieczne, gdyż można natrafić na zasadzkę. Wezwałem sierżanta Bittnera, mego zastępcę, i powtarzam mu rozkaz. Nie miałem odwagi sam wyznaczyć tego, którego na pewną śmierć posyłałem. Sierżant Bittner, choć stary żołnierz, zbladł. Nie chciał mi okazać, co czuje w tej chwili, milczy przez chwilę, jakby się zastanawiał, wreszcie wykrztusił: „Na Łubę — kolej“! Sierżant Łuba był to serdeczny przyjaciel sierż. Bittnera. Choć jako sierżant mógł być podoficerem zafrontowym, nie chciał się rozstać z dowództwem i miał II sekcję. Wspólnie wybraliśmy 9 żołnierzy najodważniejszych, najsprytniejszych, najostrożniejszych, najlepszych patrolowców. Łuba prosi o 11. Ja już nie miałem w swoim plutonie odpowiednich ludzi. Odesłałem go do ppor. Wąsika. Komendant kompanii dał mu dwóch brakujących z II plutonu.

Poszli. Saperzy mieli czekać na nich u wylotu wąwozu. Na linii — cisza zupełna. Czekamy z biciem serca. Mija godzina, a od Łuby nie ma żadnej wieści. Dłużą się minuty. Nic nie mąci ciszy, panującej dokoła. Od czasu do czasu słychać pojedynczy strzał gdzieś na sąsiednim odcinku. Po wczorajszej ulewie ranek jest pogodny i słońce zaczyna przygrzewać. Oschła już ziemia, może i my osuszymy przemokłe ubranie. A od Łuby, jak nie ma wieści, tak nie ma.

Nagle wpada do okopów zadyszany, na pół przytomny st. żołn. Lisowski. Nic jednak od niego dowiedzieć się nie można. Bezdłownie tylko powtarza: „Łuba zginął! Łuba zginął“! Pytamy go: „Gdzie, co, jak, zabity, czy wzięty do niewoli“? Nic jednak dowiedzieć się od niego nie można, jakby w szale jakimś powtarza w kółko: „Łuba zginął, sierżant Łuba zginął“! W jakiś kwadrans potem wrócił cały patrol, teraz dopiero dowiadujemy się, co się stało.

Sierżant Łuba uszedłszy jakieś 50 kroków przed linię naszych okopów, zatrzymał patrol i nie chcąc narażać na zasadzkę wszystkich wziął ze sobą tylko st. żołn. Lisowskiego, i we dwóch poszedł naprzód

zbadać teren. Kiedy uszli jakie 200 kroków zza kępki drzew ujrzeli dwie gęby moskiewskie. Za szczelnie odrutowanym stanowiskiem była wedeta placówki rosyjskiej. Znajdowali się od siebie zaledwie o 15 kroków. Siły nieprzyjacielskiej placówki nie znali, we dwóch nie mogli rzucić się do ataku. Powzięli błyskawiczną decyzję i rzucili się do ucieczki. Lisowski pobiegł prawą krawędzią wąwozu, Łuba — lewą jego stroną. Kiedy zziąjany Lisowski dopadł patrolu — czekali na Łubę. Ale Łuba nie wracał. Poszli go szukać, ale na próżno. W miejscu, gdzie widział go ostatni raz Lisowski, ani śladu. Stąd wniosek, że dostał się do niewoli. Lisowski ledwie przytomny wrócił na swoje miejsce do plutonu. Ale sierż. Bittner, st. żołn. Poraj-Pstrokoński i szer. Oster-Michalski proszą mnie, aby pozwolić im pójść na poszukiwanie Łuby. Nie chcę brać na swoje sumienie dalszych ofiar. Odesłałem ich do komendanta baonu. Kpt. Sław-Zwierzynski dał im pozwolenie. Poszli. Najdzielniejsi żołnierze mego plutonu, najlepsi patrolowcy Poraj i Oster i mój najbliższy pomocnik i zastępca. Po raz trzeci już tego ranka przeżywamy chwile oczekiwania.

Ja w nocy przeziębilem się. Gardło mnie boli, mam silne dreszcze. Tyle silnych wrażeń tego ranka utrzymuje mnie dotąd na nogach. Czuję jednak, że słabnę. Muszę doczekać powrotu patrolu. Strasznie długo ich nie widać. Wreszcie — wracają. Łuby nie znaleźli, przytem sierż. Bittner — został ranny. Na szczęście niezbyt ciężko w rękę. Doszli prawie do placówki rosyjskiej, ale na ślad Łuby nie natrafili. Upewnia to nas w przekonaniu, że dostał się do niewoli, a że jest królewakiem, więc los jego napawa nas troską.

Pluton mój pozbawiony został najstarszych podoficerów: sierżanta Bittnera i Łuby. Podoficerem zafrontowym został kapral Wydrzyński, dotychczasowy dowódca I sekcji, oddając ją st. żołn. Lisowskiemu, który w chwilę potem ranny w rękę przekazał ją szer. Wilczyńskiemu. Komendantem II sekcji po sierż. Łubie został szer. Domański. III sekcję prowadził po kpr. Dąbskim st. żołn. Feliks Poraj-Pstrokoński, jedynie IV sekcja nie zmieniła od początku swego komendanta kpr. Iskerki.

Tymczasem strzelanina rozwinęła się na całym froncie. Moskale kropili dość gęsto do nas, ale i my nie byliśmy dłużni. Żołnierze moi powtarzali za każdym razem: „Za Łubę, za Łubę“! My już poza st. żołn. Lisowskim nie mieliśmy strat, zato w II plutonie poległ szer. Jawornik i było kilku rannych.

Ja się tak podle czułem, że nie zważając na ogień wyszedłem za okop i położyłem się w kartoflisku, aby się nieco wygrzać na słońcu. Nie mogłem dogrzać się i dreszcze miałem coraz silniejsze. Wieczorem zbadał mnie lekarz baonu i stwierdził 39° stopni gorączki. O pozostaniu na noc w linii nie było mowy. Odesłano mnie do mia-

steczka do „Domu Maruderów“. Wściekły byłem na siebie, ale co było robić. Zmieniłem bieliznę, przebrałem się, powiesiłem przemoknięte części garderoby pod piecem, aby wyschły, i położyłem się na słomie.

Zasnąłem tak twardo, że nawet całonocnej strzelaniny nie słyszałem. Nazajutrz 18 lipca bitwa trwa i ja chcę koniecznie wracać do plutonu. Chociaż gorączka spadła, nie chcą mnie puścić. Chcę wiedzieć, co się dzieje z plutonem. Dostaję wreszcie wiadomość, że wszyscy zdrowi, nikt nie ranny, ani zabity i to mię uspakaja. Intensywnie płuczę gardło, zażywam moc aspiryny i 19 lipca czuję już, że mogę wracać. Stanowczo pakuję się z powrotem do kompanii, a tu właśnie kompania, zmieniona przez 3. kompanię, przyszła do Urzędowa. Ledwie jednak nowa kompania zajęła odcinek, patrole stwierdziły, że Moskale tym razem faktycznie odeszli. Patrol 3. kompanii, który poszedł na wywiad do wąwozu, natrafił na ciało Łuby. Leżał ukryty w krzakach z przestrzeloną głową. Przyniesiono go do Urzędowa. Tutaj też kompania wykopała mu grób pod krzyżem na ulicy i oddała mu ostatnie honory.

Łuba był to jeden z tych cichych bohaterów walki o niepodległość, o których nie piszą kroniki historyczne, a jednak im właśnie zawdzięczamy naszą wolność. Łuba nigdy nie mówił o sobie. Nikt nie znał bliżej jego stosunków rodzinnych. Wiedzieliśmy, że pochodził gdzieś z Łomżyńskiego. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało: Antoni Górski. Gimnazjum kończył w Warszawie, potem studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Podobno był zdolnym artystą-malarzem. Należał do „Promienia“, należał do „Strzelca“. Mógł wyjść na wojnę jako oficer, a wyszedł jako szeregowiec. Był już sierżantem, ale nie chciał opuścić swojej sekcji. Wszystkie najcięższe zadania, wszelkie najtrudniejsze patrole zawsze brał na siebie. Nigdy się na nic nie skarżył, zawsze był pogodny i zrównoważony. W plutonie miał wielki mir, wszyscy się liczyli z jego zdaniem. Znała go cała kompania, a ktokolwiek go znał, nie mógł go nie lubić. Toteż pamięć o nim długo jeszcze trwała w kompanii, która ani przedtem, ani potem nikogo tak nie żałowała jak Łuby.

Gdy kompania nasza wracała z pogrzebu Łuby, ukazał się z lasu pluton sztabowy c. i k. Komendy Legionów. Od niego dowiedzieliśmy się, że 4. pułk piechoty, zorganizowany w Piotrkowie, maszeruje do nas i wkrótce stanie już w Urzędowie. Ale wraz z nim zjeżdża c. i k. Komenda Legionów, a to już nic dobrego nie wróży.

Zanim jednak nadszedł 4. pułk piechoty, zarządzono wymarsz i my pomaszerowaliśmy w kierunku Majdanu. Tutaj zatrzymaliśmy się na nocleg jako rezerwa Brygady, a więc nieprędko pójdziemy w ogień. Pozwolili nam otrząsnąć się ze strat, poniesionych pod Urzędowem.

20 lipca spędziliśmy na postoju w Majdanie. Tutaj danym mi było powitać 4. pułk, który pod komendą ppłk. Bolesława Roji, z I baonem kpt. Andrzeja Galicy na czele, przemaszerował do Majdanu.

Spotykam kolegów z b. baonu uzupełniającego kpt. Galicy, a mianowicie: chor. Adama Ajdukiewicza, chor. Tadeusza Wasunga, chor. Romana Bereskiego, chor. Stanisława Szumskiego, chor. Jana Bolesławskiego (Januarego Grzędzińskiego), chor. Tadeusza Krajewskiego. Pytam o dawnych znajomych, o stosunki w 4. p. p. Widzę, że cały pułk przesiąknięty jest tym animuszem i pewnością siebie jak nasza kompania marszowa, gdy szła z Radomska na front. Cieszy ich zwłaszcza to, że przyszli do I Brygady i mają nadzieję, że zostaną do niej jako czwarty pułk wcieleni. Niedługo jednak mieli się przekonać, że się łudzili, ale ja nie mogłem z nimi dłużej rozmawiać, bo właśnie zarządzono zbiórkę i odmaszerowaliśmy do Białej Wody.

Stoimy tu przez dzień następny na kwaterach u chłopów. Wieś nie spalona. Ja w swoim gospodarzu, po raz pierwszy w Lubelskim, spotykam zdecydowanego i świadomego moskalofila. Na pierwszy rzut oka chłop światły, znający historię Polski i dzieje powstań narodowych, pilny czytelnik i kolporter tajnego „Polaka“, zajmuje zdecydowane wrogie stanowisko wobec Legionów. Nie kryje się bynajmniej, że jest członkiem Narodowej Demokracji i przyjacielem posła do Dumy Rosyjskiej, Nakonecznego, próbuje szerzyć defetyzm wśród naszych żołnierzy. Osadziłem go z miejsca, grożąc aresztowaniem jeśli nie zaprzestanie swojej „słowiano-filskiej“ agitacji i pogwarek na temat tego, że Rosjanie to nasi bracia Słowianie, a car da nam z łaski swojej autonomię, bo koalicja go do tego zmusi. W jego pojęciu my oczywiście jesteśmy „pruskie i żydowskie sługi“, których naturalnie „masoneria“ międzynarodowa zmusiła do walki przeciw „wielkodusznemu“ carowi. Pierwszy raz w ciągu wojny natrafiłem na bezpośrednie źródło defetyzmu, zobaczyłem kto zmusza biedne dzieci polskie do uczenia się po rosyjsku, jak to wszystkie „strumienie słowiańskie zleją się w rosyjskim morzu“. I to robią rzekomi spadkobiercy „Ligi Polskiej“ i „Ligi Narodowej“, którzy dziś jeszcze uważają się za jedyne prawdziwych „narodowych“ demokratów.

Zirytowany na tego do gruntu otumanionego chłopca, wyszedłem na wieś, aby zorientować się, kto tu po za nami kwateruje, i natknąłem się na szpital polowy Brygady, w którym jest sanitariuszką koleżanka z „Promienia“, a żona śp. Sarmata-Szyszlowskiego, Maria Szyszlowska-Sarmatowa. Pierwszy raz widzę ją po śmierci męża, omijając więc ten temat, wspominamy dawne krakowskie czasy, losy kolegów i koleżanek, których już dawno

nie widzieliśmy. Wieczorem odmaszerowujemy dalej do Kłodnicy Dolnej, gdzie spędziliśmy cały dzień następnny, 22 lipca.

Odpoczywamy, czyścimy broń, doprowadzamy do porządku ekwipunek. Wieczorem — odmarsz. Odchodzimy przy dźwiękach orkiestry 1. pułku piechoty, który przygrywa ułanom Beliny, witającym 5. szwadron, przybyły wraz z 4. p. p. na front. Przy dźwiękach cichnącej coraz bardziej orkiestry zbliżamy się do lasu Borzechowskiego, gdzie z oddali słychać już inną orkiestrę — muzykę ognia. Zbliżamy się więc do pola bitwy. Od czterech dni nie słyszeliśmy prawie armat, pędzimy żywot prawie pokojowy.

Czas wrócić na linię! 23 lipca rano wyruszamy przez Bożechów w kierunku Bełżyc. Moskale znowu się cofnęli po krwawej bitwie w okolicach Wierzchowisk i Bożechowa. Za Bożechowem widać ślady toczącej się bitwy. Pełno pojedynczych okopów, rowów pozaczynanych i niedokończonych, grobów żołnierzy austriackich, którzy szli tędy do ataku. Musiał się tu toczyć krwawy bój. Całą grozę tej bitwy jednak ujrzeliśmy dopiero wtedy, gdy minawszy okopy austriackie zbliżyliśmy się do pozycji rosyjskich przed Wierzchowiskami.

Najprzód za drzewem przydrożnym zauważyłem skrwiawionego trupa żołnierza rosyjskiego z ryżą brodą. Za chwilę widzę dwa trupy obok siebie, jakby zginęli od jednej kuli, a dalej trupów coraz więcej i więcej, aż w końcu wprost stosy trupów, jeden na drugim, jeden obok drugiego, jakby na obrazie Wereszczagina, którego odbitkę widziałem kiedyś, a który zdaje się miał tytuł „Wojna“.

Nieruchome oczy, zastygłe w tępych bólu, widoczne na żółkłych twarzach, ręce kurczowo ściskające karabin, lub rozpaczliwym ruchem zasłaniające głowy — wszystko to było świadectwem strasznych scen, jakie się tu dziać musiały. Wielokrotnie wspomniano w komunikatach wieś Bożechów, ale przez myśl mi nie przeszło, że zobaczę tak straszne pobojoowisko.

Gdyby nie świadomość, że walczymy o słuszną sprawę, że musimy walczyć do ostatniej kropli krwi, dopóki nie odzyskamy straconej niepodległości, to po obejrzeniu tego upiornego pobojoowiska zawołałbym chyba „Wojna — wojnie“. Jakiż to był widok okropny! Ileż rodzin oplakuje dziś, tam w dalekiej Rosji swoich mężów, ojców, braci, którzy giną nie wiadomo za co. Boć biją się nie za cara, który ich gnębi, nie za biurokratów, którzy ich okradają, nie za popów, którzy napróżno ich tumanią. Pojęcie ojczyzny jest czymś niezrozumiałym dla przeciętnego „ziemiaka“. Więc idą w bój pod terrorem, pod groźbą rewolwerów. Ale gdy w tych dzikich duszach zrodzi się bunt, straszne mogą być jego skutki i straszną będzie rewolucja rosyjska!

Z westchnieniem ulgi mineliśmy to pole śmierci. Pierwszy raz widzieliśmy tyle trupów, setki, tysiące może, w promieniu widzenia. Już widać sanitariuszy austriackich, którzy obchodzą pole bitwy i zbierają trupy, aby je pochować. My natomiast zagłębiamy się w las Wierzchowicki, gdzie stanęliśmy na noc biwakiem.

24 lipca o świcie maszerujemy dalej przez Wierzchowiska ku Bełżynom. W drodze otrzymujemy jakiś inny rozkaz. Zawróciliśmy z drogi i zbaczamy w prawo do wsi Czolny, gdzie zatrzymujemy się w lesie, by wieczorem zmienić jakieś austriackie bataliony, będące w pierwszej linii. Nad wieczorem II baon odszedł na pozycję, my zostaliśmy w rezerwie pułku.

W nocy podsunęto nas bliżej do linii. Stajemy na otwartej jakiejś łące. Kopiemy sobie pojedyncze wkopy, aby choć głowę zasłonić przed dolatującymi tu kulami. Wystawiamy posterunki obserwacyjne. Czuwamy. Zresztą ja nie umiem spać w takiej sytuacji. Dla komendanta kompanii wykopano rów głęboki, aby ewentualnie można tam było zaświecić latarkę elektryczną i odczytać nadchodzące rozkazy. Ppor. Wąsik wraz z sierż. Iwbulem ułożyli się w tym rowie i Komendant kompanii wkrótce zasnął. Około 1 w nocy nadszedł łącznik z baonu z jakimś rozkazem. Wskazałem mu miejsce, gdzie znajduje się Komenda kompanii — czekałem rozkazów. Ppor. Wąsika było niezmiernie trudno dobrać. Widzę zdaleka, jak sierż. Iwbul męczy się, aby go obudzić. W końcu otworzył oczy, wziął rozkaz, przeczytał i schował do kieszeni. Sierż. Iwbul nie śmie pytać. Czuwamy dalej. Od czasu do czasu pada jakiś pojedynczy strzał. Skąd biją — trudno się po nocy zorientować. Zwłaszcza, że noc jest ciemna, bezksiężycowa. W dzień pole widzenia byłoby duże, bo łąka, na której rozłożyliśmy się, łagodnie opada w dół. Gdzieś w dole są okopy naszej pierwszej linii, a nieprzyjacielskie pewnie gdzieś na następnym wzgórzu. Musi być daleko, ale w dzień bylibyśmy widoczni, więc przed świtem powinniśmy się wycofać. Zaczyna przecierać się na wschodzie. Żadne rozkazy nie nadchodzą z kompanii. Wysyłam łącznika do kompanii. Sierżant budzi Komendanta, ale na próżno, powiedział tylko „dobrze“ i zasnął na nowo. Nie wiem, co robić. Może nocny rozkaz także nam zostać na wzgórzu? Ale nie podobna. Coraz bardziej szarzeje. Wraz z przedświtem ogień się wzmacnia. Pozycji rosyjskiej jeszcze nie widać, ale już wyraźnie orientuje się, gdzie się ona znajduje. Ostatnia chwila, aby się stąd bez strat wycofać za wzgórze. Decyduję się sam iść do Komendanta kompanii. Budzę ppor. Wąsika i przedstawiam mu sytuację. Widzę, że mnie nie rozumie. Pytam, co było w rozkazie nocnym baonu. Wtedy dopiero oprzytomniał, oburzony na mnie, że dopuściłem do pozostania kompanii do świtu na pozycji. Na tłumaczenia, czy wyjaśnienia nie ma czasu. Biegiem

wycofujemy się z łąki w kierunku lasu. Nieprzyjaciół zauważył nasz manewr w pierwszych promieniach wschodzącego słońca i wali do nas, ile wlezie. Mimo to wycofujemy się jakoś szczęśliwie bez strat. Jestem bogatszy o jedno doświadczenie. Dowódcy spać nie wolno, zwłaszcza, gdy ma twardy sen.

I znowu cały dzień 25 lipca spędzamy w lesie koło Wymysłówki. Ponieważ mam służbę oficera inspekcyjnego baonu, więc siedzę we wsi w Komendzie baonu i mam za zadanie rozdzielić uzupełnienie, nadeszłe z Radomska, pomiędzy kompanie baonu. Wśród tych rekrutów nie mam już nikogo ze znajomych. Po zdaniu służby wracam do kompanii i wskutek nieprzespanej nocy, zasypiam na trawie snem sprawiedliwych.

26 lipca spędziliśmy znowu na biwaku leśnym pod Wymysłówką. Wieczorem dopiero wyruszamy by zmienić II baon w pierwszej linii. Odcinek nasz znajduje się na stoku wzgórza vis-à-vis wsi Babin, stolicy ongiś sławnej Rzeczypospolitej Babińskiej. Pozycje nasze, wybrane przez wojsko austriackie, są tak oddalone od pozycji rosyjskich, że śmiało można chodzić po okopach, choć nie są zbyt głębokie. W dzień można się wyprawić do wsi, leżącej w dole, gdzie drzewa i chałupy dobrze kryją przed oczyma nieprzyjaciela. Zresztą do pozycji rosyjskich jest chyba z 1½ kilometra, a wieś pośpiesznie ewakuowana, zawiera rzeczy cenne: drób, prosięta, owoce, miód. A to raj dla żołnierza! Cały dzień spędzamy we wsi. Objadamy się za wszystkie czasy. Na noc wracamy do okopów pozostawiając placówki we wsi, w dzień na odwrót jeden pluton czuwa w okopach, a reszta rozkoszuje się przysmakami wiejskimi. Dobra jest ta Rzeczpospolita Babińska, byle by nas znowu nie zmienił II baon. Pozycja znakomita, aby zawsze się nam tak powodziło jak w Babinie.

28 lipca mam znowu służbę w kompanii. Muszę wystawić na noc cztery placówki. Jedną ustawiam na drodze na północ u wylotu ze wsi w odpowiednio przygotowanych okopkach. Na prawo ma ona łączność z placówką 1. p. p. we wsi Radawczyk. W lewo placówka Nr 2 na łączce na skraju ogrodu ma możliwość skrycia się przed deszczem pod daszkiem sadowego, placówka Nr 3 w wysuniętej chałupie nad samą rzeczką ma zupełnie dobry ostrzał. Wreszcie placówka Nr 4 wystawiona z przydzielonego do naszej kompanii plutonu 4. kompanii, która wzmocniła naszą obsadę.

Obchodząc placówki znajduję się na placówce Nr 3, kiedy rozległy się strzały. Placówka natychmiast rozwinęła się przed chałupą i czeka na dalsze rozkazy. Po chwili słyszę znowu strzały, tym razem zupełnie wyraźnie na placówce Nr 2. Biegnę więc w tym kierunku i zastaję i tę placówkę rozwiniętą. Obserwuję w ciemnościach przedpole, ale nic podejrzanego dostrzec nie mogę.

Mam wrażenie, że patrol rosyjski podkładał się do wsi, usłyszał szmery na linii naszych placówek, wystrzelił i uciekł.

29 lipca otrzymujemy rozkaz do ataku na pozycje nieprzyjacielskie. Atakować mają 3 korpusy, ale wysiłek główny oraz przełamanie frontu ma nastąpić na innym odcinku. Toteż na odcinku Brygady przeznaczono do natarcia tylko 3 kompanie z naszego pułku i zdaje się po jednej z 1. i 3. p. p.

Kompanię naszą objął przed bitwą świeżo przybyły do pułku po wyleczeniu się z ran ppor. Kazimierz Polkowski, dawny komendant mego I plutonu. Pod jego więc komendą kompania posunęła się przez Babin i przed świtem zajęła pozycję wyjściową wzdłuż drogi biegnącej na pñ. od wsi. W tyle mamy posterunek obserwacyjny artylerii. Ppor. Wąsik, który objął z powrotem swój II pluton, na prawym skrzydle pod wielką lipą daje wskazówki austriackiemu obserwatorowi artyleryjskiemu. Pod osłoną ognia artylerii nasz II pluton posunął się około 200 kroków naprzód. Ja rozwijam się z moim plutonem na prawo od II plutonu. Trzymam się mego lewego skrzydła, aby osobiście utrzymać czucie z II plutonem. Dobięłszy wreszcie do linii zajętej przez II pluton, okopujemy się w zbożu. Po linii otrzymuję meldunek, że widać patrol nieprzyjacielski z 12 ludzi, zbliżający się ku nam. Otwieram silny ogień i patrol cofa się do okopów. Na prawo ode mnie powinna posuwać się kompania 1. p. p. Tymczasem ta kompania okopała się na drodze i jest w tyle od nas o jakie 200 kroków. Korzystając z tej luki inny patrol rosyjski zachodzi mi na prawe skrzydło. Zaginam więc moje prawe skrzydło, ale gdy ten manewr wykonałem, otrzymuję rozkaz wycofania się do linii 1. p. p. Wycofuję się więc i na drodze dowiaduję się, że jeden z moich żołnierzy szer. Kowalski, który jako łącznik bojowy pozostał przy ppor. Wąsiku, został ranny szrapnelem nieprzyjacielskim. Kiedy dwaj sanitariusze kompanii podbiegli do niego, aby go ratować, obaj zostali ranni następnym szrapnelem.

Artyleria rosyjska bije teraz nieźle i odpiera atak naszej artylerii. Wstrzelała się wcale dobrze w drogę i bije w nią celnie. Po co nas wycofano stamtąd, gdzieśmy byli zupełnie bezpieczni? Otrzymuję rozkaz przesunięcia się na lewe skrzydło kompanii. Trudny to manewr pod ogniem artyleryjskim, ale przesuwam się w lewo celem nawiązania łączności z III plutonem, który zmienił teraz II pluton i ma iść wraz ze mną do ataku. Pod ogniem granatów i szrapneli tracę podczas tego przesunięcia st. żołn. Poraja, kontuzjowanego granatem.

Po uzyskaniu czucia z III plutonem rozpoczynamy natarcie. Wobec silnego ognia artyleryjskiego i karabinowego polecam przesunąć się pojedynczo i w ten sposób zdołałem przesunąć już 3 sekcje,

pozostaje mi jeszcze I sekcja. Przechodzący tamtędy Komendant kompanii poleca mi przyspieszyć tempo ataku. Nie mam innego wyjścia, polecam więc I sekcji rozwinąć się i przedłużyć prawe skrzydło plutonu, sam natomiast udaje się na lewe skrzydło, aby utrzymać czucie z III plutonem ppor. Podolskiego.

Kryty przez wysoką pszenicę szybko przesuwam się na lewo i wkrótce tracę I sekcję z oczu. Po kilkunastu minutach dobrnąłem do linii tymczasowej plutonu, nawiązałem styczność z III plutonem i pod silnym ogniem artyleryjskim okopuję się czekając na doszlusowanie I sekcji.

Co chwila podaję w prawo: czy sekcja I doszłusowała. Ale odpowiedź otrzymuję stale negatywną. Wreszcie słyszę szelest kłosów i ktoś pyta czy to I linia. Poznaje głos komendanta I sekcji st. żołn. Wilczyńskiego. Wołam go do siebie i pytam, gdzie jest I sekcja. Sekcji już nie ma — mówi Wilczyński — granat zmiotł mi ją całą doszczętnie: Borowski ranny odłamkiem, Gertner kontuzjowany, Leszcz i Kawecki ogłuszeni, wszyscy są już na tyłach w rękach sanitariuszy. St. żołn. Wilczyński przyniósł mi rozkaz, aby nie posuwać się dalej, gdyż atak nasz jest tylko demonstracją. Przełamanie nastąpi na innym odcinku. Ładna mi demonstracja, która kosztuje mnie drożej, niż najkrwawsza bitwa. Jeszcze nigdy nie miałem 25% stanu na liście strat. Beznadziejnie tkwimy na tych prowizorycznych pozycjach, a choć ogień nie ustaje, ale wysoka pszenica i okopki, któreśmy sobie wykopali, chronią nas dostatecznie przynajmniej przed ogniem karabinowym. Toteż do wieczora nie miałem już żadnych strat. Ale, gdy wieczorem zmienił nas na pozycji II baon, przy apelu miałem już tylko trzy sekcje. Nocujemy w Babinie, ale pod gołym niebem, chałupka, którą nam wyznaczono, jest ciemna, brudna, że nie podobna w niej wytrzymać.

W POŚCIGU ZA WIEPRZ

(Jastków — Majdan — Kamionka — Ciemne)

30 lipca rano droga do Lublina była wolna! Moskale nie wytrzymali wczorajszego ataku i na całym froncie cofnęli się. Dochodzą nas słuchy, że nasi ułani dopadli ich w Lublinie i dosłownie na ich ogonach wjechali do miasta. My maszerujemy powoli, jak na piechotę przystało, przez Radawiec, Teresin do Konopnicy. Po południu dotarliśmy do szosy Puławy—Lublin i znajdujemy się w odległości jakich 8 km od Lublina. Radość nam piersi rozpiera. Spodziewamy się wkroczenia do miasta, tak jak przed rokiem do Kielc. Tymczasem postój nasz się przedłuża, widocznie toczą się jakieś pertraktacje, a my tęsknym wzrokiem wciąż spoglądamy w kierunku Lublina. Tak dawno nie byliśmy w żadnym mieście! Dochodzą wieści, że ułanom Lublin sprawił kolosalną owację, Belina wpadł do Lublina na karkach kozackich, wyprzedzając kawalerię austriacką. Witano go jak zbawcę, jak nigdy dotąd. Te wszystkie wiadomości podniecają tylko naszą ciekawość. Chcemy Lublina, chcemy miasta, chcemy brać udział w owacjach, jakie Lublin ułanom wyprawił. Nigdyśmy chwili odmarszu nie czekali z takim bijącym sercem jak wtedy. A tu niespodzianka! Zamiast na wschód ruszamy na północ, by przez Uniszowice dojść do Dąbrowicy. Maszerujemy w kolumnie marszowej, a obok nas Austriacy rozwinięci w liniach tyralierskich! Mijamy Austriaków uśmiechając się z ich przezorności. Lecz w końcu i my zatrzymujemy się. Baon II wysuwa się na czoło i w sferze styku z nieprzyjacielem zajmuje pozycję. My po bitwie pod Babinem mamy — wolne. Pozostajemy w odwodzie pułku, cofamy się do wsi i rozkwaterowujemy na nocleg. Naszej kompanii przypadł w udziale nocleg w karczmie żydowskiej. Mamy więc znakomitą kolację, złożoną z kwaśnego mleka, jajecznicy i kiełbasy (pewnie koshernej), pocieszamy się, jak możemy, z powodu rozczarowania, jakie nas spotkało. Prawie jak na dłoni widzieliśmy gołym okiem koszary lubelskie, a przez lornetki widać było same miasto i — nic. Teraz to nawet nie wiadomo, czy kiedykolwiek będziemy w Lublinie, a tak chcieliśmy zobaczyć to miasto!

31 lipca rano — pobudka. Idziemy na pozycję, przecinamy szosę warszawsko-lubelską i zajmujemy jakąś pozycję na wzgórzu. Jesteśmy jednak w drugiej linii. Zatrzymano nas, bo nie my, lecz 3. p. p. ma otrzymać odcinek. Nasz komendant mjr Berbecki bezskutecznie walczy o odcinek dla naszego pułku. Nadciąga mjr Trojanowski ze swoim pułkiem, mija nas, a my musimy się cofnąć do lasu jako rezerwa Brygady. Bitwa toczy się na całym froncie. 4. p. p. przechodzi chrzest bojowy. Jak słyhać jednak ponosi dość duże straty. Świeży żołnierz nie umie się kryć, ani wyzyskiwać terenu, toteż płaci krwią za zdobywane doświadczenie. Pod wieczór mjr Berbecki podsuwa nas bliżej frontu. Do 1 linii mamy coś około 200 kroków. W tych warunkach to już znacznie przyjemniej w 1 linii! O spaniu nie ma mowy. Przez całą noc przenoszą obok nas zabitych i rannych, głównie 4. p. p.

Nazajutrz rano mamy już bliższe szczegóły o przebiegu bitwy. Poległ chor. Roman Bereski z 4. p. p. Ranni: por. Bończa-Uzdowski, chor. Krajewski, obaj z 4. p. p. Mają też straty 1. i 3. p. p. ale minimalne w porównaniu ze stratami 4. p. p., który mimo wszystko trzyma się dobrze. Moskale rozpaczliwie się bronią. Ogień karabinowy dochodzi do linii rezerw, toteż i my mamy kilku rannych. Przesunięto nas obecnie na tyły 4. p. p. Nasz Komendant pułku ma nadzieję, że któryś z batalionów 4. p. p. „nie zdzierży“ i my wówczas uzyskamy upragniony przezeń odcinek frontu. Wywołuje to pewne tarcie pomiędzy naszym komendantem i komendantem 4. p. p. ppłk. Roją, ale odcinka nie uzyskujemy. 4. p. p. trzymał się z honorem i nie pozwolił zmienić się na linii. Toteż 2 sierpnia spędzamy tuż za frontem, ale ciągle beczynnie i żadnego udziału nie bierzemy w bitwie, która później otrzymała miano bitwy pod Jastkowem.

3 sierpnia rano okazało się, że Moskale nie ma. Ruszamy więc w pościg z pułkiem naszym w straży przedniej. Nasz baon stanowi oddział przedni z kompanią naszą w szpicy. Posuwamy się przez świeżo zdobyty Jastków, Piotrowin w kierunku na Majdan Krasieniński. Po drodze spotykamy tabory chłopskie, wracające do swych siedzib. Radość ich na widok żołnierzy polskich nie ma granic. Samorzutnie dzielą się z naszymi żołnierzami, czym kto ma. Straszne rzeczy opowiadają o tym, co się dzieje z tysiącami ludności polskiej, pędzonej do Rosji na przymusową emigrację. Z całej duszy nienawidzą podpalaczy i rabusiów ich dobra. Teraz Moskale sami swoim postępowaniem dopomagają nam w agitacji, nie potrzebujemy już przekonywać ludności, czym są Moskale dla Polski.

Tymczasem jednak zbliżamy się do lasu. Rozwijamy się i plutonami w dwurzędach przechodzimy przez las. Na skraju lasu

luzujemy naszych ułanów, którzy weszli już w kontakt z nieprzyjacielem, a teraz po przekazaniu nam służby cofają się do tyłu.

Na wprost nas wieś — Majdan Krasieniński, który właśnie Moskale podpalają. Musimy im przeszkodzić w dziele zniszczenia. Wysyłamy przodem patrole i wkrótce podpalacze umykają, a nasze patrole zajmują wieś bez strat. Gorzej powiodło się 3. i 4. kompaniom naszego baonu. Obie mają stratę. Zwłaszcza 3. kompania w trakcie zajmowania wsi straciła dwóch oficerów. Poległ ppor. Roman Raczyński-Maxymowicz, młodszy brat por. Rokity, komendanta O. K. M. Nr 2, ranny został ppor. Jan Jagmin-Sadowski.

Po przepędzeniu Moskali ze wsi nie idziemy jednak dalej. Wracamy na lizjerę lasu i tu okopujemy się. Linia rosyjska — daleko, z drugiej strony wsi jak pod Babinem; toteż nie strzelamy wcale i oni nie strzelają. Korzystam z ciszy i zaglądam do 4. kompanii, aby pogwarzyć z ppor. Stanisławem Długoszem. Nie przypuszczałem wówczas, że będzie to ostatnia moja z nim rozmowa. Zastanawialiśmy się, czy to prawda, że Warszawa wzięta. Rozeszła się bowiem taka pogłoska pod Jastkowem, ale jakoś nie wierzymy jeszcze. Może tylko Niemcy się tak chwają, a przecież Warszawa to twierdza, a chyba Moskale tak bez walki jej nie oddadzą. Bronią jej zresztą dwie twierdze od północy i południa: Modlin i Dęblin, więc tak łatwo nie da się opanować. Oby jednak stało się to teraz w rocznicę naszego wymarszu. Rok walki, rok trudów i znojów nie poszedłby na marne. Moskale raz z Warszawy wypędzeni, choćby przez Niemców, nie mogą już do niej nigdy powrócić. Z Niemcami już łatwiej sobie damy radę, byle nastrój w kraju był taki jak w Lubelskim, to wszystkich zaborców kolejno przepędzimy. Spotykam też „kadrowców“, rozmawiałem z ppor. Bronisławem Haberem-Mansperlem i Stanisławem Jeleniewskim. Zdziwili się, że mnie widzą, bo u nich rozeszła się pogłoska, że zginąłem pod Majdanem. Dobra to wróżba, widocznie żyć będę!

Poranek 4 sierpnia zbudził nas wieścią, że Moskali nie ma. Maszerujemy teraz przez Majdan Krasieniński i Krasienin na Wólkę Krasienińską, depcząc im po prostu po piętach. Jeszcze przed pół godziną stali tu kozacy, a teraz my biwakujemy spokojnie by spożyć obiad, dobrze zasłużony.

Po południu maszerujemy dalej przez las obok leśniczówki Ordynacji Zamoyskich, a wyłoniwszy się z lasu już pod ogniem artyleryjskim zajmujemy pozycję na drodze Ożarów Lubelski — wieś Samokłęski. Baon II wysuwa się teraz przodem, my pozostajemy w drugiej linii jako rezerwa pułku.

Nazajutrz 5 sierpnia biwakujemy na dziedzińcu folwarku Ożarów. Jesteśmy ciągle pod ogniem artyleryjskim, mamy nawet kilku rannych. Zginął szer. Stanisławski z O. K. M. Nr 2, przed wieczorem nadchodzi znowu wiadomość o zdobyciu Warszawy i Dębina. Jakkolwiek tym razem była to wiadomość prawdziwa, nie robi to na nas takiego wrażenia jak pierwsza wiadomość tam pod Jastkowem. Nie wierzymy. Wszystkie komunikaty wojenne kłamią, ale Austriacy to mistrze w kłamstwie. Raz już nas nabrali, to drugi raz nie tak łatwo im uwierzymy. Może czeka nas jakaś ciężka przeprawa i ludzą nas, aby nam ducha dodać.

Właśnie w nocy mamy zmienić II baon. Podkradamy się cichaczem pod ich pozycje. Idziemy po wręcz nieprawdopodobnych wertepach na przełaj, obrzydliwe dwie wiorsty przez pola. Docieramy wreszcie do linii, ale w ciemności zmyliliśmy nieco drogę i w pewnym momencie znaleźliśmy się poza linią naszych nie połączonych ze sobą okopków. Dopiero por. Włodzimierz Konieczny, komendant 6. kompanii, zauważył nas i wskazał nam właściwą drogę. Wreszcie jesteśmy na miejscu, luzujemy obsadę przeznaczoną dla nas odcinka. Linia wściekle długa, obsada bardzo słaba, okopki, a raczej pojedyncze wkopy na jednego człowieka, nie pozwalają na żadną komunikację. Każdy okopek zamaskowaliśmy snopkiem żyta. Trzeba się jakoś urządzić. Zbudowałem sobie ze snopków coś w rodzaju namiotu, rozgościłem się w nowej chwilowej siedzibie, obszedłem swój odcinek. Wyznaczyłem ubezpieczenia, wysłałem patrole i orientuję się w sytuacji. Łączność fatalna, linia nasza nieregularna, w pewnym punkcie fatalnie wygięta. Ciemno, nie podobna się zorientować dokładnie w przebiegu naszej linii. Dopiero, gdy Moskałe podpalili stertę żyta w odległości jakichś 150 kroków od nas, oświetili nam całe przedpole. Fatalną noc miałem z 5 na 6 sierpnia. Następnego ranka, w pierwszą rocznicę wymarszu kadrówki z Krakowa, spędzam w okopach na vis-à-vis Kamionki. Komendant wydał do nas piękny rozkaz, datowany w Ożarowie. Aby uczcić ten dzień, wysyłam na zwiady patrol pod komendą Oстера-Michalskiego. Świetny ten patrolowiec podszedł na 50 kroków do placówki rosyjskiej, dokładnie zbadał jej położenie, przyniósł szkic i ciekawy meldunek rozpoznania pozycji nieprzyjacielskiej. Od południa jednak pogoda się zmieniła, deszcz zaczął padać. W końcu rozmył nam zupełnie okopki. Żołnierze pochowali się za snopki, powychodzili z jam. Obawiam się, że Moskałe mogą nas podejść. Aby więc obudzić czujność plutonu, wszcząłem fałszywy alarm. Zaczyna się wściekła strzelanina, Moskałe dotrzymują nam placu. A deszcz leje i leje. Sprzykrzyło się nam strzelanie. Trzeba kopać nowe okopki. Deszcz przestał padać wreszcie, pokazało się słońce, trzeba się ogrzać i wysuszyć. Strze-

lanina ustała. Od czasu do czasu pada tylko jakiś pojedynczy strzał. Że też ten „Pukajło“ rosyjski nie może się nigdy powstrzymać, aby spokoju nie mącić.

Wyszedłem z okopku. Podeszedłem do mego sąsiada ppor. Podolskiego. Przestrzega mnie, abym się jednak skrył, bo „Pukajło“ może mnie wziąć na cel. Ja mu jednak odpowiadam: „Złego diabli nie biorą, Długosza uśmiercili pod Konarami, a dotąd żyje, mnie uśmiercili pod Majdanem, to widać będę żył!“

W tym właśnie momencie nadchodzi po linii wiadomość: „Ppor. Długosz — ranny“. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Biegnę wzdłuż linii na lewe skrzydło na odcinek 4. kompanii. Zatrzymuje mnie jednak komendant tej kompanii ppor. Tunguz-Zawiślak i kategorycznie zabrania posuwania się dalej, bo Moskale coraz goręcej strzelają. Nadchodzi dalsza wiadomość od I plutonu 4. kompanii: „Ppor. Długosz nie żyje“. Nie dadzą mi go nawet zobaczyć, a już go nigdy więcej widzieć nie będę. Okazało się, że kiedy deszcz ustał żołnierze I plutonu 4. kompanii, chcąc się ogrzać i wysuszyć, zapalili na linii ognisko. Ppor. Długosz widząc to, obawiał się, że ognisko to będzie znaczyć naszą linię, zwłaszcza wobec zbliżającego się zmroku, polecił ognisko natychmiast zgasić. Kpr. Goldenberg-Burski nie wykonał rozkazu, ppor. Długosz wyskoczył więc ze swego okopku, chcąc go zmusić do posłuszeństwa i pobiegł do ogniska. Kiedy wracał do siebie, jakaś z błakana kula trafiła go prosto w serce. Żył jeszcze dwie minuty. I zginął jeden z najszlachetniejszych typów naszego pokolenia, jeden z najwspanialszych żołnierzy, jeden z najlepszych wśród ówczesnej młodzieży, jeden z tych, którzy nie powinni byli zginąć; bo byli Polsce potrzebni.

Po śmierci Herwina i Łuby, śmierć Tetery była trzecią z kolei, która mię głęboko obeszła. Przygnębiony byłem bardzo, bo odszedł człowiek jeden z najbliższych mi z ostatniego okresu życia legionowego, jeden z tych, z którymi prowadziło się „długie rodaków rozmowy“ o Polsce, o jej przyszłości i dalszych losach.

Nazajutrz rano wybrałem się do Samokłesk na pogrzeb śp. Stanisława Długosza. Wobec tego, że iść musiałem pod ogniem, spóźniłem się nieco, nie obliczywszy dokładnie czasu, który był mi potrzebny na przebycie z górą 2 km zapola. Na rozstaju dróg w Samokłeskach stała już cała 4. kompania. Był także komendant pułku mjr Berbecki z adjutantem ppor. Trapszo, było też grono oficerów z różnych batalionów, spośród przyjaciół, kolegów i bliższych znajomych śp. Długosza. Pogrzeb na froncie to krótka ceremonia. Przemówił Komendant pułku, żegnając towarzysza broni. W ciszy spuszczone do grobu trumnę poległego. A jednak pogrzeb ten na wszystkich wywarł głębokie wrażenie. Było coś

potężnego w tej skromności pogrzebu jednego z najdzielniejszych bojowników o wolność narodu!

Bezpośrednio po pogrzebie musiałem wracać na swój odcinek. W tym momencie jednak Moskale otworzyli wściekły ogień. Grają karabiny maszynowe, strzelają paczkami dokoła. Posuwam się więc z trudnością, wykorzystując chwilowe przerwy w intensywności ognia. Wyzyskuję nierówności terenu, co chwila padam w bródzy ścierniska. Ale kule padają dokoła, a ja muszę na przełaj przebyć otwarte pole, zanim dostanę się na bezpośrednio z naszą linią graniczący teren pokryty kopkami nie zebranego jeszcze żyta. Wreszcie docieram do naszych okopków i tu dowiaduję się, że ta wściekła strzelanina to osłona odwrotu Moskali, którzy cofają się gwałtownie z powodu przełamania ich frontu gdzieś na prawo od nas pod Lubartowem. Sekcyjny Oster-Michalski poszedł już z patrolem i wkrótce wraca przyprowadzając 7 jeńców. Inne plutony też „wyfasowały“ jeńców. Ogółem więc kompania wzięła coś 25. Podobno jednak 3. i 4. pułki nabrały ich jeszcze więcej. Moskale w popłochu, opuszczając w biały dzień pozycje, poddają się masowo. Z naszej pozycji widać gołym okiem w jakim popłochu cofają się ich tabory, tylko artyleria i drobne oddziały straży tylnych bronią się jeszcze. Ale patrole nasze wkroczyły już do miasteczka. Wreszcie otrzymujemy rozkaz i cała kompania, aby posuwać się naprzód. Zajmujemy rosyjskie okopy, ale prawie nie zatrzymując się posuwamy się dalej i wkraczamy już w szyku zwartym do Kamionki. Witają nas z entuzjazmem. Ksiądz wyszedł naprzeciwko i krzyżem nas błogosławi. Patrole wracają i meldują, że nie ma już nigdzie Moskali. Cała ludność wyległa na Rynek. Entuzjazm wśród ludności nie ma granic, nie spodziewali się bowiem wkroczenia polskich żołnierzy.

Ten miły nastrój zakłócił jednak pewien drobny incydent. Doskonały patrolowiec II plutonu, st. żołn. Klemczak, na patrolu dostał nagłego ataku szału. Biegał z karabinem gotowym do strzału i wówczas, gdy już nigdzie Moskali nie było, wrzeszczał jak opętany: „Sdajsia“. Jakiś Bogu ducha winien chłopiec stał przed swoją chałupą i przyglądał się Klemczakowi, nie rozumiejąc co się stało. Klemczak w swym zamroczeniu wpada na niego i krzyczy: „Sdajsia“. Chłopiec zamiast podnieść ręce do góry, usiłuje tłumaczyć Klemczakowi, że nie jest żołnierzem, a st. żołn. Klemczak nie zważając na nic bierze go na cel i wrzeszcząc wściekle: „Sdajsia“ — strzela, kładąc go trupem na miejscu.

Tymczasem na Rynku w Kamionce zbiera się cały 2. pułk I Brygady. Ustawiamy w kozły broń; chodzą pogłoski, że przechodzimy do rezerwy korpusu i nie będziemy brać bezpośredniego udziału w dalszym pościgu. Nagle nadchodzą nowe rozkazy.

3. p. p. ściga frontalnie cofającego się nieprzyjaciela, my mamy szybkim marszem oskrzydlić go z prawej flanki.

Ruszamy więc pośpiesznym marszem z naszą kompanią w straży przedniej. Idziemy przez las i docieramy do wsi Ciemne. Tu jeszcze przed paroma minutami byli kozacy, którzy pośpiesznie wycofali się w kierunku Stasina. Wobec tego kompania nasza bezpośrednio po przejściu wsi z kolumny marszowej rozwija się w linię tyralierską i już pod silnym ogniem karabinowym posuwa się w kierunku lasu Stasińskiego, skąd nieprzyjaciół ostrzeliwuje nas ogniem k. m.

Wobec intensywności ognia z lewej strony drogi, prawą stronę drogi posłano $\frac{1}{2}$ plutonu II pod komendą sierż. Rawicza-Działowskiego. Kompanią w zastępstwie chorego ppor. Polkowskiego dowodzi ppor. Wąsik. W oczekiwaniu na dywersję sierż. Rawicza kompania nasza rozwija się powoli w ataku frontowym na las. Ogień w miarę posuwania się naszego coraz bardziej rośnie i potężnieje. Nieprzyjaciela widzimy jak na dłoni, jak wycofuje się do lasu pod osłoną ognia swoich karabinów maszynowych, które z flanków tworzą jakby zaporę ogniową. Widząc to strzelamy paczkami intensywnie, celując w zupełnie widoczne cele. Niestety, nie mamy karabinów maszynowych, które gdzieś zostały w tyle. Między nami a lasem jest jakieś gniazdo straży tylnej, którego wytropić nie możemy, a które daje się nam we znaki. Aby zapobiec marnowaniu amunicji, której mamy mało, zatrzymuję linię swojego plutonu na linii kopek żyta celem zorientowania się w sytuacji i podania celów. Jak dotąd obeszło się bez większych strat. Mam tylko jednego rannego, powtórnie już, szer. Borowskiego. Pragnąc nawiązać łączność z sierż. Rawiczem wysyłam patrol boczny. Pada drugi ranny, szer. Rudowski. My znowu idziemy naprzód. Przeszkadza mi patrol przedni II plutonu, który zamiast wejść w linię, ciągle posuwa się naprzód o kilkadziesiąt kroków przed nami, co nie pozwala nam celować w widoczne cele. Dopiero zagrożeniem, że będę strzelać z tyłu, zmuszam ten patrol do zatrzymania się. Na lewo mam III pluton ppor. Podolskiego, na prawo II pod sierż. Rawiczem, idący ciągle nieco przodem. Aby więc linię wyrównać przemy naprzód, coraz słabiej ostrzeliwując się nieprzyjacielowi z powodu wyczerpania się amunicji. Mam znowu rannego — szer. Leśko. Wreszcie wyrównujemy linię z sierż. Rawiczem, który swoje zadanie wypłoszenia straży tylnych już spełnił, możemy więc przejść do ataku frontalnego, kiedy z obu skrzydeł otrzymuję meldunek o wyczerpaniu się amunicji. Posyłam do wsi meldunek z prośbą o amunicję, ale okazuje się, że wozy amunicyjne jeszcze nie nadciągnęły i nie mam skąd uzupełnić amunicji.

Na prawym skrzydle rozwija się teraz 4. kompania, sierż. Rawicz przesuwa się na nasz odcinek, dociąga do naszej linii ppor.

Wąsik, który wydaje polecenie okopania się do czasu uzupełnienia amunicji.

Teraz dopiero okopując się analizuję sytuację. Jakkolwiek bitwa, a raczej potyczka pod Ciemnem nie odegrała żadnej roli w dziejach Legionów, to dla mnie i dla mego plutonu była jedną z najkrwawszych i najcięższych. Po raz pierwszy od początku wojny rozwinąłem się wprost z kolumny marszowej i w zupełnie równym i otwartym terenie bez żadnych osłon, bez okopywania się parłem do ataku pod niesłychanie intensywnym ogniem karabinów maszynowych, zupełnie tak jak przewidywał nasz przedwojenny regulamin polowy, który nie znał wojny pozycyjnej. Pluton mój w walce tej zdał świetnie egzamin. Pod ogniem rozwinął się zupełnie jak na ćwiczeniach strzeleckich, posuwał się błyskawicznie wśród gęstego ognia nieprzyjacielskiego i, mimo strat, ani na chwilę nie zawahał się. Gdyby nie wyczerpanie amunicji niewątpliwie dotarłby do lasu, a może doszłoby nawet do walki wręcz, bo Moskale dzielnie się trzymali.

I ja wewnętrznie przed sobą zdałem egzamin. Gęsty ogień, w jaki się dostałem, i świadomość, że nie można się przed nim uchronić, nie zrobiła na mnie wrażenia. Widocznie już przywykłem do świstu kul. Ponieważ nigdy nie mogłem biegać, bo szybko się męczę, a szczególnie w tym dniu po forsownym marszu byłem przemęczony, więc regulując gwizdkiem posuwanie się i przebieganie żołnierzy, sam przechodziłem ze stanowiska na stanowisko wolnym krokiem. Za to dostałem wymyślanie od ppor. Wąsika, który z daleka obserwował moje posuwanie się. Jakkolwiek przedstawiłem mu, że dowódca powinien dawać przykład zimnej krwi, a tę zadokumentowałem swoim przechodzeniem pod ogniem ze stanowiska na stanowisko, to ppor. Wąsik uważał, że oficer ma obowiązek dbać o siebie, aby atak doprowadzić do końca i ja powinienem dać przykład krycia się i przebiegania. Atak ten prowadziłem właściwie sam, Komendant kompanii pozostał na skraju wsi. III pluton, który się rozwinął na lewo ode mnie, trafił na dobrą pozycję z kopkami żyta i pozostał w tyle. Toteż do ataku szedł tylko mój pluton z kilku lewoskrzydłowymi żołnierzami III plutonu i patrolem II plutonu pod sierż. Watałą. Gdyby nie brak amunicji atak byłby uwieńczony powodzeniem. Po zatrzymaniu się naszymi Moskałe przestali strzelać i zdaje się wycofali się ze Stasina. Tymczasem zmrok zapadł, a gdy nadciągnęły pozostałe kompanie naszego baonu, zajęliśmy Stasin bez wystrzału.

Tu zjedliśmy spóźniony obiad i nocnym marszem wyruszyliśmy przez Gołąb do Aleksandrówki na wyznaczony nam nocleg. Nadrobiliśmy około dwudziestu kilku kilometrów wściekłym nocnym marszem i po prostu zasypialiśmy w marszu ze znużenia.

Gdyśmy nareszcie zakwaterowali się w Aleksandrówce, ukazała się patrol 3. p. p., które atakować miały nieprzyjaciela od frontu.

8 sierpnia, rocznica naszego wymarszu z Krakowa, upłynęły nam cicho w Aleksandrówce. Nad wieczorem ruszyliśmy przez Rudno do Elżbiecina. Późną nocą dotarliśmy na miejsce. Stała tu już Komenda Brygady, ale nikogo nie widziałem, bo przemęczeniu nocnym marszem położyliśmy się w ubraniach i spaliśmy jak zabici.

Nazajutrz cały dzień spędzamy w Elżbiecinie czy Elżbietówce; bo z obu nazwami się spotykamy. Podobno kawaleria nasza szuka przejścia przez Wieprz. Mostu nie ma, więc trzeba przekroczyć go w bród. W czasie utarczek nad Wieprzem zginął ułan Stetkiewicz, młody chłopiec, który był w Kielcach w oddziale wywiadowczym. Był to młodszy brat mego kolegi, również Beliniaka, dra Stanisława Stetkiewicza.

Stojąc beczynn timer dzień cały spotkałem we wsi Kazimierza Wyszynskiego, który właśnie przyjechał z Lublina do Brygady. Nie widziałem go przeszło rok. Jako przywódca O. M. N. i wódz duchowy tego kierunku, musiał mieć dużo wiadomości, zwłaszcza że cały rok był po przeciwnej stronie frontu. Jakkolwiek różnił się w poglądach z Wyszynskim, zawsze lubiłem z nim rozmawiać. Toteż nagadaliśmy się w tym dniu do syta. Ja mu mówiłem o losach naszych wspólnych kolegów, którzy byli w Legionach, on mi przedstawił sytuację po drugiej stronie frontu. Jakkolwiek Lubelszczyzna była najlepiej usposobiona do Legionów, to jednak to, co mówił, nie było zbyt pocieszające. Społeczeństwo polskie w masie swej nie dorosło jeszcze do niepodległości. Ogromna większość społeczeństwa uległa wpływowi N. D., boć polityka bierności łatwiej odpowiadała psychice większości, niż polityka czynu. Może teraz po uwolnieniu Warszawy od Moskali nastrój się zmieni. Dużo jednak zależy od tego, jak zachowają się Niemcy i Austriacy. Jeżeli będą Królestwo traktować jak kraj zdobyty, to wywołają łatwo opór przeciwko sobie. Gdy Moskali wypędzimy, będziemy mogli może łatwiej popchnąć społeczeństwo przeciw Niemcom i Austriakom. Jeżeli natomiast okupanci dojdą do rozumu i ogłoszą swe zamiary w stosunku do Polski w razie zwycięskiej wojny, to może dadzą nam podstawę do budowy Piemontu polskiego, czy też nowego Księstwa Warszawskiego. W każdym razie wypędzenie Moskali z Warszawy i Królestwa powinno ułatwić nam sytuację. Na razie jednak praca na tyłach jest ciężka i niewdzięczna, toteż Kazik Wyszynski ma zamiar wstąpić do Beliny jako szeregowiec.

10 sierpnia po południu — zbiórka. Ruszamy dalej maszerując nad Wieprz, aby przeprowadzić się na Podlasie.

Będzie to już czwarta „gubernia“ Królestwa, którą wzdłuż przemierzamy naszymi stopami, maszerując wciąż naprzód do — Polski Niepodległej.

Przemierzaliśmy już z krańca w kraniec Kieleckie, Radomskie, Lubelskie, wkraczamy teraz na umęczoną ziemię Siedlecką, pamiętną prześladowaniami unitów, mękami młodzieży szkolnej w Białej i Siedlcach, pamiętną walkami Ks. Brzóska podczas ostatniego powstania.

Kiedyśmy stanęli nad Wieprzem, zastaliśmy już most pontonowy, zbudowany przez saperów austriackich, pod Łysobykami. Przejście nasze przez Wieprz filmował fotograf brygady artysta-malarz Gottlieb.

Okolo 7 wieczorem stanęliśmy już na ziemi Podlaskiej, tej ziemi mogił i krzyżów, którą w ciągu 9 dni mieliśmy przemierzyć jako rezerwa korpusu, aby dotrzeć do Bugu, granicy Królestwa Polskiego i historycznej Litwy, ściślejszej Ojczyzny naszego drogiego Komendanta.

PRZEZ ZIEMIĘ MOGIŁ I KRZYŻÓW

(Marsz za Bug, Wysokie Litewskie, Miniewiczze)

10 sierpnia przekroczyliśmy Wieprz i rozpoczęliśmy marsz przez umęczoną ziemię Siedlecką, jedyną w ciągu tego kilkomięsięcznego marszu przez Polskę, na której obeszło się bez krwi rozlewu.

Byliśmy w rezerwie korpusu. Odcinek frontu armii wskutek naszego marszu na północ skracał się ciągle i spychał nas coraz dalej w tył od 1. linii frontu.

Miasteczko Łysobyki, pierwsze na ziemi Siedleckiej, przedstawiało bardzo przykry widok. Przeważnie spalone i całkowicie ewakuowane wiało pustką i zniszczeniem. Nigdzie żywej duszy, jak ongiś w Tarłowie. Widocznie Moskale specjalny nacisk kładą na ewakuację miejscowości nadbrzeżnych, aby utrudnić przeprawy przez rzeki. Dopiero na krańcu przedmieścia zobaczyliśmy jakieś dwie baby-staruszki, szlochające na zgłiszczach swej chaty. Nie zatrzymując się w Łysobykach pomaszerowaliśmy dalej, aby za Przytoczmem wkroczyć na szosę radzyńsko-lubelską, skąd zboczyliśmy znowu na Kawęczyn, majątek ojca jednego z naszych kolegów krakowskich, rolnika i członka „Zjednoczenia“ Olędzkiego. Przechodził właśnie drogą, gdyśmy maszerowali przez Kawęczyn, ale mina z jaką nas mijał, świadczyła o tym, że przeżył ewolucję w ciągu ostatniego roku w kierunku N. D. i z dawnymi towarzyszami walki o niepodległość nie ma najwidoczniej nic wspólnego. Nie mijałby tak obojętnie maszerującej obok niego kolumny strzelców w dobrze znanych mu mundurach.

A my idziemy dalej przez Pieńki na Rudę, by na noc stanąć biwakiem w lesie pod Bronisławowem.

Nazajutrz rano dowiedzieliśmy się, że Moskale, którzy stawili opór nad rzeką Bystrzycą, dopływem Wieprza, cofnęli się pod naciskiem Austriaków, zdaje się przy udziale 4. p. p. Legionów. Toteż ruszyliśmy dalej, aby na postój południowy zatrzymać się na zgłiszczach Oszczepalina. Tutaj ułani nasi przywieźli Kozaka, wziętego przez nich do niewoli. Chłopcy nasi otoczyli go kołem

i straszili, że za te zgłiszczą będzie wisiał. On, biedak, tłumaczył się, jak mógł, że to tylko Czerkiesi i Dońcy palą wieś, a oni Kozacy Orenburscy nie mogą być za to odpowiedzialni. Ruszyliśmy dalej i przez Ciężkowolę dotarliśmy do Hermanowa i Stanisławowa, gdzie wyznaczono nam nocleg. W chwili gdyśmy zajmowali kwatery, Moskałe ostrzeliwali jeszcze wieś szrapnelami, ale widocznie byli już daleko, gdyż szrapnele przeważnie nie donosiły.

12 sierpnia spędziliśmy na postoju w Stanisławowie. Wykorzystując ten postój komendant naszej kompanii ppor. Kazimierz Polkowski pojechał do znajomych w okolicę. Był po drodze w Łukowie i przywiózł stamtąd wiadomość pocieszającą, że inteligencja i ziemianstwo podlaskie pała nienawiścią do Moskali z powodu całej serii gwałtów i podpaleń, które towarzyszyły odwrotowi Moskali. Może zbudzi się wreszcie sumienie w społeczeństwie Królestwa i natchnie je świadomością, że tylko własnym wysiłkiem i czynem zbrojnym zdobyć możemy niepodległość. Może jawne gwałty Moskali otworzą oczy społeczeństwa, że najprzód trzeba zwalczyć tego największego naszego wroga, a później nadarzy się sposobność porachowania się również z Niemcami i Austrią. Może wreszcie społeczeństwo zrozumie, że bierność jest tylko pospolitym tchórzostwem i pretekstem uchylenia się od walki czynnej z każdym wrogiem, a nie ma nic wspólnego z tą czy inną „orientacją“. Wieczorem wymaszerowaliśmy ze Stanisławowa i po przeprawie przez Bystrycę w Sobolach, która ponownie była sfilmowana, dobrnęliśmy o zmierzchu do wsi Kępki. Ludność ciągle jeszcze wyłącznie polska i katolicka, ale wyczuć już można wyraźnie bliskość ziem unickich. Nienawiść do Moskali coraz większa. Chłopi nie kryją się tu ze swymi sympatiami i wyraźnie darzą swymi uczuciami tych, którzy wypędzają stąd „kacapów“, a w stosunku do wojska polskiego odnoszą się wręcz z entuzjazmem.

Moskałe jakby zerwali już z metodą podpalań i zostawiania za sobą jedynie zgłiszcz. Pożary, które stale nam towarzyszyły podczas walk w Lubelskim, jakby ustały zupełnie. Wieś Kępki zupełnie nienaruszona. A może tylko nie zdążyli? Ludności też nie ewakuowano. Wszędzie dostać można mleka, masła, jaj, które chłopi chętnie nam odstępują. Nastroje ludności coraz lepsze, czujemy się wreszcie jak we własnym kraju.

Nazajutrz maszerujemy na Zakrzew-Jański przez las Kąkolowski i przeciąwszy linię kolejową Łuków—Lublin i szosę Radzyń—Biała dochodzimy do Żakowoli.

Wieś znowu niespalona. I znowu wszystkiego dostać można, co tylko wieś posiada. Zwłaszcza dużo tu pasiek, więc używamy na miodzie. Chłopcy tak się zapalili do wybierania miodu, że prawie cała kompania została pokąsana przez pszczoły. Po drodze ciągle

spotykamy wracających uciekinierów z Lubelskiego. Jak my — obozują w polu. Palą ogniska, pieką kartofle. Chłopcy zbliżają się do nich — śpiewają. A uchodźcy uczą się naszych piosenek i choć przygnębieni tułaczką, widząc beztroskę naszych żołnierzy przejmują od nich ich humor i wesele. Śpiewamy razem wokoło ognisk jakby na obozowisku gdzieś z roku 63.

14 sierpnia maszerujemy dalej przez Worsy do Szóstki. Pierwsza to wieś na terenie „wyodrębnionej” Chełmszczyzny. Pierwsza cerkiew widnieje swymi kopułami z daleka. Po drodze mnóstwo krzyżów, tak charakterystycznych dla ziem unickich. W chwili, gdy kolumna nasza wkracza do wsi, Moskale ostrzeliwują wieś granatami. Wreszcie udało im się jedną chałupę zapalić. Rzucamy się na ratunek, ogień gasimy i zajmujemy kwatery. Wieś jednak ciągle znajduje się pod ostrzałem. Wieczorem znowu wzniecono pożar, poza tym jednak obeszło się bez strat.

Nazajutrz zwołano zebranie oficerskie w Komendzie pułku na plebanii u popa. Zebranie jednak nie dochodzi do skutku z powodu rozkazu odmarszu. Maszerujemy do Żerocina. Jesteśmy już na dawnych ziemiach unickich, na terenie „Chełmszczyzny”. Moskale, traktując inaczej „iskoni-russkije” ziemie, palą już tylko dwory polskie. Wsie z reguły nie spalone, a i majątki nieopuszczone łatwo już uratować łapówką. Za to nastroje ludności coraz przychylniejsze dla nas.

W Żerocinie znowu zmiana na stanowisku komendanta kompanii. Wrócił ze szpitala, ranny pod Konarami, komendant 4. kompanii por. Wacław Styk-Stachiewicz. Wskutek tego por. Tunguz-Zawiślak ponownie obejmuje naszą kompanię, a ppor. Polkowski swój dawny I pluton, którym dowodziłem od blisko 3 miesięcy. Ciężko mi rozstać się z plutonem, z którym żyłem się już i przeszedłem tyle walk od Konar, ale taki już los wszystkich komendantów plutonów, nie mających nominacji Komendanta Piłsudskiego. W rozkazie baonu powiedziano, że czasowo mam zostać à suite przy kompanii, gdyż Komendant baonu ma mi powierzyć jakąś specjalną misję.

16 sierpnia przed wymarszem z Żerocina wezwano mnie do baonu. Kpt. Sław-Zwierzynski zawiadomił mnie, że wobec tego, że jesteśmy ciągle w rezerwie korpusu i maszerujemy na tyłach wojsk walczących, organizuje aparat oświatowo-werbunkowy i powierza mi kierownictwo tej akcji. W każdej kompanii będę miał do pomocy podoficera. Jesteśmy wszyscy zwolnieni od wszelkiej służby, zadaniem naszym będzie badanie nastrojów ludności, uświadamianie jej o naszej roli, zachęcanie do wstępowania do Legionów. Zadanie to nietrudne będzie, bo wszędzie ludność przyjmuje nas bardzo przychylnie. Dotąd interesowały mnie nastroje ludności

wyłącznie z osobistej ciekawości, teraz badać je mam z „urzędu“, mam chodzić po chałupach rozmawiać z ludnością, obserwować jak reaguje na ukazanie się wojska polskiego. Gdyby mi to zadanie powierzono w czasie walk w Lubelskim byłbym szczerze zgnębiony, teraz jednak kiedy walk nie ma, chętnie zabrałem się do nowych obowiązków.

Maszerujemy bocznymi drogami, z dala od szos i traktów, przecinamy tor kolei terespolskiej pomiędzy Międzyrzecem a Białą Podlaską, mijamy szosę brzeską i przez Sycynę dochodzimy do wsi Worgule.

Po drodze wsie „prawosławne“ są przymusowo ewakuowane, wsie „katolickie“ natomiast pozostawione w spokoju. W jednej ze wsi „prawosławnych“, a więc całkowicie opuszczonej przez mieszkańców, spotykam staruszka z siwą brodą. Siedzi samotnie przed chatą, patrzy na maszerujące kolumny i płacze... Podchodzę do niego i mówię, czy wie, że to wojsko polskie, i pytam czemu płacze. On chwytą mię za rękę, ściska serdecznie i mówi: „Stary już jestem panie, ale w mojej młodości starzy mówili, że przyjdzie wojsko polskie z gór i przyszło! Więc to wszystko prawda. I ja swoimi starymi oczami to widzę. Wszystkich zabrali, bo my z unitów. Mnie starego zostawili, abym to wszystko zobaczył“. Uściskałem staruszka i zapewniłem, że wojsko polskie na stałe tu przyjdzie, a „kacapy“ już nigdy nie wrócą. I — musiałem śpieszyć za kolumną.

W Worgulach wsi polskiej, a raczej zaścianku szlacheckim, witają nas wszyscy, jak umieją. Chłopów Moskale zabrali wszystkich prawie na wojnę. W chałupach przeważnie kobiety krzątają się, by wygodnie przyjąć żołnierzy polskich. W naszej chałupie krząta się stara kobieta — woła do córek: „A śpiesz się Zosia, Marysia, zamiast patrzeć bierz się do dojenia krów, przecież żołnierzom polskim trzeba dać mleka“. Tu nie chcą od nas żadnej zapłaty. „A gdzie byśmy od żołnierzy polskich brać mieli. Toć tyle lat my na tę chwilę czekali, prześladowania znosili, aż wyście przyszli i my byśmy od was pieniądze brali“. Ludność tu polska, szlachecka, honorowa.

Ja liczę się teraz przy komendzie baonu, ale za zezwoleniem Komendanta baonu kwatruję przy kompanii, z którą się nie chcę rozstawać.

17 sierpnia maszerujemy obok Komarna do całkowicie spalonego Konstantynowa. Miasto to powiatowe, ale nic w nim dostać nie można, więc wśród zgłiszcz nie szukamy nawet kwaterunku. Biwakujemy pod gołym niebem, nigdzie nie ma tu ani kawałka lasu, któryby nas zasłonił choćby konarami drzew. Z Krakowa nadeszły dla nas podarki z okazji rocznicy wymarszu 6 sierpnia.

Spóźniły się bardzo, ale za to przyszły w samą porę, kiedy istotnie bardzo się przydadzą, gdyż nic kupić nie można. Mamy wprawdzie kantynę pułkową, która jeździ stale do najbliższego miasta i przywozi nam różne potrzebne rzeczy. Ale właśnie pojechała do Siedlec, jakoś długo jej nie widać, i nie wiadomo, kiedy wróci. W kompanii 1. znowu zaszła zmiana; por. Tunguz odszedł do II baonu, a „naszą“ (ciągle ją naszą nazywam) objął świeżo przydzielony ppor. Józef Warski-Herburt. Jest to jeden z wybitniejszych drużyniaków krakowskich. Podobnie jednak jak Kordian-Kunc, powołany został do wojska austriackiego, a teraz po prostu „zwiął“ i „zadekował“ się w I Brygadzie. W wojsku austriackim był już oberleutenantem, a u nas dostał nominację na podporucznika. Ppor. Warski jest bardzo miły, doskonały kolega i wyrozumiały dowódca.

18 sierpnia maszerujemy dalej. Mielśmy tej nocy kwatrować w Peredy, gdyż ułani meldowali, że tam są wolne kwatery. Tymczasem gdyśmy wysłali kwatermistrzów okazało się, że żadnych wolnych kwater nie ma i wszystko jest zajęte przez Austriaków. Musimy maszerować dalej, ale ułanom tego nie darujemy i co który przejeżdża obok kolumny, cały czas słyszy przeciągły ryk: „Oddaj Peredyło“. Wreszcie zatrzymujemy się w jakiejś wsi, której nazwy nie zanotowałem. Chłopi jak wszędzie bardzo dobrze do nas usposobieni. Zresztą „prawosławnych“ Moskale zabrali, a ci co zostali to wyłącznie Polacy-katolicy.

19 sierpnia Moskale, którzy chwilowo oparli się na Bugu, niespodziewanie cofnęli się znowu. My jesteśmy ciągle w rezerwie i postępujemy za Austriakami, ale i oni zbyt nie wysilają się. Moskale cofają się, a oni posuwają się tylko za nimi, tym razem maszerujemy już prosto za Bug.

Wprost nie do uwierzenia — całe Królestwo już wolne! Nie ma już ani jednej stopy moskiewskiej na całym terenie Królestwa Kongresowego! Traktat wiedeński z 1815 roku leży w gruzach! Kwestia Polska przestała być nareszcie wewnętrzną sprawą cesarstwa rosyjskiego, stała się wreszcie kwestią międzynarodową. Francja i Anglia, jeśli mają dobrą wolę, mogą dziś postawić sprawę polską na porządku dziennym obrad przyszłej konferencji pokojowej.

Ale czy zechcą ją postawić, czy zechcą narazić się „białemu carowi“?

Takie myśli tłuką mi się po głowie w chwili, gdy około godz. 4 po południu kolumna nasza zatrzymuje się nad Bugiem, aby za chwilę po moście pontonowym austriackim przekroczyć granicę Królestwa.

Przy dźwiękach orkiestry austriackiej przekraczamy Bug, by znaleźć się w Niemirowie na ziemi Litwy historycznej. Nie zatrzymując się jednak w miasteczku maszerujemy bezpośrednio na kwatery, które nam wyznaczono we wsi Krynki pow. brzeskiego. Wieś to widocznie prawosławna, bo całkowicie wyludniona. Nie mam co tu robić, więc udaję się natychmiast do Niemirowa. Jest tu kościół katolicki i ludność polska i żydowska. Rosjan ani na lekarstwo. Nastrój ludności prawie ten sam, co na Podlasiu. Ludność ta, należąca do Rosji od półtora prawie wieku, nie marzy już nawet o Polsce, nie ma żadnego zrozumienia dla walki zbrojnej, ale Moskali nienawidzi tak samo, jak ich bracia zza Bugu.

20 sierpnia stoimy w Krynkach. Ja nie mam nic do roboty. Właściwie po przekroczeniu granicy Królestwa funkcja moja jest chyba skończona, bo kogoż tu teraz uświadamiać. Ale w baonie mamy całą prawie kompanię rekrutów-ochotników z Lubelszczyzny i Podlasia. Toteż komendant baonu poleca mi zabrać się do ćwiczenia rekrutów. Jako dawny oficer baonu uzupełniającego lepiej się do tej funkcji nadaję, niż inni. Chętnie się więc zabieram do tej pracy.

Poza tym zresztą nie ma co tu robić. A najgorsze jest to, że nic dostać nie można, a kantyny jak nie widać, tak nie widać. Tymczasem daje się we znaki brak żywności, a zwłaszcza tytoniu. Podobno nasze tabory gdzieś utknęły w drodze i dowóz jest bardzo ograniczony.

Po południu spotkałem we wsi mjra Tadeusza Wyrwę-Furgalskiego i por. Kordiana Ignacego-Zamorskiego, którzy świeżo wrócili do Brygady. Mjr Wyrwa ma pono objąć II baon, bo kpt. Ludwik przechodzi do Brygady na stanowisko oficera operacyjnego, na miejsce chorego kpt. Wicza. Por. Zamorski niestety nie może zostać w Brygadzie, bo mu polecono zorganizować etap I Brygady w Sandomierzu.

21 sierpnia Moskale znowu się cofnęli. Maszerujemy więc przez Zalesie i Zarzecze do Makarowa. Wsie wszędzie już nie spalone, ale za to całkowicie ewakuowane. Nic dostać nie podobna, a brak tytoniu daje się szczególnie we znaki. Kręcimy więc suszone liście i próbujemy palić je okręcając papierem gazetowym. Po odpoczynku południowym w Makarowie maszerujemy do wsi Kowaliki. Tu spotykamy wracających uchodźców, którzy aż tu zabrnęli z pod Warszawy. Mają bardzo kwaśne miny, nie mogą odżałować, że ulegli namowom Moskali i dobrowolnie poszli na tułaczkę, której mają dość. Opowiadają nieprawdopodobne rzeczy o niedoli uchodźców, pędzonych w głąb Rosji.

Z oddali widać ogrody Potockich w Wysokiem Litewskim. Komendant 3. kompanii por. Kostek-Aleksandrowicz wybrał się

do miasteczka, aby coś kupić, ale wrócił jak niepyszny, bo nie w mieście dostać nie mógł. A głód zaczyna na dobre nam dokuczać. Z powodu wydłużenia się linii etapowych tabory prowiantowe nie mogą nadążyć. Toteż żołnierze kopią w polu ziemniaki i buraki i próbują je gotować choćby bez soli.

22 sierpnia Brygada otrzymała odcinek na linii bojowej. Nasz pułk pozostaje jednak na razie w rezerwie. Podciągają nas jedynie do Wysokiego Litewskiego. Tutaj stoimy cały dzień na plebanii cerkwi prawosławnej. Szukam tytoniu w całym mieście — na próżno. Ludności pozostało tu bardzo niewiele. Polaków, prócz służby w majątku Potockich, bardzo mało. Ludność przeważnie żydowska, a i ta w większości uciekła z Moskalami. Na noc wracamy do wsi.

23 sierpnia wieczorem zmieniamy 1.p.p. na pozycji. Zajmujemy odcinek na wprost dworca kolejowego w Wysokiem. Z chwilą wejścia na linię moja sytuacja staje się fatalna. Nie mam plutonu, więc nie dowodzę, nie mam karabinu, więc nie strzelam, siedzę przy kompanii i, nie walcząc, jako widz muszę sterczeć pod ogniem bez żadnego celu. Przez całą noc trwała bezplanowa strzelanina, więc o zmrużeniu oka ani marzyć nie można.

Nazajutrz rano patrole stwierdziły ucieczkę Moskali. Ruszamy więc w pościg. Idziemy wzdłuż plantu kolejowego, a później skierowujemy się na szeroką kresową drogę polną, idącą w kierunku osady Raśna.

Jak wszystkie wsie w powiecie brzesko-litewskim, tak i te osiedla, które po drodze mijamy, wieją pustką. Nigdzie żywej duszy. Czujemy się jak na pustyni. Wrażenie potęgują szerokie piaszczyste drogi, na których nie spotyka się nawet śladu ludzkiej stopy, bo wojska posuwają się obok dróg. Z nieporządku w chałupach można wnioskować, w jakim popłochu je opuszczano. Wszędzie mnóstwo różnych przedmiotów domowego użytku wala się po izbach. Czasem spotykamy jakieś zabłąkane świny, czy owce, które natychmiast idą pod nóż naszych zgłodniałych żołnierzy. Czasem jakiś święty obrazek na ścianie zdradza polskie pochodzenie właściciela, ale trafia się to rzadko. Przeważnie ikony, ikony, ikony chłopów ruskich czy białoruskich. Cerkwie i plebanie prawosławne wszystkie z reguły opuszczone, jedyną cenną zdobyczą na plebaniach są świece, które przydają się nam wieczorami, bo kantyna z Siedlec nie wraca i obok braku tytoniu brak świec również daje się we znaki. Najwięcej jednak mamy wszędzie owoców i choć nas przestrzegają przed cholerą i czerwonką, żołnierze zjadają je całymi masami, boć trzeba coś jeść. Wszystkie kwatery są szczegółowo rewidowane, czy czegoś nie znajdzie się do jedzenia. Czasem znajdujemy „zakopane skarby”. Najczęściej.

w postaci pszenicy, mąki, soli, czasem słoniny, a nawet mięsa. Wówczas przyrządzamy sobie ucztę. Moi żołnierze z I plutonu nie zapominają o mnie, kiedy coś zdobędą.

W Raśnej stoimy kilka godzin. Po wsi kręci się jakieś indywiduum, które mjr Berbecki każe aresztować. Pewnie — szpieg, bo nie może wytłumaczyć się, co tu robi. Rekrutów lubelsko-podlaskich podzielono na kompanie, ale na postoju wydziela się ich w osobne jednostki i mój aparat werbunkowo-oświatowy ćwiczy je. Po południu — odmarsz. Idziemy w kierunku wsi Miniewicze. Maszerujemy w kolumnie czwórkowej. Nagle z prawego skrzydła padają strzały. Właśnie Sztab Brygady konno mija naszą kolumnę. Widocznie wojska, które miały zająć prawoskrzydłowy odcinek — spóźniły się. Tuż koło mnie pada koń jednego z ułanów. Kilku żołnierzy rannych, a między nimi jeden z rekrutów lubelskich: jeszcze nie wie, jak się obchodzić z karabinem, i już — ranny.

Momentalnie — rozwijamy się. Kompanie 1. i 2. zajmują pozycje, a 3. i 4. pozostają w rezerwie. Ja z moimi rekrutami pozostaję również. Ćwiczyć nie podobna, bo znajdujemy się pod ogniem karabinowym. Stoimy więc w rezerwie, kryjąc gdzie się da. Nadchodzą wiadomości o poddaniu się Brześcia Litewskiego. Wszystko to pięknie, ale głód gnębi nas w dalszym ciągu, a tytoniu jak nie ma, tak nie ma. Na szczęście spotkałem mjr Wyrwę, który częstuje mię (o delicje)! prawdziwym „Damesem“. Rozkładał jego wypalenie na trzy raty. Pod wieczór strzelanina się zmniejsza, a i kantyna nareszcie nadjeżdża. Łapczywie rozkupujemy wszystko, co przywiozła, a zwłaszcza papierosy mają nieprawdopodobne powodzenie.

25 sierpnia, po jednodniowym oporze, nieprzyjaciel znowu się cofnął. Czy Moskale mają zamiar cofać się do Moskwy? Tak jednak przyzwyczailiśmy się do cofania Moskali, że dziwnym by było, gdyby się nie cofnęli. Oni już chyba tylko cofać się umieją. Nie mogę zrozumieć, że żołnierz, który od czterech miesięcy nic innego nie robi, tylko ciągle się cofa, zdolny jest jeszcze do jakiegokolwiek oporu. Austriacy już nawet ich nie ścigają, bo i po co. My znowu przechodzimy do rezerwy, tym razem do rezerwy dywizji. Te ciągle teraz „rezerwy“ wcale nas nie martwią, bo od przekroczenia Bugu, gdy całe Królestwo już jest wolne, nie idziemy już tak chętnie w bój, bo i po co. Jedynie jeszcze Wilno mogłoby być bodźcem do dalszej walki. Ale jeżeli nie wkroczyliśmy do Warszawy, ominęliśmy nawet Lublin, to nie ma co liczyć na to, aby „sprzymierzeńcy“ wpuścili nas do Wilna. Zresztą kierunek północno-wschodni wyraźnie zmieniono nam na wschodni, a więc

w najlepszym razie wkroczymy do puszczy Białowieskiej, ale i to nas chyba ominie, bo kierują nas jakby na południowy jej skraj.

Tymczasem zbliżamy się do wsi Moszczały i tam spędzamy noc na biwaku pod gołym niebem. Zimno i niewygodnie, a w dodatku zginął mi koc na wozie taborowym i marznę nieprawdopodobnie. Brrr!

26 sierpnia maszerujemy przez Moszczały, Wojsko do Rubianki. Wszystkie te miejscowości opróżnione, jakby wymarłe. Z Rubianki mamy już tylko 5 wiorst do Kamieńca Litewskiego. Myśleliśmy, że tu na rz. Leśnej oprą się Moskale, tymczasem dochodzą wiadomości, że Prusacy są już o 17 km na wschód od Kamieńca i Moskali dogonić nie mogą. Co jak co, ale charakter w nogach Moskaliki mają, nie można im tego odmówić. Z Rubianki kilku kolegów wybrało się do Kamieńca. Wypytyuję ich, co tam można dostać, ale okazuje się, że podobnie jak w Wysokiem nic kompletnie nie ma. A z dowozem są ciągle trudności i głód nam już przeszło od tygodnia dokucza. Nad wieczorem wybrałem się na spacer z ppor. Podolskim, weszliśmy na wzgórze, skąd można widzieć panoramę Kamieńca i śliczny krajobraz okolic puszczy Białowieskiej.

27 sierpnia spędzamy w Rubiance. W Komendzie baonu odbyła się odprawa komendantów kompanii celem ustalenia kandydatów do awansu. Zwykle po zakończeniu kampanii przychodzą awanse i nominacje Komendanta. Teraz znowu się ich spodziewamy. Por. Warski, jako komendant 1. kompanii, podał mnie do awansu na ppor., a kpt. Sław akceptował moją kandydaturę, przypuszczam więc, że przy najbliższych awansach otrzymam wreszcie nominację Komendanta Piłsudskiego. Byle bym nie był ranny, ani nie zachorował w międzyczasie; to nominację otrzymam. Ale gdyby mi się jakieś nieszczęście przytrafiło, to cały dorobek kampanii tegorocznej pójdzie w zapomnienie, bo nikogo z będących na tyłach w I Brygadzie nie awansują. Nie tyle mi chodzi zresztą o awans, ile o zmiecie ze mnie piętna „oficera austriackiego“, mianowanego przez c. k. komendę, co nastąpi automatycznie z chwilą mianowania mnie przez Komendanta Józefa Piłsudskiego.

Poza tym stoimy bezczynnie w Rubiance. Chodzimy z kąta w kąt, bo nic nie ma do roboty. Moja funkcja się skończyła, rekrutów poprzydzielano do kompanii. Ludności prawie nie ma, a nawet Polacy tutejsi nie mają świadomości przynależności do Polski, za którą tu „na Litwie“ uważają Królestwo za Bugiem. W tych warunkach nie można liczyć na jakikolwiek przypływ rekruta z tych okolic. Nie mam więc nic do roboty, zresztą nie mają roboty i komendanci plutonów.

Chodzimy po wsi, spotykamy znajomych, wspominamy mionione walki.

W tych wędrówkach natchnąłem się na kpt. Władysława Rożena. Nie znałem go dawniej, choć to stary bojowiec P. P. S. i stary związkowiec lwowski, który lubi ciekawie opowiadać różne przygody z dawnych czasów. Miło spędzam czas na kwaterze kpt. Rożena w gronie artylerzystów, zwłaszcza, że mają świeżo upieczony chleb „we własnym zakresie“, a chleba już dawno nie „fasowaliśmy“. Artylerzyści są w lepszej od nas sytuacji, a że są gościnni, więc niejeden piechur mógł się u nich pożywić.

Zajrzałem również do O. K. M. Nr 2, gdzie służył brat mój Mieczysław, który właśnie wrócił z Sandomierza, dokąd jeździł po karabiny maszynowe. I tu mnie częstują, bo „karabiniarze“ też zawsze coś mają do zjedzenia, tylko piechota liniowa, ze wszystkich rodzajów broni najbiedniejsza, nie ma żadnych zapasów, skazana jedynie na „fasunek“.

Oddziały samodzielne pod względem gospodarczym, jak baterie artylerii i oddziały k. m. zawsze są w lepszej sytuacji. Gospodarka batalionowa w piechocie uniemożliwiała wszelką samodzielność, czy samowystarczalność kompanii piechoty, a w ciężkich chwilach, jak obecne, głód dotkliwie dawał się we znaki. Szczególnie brak było chleba. Gdy dawniej każdy żołnierz dostawał po $\frac{1}{2}$ bochenka ($\frac{1}{2}$ kg), to od czasu przejścia Bugu otrzymujemy po bochenku na pięciu żołnierzy (200 gr) i to nie zawsze na wszystkich starczy. Dlatego to żywimy się surowymi owocami, jarzynami, o ile są na miejscu. W tym „samowyżywieniu się“ idealną organizacją była tzw. „sitwa“ czyli spółka dwu lub więcej żołnierzy, którzy wspólnie żywią się, gotują, dzieląc wszystko po równu pomiędzy siebie.

WO. K. M. Nr 2 jest zawsze bardzo miło. Zarówno por. Rokita, jak ppor. Wroński i sierż. Beres są bardzo gościnni i bratu memu jest dobrze w tym towarzystwie. Jest on zresztą w podobnej sytuacji jak ja. Nie ma wprowadzić nominacji austriackiej, ale mianowany ppor. w czasie tzw. organizacji wojska polskiego w Zagłębiu Dąbrowskim przez Ob. Ryszarda Trojanowskiego, które to nominacje nie zostały uznane w Brygadzie, pełni funkcje pośrednie pomiędzy oficerem a sierżantem. Teraz przywiózł dwa k. m., z których ma być utworzony O. K. M. Nr 4, który podobno obejmie ppor. Wroński, wówczas stworzy się wakans oficerski i mjr Berbecki obiecuje bratu nominację na ppor. Tymczasem „obja się“ w k. m. bez określonej funkcji i znowu ma jechać po jakiś karabin maszynowy. W czasie mojej wizyty w O. K. M. nadchodzą wiadomości, że mamy być wycofani z frontu. Podobno odchodzi cała armia Arcyksięcia, mówią, że idziemy do Galicji

nad Złotą Lipę, gdzie rzekomo ma nastąpić złączenie wszystkich brygad. Oczywiście ma to nastąpić kosztem wstrzymania werbunku w Królestwie do „Galicyjnych Legionów“. Skąd te wieści się rozchodzą, trudno dociec, w każdym razie coś tam musi c. k. Komendzie zależeć na tym, aby nas zabrać do Galicji. Pono Austria chce całe Królestwo oddać Prusakom, a wszystkie swe wojska wraz z Legionami skoncentrować w Galicji. Gen. Mackenzen ma już być w Lublinie.

Czyżby wszystkie wrogi nam czynniki sprzysięgły się przeciw nam? Moskale i moskalofile ze zrozumiałych względów chcą nie dopuścić do powstania wojska polskiego w Królestwie, Prusacy i Austriacy popierani przez austrofilów c. k. Komendy wraz z przyległościami też chcieliby w nas widzieć wyłącznie „galicyjskie Legiony“ bez udziału Królewian. A społeczeństwo Królestwa jakby nie widziało tej zgodnej współpracy wszystkich zaborców, oraz moskalo — i austrofilów w zwalczaniu samodzielnego wysiłku zbrojnego Polski przyszłości, w zwalczaniu tworzących się kadr przyszłego wojska polskiego.

Kiedyż wreszcie spadnie bielmo z oczu społeczeństwa?

W ODWROCIE Z LITWY

28 sierpnia rozpoczęliśmy odwrót „z Litwy“. Po raz pierwszy od 11 maja, kiedy Brygada ruszyła z nad Nidy i w ciągu blisko 4 miesięcy parła bez przerwy za Wisłę, Wieprz i Bug, aż zatrzymała się u „bram“ puszczy Białowieskiej, po raz pierwszy jesteśmy w odwrocie. Wprawdzie nie pod naciskiem nieprzyjaciela, który umyka dalej, lecz na rozkaz wyższych komend naszych „sprzymierzeńców“ mamy się cofać. Dokąd idziemy — na razie nikt nie wie. Maszerujemy z powrotem przez Wojsko, a później skręcamy nieco na południowy-zachód i przez Minkowicze i Morozowicze docieramy do st. Łyszczycy, leżącej o 18 km na pld. od Wysokiego Litewskiego przy linii kolejowej Brześć — Grajewo. Po drodze na jednym z folwarków, należących do klucza Potockich, widzimy nareszcie... ludność cywilną. To służba folwarczna, wyłącznie Polacy, którzy nie odeszli z Moskalami. Oaza ludzka wśród pustyni bezludnej. W Łyszczycach posilamy się owocami, których tu mnóstwo, i przenocowawszy na folwarku maszerujemy dalej.

29 sierpnia około 3 po południu po 10 dniowym pobycie „na Litwie“ ujrzelśmy znowu powolnie płynące wody Bugu, aby po krótkim postoju nad rzeką, w oczekiwaniu na przeprawę, przedostać się na drugi brzeg i znów znaleźć się na kochanym Podlasiu.

Komendant baonu wraz z komendantami kompanii pojechali konno do Brześcia, aby obejrzeć fortyfikacje twierdzy po jej zdobyciu. Sierżanci prowiantowi z naszym sierż. Władysławem Ordinem-Cichockim na czele pojechali również wozami, aby coś w Brześciu zakupić dla kompanii. Wrócili jednak z niczym, bo miasto, spalone gruntownie i całkowicie ewakuowane, stanowiło tylko kupę gruzów i zgłiszcz, wiejących pustką.

My natychmiast maszerujemy dalej poprzez wsie, również całkowicie spalone i wyludnione w promieniu kilkunastu kilometrów w obrębie fortyfikacyj Brześcia. Wiemy już, że maszerujemy na Wołyń i czeka nas kilkanaście dni uciążliwych marszów. Zdajemy sobie jednak sprawę, że tym razem będzie to krajoznawcza wycieczka, gdyż po tej stronie Bugu nie ma już Moskali ani na lekarstwo. Po przejściu szlaku Kraków — Kamieniec Litewski w marszach bojo-

wych i walkach nowowytknięty szlak| Kamieniec—Kowel, był tylko turystycznym wyczynem.

Toteż pierwszego zaraz dnia tej wycieczki, 30 sierpnia, zwiedziliśmy sobie ruiny fortu Koroszczyn. Ponury widok przedstawiały ruiny folwarku, położonego tuż koło fortu, natomiast same fortyfikacje pomimo śladów bombardowania nie były wcale zniszczone. Groźnie wyglądały fosy forteczne całkowicie wypełnione wielorzędowymi zasiekami z drutów kolczastych. Liczne strzelnice, rowy cementowe, schrony betonowe, wysunięte reduty nienaruszone świadczyły o tym, że obrońcy twierdzy mogli jeszcze wytrzymać wielotygodniowe oblężenie, a widać, że uciekli w popłochu. Świadczyły o tym liczne ciała poległych żołnierzy rosyjskich, nie pochowane, w stanie niezupełnego jeszcze rozkładu, świadczyły o tym walące się sprzęty i przedmioty, należące do wyekwipowania załogi, w popłochu porzucone. Wszystko to było niezbyt pochlebnyim świadectwem męstwa obrońców, którzy mogli jeszcze bronić potężnej twierdzy, a opuścili ją bez wielkiego nacisku ze strony nieprzyjaciela, na skutek upadku ducha jeśli nie bezpośrednich obrońców, to w każdym razie dowództwa, które moralnie nie wytrzymało natarcia.

Minąwszy Koroszczyn pozostawiliśmy na lewo miasto i stację Terespol i ponownie przeciąwszy linię kolei warszawsko-brzeskiej bocznymi drogami i lasami dotarliśmy po południu do lasu pod wsią Kątami, gdzie rozłożyliśmy się na biwaku leśnym.

Tutaj czekała nas miła niespodzianka i uroczystość dawno oczekiwana w Brygadzie. Po raz pierwszy miałem zobaczyć entuzjazm i szczere uniesienie radości, jakie opanowało całą Brygadę. Na ogół żołnierz I Brygady nie był skory do wzruszeń, czy uniesień. Wszystko brał na wesoło z pewnym cynizmem, kpił z siebie i z innych, śmiał się z byle czego, nie lubił uzewnętrzniać swych prawdziwych uczuć, a głęboką ideowość pokrywał zawsze żartem, humorem, drwinami, byle nie ujawnić prawdziwego oblicza nawet wtedy, kiedy szczerze był wzruszony. Żołnierz I Brygady nie lubił nigdy okazywać, co go bolało, czy cieszyło. A tu nagle jakaś zupełna przemiana opanowała całą Brygadę. Na pierwszą wiadomość, że w okolicy ukazał się patrol konny „Batalionu Warszawskiego“, coś jakby zmieniło oblicze całej Brygady. Widocznie to magiczne słowo „Warszawa“ tak podziało na wszystkich, że zgryźliwy, cyniczny, złośliwy, czasem dokuczliwy nawet „dłubinosek“ wylegał masowo na drogę w jakimś dziwnym skupieniu, poważnie, dostojnie i cicho, czekał cierpliwie, kiedy nadejdą „Warszawiacy“. Od godz. 5 po południu na drodze w zwartej masie stał tłum żołnierzy i — czekał. Cekał cierpliwie, wytrwale, denerwował się, czemu nie idą, robił różne przypuszczenia, ale nie kpił, nie żartował, nie drwił z tych

„rekrutów warszawskich“, którzy jeszcze prochu nie wachali. A w tłumie było wielu takich, którzy nawet nigdy Warszawy nie widzieli, ale dziś pragnął każdy pierwszy ujrzeć warszawiaków, powitać tych, którzy przez rok cały ćwiczyli się tajnie w Polskiej Organizacji Wojskowej, by dziś wreszcie połączyć się z tą wyśnioną dla nich, opromienioną sławą tyłu bitew, bohaterską I Brygadą.

Zaczęło się zmierzchać, ale batalion nie nadciągał. Deszcz drobny, jesienny począł padać, pojedynczy żołnierze zaczęli chronić się do namiotów, ale cały tłum w swej masie trwał i czekał cierpliwie. Minął czas kolacji, a wielu wyrzekło się nawet posiłku, byle nie stracić chwili, byle nie uronić momentu pierwszej chwili, powitania nowych towarzyszków broni. I olbrzymia większość wytrwała do końca. Około 10 wieczorem długie, doniosłe, przeciągłe, niemilknące „Hurra“ zwiastowało nadejście batalionu. Ktoś samorzutnie zaintonował „Warszawiankę“ i długo brzmiały po lesie słowa pieśni:

„Hej kto Polak na bagnety
„Żyj swobodo, Polsko żyj!
„Naszym hasłem cnej podniety,
„Trąbo nasza wrogom grzmij!

Okrzykom i wiwatom nie było końca. „Niech nam żyją!“ wołali najwięksi cynicy w Brygadzie, którzy zawsze z pogardą witali „rekruckie ucha“, przybywające z tyłów do Brygady. Tym razem była wyjątkowa sytuacja. Przybywali P.O.W-iacy, opromienieni aureolą walki konspiracyjnej, świetnymi czynami „oddziałów lotnych“, którzy dotąd nie mogli dostać się poprzez podwójne linie okopów do Brygady. Toteż nie z pogardą, lecz z podziwem witała Brygada P.O.W.-iaków, a każdy chciał na własne oczy ujrzeć tych, którzy przybywali z dalekiej, a przecież ukochanej, wymarzonej stolicy, której nam nie dano oglądać.

Królewiacy szukali ponadto swych krewnych, kolegów, znajomych, powitaniom nie było końca. Toteż znacznie później niż zwykle Brygada poszła spać w tym dniu uroczystym.

31 sierpnia rano ruszyliśmy dalej z baonem warszawskim na czele. Deszcz pada dalej, pogoda fatalna, drogi rozmokłe, toteż posuwamy się powoli w kierunku Bugu. Po drodze spotykamy długie kolumny wozów powracających uchodźców aż zza Kobrynia. Widzimy wynędzniałe twarze tych ofiar barbarzyństwa moskiewskiego, ustępujące nam lękliwie i nieufnie z drogi w obawie, czy ich nowe ciosy z naszej strony nie spotkają. Ja wchodzę ponownie w swą rolę i usiłuję nawiązać z nimi kontakt. Przychodzi mi to jednak z trudnością, bo są to chłopci „prawosławni“ z Chełmszczyzny i równie nieufnie ustosunkowują się do „naszych“ i „waszych Mo-

skali". Przed wieczorem ujrzelismy w oddali zbombardowane wieże kościoła i nietknięte błyszczące kopuły cerkwi w Sławatyczach. Miasteczko naturalnie spalone, a mieszkańcy Polacy i Żydzi wynędzniali i głodni mieszczą się w kilku ocalonych chałupkach. Nie ma co marzyć o kwaterach! Pułk nasz rozłożył się biwakiem na łące nad Bugiem w sąsiedztwie jakiejś niemieckiej kompanii pionierów, świetnie wyekwipowanej w wielkie luksusowe namioty, przedmiot naszej zazdrości. 1 września raniutko opuszczamy Sławatycze. Przodem maszeruje 4. p. p. i Komenda Legionów, za nimi nasz pułk z baonem naszym na czele. Mamy w baonie teraz pięć kompanii, bo baon warszawski por. Romana Barskiego (Tadeusza Żulińskiego) został podzielony w ten sposób, że z 4. kompanii tego baonu sformowano 3., przydzielając je po jednej do każdego pułku I Brygady. Deszcz ustał i przy możliwie dobrej pogodzie maszerujemy przez Hannę do Dołhobrodów. Tutaj znowu jak ongiś w Iwanowicach wita nas oddział chłopców wiejskich, sformowany w dwurzędzie, który wyszedł na nasze spotkanie. Kpt. Sław po krótkiej z nimi rozmowie, dowiedziawszy się że są to członkowie miejscowej organizacji niepodległościowej, za pośrednictwem adiutanta Trapszy poleca mi zatrzymać się w Dołhobrodach, zabrać ze sobą ochotników i na wieczór przybyć do Włodawy.

Zatrzymuję się więc i zapoznawszy się z nowymi „obywatelami” czekam na przejście kolumny, objaśniając ich jakie oddziały widzą przed sobą. Kiedy minęła nas kolumna, idę z moimi nowymi znajomymi do wsi na wpół spalonej. Po drodze dowiaduję się, że jest to wieś rodzinna b. pośła do Dumi, Błyskosza. Informuję się, że można będzie zrobić tu zebranie informacyjne o Legionach, po czym ze 20 chłopców chętnie zapewne wstąpi do Legionów. Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że zebranie odbyć będzie można w ustronnym chutorze nad Bugiem, gdzie nieliczni pozostali we wsi „Moskale” nie będą widzieli, co się dzieje.

Przez łąki w towarzystwie 3 chłopców dostaję się do owego chutoru zamożnego zresztą, jak się zdaje, włościanina, który ma dwóch synów. Starszy z nich, urlopowany żołnierz rosyjski, pozostały za frontem, wydaje się być przywódcą tutejszej młodzieży, gdyż wszyscy liczą się z jego zdaniem i czekają co powie. Jednakże z pierwszych słów jego widzę, że trudno będzie dojść z nim do porozumienia. Liczyłem, że on właśnie poprowadzi swych chłopców do Brygady, tymczasem widzę, że nic z tego nie będzie. Mówi, że jest chory i nie może pójść na linię, a jako żołnierz rosyjski obawia się o los rodziny, w razie gdyby Moskale wrócili. Typowe ociąganie się inteligenta, zdziwiło mię w ustach chłopca. Dowiaduję się jednak, że jest to b. uczeń gimnazjum Wojciecha Górskiego w Warszawie, że ma wielu kolegów w Legionach, a mimo to wyraźnie nie

ma ochoty angażować się. Stanowisko jego jako przywódcy tu-tejszej młodzieży może zawazyć na losach całej imprezy. Próbuje go przekonywać, lecz widzę, że wszelkie moje wysiłki idą na marne. Jako członek organizacji niepodległościowej nie chce wyrazić odmowy spełnienia obowiązku, lecz wyszukuje trudności, aby tylko nie powziąć decyzji za siebie i swych współtowarzyszy. Widząc że nic nie wskóram, postanawiam odwołać się do patriotyzmu b. posła Błyskosza, członka niepodległościowego Narodowego Związku Chłopskiego. Tymczasem chłopcy rozeszli się po wsi, aby zebrać swych rówieśników na zebranie. W oczekiwaniu na ich nadejście rozmawiam z gospodarzami, gościnnie podejmowany przez nich grochówką, chlebem z wędzonką i owocami. Wreszcie nadszedł poseł Błyskosz.

Rozmowa z nim niewiele jednak poprawiła sytuację. Proponuję mi, abym poinformował o sytuacji w Legionach nie tylko Dolhobrody, ale i wsie okoliczne, wtedy bez wątpienia mógłbym zebrać ze 100 chłopców z okolicy i gromadę poprowadzić do Brygady. Widzę z tego, że niewiele wskóram wobec typowej chłopskiej nieufności i niezdecydowania. Czuję, że choćbym nawet kilka dni zabawił, nic z tego nie będzie, bo wszędzie jedni będą się oglądać na drugich, a nie ma tego, któryby się pierwszy zdecydował. A ja muszę jeszcze dziś wracać do Brygady, więc trzeba kończyć tę sprawę. Chcąc wyczerpać wszystkie środki i argumenty czekam na zebranie się chłopców, tymczasem Błyskosz się żegna, bo ma gości w domu. Zostaję więc sam i w oczekiwaniu na zebranie się młodzieży, do której mam przemówić, obserwuję życie tych „iskoni russkich“ mieszkańców Chełmszczyzny. Opowiadają mi o stosunkach tutejszych z Moskalami i Rusinami, o prześladowaniach unitów, o działalności posła Błyskosza wśród miejscowych włościan. Młodzi wysławiają się bardzo poprawnie po polsku, gdyż wszyscy niemal kończyli szkoły. Na ogół okolica to zamożna, więc dużo chłopców kształci się nawet w Warszawie w szkołach polskich. Pod wpływem dzieci i rodzice dość poprawnie się wyrażają, jedynie trzecie pokolenie wstecz mówi po rusku. Gospodarz tłumaczy mi, że babka rozumie po polsku, ale stara, a starzy mówią tu po rusku, drugie pokolenie pod wpływem prześladowań moskiewskich mówi już wyłącznie po polsku. Nie ma więc tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ucisk religijny przyspieszył naturalny proces asymilacyjny w tych okolicach. Rusyfikacja i przymusowe nawracanie na prawosławie dawały skutek odwrotny — polonizację prześladowanych unitów — Rusinów, a po r. 1905 przejście ich na katolicyzm obrządku łacińskiego.

Tymczasem czas uciekał, a zapowiedziani goście nie nadchodzili. Jedni poszli gdzieś do lasu, inni poszli na szosę przypatrywać się ruchom taborów naszych i „sprzymierzonych“ dość, że ich

zebrać nie było podobna. Dopóki była to robota teoretyczna chętnie garnęli się do ruchu niepodległościowego, gdy jednak trzeba się było zdecydować i pójść w pole, wtedy decyzji zabrakło. Wszyscy wiedzieli, że czekam na nich, wiedzieli, że trzeba będzie odpowiedzieć tak lub nie, i woleli uniknąć decyzji. Po prostu nie przyszli. W dodatku dowiaduję się, że w całej wsi nie ma koni, bo wszystkie zarekwirowane na podwody, więc będę musiał piechotą gonić Brygadę. Aby zejść do Włodawy przed nocą, muszę już się zbierać. Okazało się jednak, że ów gość, który zatrzymał się u posła Błyskosza, to kolega mój uniwersytecki, Ignacy Radlicki, dziś żołnierz 1.p.p. Mam więc towarzysza, z którym razem wybieram się w drogę, odprowadzony daleko za wieś przez posła Błyskosza i dwóch „nie-doszłych“ legionistów. Syn posła Błyskosza, bardzo sympatyczny chłopiec, towarzyszył nam aż do Różanki. Z rozmowy z nim wynioskowałem, że on również poszedłby z nami, powstrzymało go jedynie wyczekujące stanowisko ojca.

Od ob. Radlickiego dowiedziałem się, że Błyskosz, który z nim jako z kolegą z Narodowego Związku Chłopskiego był szczerzy niż ze mną, powiedział, że nie bardzo jest przekonany o słuszności idei Legionów. W tych warunkach, trudno było wymagać, aby mi pomógł w werbunku, a chłopcy i chcieliby pójść, i balisę trochę.

Maszerując do Różanki łąkami nad Bugiem spotykaliśmy pojedynczych uchodźców przekradających się bokami, aby Prusacy nie zarekwirowali im ostatniego konia, czy ostatniej krowy. Wkrótce miałem okazję przekonania się, że obawy te nie były płonne. Z odali zaobserwowałem jak pruscy taborycy rzucili się na ostatnią krowinę jakiejś baby i drwili sobie ze strasznej rozpaczki kobiety, która nie mogła się z nimi porozumieć, a oni zabierali jej ostatni „ogon“, nie dając nawet pokwitowania. Byliśmy we dwóch, ich była cała kolumna, bezsilni musieliśmy patrzeć na gwałt i bezprawie. Scena ta utkwiała mi żywo w pamięci, bo była pierwszą z serii tych, na które legioniści musieli patrzeć na tyłach, dopóki w półtora roku później nie rozpoczęli walki zbrojnej z okupantami, z których niejeden życiem przepłacił chęć rabowania bezbronnej ludności polskiej w Łomżyńskim.

Od Różanki, na pół spalonej, szliśmy już dalej szosą do Włodawy. O jakie dwie wiorsty przed miastem natknęliśmy się na batalion rekrutów lubelskich por. Zosika. Zatrzymaliśmy się gościnnie podejmowani kolacją, a o zmroku wyruszyliśmy razem z baonem do Włodawy. Miły to był marsz z rekrutami wesołymi i żywymi, nie zmęczonymi jeszcze wojną, którzy śpiewali i cieszyli się z tego, że żyją. Przypomniały mi się czasy kieleckie, lub marszu z kompanią uzupełniającą z Radomska. Po 8 wieczorem poprzez spalone przedmieścia Włodawy ze śpiewem wkroczyliśmy na Rynek.

Próbowałem coś kupić, ale nic dostać nie było można. Dowiedziawszy się że Brydaga kwateruje za miastem, w Orchówku, odmaszerowałem do tej wsi, by późno w nocy po złożeniu meldunku w baonie o nieudanej misji znaleźć się w kompanii.

2 września spędziłem na postoju w Orchówku. W oczekiwaniu wymarszu przypatrywaliśmy się pracom jeńców rosyjskich we wsi, wśród których było wielu Polaków. Jeden z nich, Stanisław Drożdż, w cywilu — lokaj jakiegoś lekarza z Łodzi, miał u nas znajomego st. żołn. Klemczaka. Wykorzystawszy odpowiednią chwilę, kiedy eskorta jeńców nie zwracała uwagi, Klemczak ułatwił Drożdżowi ucieczkę, który szybko przebrawszy się w nasz mundur powiększył szeregi naszej kompanii.

Korzystając z przeciągania się chwili odmarszu odwiedzam starego gospodarza, którego adres dał mi poseł Błyskosz. Nazwiska tego gospodarza, niestety nie zanotowałem, a był to światły chłop, który jeszcze z ojcem Błyskosza jeździł do Rzymu, aby tam szukać obrony przeciwko prześladowaniu unitów. Był on we wsi patriarchą i prosił, aby go skomunikować z naszym kapłanem. Księdzu zwierzył się, że w cerkwi miejscowej przerobionej z kościoła są stare utensylia kościelne, które chciałby stamtąd wydostać. Kapłan nasz zobowiązał się wobec starca, że świętości te odeśle do Kurii Biskupiej w Lublinie.

Do Legionów był on przychylnie usposobiony, obiecał wpływać na młodzież, aby wstępowała do Legionów, ale podobnie jak w Dołhobrodach, oświadczył mi, że chłopcy pójdą, ale wówczas dopiero, gdy ruszą się wszystkie wsie okoliczne. Na to nie było czasu. Przekonałem się, że nawet najprzychylniej usposobionego chłopca nie tak łatwo jest ruszyć. Nasze przedwojenne marzenia o masowym ruchu chłopów i robotników rozbiły się o twardą rzeczywistość. Tak jak w przedwojennym ruchu strzeleckim brała udział przeważnie młodzież inteligencka, tak i w czasie wojny jedynie na poświęceniu tej młodzieży mogliśmy budować nasze plany.

Po południu ppor. Warski zawiadomił mnie, że z baonu przyszła nominacja dla mnie na „komendanta plutonu“. Jak już wspominałem, w Brygadzie były dwa rodzaje sierżantów. Jedni pełnili funkcje podoficerów zafrontowych, sierżantów liniowych i prowiantowych kompanii, którzy nosili trzy czerwone paski (liniowi) lub obramowanie czerwonym paskiem kołnierza (prowiantowi), drudzy pełnili funkcje komendantów plutonów i nie nosili żadnych odznak, oczekując nominacji na podporuczników. Wobec tego, że na nominację oficerską w I Brygadzie trzeba było bardzo długo czekać, a w baonie brak było oficerów, więc kpt. Sław-Zwierzyński wprowadził stopień pośredni: „komendanta plutonu“. Stopień ten, zdaje się, istniał tylko w naszym batalionie. Ze mną był szcze-

gólny kłopot. W mojej karcie wojskowej miałem dwukrotnie nominację na chorążego. Jedną nadaną mi jeszcze w październiku 1914 r. przez Departament Wojskowy na przedstawienie komendanta oddziału wywiadowczego I Brygady por. Świętopelka Jaworowskiego, drugą, nadaną mi w maju 1915 r. przez Komendę Legionów, czy nawet A.O.K., na wniosek komendanta baonu uzupełniającego kpt. Andrzeja Galicy. Nie będąc oficerem I Brygady nie nosiłem żadnych odznak, jak „komendanci plutonów“ i pełniąc faktycznie funkcje oficerskie nie miałem nawet tej nominacji kpt. Sława. Teraz został ten stan rzeczy zalegalizowany, spodziewałem się, że odzyskam pluton, nie wiedziałem tylko który. W 1. kompanii była pełna obsada oficerska, więc czułem, że będę musiał rozstać się z kompanią.

Wprawdzie odjechali do szpitala ppor. Kazimierz Polkowski, komendant I plutonu 1. kompanii i ppor. Stefan Rowecki, komendant I/4. komp., więc mogłem któryś z tych plutonów otrzymać, ale „komendantom plutonów“ dawano zwykle takie plutony, które nie miały „stałych“ komendantów — oficerów, a więc żadnego z tych plutonów nie dostanę. Tymczasem takim „wolnym“ plutonem był II pluton 4. komp. po ppor. Mścisławie (Styczyńskim), który odszedł do II baonu. Czułem więc, że ten pluton otrzymam. Wolałbym oczywiście mój dawny I pluton 1. komp., z którym byłem bardzo zżyty, ale tamten mógłbym otrzymać tylko chwilowo, gdy II/4. komp. otrzymać mogę na stałe i, o ile rana, czy choroba nie zmusi mnie do odejścia na tyły, na tym plutonie mogę doczekać się nominacji podporucznikowskiej.

Zresztą wyboru nie mam i muszę iść zameldować się u Komendanta batalionu. Aby się jednak odpowiednio przedstawić w nowej kompanii, pobiegłem do miasta, aby uzupełnić swoje wyekwipowanie. Zaszedłem do krawca, który mi wypożyczył mundur, kupiłem trochę bielizny, znalazłem wreszcie jakieś papierozy, które po bajecznie drogiej cenie nabyłem (50 szt. za 10 koron) i poszedłem do Komendy batalionu.

Tak jak się spodziewałem, otrzymałem przydział do 4. kompanii. Pożegnałem się więc ze swoją 1. kompanią, odmeldowałem się u ppor. Warskiego i zameldowałem u komendanta 4. kompanii ppor. Wacława Styka-Stachiewicza. Polecił mi objąć II pluton, którym chwilowo dowodził sierżant liniowy kompanii Kmicic (Władysław Rusin). Od pierwszej chwili poczułem się dobrze w nowej kompanii. Komendant ppor. Styk, młodszy brat mego kolegi i przyjaciela por. Juliana Wicza-Stachiewicza, młody był jeszcze i jako komendant bardzo wymagający, ale przyjął mnie bardzo serdecznie. Komendanci plutonów: sierż. Witold Czachowski („Ojculek“), stary weteran Techniki Praskiej, filareta i nieoceniony towarzysz,

który chwilowo dowodził I plutonem, oraz komendant III plutonu Busse-Guzowski, technik lwowski, tworzyli miłe grono, zgrane i żyte, wraz z obu sierżantami kompanijnymi wspomnianymi wyżej Władysławem Kmicicem-Rusinem oraz kolegą moim z Krakowa, Henrykiem Floyar-Rajchmanem. Szczególnie sympatyczny był I pluton kompanii, złożony z samych inteligentnych chłopców, skautów łódzkich z sekc. Wacławem Lipińskim na czele. Mój II pluton jakkolwiek miał mniej inteligentów, ale przedstawiał się również zupełnie dobrze i miałem nadzieję, że szybko się żyje z nową kompanią.

JESIENNA KAMPANIA NA WOŁYNIU

(Manewr na Kowel, Smolary, Kobcza, Stowygoroż)

3 września prawie o świcie wyruszyliśmy z Orychówka. Maszeruję już na czele swego nowego II plutonu 4. kompanii. Około 8 byliśmy po drugiej stronie Bugu. Po przeprawieniu się po prowizorycznym moście, wybudowanym nieco na północ od mostu kolejowego linii Chełm—Brześć, znaleźliśmy się na Wołyniu. Opuszczaliśmy granice b. Królestwa Polskiego, aby kiedyś wrócić, jak w to święcie wierzyliśmy, już do Polski Niepodległej.

Poprzez lasy i mokradła maszerowaliśmy wzdłuż nieoznaczonego na mapach toru kolejowego, wybudowanego pono w czasie wojny, który miał prowadzić do jakiegoś schroniska inwalidów rosyjskich.

Zatrzymawszy się na krótki postój w Zalesiu maszerujemy dalej przez niekończące się łąki, które się nam wydały stepem kresowym. Aż dotarliśmy do Switezi, czy Świtjazi Wołyńskiej (nie Mickiewiczowskiej), cudownie położonej nad jeziorem tejże nazwy. Oczom naszym ukazało się wąskie wprawdzie, ale długie jezioro, sięgające aż hen za horyzont. Na nim odludna wyspa, gęsto porośnięta, dzika i tajemnicza, jak „Wyspa Śmierci“ Böcklina. Z drugiej strony jeziora — lasy i gaje. A tu, na południowo-zachodnim brzegu jeziora, wściśnięta między bór a spokojną taflę wód, rozsiadła się wśród niezliczonych owocowych sadów cicha wieś ruska. Miejsowość wprost wymarzona na lotnisko i wypoczynek, toteż komendant 3. kompanii por. Kostek-Aleksandrowicz stanowczo oświadcza, że pierwszy urlop w Polsce Niepodległej tu spędzić musi. Nie przypuszczał biedak, że Polski Niepodległej nie dożyje.

Wieś do połowy tylko wyludniona, co jest dla nas niespodzianką wobec całkowitej ewakuacji wsi „litewskich“. Mieszkańcy Switezi — Rusini prawosławni, na ogół dość sympatyczni, pokornie poddają się nowej władzy. Na pytanie, czy ich kozacy nie obrabowali, z rezygnacją oświadcza: „Nasi kozacy rabowali i wasi kozacy będą rabowali“. Po raz pierwszy zetknąłem się tutaj z uprawą

tytoniu. Wszystkie prawie ogródki obsadzone były tą wonną rośliną którą chłopci tutejsi uprawiali na własny użytek. Na ogół było tu miło i chciałoby się choć kilka dni wypocząć nad Switezią, niestety jednak trzeba maszerować dalej.

4 września posuwamy się linią Kobryń—Lubomla, przez Zgorany, docieramy do wsi Kuśniszcza. Mamy tu mieć dzień odpoczynku. Owoców mnóstwo, prosiąt i świń w częściowo opuszczonych chatach pod dostatkiem, możemy się więc rozgospodarować. Tymczasem jednak badania lekarskie stwierdzają we wsi cholere, więc jarzyny i owoce wykluczone, używać można jedynie na wieprzownie.

W drodze ugrzązł nam wóz kompanijny, na którym oficerowie naszej kompanii mieli cały swój dobytek. Wysłano konno ordynansa, ale ten wozu nigdzie nie znalazł. Przepadły moje papierozy z trudem zdobyte!

5 września po południu — alarm. Niespodziewanie zarządzono zbiórkę. Okazało się, że Moskale ukazali się gdzieś w pobliżu i zagrażają Kowlowi. Musimy więc śpieszyć na odsiecz. Omijając Lubomłę maszerujemy na Rudę do Maciejowa. Marsz, który się zaczyna po południu, nigdy do przyjemnych nie należy. Maszeruje się zwykle po nocy, a błota wołyńskie marszu nie przyspieszają. Maruderów naturalnie mnóstwo. Przypominają się ciężkie marsze do Skąły, Rykoszyna, Wyżnianki, Białej Wody, Kłodnicy, Aleksandrówki. W dodatku pułk nie zatrzymuje się w Maciejowie, tylko przeszedłszy przez miasto dostaje kwatery w jakiejś wsi sąsiedniej.

Krótki spoczynek nocny nie pozwolił wypocząć należycie. A o świcie ruszamy dalej. Pułk nasz przeznaczono do osłony lewego skrzydła Brygady, maszerującej do Kowla. Z północy spodziewaliśmy się ewentualnej dywersji nieprzyjaciela. Na skutek tego maszerujemy nie traktem Maciejów—Kowel, lecz początkowo torem kolei nadwiślańskiej od st. Maciejów do przystanku Koszary, a następnie przez Stare i Nowe Koszary do Dubowej. Męczący to był marsz. Oślaniani jedynie przez patrole kawalerii, w każdej chwili mogliśmy się znaleźć pod ogniem, i to flankowym ogniem nieprzyjaciela. Nie straszny to ostatecznie nieprzyjaciel, bo mogła to być jedynie konnica rosyjska, ale droga po wertepach i zagonach okropna, toteż zmęczeni jesteśmy straszliwie. Sytuacja, która się wytworzyła, spowodowana została faktem, że kiedy wojska austriacko-niemieckie przeszły poza granice Królestwa, armia niemiecka, tzw. armia Bugu, marszałka Mackensena, poszła na północ od Prypeci i błot Pińskich, armia austro-węgierska skierowała się na południe na Wołyń. Na Polesiu więc wytworzyła się dość szeroka luka, przez którą na nasze tyły przedostawały się znacznie silniejsze oddziały nieprzyjacielskie celem przerwania nam komunikacji z „hinterlandem“.

Legiony otrzymały właśnie za zadanie przepędzić nieprzyjaciela, oczyścić teren i wypełnić lukę Poleską.

Zadanie wyłącznie dla nas, bo o charakterze partyzanckim, ale jednocześnie dla piechoty dość trudne i przykre do wykonania ze względu na błotnistość terenu. Ostatnie meldunki głosiły, że Moskale poprzedniego dnia ukazali się w Koszarach. Teraz wszelki ślad po nich zaginął. Wieś Dubowę, którą nam polecono obsadzić, Moskale spalili, więc zatrzymaliśmy się w Moszczonej.

Tu było używania co niemiara. Wieś, opuszczona całkowicie i widocznie w popłochu, bo wszędzie pozostawiono mnóstwo żywności i wszelkich zapasów. Chociaż nasze kuchnie polowe ugrzęzły gdzieś w drodze, mamy co jeść i nikt chyba w tym dniu głodu nie zaznał. A że nasz kucharz też gdzieś się zawieruszył, więc my z ob. Czachowskim zabraliśmy się do sporządzenia kolacji, złożonej z ziemniaków na słoninie, grochu, herbaty, kawy, a ze znalezionej gdzieś mąki chłopcy upiekli nam znakomity chleb razowy.

7 września okazało się, że Moskale po spaleniu Dubowej wycofali się całkowicie z tego rejonu i Brygada bez przeszkód doszła do Kowla.

Wobec tego i my ruszyliśmy ich śladem. Około południa zauważyliśmy z oddali zarysy koszar Kowelskich. Później przeciąwszy tory kolei nadwiślańskiej i linii Kowel—Włodzimierz znaleźliśmy się wreszcie na przedmieściu tego kresowego miasta, gdzie wówczas kończyła się sieć kolejowa b. Królestwa Polskiego.

W zupełnej ciszy przemaszerowaliśmy przez całą długość ulicy „Aleksandra II“ i skręciwszy w ul. Nowo-Kolejową zajęliśmy kwatery. Pierwszy raz od szeregu miesięcy jesteśmy w większym mieście i mamy kwaterę w mieszkaniu, gdzieśmy zastali dwa łóżka i kanapę! W tych warunkach po raz pierwszy cała komenda kompanii (wprawdzie po 2), ale śpi na „meblach“, a nawet na prześcieradłach. Luksus to w naszych warunkach niebywały!

Od 8—11 września — całe trzy dni wypoczynku i to w mieście, po tyłomiesięcznej tułaczce po wsiach. Była to uczta prawdziwa. Można się było nareszcie ogolić, wykapać, kupić czystą bieliznę i uzupełnić różne drozbiazgi, których brak szczególnie daje się odczuć w polu.

Toteż zaraz po przybyciu do Kowla zacząłem od sprawunków. Później miałem zamiar „zwiedzić“ miasto. Kowel, typowe miasto kresowe, ma właściwie jedną ulicę handlową, a reszta to uliczki z domkami w ogródkach, przypominających raczej wille wiejskie, niż domy miejskie. Czystość w tym prawie wyłącznie żydowskim mieście pozostawiała coś niecoś do życzenia. Ludności chrześcijańskiej nie widać zupełnie. Moskale wszyscy uciekli, Polacy, jeśli byli, to również prawie wszyscy uciekli, pozostali

jedynie przedstawiciele narodu „wybranego“. Toteż całe „myłycje“ i sam burmistrz było wszystko „echt-rosyjskie“, pardon, już niemieckie, a językami urzędowymi były: rosyjski i żydowsko-niemiecki. Jedynie ogłoszenia wojskowe były w 3 językach: niemieckim, polskim i ukraińskim.

W rękach polskich były tylko apteki, kilka sklepów blawatnych, cukiernia, w której nic nie można było dostać, prócz herbaty i czarnej kawy bez cukru. Jediną restaurację zajął sztab c. i k. Komendy, gdyż gen. Durski był najwyższą władzą w mieście.

Plan mój co do zwiedzenia miasta spelzł na niczym, bo właśnie wypadła mi służba w baonie i całe 24 godz. byłem przywiązany do kwatery baonu. Tam też odbyłem rozmowę z przybyłą do Kowla p. Śrzednicką¹⁾, narzeczoną ppor. Długosza, która przyjechała dowiedzieć się szczegółów śmierci Staszka. Opowiedziałem jej wszystko, co wiedziałem z ostatnich dni jego życia i śmierci.

W czasie służby w baonie miałem okazję obserwowania ciekawej sceny, jak ułani nasi eskortowali bryczkę przeładowaną kilku paniami, dziećmi w towarzystwie studenta Warszawskich Kursów Rolniczych oraz kilka wozów naładowanych rzeczami. Okazało się, że była to rodzina obywatelska z okolic Niesuchoiża, która oddała się pod opiekę naszych ułanów przed kozakami i chłopstwem. Przypomniały mi się Dzikie Pola za dawnej Rzeczypospolitej z okresu napadów tatarskich i hulanek Siczy Zaporoskiej.

Ale wszystko, co przyjemne, musi się skończyć. I nasz trzydniowy pobyt w Kowlu skończył się 12 września. Już nazajutrz po naszym przyjeździe I baon 1. p. p. i część 4. p. p. wyruszyła w okolice Kowla, gdzie mieli jeszcze grasować Moskale, a ułani nasi uciekali się z kozakami w okolicy Serechowicz, Niesuchoiża i Czeremoszna. Teraz oddano nam odcinek od Wyżwy aż po Hulewicze, gdzie mieliśmy osłaniać lewe skrzydło 4. armii austriackiej. Na północ bowiem od Wyżwy poprzez Kamień Koszyrski aż do Prypeci były już tylko pułki kawalerii austriackiego korpusu kawalerskiego.

Wyruszyliśmy więc znowu na pozycję. Nasz pułk pomaszerował przez Bilin i Skulin do Kreczewicz.

Cała ludność tej wsi pozostała na miejscu, nie można jednak powiedzieć, aby była wrogo do nas usposobiona. Gospodarz, u którego mieliśmy kwaterę, mówił po rosyjsku bardzo słabo, ale twierdził, że pamięta „czasy polskie“, kiedy we dworze jeszcze był „pan polski“, a były to czasy lepsze, bo jak przyszedł „nasz“, to „gnębił ludzi“.

¹⁾ Obecna sen. Macieszyna.

Dwa dni spędziliśmy na postoju, ściślej biorąc na wypoczynku w Kreczewiczach, gdyż poza nocną służbą ubezpieczającą nie mieliśmy żadnej roboty. Z „frontu“ (jeżeli o froncie można było mówić w tych warunkach, gdy nie było linii ciągłej, lecz oddalone od siebie jedynie punkty oporu), dochodziły wieści niezbyt pomyślne.

4. pułk dostał się w ciężkie tarapaty w Hulewiczach, w Stobychwie zginął ppor. Franek (Edward Gibalski), b. członek b. oddziału wywiadowczego por. Świętopełka, a obecnie oficer 3. szwadronu ułanów Beliny. Chłopi w nocy napadli w Stobychwie na ubezpieczenia I baonu 1. p. p., za co wieś została spalona.

Czuliśmy, że w krótkce trzeba będzie pójść „na front“, a zapal wojenny, odkąd znaleźliśmy się na ziemiach etnograficznie ruskich, osłabł i wszystko ciągnęło nas do uwolnionego od Moskali — Królestwa!

15 września otrzymaliśmy rozkaz odmarszu. Maszerujemy przez Czeremoszno, dokąd przeniosła się Komenda Brygady, do Smolar na linii Stochodu. Tu zmieniliśmy II baon naszego pułku, będący „w pierwszej linii“. Przymaszerowaliśmy późnym wieczorem, a na mnie przypadła służba, więc po ciemku musiałem rozstawiać nad rzeką placówki. Sam spałem, a raczej wcale nie spałem, przy pogotowiu w chałupie na skraju wsi. W ciemną, wietrzną, obrzydliwą jesienną noc trzeba było sprawdzać czujność placówek. Poprzedniej nocy patrole nieprzyjacielskie przepawiły się przez rzekę i podkraǳły się do wsi. Czuwam więc i kilkakrotnie inspekcjonuję placówki. Noc przeszła na ogół spokojnie, ale ja przeziębilem się i dostałem silnej gorączki.

Następne dwa dni przeleżałem w chałupie na kwaterze komendy kompanii, która mieściła się wspólnie z komendą baonu. Kwatera własna komendy baonu spaliła się przez nieostrożność Mitki, ordynansa baonu, młodego Rosjanina z Petersburga, wziętego do niewoli i przygarniętego przez nas.

Miałem influenzę. Gorączka trawiła mnie, a w nocy majaczyłem w malignie. Kpt. Sław opowiadał mi, że atakowałem przez sen jakieś okopy, zwyciężałem, cofałem się itd. Toteż nie uczestniczyłem w nieprzyjemnej wyprawie nocnej „za Stochód“. Pułk 1. zrobił wypad na Czersk, nasz baon osłaniając przeprawę 1. p. p. musiał w bród przejść na tamtą stronę. Chłopcy wrócili przemoczeni, zziębnięci i znowu wielu się pochorowało.

Sama wyprawa nie udała się, a 1. p. p. stracił w niej nawet jeden karabin maszynowy. 18 września poczułem się lepiej. Toteż gdy przyszedł rozkaz wymarszu, jakkolwiek jeszcze nie zupełnie zdrow, pomaszerowałem z baonem.

Przerzucano nas na inny odcinek. Punktem koncentracyjnym wyznaczony został Powursk, stacja kolei Kowel—Sarny—Kijów, dokąd przemaszerowaliśmy przed wieczorem.

Chociaż byłem chory, pozostało mi z Powurska ogólne wrażenie ładnego dworca kolejowego (zdaje się później spalonego) oraz wsi bogatej, ale prawie całkowicie ewakuowanej.

Nazajutrz ruszyliśmy dalej. Maszerowaliśmy przez Miryn, Rudkę, Wielick do Janówki, miasteczka położonego już w pow. łuckim, a więc na właściwym Wołyniu, a nie na błotnistym Polesiu Wołyńskim.

Tutaj zastaliśmy całą ludność, wyjątkowo pozostałą w miasteczku. Nawet pop i diak pozostali na miejscu ze swymi owieczkami i grali rolę bohaterów, zdecydowanych poświęcić się za wiarę prawosławną, matuszkę Rosję i caria-batiuszkę. Przenocowawszy w Janówce, 20 września rano przekroczyliśmy linię Stochodu i bardzo krętymi drogami, bo prosta droga ostrzeliwana była przez artylerię rosyjską, poprzez liczne kolonie niemieckie, witające nas, oczywiście, bardzo przychylnie, późnym wieczorem dobrnęliśmy do wsi Kobczy nad Styrem.

W którejś wsi na postoju obiadowym ordynans nasz kompanijny zwędził jakimś Austriakom, stojącym w tej wsi, wspaniałe siodło oficerskie. „Niech i nasz Komendant kompanii ma porządne siodło. — Po co jakiś „trep“, czy inny „Pepiczek“ ma jeździć na tak przyzwoitym siodle“. Wiedzieliśmy wszyscy o tej „kradzieży“ czy „rekwizycji“ wojennej, ale spostrzegli się i Austriacy. Zrobił się gwałt. Przyszli do kompanii i chcieli robić rewizję. Zrobiła się awantura i kwestia „prestiżowa“ dwóch „sprzymierzonych“ armii. Szukali siodła po całej wsi — ale nie znaleźli. A u nas znalazło się ono na drugi dzień. W ten sposób musieliśmy „uzupełniać“ swoje wyekwipowanie, którego nie chcieli nam uzupełnić, ani Austriacy, ani c. i k. Komenda Legionów, pospolicie c. k. mendą zwaną.

Po przemaszerowaniu do Kobczy stwierdziliśmy, że wszystkie kwatery zajęte były przez austriacką kawalerię. Pomimo, że byliśmy jedyną piechotą, która przybyła na wzmocnienie „frontu kawaleryjskiego“, austriaccy-kawalerzyści nie okazali się na tyle rycerscy, aby nam część kwater odstąpić. Toteż 3 godziny staliśmy w nocy na zimnie i deszczu, zanim wreszcie dostaliśmy od nich kwatery.

Prawie o północy musiałem rozstawić placówki, bo znowu na mnie wypadła służba, Nie mając mapy, bo moja już dawno się „skończyła“, nie mając kompasu, który mi zginął przed kilku tygodniami, nie znając zupełnie sytuacji bojowej, nie wiedziałem, jak się wziąć do rzeczy. Otrzymałem rozkaz, aby rozstawić pla-

cówki na północ od wsi. Nie orientując się w ciemności musiałem mechanicznie rozkaz wykonać. Po wystawieniu placówek zorientowałem się jednak, że strzały padają z prawego skrzydła. Przed nami były bagna, jak mi się po nocy wydawało, nie do przebycia. Rozumowałem więc sobie, że placówki w tym miejscu są zbędne. Ale w wojsku rozkaz — to rozkaz. Wykonałem go, ale o swoich spostrzeżeniach zameldowałem Komendantowi kompanii, a por. Styk zameldował Komendantowi baonu. Na skutek tego, jak również wobec stwierdzenia, że placówki austriackie rozstawione są niemal dookoła wsi, otrzymałem rozkaz ściągnięcia placówek. Stało się dobrze, bo Styr tworzy w tym miejscu kolano i front był na wschód od wsi, a nie na północ. Uratowałem więc żołnierzy od ciężkiej służby nocnej wśród pluchy i błota, ale sam po nocnej włóczędze niemal po kolana w błocie, jeszcze niezupełnie wyleczony z poprzedniej grypy, zaziębłem się ponownie.

Te niedomagania moje były dla mnie kompletną plagą. Byłem w nowej kompanii zaledwie od 3 tygodni, nie byłem z tą kompanią w bitwie i ciągle kwękam. Koledzy mogą mnie posądzić o chęć „dekowania się“ lub tchórzostwo, więc mimo gorączki nadrabiam miną i usiłuję ukryć chorobę, która mnie trawi.

21 września z silnym bólem gardła poszedłem z kompanią na pozycję. Zmieniliśmy II baon, który tam stał poprzedniej nocy. Okopy były nie tegie. Na ogół za płytkie, pozbawione ziemianek, nie mówiąc o schronach, czy blindażach, miejscami nie tworzyły nawet ciągłej linii. Na szczęście mój odcinek był jeszcze najlepszy. Zająwszy więc ziemiankę do spółki z sierż. Kmicicem, położyłem się zaraz, aby się na dobre nie rozchorować.

22 września rano rozglądałem się w sytuacji. Z okopów naszych śliczny widok na przeciwny brzeg Styru. Leży tam wieś Wiszenki. Nad wsią góruje cerkiew z wieżą i kopułą. Tam musi być obserwatorium nieprzyjacielskie. Toteż w dzień strzelaliśmy sobie, celując w to przypuszczalne obserwatorium. Czy ze skutkiem — trudno wiedzieć. W oddali widać drzewa parku dworskiego i wieżyczki kościółka. Widocznie to dwór polski.

Na lewo od wsi — był las. Stamtąd, korzystając z zagięcia rzeki, Moskale kropili do nas ogniem flankowym, mając na *vis à vis* ułanów austriackich. Między nami a nimi luka ze 100 kroków. Na prawo od naszego baonu znowu luka i w odległości 300 kroków okopy II baonu. Jeszcze dalej 4. pułk. Tworzymy obecnie z tym pułkiem „grupę Komendanta Piłsudskiego“. I Brygada, złożona tylko z 1. i 3. p. p., pod komendą Śmigłego była gdzieś daleko od nas w okolicy Trojanówki.

Grupa Komendanta Piłsudskiego, złożona z 4. p. p. pod Roją i 5. p. p., jak obecnie coraz częściej się nazywa pod Berbeckim,

stała się podstawą późniejszej przyjaźni ppłk. Roji i mjr Berbeckiego oraz 4. p. p. z 5. p. p. Toteż my mieliśmy tę zasługę, żeśmy „zarazili“ 4. p. p. zwyczajami i obyczajami „pierwszobrygadowymi“ i odtąd między 4. p. p. a I Brygadą nie było już żadnych różnic i 4. p. p. zawsze we wszystkich swych posunięciach występował solidarnie z nami, pociągając z czasem za sobą i 6. p. p., nowosformowany i przybyły na front Wołyński.

Wieczorem znowu mieliśmy wrócić do wsi na dwudniowy wypoczynek. Ja jednak ze swoim plutonem musiałem wrócić do okopów dla wzmocnienia 2. kompanii, która nas zmieniała, bo oni mieli tylu chorych i maruderów, że nie wystarczyło mi na obsadę odcinka.

Cieężko chory, musiałem wykonać rozkaz, w dodatku komendant 2. kompanii ppor. Hajec wyznaczył mi znacznie gorszy, niż poprzednio odcinek, na którym nie było nawet ziemianki. Spodziewałem się, że 24 września wrócę z 2. kompanią do wsi, prześpię się w ciepłej izbie i pozbędę się przeziębienia. Tymczasem nasza kompania zmieniła 2., ale ja musiałem znowu zostać z 4. kompanią w okopach.

25 września, gdy się obudziłem rano, nie było już ułanów na lewo od nas. W nocy zmienili ich czescy dragoni. Mam z nimi od samego rana urwanie głowy. Rano wpadł do mnie ich oficer z pretensją do mnie, że jesteśmy od nich coś o 100 kroków oddaleni, że nie ma rowu łącznikowego, że nie mamy przed sobą drutów, ani kozłów, że musiał „pod ogniem“ do mnie przebiegać itd.

Wszystko to było śmieszne wobec tego, że przed sobą mieliśmy 200 kroków dobrego ostrzału, potem 300 kroków bagna nie do przebycia, a potem głęboką rzekę. Wyśmiałem tchórzliwego „Pepiczka“ i odesłałem do Komendy, która była nie w okopach, lecz pod dębem za okopami. Był przerażony tą „zuchwałością“. Zgięty włókł się wzdłuż płytkich naszych okopów, a ja prowadząc go do kompanii szedłem sobie nad okopami, co doprowadzało go do niebywałej pasji.

Przed południem zaszedłem z rewizytą do mego sąsiada. Nie znalazłem go, ale przy okazji zobaczyłem, że Czesi tak pogłębili swoje okopy, że schowali się w nie wraz z głowami. Nie mieli żadnego pola widzenia i nieprzyjaciel mógł im podejść zupełnie niepostrzeżenie. W chwili gdy szedłem do okopów czeskich przez sławną lukę 100 kroków, strzelała nasza artyleria. Czesi zupełnie widocznie nie rozróżniają, kiedy strzela nasza, a kiedy nieprzyjacielska artyleria, bo za każdym razem, gdy usłyszeli wystrzał i świst przelatującego nad nami pocisku cała obsada odcinka dragońskiego, choć schowana wyżej głowy w okopach, pochyła się

i przypada do przedpiersia. Idąc górą obserwowałem te „pokłony“, które cała linia składała naszym pociskom artyleryjskim.

Kiedy mnie wreszcie zauważono, zrobił się taki gwałt w okopie, jakby co najmniej ujrzeni nieprzyjaciela. Gwałt ten powstał z tego powodu, że szedłem nad okopem nie chcąc skakać do głębokiego chyba na 2 metry okopu.

Po południu był na okopach Komendant Piłsudski z ppor. Wieniawą, jako adiutantem, oraz Marianem Dąbrowskim, który przydzielony został do naszej grupy, zdaje się, jako korespondent wojenny. Dotąd monopol na opisy bitew miał Juliusz Kaden-Bandrowski, teraz będziemy mieli widać dwóch korespondentów.

Z Komendantem przyszedł komendant pułku mjr Berbecki i komendant baonu kpt. Sław. W tym momencie Moskale zza rzeki zaczęli strzelać gęściej, niż dotąd. Gdy Komendant jest na linii, żołnierz I Brygady drży zawsze o Jego życie i zdrowie. To też, aby uciszyć Moskali, poczęliśmy do nich kropić salwami. To nie zawsze, ale często pomaga i nieprzyjacieli uspakaja się. Artyleria nasza bije w cerkiew, ale jakoś nie trafiła w wieżę, gdzie niewątpliwie jest obserwatorium nieprzyjacielskie. Trzy noce spędzam już w okopach, a teraz mamy w nocy robić druty przed okopami. Czuję się bardzo źle. Chłopcy spieszą się z robotą i o godz. 1 już są gotowi ze swymi drutami. Wyszło to nam na niekorzyść, bo wyznaczono nam nowy 100 krokowy odcinek, wskutek czego skończyliśmy pracę dopiero o 6 rano. Wtedy dopiero mogliśmy odmaszerować na kwatery. Ja podczas nocnej roboty zmęczony do ostatecznych granic, położyłem się na ziemi. Widocznie wilgotna ziemia spowodowała, że „coś“ wlało mi w szyję. Mam skręconą głowę w prawo i zupełnie wyprostować szyi nie mogę.

Po przejściu na kwatery poszedłem zaraz do lekarza baonu dra Zamojskiego, który dał mi naturalnie uniwersalną aspirynę i na tym koniec. A mnie bolą wszystkie członki, ledwo trzymam się na nogach. A tu jak na złość przychodzi rozkaz wymarszu. Na nasze miejsce przyszła piechota austriacka, a nasza 7. dywizja kawalerii, do której jesteśmy przydzieleni, otrzymać ma inny odcinek.

26 września wyruszamy nocnym marszem podwójnie dla mnie przykrym ze względu na chorobę.

Głowę mam zupełnie skręconą na prawy bok i ani rusz pozycji zmienić nie mogę. Od dra Mikołaja Kwaśniewskiego, który jest szeregowcem w naszej kompanii, dowiaduję się, że to jest „corticolis reumathica“, czyli mówiąc po ludzku reumatyzm wlał mi w szyję. Tu wtrącić muszę, że dziwny pan jest ten dr Kwaśniewski. Pochodzi gdzieś z pod Kijowa, dawny towarzysz Komendanta z P. P. S., człowiek starszy, powołany do wojska ro-

syjskiego jako lekarz, był w Kielcach w szpitalu wojskowym. Po opuszczeniu Kielc przez Moskali dr Kwaśniewski został w Kielcach i w ten sposób przedostał się przez front, by wstąpić do Legionów. Za nic na świecie jednak nie chce iść do Sanitariatu, tylko służy jako szeregowiec w 4. kompanii, gdzie maszeruje zawsze w pierwszej czwórce I plutonu razem z łódzkimi skautami, dla których mógłby być ojcem.

Dzięki dr. Kwaśniewskiemu zorientowałem się, że bóle, które odczuwałem zwłaszcza w rękach i nogach, to reumatyzm, który włożył mi teraz w szyję. Maszerujemy znaną drogą na Janówkę, skąd skręcamy gdzieś jakby na południe. Nad ranem zatrzymaliśmy się w jakiejś wsi, gdzie po raz pierwszy ujrzałem naszych „huzarów“. Był to pluton sztabowy kawalerii I Brygady ppor. Dzieduszyckiego.

Powtórnie przekraczamy Stochód przez Gruziatyń i Borowicze, pamiętne tym, że po raz wtóry spotkałem tu chłopów polskich, kolonistów na Wołyniu, maszerujemy ślicznymi brzegami rzeki do Korsuni.

Tu natrafiamy na epidemię cholery. Ale nie ma się czemu dziwić, w tych strasznych bagnach i błotach wszelkie choroby epidemiczne muszą mieć swoje siedliska.

Tymczasem Moskale cofnęli się na całym odcinku za Styr. Korpus niemiecki z północy przeprawił się przez Prypeć pod Pińskiem i przemaszerował na tyłach moskiewskich do Ołyki. Oni robili to nam pod Kowlem, teraz Niemcy zrobili im to samo. Tylko tym sposobem można chyba sforsować tak błotnistą rzekę jak Styr. 28 września mamy już drogę wolną i maszerujemy na prawy brzeg Styru do miasteczka Kołki.

W oczekiwaniu na przeprawę przez Styr spotykamy się z 4. pułkiem, a ja choć zgnębiony trawiącą mnie chorobą, chętnie zawsze gawędzę z dawnymi kolegami; Bolesławskim (Januarem Grzędzińskim) oraz z Szumskim i Klisiewiczem, których obu widziałem po raz ostatni, gdyż obaj wkrótce zginęli. Klisiewicz już kilka dni po tym nie żył.

Przeprawiwszy się przez Styr znaleźliśmy się wśród zgłiszcz, tak dobrze nam znanych z okresu walk w Lubelskim. Kołki przypominały nam Urzędów, Łysobyki, Konstantynów.

Linia bojowa biegła już nad potokiem Kormin. W Kołkach stały sztaby 4. i 7. dywizji kawalerii, mnóstwo wojsk austriackich i niemieckich. Kwater, oczywiście nie było. Stanęliśmy biwakiem pod gołym niebem. Dla mnie to już było ponad siły. Tymczasem nad wieczorem otrzymaliśmy rozkaz zajęcia okopów rezerwowych celem ubezpieczenia Kołek. Ppor. Styk wezwał komendantów plutonu, aby poszli wraz z nim obejrzeć odcinek. Ledwie powłócząc

nogami — poszedłem. W drodze zabrakło mi sił. Prawie dwa tygodnie już zmagalem się z chorobą, aby nie wyjść z linii, wszystko na próżno. Żebyśmy choć ze dwa dni pozostali w jakiejś wsi, żebym mógł się wygrzać w chałupie, może bym wrócił do sił i zdrowia. A tu jak na złość okopy i okopy, nocne marsze i biwaki i zamiast się podleczyć coraz gorzej zapadam na zdrowiu. Ppor. Styk, widząc mój stan, zwolnił mnie i polecił pluton przekazać sierż. Kmicicowi.

29 września spędzam w Kołkach przy taborze kompanijnym. Szukam „ciepłego kąta“, aby się ogrzać. Czuję się coraz gorzej, a lekarz baonu nic poza aspiryną dać mi nie może. Zachodzę do O. K. M. Nr 2, gdzie właśnie wrócił brat mój z drugiej swej podróży po karabiny maszynowe. Opowiada o swych przygodach w Kowlu, Łucku, Włodzimierzu, jak szukał pułku. Mówi, że 6. p. p. już przyszedł z Piotrkowa i jest już na linii bojowej, gdzieś z I Brygadą.

30 września — rezerwa się skończyła. Pułk nasz idzie na linię. Lekarz baonu decyduje, że ja muszę pozostać w domu maruderów w Kołkach. Dom maruderów mieści się w rozwalonej stodole, uważam, że nie będzie tu lepiej niż w okopach. Tymczasem przychodzi z pułku sanitariusz Kuny i zawiadamia, że odchodzi transport do szpitala polowego.

Lekarz twierdzi, że jak dwa dni poleżę w szpitalu w cieple, to będę zdrow zupełnie. Przypuszczając, że to długo nie potrwa, decyduję się na odejście do szpitala.

W ten sposób po 4½ miesięcznym pobycie nieprzerwanym w linii, po przemaszerowaniu od Jędrzejowa poprzez Konary, Ożarów, Tarłów, Dzierzkowice, Urzędów, Babin, Jastków, Majdan Krasieniński, Kamionkę, Wysokie Litewskie aż po Kamieniec i stamtąd na Wołyń, mając za sobą udział w 10 bitwach, całym szeregu potyczek, ponownie miałem znaleźć się na tyłach.

30 września o godz. 5 po południu opuściłem front.

W SZPITALACH AUSTRIACKICH I LEGIONOWYCH

(Kołki — Hoboby — Kowel — Lublin — Rabka)

Poznałem już różne instytucje legionowe: byłem dwukrotnie w linii, byłem w wywiadzie, byłem w kadrze, zapoznałem się z robotą cywilną komisariatów W. P., P. O. N. i N. K. N., nie znałem dotąd szpitalnictwa. Teraz przyszło mi je poznać. Odesłano mnie najprzód do szpitala polowego 7. K. T. D. czyli 7. dywizji kawalerii. Lekarz tego szpitala, Polak, zaprosił mnie na swoją kwaterę. Spałem po raz pierwszy od 5 miesięcy we własnym łóżku na poduszce i pod kołdrą w ciepło ogrzonym pokoju. Wydawało mi się to luksusem, o jakim marzyć się nawet nie chciało. Kwatera ta mieściła się w mieszkaniu organisty kościoła parafialnego w Kołkach. Z oddali dochodziły odgłosy bitwy. Słychać było strzały armatnie. Na ulicach tłumy ludności, przeważnie żydowskiej, trwożliwie wsłuchiwały się w huk dział. Pułk nasz odmaszerował na pole walki pod Stowycorozem. Ja leżę i myślę, co tam słychać z naszą kompanią. Lekarz zostawił mi gazety do czytania, ale czytać nie mogę. Skręcona głowa dolega mi bardzo. W sąsiednim pokoju jakiś ranny, czy chory Austriak flirtuje z córką organisty. Pomimo że ściemniło się, bitwa trwa. Słychać ponure bębnienie artylerii. Pomimo zmęczenia zasnąć nie mogę, i późno już było, kiedy sen wreszcie skleił mi powieki.

1 października zbudził mnie ordynans o 5 rano. Przyniósł śniadanie. Kawa, ale z mlekiem, i białe bułki z masłem. Od tylu miesięcy podobnych frykasów nie jadłem. Choć prawie ciemno jeszcze, miasto już nie śpi. Pod oknami widać mnóstwo żydów, którzy ładują swój dobytek na wozy i w popłochu opuszczają na wpół spalone miasteczko. Rodzina organisty biada i nie wie, co ma z sobą robić. Uspakajam ich, jak mogę, przekonywując, że bitwa oddala się od miasta. Ale kto wie, czy Moskale jeszcze nie wrócą? Radzić trudno w tych wypadkach.

O 8 zawiadomiono mnie, bym był gotów do drogi. Odchodzi transport rannych i chorych na tyły. Próbuje protestować, ale bezskutecznie. Wszystkich ciężiej rannych lub chorych na prze-

wlekłe choroby ewakuują. Mój reumatyzm tak prędko nie ustąpi i w tym stanie nie mogę pozostać w linii.

Spakowałem więc rzeczy i odchodzę. Dano mi do dyspozycji oddzielny wóz. Trzęsie niemiłosiernie, wszystkie kości mnie bołą. Leżę, przykryty kocem. Jedziemy. Po drodze nic nie widzę, usiłuję zasnąć, ale bezskutecznie.

W Borowiczach dano nam obiad. Dla mnie przyniesiono obiad z kuchni oficerskiej jakiegoś taboru. Wcale był niezły. Jedziemy dalej.

Okolo 5 byliśmy w dobrze znanej mi Janówce. Droga męczy mię straszliwie. Jeśli tak dalej będzie, to mnie żywego nie dowiozą. Usiłuję drzemać. Ściemniło się. Wreszcie dotarliśmy do Porska. Mam wrażenie, że kolumna nasza pobłądziła. Transport prowadzi „Zugsführer“ Niemiec. Mówi trochę po polsku, ale z Rusinami dogadać się nie może. Wreszcie dotarliśmy do szosy. Tu w jakiejś wsi dano nam kolację z kuchni landszturmu pruskiego. Zimno, więc próbujemy się zagrzać przy pruskim ognisku. Moja szyja znowu gorzej mnie boli.

Jedziemy znowu. Okolo 11 wieczorem stanęliśmy przed budynkiem dworcowym w Hołobach. Nocujemy w poczekalni, zamienionej na prowizoryczną salę szpitalną. Nazajutrz rano lekarz obszedł salę, zapytał każdego, co mu jest, po czym wsadzono nas do wagonów towarowych długiego pociągu „sanitarnego“. Pociąg rusza i... wlecze się straszliwie. Coś po godzinie mijamy — Lubitów. Wreszcie — Kowel. Na dworcu widziałem z daleka mjra Brzozę, d-cę artylerii legionowej, i chor. Robła z 6. p. p. Z wagonów wysiadać nie wolno. Jeść się chce, a nic nie dają. Wreszcie — ruszamy. W wagonie jest 3 legionistów z 4. p. p. — ranni, poza tym sami kawalerzyści austriaccy: Polacy, Niemcy i Węgrzy. Myślałem, że jedziemy w kierunku Chełma. Tymczasem pociąg wchodzi na jakąś bocznice i staje na wprost drzwi byłych koszar rosyjskich, ogromnego szpitala rezerwowego 4. armii.

Tutaj robi przegląd jakiś „Stabsarzt“, pyta każdego o szarżę. Jestem w kłopotcie. Jako chorąży byłbym „Fähnrich“. Jako komendant plutonu nie wiem, do czego się porównać. Tłumaczę dosłownie: „Zugskommandant“. Stabsarzt każe zapisać „Kadett-Aspirant Offiziersstellvertreter“ i poleca zaprowadzić mnie na salę oficerską. Po załatwieniu formalności meldunkowych idę na górę. W „Offizierszimmer“ nie ma miejsca. Umieszczają mnie więc obok sali oficerskiej na łóżku żołnierskim, z którego zrzucano jakiegoś młodziutkiego żołnierza Niemca. „Schwester“ gorliwie się mną opiekuje jako oficerem. Umyłem się, kładę się i natychmiast zasypiam. Ale wkrótce budzą mnie. Obiad. Dostałem właściwie dwa obiady. Najprzód jeniec rosyjski, roznoszący jedzenie,

przyniósł mi jak wszystkim porcję „Mannschaftu“, a później „Schwester“ przyniosła mi porcję oficerską. Na zakończenie $\frac{1}{4}$ litra wina. Zmorzyło mnie i znowu zasypiam. Czuję, że mam gorączkę. Po sali chodzi lekarz. Jakiś szum. Siostra mnie budzi i pyta, czy chcę jechać dalej. Oświadczam, że jeśli do Lublina, to tak. Wiedziałem, że w Lublinie jest szpital legionowy. Bałem się, aby mnie nie wywieźli gdzieś do Wiednia. Już tutaj język niemiecki dał mi się we znaki, z nikim dogadać się nie mogłem.

Pociąg stoi już przed szpitalem. Wsiadam do wagonu III klasy, przeznaczonego dla oficerów. Przynoszą nam herbatę, ciastka, papierosy. Naraz spostrzegam znajome mi twarze legionistów z Jabłonkowa. Dawne moje wywiadowczynie: Mazurkiewiczówna i Janina Burjanówna. Okazuje się, że 15 ich przyjechało tutaj do szpitala epidemicznego. Odstąpiono je Austriakom.

Późnym wieczorem — pociąg rusza. Po nieskończonej ilości manewrów wreszcie jedziemy do Maciejowa. Widno już było kiedyśmy minęli Bug i wkrótce mijamy Chełm, gdzie pociąg po krótkim postoju idzie dalej i około 3 stajemy w Lublinie.

Moi towarzysze podróży, przeważnie Niemcy austriaccy, marzą, aby dostać się do Wiednia, ja drzę, aby przypadkiem nie pojechać dalej i móc się zatrzymać w Lublinie.

Na szczęście wsadzają nas wszystkich do karetek samochodowych i wiozą do „Reserve-Spital“ Nr. 7. Tam się odbywa „segregacja“ chorych i rannych. Przyjmują tylko rannych, chorych odsyłają do innych szpitali. Proszę, aby odesłano mnie do szpitala legionowego. Po pewnym wahaniu prośbie mojej uczyniono zadość.

Znalazłem się więc w Szpitalu Legionów Polskich w Lublinie. Po kąpieli i dezynfekcji zająłem łóżko na sali Nr 1.

Rojno tu było i gwaro, wesoło, lecz dla prawdziwie chorych trochę za głośno. Denerwuje mnie to szczególnie, bo mam temperaturę ponad 38 stopni i odwykłem od miejskich hałasów.

Pierwsze dni pobytu w szpitalu były dla mnie ciężkie, gdyż szpital nasz był modny w Lublinie. Całe miasto się nim interesowało. Po południu był tu nieustanny raut. Sala duża, chorych i rannych sporo, ale odwiedzających dziesięć razy więcej, codziennie znoszą nam słodczyce, papierosy, książki. Sanitariuszki — lublinianki bardzo troskliwe. Zwłaszcza nasza opiekunka, znajoma brata mego Stefana, p. Anna Suchorzewska, po prostu anioł dobroci. Z innych pań opiekuje się mną p. Alina Kuncewiczówna, kuzynka Kazimierza Wyszyńskiego. Lublin teraz jest ośrodkiem politycznej roboty legionowej, jako stolica okupacji austriackiej. Działa tu tzw. Wydział Narodowy. W Biurze Prasowym tego Wydziału jest Zygmunt Ból (Bolesław Lubicz-Zahorski). Poza tym spotkałem tu

Tadeusza Szpotańskiego i Leona Kozłowskiego, odkomenderowanego do roboty politycznej.

Pierwsze dni przeleżałem w łóżku w gorączce. Po tygodniu gorączka ustąpiła, skrzywienie głowy przeszło, a nawet bóle w kościach przestały mi dolegać. Wstałem więc i wyszedłem na miasto, aby zobaczyć Lublin, którego dotąd nie znałem.

Po wyjściu tym pogorszyło mi się i znowu tydzień przeleżałem.

Wreszcie po 2 tygodniowym pobycie dr Dėhnel oświadczył mi, że muszę przeprowadzić kurację w Rabce. Nie bardzo miałem ochotę wyjeżdżać z Lublina, ale co było robić. W niedzielę 17 października wstałem i wyszedłem na miasto. Panna Alina Kuncewiczówna oprowadziła mnie po Lublinie. Miły byłby pobyt w Lublinie, ale nazajutrz już musiałem jechać dalej.

O 6 rano wyruszył transport chorych pod komendą dra Naradowskiego. Po południu byliśmy w Dėblinie. Powiedziano nam, że musimy nocować w wagonach, bo dopiero nazajutrz rano pójdzie pociąg dalej. Przykra to była noc z 18 na 19 października w nieopalonym wagonie. Ja bałem się znowu przeziębienia, aby mi gorączka nie wróciła. Nazajutrz rano pieszo maszerujemy wśród fortyfikacyj „Iwangrodu“ na drugą stronę Wisły, bo most był zniszczony. Komunikacji bezpośredniej nie ma. W Wiśle leżą szczątki zatopionych statków. Most niedawno zawalony, pionierzy naprawiają pośpiesznie przy pomocy jeńców rosyjskich. Po drugiej stronie w Zajezierzu czekał pociąg.

Siadamy i nie zatrzymując się w Garbatce, ani w Jedlni, stajemy w Radomiu. Pociąg „przyśpieszony“ stoi krótko, że nawet nic kupić do jedzenia nie można. Koło 3 jesteśmy w Kielcach i stąd już dobrze mi znaną drogą na Jėdrzejów—Miechów—Olkusz—Strzemieszyce jedziemy do Szczakowej.

W Jėdrzejowie, zawsze miłym, dostać można wyłącznie gazety sprzyjające Legionom: „Dziennik Narodowy“ z Piotrkowa, „Gazetę Polską“ z Dąbrowy i „Wiadomości Polskie“ N. K. N.-u.

W Szczakowej nareszcie mamy normalny bufet, w którym po całodziennej głodówce można było zjeść kolację. Stąd już tylko krok jeden do Krakowa. O 1 w nocy stajemy w Krakowie. Umieszczono nas w jakichś barakach na dworcu towarowym. Stąd tak blisko na Czerwony Prądnik do wuja mego Antoniego Procnera. Skoczyłem tam na śniadanie, a o 9.35 wyruszamy dalej. Skawina, Kalwaria, Sucha, Chabówka. Tutaj czeka na nas dr Witoszyńska, znana mi z przed roku z Olkusza, która jest komendantką szpitala legionowego w Rabce. Dwoma furmankami jedziemy do Rabki.

20 października znalazłem się więc w szpitalu legionowym w Rabce. Dr Witoszyńska przepisała mi kąpiele i kuruję się sy-

stematycznie. I znowu jestem w miłej atmosferze szpitali legionowych. Świetnie nas odżywiają, mamy doskonałe locum, brak jedynie tylko miłych sanitariuszek lubelskich. Poza tym doskonałe powietrze górskie, ładny park, spacer. Mamy bibliotekę. Czytam więc i piszę. Z luźnych notatek, które codziennie zapisywałem w notatniku spisuję teraz wrażenia pierwszego roku wojny od wymarszu z Krakowa, aż do przybycia do Rabki. Czytam wiele, dyskutuję z prof. Wacławem Tokarzem, który również jest tu na kuracji, i czas mi szybko biegnie.

Po 4 tygodniach kuracji dostałem 3-dniową „przepustkę“ do Krakowa. 18 listopada wybrałem się tam, aby obejrzeć „stare śmieci“. Dziwne na mnie zrobił wrażenie stary Kraków po rocznej w nim niebytności. Jakaś pustka, smutek wieje z jego murów. Tu, gdzie przed rokiem znałem wszystkich choćby z widzenia, jeśli nie osobiście, teraz same obce twarze. Mundurów wszędzie pełno, choć i „cywilów“ nawet młodych nie brakuje. Na uniwersytecie — pustki. Zaszedłem na wykład prof. Chrzanowskiego. Przeważają — słuchaczki, ani jednej znajomej twarzy, wszyscy jacyś nieznani, nowi ludzie. Za to na medycynie — ruch, medyków chętnie zwalniają z wojska, bo odczuwa się brak lekarzy. W Domu Akademickim — szpital wojskowy. Zabieram swoje rzeczy, które w międzyczasie ktoś mi rozbił na strychu, i przenoszę je na przechowanie do Wujostwa na Czerwony Prądnik. Ze starych kolegów spotkałem tylko: Sporysza, Frączkiewicza, Zielińskiego i Pradego.

Toteż przykre zrobił na mnie wrażenie nasz stary Kraków, i bez żalu go opuszczałem, wracając do Rabki aby ukończyć kurację.

Ostatnie dni listopada i pierwsze dni grudnia upłynęły mi szybko i właśnie miałem wracać do pułku, kiedy niespodziewane wypadki zatrzymały mnie nieco dłużej. Los chciał, abym był świadkiem przykrych scen związanych z likwidacją szpitalnictwa legionowego. C. k. Komenda niezadowolona z odrębności szpitali legionowych postanowiła z tym skończyć.

Między innymi przyszedł rozkaz likwidacji szpitala legionowego w Rabce. Dzięki usilnym staraniom dr Witoszyńskiej udało się jej uzyskać zgodę Czerwonego Krzyża na przejęcie tego szpitala. W myśl umowy wszystko miało pozostać po staremu. Budynki, dotąd zajmowane przez legionistów, miały być nadal dla nas przeznaczone, jedynie szpital miał być rozszerzony, aby mógł przyjmować także c. k. żołnierzy i oficerów. Tymczasem jednak coraz dziwniejsze przychodziły rozkazy. Ilość łóżek przeznaczonych dla legionistów wedle obecnego stanu (70) zredukowano najprzód do 50, a potem do 16. Z tych względów nie mogliśmy wyjeżdżać ze szpitala, aby okazać Austriakom potrzebę utrzymania szpitala. Gdy jednak okazało się, że Czerwony Krzyż nie dotrzymuje umowy,

dr Witoszyńska szpital opuściła. Przyjechał lekarz austriacki i sam kwalifikuje chorych. Wyjechał więc „aspirant oficerski“ prof. Wacław Tokarz do I baonu uzupełniającego, wyjechał chor. Bogucki z 4. p. p. i chor. Dziurzyński z 6. p. p. Tylko mnie jakoś nie chcą zakwalifikować na front. Przepisano mi nową serię kąpielei. Ja czuję się już zdrow, a oni ciągle się czegoś w moich mięśniach i stawach doszukują.

Zostałem sam. Czytam więc po całych dniach, przeważnie Sienkiewicza, który mi teraz najbardziej odpowiada. Czytam sobie historię filozofii Kirchnera i różne dzieła historyczne, które znalazłem w bibliotece. To znowu wpada mi w rękę „Panienka z okienka“ Deotymy. Po raz pierwszy w literaturze polskiej spotkałem się z marynarzem. Dotąd flota polska była dla mnie legendą. A tu oko w oko spotykam się z porucznikiem marynarki polskiej z czasów Władysława IV. Czy my uzyskamy dostęp do morza? Czy będziemy mieli marynarkę polską? Czyżby ziścić się miała przepowiednia Mickiewicza — „Gdańsk miasto ongiś nasze — będzie znowu nasze!“

Niemcy zwycięskie nigdy nam nie oddadzą Pomorza. Niemcy pobite, to Moskale wejdą znowu do Warszawy. Chyba że na Wschodzie zwyciężą, a na Zachodzie dostaną w skórę. Czy jednak można marzyć o tym teraz? Polska niepodległa z dostępem do morza!!! Na razie to jeszcze marzenie. Musimy jednak walczyć o coś w rodzaju Księstwa Warszawskiego, Piemontu Polskiego, a gdy to zdobędziemy, będziemy mogli wywalczyć i dostęp do morza!

Wybieram się już stanowczo na front. Tylko nowy komendant szpitala Czech, kpt. Made, nie chce mnie na front zakwalifikować. Spośród 16 legionistów, którzy jeszcze w szpitalu zostali wybrał 8, którzy mogli wyjechać. Wkrótce już nie będzie legionistów w Rabce. Przyjechało 4 sanitariuszy austriackich, naturalnie „Pepiczków“, ma jeszcze przyjechać 6. Stopniowo usunie się wszystkich legionistów. Zapowiedziano już przyjazd żołnierzy austriackich. Ze mną w pokoju zakwaterowano oficera austriackiego, ale Polaka, por. Zdzieńskiego.

Metodycznie likwidowano szpital legionowy w Rabce. Równocześnie zwinięto szpital legionowy w Zakopanem. Nie wiadomo komu na tym zależało, aby wzorowe szpitalnictwo legionowe zniszczyć. Widocznie c. k. Austriaków razi już słowo „Legiony“. Tam na froncie — to ich nie razi krew legionowa, ale tu bohatersko walczą ze wszystkim, co legionowe. Już i w Krakowie skasowano odrębny szpital legionowy. Podobno i Lublin skazany jest na zamknięcie.

Rok temu szykanowano nas na Śląsku, ale było to bezpośrednio po sprawie Legionu Wschodniego, w okresie nieporozu-

mień, a dziś? Świadczy to jedynie o planowej robocie Austriaków, którzy nie chcą dopuścić do żadnej samodzielności Polaków. A tymczasem tam na froncie ustaliła się pozycja zimowa. Połączono wreszcie wszystkie trzy Brygady legionowe na zimowe leża, rozłożyły się gdzieś między Styrem a Stochodem i wśród błot i trzęsawisk bronią dostępu Moskalom do oswobodzonego Królestwa.

W walkach październikowych i listopadowych zginęło wielu dobrych towarzyszy broni i kolegów. Zginął ppor. Bronisław Mansperl (Haber). Wyszedł z kadrówką i padł jako jej komendant. Wzięty do niewoli ppor. Mieczysław Marusiński (Lelum), nie wiadomo, czy z niej kiedy wróci. Tak byli pewni, że już ich wojna oszczędzi? Zginął też ob. Kratowicz, były podoficer zafrontowy w plutonie, z którym wyszedłem w pole, ostatnio komendant 2. kompanii, zginął dowodząc V baonem.

Zabity został ppor. Spława-Neyman z VI baonu i ppor. Ceniowski. Ranny jest ppor. Czuszkiewicz, który maszerował z nami do Konar w półbaonie uzupełniającym.

Nasz pułk walczył pod Stowycorowem i Koszyszcami tracąc ciężko rannego por. Kostka-Aleksandrowicza, komendanta 3. kompanii. Ranny jest również ppor. Władysław Wąsik, towarzysz mój z 1. kompanii.

Zginął jowialny, zawsze pełen humoru por. Sternschuss, z własnej woli szeregowiec I Brygady. Do niewoli dostał się Stanisław Jeleniewski, sierżant w kadrówce, brat mego kolegi jeszcze ze szkoły realnej w Łowiczu. Zginęli koledzy z 4. p. p. por. Klisiewicz i chor. Szumski, mój szlafkamrat z Bolesławia. Wzięto do niewoli komendanta baonu w II Brygadzie kpt. Trojanowskiego („Szaleńca”), ongiś przy marszu z Krakowa komendanta 10 kompanii, którego podobno powiesili. Straszne żniwo zebrała śmierć tej jesieni w naszych szeregach!

Toteż przykro mi, że siedzę tutaj w wygodnych warunkach, kiedy tam towarzysze broni w śniegu lub błocie muszą sterczeć wśród bagien Wołynia. Mam dość już tego „austriackiego” szpitala i wogóle „hinterlandu”. Ale czekam na decyzję na próżno. Wojna jeszcze nieprędko się skończy. Pokonana Rosja, niemal cały zabór rosyjski wolny od wroga. Mocarstwa centralne zniszczyły Belgię i Serbię. Czarnogóra lada dzień broń złoży. Ani wojska francusko-angielskie, ani Włosi nie mogą jakoś przełamać frontu niemiecko-austriackiego. A mimo to na pokój się nie zanoszą. Może więc wojna przeniesie się do Egiptu, Indii i Trypolisu, ale pokój nieprędko nastąpi. A na wojnie zawsze lepiej na froncie, niż na „hinterlandzie”.

18 grudnia przyjechał z Nowego Targu dr Dąbrowski. Zgłosiłem się do niego i proszę, aby zakwalifikował mnie na front. Nie-

stety był bardzo krótko i nie miał czasu mnie zbadać, dał mi więc kilkudniowy urlop na święta do Krakowa i obiecał, że zaraz po świętach będę mógł wracać na front. Pojechałem więc do Krakowa, byłem na wili w „Sokole“, gdzie Liga Kobiet przyjmowała legionistów. 25 grudnia nad ranem wróciłem do Rabki. Zastałem już nowego komendanta dr Wachtla. W 3 dni później zbadał mnie gruntownie i wreszcie uznał za „zum Front tauglich“. Zwyczajem austriackim mogłem jechać do kadry lub po 2-tygodniowym urlopie wrócić na front. Po kuracji szpitalnej odsyłano w zasadzie wszystkich legionistów do Domu Uzdrawieńców do Kamińska, skąd trafiało się do kadry w Kozienicach. W wypadku uzyskania urlopu do domu można było od razu zameldować się na stacji zbornej, skąd odsyłano wprost do pułku.

Ostatnie dni pobytu w Rabce, kiedy czekałem na dokumenty z Militärkommando w Krakowie, spędziłem w miłym towarzystwie chor. Władysława Starzeckiego z 7. p. p. austriackiej. I wreszcie 13 stycznia w nocy wyruszyłem. W Krakowie zatrzymałem się na jeden dzień i ruszyłem dalej do Łodzi do rodziców, których od 1½ roku nie widziałem.

Pociągiem austriackim dojechałem do Żąbkowic i tu przesiadłem się na pociąg niemiecki, idący w kierunku Warszawy. W wagonie spotkałem por. dr Zygmunta Szymanowskiego, od którego dowiedziałem się, że władze niemieckie nie puszczają legionistów na teren swojej okupacji bez wizy rezydenta austriackiego w Warszawie.

Mimo to wysiadłem w Koluszkach i dojechałem bez przygód do Łodzi. Na dworcu Fabrycznym, przezwanym przez Niemców Warszawskim, wsiałem w dorożkę i przez nikogo nie zatrzymany, przyjechałem do rodziców na ulicę Słowiańską 15.

Po tak długim niewidzeniu radośnie witany przez rodziców niedługo mogłem się nimi nacieszyć. Nazajutrz otrzymałem polecenie z Ortskommando, aby natychmiast wyjechać.

Udałem się do Piotrkowa. Zastałem tam wszystko pogrążone w głębokim śnie: Wszystkie biura Departamentu Wojskowego funkcjonowały jak c. k. biura austriackiej monarchii. Siedziałem tam beczynnie, oczekując aż z Warszawy nadejdzie zezwolenie na pobyt mój w Łodzi.

W ten sposób prawie połowę urlopu przemarnowałem na czekanie na owo zezwolenie. Widziałem się tylko z Piotrem Góreckim, który poinformował mnie o sytuacji politycznej. Aż wreszcie pan generał-gubernator Beseler raczył zezwolić na pobyt w Łodzi.

W Łodzi spotkałem Kazimierza Sawickiego, który był odkomenderowany do P. O. W. Nie bardzo wówczas rozumiałem do czego P. O. W. jest Komendantowi potrzebna. Ale skoro Komendant przykłada do tego wagę, to widocznie ma jakieś zamiary,

których na razie nie rozumiem. Kazik, jak zawsze, pełen zapału, mówi, że robota poszłaby dobrze, tylko brak mu ludzi. Ja nie bardzo paliłem się do tej roboty, wydawała mi się użyteczniejsza służba w szeregach. Życzyłem jednak Kazikowi powodzenia i... „prędkiego powrotu do Brygady“.

Spotkałem tam również mego kolegę jeszcze ze szkoły Wróblewskiego w Warszawie, Mieczysława Kwiatkowskiego. Był on konsekwentnym zwolennikiem lewicy P. P. S. i „pracy organicznej“ w ruchu robotniczym. Zaprowadził mnie do Domu Robotniczego, pokazywał rozwój związków zawodowych, ale te rzeczy nie brały mnie zupełnie. Robotnicy, którzy mnie widzieli w mundurze, patrzyli na mnie niechętnie. Widząc to zwróciłem uwagę Kwiatkowskiemu, że wychowuje robotników w niechęci do wojska, na którym przyszłe państwo polskie będzie musiało się oprzeć. On natomiast uważał, że jest to naturalna reakcja klasy robotniczej „przeciwko militaryzmowi“.

Przyjrzałem się życiu codziennemu ludności cywilnej pod okupacją. Zobaczyłem, jak trudno jest o chleb, o cukier, jak ludność ta gnębiona jest przez okupantów. A mimo to ta nieliczna garstka, która solidaryzowała się z Legionami, uważała to wszystko za drobnostki wobec wielkiej Sprawy, dla której walczyły Legiony. W domu wprost nie chciano mi dać się zainteresować tymi sprawami. Matka chciała, aby urlop mój był tylko przyjemny. Mimo to widziałem wszystko. Widziałem także, że środowisko, w którym żyli moi rodzice jest nieliczne, że olbrzymia większość społeczeństwa nie tylko nie rozumie wysiłku Legionów, ale wogóle nie dorasta do zrozumienia idei niepodległości. Cierpi w czasie okupacji, nie zdając sobie sprawy z tego że cierpi z własnej winy, bo nie umie się zdobyć na własny wysiłek, nie umie wytworzyć takiej siły, z którąby okupanci musieli się liczyć.

W ten sposób upłynął mi urlop i 26 stycznia wyjechałem z Łodzi, aby wieczorem tegoż dnia stanąć w Dziedzicach. Na stacji zbornej nikogo nie zastałem. Szukałem jakiejś władzy, aż wreszcie odnalazłem komendanta kpt. Eydziatowicza w bufecie kolejowym przy szklance piwa. Wyznaczono mi miejsce na nocleg. Nazajutrz — czekam na „marszrutę“. Zachodzę do herbaciarni Ligi Kobiet. Spotykam tam koleżankę z „Promienia“ Kazimierę Tolłoczkową, która wraz z siostrami zajmuje się herbaciarnią. Dwa dni musiałem czekać na marszrutę. W tym czasie miałem ciekawą przygodę. Siedzę w bufecie kolejowym w towarzystwie kpt. Eydziatowicza i jakiegoś c. k. podporucznika pospolitego ruszenia, Polaka, którego nazwiska nie zapamiętałem, pełniącego funkcje komendanta dworca. Robił wrażenie starego szlagona, był bardzo miły i rubaszny. W pewnej chwili podchodzi do nas jakiś „cywil“ i w języku niemieckim

zwraca się z zaproszeniem, aby uświetnić swą obecnością obchód imienin cesarza Wilhelma II. Moja sytuacja była najłatwiejsza, oświadczyłem, że jestem przejazdem, więc z zaproszenia nie skorzystam. Kpt. Eydziatowicz powiedział, że ma dużo pracy i trudno mu będzie skorzystać z zaproszenia, a ów komendant dworca, Polak, oświadczył krótko, że nie obchodzi imienin obcych monarchów, choćby sprzymierzonych z nami. Niemcowi zrobiło się głupio, przeprosił i odszedł jak zmyty.

28 stycznia po pewnych pertraktacjach z kpt. Eydziatowiczem, który chciał mi dać marszrutę tylko do Kozienic do baonu uzupełniającego, zdołałem wreszcie uzyskać drogocenny dokument — marszrutę wprost do miejsca postoju mego 5. p. p. Leg., bo tak oficjalnie nazywał się 2. p. p. I Brygady. Wyruszę przed wieczorem drogą na Kraków—Tarnobrzeg—Lublin—Kowel.

W Krakowie na dworcu spotykam ppor. Podolskiego, od którego dowiaduję się, co się dzieje w baonie i kompanii. Jadę w wagonie w towarzystwie chor. Schöna z 6. p. p. W Tarnowie nie znać zupełnie zniszczenia wojennego. W Dębicy gdzieniegdzie znać jeszcze niezatarte napisy rosyjskie z czasów okupacji. W Tarnobrzegu do przedziału naszego wsiadają: por. Gigiel-Melechowicz z 6. p. p. i kpt. Szerauc z 4. p. p. W miłym towarzystwie zawsze dowcipnego kpt. Szerauca szybko mija nam czas i nawet nie zauważyłem, jak minął Lublin i stanęliśmy w Kowlu.

29 stycznia wieczorem jestem więc prawie na miejscu. Jest tu sympatyczne Kasyno legionowe. Typowy etap za linią. Kowel w ciągu tylko kilku miesięcy zmienił się nie do poznania. Pełno sklepów, wszystko można dostać. Miasto ongiś rosyjsko-żydowskie zrobiło się teraz polsko-niemieckie. Wiem już, że Brygada rozłożona jest w rejonie Maniewicze—Karasin—Leszniewka. Do Maniewicz-stacji mogę dojechać koleją, ale dalej? Do wsi Maniewicze jest kilka wiorst, a coś dopiero do Karasina, czy Leszniewki. Na szczęście spotykam dwóch oficerów naszego batalionu por. Czernego-Schwarzenberga i ppor. Stefana Roweckiego, którzy przyjechali końmi wprost z Leszniewki po jakieś zakupy. Decyduję się więc zatrzymać jeden dzień w Kowlu i 31 stycznia rano wyruszę w drogę do pułku. Jedziemy znaną mi drogą na Bilin, Skulin, Kreczewicze, Czeremoszno, Smolary.

W Czeremosznie zdecydowaliśmy zatrzymać się na nocleg. Nazajutrz jedziemy dalej na Czersk, Trojanówkę, Hradyskę, Nową Rudę do Leszniewki, gdzie też 1 lutego około 4 po południu zameldowałem się w pułku. Kpt. Sław oświadczył mi, że mój pluton w 4. kompanii objął kto inny, więc na razie przydzielił mi z powrotem do 1. kompanii. Po czteromiesięcznej przerwie znalazłem się znowu w Brygadzie i w swojej dawnej kompanii.

ZIMOWE LEŻA NA POLESIU

(Leszniewka — Jezierce)

Kapitan Narbutt przyjął mię, jak zawsze, bardzo serdecznie. I pluton miał nadal ppor. Warski. Ponieważ w kompanii nie było rannego ppor. Wąsika, dowódca kompanii zastępczo powierzył mi jego II pluton. Rozejrzałem się w Leszniewce. Dość miło tu było. Mieszkaliśmy w chałupach, ciepło i wesoło. Nic nie było do roboty. Odpoczynek w całej pełni.

Leszniewka, nędzne miasteczko, ewakuowane prawie całkowicie, idealnie nadawało się na leża zimowe. Stał tu tylko nasz 5. p. p., reszta Brygady rozlokowana była w Karasinie, Maniewiczach i okolicy.

Jedyną przykrością, jaką miałem, było anulowanie przez komendanta pułku nominacji komendanta baonu na „komendantów plutonu“. Dotknęło to cały szereg komendantów plutonów w naszym baonie: Artura Maruszewskiego, Lucjana Janiszewskiego, Ojczulka-Czachowskiego, Busse-Guzowskiego. Mnie w tym czasie w baonie nie było, ale obecnie wezwał mię kpt. Sław do raportu baonowego i polecił naszyć odznaki sierżanta. Nie mógł się z tym pogodzić ppor. Warski, który radził mi stanąć do raportu pułkowego, gdyż uważał, że komendant baonu nie ma prawa degradować, a rozkaz naszywania odznak sierżanta za taki uważał. Nie chciałem jednak walki w tej sprawie, więc do raportu pułkowego nie stanąłem. Naszyłem odznaki sierżanta i objąłem II pluton. Pluton ten nieznośny był za czasów, gdy podoficerem zafrontowym był tam sierż. Rawicz-Działowski, obecnie, gdy funkcje te objął sierż. Józef Wojno-Szczepanowski, pluton zmienił się nie do poznania: Miło więc było w plutonie, pracującym jedynie nad ubieraniem chałupy świerkami, wysypywaniem piaskiem obejścia itp. Cała Leszniewka była czysto utrzymana. Ulice nazwano imieniem Komendanta Piłsudskiego, szefa Sosnkowskiego itd. Wybudowano drewniane trotuary, jednym słowem zeuropeizowano to biedne i zapuszczone miasteczko.

Dni w Leszniewce płynęły dość jednostajnie. My prócz odpraw, raportów i rozkazów nie mieliśmy nic do roboty. Kompanie cho-

dziły kolejno, (prócz 4., która była odkomenderowana na „Jagdkommando“) na roboty około „drogi Komendanta Piłsudskiego“ do Karasina, budowanej pod kierunkiem saperów. My odwiedzaliśmy kolejno inne kompanie, graliśmy w karty lub mieliśmy zabawę z „dzieckiem“ kompanii małym Adasiem Kuleszą, przezywanym przez nas Abrahamem Kaloszem. Był to mały chłopiec rodem z Zawiercia, sierota, którego przygarnęli Bośniacy z 3. p. Bośniackiego. Przebył on całą wojnę z nimi, przeszedł oblężenie Przemyśla, dostał się do niewoli, uciekł stamtąd i za to został mianowany „fajtrem“. 3. p. Bośniacki, za karę zamieniony następnie na „Arbeitsabteilung“, stał teraz w Leszniewce. Od nich uciekł „Kalosz“ i przystał do nas. Ppor. Warski uczył go czytać i pisać, a my wszyscy mieliśmy z niego wielką uciechę.

Raz wybrałem się do Karasina, obecnej stolicy I Brygady, spotkałem tam kolegów z 1. p. p. i ułanów od Beliny. Kiedy wróciłem, dowiedziałem się, że cały nasz baon idzie na pozycję. Tak dobrze było w Leszniewce, cała Brygada na odpoczynku, a nasz baon musi maszerować.

Raniutko 10 lutego — zbiórka. Odebrał raport komendant pułku major Berbecki. Pożegnał nas okrzykiem „Idźcie po nowe wawrzyny, wróćcie z haubicami i tysiącem jeńców“. Nowa orkiestra pułkowa, zorganizowana na Wołyniu, pod kierunkiem sierż. Madejskiego żegnała nas dźwiękami marsza.

Szliśmy na Griwę, pograniczną wieś Wołynia i Polesia, przez Czerewiszczę—Rudkę do Szyni, leżącej już w pow. pińskim „na Litwie“, jak się wówczas mówiło. Tu rozkwaterowaliśmy się na noc. Zaledwie po dwie chałupy wypadło na kompanię, przy tym chałupy zimne, na pół rozwalone. Spaliśmy jak śledzie w beczce. Zaduch był straszny, ale za to ciepło. Ppor. Warski, który rozdelał kwatery, dał lepsze memu plutonowi, niż swemu własnemu.

Nazajutrz maszerujemy dalej przy trzaskającym mrozie po chrzęszczącym śniegu. Okazało się, że niepotrzebnie nadrobiliśmy kilkanaście kilometrów. Zamiast iść w kierunku Kuchockiej Woli powinniśmy maszerować w kierunku 9. K. T. D. (czyli 9. dyw. kawalerii austriackiej), stojącej pod Jeziercami. „Mapa się skończyła i komenda się pomyliła“:

Zawracamy więc i ciągle wśród lasów i błot Polesia maszerujemy na tzw. „Fröhlichsdorf“, leśną osadę Austriaków mjr. Fröhlicha do „Kaiser Josephsdorfu“, gdzie na „Jagdkommando“ stała nasza 4. kompania.

„Fröhlichsdorf“ robił wrażenie jakiejś kozackiej osady na Dzi-
kich Polach. Ze wszystkich stron otoczony częstokołem i drutami
kolczastymi był wysuniętym „Stützpunktem“ grupy majora Fröh-

licha, którego zadaniem było obserwowanie ruchów nieprzyjaciela, gdyż każdej chwili mógł się przeprawić po zamrzniętych bagnach i przejść na nasze tyły. Poza tym miał on robić wyprawy w stronę nieprzyjaciela dla chwytania jeńca i zasięgnięcia języka. Wyprawy te najczęściej kończyły się na „Tabalabergu“, gdzie można było schwytać jeńca, bo tam żołnierze rosyjscy robili wyprawy po siano, które przepadnie, gdy śniegi i lody stopnieją. Wśród załogi „Fröhlichsdorfu“ był także dywizjon ułanów Beliny, biorący udział we wszystkich wyprawach. W czasie jednej z takich wypraw zginął mój towarzysz ze szpitala w Lublinie ul. Oster-Ostrowski, uczestnik szkoły letniej strzelca w Oleandrach i b. kadrowiec.

O zmroku przemaszerowaliśmy na miejsce do Kaiser Josephsdorfu. Wyznaczono naszej kompanii zimne bez okien ziemianki na tzw. polskiej „Jagdkommando“ (była jeszcze austriacka i niemiecka.) Opodal w odległości mniej więcej 1½ km we właściwym „Kaiser Josephsdorfie“ mieściła się Komenda naszego baonu z pozostałymi kompaniami, obok 6. p. ułanów austriackich.

Miałem służbę w baonie. Musiałem więc pójść do Komendy baonu, gdzie przesiedziałem do północy. Ponieważ było bardzo ciasno, więc Komendant baonu zdecydował, abym wrócił na noc do kompanii. Wychodzę więc w ciemną noc i idę w kierunku kompanii. W lesie w nocy niezmiernie trudno się zorientować, dróg nie ma, a tylko w różnych kierunkach rozchodzące się koleiny. Gdy maszerowałem z baonem nie obserwowałem drogi, bo nie przypuszczałem, że będę musiał w nocy wracać. Idę więc poomacku, świateł w nocy palić nie wolno. Toteż jedyną wskazówką są odgłosy nawołujących się posterunków ułanów. „Ullane Józek“ — Ullane Wojtek“ słychać co chwilę, świadczy to o tym, że idę wzdłuż linii 6. pułku ułanów austriackich, złożonego z „Mazurów“, jak w Galicji nazywano chłopów polskich z pogranicza językowego polsko-ruskiego.

Maszerowałem, jak mi się zdawało, drogą prowadzącą do kompanii. Tymczasem jakoś ziemianek naszej kompanii nie spotykam. Nie mogę zorientować się w czasie, ale wydaje mi się, że uszedłem już ze 3 km, a na ziemianki nie natrafiam. Brnę w śniegu, potykam się o pieńki drzew, odgłosy posterunków ucichły, zaczynam obawiać się, czy nie pobłądziłem. W nocy i w lesie najniebezpieczniej wracać, bo można kręcić się w kółko do świtu. Zastanawiam się, co robić. Decyduję się iść przed siebie, a może natrafię na jakiś posterunek. Idę więc chyba z godzinę. Las dokoła i żaden odgłos ludzki nie dochodzi. Czy idę w dobrym kierunku? A może przeszedłem już linię posterunków i zbliżam się do nieprzyjaciela? Na samą myśl o tym włosy mi dęba stają. Co robić? Nagle widzę, gdzieś daleko światełko. Idę więc w tym kierunku, jakkolwiek zbaczam z drogi, którą się posuwałem. Cichutko się podkradam do świa-

telka, aby sprawdzić, czy to przypadkiem nie nieprzyjaciel. Kiedy już jestem niedaleko widzę, że światelko pali się w oknie jakiejś ziemianki, niespodziewanie zza drzewa wyłania się żołnierz, który mnie zatrzymuje groźnym „Halt! Wer Da“? Ucieszyłem się, słysząc język niemiecki, a nie rosyjski, ale jednocześnie orientuję się, że mam zapisane na kartce hasło w kieszeni, ale odczytać go nie mogę, a nie przypuszczając, że może mi być potrzebne, nie zapamiętałem go sobie.

W tym momencie błysnęła mi myśl, że na Austriaka trzeba krzyknąć, to się zdetonuje i nie będzie o hasło pytał. Krzyknąłem więc coś, aby natychmiast prowadził mnie do swego Komendanta i potulny ułan, czy dragon — usłuchał. Odprowadził mnie do ziemianki, gdzie zastałem oficera, któremu wyjaśniłem swoją sytuację. My należeliśmy do 9. dyw. kawalerii, ja natomiast znalazłem się już na odcinku 6. K. T. D.

Po zorientowaniu się na mapie musiałem więc wyruszyć w odwrotną drogę i do kompanii dotarłem nad ranem.

Nazajutrz wezwano nas do Komendy dywizji. Feldmarszałek — porucznik (gen. dyw.) Leonhardi, pono Polak z pochodzenia, mówiący jednak bardzo słabo po polsku, nakazał przegląd batalionu. Po przeglądzie zarządził jakieś ćwiczenia, niezbyt mądre jak wszystkie ćwiczenia austriackie, potem defiladę i naturalnie na zakończenie: obowiązkowa przemowa do oficerów. Mówił po niemiecku, więc większość z nas nic nie rozumiała.

Po tym zaprezentowaniu się w dywizji zabraliśmy się do uporządkowania ziemianek. Wprawialiśmy okna, ustawialiśmy piecyki, wzięliśmy się do robienia mebli itp. Mieliliśmy dużo czasu, bo byliśmy rezerwą dywizji. Leonhardi bardzo się nami interesował. Wydawał różne instrukcje, zalecał ćwiczenia. Musztra odbywała się codziennie rano. W końcu zarządził strzelanie. Była tu pięknie urządzona strzelnica za Komendą dywizji przy „Leonhardistrasse“, otoczona licznymi budynkami, bramami ubranymi zielenią itp.

Wreszcie zaczął się jednak wtrącać do naszego regulaminu wewnętrznego. Zarządził na przykład, abyśmy salutowali nie dwoma palcami, lecz całą ręką po austriacku, gdyż oficerowie austriacy uważają to za lekceważenie ze strony naszych żołnierzy. Nawiasem mówiąc żołnierze austriaccy przeważnie unikali naszych oficerów, lub przechodzili nie salutując. To wywoływało awantury. Przyjechał nasz Komendant pułku i zrobił Leonhardiemu awanturę. Podstuchiwaliliśmy telefonicznie jego rozmowę z dywizją i cieszyliśmy się z tego, jak nasz Komendant pułku, jakkolwiek słabo mówił po niemiecku, ale jak umiał, tak im urągał.

Tymczasem ledwieśmy się jako tako urządzili na nowym locum, już przydzielono naszą kompanię do 9. dywizjonu strzelców spiesz-

nych, jako rezerwę pułkową. Przenieśliśmy się do „Hermannsdorfu“, gdzie dano nam wcale ładne ziemianki. Zwłaszcza mnie dostała się bardzo miła ziemianka dwuosobowa, gdzie ulokowałem się razem z moim zastępcą sierż. Wojną.

Major — komendant 9. Schützen-Divisionu przyjął nas bardzo miło, ale służba była ciężka. Nocna służba ubezpieczeniowa, roboty na pozycji, która była istotnie wspaniale urządzona i świetnie umocniona, wreszcie zebrania oficerskie dopełniały obrazu. Zebrania prowadził Polak, dowódca 1. p. dragonów płk. Serda, który zameczał oficerów różnymi zadaniami taktycznymi. Ja, jako nie — oficer I Brygady zwolniony byłem z zebrań oficerskich, na co nie narzekałem wcale. Sytuacja moja ciągle była ciężka i niewyraźna. Wprawdzie w raportach kompanii byłem prowadzony jako oficer i za oficera uważany przez pułk, ale baon traktował mnie jako podoficera. Los mój dzielili zresztą inni komendanci plutonów, mianowani przez kpt. Sława: Busse-Guzowski, Czachowski i Kmicic z 4. komp., Maruszewski z 2. i Janiszewski z 3. Jeszcze w Rubiance pod Kamieńcem kpt. Sław podał Bussego, mnie, Czachowskiego i Janiszewskiego do nominacji na podporuczników. Były wolne miejsca w baonie po śp. ppor. St. Długoszu i ppor. Nawrocie-Maxymowiczu, ale nominacje nie przychodziły.

Poza tym jednak wewnętrznie pełniłem służbę oficerską w kompanii, toteż gdy w najbliższą niedzielę major-komendant dywizjonu zarządził mszę polową, odprawianą przez kapelana austriackiego, na mnie wypadła kolej poprowadzenia kompanii. Kiedy przymaszerowałem na miejsce, zastałem wszystkich oficerów zgromadzonych przed ołtarzem, a żołnierzy ustawionych w dwurzędach po obu bokach ołtarza. Dla nas zostawiono honorowe miejsce nawprost ołtarza. Ustawiłem kompanię i stoję obok. Major zaprasza mnie do środka, ja jednak korzystając z przywileju nie-oficera, wolałem pozostać przy kompanii. Major zawiadomił mnie przez ordynansa, że po mszy chóralnie po polsku będzie śpiewany hymn austriacki: „Gott erhalte“. Przez cały czas mszy głowiłem się, jak wybrnąć z sytuacji. Żołnierze moi „Boże wspieraj“ śpiewać nie będą, zresztą nie umieją. Żołnierze austriaccy, przeważnie Niemcy i Czesi, także po polsku śpiewać nie będą. Wyjdzie skandal. Czekam końca mszy. Jakiś żołnierz austriacki zaczyna po polsku: „Boże wspieraj“ inni bardzo słabo wtórują mu w swoich językach. Ja daję komendę „Baczność“! Major patrzy na mnie z oburzeniem, przysyła ordynansa, abym dał: „Spocznij“, żeby moi żołnierze mogli śpiewać. Ja mu odpowiadam, że nie mogę, bo nasz regulamin przewiduje, że w czasie hymnu stoi się na „baczność“. Robię głupiego. Śpiew nie idzie. Po prześpiewaniu jednej zwrotki sko-

menderowałem „Czwórki w prawo zwrot“ i pośpiesznie odmaszerowałem unikając tłumaczeń przed majorem.

Gdy wróciłem do ziemianek, już ppor. Warski otrzymał rozkaz stawienia się do dywizjonu. On jeden władał biegle językiem niemieckim jako oficer rezerwowy austriacki. Major był oburzony, ale ppor. Warski zdołał mu jakoś wytłumaczyć, że kompania złożona z Królewaków nie zna hymnu austriackiego, a ja jako Królewak zastosowałem zwyczaje, które przyjęte są pod tym względem w Królestwie.

W końcu lutego wrócił ppor. Wąsik. Musiałem mu oddać pluton. Zaczynały się dla mnie ciężkie chwile. Zostałem znowu bez funkcji. Tymczasem wróciliśmy do rezerwy dywizji. Ledwieśmy jednak tam przyszedli znowu przydzielono nas do 1. pułku dragonów płk. Serdy. Nie było tam żadnych ziemianek i w ogóle gdzie głowy skłonić. Żołnierze musieli cisnąć się po austriackich ziemiankach. Ja wobec tego zostałem w drugiej linii przy taborze, bo w pierwszej nie miałem i tak nic do roboty. Toteż tylko codziennie chodziłem za Wiesieluchę w odwiedziny do kompanii. Tymczasem z początkiem marca wyjechał na urlop ppor. Warski, więc znowu zastępczo objąłem swój (z okresu letniej ofensywy 1915 r.) — I pluton.

Na odcinku 1. pułku dragonów musieliśmy się wziąć do roboty. Budowaliśmy ziemianki dla poszczególnych plutonów. Najładniej wypadła, choć najdłużej trwała, budowa ziemianki I plutonu. Początkowo kierował robotą sierż. Bąbiński, później ja.

Dni nam płynęły dość przyjemnie. Wiosna zbliżała się. Było coraz cieplej. Aż nadszedł dzień 19 marca, imieniny Komendanta, w I Brygadzie tradycyjne już święto. Kpt. Narbutt polecił mi przemówić do kompanii. Zebrana kompania wysłuchiwała mego okolicznościowego przemówienia, po czym urządziliśmy zabawę żołnierską. Żołnierze poprzebierali się w suknie kobiece, sprowadzone z opuszczonych chałup w Jeziercach, urządzili bal. Tańcom i śpiewom nie było końca. Ppor. Wąsik przywiózł z sobą aparat fotograficzny, więc fotografowaliśmy całą uroczystość. Sąsiedzi nasi, „pepicy“ z 1. p. dragonów zebrali się wokół naszych ziemianek i przyglądali się naszej zabawie, przynieśli gramofon, grali i śpiewali z nami piosenki legionowe.

Ziemianki nasze na dzień 19 marca doprowadzone były do najwyższego komfortu, przed ziemiankami urządziliśmy klomby z kamieni i cegieł, a „kolonię“ naszą w tym dniu uroczystie nazwaliśmy „kolonią Piłsudskiego“ i odpowiednie napisy umieściliśmy przy wejściu i wyjściu z rejonu naszego osiedla. Dla uczczenia natomiast płk. Serdy, z którym byliśmy w znakomitych stosunkach, ulicę wzdłuż ziemianek nazwaliśmy ulicą płk. Serdy. Teraz, kiedy

płk. Serda był naszym bezpośrednim komendantem, bywaliśmy wszyscy u niego, a on gościnnie i serdecznie nas przyjmował, studiował nasze regulaminy, prenumerował „Wiadomości Polskie“ i w ogóle, jak się zdawało „zlegionizował“ się kompletnie.

Tymczasem wrócił ppor. Warski, ale że zaraz po nim wyjechał na urlop kpt. Narbutt, a ppor. Warski objął w zastępstwie funkcję komendanta kompanii, więc ja zostałem przy I plutonie.

Moskale byli dość daleko od naszych pozycji, toteż kule karabinowe prawie nie donosiły, natomiast artyleria rosyjska od czasu do czasu urządzała nam koncerty, nie robiąc zresztą żadnej szkody.

Mimo to mieliśmy różne „austriackie“ przeglądy i alarmy. Raz o 1 w nocy komendant brygady płk. brygadier Weiss, Niemiec, dokonał przeglądu swej I Kawalerie-Brigade, do której należał 1. pułk dragonów. Przegląd wypadł dobrze, ale brygadier Weiss zrobił awanturę, że posterunki nasze zatrzymały go po polsku. Wobec tego płk. Serda nazajutrz wydał rozkaz, aby nasze posterunki w nocy zatrzymywały po niemiecku. To stało się powodem konfliktu między nami. Ppor. Warski oświadczył płk. Serdzie, że my tylko taktycznie jesteśmy przydzieleni do jego pułku i nie może on zmieniać naszych regulaminów. Wynikły nieporozumienia, które skończyły się tym, że płk. Serda, który dotąd osobiście tłumaczył nam swój rozkaz pułkowy i przysyłał tekst polski, kazał obecnie przysyłać swój normalny rozkaz napisany po niemiecku. My odsyłaliśmy go z powrotem z adnotacją, że po niemiecku nie rozumiemy. W ten sposób stosunki nasze z płk. Serdą popsuły się na dobre.

Nie przeszkodziło to, że mieliśmy nowy alarm nocny, tym razem prawdziwy. Moskale zaatakowali austriacką placówkę. Płk. Serda zaalarmował naszą rezerwę. Wśród gęstego ognia karabinowego rozwinęliśmy się i zajęliśmy okopy na szczęście bez strat. Naturalnie alarm nie był potrzebny, bo Moskale zaraz cofnęli się.

Tymczasem przyszły do Brygady nowe polskie gardy oficerskie do szabli. Ppor. Warski zapotrzebował gardy dla nas wszystkich. Komenda baonu odmówiła przyjęcia zapotrzebowania dla mnie gardy, jako nie-oficera. Tu już nie rozumiałem zarządzenia baonu, bo niby dlaczego sierżant I Brygady ma nosić gardę austriacką, jeśli może sobie kupić gardę polską. Na tle tej sprawy doszło do konfliktu pomiędzy ppor. Warskim a kpt. Sławem. Skrupiło się to na mnie, gdyż kpt. Sław ułożył starszeństwo sierżantów w baonie w ten sposób, że podoficer za frontem w moim plutonie sierż. Tura został starszym ode mnie sierżantem. To oburzyło do tego stopnia ppor. Warskiego, że polecił mi stanąć do raportu Komendy Brygady.

Nie bardzo miałem ochotę stawiać do tego raportu, bo nie chciałem narażać się kpt. Sławowi, ale ulegając opinii ppor. Warskiego, przesłałem kartę służbową z prośbą o przedstawienie mnie do raportu Brygady.

Po kilku dniach otrzymałem wezwanie do pułku. Pojechałem więc do Leszniewki. Przy raporcie pułkowym, gdy mjr Berbecki zobaczył moją „Kartę wojskową“, w której po dwukrotnej nominacji na chorążego była wpisana nominacja kpt. Sława na sierżanta, a następnie komendanta plutonu, oświadczył, że to jest nonsens, kazał mi tę stronicę karty wojskowej zalepić i wpisać tylko nominację na chorążego. W ten sposób zostałem „chorążym“ w I Brygadzie. Powiedział mi, że jestem przedstawiony do nominacji na podporucznika, a tymczasem muszę być chorążym, choć tego stopnia w I Brygadzie nie ma. Kazał mi poczekać w Leszniewce, a sam pojechał do Brygady do Karasina, aby wyjaśnić moją sprawę. Tymczasem w Leszniewce był już kpt. Narbutt, który powrócił z urlopu i znowu byłbym został bez funkcji, jedynie przypadek uchronił mnie od tej przykrej ewentualności.

Mjr Berbecki po powrocie z Karasina oświadczył mi, że wobec wyjazdu Komendanta Piłsudskiego nie mógł definitywnie mojej sprawy załatwić. Poleciał mi więc przyszyć odznaki chorążego na czas urlopu i jechać na urlop. Wobec tego, że nie ma kogo wysłać obecnie na urlop, aby kolejka nie przepadła mogę jechać obecnie, a jak wrócę to będę już niewątpliwie podporucznikiem. Z radością przyjąłem ten niespodziewany i właściwie nienależący mi się urlop. Wyjechałem natychmiast do Jezierc. Zameldowałem się kpt. Sławowi, zabrałem rzeczy z kompanii i nazajutrz byłem już z powrotem w Leszniewce.

15 kwietnia przez Karasin i Maniewiczze przyjechałem wraz z adiutantem naszego baonu ppor. Roweckim na stację Maniewiczze. Na dworcu spotkałem jadącego również na urlop płk. Serdę. Z początku bardzo oschle się z nami przywitał, a potem robił nam wymówki, że tak się do nas przywiązał, a tak mu się odpląciliśmy, że jest zupełnie skompromitowany wobec brygadiera Weissa, który i tak Polaków nie lubi. Przykro mi się zrobiło, ale trudno nie mogliśmy odstąpić od naszych niezaprzeczonych praw, choćby to miało się skrupić na płk. Serdzie.

Z Maniewiczz pojechałem bezpośrednio pociągiem na Kowel—Lublin do Krakowa. Zabawiwszy kilka dni w Krakowie, gdzie miałem do załatwienia kilka spraw związanych z moim wyekwirowaniem, wyjechałem do Łodzi do rodziców. Przedtem jednak chciałem choć na jeden dzień wpaść do Warszawy, aby po blisko pięciu latach niewidzenia zobaczyć swe rodzinne miasto.

19 kwietnia rano stanąłem na dworcu Wiedeńskim w Warszawie. Dziwnego uczucia doznałem, kiedy wyszedłszy z dworca spojrziałem po pięciu latach po raz pierwszy na moje ukochane miasto. Znowu więc jestem w stolicy, patrzę na nią, jakąś inną, niż obraz jej, który pozostał mi w pamięci.

Pozornie nic się nie zmieniło. W blaskach wiosennego słońca Warszawa wydała mi się taka, jak wówczas, gdy przed 8 laty chodziłem Marszałkowską do gimnazjum. Obejrzałem dom Nr 114 na rogu Złotej, w którym urodziłem się. Nic pozornie się w nim nie zmieniło, a jednak nie ma już ani jednego rosyjskiego szyldu, nie ma na rogach stójkowych. Jednocześnie jakoś ospale to miasto wygląda. Taki mały ruch. Brak dorożek, które długim sznurem ciągnęły niegdyś ulicami. Nie ma dwukonek na gumach.

„Pojadę na spacer w Aleje
Dorożką na gumach...”

przypomniał mi się refren jakiejś piosenki. Jeden dzień tylko zabawiłem w Warszawie, obiecując sobie wstąpić tu jeszcze w powrotnej drodze i spieszę do Łodzi na święta, bo był to już Wielki Piątek.

Przyjechałem do Łodzi rano — niezapowiedziany. Chciałem zrobić rodzicom niespodziankę. Tymczasem — nikogo nie zastałem. Rodzice, nie spodziewając się żadnego z nas, wyjechali do bratowej, mieszkającej wówczas w Widawie. Trzeba by tam jechać końmi, w Łodzi o furmankę nie tak łatwo. Zdecydowałem się więc pojechać na święta do Sosnowca do Wuja. Wieczorem byłem już w Sosnowcu. Jak zawsze serdecznie przyjęty, spędziłem święta u rodziny mej Matki.

W Sosnowcu stwierdziłem ogromny zwrot w opinii na korzyść Legionów. Widocznie działały tu już wpływy „Gazety Polskiej”, wydawanej w Dąbrowie przez prof. Janika, której byłem przygodnym korespondentem z frontu. Spotkałem tu panią majorową Berbecką oraz p. Modrzewską, którą poznałem podczas pobytu w szpitalu lubelskim. Z Sosnowca zrobiłem wycieczkę do Dąbrowy, gdzie zatrzymałem się u Stojanów Stefanowskich i spotkałem całe grono dawnych kolegów i znajomych krakowskich. Jednakże nie umiałem się przejąć sprawami, którymi oni teraz żyli. Przekonałem się, że znowu na tyłach odżyły dawne przedwojenne partie: P. P. S. i N. Z. R. i stronnictwa ludowe, a ja już tak daleko odbiegłem od tamtych „przedwojennych” czasów. Za sztandar i program starczy mi wola Komendanta, który wie dokąd nas prowadzi. Toteż nie umiałbym już pracować dla partii, gdy walczę o niepodległość, o państwo polskie. Odwiedziłem rodziców ppor. Wąsika, do których miałem zlecenia i — jadę do Łodzi.

W Łodzi nie zastałem większych zmian od stycznia. Fabryki stoją, bezrobocie straszne, nędza zrobiła wielkie postępy. Przykre wrażenie robił zamarły Manchester polski. Nic więc dziwnego, że idea nasza nie mogła w tych warunkach ruszyć szerszych mas. Zresztą byłem już daleko od przedwojennych mrzonek, że masy robotnicze i chłopskie pójdą z nami do walki o niepodległość. Zbyt długo wychowywano je w materializmie, aby mogły pojąć bądź co bądź idealistyczne hasło walki o niepodległość. Toteż do walki stanęła przeważnie młodzież i to głównie inteligencka. A w Łodzi ta garść naszych zwolenników to również niemal wyłącznie inteligencja pracująca.

Zabawiwszy kilka dni u rodziców w Łodzi, 1 maja razem z por. Witorzeńcem z 4. p. p. wyjechałem do Warszawy. Chciałem wziąć udział w zapowiadzianym pierwszym uroczystym obchodzie 3 maja. W Warszawie odnalazłem kol. Maryskę Kornilłowiczównę, spotkałem się z Tadeuszem Szpotańskim, Leonem Kozłowskim, Marylą Stachiewiczową, Stefą Kudelską, Marysią Bittnerówną. Spędziliśmy bardzo miły wieczór w koleżeńskim gronie w „Cristalu“, który w tym czasie był „modny“. Tym razem nie potrzebowałem już załatwiać licznych formalności związanych z pobytem na okupacji niemieckiej. Załatwiłem to wszystko za pierwszym pobytem w Warszawie: zameldowałem się w Passzentrale przy Generał-Gubernatorze, w Gubernii i Ortskommandantur. Wolny od tych formalności, poszedłem nad Wisłę popatrzeć na jej szare fale, byłem w Łazienkach, zaszedłem na Stare Miasto, chciałem widzieć wszystko, wszystko, aby mieć co do opowiadania w Brygadzie. Byłem w Teatrze Polskim na „Wyzwoleniu“, zaszedłem do „Nowości“ na „Królowę Kinematografu“. Odwiedziłem całą rodzinę, wreszcie wziąłem udział w obchodzie 3 maja. Nie wiem czemu nie pozwolono nam pójść w pochodzie. Oficerowie Legionów mieli polecenie zebrać się jedynie pod pomnikiem Mickiewicza. Stąd widzieliśmy ten pierwszy pochód 3-majowy w Warszawie.

Wrażenie, którego doznałem, da się porównać jedynie z wrażeniem, jakie przeżyłem 1 listopada 1905 r. Ani pochód 5 listopada 1905 r., ani obchód Grunwaldzki w Krakowie 15 lipca 1910 r. nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Kiedym patrzył na te tysiące ludzi, mijające pomnik Mickiewicza z pieśnią „Warszawianki“ na ustach, miałem przekonanie, że jest „dużo sił w narodzie“, jest w nas potęga, której wykrzesać nie umiemy, bo „ino oni nie chcą chcieć“.

Kulminacyjnym punktem pochodu był przemarsz weteranów 63 roku. Weteranów tych mieliśmy salutować. Było nas coś 50 oficerów Legionów, przeważnie z II i III Brygad. Zdaje się, że z I Brygady było nas 2 czy 3.

Po pochodzie zabawiłem jeszcze dwa dni w Warszawie, zetknąłem się z P. O. W., której celu wówczas jeszcze ciągle nie rozumiałem i 6 maja w towarzystwie por. dr Szymanowskiego, ppor. Roweckiego i chor. Michalskiego z 6. p. p. wyjechałem przez Siedlce—Łuków—Brześć do Kowla. Jechałem po raz pierwszy linią Terespolską i obserwowałem wszędzie niedostatek i głód, jaki panował na okupacji niemieckiej z powodu rekwizycji i wywożenia wszystkiego do Niemiec.

Nie zatrzymując się w Brześciu, po południu dotarłem do Kowla, a wieczorem byłem już w Maniewiczach. Przenocowawszy w „Bahnhofshotel“ w Maniewiczach, nazajutrz wyjechałem do Wolcza, aby się dostać do Brygady, która w czasie mojej nieobecności zmieniała miejsce postoju, gdyż 29 kwietnia zastąpiła II Brygadę na pozycji pod Kostiuchnowką.

Z Wolcza kołami dostałem się na nową pozycję naszego pułku.

NA POZYCJI POD POLSKĄ GÓRĄ

Brygada nasza na pozycji pod Polską Górą zajmowała wspólnie z III Brygadą odcinek od Optowej do Kostiuchnówki. W Optowej stał 4. p. p., potem kolejno 6. p. p., 1. p. p., 7. p. p. (czyli dawny 3. pułk I Brygady, złożony z V i VI baonów) i wreszcie nasz 5. p. p. (dawny 2. pułk I Brygady).

Naszej Brygadzie przypadł odcinek od słynnej reduty Piłsudskiego w lesie Optowskim poprzez wzgórze na południe od zgłiszcz wsi Kostiuchnówki, aż do sławnej Polskiej Góry (Polenberg), zajmowanej na prawo od 5. p. p. przez 3. p. honwedów węgierskich. Nasz pułk był na skrajnym prawym skrzydle Brygady. II baon w pierwszej linii obsadzał okopy na wzgórzu na południe od Kostiuchnówki, łącząc na prawo z 3. p. honwedów, na lewo zaś z obsadzającym redutę Piłsudskiego 7. p. p., od którego oddzielony był bagnistym potokiem „Garbachem“.

W rezerwie w tzw. Lasku Polskim stała komenda 5. p. p. oraz trzy kompanie I baonu. Kompania 1. stała nieco w lewo od lasku jako osłona baterii artylerii niemieckiej. Pozycję 1. kompanii nazywano „Zagłębiem“ pomiędzy wydmami piaszczystymi, porośłymi krzakami.

Bezpośrednio po przyjeździe zameldowałem się w pułku, baonie i kompanii i z rozkazu kpt. Narbutta objąłem pluton III w zastępstwie ppor. Podolskiego, który w czasie mego urlopu zachorował i wyjechał do szpitala.

Mjr Berbecki oświadczył mi na wstępie, że lada dzień wyjdą nominacje nowych oficerów i sprawa moja niewątpliwie będzie załatwiona oraz polecił mi na ogólnym zebraniu oficerów w kasynie opowiedzieć szczegółowo, co widziałem w kraju, a zwłaszcza w Warszawie.

9 maja ogłoszono nominacje, major Berbecki został podpułkownikiem, a w naszym baonie podporucznikami zostali: Busse-Guzowski, Lucjan Janiszewski i Paweł Stefański. Ten ostatni był zawodowym oficerem rosyjskim (porucznikiem), wziętym do niewoli niemieckiej, skąd uciekł i przedostał się do Legionów, służąc jako szeregowiec w naszym baonie. Ja znowu zostałem pominięty,

prawdopodobnie wskutek mojej nieszczęsnej nominacji austriackiej. Taka już była ta I Brygada, że po roku służby, na froncie po tyłu bitwach, przebytych w Brygadzie, nie mogła mi zapomnieć tego, że przyszedłem do niej z nominacją austriacką, którą otrzymałem na tyłach.

Przygnębiony tym faktem, nabrałem nowego ducha po rozmowie ze starym ob. Michałem (Aleksandrem Sulkiwiczem), który przyszedł do Brygady i był szeregowcem w 4. kompanii. Wstyd mi się zrobiło, że ob. Michał tak zasłużony działacz niepodległościowy, ongiś mój szef w służbie cywilnej w Kielcach, jest dziś szeregowcem i już nic sobie nie robiłem z tego, że kpt. Sław, mimo skreślenia przez pułk jego nominacji na sierżanta, przy raporcie baonowym ponownie polecił mi naszyć odznaki sierżanta.

Tymczasem w naszej detaszowanej do „Zagłębia“ kompanii sympatycznie upływał nam czas.

Na mieszkanie wyznaczono mi ziemiankę wspólnie z ppor. Warskim, którego bardzo cenilem i lubilem, i por. Duninem („Pogoniem“), który był przydzielony á suite przy naszej kompanii.

Wiosna była w całej pełni. Cały dzień wygrzewamy się na słońcu wśród cudownego zapachu lasu i rozwijających się kwiatów polnych.

Ziemianki mamy wspaniałe. Komfort, o jakim nam się dotąd nie śniło. Mamy łóżka, a raczej prycze, półki, stoliki, nawet stolki do siedzenia. Wygodnie tu, jakby na „hinterlandzie“.

Po raz pierwszy mamy na pozycji kasyno, gdzie jadamy na talerzach. Jest to kasyno pułkowe, ale jadają tam tylko oficerowie naszego baonu i Komendy pułku, bo II baon jest w 1 linii. Ja, jako „gażysta“, jestem dopuszczony do udziału w kasynie, gdzie otrzymujemy obiady z 3 dań i gorące kolacje. Poza tym gramy w football, krokieta, karty itd.

21 maja nasza kompania urządziła zabawę żołnierską z tańcami, która wypadła jeszcze lepiej jak zabawa 19 marca. Oficerowie z innych kompanii odwiedzili nas w Zagłębiu i uczestniczyli w naszej zabawie, po czym „damy“ (tj. żołnierze poprzebierani za kobiety) zostały zaproszone do kasyna oficerskiego, gdzie odbywały się tańce przy dźwiękach orkiestry pułkowej.

28 maja w Optowej, a raczej w „Rojówce“, obchodzono rocznicę powstania 4. p. p. Na uroczystości tej były delegacje wszystkich pułków i w ich obecności płk. Roja zadeklarował się jako zdecydowany Piłsudczyk. Gen. Grzesicki przedstawił go za tę deklarację do raportu Komendy Legionów.

30 maja odwiedził nasze okopy ks. biskup Bandurski, nieoficjalny nasz biskup polowy, oraz ks. Zdzisław Lubomirski. Na-

stępnego dnia mieliśmy znowu inspekcję nowego Komendanta Legionów, gen. Puchalskiego, w towarzystwie płk. Zielińskiego.

Przyjeżdżali też na pozycję delegaci Departamentu Wojskowego inż. Stanisław Downarowicz i prof. Stanisław Grabowski, którzy przywozili nam różne nowiny, dotyczące zamiarów niemiecko-austriackich co do losów Królestwa Polskiego.

Odcinek, który zajmowaliśmy, nie odznaczał się zbyt ruchliwością bojową. Pozycje 7. p.p. i 1. p.p. ciągnęły się w lesie, gdzie nawet pozycje rosyjskich nie można było dojrzeć. Jedynie nasz pułk miał okopy w otwartym polu, ale za to pozycje rosyjskie oddalone były od naszych okopów blisko o kilometr. Na całym odcinku jedynie na reducie Piłsudskiego odległość od pozycji placówki nieprzyjacielskiej wynosiła coś około 100 kroków i tam też była stale żywsza wymiana strzałów. Artyleria rosyjska bardzo rzadko się odzywała, potwierdzając w ten sposób słuchy o katastrofalnym braku amunicji w Rosji. Jedynie niebezpiecznym wydawał się nam podkop rosyjski, który rzekomo robiono pod naszą redutą. Legendę o tym podkopie pozostawiła nam w spadku II Brygada. Podtrzymywał ją nasz baon VI czyli II/7. p.p. wraz z saperami, którzy w nocy mieli słyszeć odgłosy pracy w podziemiach. Wobec tego założono z naszej strony kontrminy pod rosyjską placówkę. Na 9 maja przygotowano wybuch. Cała Brygada była tego dnia w pogotowiu. Założono 500 kg ekrazytu. Spodziewano się kolosalnej detonacji, wskutek czego zarządzono szereg środków ochronnych. Wybuch wyznaczono na godz. 1.30 w nocy. Czekamy tej chwili w napięciu. Tymczasem moment wybuchu odłożono z nieznanymi mi powodów. Z wataw w uszach czekamy cierpliwie. Nareszcie o 3.20 nastąpił wybuch. Był jednak tak słaby, że nie pozostawił żadnego prawie wrażenia. Podobno siła wybuchu poszła w głąb. Mina rosyjska nie eksplodowała wcale. Jak się w kilka dni później przekonano z zeznań jeńca-Polaka, wziętego do niewoli podczas wypadu kpt. Stefana Dęba-Biernackiego z 1. p.p., żadnej miny rosyjskiej nie było.

Toteż cały maj upłynął nam w ciszy i spokoju. Delektowaliśmy się wiosną, świeżością zieleni, zapachem kwiatów i ziół, wygrzewaliśmy się na słońcu, robiliśmy wycieczki do 1. lub 7. p.p., a niektórzy z nas odwiedzali nawet odcinki 6. i 4. p.p. Tamci oficerowie odwiedzali nas nawzajem. W ten sposób zacieśniały się coraz bardziej stosunki pomiędzy I a III Brygadą, która coraz bardziej przejmowała się duchem pierwszobrygadowym.

Z okazji święta 4. p.p. przyjechał do nas kpt. Jędrzej Galica, aby zaprosić delegatów naszego pułku na tę uroczystość. Rozmawiałem z nim przez chwilę, robił mi wyrzuty, że „uciekłem“ z 4. p.p. Dziś byłbym dawno komendantem kompanii i porucznikiem tak

jak moi koledzy: Adam Ajdukiewicz, Hubert Brzozowski, Józef Relidzyński, Feliks Gwiżdż, dr Mieczysław Jarosz, Ludwik de Laveaux, Jan Bolesławski, którzy częściowo jeszcze w 1915 r., a reszta 1. IV. 1916 zostali już porucznikami, a razem ze mną byli mianowani chorążymi, gdy ja w I Brygadzie dosłużyłem się stopnia sierżanta. Przykra mi była ta rozmowa, bo kpt. Galica mógł myśleć, że się czymś skompromitowałem w Brygadzie. Odpowiedziałem jednak, że nie tylko ja jeden jestem w tej sytuacji, gdyż Komenda Legionów wszystkich oficerów I Brygady obniża w stopniach w stosunku do oficerów innych Brygad, a nominacja porucznika innej Brygady nie zastąpi mi zaszczytu wiernej służby w I Brygadzie.

Tymczasem 31 maja o świcie zbudził nas dawno niesłyszany huk armat rosyjskich i grzechot karabinów maszynowych. Nie był to jednak huk armat, lecz wybuchy bomb lotniczych, zrzuconych na naszą pozycję przez eskadrę samolotów nieprzyjacielskich, która w składzie 8 aeroplanów przeleciała nad naszymi pozycjami. Jedna z bomb wybuchła nieopodal ziemianki Komendy baonu raniąc ordynansa batalionowego. Druga bomba wybuchła tuż obok przez nas wybudowanej kładki poprzez bagno do pozycji II baonu.

Kładkę tę budowaliśmy z rozkazu Komendy pułku, gdyż rzeczka „Garbach“, która oddzielała naszą pozycję II baonu od pozycji 7. p. p., płynąc w kierunku z północy na południe, na tyłach pozycji II baonu zaginała się płynąc w kierunku z zachodu na wschód. W ten sposób pozycja II baonu była odcięta od Komendy pułku i I baonu, będącego w rezerwie, szerokim pasmem błot, które po obu brzegach Garbachu utworzyły się na bagnistej łące. II baon miał jedyną komunikację przez most, łączący jego pozycję z pozycją 7. p. p. W ten sposób w razie cofania się, cały baon musiał skupić się na swoim lewym skrzydle. Dla bezpieczeństwa więc budowaliśmy kładkę, która wprost z Lasku Polskiego prowadziła poprzez łąkę na wzgórze, gdzie była pozycja II baonu.

Równocześnie z nalotem eskadry na nasze pozycje, inna eskadra obrzuciła Maniewiczze 25 bombami. Byli tam liczni ranni i zabici. Nagły ten wywiad lotniczy zapowiadał ofensywę nieprzyjacielską. Wiedzieliśmy zresztą z pism, regularnie teraz otrzymywanych, że Naczelnny Wódz armii rosyjskiej Mikołaj Mikołajewicz ma zamiar rozpocząć wielką ofensywę.

1 czerwca rozpoczęło się gwałtowne ostrzeliwanie naszych rezerw przez artylerię rosyjską. Kilka granatów wpadło do Lasku Polskiego, a głównie bito w naszą kompanię, gdyż widocznie „wymacano“ pozycję stojącą tuż za nami artylerii niemieckiej. Na szczęście ogień ten nie sprawił nam żadnych szkód, a odpowiedź

naszej artylerii wkrótce zmusiła artylerię nieprzyjacielską do milczenia. Artylerzyści twierdzili, że to było tylko wstrzeliwanie się do naszych pozycji.

Dwa dni mieliśmy względny spokój. Dopiero 4 czerwca przed świtem zbudziła nas gwałtowna kanonada gdzieś na południu. Kanonada ani na chwilę nie ustawała, świadcząc o tym że natarcie rosyjskie już się rozpoczęło. Przez cały dzień słychać było huraganowy ogień artylerii. Wieczorem z komunikatu urzędowego dowiedzieliśmy się, że Moskale rozpoczęli przygotowanie artyleryjskie olbrzymich mas artylerii nad Dniestrem, Strypą, Ikwą, Korminem i Styrem, koncentrując ogień huraganowy na 25 kilometrowym odcinku pod Otyką.

Nazajutrz kanonada trwała jeszcze przez kilka godzin porannych, po czym nastąpiło uspokojenie, świadczące o rozpoczęciu się natarcia piechoty. Nie mieliśmy wiadomości o postępach ofensywy rosyjskiej, jakkolwiek wstrzymanie urlopów świadczyło, że walka rozgorzała na dobre. Wieczorem komunikat głosił, że wszystkie ataki odparto. 6 czerwca na całym froncie uspokojenie, jakby po burzy. Z okopów 1. p. p. dochodzą nas dźwięki orkiestry, przygrywającej z okazji bankietu, wydanego przez 1. p. p. na cześć płk. Roji. Dopiero przed północą znać pewne zaniepokojenie na froncie. Przychodzą wiadomości, że patrole nieprzyjacielskie pojawiły się przed frontem honwedów na Polskiej Górze, jak również na froncie 11. K. T. D. pod Serchowem na lewym skrzydle Legionów.

Dziwnie omijają odcinek Legionów. Około 1 w nocy zaczęła się wściekła strzelanina. Odezwały się wszystkie nasze baterie. Moskale ukazali się już na odcinkach 4. p. p., 1. p. p. i naszym. Całą noc oka zmrużyć nie można, bo pruska bateria, stojąca w odległości kilkudziesięciu kroków od nas, wali bez przerwy. Około 5 rano nadszedł rozkaz pobudki dla naszego II plutonu. Jest on w pogotowiu na wypadek potrzeby dostarczenia amunicji II baonowi. I u nas uzupełniono amunicję do pełnej dotacji bojowej. Moskale podsunęli się pod nasze pozycje, zajęli skraj parku dworskiego w Kostiuchnowce i okopali się wzdłuż drogi do Kołodii. Około 8.30 poszedł do kontrataku ppor. Myszkowski ze swą 8. kompanią. Wskutek jednak ognia flankowego z okopów rosyjskich kontratak nasz został wstrzymany. Straciliśmy 5 rannych, jednak ogień naszej artylerii musiał im się dać dobrze we znaki, bo artyleria rosyjska kompletnie zamilkła.

Koło południa walka ustała. Z wieczornego komunikatu 7 czerwca dowiedzieliśmy się, że Moskale rozpoczęli natarcie na całym froncie od Prypeci do Czerniowiec. Szczególnie atakują front austriacki w Galicji i na Wołyniu na przestrzeni 350 km. Austriacy koło miejscowości Okna cofnęli się o 5 km.

U nas gwałtowna burza z piorunami i ulewnym deszczem położyła kres wszelkiej walce. 4. p. p. wziął 15 jeńców, 1. p. p. jednego. Moskale zajęli placówkę II/5. p. p. w parku Kostiuchnowskim, ale pod ogniem naszej artylerii musieli ją opuścić. Nad wieczorem znowu wzmożła się walka artyleryjska, aby uciszyć się dopiero przed północą.

8 czerwca zdawało się, że wszystko ustało. Ale jeszcze o 11.30 wieczorem rozpoczął się nowy atak rosyjski na całym froncie naszej dywizji (Legionów). Otwarto ogień karabinowy, zagrały nasze maszynki, a artyleria biła w linię rezerw. Istne piekło na całym froncie. Około 1.30 wszystko ucichło. Atak został odparty. Z zeznań jeńców ustalono, że atakowała nas 77. dywizja piechoty rosyjskiej. Wczoraj pułk 306., dziś 307., które przyszły w nocy z 6 na 7 czerwca spod Czartoryska, zmieniają stojącą dotąd naprzeciw nas 100. dywizję. Jeńcy zeznają, że straty ponieśli dość znaczne. Jeden z baonów 306. p. p. ma 390 ludzi strat, w tym komendant baonu ranny, a jeden z komendantów roty zabity. Komenda dywizji stoi w Bielskiej Woli. Na całym odcinku naszej dywizji atakowała ta sama 77. dywizja. Było to jedno z ogniw ogólnego ataku rosyjskiego na pozycje austriackie na Wołyniu i w Galicji. Wedle komunikatu wszędzie ataki odparto, prócz Ołyki, gdzie Austriacy cofnęli się 50 km w tył pod Łuck. Atak rozwija się również po obu stronach kolei Kowel-Sarny, głównie pod Ćminami. Moskale przeszli już wysunięte pozycje austriackie pod Miedwieżjem. Wywiad stwierdził wielkie kolumny nieprzyjacielskie, ciągnące na nasz front.

Na naszym odcinku Moskale wycofali się pod młyn na Garbachu, nie zeszli jednak poza rzeczkę, tworząc wysunięte klinem stanowisko. Artyleria słabo ich popiera, bo nie mają amunicji. Żołnierze, idący do ataku, mają po 120 ładunków. Rynsztunki składają przy Komendzie dywizji i idą do ataku bez rynsztunku. Od dwóch dni nic nie jedli.

O ile nie będzie dziś ataku, II baon przejdzie do kontrataku.

Wieczorem nadeszły pomyślne wieści. Przez Kowel miał przejechać korpus wojsk niemieckich, jadący na front pod Łuckiem. Muszą załatać dziurę, którą „dziady“ austriackie tam zrobiły. II Brygada też odeszła na front, rzekomo również pod Łuck. Wkrótce okazało się, że 2. p. p. zluzował honwedów na naszym lewym skrzydle i zajął pozycję obok 4. p. p. Ten ostatni miał znowu — sukces. Poprzedniej nocy podczas ataku na odcinku 11. K. T. D. sąsiadujące z 4. p. p. oddziały kawalerii austriackiej cofnęły się. 4. p. p. dwoma kompaniami poszedł do kontrataku i zdobył bez strat opuszczone przez honwedów stanowisko. W okopach — Mo-

skali nie było. Austriacy przestraszyli się ataku i wycofali się, a Moskale nie mieli odwagi zająć okopów...

Na odcinku naszego pułku nad wieczorem artyleria rosyjska ostrzeliwała drogę pomiędzy Komendą pułku a taborem pułkowym. W okopach II baonu został śmiertelnie ranny sierżant Żubr z 6. kompanii. Druga to śmiertelna ofiara obecnej walki, bo poprzedniego dnia jeden z ciężko rannych żołnierzy O. K. M. skonał z ran. Cmentarzyk w Lasku Polskim powiększy się ofiarami naszego pułku. Dotąd spoczywali tam tylko żołnierze II Brygady.

Około 10 wieczór zupełna cisza zapanowała na linii. Nasza kompania złuzowała 4. kompanię służbową, która poszła do okopów II baonu, aby obsadzić odcinek 5. i 7. kompanii, przeznaczonych do nocnego kontrataku.

9 czerwca o 1 w nocy rozpoczął się kontratak naszego II baonu. Por. Zdzisław Mirski-Przyjałkowski, komendant 7. kompanii, dotarł do okopów rosyjskich nad Garbachem. Artyleria nasza silnym ogniem poparła atak, Moskale nie wytrzymali natarcia. W nasze ręce wpadł karabin maszynowy i 3 jeńców z 5. rot 305. p. p. Moskale cofnęli się na swoje stare pozycje.

W ten sposób sytuacja na naszym odcinku poprawiła się. Sytuacja ogólna też uległa zmianie — na lepsze. Moskale, zaatakowawszy linię Stawogoróż—Koszyszczcze—Czernysz, wyparli Austriaków na linię Styru, ale korpus niemiecki, który przyszedł pod Kołki (a nie pod Łuck), odparł natarcie Moskali.

II Brygada nigdzie nie odeszła, jak były pogłoski. Jest w odwodzie 11. dyw. kaw. austr. 2. p. p. nie jest w linii, lecz stoi w Gałuzji, 3. p. p. w Karasinie. Bateria konna artylerii por. Knolla-Kownackiego wezwana z 9. K. T. D. przybyła na nasz odcinek.

Wobec wyczerpania II baonu kilkudniowymi walkami, wieczorem 9 czerwca nasz baon zmienił go w okopach 1. linii, a baon II przeszedł do rezerwy pułku.

Na całej linii spokój. Bezpośrednio po złuzowaniu II baonu w okopach nasza kompania jako służbowa objęła służbę ubezpieczeń. Cała kompania w ostrym pogotowiu, II pluton obsadził placówkę w parku.

Placówka była o jakie 200 kroków przed linią okopów połączona rowem dobiegowym z nami. Mieściła się na skraju parku i wskutek tego nie miała żadnego pola ostrzału. Około 1.30 w nocy ppor. Wąsik z 15 ludźmi II plutonu wyszedł na patrol do parku. Przeszedł park aż do dworu i krzyża, został tam spostrzeżony przez placówkę rosyjską, mieszczącą się z drugiej strony parku, i spowodował ogień. Mimo silnej strzelaniny zdołał wycofać się bez strat. Reszta nocy przeszła spokojnie. Dopiero około 9 rano ukazał się nad naszą linią aeroplan, który ostrzeliwał okopy z karabinu ma-

szynowego. W ślad za nim artyleria rosyjska rozpoczęła ogień. Biła szrapnelami, z których kilka pękło na moim odcinku i podziurawiło drzwi ziemianki 3. sekcji. Po południu artyleria rosyjska przeniosła ogień na nasze rezerwy. Zresztą — spokój na całej linii.

Wiadomości o sytuacji ogólnej także pomyślniejsze. Austriacy wyparci z pozycji nad Korminem aż po Kołki, przeszli do kontrataku, zajęli dawne pozycje, biorąc 8000 jeńców, 4 działa, 22 k. m.

Na całym odcinku dywizji Legionów i 11. dyw. kaw. austr., Moskale po wczorajszym bezskutecznym ataku wycofali się na swoje dawne pozycje. Patrol 6. p. p. doszedł aż do drutów rosyjskich i przyniósł stamtąd ważny meldunek sytuacyjny. Najważniejszym wypadkiem dnia dla naszej kompanii było niespodziewane przeniesienie kpt. Narbutta do 6. p. p., gdzie ma objąć komendę II baonu. Kpt. Narbutt lubiany był powszechnie w kompanii. Niezmiernie sumienny, dokładny, zdolny oficer frontowy odznaczał się rzadkim taktem i umiejętnością postępowania z ludźmi. Toteż choć był bardzo wymagający i surowy, lubiany był powszechnie w kompanii i żegnaliśmy go z niezmiernym żalem. Od dawna należał mu się batalion, żalowaliśmy tylko, że nie obejmuje naszego baonu, albo przynajmniej nie zostaje w naszym pułku. Komendę kompanii objął po nim ppor. Warski. Noc z 10 na 11 czerwca upłynęła nam zupełnie spokojnie. Koło północy widać było łunę w stronie południowo-wschodniej, gdzieś chyba nad Korminem. My wysłaliśmy patrole przed druty z komp. 3. i 4., które dotarły do zgłiszcz Kostiuchnowki i na skrzyżowanie dróg, ale nic szczególnego nie zauważyły. Wypad 1. p. p., poprowadzony przez kpt. Dęba-Biernackiego, z powodu niezwykle ciemnej nocy nie dał żadnych pozytywnych wyników.

Ja, z rozkazu komendy baonu, na wniosek ppor. Warskiego objąłem z powrotem swój dawny I pluton. Czy tym razem na długo? Jeśli znowu przyjdzie „perski“ podporucznik z tyłów, może po raz trzeci będę musiał go oddać.

11 czerwca znowu minął spokojnie. Jedynie 2. bateria 1. p. art. Legionowej, stojąca za naszym odcinkiem, ucierpiała trochę od szrapneli rosyjskich i musiała zmienić dotychczasową swoją pozycję.

My w okopach mamy kasyno batalionowe przy komendzie baonu i, o ile sytuacja pozwala, chodzimy tam na obiady i kolacje.

Noc z 11 na 12 czerwca minęła spokojnie. W dzień natomiast kilkakrotnie ostrzeliwano nasze pozycje celnym ogniem artyleryjskim. Moskale wstrzelali się doskonale w nasze okopy. W razie ich ataku musimy być przygotowani na duże straty od ognia artyleryjskiego. Szer. Pędra z mojego plutonu dostał w głowę „zegarkiem“ szrapnelowym, nabił sobie jedynie guza. Po południu przedarł się przez park patrol rosyjski, który doszedł na 50 kroków do naszej placówki.

Z komunikatu urzędowego wynika, że sytuacja nie jest tak pomyślna, jakby się wydawać mogło. Austriacy nie doszli do Kormina, jak głosił wczorajszy komunikat. Przeciwnie, Moskale pod Kołkami przeszli Styr, skąd zostali wyparci. Podobno „zafasowali“ 20 tys. Austriaków. Komendant 4. armii został odwołany!

Na Bukowinie Moskale prą naprzód i prawdopodobnie zajęli już Czerniowce. Orientować się można tylko na podstawie suchych komunikatów urzędowych, gdyż gazety nadchodzą zbyt późno, aby na ich podstawie wyrobić sobie sąd o sytuacji. Poczta dochodzi dość regularnie, ja stale otrzymuję „Gazetę Polską“ z Dąbrowy, do której od czasu do czasu przesyłam korespondencje z frontu.

Strategiczna sytuacja jest bezwarunkowo niepomyślna, ale może to politycznie i lepiej. Niepowodzenia Austriaków mogą ich zmusić do decydujących kroków w sprawie polskiej. Niedługo już rok będzie od oswobodzenia Warszawy, a Niemcy i Austriacy nie mogą się zdobyć na żadne wiążące oświadczenie, co do niepodległości Polski.

W nocy na 13 czerwca patrol rosyjski dotarł do Kostiuchnowki, poza tym dzień przeszedł względnie spokojnie. Ciągłe oczekujemy wiadomości z tyłów, ale nic nowego nie nadchodzi. Na zamówienie Tadeusza Szpotańskiego napisałem artykuł do „Widnokregu“ — o Wodzach Polski. Dałem porównanie Kościuszki, Dąbrowskiego, Poniatowskiego, wykazałem brak wodza w roku 1831 i przyrównałem do chwili obecnej. Cenzura niemiecka skreśliła wszystko, co dotyczyło Komendanta Piłsudskiego.

W nocy na 14 czerwca 4. p. p. zafasował placówkę rosyjską. Miał wziąć podobno do niewoli 36 ludzi. U nas spokojnie. Z sytuacji ogólnej najważniejszym jest oddanie Moskalom Łucka.

15 czerwca w nocy Moskale podkradli się pod nasze placówki dotarli nawet do naszych drutów. Placówki nasze odparły ich. Od rana słychać nieustanny huk armat. Znowu ogień huraganowy na południu. Nowy atak ofensywy Brusilowa. Mimo to ciągle pogłoski pomyślne. Rzekomo idą nowe transporty wojsk. Mówią o odebraniu Łucka. Rumunia miała wypowiedzieć wojnę...

Nazajutrz taki brzydki, prawie jesienny dzień. Deszcz siepie niemal bez przerwy. Siedzimy w swoich ziemiankach i gramy w preferansa. Na linii spokój. Nikomu się widać nie chce nawet nosa wyściubić na deszcz...

17 czerwca na naszym odcinku względny spokój. Widocznie jednak u Moskali nastąpiła zmiana obsady. My nie strzelamy, a u nich jakiś „Pukajło“ wlaźł na drzewo i cały czas kropi pojedynczo do naszych okopów. Został ciężko ranny w brzuch szeregowiec II plutonu Brygała. W nocy budowaliśmy nową placówkę przy lipie.

Na „hinterlandzie“ rozeszła się wieść, że całe Legiony zostały „wyfasowane“ przez Moskali. Widocznie wiadomość ta szerzyła się bardzo, skoro prasowa kwatera wojenna w specjalnym komunikacie musiała temu zaprzeczyć.

Z Brygady doszły nas wiadomości o sytuacji ogólnej. Podobno idą transporty z frontu włoskiego i francuskiego. Przez Kowel miały przejść dwa korpusy niemieckie. Czy to jednak pomoże? Dziady austriackie tylko cofać się umieją!

Mówią, że po powstrzymaniu ofensywy rosyjskiej za kilka dni odpowiemy kontrofensywą. Niemcy mają uderzyć na Sarny—Równe. Wtedy oparlibyśmy się nad Horyniem. To mogłaby być nasza wschodnia granica. Wedle gen. Prądzyńskiego miałyby to być najlepsza granica. Tylko żeby z pod Torczyna, czy Buczacza nie poszli znowu na zachód!

Nazajutrz znowu spokojnie. Tylko szer. Brygała ciężko ranny wczoraj, dziś zakończył życie w strasznych męczarniach.

Wrócił z „hinterlandu“ ppor. Marian Podolski i objął III pluton. „Dziazio“ opowiada, że widział wojska niemieckie, jadące na nasz front. Może to prawda o szykującej się ofensywie na Horyń. Dziś w nocy byłem we wsi Kostiuchnówce i zapoznałem się dokładnie z sytuacją naszego przedpoła. Spokojnie tak, że i we dnie chodzimy sobie po przedpolu swobodnie. Budujemy nowe placówki. Budujemy „lisie jamy“ na wypadek ognia huraganowego. W parku zakładamy miny.

19 czerwca zdarzył się przykry wypadek w baonie. W nocy szeregowiec II plutonu 4. komp. Wojtaszkiewicz, b. żołnierz rosyjski i jeniec niemiecki, z placówki uciekł do Moskali. Zaraz rano krążył nad nami aeroplan, sprawdzał widać wiadomości Wojtaszkiewicza. Po południu przez półtorej godziny dwie baterie moskiewskie ostrzeliwały nasze przedpole.

I znowu cały dzień słychać huk armat na południe. Czyżby dalej atakowali Moskale? My ciągle oczekujemy ofensywy, a wieści przychodzą o posuwaniu się Moskali. Walka trwa nad dolnym biegiem Turii, Stochodu i średnim biegiem Styru. Moskale zajęły Czerniowce i Zaleszczyki. Podobno są już pod Włodzimierzem. Jedynie ataki na odcinek Sokul—Kołki bezskuteczne. A u nas dziwny spokój.

Nazajutrz nic nowego. Komunikaty również bez wyrazu. Do naszej kompanii przydzielono ppor. Słoniowskiego. Na razie nie objął żadnej funkcji, ale czuję, że znowu mi grozi pozbawienie plutonu. Wieczorem ppor. Słoniowski odszedł do II baonu.

21 czerwca upłynął znowu bez zmian. Na naszym froncie spokojnie. Byłem w Komendzie pułku „na tyłach“. Tam zupełnie spokojnie. Pracują już nawet nad wydaniem Nr 3 „Zuchowatego“.

Ale pismo to nie umywa się do wydawanej przez 1. p. p. „Konferencji Pokojowej“. Tam satyra doskonała. Nie wiem, kto ją redaguje.

Wiadomości znowu nieszczerłone. Ataki wszystkie odparte, ale ciągle ataki rosyjskie. Moskale przeszli już Seret na Bukowinie. Jedno jest pocieszające, że ataki odparły wojska „niemieckie“. A więc istotnie są Niemcy na naszym froncie, mówią nawet, że Niemcy obsadzą cały front wołyński aż do źródeł Stochodu. Wtedy my z Autriakami musielibyśmy odmaszerować do Galicji. To byłoby mniej przyjemne. Bronilibyśmy dostępu na ziemię monarchii „habsburskiej“, a nie granic „Królestwa Polskiego“, naturalnej bazy przyszłej Polski niepodległej.

22 czerwca wydaje się, jakby ofensywa rosyjska przesiliła się. Już Niemcy atakują, a Moskale odpierają ataki. Korpus Fatha ma odejść gdzieś na południe. Ale my zostajemy i to nie sami, zostaje cały korpus kawalerii Hauera. Przynajmniej z jednej strony będziemy sąsiadować z Niemcami, a nie z Austriakami. Prawe skrzydło będzie pewne. W nocy miałem służbę. Byłem na placówce w parku. Cudna, księżycowa noc. W parku pachnie wiosną. Rozkoszna woń kwiatów, rosnących w tym roku dziko, rozchodzi się dokoła. Taka cisza poważna wśród stuletnich drzew. Chce się marzyć, a tu trzeba słuchać, czy nieprzyjaciół nie nadciąga. Wysłałem patrole w głąb parku, leżą tam dawni właściciele tego majątku. Nad grobem krzyż. W cieniu drzew napisu odczytać nie można. Romantyczna noc.

Nad ranem Moskale wywołali alarm. Bezpłodna strzelanina. Po co zakłócać piękno natury? Dzień przeszedł spokojnie. Ja spałem długo po nocnej służbie. Znowu zapowiadają się nudy życia pozycyjnego.

24 czerwca rano podczas mycia się w Garbachu został ranny st. żołnierz IV sekcji mego plutonu Roman Kozaczyński.

Kpt. Narbutt odwiedził nas w towarzystwie por. Gigla. Od nich dowiedzieliśmy się szczegółów walk II Brygady. Najprzód 3. p. p. dostał się w straszne opaly. Pono z baonu II zostało wszystkiego 80 ludzi. Potem pod Gruziatynem 2. p. p. miał duże straty. Ogółem II Brygada miała stracić 400 ludzi.

25 czerwca ciągle cisza. Moskale na swoich okopach śpiewają. Muzyka im gra: „Wołga, Wołga, mat' radnaja“. Poszedłem na punkt obserwacyjny artyleryjski. Widziałem, jak Moskale ostrożnie chodzą po wodę. Widziałem przez lornetkę artyleryjską Kołodę, Rafałówkę, Waraż...

Oficjalnie ogłoszono sprawozdanie ze strat II Brygady. W 2. p. p. 18 oficerów rannych, 39 żołnierzy zabitych, 170 rannych i 28 za-

ginionych. W 3. p. p. 1 oficer zabity i 7 rannych, 11 żołnierzy zabitych, 64 rannych i 21 zaginionych. Razem straty wynoszą 359 ludzi.

Była jakaś okazja do Warszawy. Wysłałem listy. Zresztą na naszym froncie nic nowego.

26 i 27 czerwca — cisza. W komunikatach też nic ciekawego. Czyżby już nie było ofensywy? A może to cisza przed burzą? Świadczą o tym jakieś podejrzanе ruchy wojsk pod Czar-toryskiem. Do Rafałówki miały przybyć dwa nowe pułki rosyjskie. Wieczorem słychać znowu strzelaninę. To atak z Kulikowicz na Komarów. W nocy por. Styk z dwoma plutonami poszedł „na fasunek“ jeńców, ale nic nie schwycił. Ppor. Czerny, komendant 3. kompanii, wrócił z urlopu.

28 czerwca imieniny naszego Komendanta pułku. W Lasku Polskim — zabawa. Nam na osłodę przysłano na okopy beczkę piwa. Wieczorem muzyka gra w okopach. Moskale zachowują się przyzwoicie, tak jak my uszanowaliśmy ich koncert z przed kilku dni. Z Warszawy przysłał mi Tadeusz Szpotański komunikaty Centralnego Komitetu Narodowego, orientujemy się w sytuacji politycznej. Państwa centralne w dalszym ciągu nie chcą się wypowiedzieć. A my ciągle czekamy w nadziei, że „ni z tego ni z owego będzie Polska na pierwszego“.

Nazajutrz 1. p. p. wziął jeńca z 400. p. p. Wiemy stąd, że te dwa pułki, które przyszły do Rafałówki, to było tylko luzowanie 77. dywizji, którą znowu w okopach zastąpiła 100. dywizja. Artyleria nasza bije dziś porządnie w Moskali. Oni odpowiadają z jakiegoś miotacza min, czy granatów — na redutę. Z dzienników, które nadeszły, dowiedziałem się, że zginął Miatkowski, kapral 4. kompanii V. baonu który był niegdyś w moim plutonie w Radomsku.

30 czerwca wieczorem otrzymałem rozkaz pójścia na nocny patrol na przedpole. Kompania 4. dwoma plutonami miała zaatakować placówkę rosyjską M pod młynem. Ja z dwoma sekcjami mego plutonu miałem osłaniać skrzydło tej operacji. Wieczorem jeszcze za widna wybrałem sobie pozycję i o 9.30 wyruszyłem. Deszcz padał. Znowu obrzydliwa pogoda. Wicher dmie. Zimno jak jesienią. Nic dziwnego, że cisza na froncie zupełna. Prawie nie strzelano. Zajeliśmy pozycję i czekamy. Zmarzliśmy straszliwie. Do 2 cisza zupełna. Zniecierpliwiony, posyłam łącznika z zapytaniem, co robić. Wreszcie otrzymałem rozkaz powrotu. Zziębnięty, zły i przemoczony wróciłem do okopów i poszedłem spać, nie pytając nawet dlaczego wypad się nie udał.

Nazajutrz spałem w swej ziemiance długo, czekając aż przemoczone ubranie przeschnie, wstałem dopiero na kolację. Widocz-

nie niedoleczony reumatyzm odzywa się po każdej takiej ekstrakcji. Wszystkie kości mię bolą i mięśnie, a szczególnie dolega staw w prawym kolanie. Ppor. Warski był na odprawie w baonie. Dowiedzieliśmy się, że odbył się zjazd wszystkich komendantów pułków. Nareszcie całe Legiony, prócz Komendy Legionów, zjednoczyły się. Pułkownicy jednomyślnie postanowili: 1) odpruć odznaki we wszystkich oddziałach Legionów, 2) wysłać delegację do A. O. K. w osobach płk. Sosnkowskiego i płk. Hallera z następującymi żądaniami: a) mianowania Komendantem Legionów Komendanta Piłsudskiego, b) usunięcia oficerów austriackich z Legionów, c) uznania jednakowych odznak we wszystkich Brygadach Legionów, różnych do austriackich. Wszystko to było rezultatem zatargu III Brygady z Gen. Grzesickim z powodu naszcicia przez III Brygadę naszych odznak. Gen. Grzesicki grozi oficerom III Brygady sądem wojennym. Zaczyna się więc ciekawa gra. Może się wszystko źle skończyć, albo wygramy. W obecnej sytuacji raczej jednak wygramy. Moskale posuwają się dalej, zwłaszcza w Galicji, gdzie zajęli już Kołomyję.

2 lipca, bez bohaterstwa nocnej wyprawy, wzięliśmy jeńca. Po prostu przyszedł do naszej placówki i oświadczył, że chce się poddać. Rewanż za Wojtaszkiewicza. Jest to Polak z pow. ostrowskiego ziemi Łomżyńskiej, szeregowiec 8. rotę 400. Hrubieszowskiego pułku. Ma dość wojny i dowiedziawszy się że naprzeciw są Legiony polskie, przeszedł do nas. Od niego dowiedzieliśmy się, że stojąca vis à vis nas 100. dyw. ma dwa pułki w rezerwie. Rezerwy pułkowe mają po dwa bataliony. Każdy batalion ma jedną rotę w rezerwie. W ten sposób naprzeciw są siły co najmniej dwa razy większe. Linia placówek znajduje się za Garbachem. Przednie ubezpieczenia z 7 ludzi nad rzeką. Wedęty z tej strony rzeki po dwóch ludzi. Oficerów mało. Najwyżej po dwóch na kompanię. W jego kompanii jeden podporucznik i jeden „praporszczyk zapasa“. Komendantem pułku jest płk. Szyło. Odżywianie marne. Uzbrojenie — austriackie Mannlichery. W okopach mają armatkę 30 mm. Każda kompania ma po jednym k. m. Co do artylerii spodziewane jest wzmocnienie działami 6 i 12 calowymi. Moskale chcą koniecznie „wyfasować“ naszą placówkę Nr 6. Jest to celem ich nocnych wypraw. O istnieniu innych naszych placówek, zdaje się, nie wiedzą. O tym, że naprzeciwko są Legiony, dowiedzieli się od jeńca, którego wzięli gdzieś na lewo od nas.

Moskale zapowiadają na 20 czerwca starego stylu (a więc jutro) atak na nasze pozycje. Ciekawe, czy to się sprawdzi. Dziś krążył aeroplan nad naszą linią. Moskale ze swej armaty okopowej ostrzeliwali druty na przedpolu 3. kompanii, czyżby chcieli sobie przygotować wyrwę w przeszkodach?

Co do kryzysu „odznakowego“ to wszędzie dziś odznaki odpruto, ale sprawa nie posunęła się naprzód. Delegacja pułkowników jeszcze nie wyjechała. Dzięki odpruciu odznak nie ma już różnicy między Brygadami Legionów. „Zaraza“ pierwszobrygadowa nie ominęła już nawet II Brygady.

3 lipca stał się fakt niezmiernie przykry dla naszej kompanii. Nie pierwszy jednak, bo fakty takie były już w 6. p.p. i w II Brygadzie, a nawet w 4. kompanii, ale boleśnie nas dotknęło to, że stało się to w naszej kompanii.

Szeregowiec Stanisław Drożdż z II plutonu poszedł do Moskali. Był to ten znajomy Klemczaka, który przystał do nas we Włodawie. Sprawował się prawie przez cały rok wzorowo, był doskonałym żołnierzem, dobrym patrolowcem, podany do awansu na starszego żołnierza. Ktoby pomyślał, że tak skończy. W cywilu — chłop polski, bezrolny wyrobnik, ostatnio lokaj u jednego z lekarzy w Łodzi. Wzięty do wojska, odsłużył 3 lata w armii rosyjskiej, gdy wybuchła wojna. Poszedł na wojnę, nie zdoławszy nawet odwiedzić kochanki i córki, które pozostały w Łodzi. Bił się, był ranny, dostał krzyż Georgiewski w Karpatach, aż wpadł do niewoli niemieckiej pod Rawą Ruską. Pracował w batalionie jeńców nad Bugiem, kiedy spotkał Brygadę, a w niej swego znajomego, Klemczaka. Uciekł z niewoli, przyodziął mundur legionowy, był wzorowym legionistą, miał już nieraz okazję do ucieczki i nie skorzystał z tego. Zdawałoby się, że czuł się u nas dobrze. A jednak! Przywykł już do zwyczajów rosyjskich, źle mu było, że go nikt nie bił w mordę. Raziła go nasza „obywatelskość“, nasza „inteligencja“, nasz krytycyzm. Nie miał dusz bratnich w kompanii. Nie miał przyjaciół. Nie mógł pogodzić się z innymi stosunkami. Chciał słuchać i chciał być bity. Niewolnicza dusza! Gorzały mu oczy, gdy słyszał orkiestrę rosyjską, bałajkę, czy śpiewy z okopów rosyjskich. Ciągnęła go „szerokaja russkaja natura“. Męczył się. Czuł bojaźń, a zarazem kult dla armii rosyjskiej. Gniewał się, gdy się zeń śmiano, oburzał się, gdy sztydowano z celności ich strzałów. Nie krył się ze swymi sympatiami. Śmiano się z niego, dokuczano mu, ale go nie podejrzewano. Nie przypuszczano, aby tak miał zatrutą duszę, by mógł posunąć się do zdrady. Dopiero gdy b. żołnierz rosyjski Wojtaszkiewicz uciekł z 4. kompanii, zwrócono nań baczniejszą uwagę. Wczoraj, gdy ów Polak, żołnierz rosyjski się poddał, przyglądał mu się długo, interesował się jego opowiadaniem, nie mówił jednak nic. Wieczorem stał na podwójnym posterunku pod drutami. Skorzystał z chwili, gdy jego towarzysz poszedł nawiązać łączność z sąsiednią wedetą. Został sam — zdjął płaszcz, pas z ładownicami, karabin oparł o druty, przepełz pod drutami i poszedł do „swoich“. Spostrzeżono ucieczkę dopiero w chwili, gdy wedety rosyjskie przywi-

tały go strzałami. Poszedł nasz patrol w pogoń. Było już jednak za późno. Drożdż uciekł do Moskali. Polski chłop, wierny rosyjski poddany, poszedł pracować dla cara! Potomek Szeli i tych, co wydawali powstańców w 63 roku.

W ciągu nocy wzięliśmy znowu 3 jeńców z 400. pułku. Nie przyszli wprowadzić sami, ale nie bronili się. Potwierdzili wiadomość o przygotowującym się ataku. Widocznie będziemy mieli ciężkie dni.

Ppor. Janiszewski, który był na urlopie, został w Warszawie, odkomenderowany do P. O. W. Jest to już trzeci oficer naszego pułku, który odszedł do P. O. W. Przed nim odkomenderowano Artura Maruszewskiego i mego brata Mieczysława. Odjeżdżając otrzymali oni nominacje na podporuczników. Widocznie Komendant przywiązuje dużą wagę do tej roboty. Może znów ośrodek naszej pracy przenosi się na tyły do P. O. W. Ja jednak muszę zdobyć „gwiazdkę“ w linii!

Pod wieczór znów słychać huk armat gdzieś pod Kołkami i Sokulem, ale krótko to trwało. Poza informacjami jeńców nic nie zapowiada ofensywy. Może to wiadomość umyślnie rozpuszczona. Na razie daje ten skutek, że Moskale uciekają do nas, dobrowolnie się poddając.

U nas artyleria nieprzyjacielska macała front 7. p. p. Zawsze ich korci reduta Piłsudskiego.

Konflikt odznakowy wszedł w nowe stadium. Gen. Grzesicki wydalil z III Brygady kpt. Narbutta i kpt. Karasiewicza, jako „zarazę“. Gen. Puchalski wydał rozkaz, że do 5 lipca wszyscy mają naszyć te odznaki, jakie dotąd nosili. Komisja A. O. K. jedzie podobno na śledztwo, już ma być w Kowlu. Podobno odbyła się ciekawa rozmowa pułkowników Sosnkowskiego i Hallera z gen. Puchalskim, ale co mówili, nie wiemy. Gen. Grzesicki miał się wyrazić do płk. Roji, że jakie chcą odznaki, niech sobie naszyją, byle nie odznaki I Brygady. Tak ich bolą odznaki pierwszobrygadowe! Komendant ma podobno zażądać satysfakcji od gen. Grzesickiego za obrazę I Brygady. Jutro ma pono stanąć do raportu Komendy Legionów.

Dziś od oficerów naszego pułku wręczono szefowi sztabu płk. Sosnkowskiemu szablę damasceńską, a Komendantowi posążek „dłubinoska“, zrobiony przez por. Koniecznego (Włodzimierza).

Zresztą spokój na całej linii i nic nie zwiastuje zasadniczych zmian w sytuacji bojowej. Poszedłem późno spać, czytałem długo, korzystając z zupełnej ciszy na całym naszym froncie.

BITWA POD KOSTIUCHNÓWKĄ

4 lipca prawie o wschodzie słońca wpadł do mojej ziemianki szer. Marcin Radosz i zbudził mnie. Mówi, że strasznie bije artyleria w nasze okopy. „Coś wam się zdaje“, mówię do Radosza, „to zwykła muzyka codzienna — nie ma się czym przejmować“. Ale zorientowałem się wkrótce, że istotnie ogień jest dość intensywny. Może to przygotowanie do ataku. Ubieram się więc powoli i słyszę, że co chwila wybuchają granaty na naszym odcinku. Na pół ubrany wyjrzałem z ziemianki. W okopach widzę ruch. Żołnierze wcześniej dziś wstali i obserwują, co się dzieje. W jednej chwili zorientowałem się, że bije artyleria ciężkiego kalibru i wybuchy są silniejsze niż zwykle. Biję systematycznie w sąsiadujący z nami odcinek 4. kompanii tak, jakby ten odcinek właśnie wybrała sobie jako cel przerywania frontu. Ogień jednak przenosi się coraz bliżej. Za chwilę będą walić w nasz odcinek. Ubieram się teraz pośpiesznie i biegnę do ziemianki Komendy kompanii. W ziemiance siedzi za stołem komendant kompanii ppor. Warski, a obok sierżant liniowy Iwbul pracowicie zestawia raport poranny. Obaj siedzą jak zaczarowani. Jakby nic nie słyszeli, jakby nic nie widzieli. Sceny tej nie zapomnę do końca życia. Ppor. Warski ma oczy utkwione gdzieś w przestrzeń, jakby we śnie. Czyżby to było przeczucie śmierci? Wołam więc, czy są jakie rozkazy. Może żołnierzy przenieść do granatników i lisich jam? Ogień się zbliża, lada chwila mogą nas z ziemią zrównać. Ppor. Warski nic nie mówi, jakby jakimś złym przeczuciem tknięty, wzrok ma niesamowity. Wreszcie sierż. Iwbul się poruszył i mówi, możeby Komendę kompanii przenieść do sąsiedniego schronu na karabin maszynowy. Tam bezpieczniej, a telefon trzeba zabezpieczyć, aby mieć łączność z baonem. Wreszcie ppor. Warski wstał i zgodził się, aby telefon przenieść do schronu betonowego. Ledwieśmy tam przeszli, a żołnierze zdjęli telefon, wybuchnął granat tuż nad naszymi okopami i zerwał cały dach z ziemianki Komendy kompanii, niszcząc równocześnie strzelnicę na okopie III plutonu.

Jesteśmy w schronie betonowym. Telefonujemy do baonu. Na razie nie ma żadnych rozkazów. Ogień się ciągle wzmaga. Ostrze-

liwują już cały odcinek batalionu pociskami niezwyklej siły. Postrunek obserwacyjny artylerii twierdzi, że to pociski melinitowe i dlatego wybuchają z taką siłą. Jeden z granatów wpadł do ziemianki III plutonu. Na szczęście była pusta. Dotąd mamy tylko jednego kontuzjonowanego granatem szer. Kaczmarczyka. Nareszcie przychodzi wiadomość z baonu. Polecają połowie obsady przejść do granatników. Artyleria rosyjska gra bez przerwy. Biją z kilkunastu baterii. Po raz pierwszy na tym odcinku walą z ciężkich dział. A więc jeńcy mówili prawdę. Dziś będzie atak i to na naszym odcinku. Najwyraźniej chcą się przebić przez pozycję I baonu 5. p. p. Ogień na sąsiednich odcinkach jest słabszy, ale artyleria ostrzeliwuje również Polską Górę, obsadzoną przez honwedów, i redutę Piłsudskiego 7. p. p. Równocześnie pod ogniem znajdują się nasze rezerwy. Nad Polskim Laskiem wybuchają szrapnele. Wszystkie 8 linii telefonicznych, jakie łączyły nasz baon z pułkiem, zostały przerwane. Jesteśmy już zupełnie odcięci od tyłów. Nie otrzymujemy żadnych rozkazów. Ogień ciągle zyskuje na sile. Byłem już w wielu bitwach, osłuchałem się z ogniem, ale czegoś podobnego nigdy nie widziałem. A więc to jest „Trommelfeuer“ — ogień huraganowy, przed atakiem. W takim ogniu załamują się najlepsze oddziały tam na zachodnim froncie.

W schronie — ciasno. Siedzi tu obsługa k. m. z ppor. Słoniowskim. Wszyscy oficerowie 1. komp. i sporo żołnierzy spośród tych, którzy musieli pozostać w okopach. II pluton w lisiej jamie, połowa I i III plutonów w granatnikach.

Ogień trwa już kilka godzin, a jeszcze nie widać rozwijającego się ataku. Wybuchające granaty wzniesają takie tumany kurzu, że o parę kroków nic nie widać. Jesteśmy dotąd na czczo. Jednakże dzielny ordynans kompanijny Pasierbowicz zdołał przekraść się do kasyna i przyniósł nam śniadanie. Poprzez strzelnicę obserwujemy przedpole. Niewiele widać. Zdaje się jednak, że jeszcze piechota nie rusza do ataku, bo biją i na przedpole. Chcą zniszczyć druty. Mało mówimy do siebie — czekamy ataku. Ktoś zaproponował preferansa, ppor. Warski, Wąsik i Słoniowski siadają do kart. My z ppor. Podolskim obserwujemy sytuację. Ja mam służbę, więc muszę czuwać. Zresztą i tak grać bym nie potrafił. Ogień przenosi się kolejno z kompanii na kompanię. Zdaje im się, że my już mamy dość. Biją więc w odcinek 2. kompanii, następnie koncentrują się na placówkach i przeszkodach drucianych. Placówki wycofują się do okopów, aby po chwili znów zająć pozycje.

Potężny był widok, gdy stuletnia lipa runęła od wybuchu granatu i padła na pozycję placówki Nr 2. Placówka się cofnęła na chwilę, by wrócić z powrotem po kilku minutach. Obsada naszych placówek trzyma się dzielnie.

Na odcinku kompanii pojawił się kpt. Sław-Zwierzynski. Wiadziałem go wtedy po raz ostatni. Zawiadomił nas, że nie mamy żadnej łączności z tyłami, ale duch w okopach dobry. Obsada trzyma się dzielnie. Pojawienie się Komendanta batalionu robi duże wrażenie na nielicznej obsadzie okopów. Co pewien czas wymieniamy obsadę, więc wiadomość o tym dociera do granatników i lisich jam.

Straty są bardzo nieznaczne. Zaledwie kilku rannych i kontuzjowanych, których lekarz baonu ppor. dr Kwaśniewski, dawny szeregowiec 4. komp., opatruje w granatniku naszej II linii. Okopy nasze mają bowiem drugą linię w odległości kilkudziesięciu kroków od I i są połączone z nami rowami dobiegowymi.

Piekielny ogień trwa niemal bez przerwy do godz. 1.30 po południu. Niszczy nam okopy, burzy trawersy, zasypuje strzelnice, zrywa dachy z ziemianek, przerywa przeszkody, ale ostatecznie w dobrze przygotowanej pozycji ogień huraganowy nie jest taki straszny. Coraz bardziej przyzwyczajamy się do nieustannego huku dział i ciągłego „dudnienia“ artylerii. Nastrój jest coraz lepszy, gdyż żołnierze widzą, że ten osławiony „ogień huraganowy“, pod którym po raz pierwszy znalazły się Legiony, nie jest taki straszny, jak się to przedtem zdawało.

Między 1.30 i 2.30 nastąpiła mała przerwa. Widocznie artylerzyści musieli zjeść obiad. Strzelają wprawdzie pojedyncze działa, ale „muzyka“ ustała. W tym czasie przyszedł kpt. Narbutt, którego właśnie „usunięto“ z 6. p. p., i objął naszą kompanię. Ppor. Warski objął ode mnie I pluton. Ja na razie i tak miałem służbę, więc nie odczułem pozbawienia mię dowództwa. Korzystając z przerwy w ogniu i my wydajemy obiad żołnierzom. Nasi dzielni kucharze pod ogniem nie zaprzestali swoich czynności i obiad — gotów. Czekano tylko momentu, aby móc go wydać. Dla nas szer. Pasiarbowicz przyniósł obiad z kasyna. Odetchnęliśmy trochę. Ciężka artyleria zamilkła zupełnie, biją tylko szrapnelami z połówek. Wykorzystano ten moment, aby nawiązać łączność z pułkiem. Bezpośrednio po nawiązaniu łączności kpt. Sław przesłał nam do kompanii treść pierwszego fonogramu z pułku: „Atak nieprzyjacielski pójdzie na odcinek I/5. p. p. Komendant Piłsudski jest na reducie i przesyła pozdrowienia I baonowi 5. p. p.“. Wiadomość tę natychmiast ogłoszono żołnierzom. Przyjęta była z niesłychanym entuzjazmem, okrzykom radości nie było końca. Nie zawiedzie się Komendant na swym dzielnym batalionie „zuchowatych“.

O 2.30 po południu znowu zaczęła bić ciężka artyleria. Ogień rósł z minuty na minutę. Od nieustannego huku dział wprost głowa pękała. Mimo to ani na chwilę „morale“ naszego żołnierza nie została zachwiana. Pozdrowienia Wodza były wielkim honorem

dla batalionu. Mimo ognia ppor. Bończa-Karwacki z 2. komp. przyszedł do naszego schronu, skąd schwycił na migawkę wybuchające granaty. Były to ostatnie jego zdjęcia w życiu i ostatni raz go widziałem!

Koło 4.30 po południu ogień, zdawało się, że doszedł do zenitu. Ogień, dym, kurz tworzyły upiorny obraz dokoła. Słońce znikło nam z oczu, widzieliśmy plastycznie otchłanie Hadesu. Ppor. Podolski ze swym półplutonem odmaszerował by zmienić placówkę Nr 1 (dotąd obsadzoną przez 2. komp.) wraz z posterunkiem obserwacyjnym przy krzyżu w Parku Kostiuchnowskim. Brr, nie zazdrościłem mu tej misji! A ogień rósł i rósł, najstraszniejszy stał się w ostatnim momencie przed atakiem, między 5.30 a 6 wieczorem. Ppor. Podolski nie wytrzymał na placówce i wycofał się. Jego podoficer zafrontowy sierż. Miłosz dostał coś w rodzaju obłądu.

O 6 ogień nagle przeniósł się na Lasek Polski i na nasze rezerwy, wiedzieliśmy więc, że rozwija się atak piechoty. Toteż wkrótce spośród kurzu i dymu wyłoniły się naprzód patrole rosyjskie, podbiegające do drutów i przecinające je nożycami, a tuż za nimi długie linie tyralierskie: jedna, druga, trzecia, za nimi czwarta, piąta, szósta. Jak korowody duchów idą te linie bez końca... Teraz my z kolei otworzyliśmy piekielny ogień karabinowy. Bijemy paczkami bez pamięci. Zagrały karabiny maszynowe, odezwały się miotacze min, tylko świeżo ustawione kartaczone milczą, bo artylerzyści nie otrzymali jeszcze amunicji. Zato nasza artyleria wspierająca otworzyła piekielny ogień i nad liniami nieprzyjacielskimi ukazały się białe dymki szrapneli. W tym ogniu chyba żywa noga nie wyjdzie. Ciężko nam było wytrzymać całodzienny ogień huraganowy artylerii, ale im teraz ciężiej chyba iść w otwartym polu na okopy. A mimo to posuwają się, a po okopach rozchodzi się pogłoska, że w pierwszej tyralierze prowadzą Stanisława Drożdża, Wojtaszkiewicza i innych naszych dezertów. Pono są jeszcze w naszych mundurach. Ja jestem przy kpt. Narbucie, ale co chwila biegam do plutonu wydając im dyspozycje kapitana. Uwijam się jak w ukropie. Sytuacja wydaje się pomyślna, atak się załamuje. Nagle przychodzi z prawego skrzydła głucha wieść, że honwedzi „nie zdzierzą“. A tu znowu meldunek z 2. komp., że Moskale rowem dobiegowym z naszej placówki Nr 1 dostali się do naszych okopów. Rzuciliśmy dwie sekcje I plutonu na odsiecz. Rzucili się jak lwy, by bagnetami i granatami ręcznymi wyprzeć Moskali. Już wszystko dobrze! Atak na całej linii baonu odparty. Moskale wytłuczeni chyba co do nogi. Cofają się. Przybiega z obserwatorium artylerzyjskiego jakiś artylerzysta i zapewnia, że honwedzi trzymają się dobrze. Biegnę wzdłuż odcinka i zawiadamiam o tym żołnierzy naszej kompanii. Przyjmują to okrzykami radości. Hurra! Atak

odparty. Ogień na całym odcinku ustał. Już słyszeć tylko pojedyncze strzały. Żołnierze wychodzą na przedpiersie, obserwują resztki cofającego się nieprzyjaciela. Lada chwila oczekujemy rozkazu do kontrataku. Przybiegam do Komendy kompanii.

Kpt. Narbutt wdarł się na schron betonowy i pilnie obserwuje, ale nie przedpole, tylko odcinek honwedów. Mówią, że tam Moskale. Nasza 3. kompania zagięła skrzydło i broni się przed flankowym atakiem. Czyż to możliwe? Kpt. Narbutt zwraca się do mnie: „Zawiadomić komendantów plutonów, że cofamy się przez lewo-skrzydłowy mostek do Lasku Polskiego. Najprzód III pluton, potem I, pluton II osłania odwrót kompanii“. Rozkaz ten słyszeli ppor. Wąsik, mający swój odcinek na prawo od schronu i ppor. Podolski — na lewo. Biegę więc do ppor. Warskiego, będącego na skrajnym lewym skrzydle kompanii.

Przebiegam odcinek III plutonu do ppor. Warskiego. Żołnierze III plutonu pakują pośpiesznie rynsztunki. Po drodze czarne myśli gnębią mię, ale zastanawiać się nie ma czasu. Choćby Moskale byli na Polskiej Górze w okopach honwedów, to jeśli 3. komp. zagnie swe prawe skrzydło, możemy się bronić. Oddziela nas odrutowane cmentarzysko. Mamy zresztą jeszcze drugą linię I pozycji. A tam w Polskim Lasku marne okopki, jak się tam bronić, jeśli opuścimy tę wspaniałą pozycję. Wszystkie te myśli przemykają mi się przez głowę niczem błyskawice. Przybiegam do ppor. Warskiego, komunikuję mu rozkaz. Nie chce wierzyć moim słowom. I znowu tak patrzy dziwnie jak rano. Nagle ppor. Warski oświadczył mi z siłą: „Ja się nie cofam, dopóki wyraźnego rozkazu nie otrzymam!“ Odpowiedziałem mu: „Rozkaz był zupełnie wyraźny. Mamy się cofać do Lasku Polskiego“. Wracam do kpt. Narbutta. Przebiegam pomiędzy trawersami poprzez odcinek III plutonu. Jest pusty, bo III pluton miał się wycofywać pierwszy. Nie niepokoi mnie to, choć dziwne uczucie ogarnia człowieka, gdy jest sam zupełnie w opuszczonych okopach. Orientuję się, że w ziemiance mam szablę, koc, celkę namiotową, torbę oficerską, wszystkie pamiątki wojenne: fotografie, pisma. Schwyciłem tylko torbę z zapiskami pamiętnika, na pakowanie nie ma już czasu, i biegnę na odcinek II plutonu, Co to? Komendy kompanii już nie ma. Idę dalej — nie ma i II plutonu. Nie ma nikogo!

Pierwszy raz chyba doznałem w czasie wojny uczucia prawdziwego strachu. Czuję gęsią skórę. A może zaraz zza trawersu wyłoni się głowa Moskala? Biec spowrotem — za późno. Musiałbym przebiec przez cały odcinek kompanii do ppor. Warskiego, którego już pewno nie ma w okopach.

Rzucam się więc w rów łącznikowy i biegnę do II linii. Tu spotykam któregoś z żołnierzy I plutonu, jak biegnie górą w stronę

rowu łącznikowego strzelając do okopów II linii. Sądziłem, że oszalał. Co robicie? wołam. „Obywatelu Komendancie! tam Moskal!” Przyglądam się. Rzeczywiście w II linii widzę kilku Moskali. Co robić? Jesteśmy więc otoczeni! Nie namyślając się wyskakuję z rowu i z góry widzę całą sytuację. Biegnę wprost na rów II linii, przeskakuję okop pomiędzy zdumionymi Moskalami, biegnę co sił przed siebie na łąkę, znajdującą się na naszym zapole. Oczom moim przedstawił się straszny widok. Widzę cały batalion w rozsypce. Ucieka w myśl rozkazu przeważnie na mostek na lewym skrzydle. Reszta biegnie w kierunku bagna na zapole naszej pozycji. Od strony honwedów rozwija się moskiewska linia tyralierska, naciera na rozbitków naszego baonu. Na lewym skrzydle walka i tu Moskale zagradzają drogę. Jak się tam dostali? Nic nie rozumiem. Widzę, że jesteśmy otoczeni. Cały ratunek w nogach. Jedyna droga dotąd wolna — to kładka, tzw. por. Hajeca, na tyłach naszej pozycji przez bagno. Widzę, że lewe skrzydło Moskali już zmierza w tamtym kierunku. Wobec tego biegnę wprost w bagno. Zapadam się po kolana. Byłbym tam chyba utonął, gdyby nie krzyk: „Stać! Stać! W tył! Linia!” I nagle z bezkształtnej masy uciekających tworzy się linia tyralierska i zatrzymuje nacierającego nieprzyjaciela. To kapitan Sław prowadzi swój ostatni kontratak. Dobyłem browninga mierzę w najbliższej znajdującą się Moskała. Dałem dwa strzały po raz pierwszy na wojnie z pistoletu. Moskale się zatrzymali. My — biegniemy dalej. Posuwam się wzdłuż linii tyralierskiej nieprzyjaciela. Z rewolwerem w ręku. Przede mną kilku żołnierzy z różnych kompanii. Za mną nie ma nikogo. O 30 kroków dopiero biegnie pierwszy Moskal. Biegnę co sił, wołam na żołnierzy: prędkiej, prędkiej! Zostaje jeden w tyle, mijam go, drugi siada na kładce i mówi: „Nie mogę dalej!” W tym momencie spada mi czapka w błoto. Schylam się by ją podnieść. Pada z tyłu strzał i żołnierz biegnący przede mną stoczył się w bagno. Schylenie się po czapkę uratowało mi życie. Tu zaraz zakręć kładki, chowamy się za zarośla, jeśli Moskal strzeli, to już w złym kierunku. Ja biegnę bez czapki. Wreszcie dobiegam — końca. Jestem w Lasku Polskim. Widzę z daleka, jak Moskale prowadzą naszych jeńców. Biegnę wzdłuż lizjery Lasku Polskiego do ziemianek II baonu. Pusto wszędzie, nie ma nikogo. Na własną rękę chcę organizować obronę. Jest ze mną z 10, może 15 żołnierzy. Wołam resztkami sił — „Stać!” Nikt mnie nie słucha, biegną dalej. Uciekają gdzieś w panicznym popłochu. Dokąd, sami nie wiedzą. Ja wołam za nimi, ale już sił mi brak. Dobiegają do Komendy pułku. Tam sam komendant pułku, ppłk. Berbecki, z rewolwerem w ręku zatrzymuje ich. Rozkazuje zająć natychmiast pozycję. Ci sami żołnierze, którzy przed chwilą nie słyszeli, gdy ich wzywał do zatrzymania

się, przed Steyrem ppłk. Berbeckiego przyszedli do przytomności. Zawracają, prowadzą ich do okopów na skraju lasu. Sierż. pułkowy Cybulka taszczy skrzynkę amunicji. Zajmujemy okopy po obu stronach drogi, prowadzącej od I pozycji. Prócz mnie jest już komendant plutonu Kmicie z 4. komp. i kilku podoficerów. Kmicie tworzy obronę prawego skrzydła drogi, ja lewego. Chwytam łopatkę pierwszego z brzegu żołnierza i kopię mu strzelnicę. On — ledwie dyszy. Ja to robię resztkami sił. Obsada nasza się zwiększa. Coraz to ktoś przybywa z okopów. Wreszcie zjawia się kpt. Narbutt i każe mi zebrać 1. kompanię. Jest nas 13 ze 109 żołnierzy, którzy byli rano.

Tymczasem powoli zapada zmrok. Dowiaduję się, że padł kpt. Sław i kpt. Narbutt objął batalion. Z naszej kompanii nie ma nikogo z oficerów. Objąłem więc 1. kompanię. Po chwili dowiaduję się od adiutanta ppor. Roweckiego, że jest gdzieś ppor. Wąsik. Szukam go i wreszcie znajduję. Razem mamy 30 żołnierzy 1. kompanii. Robimy porządek w kompanii. Na prawo od drogi obsadza odcinek 1. komp., za nią 2., a na lewo 3. i 4. komp. Ogółem z baonu ocalało niewiele ponad 100 ludzi.

Nie ma ppor. Warskiego, Podolskiego, Bończy-Karwackiego, Nehringa, Stefańskiego, Bussego, no i kpt. Sława.

Nazajutrz dopiero odnalazł się ppor. Podolski, a ppor. Stefańskiego rannego Moskał przyniósł do naszych okopów. Jako dawny oficer rosyjski wydał mu rozkaz, a on wykonał go ściśle. Reszta — poległa.

Obsadziliśmy odcinek, 4. kompania wystawiła placówkę przed drutami. Sciemniło się zupełnie. Dochodzi 10 wieczorem. Od strony okopów przybywają ciągle pojedynczy żołnierze. Wtem większa zbliża się kupa. Ktoś zawołał: „Moskale“. Inny znowu woła: „Nie strzelać, to nasi!“ W ciemności zorientować się trudno. Kiedy przechodzili już druty spostrzeżono, że to Moskale. I wszystko rzuciło się nagle do ucieczki. Moskale już w okopach. Oficerowie nie zdołali opanować sytuacji. Jeden por. Hajec utrzymał swoją 2. kompanię.

I znowu kpt. Narbutt pistoletem zatrzymał uciekającą masę. „Stać! Bo strzelam!“ I tłum stanął. „Linia“ i już idzie linia tyralierska, która kontratakem wypiera Moskale z okopów. Moskale cofają się w nieładzie. Wzięliśmy sporo jeńca. Resztę ścigamy ogniem. Czy ogień ten nie dosięgnął i naszych, nigdy się nie dowiemy. Nie mamy już ani amunicji, ani granatów ręcznych. Zmęczenie nie pozwala nam tchu złapać. A tam na okopach I pozycji strzelanina trwa. Ktoś jeszcze się bije. Walka trwa, ale kto? Może to kontratak II baonu, który jest od nas na prawo. Czyżby to 8. kompania ppor. Myszkowskiego, która poszła na Polską

Górę i dotarła do dawnych pozycji honwedów? Nie, Myszkowski już wrócił, a tam jeszcze ktoś walczy, resztkami sił się broni na dawnej pozycji naszego batalionu. Może to Warski, który został w okopach, może Nehring z 3. kompanii, który zagiął skrzydło i którego obeszli Moskale? Nie wiemy i nigdy się nie dowiemy, kto bronił się na opuszczonych okopach Kostiuchnowki niemal jeszcze do północy.

Sprawdzamy kogo brak w kompanii. Zginął sierż. Iwbul. Nie ma ppor. Warskiego, z I plutonu jest 10 żołnierzy, którzy cofali się z batalionu. Z II sekcji, przy której był ostatnio ppor. Warski — nie ma nikogo. Dopiero przed północą przyszedł sekcyjny Oster-Michalski, ranny. Mówi, że ppor. Warski początkowo nie chciał się cofać, ale w ostatniej chwili cofnął się na mostek, został ranny w brzuch, a cała sekcja dostała się do niewoli. Sekcyjny Oster-Michalski, ranny, upadł w bagno. Był w niewoli, potem sam wziął swego konwojenta do niewoli, został w bagnie, a jego jeniec gdzieś uciekł. Wreszcie doczołgał się do naszych okopów.

Nareszcie przywieziono nam „fasunek“. Kolacja gotowa dla całego batalionu. Więc można brać, ile kto chce i kawy i chleba. Ale jeść się nie chce. Tylko trochę czarnej kawy ogrzewa przemarznięte członki. Jestem w płaszczu, ale bez czapki. Nie mam koca, ani celty, zimno mi. Spać nie podobna. Zbyt silne były wrażenia 4 lipca.

Ciężkie straty poniósł nasz batalion. W II zginął tylko jeden oficer ppor. Moch-Janicki, a u nas nie ma kpt. Sława, ppor. Warskiego, ppor. Bończy, ppor. Nehringa, ppor. Bussego, którzy już nigdy nie wrócą!

Ppor. Wąsik poszedł na odprawę batalionową. Żołnierze usiłują zasnąć. Sen nie klei jednak powiek. Trwają w bezruchu, w ponurym milczeniu, czekają na dalsze losy. Skoro świt walka się znowu rozpocznie. Teraz cisza zapanowała na kilka godzin.

Świtu 5 lipca czekaliśmy z pewnym lękiem. Wiedzieliśmy, że wraz ze świtem rozpocznie się znowu atak, ale o ileż w gorszych warunkach niż dnia poprzedniego. Tam pod Kostiuchnowką mieliśmy wspaniałą pozycję z granatnikami, lisimi jamami itp., tu na lizjerze lasu nietylko cel stanowimy niezmiernie widoczny, ale okopki liche zupełnie nie chroniły przed ogniem karabinowym, nie mówiąc już o ogniu artylerii. Wprawdzie o świcie był wyznaczony kontratak II/5. p. p. wraz z II/6. p. p. na pozycje honwedów na Polskiej Górze, ale z góry byliśmy przekonani, że atak ten się nie powiedzie, bo widzieliśmy poprzedniego dnia, jakie masy Moskale atakowały, więc nikły atak naszych dwóch baonów z łatwością będzie odparty. Do 2 panowała cisza zupełna na całym froncie. Obie strony, zmęczone walkami dnia poprzedniego — odpoczywały.

Po 2 rozpoczął się atak II/5. p. p. Widzieliśmy, jak świetnie rozwijał się ten batalion, jak szedł, mimo ognia, naprzód i już, już miał zająć okopy, kiedy przeciągle „hurra“ rozdarło powietrze i chmury Moskali wysypały się z okopów idąc z bagnetami do kontrataku. O ile przedtem obserwowaliśmy jak na dłoni rozwijający się atak, to teraz wszystko się skłębilo i nic nie można było rozróżnić, co się tam pod Polską Górą dzieje. Czuliśmy jednak, że atak się nie udał. Jednocześnie artyleria rosyjska rozpoczęła swój koncert poranny. Z początku biła na prawe nasze skrzydło, gdzieś na 3. i 6. p. p., które zajmowały teraz pozycje na prawo od II/5. p. p. Później stopniowo ogień przesunął się w naszą stronę, co świadczyło o ukończeniu walk pod Polską Górą i załamaniu się naszego ataku. Skryliśmy się teraz do rowów i — czekaliśmy wieści o II baonie. Zaczynają napływać, ale jakieś smutne! Zginęło mnóstwo oficerów. Nie wrócił por. Tunguz-Zawiślak, komendant 5. kompanii, i por. Włodzimierz Konieczny, komendant 6. kompanii. Zginęli również ppor. Tadeusz Sowa-Zaliwski, Mściśław-Styczyński, Stanisław Charzewski, Stefan Chmura. W 5. kompanii został tylko jeden ppor. Adam Koc („Witold“), w 6. kompanii ppor. Stefan Broniowski („Leszek“), w 8. kompanii tylko dowódca kompanii por. Tadeusz Deschu („Bezmian“). Ocalała jedynie tylko 7. kompania por. Zdzisława Przyjałkowskiego („Mirskiego“), która była w rezerwie.

Tymczasem ogień artylerii rósł i rósł coraz bardziej, granaty waliły bez przerwy z przodu, z tyłu, z lewej i prawej strony i człowiek nie wiedział, co ma z sobą zrobić. Artyleria waliła w Las Polski, ścinała drzewa, niszczyła ziemianki, cmentarz przedstawiał straszny obraz, gdyż granaty wyrzucały w górę części pochowanych ciał, czasem szkielety tylko. Przed nami obrzymie wielometrowe fontanny błota tryskały w górę, za nami wielkie sosny z hukiem waliły się jak pod obuchem topora. Ludzie jak błędni czołgali się z miejsca na miejsce, szukali „bezpieczniejszych“ dziur. A ogień szalał i szalał. Ludzie odchodzili od przytomności. Niektórzy leżeli bezwładnie z rezygnacją czekając — śmierci. Niech walnie wreszcie już ten, który jest dla nas przeznaczony, niech się już to wszystko skończy, niech skróci męki konania! Po linii nadchodzi wiadomość „na pocieszenie“, że dywizja praska już się wyładowuje w Wołczeczku, że lada chwila nadejdzie, że nas złuże. Chwytny się tej wiadomości jak ostatniej deski zbawienia. Nerwy już odmawiają posłuszeństwa. A granaty biją i biją jeden za drugim, jeden obok drugiego, piędź po piędzi ziemi, aby żaden pieńek nawet nie został na miejscu. Nagle jeden z granatów wybuchnął tuż koło Komendy baonu i na kawałki poszarpał 5 żołnierzy. Wśród nich byli: powszechnie lubiany obywatel-szafa, co wszystko miał zawsze

w plecaku, st. żołnierz Kurek i szer. Klimowski i pocciwy nasz ordynans kompanijny, szer. Pasierbowicz, oraz 2 żołnierzy z O. K. M. Strasznie przykre to zrobiło wrażenie na całej kompanii. Na półprzytomny sierż. Wojno-Szczepanowski, który był w pobliżu miejsca katastrofy, przyczołgał się do mnie i zawiadomił mię, że ppor. Wąsik, w którego oczach wszystko się odbyło, doznał wstrząsu nerwowego i został odstawiony na tyły i ja mam objąć kompanię. W normalnych warunkach był to zaszczyt nielada, dowodzić kompanią w I Brygadzie. Ale w takiej chwili ciężar odpowiedzialności za los kompanii stropił mię bardzo, zwłaszcza, że na odprawie w baonie nie byłem i zupełnie nie byłem poinformowany ani o sytuacji własnej, ani nieprzyjacielskiej. W chwili objęcia kompanii było 37 szeregowych ze 109, których mieliśmy dnia poprzedniego. Do tego nie miałem wyobrażenia, gdzie się znajduje Komenda baonu, która kilkakrotnie zmieniała miejsce pobytu, a obecnie była w jakiejś ziemiance za frontem. Zdecydowałem się podpełznąć do sąsiadującej z nami 2. kompanii. Przepełzłem więc przez cały odcinek kompanii i dostałem się do por. Hajeca. Błady był bardzo, ale zupełnie spokojny i znowu w oczach jego zobaczyłem śmierć, tak jak poprzedniego dnia widziałem u ppor. Warskiego. Od niego dowiedziałem się, gdzie jest baon i — wróciłem do siebie. Po drodze widziałem ppor. Nilskiego z 2. komp. i ppor. Beresa z O. K. M. 2. Obaj byli zrównoważeni i spokojni. Ja też jeszcze panowałem nad sobą. Zlustrkowałem kompanię, starając się zorientować w nastroju żołnierzy. A granaty biły i biły. Przepełzłem cały odcinek od prawego do lewego skrzydła, aż do drogi i tu zorientowałem się, że jest gdzieś kres ognia. Gdyby można było przejść na drogą stronę, gdzie był odcinek 4. kompanii, to możnaby się wydostać całkowicie za sfery ognia, ale obowiązek trzymał nas na miejscu. W straszliwym napięciu nerwów dotrwaliliśmy tak do południa, nie mając nic w ustach. Upał był straszliwy. Słońce, prześwitujące od czasu do czasu przez gałęzie drzew i tumany dymu i kurzu, dogrzewało powodując u mnie wściekły ból głowy z powodu braku czapki. Spodziewaliśmy się, że tak jak wczoraj około 2 po południu choć na chwilę zaprzestaną ognia. Dziś jednak ognia nie przerywano. Posterunki obserwacyjne dosłownie nic nie widziały, gdyż kurz, dym, pył, odłamki ziemi i błota, przyskajac bez przerwy, zupełnie zasłaniały horyzont. Co chwila granat uderzał w bagno i słychać było chlupot błota, podobny do tętentu kopyt tabunu koni, a zaraz potem uderzała w górę czarna fontanna. To znowu drzewo w lesie waliło się z trzaskiem jakby od uderzenia pioruna. Okopy w kilku miejscach były już całkowicie zasypane piaskiem, komunikacja prawie przerwana, ja staram się przynajmniej utrzymać łączność w obrębie kompanii, co udaje mi się z wielkim trudem. I że w tym

piekle kompania jeszcze trwała, to już cud chyba. Jak dotąd mamy tylko 3 zabitych i kilku łżej rannych w całej kompanii. Czasem granat nie wybuchał, ale nie wywoływał już żadnego odruchu w kompanii, nie mówiąc o okrzykach radości, jakie fakt tego rodzaju budził stale jeszcze dnia poprzedniego. Żołnierz, przemęczony do ostatnich granic, głodny, niewyspany, wycieńczony i nerwowo wyczerpany, nie był już zdolny do niczego. Co chwila odzywały się szemrania, kiedyż nas wreszcie zlużą. Nie zwracałem już na to uwagi, bo i po co. Sam wiedziałem, że z tym żołnierzem bez pomocy rezerw żadnego ataku nie jesteśmy w stanie odeprzeć. Zresztą brak było amunicji i granatów ręcznych. Piszę meldunek do baonu o sytuacji w kompanii i szukam wzrokiem, kogoby wysłać. Zatrzymałem się na kaprale Iskierce, dzielnym żołnierzu, który całą wojnę spędził na froncie. Jemu polecam zanieść meldunek. Zaczął szemrać, krzyknąłem na niego i zmusiłem do pójścia do baonu. Poszedł. Długo nie wracał, myślałem, że zginął. Wreszcie wraca i melduje, że trupy tak zawałyły przejście, że do baonu dojść nie można. Przez chwilę zawałem się, co robić. Zwracam się do żołnierzy — kto pójdzie na ochotnika. Wówczas zerwał się szer. Roman Gertner, młody chłopiec, uczeń jednego z gimnazjów łódzkich, harcerz, cichy, spokojny, którego nigdy nie posądzałem o tyle hartu i woli. Szer. Gertner poderwał się i szybko zniknął mi z oczu. Znowu długie chwile oczekiwania. A ogień rośnie i rośnie. To granat wybucha o dwa metry przed okopem, obsypując nas odłamkami i ziemią, to znowu kilka metrów za okopem, sypiąc na nas gałęzie i drzazgi strzaskanych drzew. Wreszcie wraca Gertner i zawiadamia, że za chwilę zluzowani będziemy przez 1. kompanię 1. p. p. kpt. Dęba-Biernackiego. Czekaliśmy tej chwili jak zbawienia. Jedna kompania ma zluzować cały nasz batalion wczoraj jeszcze pełen werwy i zapachu wojennego, a dziś... rozbity i zdziesiątkowany.

Z niesłychanym naprężeniem nerwów czekaliśmy chwili, kiedy ukaże się oczekiwana zmiana. Godziny mijały, a 1. p. p. nie nadchodził. A ogień trwał i trwał. Zdawało się, że tępym narzędziem piłują nam głowy, zdawało się, że żadna siła ludzka nie zdoła już wytrzymać. Żołnierze już nie szemrali, ale pojedynczo, kryjąc się, uciekali z okopów pod rozmaitymi pozorami. Ogień wzmógł się niebywale. Widocznie rozwijał się atak piechoty i artyleria tworzyła przed nim ciągłą zasłonę ogniową. Na przedpolu nie było widać nic na jakie 10 kroków. Dochodziła 6 wieczór, kiedy zjawili się pierwsi żołnierze 1. p. p. Równocześnie nad okopem ukazał się por. Julian Borek-Haersthal, który przyprowadził zmianę. Zawiadomił mnie, że mam oddać odcinek kompanii plutonowi ppor. Rybki. Kiedy się jednak do niego zwróciłem, widzę, że jest prawie nieprzytomny, choć w ten ogień dostał się dopiero niedawno. Mówię

do ppor. Rybki, ale czuję że mnie nie rozumie. Za chwilę miał już nie żyć! Z mojej kompanii została tylko połowa żołnierzy, wydając rozkaz cofania się pojedynczo od prawego przez Lasek Polski do Lasku Saperskiego.

Żołnierze nie kazali sobie tego powtarzać. Po chwili zostałem sam z ppor. Rybką i 8 żołnierzami 1. p. p. Czekam jeszcze na Komendanta kompanii, wiem, że lada chwila będzie szturm, chcę dać obraz sytuacji. Przez mój odcinek przeszli tymczasem żołnierze 2. kompanii, przeszedł ppor. Nilski (por. Hajec już nie żył), przeszedł ppor. Beres z O. K. M. Nr. 2, a ja czekałem na kpt. Dęba, któremu chciałem w porządku oddać odcinek. Ogień przeszedł wszelkie granice. Bito już nie tylko z ciężkich i lekkich dział, ale i z naszych kartaczownic, które poprzedniego dnia zdobyto na naszych okopach. Strzelano z karabinów maszynowych. Widać było, jak ścigano ogniem cofający się nasz batalion. Zdawało się, że żywa noga nie wyjdzie.

Nareszcie nadszedł kpt. Stefan Dąb-Biernacki. Wskazałem mu, gdzie jest wylot kładki, skąd spodziewać się należy ataku, oddałem odcinek i byłem — wolny. Idę więc w kierunku okopów 3. i 4. kompanii. Nikogo tam nie ma. Dopiero natrafiłem na ppor. Włodzimierza Mazura-Bochenka z 1. p. p. Nagle granat uderzył tuż przed okopem. Zegarem dostałem w gołą głowę. Odłamek utkwiał mi w zegarku na ręku. Upadłem. W głowie mi się zakręciło. Nie wiem, jak i kiedy zerwałem się i biegłem gdzieś przed siebie pchany nadludzką siłą. Musiałem strasznie wyglądać. Dwudniowy ogień huraganowy, brak snu i pożywienia, całodzienne czołganie się po ziemi i błocie — zrobiło swoje. Brak czapki, zwichrzone włosy potęgowały straszny mój wygląd. Jak mi później opowiadano, wyglądałem jak upiór. W takim stanie wpadłem do okopów 7. p. p. Tam znowu upadłem. Ktoś mi dał wody. Ktoś mi ofiarował swoją czapkę. Był to — szer. Julian Birencwajg. Pytano mnie o coś — nie rozumiałem. Jedna myśl mię tylko prześladowała — Lasek Polski za chwilę będzie wzięty. W tym duchu zameldowałem coś komendantowi VI baonu kpt. Marianowi Kukielowi. I idę, a raczej wlokę się wzdłuż okopów 7. p. p. Sam nie wiem, dokąd idę. Doszedłem do lewego skrzydła 7. p. p., gdy nagle ogień się wzmógł i cała linia 7. p. p. zaczęła cofać się w popłochu. Ja uciekać nie mogłem. Siadłem na okopie. Niech się już dzieje, co chce. Nagle por. Mieczysław Rawicz-Mysłowski wstrzymuje uciekających, tworzy linię. A ja się znajduję między liniami. Jak to się stało, że mnie chwycił ob. Janusz Gaładyk, który mię doprowadził do Lasku Saperskiego — nie wiem, bo nie byłem już przytomny. Dość, że znalazłem się w Lasku Saperskim, gdy major Wyrwa szykował swój batalion do odparcia ataku kawalerii, która już była w pościgu

za nami (a jak się później okazało, była naszą cofającą się artylerią). Szukam batalionu. Są trzy kompanie 2., 3. i 4., kompanii 1. nie ma. Myślałem, że wszyscy zginęli. To mnie dobiło ostatecznie. Straciłem przytomność.

Odstawiony do taboru przez szer. Polkowskiego znalazłem się na wozie, gdzie natychmiast zasnąłem. Co się dalej działo — nie wiem. Tabor nasz posuwał się tymczasem przez Nową Rarańczę i Legionowo do Perekrestia.

Obudziłem się dopiero nazajutrz około godz. 3 po południu. Staliśmy w Perekrestiu. Ja byłem już w dywizyjnym zakładzie sanitarnym. Widziałem dr Kwaśniewskiego, który się mną opiekował. Dano mi jeść, po czym znowu zasnąłem. Obudziłem się w Maniewiczach, gdzie załadowano mię do pociągu. I znowu spałem. Obudziłem się w Chełmie, gdzie nastąpiła segregacja chorych. Oficerów odesłano wszystkich do Lublina. W ten sposób po raz drugi w dniu 8 lipca 1916 r. znalazłem się w szpitalu w Lublinie.

OSTATNIE WALKI

(Nad Stochodem i na tyłach)

Jakkolwiek szpital znajdował się w tym samym budynku, co przed rokiem, nie był to już szpital legionowy. Zarząd i administracja szpitala były w rękach austriackich. Lekarzami byli oficerowie austriaccy, ale Polacy, sanitariuszkami natomiast były dawne „obywatelki“ z oddziału żeńskiego Legionów. Stosunki były inne, nastrój przygnębiający, wobec setek rannych, przeważnie ciężko rannych legionistów z pod Kostiuchnowki.

Kontuzja moja na pozór była nieznaczna. Na głowie miałem potężnego guza, na rękach zadrapania od odłamków granata, ale nerwy miałem w strzępach. Nic więc dziwnego, że kontuzja ta dawała mi się we znaki jeszcze w kilka lat później.

W szpitalu panowała cisza i spokój i zdawało mi się, że szybko powracam do zdrowia. Całymi dniami leżałem na łóżku bez słowa, łykałem brom i myślałem, co się dzieje tam, w kompanii.

A wieści z frontu dochodziły niepomysłne. Mało było widać ofiar pod Kostiuchnowką, skoro najciężej poszkodowany 5. p. p. miał jeszcze ponieść bolesne straty w odwrocie z nad Styru na Stochód. Padł umiłowany przez żołnierzy niezapomniany śp. mjr Tadeusz Wyrwa-Furgalski, został ranny komendant pułku ppłk. Leon Berbecki. Te wiadomości przyspieszają moją decyzję. Proszę kpt. dra Zarembe, aby pozwolił mi wracać. Pokiwał głową, obejrzał mię dokładnie, dziwił się memu pośpiechowi, ale trudności nie stawiał.

17 lipca wieczorem pożegnałem się z pozostającymi kolegami w którejś restauracji na Krakowskim Przedmieściu. Część z nich odjeżdżała do Krakowa, ja wracałem na front. Po północy w dobrych humorach wracaliśmy do szpitala w kilku, kiedy zastąpił nam drogę jakiś pijany feldfelbel austriacki i nie salutując myślał, że my zejdziemy mu z drogi. Kiedy na zwrócenie mu uwagi śmiał coś odpowiadać, ppor. Gustaw Klarsfeld-Szczerski z 4. p. p. dobył szabli i ciął go przez pysk, że krwią się zalał. Odprowadziliśmy go na odwach i zameldowaliśmy o nieodpowiednim zachowaniu się wobec oficerów legionowych.

18 lipca rano wyjechałem z powrotem na front przez Chełm i Kowel do stacji Grywiatki, skąd na jakiejś furze dostałem się do Brygady, stojącej wówczas we wsi Dubniaki.

Po dziesięciodniowym pobycie w szpitalu jestem więc znowu w Brygadzie, jakże zmienionej, jakże niepodobnej do tej, która stała na pozycjach pod Kostiuchnówką. A zwłaszcza nasz pułk, który poniósł najkrwawsze straty pod Kostiuchnówką, zmienił się nie do poznania. Po rannym ppłk. Berbeckim objął pułk dotychczasowy komendant I baonu 1. p. p. mjr Stanisław Burhardt-Bukacki, naszym baonem od 4 lipca po śp. kpt. Stanisławie Sławie-Zwierzynskim dowodził kpt. Aleksander Narbutt-Łuczyński, II baon po śp. Wyrwie-Furgalskim objął kpt. Michał Karasiewicz-Tokarzewski. Wśród dowódców kompanii zastałem też liczne zmiany. Naszą kompanię po śp. ppor. Józefie Warskim-Herburcie objął ppor. Władysław Wąsik, 2. kompanię po śp. por. Janie Hajecu objął ppor. Jan Jagmin-Sadowski. Wśród oficerów młodszych również wiele się zmieniło. Bezpośrednio po bitwie pod Kostiuchnówką, aby uzupełnić kadry oficerskie, Komendant Piłsudski polecił przedstawić sobie do nominacji po jednym sierżancie na batalion. Wobec tego, że dawnych komendantów nie było, wybór kandydatów odbył się na ogólnych zebraniach oficerskich. I baon podobno jednogłośnie mnie przedstawił do awansu, ponieważ jednak wolno było przedstawić tylko obecnych na froncie, więc podporucznikiem został Władysław Kmicic-Rusin, a w II baonie Janusz Gaładyk. Poza tym przydzielono do pułku dwóch oficerów 1. p. p. podporuczników: Benedykta Majkowskiego i Franciszka Polniaszka.

Wreszcie na skutek polecenia Komendanta Piłsudskiego, co do wstrzymania werbunku do Legionów i starcia na tym tle z szefem Departamentu Wojskowego ppłk. Władysławem Sikorskim, powrócili do Brygady wszyscy pracujący dotąd w Departamencie oficerowie I Brygady i oficerowie werbunkowi ideowo z I Brygadą związani. Do naszego pułku wrócili więc: ppor. Juliusz Ulrych oraz chorążowie: Władysław Włoskowicz i brat mój Stefan.

Mimo takiego wzmocnienia korpusu oficerskiego 5. p. p. w chwili, gdy wróciłem do Brygady, liczył zaledwie kilkunastu oficerów, Front Brygady rozciągał się nad Stochodem w rejonie wsi Sitowicze. Pułk nasz stał w rezerwie w lesie pod Dubniakami. Biwakowaliśmy pod namiotami na leśnej polanie. W naszej kompanii prócz komendanta ppor. Wąsika zastałem ppor. Podolskiego i świeżo przydzielonego ppor. Ulrycha. Wszyscy czterej mieszkaliśmy razem we wspólnym namiocie. Jadaliśmy jak dawniej w kasynie batalionowym, które mieściło się obecnie pod wielkim dębem, gdzie zmontowano stół ogrodowy i ławki. Przy stole wspominaliśmy nie-

ustannie niedawno przeżyte chwile, rozpamiętując rozmaite momenty bitwy, której do końca życia nie będziemy w stanie zapomnieć. Te smutne refleksje na chwilę rozpraszał humor, nieulegającego nigdy nastrojom przygnębienia, ppor. Adama Gada-Dobrodzickiego, pełniącego obecnie funkcje adiutanta naszego baonu. Gad nigdy nie tracił humoru i stale nam przygadywał, że nie dają nam świeżego mięsa, bo trzeba wreszcie skonsumentować wszystkie konserwy, zrobione z trupów z pod Verdun.

W korpusie oficerskim dzięki „zastrzykowi“ nowych oficerów nastrój był jeszcze znośny. Gorzej było wśród szeregowych. Kompanie stopniały do 30—40 „niedobitków“, którzy nie mogli otrząsnąć się jeszcze po strasznej bitwie. Miałem okazję poznać ten stan rzeczy bezpośrednio, bo żołnierze mieli do mnie szczególne zaufanie jako do tego, który wytrwał z nimi do ostatka i dowodził nimi w chwilach najcięższych — 5 lipca. Zdawało się, że zanosi się na dłuższą walkę pozycyjną. Ofensywa gen. Brusilowa jakby przesiłiła się. Toteż jedynie od czasu do czasu byliśmy pod ogniem artylerii. Była to jednak dziecinna zabawa w porównaniu do tego ognia, jaki przetrzymaliśmy w Lasku Polskim. Dopiero 28 lipca od rana począł znowu szaleć huraganowy ogień artylerii. Tym razem obserwowaliśmy go z głębokiej rezerwy, gdyż ogień ten szalał w okopach I linii i na przedpolu naszych pozycji, nie robiąc nam żadnej szkody. Mimo to wolelibyśmy być w okopach I linii, bo tam ma się przynajmniej uczucie, że jest się w tym ogniu pożytecznym, a gdy zaczną bić na rezerwy, będziemy się czuli jak w rzeźni, bo żadnych okopów ani schronów nie mamy. Szalenie przykre jest to uczucie bezsilności, gdy rezerwy na nieprzygotowanych pozycjach muszą czekać chwili, kiedy i na nie kolej przyjdzie, że znajdą się pod ogniem bez możliwości odpowiadania, bez żadnego pozornie celu. Tak było w Konarach, gdyśmy byli w odwodzie, a artyleria rosyjska biła na wieś, tak było w lesie pod Urzędowem i w czasie bitwy pod Jastkowem i wreszcie na Litwie pod Miniewiczami. Ale nigdzie ogień nie był tak silny jak tutaj i w ogóle nie znaleźmy jeszcze wówczas siły ognia huraganowego, którego skutki poznaliśmy w Lasku Polskim.

Nieprzyjemny był dzień 28 lipca, chociaż do południa zostawiono nas w spokoju. Siedzieliśmy właśnie przy stole w naszym improwizowanym kasynie, kiedy pierwszy granat rąbnął na naszą polanę. Zabił nam konia taborowego i ranił 2 żołnierzy. Pułk, którego nerwy były już potężnie nadwężone pod Kostiuchnowką, momentalnie rozbiegł się po lesie. Z trudem udało się nam zebrać żołnierzy z powrotem na innej polanie, gdzie okopaliśmy się i już w nieustannym ogniu artyleryjskim przeleżeliśmy beczynnie do wieczora. Co chwila nadchodziły niepomysłne wieści z frontu, to

spod Hulewicz, to znów spod Sitowicz. Mówiono, że front 4. p. p. został przełamany, to znowu, że Austriacy się cofnęli, a przemyczony żołnierz wszystkiemu wierzył i łatwo ulegał panice.

Odetchnęliśmy, gdy nas wieczorem poderwano. Mieliśmy objąć jakiś odcinek na północ od Jeziorna. Tymczasem w czasie marszu otrzymaliśmy inne rozkazy. W ostatniej chwili wydzielono jedną naszą kompanię, pozostawiając ją w odwodzie 1. p. p. Ale cóż to była za kompania, która nie miała nawet 50 bagnetów.

Nazajutrz 29 lipca cały pułk wrócił na swoje dawne miejsce na leśnej polanie. Ogień nie ustawał, ale straty były niewielkie, szczególnie w 1. linii, gdy u nas, jak na głęboką rezerwę, były dość duże. Wieczorem znowu nas poderwano. Maszerowaliśmy dokoła polany, na której rozsiadła się wieś Dubniaki, a potem lasami na północ ku Jeziornu.

Przyszliśmy na miejsce późnym wieczorem. Ledwieśmy jednak rozbili namioty — znów alarm. I znów marsz nocny przez lasy. Przed świtem zatrzymaliśmy się w lesie obok drogi Miryn—Powursk. Zajęliśmy szalasy, wybudowane przez Prusaków, i tu już staliśmy do 2 sierpnia. Byliśmy teraz w rezerwie pułku, bo nasz II baon zajął już odcinek 1. linii pomiędzy 1. p. p. (na prawo od nich) a 6. p. p. (na lewo).

W II baonie jest na linii brat mój Stefan, który wraz z ppor. Ulrychem powrócił z „werbunku“. Dużo mówimy więc o stosunkach w Piotrkowie w Departamencie Wojskowym. Komendant, wobec nierozstrzygnięcia losów naszych, postanowił wstrzymać werbunek do czasu ustosunkowania się okupantów do sprawy niepodległości Polski i niezależności wojska polskiego. Plk. Sikorski był, naturalnie, innego zdania, a oficerów wiernych Komendantowi prześladował, więc musieli schronić się do Brygady.

Ogólna sytuacja nasza nie uległa zmianie. Wypadki wojenne powstrzymały wprawdzie akcję „Rady Pułkowników“, powstałej w ostatnich dniach przed bitwą pod Polską Górą, ale jej bynajmniej nie zakończyły. Niemcy i Austriacy, zadowoleni z okupacji Królestwa Polskiego, nie myśleli wcale o rozwiązaniu sprawy polskiej. Usłużni Polacy z Departamentu Wojskowego nie uważali za właściwe wyciągnąć z tego jakichkolwiek konsekwencji. Nie mieli nic lepszego, jak dalej werbować obywateli Królestwa Polskiego na mięso armatnie potrzebne państwom „sprzymierzonym“ do walki z Rosją, która po uwolnieniu od Moskali ziem polskich, przestała być dla nas groźnym wrogiem. Coraz wyraźniejszym stawało się dla nas, że front trzeba będzie zwrócić teraz przeciw władcom ziem polskich, tj. przeciw Niemcom i Austrii. W tych warunkach Komendant nie widział celu w dalszej rozbudowie Legionów jako formacji wojskowej, sprzymierzonej z państwami

centralnymi, i ośrodek walki o niepodległość przeniósł w głąb Królestwa do tajnej organizacji, przygotowującej kadry do przyszłej walki z okupantami. Coraz więcej oficerów odchodziło na tyły do pracy w Polskiej Organizacji Wojskowej.

Zmieniali się Komendanci Legionów, ale Austria nie myślała o oddaniu komendy właściwemu twórcy wojska polskiego — Komendantowi Piłsudskiemu. Przeszli więc przez Komendę Legionów kolejno: płk. Baczyński, eksc. Durski, gen. Puchalski, ale niezmieniony pozostał jako szef sztabu i zły duch Legionów kapitan austriackiego Sztabu Generalnego, syn Rosjanki — Włodzimierz Zagórski. On to krzyżował wszystkie plany scalenia trzech Brygad legionowych, on przeciwstawiał się ujednostajnieniu odznak, on nie dopuszczał do zespolenia Legionów jako całości. Po bitwie pod Kostiuchnówką niemieckie komunikaty wojenne nie mogły pominąć wysiłków Legionów. Teraz już i Komenda Legionów, a nawet austriackie A. O. K., musiała pójść na pewne kompromisy. Chodziły słuchy, że mają nas przemianować na Polski Korpus Posiłkowy. Podobno godzą się już, aby „maciejówka“ stała się ogólną czapką legionową, nawet tradycyjne „wężyki“ na kołnierzach mają być przejęte przez II i III Brygady. Oczywiście nie będą to wężyki czerwone II Brygady, lecz ... białe, srebrne.

Wówczas to poczęły się mnożyć piosenki legionowe jak:

„Smutna, smutna, smutna jest dola ma

„Bo pragnień naszych nie chce zrozumieć świetne A. O. K.“

Ale jakie uczucia budziła w nas c. k. Komenda Legionów, to o tym najlepiej świadczy zwrotka tejże piosenki:

„Bando, bando, czego jeszcze ty chcesz?

„Sam pan generał będzie ubierał w maciejówkę łeb“!

Generałem w Legionach był tylko Komendant Legionów, bo brygadierzy byli tylko pułkownikami.

My, I Brygada, od początku byliśmy żołnierzami-obywatelami, ale do czynnej polityki nie mieszałyśmy się. Od tego był Komendant. On za nas myślał, on politykę prowadził, myśmy byli jego ślepyimi, choć świadomymi wykonawcami. Od chwili jednak, gdy bezmyślny upór Komendy Legionów spowodował wewnętrzną walkę, na pozór tylko o maciejówki i czerwone wężyki na kołnierzach, a w istocie rzeczy o niezależność wojska, polityka wtargnęła w nasze szeregi i to nie tylko I Brygady i stanowiła obecnie główny przedmiot zainteresowań. Te „polityczne nastroje“ wzmogły się jeszcze, gdy przybyli z Departamentu Wojskowego b. oficerowie werbunkowi, przywieźli nam wiadomości o tym, co się dzieje na tyłach. Znienawidziłyśmy tych nowych „ugodowców“

austriackich z płk. Sikorskim na czele, którzy chcieli zaprzedać Królestwo Austrii, tak samo jak ugodowcy rosyjscy (tj. endecy) sprzedawali je Rosji.

Od tych zagadnień politycznych odrywały nas od czasu do czasu strzały artylerii rosyjskiej, która zmuszała do zajęcia się zagadnieniami wojennymi.

2 sierpnia podciągnięto nas bliżej frontu. II baon zajmował odcinek na froncie Legionów do Jeziorna po Miryn. My byliśmy jako rezerwa w pobliżu, tworząc 2. linię. Pierwszą linię obsadzały: I i III Brygady, zajmując front kolejno od lewego skrzydła: 7. p. p., 1. p. p., 5. p. p., 6. p. p., i 4 p. p. — II Brygada była w rezerwie dywizji Legionów i ustawicznie była przerzucana między Jeziornem a Mielnicą.

Na całym froncie odczuwało się nerwowość dowództwa. Ustawicznie obawiano się przeprawy Moskali przez Stochód i gdyby oni o tym wiedzieli, z łatwością mogli przerwać front i zająć Kowel.

3 sierpnia znowu pozostał pamiętny. Od rana mieliśmy huraganowy ogień artylerii i zdawało się, że lada chwila Moskale ruszą do generalnego ataku.

Przez cały dzień dudniła artyleria, co chwilę pociski padały w pobliżu, a jednak nie robiło to już na nas wielkiego wrażenia. Przychodziła mi myśl, że człowiek to widać jest takie bydlę, które do wszystkiego może się przyzwyczaić, na wszystko zobojętnieć. O ile jednak indywidualnie na poszczególnych żołnierzach nie było znać zupełnie strachu, o tyle zbiorowo, zmęczony żołnierz niezmiernie łatwo ulegał popłochowi. Ponieważ staliśmy za plecami II baonu, który cały dzień trzymał się dobrze, więc i u nas panował spokój zupełny, pomimo że z lewego skrzydła nadchodziły niepomyślne wieści o cofnięciu się Austriaków pod Rudkę Miryńską, który to „durbruch“ dał się we znaki i naszemu 4. p. p., bo nagle zawisł w powietrzu wskutek odsłonięcia swego prawego skrzydła przez Austriaków. Następne dni miały już znacznie spokojniej, a 6 sierpnia w drugą rocznicę wymarszu kadrówki przeżyliśmy niezmiernie podniosłą uroczystość. Nie brałem w niej osobiście udziału, gdyż, wskutek znajdowania się całej Brygady na froncie, uczestniczyły w niej tylko delegacje poszczególnych jednostek Brygady. Ale chociaż nie mogliśmy wszyscy wziąć udziału w tej uroczystości, przeżyliśmy ją wspólnie na podstawie opowiadań delegatów.

Odbyła się ona na polanie pod Dubnikami. Komendant Piłsudski osobiście dokonał dekoracji delegatów wszystkich kompanii, szwadronów i baterii krzyżem I Brygady „Za wierną służbę“.

Nie mieliśmy dotąd orderów, ani odznaczeń, gdyż „fasowanych“ od czasu do czasu odznaczeń austriackich i niemieckich nie braliśmy pod uwagę. Toteż decyzja Komendanta nadania w dniu

drugiej rocznicy wymarszu specjalnej odznaki I Brygady „Za wierną służbę“ była wielkim dniem dla nas wszystkich. Nie tak łatwe było zdobycie tego skromnego krzyża żelaznego I Brygady. Otrzymać go mogli jedynie ci żołnierze, którzy w ciągu 2 lat przynajmniej 12 miesięcy spędzili w Brygadzie na froncie. Toteż to skromne pierwsze polskie odznaczenie napępniało każdego z nas dumą. Sercem byliśmy wszyscy obecni w chwili, gdy Komendant wybranym delegatom osobiście przypinał krzyż na piersi. W następnych dniach wszyscy, którzy mieli prawo do tego odznaczenia, otrzymali je wraz z legitymacją drogą służbową przez swe bataliony i kompanie. Toteż z dumą przypinaliśmy je sobie do naszych zniszczonych kurtek żołnierskich, gdy z otrzymanych dotąd austriackich „Verdienstkreuzów“ i niemieckich „Eisernekreuzów“ nikt nie nosił.

Była to jednak ostatnia uroczystość, którą przeżyłem na froncie w Brygadzie, kontuzja moja nie była wyleczona, mieli rację lekarze lubelscy, gdy twierdzili, że nie wiadomo, w jaki sposób może się jeszcze odezwać.

Po powrocie do Brygady pozornie nic mi nie było, a jednak ciągle niedomagalem. Wstrząs nerwowy, jakiego doznałem podczas bitwy pod Kostiuchówką, długo jeszcze miał mi się dawać we znaki pod różnymi postaciami. Czułem jakieś bóle w kościach i w mięśniach na razie nieokreślone, które wreszcie skoncentrowały się w zębach. Pierwszy raz, kiedyśmy stali na drodze Miryńskiej, straszliwy ból zębów zmusił mnie do udania się do zakładu dentystrycznego Brygady, gdzie mi jeden ząb wyrwano. Nie usunęło to jednak bólów, które nadal straszliwie dawały mi się we znaki. Toteż teraz, gdy staliśmy na pozycji, musiałem nadal pod ogniem artylerii chodzić na tyły do zakładu dentystycznego Brygady, gdzie mi kolejno usunięto ząb drugi i trzeci, a bóle nie przechodziły. Podczas wyrywania trzeciego zęba — zemdlałem. Wezwano lekarza, który orzekł, że jest to zapalenie nerwów, którego w polu nie wylecę i skierował mnie niezwłocznie do szpitala.

12 sierpnia opuszczałem powtórnie front, aby już nigdy w czasie wojny światowej nie wrócić w pole. Znalazłem się znowu w Lublinie, gdzie skonstatowano próchnienie szczęki i zastosowano skomplikowane zabiegi lecznicze.

W Lublinie zastałem wielu przyjaciół, którzy pracowali w Wydziale Narodowym. Nie byłem obłożnie chory, więc poza zabiegami dentystycznymi korzystałem ze swobody. Dziaśła nie chciały mi się goić, choć dalszemu próchnieniu kości zapobieżono. Trzy tygodnie trwały zabiegi, po czym zdecydowano, że na dalsze leczenie powinienem udać się do kadry.

W ten sposób 2 września znalazłem się w Kozienicach w 1. kompanii uzupełniającej. Komendantem kadry był wówczas por. Roman Dunin („Pogoń”), szlafkamrat z czasów walk pozycyjnych pod Kostiuchnowką, adiutantem był wówczas ppor. Leon Wiński. Poza tym w kadrze było sporo oficerów: por. Jerzy Ferek-Bleszyński, ppor. Wacław Spilczyński, ppor. Jan Ratay, ppor. Włoczewski i kilku innych. Oficerów było więc sporo, a roboty prawie żadnej. Najwyżej pełniło się służbę inspekcyjną. Toteż oficerowie przeważnie bawili się, o ile w Kozienicach można było bawić się. Przeważnie spędzaliśmy czas w miejscowej cukierni p. Bednarzewskiej, lub w herbaciarni legionowej.

Wśród tej bezczynności rodziły się czasem oryginalne pomysły. Raz na przykład zgłosił się do mnie sierż. Sambor-Trojanowski z I Brygady i zakomunikował mi, że por. Izidor Modelski z 2. czy 3. kompanii uzupełniającej, ten sam, którego znałem z Radomska, jako zaciętego wroga I Brygady, organizuje obecnie jakąś tajną organizację, do której przyjmuje tylko najpewniejszych oficerów i podoficerów I Brygady. Odpowiedziałem sierż. Samborowi, że jestem żołnierzem I Brygady i to mi w zupełności wystarcza. Każdy rozkaz, jaki otrzymam od Komendanta Piłsudskiego lub od kogoś, przez Niego upoważnionego, wykonam bez zwłoki, natomiast wątpię, czy por. Modelski jest upoważniony do organizowania jakiegoś związku tajnego, i uważam tego rodzaju organizację za zupełnie zbędną. Przypuszczam, że por. Modelski więcej takich odpowiedzi musiał otrzymać od oficerów i podoficerów I Brygady, skoro ten tyłowy oficer niedługo potem organizował już jakieś tajne związki, ale przeciw I Brygadzie.

Ja natomiast byłem w stałym kontakcie listowym z Brygadą i moją kompanią. A Brygada stała ciągle nad Stochodem i mimo walki pozycyjnej ponosiła ciągle bolesne straty. Zginął więc stary a kochany przez wszystkich ob. Michał (Aleksander Sulkiewicz), mahometanin, Tatar polski, stary bojowiec P. P. S., który mimo swego wieku nie chciał wyjść z linii i pełnił funkcje sierżanta w 4. kompanii. Ciężko ranny został ppor. Witold (Adam Koc) jeden z nielicznych oficerów II baonu, którzy ocalili pod Kostiuchnowką. W naszej kompanii na szczęście strat nie było.

Ja kurowałem nadal swoje dziąsła, które nie chciały się goić i stopniowo, jak mi się zdawało, doprowadzałem swoje nerwy do porządku.

15 września przyszedł rozkaz przeniesienia się całego batalionu uzupełniającego z Kozienic do Dębina, a właściwie do Zajezzeria. Udaliśmy się tam marszem pieszym i znowu beznadziejnie czekaliśmy na „kompanię marszową” do Brygady. W Dęblinie było jeszcze nudniej jak w Kozienicach, toteż, gdy mi lekarz-dentysta

oświadczył, że właściwie jestem wyleczony, tylko na razie nie może mi jeszcze wstawić nowych zębów, zdecydowałem się na powrót na front. Ponieważ miała wkrótce odejść marszówka do Brygady, stanąłem do raportu komendanta grupy płk. Zielińskiego i prosiłem o przydział do tej kompanii marszowej. Płk. Zieliński zgodził się i przed odmarszem udzielił mi kilkodniowego urlopu okolicznościowego.

W ten sposób 29 września znalazłem się w Krakowie. Tutaj doszła mnie wieść o dymisji Komendanta Piłsudskiego. Wiadomość ta uderzyła nie tylko we mnie, ale we wszystkich bawiących wówczas w Krakowie oficerów I Brygady, jak piorun z jasnego nieba.

Jeszcze na pozycji pod Kostiuchnówką byliśmy pełni dobrych myśli. Ktokolwiek przyjeżdżał z Warszawy, przywoził wiadomość, że lada dzień będzie ogłoszona przez państwa centralne niepodległość Królestwa Polskiego. Żołnierz I Brygady, który zawsze się odnosił do wszystkiego sceptycznie, ujął to w znane powiedzonko: „Ni z tego, ni z owego, będzie Polska na pierwszego“. Ale wierzył, że przecież Polska będzie. Trud nasz nie pójdzie na marne. Państwa centralne ocenią wysiłek Legionów i wyrażając tylokrotnie swe uznanie dla bohaterstwa Legionów stworzą warunki, w których Legiony będą wiedziały, o co walczyć mają. A tu nagle nie tylko Polski nie ma, ale w dodatku zamiast odpowiedzi na memoriał Komendanta, dano mu ... dymisję. Tak jakby pierwszemu lepszemu pułkownikowi czy generałowi austriackiemu. Czyż oni dotąd nie zdają sobie sprawy, czym jest Komendant? Czy oni nie rozumieją, że Legiony nie mogą istnieć bez Komendanta? A może nie mają w ogóle zamiaru tworzyć Polski Niepodległej, to czemuż Legionów nie rozwiązano? Te i podobne myśli tłuką się po głowie i człowiek nie wie, co robić. Czekamy rozkazów!

Komendant zażądał kategorycznie jasnego postawienia sprawy państwa polskiego i niezależności wojska polskiego. Odpowiedziano — dymisją. Dwuletnia praca i walka Legionów ma iść na marne. Tyle przelanej krwi na daremno! W dodatku bezpośrednio po dymisji Komendanta otrzymał ją również nieodstępny towarzysz jego pracy i walki, szef sztabu Brygady płk. Kazimierz Sosnkowski. Najstarszym oficerem Brygady jest teraz komendant 1. pułku, płk. Edward Rydz-Śmigły. W Brygadzie się zagotowało. Wszyscy oficerowie, będący na froncie, wnieśli podania o dymisję. Zsolidaryzowała się z nami cała III Brygada. Okazało się, że praca ideowa w tamtych Brygadach rozpoczęta wiosną 1916 r., nie poszła na marne. W tamtych Brygadach było wielu ideowych oficerów, którzy nie ulegli wpływom kpt. Zagórskiego, i gdyśmy podali im bratnią dłoń, stopili się z nami w jedną bryłę. Za I Brygadą poszła

teraz cała III Brygada, cała artyleria, część II Brygady. Tylko część 2. i 3. p.p. i 2. p. ułanów uległa namowom Zagórskich et consortes, aby nie solidaryzować się z I Brygadą.

Zebrałiśmy się wszyscy, bawiący w Krakowie, oficerowie I Brygady w Lidze Kobiet. Por. Bolesław Wieniawa-Długoszowski referował sprawę dymisji. Było sporo oficerów, ponadto kilka pań. Lokal obszerny Herbaciarni Ligi Kobiet w Rynku. Ktoś grał na fortepianie. Tańczono, bawiono się z szubienicznym humorem. Ostatni może raz w mundurze legionowym! A w przerwie por. Wieniawa dowcipnie, jak zwykle z werwą, referował: „Nie damy się Austriakom, pokażemy dziadom, co to z I Brygadą zaczynać“! Słuchano go z uwagą. A potem — w tany. Ostatni może raz. Jakby scena z „Warszawianki“. Nastrój był bardzo podniecony, nerwowy. Wreszcie przyjechał delegat z frontu ppor. Tadeusz Żegota-Münnich z 2. kompanii naszego pułku. Przywiózł wiadomości, przywiózł instrukcje dla nas. Na froncie wszyscy już wnieśli podania o dymisje z wyjątkiem 2. i 3. p.p. i 2. p. uł., które się jeszcze wahają. Oficerowie, bawiący na tyłach, mają bezpośrednio po powrocie do swych pułków macierzystych wносить podania o dymisję.

Trzeba więc wracać. Ostatnie chwile w Krakowie spędzam w towarzystwie ppor. Stefana Broniowskiego („Leszka“) i ppor. Pawła Stryjeńskiego. Ostatni raz bawiliśmy się do upadłego. Żegnaliśmy nasz mundur legionowy od rana do wieczora, z kawiarni do kawiarni, chcemy w kieliszku utopić smutki i żale i stanąć do nowej walki i pracy na innym froncie.

Ale nadszedł czas odjazdu. Ppor. Broniowski jedzie do pułku przez Dęblin, aby tam zawieźć instrukcje dla oficerów kadry, mnie polecono jechać przez Warszawę. Po przybyciu do stolicy zameldowałem się w myśl rozkazu u Komendanta Głównego P. O. W. ob. Zbigniewa (kpt. Tadeusza Kasprzyckiego). Tu miałem otrzymać dalsze rozkazy. Jako obywatel Królestwa Polskiego mam się natychmiast rozmundurować i już w cywilu stanąć do roboty P. O. W.

Póki mam mundur, muszę przywieźć swoje ubrania cywilne z Krakowa, zdeponować je u rodziców w Łodzi, wyrobić sobie paszport cywilny, pojechać do Brygady lub kadry — złożyć dymisję i po załatwieniu tych wszystkich formalności zameldować się do pracy w P. O. W.

W błyskawicznym tempie jadę do Krakowa, potem do Łodzi i Warszawy, przygotowuję wszystko. Mam już paszport, mam cywilne ubrania, pozostaje jeszcze złożenie dymisji, przeprowadzenie formalności zwolnienia się z Legionów i powrót do nowej pracy.

Jadę na front, ale czuję, że gorączka mię trawi. Zatrzymuję się więc w Dęblinie i tu składam podanie o dymisję na ręce komendanta grupy płk. Zielińskiego. Każą mi czekać na zwolnienie,

tymczasem muszę się zgłosić do lekarza. Ten kieruje mię do szpitala w Kozienicach.

Pierwsze tygodnie ponownego pobytu w Kozienicach przeleżałem w łóżku. Czekam na wyzdrowienie, czekam na dekret zwalniający mię z Legionów. Jestem odcięty od świata, nic nie wiem, co się dzieje w Brygadzie, co słychać w kraju. W czasie pobytu w Warszawie mówił mi wprawdzie Tadeusz Szpotański, że mimo dymisji Komendanta państwa centralne mają jakiś projekt rozwiązania sprawy polskiej drogą ogłoszenia niepodległości Królestwa Polskiego, jako państwa buforowego w rodzaju Albanii z jakimś ks. Wiedem, jako królem na czele. Równocześnie Galicja otrzymałaby autonomię w obrębie Austrii na wzór autonomii kroackiej w obrębie Węgier. Ale ja nie przywiązywałem wagi do tych pogłosek, bo ile już ich było. Zdawało mi się, że państwa centralne, udzielając dymisji Komendantowi, tym samym przekreśliły wszelkie pomysły niepodległościowe nawet w ramach dawnego Księstwa Warszawskiego. Teraz nic nie wiedziałem, co się na arenie politycznej działo.

Po kilkudniowym leżeniu zacząłem wstawać w końcu października, kiedy się w Kozienicach rozeszły głuche wieści, że w najbliższych dniach ma być ogłoszony jakiś akt państw centralnych, dotyczący przyszłych losów Polski.

W pismach ukazały się notatki o wyjeździe jakichś delegacji Królestwa Polskiego do Berlina i Wiednia, a ja głowiłem się, czy to się dzieje z wiedzą Komendanta i co z tego wyniknąć może.

3 listopada przyjechał ktoś z Dębina i przywiózł wiadomość, że 5 listopada ma być ogłoszona niepodległość Polski. 4 listopada na murach Kozienic rozlepiono odezwę gen. Kuka „Do ludności general-gubernatorstwa Lubelskiego“ (a więc nie Polaków!), powiadamiającą o postanowieniu dwóch cesarzy ogłoszenia niepodległości Królestwa Polskiego i autonomii Galicji w obrębie Austrii. Nie będzie więc zjednoczenia!

Nazajutrz 5 listopada wezwano wszystkich oficerów legionowych, stojących w garnizonie i przebywających w szpitalu, do stawienia się o godz. 11 do c. k. Komendy Obwodowej.

Przybywszy o oznaczonej godzinie, zastaliśmy przed Komendą Obwodową ustawione w czworobok: 2. baterię haubic kpt. Władysława Rożena, kadry kawalerii i artylerii legionowej oraz chorych szeregowych ze szpitala rezerwowego. Wszyscy oficerowie Legionów zostali zaproszeni na górę do komendanta obwodu ppłk. żandarmerii Tinza, gdzie zastaliśmy już zebranych oficerów austriackich garnizonu. Na gmachu Komendy Obwodowej powiewały trzy flagi: austriacka czarno-żółta, węgierska czerwono-biało-zielona i... niemiecka czarno-biało-czerwona. Polskiej flagi nie było.

Po przedstawieniu się ppłk. Tinzowi zeszliśmy wszyscy na dół. W środku czworoboku stanął ppłk. Tinz w towarzystwie starosty powiatowego Pawlikowskiego, burmistrza Bednarzewskiego i obywatela ziemskiego z Policznej p. Targowskiego i odczytał po niemiecku manifest gen. Kuka o utworzeniu Królestwa Polskiego, powtórzony następnie po polsku przez starostę Pawlikowskiego. Następnie ppłk. Tinz wzniósł po polsku okrzyk na pomyślność Królestwa Polskiego, po czym chór dzieci ze szkół miejskich odśpiewał hymn narodowy: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Następnie burmistrz Bednarzewski wzniósł okrzyk na cześć cesarzy Austrii i Niemiec, a chór... odśpiewał rotę Konopnickiej: „Nie rzucim ziemi!“

Następnie wszyscy obecni udali się do kościoła parafialnego, gdzie ksiądz dziekan miejscowy zaintonował „Te Deum laudamus“, a następnie wszyscy zgromadzeni w kościele odśpiewali „Boże coś Polskę“.

Cała uroczystość proklamowania niepodległości miała charakter sztywny, sztuczny i zimny. Nie było entuzjazmu, ani radości. Czuło się, że zarówno Polacy jak i Austriacy biorą w tej uroczystości udział z musu. Wszyscy zdawali sobie sprawę z nieszczerości okupantów, tylko my po cichu cieszyliśmy się, że przecież wkraczamy w nowy okres walki o zdobycie prawdziwej niepodległości. Mielśmy wówczas złudzenie, że przyszła chwila, w której pozwolą nam zorganizować coś w rodzaju dawnego Księstwa Warszawskiego, które stanie się z czasem Piemontem Polskim i po zjednoczeniu Włoch i Niemiec nadejdzie chwila zjednoczenia Niepodległej Polski!

W NIEPODLEGŁYM „KRÓLESTWIE POLSKIM“

(Na okupacji austriackiej)

Bezczynnie spędzając czas na rekonwalescencji w szpitalu, miałem możność przyjrzeć się bliżej rozwojowi wypadków politycznych po proklamowaniu przez państwa centralne „niepodległości“ Królestwa Polskiego.

Na ogół społeczeństwo nie wierzyło okupantom, w czym umacniały je głosy oficjalnej prasy austriackiej w rodzaju „Wiener Zeitung“ i „Fremdenblattu“, które zupełnie wyraźnie pisały, że o niepodległości Polski nie może być mowy w ścisłym znaczeniu tego słowa wcześniej, aż po zakończeniu wojny. Prasa polska skrzętnie te głosy rejestrowała, zaznaczając ponadto, że nie wiadomo również, jak należy rozumieć autonomię Galicji, która już przed wojną z pewnej autonomii korzystała, a w czasie wojny autonomia ta została tylko zawieszona. Wobec istniejącej cenzury zarówno pod okupacją austriacką jak i niemiecką, prasa polska nie mogła zupełnie swobodnie wypowiadać się w tych sprawach, toteż ograniczała się do kronikarskiego opisu uroczystości, związanych z ogłoszeniem aktu 5 listopada w stolicach obu okupacji, tj. w Warszawie i Lublinie, notowała głosy prasy austriackiej i niemieckiej i na tym koniec. Zresztą i władze okupacyjne bezpośrednio po ogłoszeniu „niepodległości“ w niczym nie zmieniły swego postępowania, nie wydały żadnych zarządzeń, któreby wskazywały przynajmniej na przygotowania realizacji ogłoszonej zapowiedzi, lecz rządziły się nadal jak szare gęsi w Królestwie.

Natomiast, jak wnosilem z listów, otrzymywanych z pułku, w Legionach akt 5 listopada wzbudził pewne nadzieje, że zbliżamy się do jakichś rozstrzygnięć przynajmniej naszego losu. Legiony zostały wycofane z frontu wołyńskiego, przerzucone pod Baranowicze, gdzie miała nastąpić ich reorganizacja. Z chwilą przeniesienia na teren operacyjny niemiecki, Legiony zerwały kontakt taktyczny z dowództwem austriackim i faktycznie przeszły pod komendę niemiecką. Wstrzymano więc przekształcenie dywizji legionowej na Polski Korpus Posiłkowy, pomyślany przez Austriaków,

potworzono jakieś komisje organizacyjne różnych rodzajów broni, które miały się zająć rozbudową „armii polskiej”. Przewodnictwo komisji piechoty powierzono b. komendantowi 5. pułku piechoty ppłk. Leonowi Berbeckiemu, który, jak mię informowano, zamieścił mię na liście przyszłych komendantów kompanii. Wszystko to świadczyło, że zbliża się moment, kiedy Legiony staną się wreszcie kadrą armii polskiej. Ale tej armii, dopóki do niej nie wrócił Komendant Piłsudski, faktyczny wódz Legionów, nie mogłem sobie wyobrazić. A tymczasem o losach i zamiarach Komendanta nie docierały żadne wieści. „Proklamowanie” niepodległości odbywało się bez Jego udziału i prawie że bez udziału Legionów. W Warszawie był tylko ppłk. Berbecki i rotmistrz Gustaw Orlicz-Dreszer, w uroczystościach w Lublinie brał udział tylko mjr Władysław Belina-Prażmowski, komendant 1. pułku ułanów. Te tak skąpe delegacje istotnie polskie wśród liczego udziału oficerów austriackich, niemieckich i polsko-austriackich „werbunkowców” z Departamentu Wojskowego N. K. N. nie rokowały nic dobrego. Może Niemcy chcą jedynie wyłudzić od nas rekruta, by rzucić go na front zachodni, a później z szumnych zapowiedzi, przezornie podpisanych nie przez Franciszka Józefa i Wilhelma II, lecz przez gubernatorów wojennych generałów Kuka i Beselera, pozostanie jedynie „świsstek papieru”, który Niemcy podepcą tak jak traktat o neutralności Belgii? W prasie nie znajdowałem żadnych, albo prawie żadnych wiadomości o Komendancie. I to mnie niepokoiło. 6 listopada pojawiła się wprawdzie fałszywa pogłoska o pobycie Komendanta w Warszawie, ale już 9 listopada stwierdziłem na podstawie pism krakowskich, że Komendant nadal bawi w Krakowie. Męczyła mię myśl, co zrobi teraz Komendant, w jaki sposób ustosunkuje się do aktu 5 listopada, czy wróci do wojska, czy nam każe cofnąć podania o dymisje, dotąd pozytywnie nie załatwione. Jeżeli uwierzy obietnicom okupanta, to wróci do wojska. Mnie się jednak zdaje, że raczej im nie uwierzy, a wtedy...? Zresztą nie będę zgadywał Jego myśli. Czekam, co rozkaże. On, który widzi dalej niż my wszyscy, może takie wysnuje wnioski, o których nam się nie śniło. A tymczasem w Baranowiczach, gdzie skoncentrowano Legiony, podobno tworzy się już I Korpus Polski. Dalsze Korpusy mają być rzekomo tworzone: II — w Dęblinie, III — w Ostrołęce, IV — w Skierniewicach, ale bez żadnego udziału Legionów. Legiony mają być „izolowane” w I Korpusie. Czy to prawda i co to ma znaczyć? Okupanci chcą więc „ochronić” rekruta Królestwa od „zarazy” legionowej!

10 listopada ukazały się odezwy generał-gubernatorów warszawskiego i lubelskiego, wzywające do ochotniczego wstępowania w szeregi armii polskiej. A więc tak im śpieszno! Przed powoła-

niem jakiejkolwiek legalnej władzy polskiej ustawodawczej, czy wykonawczej, która jedynie ma prawo do szafowania krwią polską, władze okupacyjne nie zdołały nawet zachować jakieś takiej przyzwoitości i tak bez żadnych obślonek wskazują, o co im chodzi. Czy prawo międzynarodowe daje im odpowiednie upoważnienia? Odpowiedź na to pytanie dała natychmiast piosenka legionowa:

„Wyszedł rozkaz Beselera, wyszedł rozkaz Kuka,
Polska musi dać rekruta, dreisig marek sztuka!”

Gdzie rząd, gdzie sejm polski? Gdzie władze legalne? Jakim prawem władze okupacyjne wzywają ludność polską do wojska? Czyż mają nadzieję, że za obietnicę niepodległości uzyskają mięso armatnie, które w ich interesie będzie walczyć na polach Francji? A może chcą po prostu wytępić wszystkie najczynnniejsze jednostki społeczeństwa polskiego, aby tym łatwiej ujarzmić pozostałą bierną masę?

Długotrwałe milczenie Komendanta po akcie 5 listopada utwierdza mię w przekonaniu, że tylko o mięso armatnie chodzi okupantom. Prasa krakowska donosi o manifestacjach na cześć Komendanta, który czynem swym zmusił okupantów do przyspieszenia decyzji, ale jednocześnie ani słowem nie wspomina o Jego powrocie do wojska. Dotychczas nie wezwał i nas do powrotu.

Stronnictwa polityczne milczą również. Odezwało się tylko stronnictwo Polityki Realnej, z którego opinią liczyć się nie podobna. Między wierszami prasa przemyciła krytyczne głosy prasy krakowskiej o akcie 5 listopada, ale widać, że koalicja jest jednak zaskoczona decyzją państw centralnych.

A opinia publiczna Królestwa wciąż milczy. W Warszawie jedynie Liga Państwowości Polskiej, pod bezpośrednim patronatem płk. Sikorskiego, angażuje się coraz silniej w akcję werbunkową okupantów, robiąc jednocześnie niesmaczną reklamę Legionom. Centralny Komitet Narodowy, jednoczący stronnictwa lewicy, wydał odezwę dość mętną i niejasną, z której widać, że czeka jeszcze na decyzję Komendanta. Ugrupowania prawicowe wyraźnie nie chcą się decydować, nie biorą czynnego udziału w akcji L. P. P., ani na rzecz okupantów, ani nie chcą się angażować w ich zwalczaniu. Galicja entuzjazmuje się, jak zwykle, „wielkodusznością” cesarzy, jak przed dwoma laty Królestwo się entuzjazmowało „wielkodusznością” Mikołaja Mikołajewicza. Poznańskie milczy złowrogo, Królestwo nie chce okazać wyraźnego oblicza.

22 listopada przyniósł przynajmniej rozwiązanie jednej zagadki. Ogłoszono list Komendanta do ppłk. Berbeckiego, w którym Komendant zalecił nam cofnięcie dymisyj. Ale co z Komendantem, czy wróci? Rozkaz wykonać musimy, ale wojsko polskie bez Ko-

mentanta jest nie do pomyślenia. To będzie wojsko najemne okupantów, a nie wojsko pod narodowymi sztandarami z własną polską komendą!

W Kozienicach w oktawę „niepodległości“ urządzono wysoce niemilą manifestację. I to manifestację „legionową“. Ksiądz dziekan bredził coś o „wierze“, audytor polsko-austriacki p. Dwernicki gloryfikował „cesarzy“. Zrobiono uroczystość austriacką, pomimo że komendant obwodu płk. Tinz wymówił się od udziału w tej szopce. Nie przyjechał również oczekiwany komendant grupy z Dębina płk. Zygmunt Zieliński.

Wszystko to budzi smutne u mnie refleksje. Dokąd idziemy? Okupanci „ogłosili“ niepodległość i zdaje się, że nie mają zamiaru jej realizować. Wzywają tylko do wojska, które nie wiadomo, kto będzie tworzył, kto będzie nim dowodził, komu ma ono służyć. My musimy wracać do wojska, które wydaje nam się jeszcze mniej polskie niż Legiony, które miały przynajmniej duchowego Wodza w osobie Komendanta.

Spółczeństwo Królestwa rozbite jest w tej chwili na trzy obozy. Przedstawicielem jednego jest w Kozienicach ksiądz-diekan, typowy endek, nie widzący końca swojego nosa, który udaje, że nie widzi, iż ziemia pali się pod nogami, że trzeba czegoś chcieć, a nie czekać, aż „Tata“ wróci i wszystko po swojemu urządzi, podlewając moskiewskim dziegiem, albo okupanci, nie mogąc się doczekać żadnej decyzji z naszej strony, urządzają wszystko wedle swego „widzi mi się“. Typowym przedstawicielem drugiego obozu jest wspomniany wyżej audytor, rzekomo demokrata, niezdolny do niczego innego poza hołdem dla Habsburgów i do wyrażania bezgranicznej wdzięczności dla „władcy“. Obóz trzeci to garść szczerych niepodległościowców, skupiona dokoła osoby Komendanta, ale tak słaba, że niezdolna do wyłonienia ze swego łona rządu, któryby wziął wreszcie za łeb kretynów Królestwa i matolków Galicji i umiał narzucić swą wolę i decyzję.

Ze wszystkich trzech obozów najsilniejsza w opinii wydaje się być prawica, znajdująca się pod wyraźnym wpływem Narodowej Demokracji. Nic w tym dziwnego, gdyż głosząc hasła bierności pociąga za sobą wszystkie elementy niezdolne do czynu, wygodne, tchórzliwe i do samodzielnego myślenia nie przygotowane. Za nich decyduje „Tata“, boć pragną tylko zjednoczenia ziem polskich pod berłem „wielkodusznego“ cara.

Centrum, społecznie nie różniące się niczym od prawicy, psychicznie też się od N. D. nie różni. Centrum z Ligą Państwowości Polskiej na czele różni się tylko tym od prawicy, że innego „pana“ sobie obrało. Tu rolę „Taty“ pełni generał-gubernator lubelski. Niech tylko się koniunktura zmieni, to z centrum nic nie zostanie. Połączy

się ono z prawicą i będzie służyć temu panu, który będzie górą. Gen. Kuk nakazał werbunek, więc oni wołają: „Werbunek“. To cała ich ideologia. Do jakiego wojska werbują, kto nim będzie dowodzić, dokąd tę armię zaprowadzą, nic ich nie obchodzi. Oni też nie są zdolni do żadnego samoistnego myślenia.

Pozostaje — lewica. Szczerze niepodległościowa opowiada się za ideologią Komendanta. Podzielona jednak na szereg „kanapowych“ partyjek, skłóconych między sobą, także nie jest zdolna do żadnego czynu. Pozostaje więc sam jeden — Komendant. On jeden wie, czego chce, on jeden naród może do zwycięstwa poprowadzić, ale przedtem musiałby sięgnąć po dyktaturę, wziąć za łeb, tak aby kości trzeszczały, zmusić do posłuchu, do karności, do posłuszeństwa i solidarności. Ale Komendant kiedyś powiedział, że gdyby nawet znany wróg Legionów ks. biskup Łosiński stworzył rząd narodowy, to i temu rządowi się podporządkuje. Taki już jest nasz Komendant, a na pewno wie lepiej od nas wszystkich, co robić należy.

Gdyby Komendant wziął całość władzy w swoje ręce, to niewątpliwie wszyscy by mu się podporządkowali; gdyby rzucił hasło: „Do szeregów“, to niewątpliwie potrzebne korpusy z ziemi by wyrosły; gdyby kazał uwolnić się od okupantów, to niewątpliwie rozbrojonoby ich w ciągu 24 godzin.

Ale Komendant tego rodzaju rozkazów nie wydaje. Widocznie ma jakieś przeszkody, które nie pozwalają mu jeszcze na przejście do otwartego działania, może jeszcze rozporządza zbyt małymi siłami, może uważa, że jeszcze odpowiedni moment nie nadszedł, może ma inne przyczyny, dla których tymczasem — milczy.

13 listopada ukazała się odezwa C. K. N. w sprawie stosunku do tworzącej się armii polskiej. Czyżby to Komendant zaczął działać? Manifestacje na cześć Komendanta nie ustają. A okupanci, jakby tego nie dostrzegali. Ogłaszają, że od 22 listopada ma się rozpocząć energiczna akcja werbunkowa. Ale granic okupacyjnych nie znoszą, żadnych ułatwień w komunikacji kolejowej nie dają, wywozu z Królestwa ani rekwizycji nie wstrzymują. A wojsko polskie ma być czasowo na etacie niemieckim.

Sytuacja staje się nie do zniesienia. Przygnębiająco działa nawet na starych żołnierzy. Z frontu donoszą mi o zgonie mjra Albina Fleszara („Satyra“). Nie doczekał się Polski Niepodległej, dobiła go fatalna nasza sytuacja po akcji 5 listopada.

15 listopada ukazały się w „Przeglądzie Porannym“ pogłoski o mającym być zwołanym Sejmie Polskim. Czyżby okupanci przyszli wreszcie do rozumu? Sejm ma być rzekomo czteroprzymiotnikowy z proporcjonalnym głosowaniem. Cenzus wieku dość wysoki 30 lat. Ten „Sejm“ ma wybrać „Radę Stanu“ złożoną z 8 członków, z których 4 mianuje gen. Beseler. W Warszawie ujawniła się Pol-

ska Organizacja Wojskowa (P. O. W.). Czy aby nie za wcześnie? Otwarto biura werbunkowe, do których tłumy się garną, a w „oficjalnych“ biurach werbunkowych wieje pustką.

Nadchodzą wiadomości, że Legiony, jako całość, mają być wcielone do armii polskiej, ale tworzyć będą odrębną jednostkę organizacyjną, aby nie tracić kontaktu z Naczelną Komendą Armii Austriackiej. Legiony mają więc być I Korpusem Armii Polskiej, inne korpusy nie otrzymają kadr legionowych. Poszczególni Królewiaczy będą mogli starać się o przeniesienie do innych korpusów, ale Galicjanie muszą pozostać jako obywatele austriaccy w ramach Polskiego Korpusu Posiłkowego.

Armia Polska ma być organizowana na wzór niemiecki. Kiedyś wstępowałem do „Strzelca“ w roku 1911 obowiązywał jeszcze u nas regulamin rosyjski, w Legionach ćwiczyliśmy wedle regulaminów austriackich, teraz się trzeba z kolei uczyć — niemieckich.

Z Baranowicz piszą mi, że wre już praca reorganizacyjna, ppłk. Berbecki projektuje sformowanie z naszego 5. p. p. dwóch nowych: 11. p. p. i 16. p. p. Ja jednak jestem pono przeznaczony na komendanta kompanii w 5. p. p. Cieszę się bardzo, że zostanę w pułku macierzystym.

Pracują podobno intensywnie i inne komisje: kawalerii, artylerii i taborów. O lotnictwie na razie nie słyhać. Uderza mnie jednak, że w ogłoszeniach werbunkowych generał-gubernatorów mówi się o powoływaniu ochotników do piechoty z karabinami maszynowymi, jazdy, taborów i oddziałów sanitarnych, nie ma ani słowa o artylerii. Czyżby okupanci chcieli, abyśmy tworzyli armię bez artylerii? Prawda, że to drogi rodzaj broni, ale „sprzymierzeńcy“ mogliby nam dać armaty choćby w formie pożyczki wojennej. Jakaż to armia będzie bez dział? Na odległość trudno się zorientować w tych wszystkich projektach reorganizacyjnych wojska.

Nie lepiej jest i w polityce. Ciekawym jak wypadną wybory do Sejmu. Rozstrzygnie ostatecznie — wieś. Jeśli tam ludowcy mają istotnie takie wpływy, jakimi się chwala, to lewica powinna uzyskać większość. W miastach jęczyciem u wagi będą niewątpliwie — Żydzi. Jeżeli oni poprą lewicę, to i w miastach C. K. N. może osiągnąć większość. Warszawa ma wybrać 10 posłów, Łódź 5. Ogółem Sejm ma liczyć 100 do 120 posłów, lewica musi zdobyć ponad 60 posłów.

16 listopada nie znalazłem jednak w dziennikach ani słowa o Sejmie. Czyżby to była kaczka dziennikarska? Nie znam jeszcze szczegółów dotyczących tej niezmiernie ważnej sprawy Sejmu, ale już czytałem protest L. P. P. przeciw formie, w jakiej ogłoszono tę wiadomość. Co to znaczy?

Natomiast pojawiła się wiadomość o odejściu Legionów z Baranowicz do Królestwa. I Brygada ma przyjść w Lubelskie, II Brygada w Kieleckie i Radomskie, III Brygada w Piotrkowskie. Wszystkie Brygady przychodzą więc na okupację austriacką. Komenda Grupy w Dęblinie ma być zwinięta. Po cóż kadry, skoro macierzyste pułki stają się obecnie kadrami?

Otrzymałem też wiadomość, że rzekomo przeznaczono mnie do werbunku. Skąd ten pomysł? Po za mną na tej liście z I Brygady jest podobno tylko por. Czesław Jarnuszkiewicz i ppor. Gad-Dobrodzicki oraz dwaj oficerowie obecnie w P. O. W. ppor. Kazimierz Sawicki i ppor. Kazimierz Polkowski. Nie ma ani jednego z dawnych oficerów werbunkowych, nie ma ppor. Juliana Ulrycha, chor. Władysława Włoskowicza, ani brata mego Stefana. Napisałem zaraz do pułku z prośbą o wyjaśnienie mej sytuacji, bo nie wiem, jak mam się do tej sprawy ustosunkować, jeśli tu w szpitalu otrzymam tego rodzaju rozkaz.

Miedzy 16 a 18 listopada byłem jak tabaka w rogu. Z nieznanym mi przyczyn dzienniki do Kozienic nie docierały. Dopiero 19 nadeszły, przyjechał również oficer werbunkowy na powiat kozienicki, a mój dawny kolega z „Promienia“ chorąży Andrzej Kulwieć. Przywiózł mnóstwo nowin. W Warszawie podobno chaos. Odbywają się różne demonstracje i kontrdemonstracje, ale nic się z tej mgławicy nie wyłania. Czyż bylibyśmy do żadnej decyzji niezdolni? Polska, jeżeli ma powstać, musi mieć silny rząd, który żelazną miotłą wymiecie wszelkie objawy anarchii i weźmie krótko naród, który widocznie nie dorósł jeszcze do demokratycznych i liberalnych rządów na wzór Zachodu i rozumie tyłkowladzę, która go trzyma krótko, na munsztuku!

Przeczytałem broszurę pt. „Pręgiarz“. Musiał ją chyba napisać Adolf Neuwert-Nowaczyński. Tylko on i Andrzej Niemojewski mają tak cięte pióra. Broszura to arcyłotrowska i gdyby nie zbyt dobry język polski, można by sądzić, że to elaborat naszych wrogów.

Nareszcie wiem jak będzie wyglądał Sejm i Rada Stanu wedle projektów Beselera. W istocie rzeczy to parodia. Nareszcie całe społeczeństwo zjednoczyło się w proteście przeciw podobnym projektom. Niestety my umiemy jednoczyć się jedynie w negacji, ale nie w działaniu pozytywnym. Ale wreszcie powstała Rada Narodowa, jednocząca wszystkie stronnictwa prócz „pryncypialistów“ moskalofilów N. D. i S. D. Liczy ona 80 członków, w tym 40 z Warszawy. Z ogólnej liczby 40 członków z Warszawy, 20 pochodzi z prawicy (częściowo nawet spośród b. członków N. D.), 7 z Ligi Państwowości Polskiej, a 13 z Centralnego Komitetu Narodowego. Nie rozumiem, czemu prawicy dano taką przewagę, skoro najsilniejsza partia N. D. w skład Rady nie weszła.

Rada Narodowa wybrała Wydział Wykonawczy w składzie: Stanisław Thugutt, Artur Śliwiński, adw. Śmiarowski, Grendyszyński, Chmielewski, rektor Brudziński i ks. Gnatowski.

Rada Narodowa ma podobno rozpocząć starania o desygnowanie regenta. Kandyduje pono na to stanowisko książę Leopold Bawarski, który niedawno inspekcjonował Legiony.

Następnie ma być powołana Rada Stanu, stanowiąca surogat rządu, który niezwłocznie przystąpi do zwołania sejmu i organizacji wojska.

Gdy tak w Warszawie „układają się” stosunki, w Krakowie Ignacy Daszyński wygłosił bardzo mocne przemówienie, podnoszące zasługi Komendanta, domagające się rozwiązania N. K. N. W Warszawie natomiast unika się nazwiska Komendanta ze względu na Beselera. Prusacy nie znoszą Komendanta, jako symbolu niezawisłości państwa i wojska polskiego. Jednocześnie mówi się, że niechęć Beselera do Legionów ustępuje wobec tego, że nie ma w nich obecnie Komendanta. Toteż Legiony, mimo wszystko, mają się stać kadrą armii polskiej, nawet Galicjanie mają rzekomo być zwolnieni od przysięgi Franciszkowi-Józefowi i będą mogli starać się o uzyskanie obywatelstwa Królestwa Polskiego. Czy to jednak znów pogłoski, czy istotnie pozwolą zostać Galicjanom w armii polskiej? Zobaczymy!

Projekt przebudowy armii polskiej przewiduje podobno 16 pułków piechoty, 4 pułki jazdy i 2 pułki artylerii. Jak na 4 dywizje, to artylerii grubo za mało! Każdy baon ma być w zasadzie kadrą pułku piechoty. Komenda Legionów ma odejść do Warszawy. Wszystkie pułki mają być rozmieszczone w Królestwie, ale wyłącznie na okupacji niemieckiej. Czyżby gotowano nowy podział Królestwa Polskiego? Do tego nie dopuścimy! Nie zdecydowano dotąd kwestii wyższych Komend. Komendantem armii polskiej chce pono zostać generał Beseler. Ładna komenda! Rzekomo płk. Szeptycki miał zażądać kategorycznie, aby komendantami byli wyłącznie Polacy. Okazało się jednak, że w całej armii niemieckiej jest pono 30 oficerów-Polaków. Natomiast do Polaków z armii austriackiej Prusacy nie mają zaufania. O awansowaniu oficerów Legionów na generałów nawet się nie mówi. Do czego to wszystko doprowadzi? Armia Polska bez Komendanta Piłsudskiego jest wprost nie do pomyślenia. Dziś Komendant stał się już symbolem wojska polskiego i nawet nasi przeciwnicy polityczni widzą, że Komendant i armia polska to jedno.

Tymczasem na rozkaz generał-gubernatorów robi się na gwałt werbunek. Budzi to powszechny niesmak nawet w przyzwoitych „departamentowcach”. Komendantem Legionów jest jeszcze ciągle płk. Stanisław Szeptycki, najenergiczniejszy ze wszystkich komen-

dantów dotychczasowych, mówią, że wkrótce ma być mianowany generał-majorem, ale czy nie wróci do armii austriackiej, wobec planów gen. Beselera, tego nie można jeszcze przesądzać.

Prasa notuje wrażenia, jakie akt 5 listopada zrobił w Rosji. Ogłoszenie rzekomej niepodległości Królestwa narobiło tam gwałtu. Rząd rosyjski oczywiście i Duma Państwowa protestuje energicznie. Prezes Koła Polskiego w Dumie poseł Harusewicz, po Dmowskim wódz Narodowej Demokracji w Rosji, nie zdobył się naturalnie na tyle godności narodowej, aby milczeć przynajmniej, wobec postawienia sprawy polskiej na forum międzynarodowym. Nie obeszło się oczywiście bez „protestu“ Koła Polskiego. Kiedyż nareszcie przestaną ci panowie, pozbawieni choćby odrobiny ambicji narodowej, przemawiać, prawem kaduka, w imieniu narodu polskiego, z którym dobrowolnie zerwali uciekając do Rosji? Nie obeszło się także bez odezwy Romana Dmowskiego i Erazma Piltza, którzy, przewodząc emigracji na Zachodzie, uznali również za stosowne protestować przeciw niepodległości Królestwa Polskiego. I cóż dziwić się okupantom, że w tych warunkach groteskowo traktują ogłoszoną przez siebie niepodległość Polski. Ostatnie wypadki wywarły podobno takie wrażenie na Henryku Sienkiewicz, że przyczyniły się do jego zgonu. Nie doczekał niepodległości Polski, ten który duże zasługi położył, gdyż powieściami swymi ducha rycerskiego budził i niejednego z nas może nawet, mimo swej woli, do Legionów zaprowadził. Henryk Sienkiewicz nie poszedł wprawdzie z nami, ale i do naszych wrogów się nie przyłączył poświęcając się jedynie akcji charytatywnej na emigracji dla umęczonej wojną Polski.

20 listopada przeczytałem w krakowskim „Naprzodzie“ odezwę P. O. W. Dowiedziałem się, że gdy „oficjalny“ werbunek do armii polskiej“, organizowanej przez generał-gubernatorów, nie idzie, to równocześnie tłumy garną się do Polskiej Organizacji Wojskowej, na której czele stoi Komendant, który naszego honoru narodowego na szwank narazić nie pozwoli. Wszystko wskazuje na to, że P. O. W., a nie Legiony, wzięte w pacht przez Niemców, stanowiąc będą kadrę przyszłej prawdziwej armii polskiej. Tymczasem nadchodzą wieści o mobilizowaniu werbunku. Czytam właśnie, że do Płocka przeznaczono mjr. Kazimierza Fabrycego z I Brygady, do Kalisza rtm. Jana Dunina Brzezińskiego z 2. pułku ułanów, a do Częstochowy por. Tadeusza Bobrowskiego, oficera kancelaryjnego. Ogłoszono również skład Rady Narodowej: Z ramienia Centralnego Komitetu Narodowego weszli tam: Artur Śliwiński, Stanisław Śliwiński, Stanisław Osiecki, Stanisław Thugutt, Tomasz Arciszewski, Jan Janowski, Stanisław Kempner, Stanisław Janikowski, Antoni Kaczorowski, Witold Jodko-Narkiewicz, Wacław Sieroszewski, Nowicki i Popiel, ponadto 2 radykałów: Franciszek Paschalski i Eugeniusz

Śmiarowski: Z ramienia Ligi Państwowości Polskiej weszli: Stefan Dziewulski, Zygmunt Łempicki, Chmielewski, Jan Simon, Antoni Ponikowski, Witold Kamieniecki, Marceli Handelsman, Do Centrum zaliczają się również: L. Grendyszyński, Stefan Krzywoszewski. Wreszcie prawicowe Stronnictwo Narodowe wyłonione z Komitetu Międzypartyjnego reprezentują: Józef Targowski, Adam hr. Ronikier, ks. Seweryn Popławski, Łuniewski, hr. Rostworowski, A. Olaszewski, Zjednoczenie postępowe adw. Łypacewicz i Gąsiorowski, Ponadto jest 9 bezpartyjnych: Wacław Makowski, Stanisław Libicki, rektor Brudziński, ks. Gnatowski, Stanisław Bukowiecki, Antoni Wieniawski, Stanisław Dzierzbicki, Józef Mikułowski-Pomorski i Natanson.

Czy i kiedy Rada Narodowa wyłoni z siebie Radę Stanu na razie nie wiadomo. Tymczasem prasa zastanawia się już nad kandydatami do tronu polskiego. Liga Państwowości Polskiej, wierna swej „austriackiej” orientacji, forsuje podobno księcia Karola Stefana z Żywca. Miał on oświadczyć, że regencji nie przyjmie, do Warszawy przyjedzie tylko jako król. Wątpliwe się wydaje, aby Prusacy zgodzili się na Habsburga.

A w Rosji „Gazeta Polska”, organ N. D. w Moskwie, i „Dziennik Kijowski” stanęły na gruncie deklaracji posła Jana Harusewicza. Jeden tylko petersburski „Kurjer Nowy” miał zająć odmiennie stanowisko. Prasa tutejsza donosi, że Rosja w odpowiedzi na proklamowanie niepodległości Królestwa Polskiego ma ogłosić aneksję Galicji. Byłby to istotnie moskiewski pomysł, ale chyba nawet Moskale nie są tacy głupi. Ciekawe czy i ten akt Harusewicz przyjmie z entuzjazmem.

21 listopada otrzymałem znowu listy z pułku. Piszą mi, że między 20 a 30 listopada spodziewany jest odmarsz pułków do Królestwa. Dotąd nie śpieszyło mi się do pułku, bo jak mam siedzieć w Baranowiczach, to już wolę w Kozienicach. Ale teraz, gdy pułk idzie do Królestwa, trzeba się postarać o zwolnienie ze szpitala.

Rozkaz Komendy Grupy w Dęblinie wydzieli podoficerów i żołnierzy 1. kompanii uzupełniającej do gubernii w Mławie, Siedlcach, Łodzi, z 2. kompanii uzupełniającej do gubernii w Warszawie i Siedlcach, z 3. do gubernii w Częstochowie i Kaliszu. Z tego podziału można już coś niecoś, wnioskować o dyslokacji pułków legionowych w Królestwie. A więc II Brygada idzie do Warszawy, ta II Brygada, która ma najmniej wspólnego z Warszawą, a nasz pułk „Warszawski”, który ten tytuł uzyskał od Komendanta jeszcze pod Konarami, pójdzie gdzieś na głęboką prowincję.

22 listopada rozeszła się pogłoska o śmierci cesarza Franciszka Józefa. Jeśli to nie pogłoska fałszywa, to w Austrii mogą zajść poważne zmiany. Państwo to tak silnie jest związane z osobą

Franciszka Józefa, że trudno sobie wyobrazić Austro-Węgry bez niego. Ciekawe, czy w ogóle po jego śmierci nie nastąpi rozkład państwa.

23 listopada od rana na wszystkich gmachach publicznych wywieszono chorągwie austriackie i węgierskie przybrane krepą, a ponadto chorągwie niemieckie i po raz pierwszy — polskie. Okazuje się, że Franciszek Józef umarł już 21 listopada o godz. 9, ale przez dwa dni nie podawano tej wiadomości, aby równocześnie powiadomić o wstąpieniu na tron dziś już cesarza Karola I, wraz z jego odezwą: „Do moich ludów“.

Z frontu nadeszły wiadomości o projektowanym rozwiązaniu 3. i 6. p. p. Z pozostałych czterech pułków (7. p. p. już rozwiązano wcielając V baon do 5. p. p., a VI baon do 1. p. p.) mają być sformowane kadry czterech dywizyj. Dyslokacja pułków rzekomo ma być przeprowadzona następująco: 1 p. p. — Łomża, 2 p. p. — Piotrków, 5. p. p. i 4. p. p. — Skierniewice i Modlin, 1. p. art. — Ostrolęka, brygada kawalerii — Siedlce.

W naszym baonie obsada kompanii przedstawia się obecnie w następujący sposób: 1. — ppor. Władysław Wąsik, 2. — ppor. Jan Jagmin-Sadowski, 3. — ppor. Stanisław Nilski-Łapiński, 4. — por. Mieczysław Rawicz-Mysłowski, ten ostatni jako najstarszy jest zastępcą komendanta baonu kpt. Narbutta-Łuczyńskiego.

Kompania nasza wzrosła już do 60 ludzi, mimo to podzielona jest tylko na dwa plutony, które prowadzą podoficerowie: I pluton — sierż. Wojno-Szczepanowski, II pluton — kapral Tkacz. Oficerowie są teraz tylko à suite przy kompanii. Ze spraw ogólnych zanotować należy, że Beseler miał się pono zgodzić na wniosek Rady Narodowej, będącej surogatem sejmu, co do składu Rady Stanu, jako przyszłego rządu. Rada Stanu ma się składać z 20 członków (12 z okupacji niemieckiej i 8 z okupacji austriackiej). W skład Rady Stanu mają wejść delegacje do Berlina i Wiednia, a więc Łempicki, Chmielewski, hr. Ronikier, ks. Radziwiłł, Dzierzbicki, Brudziński, Natanson i jeden członek mianowany przez Beselera. Będzie nim prawdopodobnie Władysław Studnicki lub Prokop-Zawadzki. Pozostałych 4 ma desygnować Rada Narodowa. Ze strony C. K. N. wysunięto: Jodko-Narkiewicza, Artura Śliwińskiego i mec. Eug. Śmiarowskiego. Nieznane są jeszcze nazwiska kandydatów z okupacji austriackiej.

Równocześnie z tymi „ustępstwami“ Beselera w sejmie pruskim przechodzi wniosek hakatystów!

25 listopada mam nowe wiadomości z pułku. Te listy z pułku to jedyna moja przyjemność w monotonii szpitalnej. Wiadomości o rozwiązaniu 3. i 6. p. p. nie sprawdzają się. Przeciwnie 3. pułk

przeznaczony jest do Warszawy. Nasz pułk ma iść do Pułtusza. Donoszą mi, że chodzą pogłoski o awansach, rzekomo i ja mam wreszcie zostać podporucznikiem. Cóż mi z tego, kiedy to już nie będzie nominacja Komendanta. Teraz to już mi jest obojętne czy jestem „austriackim“ chorążym, czy „niemieckim“ podporucznikiem. Gdy nie ma Komendanta wojsko straciło dla mnie wszelki czar. Ale chyba i Beseler wreszcie zrozumiał, czym jest Komendant dla wojska polskiego, bo o to po raz pierwszy „Deutsche Warschauer Zeitung“ zamieściło artykuł o Komendancie.

26 listopada rozkaz Komendy Grupy powiadomił nas o transporcie Legionów do Królestwa. Równocześnie ogłoszono nowe ordre-de-bataille. Rozbito I Brygadę! Nasz pułk został przeniesiony do III Brygady. Teraz gdy I Brygadę objął płk. Januszajtis to w gruncie rzeczy jest nam wszystko jedno, ale my zawsze zostaniemy I Brygadą, choćby nie wiem jakie sztuczki z nami wyprawiano. Nowe ordre-de-bataille przedstawia się w ten sposób:

Komenda Legionów	—	płk. Szeptycki, Warszawa
Komenda I Brygady	—	płk. Januszajtis, Łomża
1. pułk piechoty	—	płk. Rydz-Śmigły, Łomża
2. pułk piechoty	—	płk. Żymierski, Rożan
Komenda II Brygady	—	płk. Haller, Warszawa
3. pułk piechoty	—	płk. Sikorski, Warszawa
4. pułk piechoty	—	płk. Roja, Modlin
Komenda III Brygady	—	płk. Zieliński, Warszawa
5. pułk piechoty	—	ppłk. Berbecki, Pułtusk
6. pułk piechoty	—	ppłk. Neugebauer, Nałęczów
1. pułk ułanów	—	mjr Belina-Prażmowski, Ostrołęka
2. pułk ułanów	—	mjr Ostoja-Zagórski, Mińsk Mazowiecki
1. pułk artylerii	—	mjr Śniadowski, Góra Kalwaria
	1. dyon artylerii	— Góra Kalwaria
	2. dyon artylerii	— Grajewo
	Dyon haubic	— Piotrków
	Oddziały techn.	
	(dwie komp. saperów)	— Modlin

Tak wyglądają obecnie Legiony, czy Polski Korpus Posiłkowy, bo sami nie wiemy, jak się obecnie nazywamy. Wkrótce ma powstać 16 pułków piechoty, 4 pułki jazdy, 4 pułki artylerii (nareszcie widać zrozumiano, że każda dywizja musi mieć przynajmniej jeden pułk artylerii). Mówią, że komendantem całej artylerii ma zostać płk. Haller, ongiś kapitan artylerii austriackiej. Wszystko zresztą są to plany jedynie, które mogą być zrealizowane, gdy będzie rekrut.

A przyjście rekruta uzależnione jest od tego, czy go naród powoła, bo na wezwanie generał-gubernatorów zgłoszą się tylko tacy, którzy dziś z głodu umierają.

Sytuacja polityczna jest jednak ciągle niewyjaśniona. Wprawdzie konsolidacja społeczeństwa pod sztandarem wyraźnie niepodległościowym robi ciągle postępy, ale do wyjaśnienia się horyzontu wciąż jeszcze bardzo daleko.

W Lublinie Wydział Narodowy wspólnie z Klubem Polskim wydał odezwę niepodległościową, pod którą podpisała się również wyraźnie austrofiłska Liga Państwowości Polskiej. Ster tej partii coraz wyraźniej wymyka się z rąk płk. Sikorskiego. Może dlatego właśnie 3. pułk dano do Warszawy, aby płk. Sikorski, który od niedawna nim dowodzi, mógł wywierać wpływ na dalsze kształtowanie się sytuacji politycznej. Dziwne są losy tego człowieka, którego wygórowana ambicja zaprowadziła na manowce. Ongiś jeden z założycieli Z. W. C. we Lwowie, w Legionach stale działał na rzecz Austriaków, toteż śpiewano o nim:

„A ten za waleczność medal
Hranilović darmo ne dal!“

gdy płk. Sikorski, spędzając całą wojnę na tyłach, otrzymał „Verdienstkreuz“ za pośrednictwem szefa oddziału wywiadowczego Chorwata, płk. Hranilovića. Płk. Sikorski z niezrozumiałą pasją działał w ciągu całej wojny przeciw wszelkim zamierzeniom Komendanta Piłsudskiego. A kiedy przeszedł „do linii“, zdawało się, że już przynajmniej jego rola polityczna się skończyła. Znów go powołano do Warszawy i we wszystkich posunięciach polityczno-werbunkowych widać jego rękę. Jak działał dawniej na rzecz Austriaków, tak teraz wyraźnie idzie na rękę Niemcom. Na jego wniosek pono wszyscy „komisarze“ werbunkowi mają otrzymać rangi kapitanów. W tej liczbie i Izidor Modelski, ten „konspirator“ z Kozienic, co we wrześniu chciał organizować „tajną“ I Brygadę, a teraz jest podobno najtajniejszym doradcą i prawą ręką płk. Sikorskiego. Twórca „tajnej“ organizacji pierwszobrygadowej służy nowym panom. Komu on jeszcze służyć będzie w przyszłości?

A w werbunku ciekawe rzeczy można zaobserwować. Oto do Kozienic na komisarza werbunkowego przysłano „Pepiczka“ por. Hladika, który słowa po polsku nie umie, a ma do armii „polskiej“ werbować wspólnie ze swym współrodakiem kpt. Smutny'm z Komendy Obwodowej. Gdyby nie akcja naszych austrofiłów, to władze okupacyjne nie ośmieliłyby się do podobnej prowokacji ludności Królestwa. Ale chodzą pogłoski, że Austriacy mają wkrótce opuścić

Królestwo. Oby stało się to jak najprędzej. Przynajmniej mielibyśmy do czynienia z jednym zupełnie wyraźnym wrogiem — okupantem.

Dęblin już pustoszeje. Zamknięto herbaciarnię legionową. Odchodzą pierwsze transporty do 1. i 2. p. ułanów. 30 listopada ma być ukończona całkowicie translokacja Legionów i Komenda Grupy zostanie zlikwidowana. W Warszawie czynione są przygotowania do przyjęcia II Brygady, tj. 3. i 4. pułków piechoty. Wyobrażam sobie, jak Warszawa witałaby I Brygadę dawną, tj. 1. i 5. p. p. Ale nas do Warszawy nie wpuszczą!

29 listopada dowiedziałem się, że z dniem 1 listopada zostałem awansowany na podporucznika. Otrzymałem nominację Komendy Legionów z lokatą 4 w ogólnej liście, a pierwszą w naszym pułku. Dotychczas nie otrzymałem dekretu Komendy Legionów, jedynie serdeczne życzenia od komendanta pułku płk. Berbeckiego. Ze spraw ogólnych mówi się dużo o powołaniu łada dzień Rady Stanu. W tej sprawie miał wyjechać do Warszawy gen. Kuk po pięciodzinnej konferencji z Komendantem. Mówi się o powołaniu Komendanta do Rady Stanu, gdzie ma objąć kierownictwo Departamentu Wojskowego. A więc będzie niejako ministrem wojny! To już coś znaczy, o ile wogóle Rada Stanu będzie miała jakiekolwiek znaczenie, a przede wszystkim — władzę.

1 grudnia ogłoszono list otwarty Wacława Sieroszewskiego do płk. Władysława Sikorskiego. Może wezwanie publiczne do zaprzestania roboty dla okupantów otrzeźwi wreszcie płk. Sikorskiego, może zejdzie wreszcie z widowni politycznej, przestanie bruździć. Czas już najwyższy skończyć z całą plejadą dawnych „departamentowców“, którzy tylko szkodę przynoszą naszej sprawie i do reszty zrażają Królestwo do Legionów.

Prasa donosi, że od Nowego Roku Legiony przechodzą na etat niemiecki i będą otrzymywać gaże w markach niemieckich. Będzie to pewne udogodnienie dla nas, gdyż przy obecnym kursie korony trudno wyżyć na okupacji niemieckiej, ale jednocześnie jakżeż przykro będzie otrzymywać uposażenie od Niemców. Z Kozienic powoli odchodzą kadry do swych pułków macierzystych. Kadra 1. p. ułanów do Ostrołeki, 2. p. uł. do Mińska, 2. bateria haubic kpt. Rożena do Pułtusa. Pusto się robi w Kozienicach. Zwłaszcza żałuję bardzo, że odszedł kpt. Rożen i jego oficerowie ppor. Marian Sroczyński i chor. Mieczysław Słobódzki, autor piosenki „Rozkwitały pęki białych róż“. Teraz został tylko szpital, który też ma być wkrótce zlikwidowany. Czekam na komisję, która wreszcie zakwalifikuje mnie jako zdrowego.

6 grudnia ogłoszono rozkaz Komendy Legionów o jednolitym salutowaniu. Nareszcie uznano tradycyjny polski zwyczaj saluto-

wania dwoma palcami, który w I Brygadzie obowiązywał od początku. Równocześnie zabroniono legionistom brania udziału w wiecach, zebraniach i pochodach. Ciekawe, jak do tego rozkazu zastosują się „departamentowcy“, którzy żyli dotąd wyłącznie intrygami politycznymi.

Plk. Sikorski już działa jako szef werbunku. Ogłoszono pełną listę oficerów przeznaczonych do tego dzieła. Na szczęście nie ma już mnie na tej liście, ani mjra Kazimierza Fabrycego, ani ppor. Kazimierza Sawickiego. Ostatnich oficerów I Brygady skreślił pono własnoręcznie plk. Sikorski. Będą werbować zatem wyłącznie pp. Hladikowie i Smutni — to odpowiednie dla nich zajęcie w obecnej sytuacji politycznej.

Równocześnie otrzymałem zawiadomienie z pułku, że jestem przewidziany na adjutanta III baonu 5. p. p., który ma objąć por. Włodzimierz Rokita-Maxymowicz, dotychczasowy komendant O. K. M. Nr 2. Wzywają mnie do powrotu do pułku, ale nie mogę jeszcze uzyskać zwolnienia ze szpitala.

13 grudnia dostałem wiadomość o nowych przesunięciach dyslokacyjnych. Nasz pułk odchodzi do Ostrowia Łomżyńskiego, a więc jeszcze dalej od Warszawy. Tu już wszystko opustoszało. W Dęblinie jest tylko Komenda Stacji, a Komenda Grupy w likwidacji.

Zaraz po Bożym Narodzeniu pułki mają odejść do obozów ćwiczeń celem szkolenia rekrutów, których jakoś nie widać. Kilku oficerów legionowych ma odejść do Berlina do Akademii Sztabu Generalnego. Z naszego pułku idą: por. Wacław Styk-Stachiewicz i por. Stanisław Nilski-Łapiński.

6. pułk przychodzi pono do Dębina, bo w Nałęczowie nie ma koszar. W związku z tym Komenda Grupy przechodzi do Koźienic. Ale po co ona jeszcze istnieje — nie wiadomo.

Ze spraw ogólnych zanotować należy powtarzającą się pogłoskę o mianowaniu regenta w osobie arcyksięcia Karola Stefana. Rada Stanu ma być powołana jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Komendant miał odmówić gen. Kukowi wejścia do Rady Stanu, gdyż uwarunkowano to rozwiązaniem P. O. W. Komendant na ten warunek nie mógł się zgodzić. Dziś, gdy los Legionów jest wysoce niepewny, P. O. W. jest jedyną siłą niezależną od okupantów, z którą muszą się liczyć. Komendant pojechał do Warszawy na rozmowę z Beselerem. Wjazd Komendanta do Warszawy był podobno triumfalny. Jeżeli przed Bożym Narodzeniem powstanie Rada Stanu, to w lutym można spodziewać się zwołania sejmu. Komendant w Warszawie konferuje z C. K. N. i Radą Narodową i wszystko wskazuje na to, że wejdzie do Rady Stanu bez rozwiązania P. O. W.

Natomiast prawica robi trudności i nie chce desygnować swych kandydatów do Rady Stanu, wobec tego i ks. Zdzisław Lubomirski nie zostanie marszałkiem.

Niemcy wpadli na doskonały pomysł. Przed zwołaniem sejmku czy utworzeniem się choćby Rady Stanu wprowadzają sobie nową walutę: marki polskie. Marki te nie mają żadnego pokrycia kruszcowego i niczym nie są gwarantowane, toteż kurs ich spadnie wkrótce w stosunku do marki niemieckiej. Dla Niemców to doskonały interes, nam natomiast „marki polskie“ do niczego nie są potrzebne, moglibyśmy posługiwać się markami niemieckimi do czasu wprowadzenia „złotych polskich“. 23 grudnia znana już była wreszcie lista projektowanej Rady Stanu. Mają w niej rzekomo zasiadać: z ramienia Stronnictwa Polityki Realnej — ks. prałat Chełmicki i Marczewski, z ramienia Narodowej Demokracji — Zygmunt Chrzanowski, Józef Świeżyński lub Julian hr. Tarnowski, Grohman i Jan Stecki oraz bezpartyjni przedstawiciele prawicy: Zdzisław ks. Lubomirski lub Markowski (Kielce), Niemojowski (Kalisz), Natanson, Parczewski lub ks. Radziwiłł, hr. Ronikier i Józef Targowski. Z ramienia L. P. P. — Lempicki, Chmielewski, Dziewulski i Sokołowski (Piotrków). Z ramienia germanofilskiego Klubu Państwowości Polskiej — Władysław Studnicki lub Tadeusz Grużewski, z lewicy Artur Śliwiński, A. Kaczorowski, J. Jankowski i wreszcie przedstawiciel chłopów: Maj, Błyskosz lub Manterys.

Skład tej Rady nie rokuje pozytywnej pracy. Komendant nie będzie miał w niej oparcia. Ogłoszenie Rady Stanu miało nastąpić 25 grudnia, ale zostało znowu odroczone. Zmęczył mnie ten ustawiczny kontredans. Nie warto notować pogłosek, które prawie nigdy się nie sprawdzają. Wstrętna jest ta polityka! Trzeba wracać do pułku do pracy realnej. Podobno już 5 stycznia mają iść pułki do obozów. Nasz szpital ma być zlikwidowany, muszą mnie wreszcie odesłać do pułku. Mam dość chorób i chcę wziąć się do pracy, bo bezczynność znudziła mnie i zmęczyła.

PRACA I WALKA W GARNIZONACH KRÓLESTWA

(Na okupacji niemieckiej)

6 stycznia 1917 r. wydostałem się wreszcie ze szpitala w Koziennicach. Udałem się do Dębina, aby otrzymać potrzebne dokumenty. Tu wiało pustką likwidującej się, czy też nawet zlikwidowanej Komendy Grupy. Zatrzymałem się tylko tyle, aby otrzymać marszrutę do pułku i tegoż dnia wieczorem byłem w Warszawie. Od jesieni nie byłem w stolicy, toteż przyglądałem się miastu, będącemu wszak ośrodkiem tworzącego się Królestwa Polskiego. Spotkałem mnóstwo znajomych i kolegów, zarówno cywilnych jak wojskowych, zorientowałem się w sytuacji ogólnej i raczej zgnębiony, niż pokrzepiony na duchu, postanowiłem jak najprędzej uciec do pułku, przystępującego już pono do „pokojuowego“ szkolenia w garnizonie. Tam jest praca realna, a tu w „polityce“ tylko słowa, słowa, słowa...

9 stycznia rano zameldowałem się w pułku, który przed kilku dniami przemaszerował z Pułtuską do Ostrowia Łomżyńskiego, ściśle biorąc do Komorowa pod Ostrowiem. Pułk zajmował teraz obszerne koszary, po stojącej tu niegdyś brygadzie piechoty rosyjskiej. Rozlokowany był bardzo dobrze, chociaż część budynków była nie do użycia. Oficerowie bądź mieli oddzielne pokoje, bądź młodszy kwaterowali po dwóch w pokoju. Mieliśmy łóżka nakryte prześcieradłami z poduszkami w poszewkach, po dwa koce na łóżku. Do tego miednice, stoły, stołki, szafy. Jednym słowem zupełnie normalne pokojowe mieszkania. Aż nie chciało się wierzyć, że nasz pułk po dwuletniej przeszło włóczędztwie jest teraz tak świetnie zakwaterowany.

Kasyno mamy znakomite po b. klubie któregoś tam pułku rosyjskiego, kuchnia doskonała, jednym słowem znakomita okazja do zapoznania się z „czarem“ życia wojskowego w garnizonie prowincjonalnym w czasie pokoju.

Podczas mej nieobecności w pułku zaszły liczne zmiany organizacyjne i personalne, nie tylko w naszym pułku, ale w całych Legionach. Płk. Władysław Sikorski zajął znowu stanowisko szefa werbunku, czyli jakiegoś „krajowego“ Inspektoratu Zaciągu. Jego

miejsce komendanta 3, p. p. objął dotychczasowy szef sztabu Legionów mjr Włodzimierz Zagórski. Szefem sztabu Legionów mianowano naszego komendanta pułku ppłk. Leona Berbeckiego, 5. pułk objął ponownie mjr Stanisław Burhardt-Bukacki, który był już naszym komendantem nad Stochodem. Bataliony mieli jak dawniej kpt. Aleksander Narbutt-Łuczyński i kpt. Michał Karasiewicz-Tokarzewski. Ponadto jako III baon przydzielono nam dawny V baon I Brygady kpt. Józefa Olszyny-Wilczyńskiego, wchodzący poprzednio w skład „nielegalnego“ 7. pułku. Kompanie w naszym batalionie mieli: ppor. Władysław Wąsik, por. Jan Jagmin Sadowski, por. Stanisław Nilski-Łapiński i por. Wacław Styk-Stachiewicz.

Po zameldowaniu się u komendanta pułku i baonu zostałem przydzielony do swojej dawnej 1. kompanii. W kompanii zastałem jako młodszych oficerów podporuczników: Juliusza Ulrycha i Mariana Podolskiego. Znalazłem się więc w starym i dobranym towarzystwie. W 2. kompanii spotkałem mego brata Stefana, który jako chorąży pełnił funkcje młodszego oficera. Zamieszkałem więc z nim razem.

Dziwne nieco życie zastałem w Komorowie. Nie chciało się wierzyć, że to ten sam pułk z pod Kostiuchnowki. Wprawdzie liczebność kompanii podniosła się nieco w stosunku do tego, co było nad Stochodem, kiedy pułk opuszczałem, ale widać było, że od czasu bitwy o Polską Górę nie może przyjść do siebie. Było też trochę nowych ludzi. W naszej kompanii funkcje sierżanta liniowego pełnił teraz Tytus Filipowicz, który miał dość „polityki“ i chciał zaznać służby liniowej. Kępowało mnie trochę, że ja, podporucznik, mam wydawać rozkaz „sierżantowi“ Filipowiczowi, autorowi „Zagadnień postępu“, który ongiś z ramienia C. K. R. był kierownikiem naszej sekcji akademickiej P. P. S. i przeprowadził uchwały, na mocy których stałem się żołnierzem. Prócz tego szeregowcem w naszej kompanii był profesor historii na Uniwersytecie Warszawskim, Kazimierz Konarski, kto wie, czy kiedyś przed nim po wojnie nie będę musiał zdawać rygorozów, których przed wojną nie zdążyłem złożyć w Krakowie. Było też kilku innych „inteligentów“ w naszej kompanii, gdyż chętnie się do niej garnęli, bo obok 4. nasza kompania miała stosunkowo najwięcej młodzieży inteligentkiej. Na ogół jednak żołnierz nasz do życia garnizonowego nie był przyzwyczajony i w koszarach czuł się źle.

Wszystko żyło wspomnieniami z „frontu“. A tu trzeba było pędzić żywot nudny i monotony.

Oficerowie, na wzór niemiecki, nie mieli teraz przydzielonych na stałe plutonów. Obejmowali dowództwo jedynie na ćwiczeniach.

Cała praca administracyjna w kompanii obciążała komendanta kompanii. Oficerowie młodzi mieli na ogół święte życie.

Rano odbywały się ćwiczenia, na których „asystowali“ wszyscy oficerowie kompanii. Po południu zajęcia w kompanii prowadzili podoficerowie pod kierunkiem jednego tylko oficera — dyżurnego. Ponieważ nas było 3 w kompanii, więc tylko dwa razy na tydzień wypadła „służba“. Do każdego baonu byli przydzieleni „instruktorowie“ — oficerowie niemieccy, mający nas zapoznać z arkanami sztuki wojennej „niemieckiej“. Do naszego batalionu przydzielono kpt. Kriegiera, Niemca poznańskiego, niby mówiącego jakimś strasznie okaleczonym żargonem pseudo-polskim. Operował on zresztą bardzo niewielkim zasobem wyrazów. Najczęściej powtarzając słowa, które znał najlepiej, że ćwiczyć należy „do lasa i nazad“. Kpt. Kriegier miał do pomocy oficera rezerwowego ppor. Knobelsdorfa, z zawodu księgarza, zamieszkałego w Kościerzynie na Pomorzu. Por. Knobelsdorf, choć Niemiec, mówił stosunkowo nieźle po polsku w dialekcie pomorskim i nie był do Polski wrogo usposobiony, toteż najbliżej zżyliśmy się z nim i stosunkowo najłatwiej mogliśmy się porozumieć. Trzecim oficerem początkowo był ppor. Deichsel, później ppor. Bauer, ale ani jeden, ani drugi nie mówili zupełnie po polsku i w ogóle nie wiadomo poco byli przydzieleni, gdyż ani żołnierze, ani większość oficerów ich nie rozumiała. Ćwiczenia szły dość opornie. Musztrę niemiecką przyswajaliśmy sobie z trudnością. Brak regulaminów i terminologii polskiej, a zwłaszcza nie dość zgodne wyjaśnienia „instruktorów“, nie przyczyniały się do szybkiego opanowania nowych zasad. Zresztą i instruktorzy nie należeli do najlepszych oficerów armii niemieckiej i nie bardzo chciało im się pracować nad nami. Jeśli siedzieli chętnie w Komorowie, to dlatego, aby nie odejść na Zachód, pod Verdun, bo wszyscy mieli już dosyć wojny.

W czasie obiadów i kolacyj, przepleceni niemieckimi oficerami „dla konwersacji niemieckiej“, nie czuliśmy się dobrze w kasynie, choć 24. Symbirski pułk piechoty pozostawił nam je w znakomitym stanie, nawet z pouczającymi napisami w rodzaju: „Pulia — dura, sztyk mołodiec“, z których to sentencji Niemcy śmieli się do rozpuku.

Niemcami nie krępowaliśmy się zbyt i czasem może za szczerze, zwłaszcza przy kieliszku, wypowiadaliśmy swoje poglądy i uczucia. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że Niemcy notują każde nasze słowo i że prowadzą kartotekę, w której każdy z nas jest od stóp do głów opisany. Prócz szkolenia żołnierzy prowadzone było intensywne doszkalanie oficerów. Codziennie odbywał się przynajmniej jeden wykład tzw. Wyższej Szkoły Oficerskiej. Wykłady prowadzili komendant pułku mjr Burhardt-Bukacki (taktyka i organizacja

wojska), mjr Trojanowski (historia wojny rosyjsko-japońskiej), kpt. Olszyna-Wilczyński (regulamin musztry), por. Gluth-Nowowiejski (nauka o broni), ppor. Gad-Dobrodzicki (terenoznawstwo), kpt. Rokita-Maxymowicz (karabiny maszynowe), kpt. dr Sławoj Składkowski (higiena i ratownictwo) itp.

Wykłady te wiele nam dawały i pobudzały do pracy naukowej. Ja zabrałem się do studiów nad historią i organizacją wojska polskiego, sprowadziłem sobie historię piechoty i historię artylerii płk. Konstantego Górskiego (historii jazdy nie mogłem dostać!), historię wojen i wojskowości prof. Korzona, wreszcie Pamiętniki gen. Prądzyńskiego i na serio zabrałem się do studiów wojskowych w dziedzinie, która ze względu na moje wykształcenie cywilne była mi stosunkowo najbliższa.

Czasu miałem dużo, więc praca moja dawała duże wyniki i wkrótce mogłem się uważać za specjalistę w dziedzinie historii wojskowości.

Niezwykłe ostra zima w roku 1917 dawała nam się poważnie we znaki. W czasie ćwiczeń zdarzały się wypadki odmrożeń uszu i kończyn. W piecach palono niezbyt obficie, gdyż węgiel i drzewo wydzielał niemiecki Garnisonsverwaltung dość oszczędnie. Palono zresztą przeważnie drzewem, a rosyjskie piece blaszane rozgrzewały się wprawdzie dość szybko, ale i dość szybko stygły. O przeziębienie było łatwo, zwłaszcza dla mnie, który miałem zawsze w tym kierunku duże skłonności.

Do miasta było około 4 km, więc z powodu braku komunikacji rzadko tam bywaliśmy. W mieście punktem centralnym dla nas była herbaciarnia Ligi Kobiet, prowadzona przez kilka pań z miejscowej inteligencji, z p. Zofią Krzezińską na czele. Poza tym była jedna tylko restauracja możliwa, a raczej niemożliwa, bo przypominająca podrzędny szynk czy knajpę, w której poza wódką, ogórkiem i śledziem niewiele co można było dostać. Ale tylko tam mogliśmy się „rozgrzać” przed 4 km marszem nocnym do Komorowa. To też do miasta zaglądaliśmy rzadko.

Na miejscu w Komorowie nie było żadnego cywilnego towarzystwa poza dwoma siostrami Czerwonego Krzyża „zarekwirowanymi” ze szpitala rosyjskiego przez Niemców, chętnie uciekającymi do naszego towarzystwa. Na ogół monotennie płynął nam czas w garnizonie. Po silnych wrażeniach „Wielkiej Wojny” życie małego garnizonu nie dawało zbyt dużo wrażeń, godnych zanotowania. Część naszych kolegów w okresie pobytu w Pułtuskach nawiązała stosunki z miejscowym ziemiaństwem i od czasu do czasu wymykała się w Pułtuskie na polowania, kuligi czy bale. Reszta tkwiła beznadziejnie w Komorowie.

W sytuacji ogólnej nie zachodziły żadne ważniejsze wydarzenia. Rada Stanu, po ciężkim porodzie, ujrzała wreszcie światło dzienne, ale władzy żadnej nie miała. Komendant, będący jej członkiem, kilkakrotnie usiłował pobudzić ją do samodzielnego działania, do czynu, do oporu wobec okupantów, ale nie znalazł zrozumienia w jej członkach, a przede wszystkim nie znalazł charakterów. Dowiadywaliśmy się o tym wszystkim drogą pośrednią, gdy ktoś z pułku wracał z Warszawy, bo dzienniki cenzurowane przez Niemców nie mogły oddać nastrojów kraju, ani omawiać wypadków politycznych.

Organizacja wojska nie postępowała naprzód, werbunek nie dawał rekruta, toteż niewiele miał do roboty utworzony w pułku IV baon rekrucki, którego komendantem był major Mieczysław Trojanowski, a jego zastępcą kapitan Władysław Bończa-Uzdowski, przydzielony tam po powrocie do naszego pułku, po blisko dwuletniej służbie w 4. p. p.

Dla mnie w tym okresie najważniejszym wypadkiem był wyjazd 15 lutego do Warszawy, dokąd wysłany zostałem jako kurier. Wróciwszy 17 lutego wraz z pocztą przywiozłem sobie wezwanie sądowe do Lublina na sprawę tego feldfebla austriackiego, którego w lipcu ubiegłego roku pokrajał w Lublinie ppor. Klarsfeld z 4. p. p.

Bezpośrednio więc po powrocie z Warszawy wyjechałem znowu do Lublina, gdzie byłem przesłuchany przez sędziego śledczego, a w powrotnej drodze znowu zatrzymałem się w Warszawie, aby na Hipotecznej 5, w domu pp. Sawickich, zaczerpnąć nieco nowin politycznych.

Po powrocie do pułku prowadziłem znowu nudny codzienny tryb życia. W dodatku wykłady na Wyższej Szkole Oficerskiej uległy przerwie. Ppor. Juliusza Ulrycha zabrano do 3. kompanii. Zresztą wszystko było po staremu, czekaliśmy więc wypadków, które przyjść muszą, bo Komendant czuwa i wreszcie coś wymyśli, aby nas wyprowadzić z tego przykrego impasu.

Przyswajaliśmy sobie tymczasem zasady musztry niemieckiej, odbywaliśmy ćwiczenia, dyskutowaliśmy w kasynie coraz namiętniej, zwłaszcza od czasu rewolucji lutowej w Rosji. Wiedzieliśmy, że już nam żadne niebezpieczeństwo od Wschodu nie grozi i coraz wyraźniej zwracaliśmy się frontem na Zachód. Ale w życiu naszym nic się nie zmieniło. Jedyne dzieło, które, jak co roku, odbijał od szarzyzny dni pozostałych, to był dzień 19 marca, dzień imienin Komendanta.

Urządziliśmy go bardzo uroczyście. Rano — msza polowa, potem defilada całego pułku. Koszary udekorowane zielenią i chórągami. Zaprosiliśmy na te uroczystości przedstawicieli władz

niemieckich, które chcąc nie chcąc musiały wziąć w nich udział i składać życzenia na ręce komendanta pułku. Po uroczystym obiedzie w kasynie oficerskim odbywały się pogadanki we wszystkich kompaniach. Ja, tak jak w poprzednim roku, miałem rozkaz przemówić do żołnierzy. Tym razem mówiłem nie tylko do naszej kompanii, ale i do kilku innych. Wieczorem w kasynie żołnierskim urządziliśmy uroczysty wieczór z udziałem miejscowych sił artystycznych. W ramach programu wygłosiłem odczyt dla żołnierzy o Komendancie. Dzień zakończony został balem w kasynie oficerskim, na który prócz miejscowego społeczeństwa przybyła liczna delegacja 1. p. ułanów z Ostrołęki.

Na Wielkanoc uzyskałem dwudniową „przepustkę“ do domu. W Łodzi zastałem sytuację poważnie zmienioną. Społeczeństwo tamtejsze pod wpływem rewolucji rosyjskiej, jakby przestało się wreszcie bać własnej samodzielności. „Tata nie wraca“! Rosja przestała istnieć, a więc nawet i zrusyfikowana, endecka Polska musi pomyśleć o własnym losie. Ponieważ Legiony już nie walczą z Rosją i coraz wyraźniej stają się jedyną siłą, zdolną do przeciwstawienia się okupantom, więc przestają być nienawistne nawet dla tych, którzy przed rokiem jeszcze marzyli o powrocie Moskali. Mundur legionowy stał się wreszcie popularny i wyraźnie spotyka się z sympatią publiczności na ulicy, w tramwajach — wszędzie.

Po powrocie ze świąt zastałem w pułku niezbyt wesołą nowinę. Pułk nasz karnie ma być przeniesiony do małej na pół spalonej miejsciny nad Narwią — do Rożana.

Przydział „instruktorów“ niemieckich wydaje pierwszy plon. Siedzieli wśród nas, zbierali informacje, notowali w kartotece, informowali się u żołnierzy, szukali wśród nich agentów i konfidentów. My, na odwrót, nie wiele liczyliśmy się z ich obecnością, z żołnierską szczerością wypowiadaliśmy swoje myśli, wyrażaliśmy sądy o sytuacji politycznej i wojskowej. Wszystko to skrzętnie notowali Niemcy, węszyli, zwłaszcza wśród rekrutów zwerbowanych „za 30 marek“, i mieli co notować, bo stosunek nasz do Niemców był coraz gorszy. Jeszcze w Pułtusk, żołnierze nasi zauważywszy Prusaka, który na szosie obrabowywał baby, jadące na targ, zakłuli go jak psa i wrzucili do Narwi. Odtąd Prusacy unikali spotkania z naszymi żołnierzami, bo wiedzieli, że to nie przelewki. Jednocześnie jednak alarmowali gubernatora w Łomży, że 5. p. p. jest najbardziej wojowniczo usposobiony i że należy go umieścić gdzieś w bardziej odludnym miejscu. I dopięli swego.

13 kwietnia marszem pieszym wyruszyliśmy do Rożana. dokąd przybyliśmy późnym wieczorem. W Rożanie czas dłuży się nam nieskończenie. Ćwiczeń prawie nie było. Nierozstrzygnięta wciąż sytuacja Legionów nie zachęcała do pracy. Kiedy wreszcie

dowiedzieliśmy się, że od 12 kwietnia oddani zostaliśmy pod naczelną komendę gen. Beselera, opadły nam kompletnie ręce. W bezsilnej wściekłości czekaliśmy rozkazów Tego, który jedynie miał prawo nami dysponować, na którego wezwanie stanęliśmy do szeregu.

Płk. Szeptycki podał się do dymisji. Został wprowadzić mianowany generałem i generał-gubernatorem lubelskim, ale Legiony definitywnie opuścił. Jego miejsce zajął płk. Zygmunt Zieliński, dotychczasowy dowódca III Brygady, do której nasz pułk należał, oddając Komendę Brygady płk. Bolesławowi Roji, komendantowi 4. p. p.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że przychodzą na nas ciężkie terminy. Wiedzieliśmy, że głos zabierze Komendant i wyda nam dyspozycje. Czekaliśmy na nie w pełnej „gotowości bojowej“.

Tymczasem Komendant próbował po raz ostatni obudzić sumienie Rady Stanu, próbował porwać ją do czynu, ale bezskutecznie. A panowie „zdrajcy“ stanu, jak ich później nazywaliśmy, „radzili o braciach zza Bugu“. W tych warunkach „polityka“ na dobre zagnieździła się w koszarach. Przestaliśmy myśleć o nauce i ćwiczeniach, śledziliśmy pilnie rozwój wypadków politycznych, aby gdy nadejdzie moment decydujący nie zastał nas nieprzygotowanych.

Wówczas to powstała w szeregach 5. p. p. tajna organizacja polityczno-wojskowa, która sama siebie nazwała „analfabetami“. O ile sobie przypominam, inicjatywa wyszła od ppor. Adama Koca z II baonu. Nasz baon organizował ppor. Gad-Dobrodzicki. Początkowo nie wszyscy oficerowie dopuszczani byli do tej organizacji. Należeli do „analfabetów“ oficerowie najbardziej wyrobieni, najbardziej zdecydowani. Zbieraliśmy się tajnie i radziliśmy nad sytuacją polityczną, przeważnie u nas na „forcie“, gdzie mieszkała większość oficerów baonu. Zorganizowaliśmy łączność z pułkami dawnej I i III Brygad drogą wysyłania kurierów, którzy informowali nas o nastrojach w innych pułkach, organizowali jednolitość postępowania wobec Niemców, od których zaczęli stronić. Zbliżała się wiosna, niosąca jak nam się zdawało dawno wyczekiwaną wolność. Miło było zwłaszcza u nas na tzw. „folwarku“, czyli forcie Nr 3, gdzie mieszkała większość „analfabetów“. Trzymaliśmy się razem i gremialnie jeździliśmy furami na drugą stronę Narwi do kasyna i koszar. W koszarach bywaliśmy teraz częściej, aby badać nastroje żołnierzy, którzy goręcej reagowali na wypadki od nas. Nie krępowali się oni niczym i biada było Prusakowi, którego w pojedynkę spotkano gdzieś w lesie. Gdy Prusak taki oddalił się od garnizonu, a spotkał w drodze legionistów, to więcej nie wracał, a oko ludzkie jego trupa więcej nie ujrzało.

Wśród monotonii oczekiwania na decyzję Komendanta, co nam robić wypada, jedynym jasnym promieniem w czasie pobytu w Rożanie był dzień 3 maja, uroczystie przez nas świętowany. Na Rynku prawie całkowicie spalonego miasteczka odbyła się msza polowa, a następnie defilada pułku i ludności cywilnej ze sztandarami, pamiętającymi jeszcze rok 1905. Był to pierwszy tego rodzaju obchód w Rożanie, który robił zresztą wrażenie niesamowite. Radosny pochód wśród zgłiszcz był niejako symbolem powstającego z popiołów narodu i państwa. Cała polska ludność miasteczka brała w nim gremialny udział.

Bezpośrednio po obchodzie, w którym Niemcy tym razem nie brali udziału, przyszły rozkazy gen. Beselera rozbijające Legiony. Wydzielono wszystkich prawie oficerów Królewaków oraz znaczną liczbę podoficerów i żołnierzy i przeznaczono ich jako instruktorów do tzw. Kursów Wyszkożenia Polskiej Siły Zbrojnej czyli „Polnische Wehrmacht“. Każdy pułk miał tworzyć jeden „Kurs wyszkolenia“ przy czym kursy Nr 1 i 3 miały odbywać się w Zegrzu, Nr 2 i 5 w Ostrowie, a Nr 4 i 6 w Zambrowie. Ponieważ nasz pułk miał najwięcej (z górą 40) oficerów-Królewaków, więc oficerów naszego pułku przydzielono do wszystkich kursów wyszkolenia. Ja i ppor. Wiktor Marczewski zostaliśmy przydzieleni do kursu wyszkolenia Nr 4 w Zambrowie. 6 maja opuszczałem pułk po dwuletnim w nim pobycie, pozostawiając nielicznych kolegów-Galicjan. Wszyscy oficerowie-Królewiacy bądź opuszczali pułk wraz ze mną, udając się na różne kursy wyszkolenia, bądź maszerowali pieszo wraz z grupą wydzielonych podoficerów i żołnierzy, przeznaczonych do sformowania kursu wyszkolenia Nr 5 w Ostrowie.

Bezpośredniej komunikacji z Zambrowem nie było. Ze stacji Pasieki, oddalonej o 12 km od Rożana, trzeba było jechać przez Warszawę do Czerwonego Boru, skąd było coś 9 km do Zambrowa. W ten sposób podróż moja trwała 3 dni i dopiero 9 maja zameldowałem się u komendanta kursu w Zambrowie.

Ku memu zdumieniu komendantem kursu był mjr Wessig — Niemiec. Jego adiutantem był Austriak ppor. Pauli, komendantami batalionów byli również Niemcy lub Austriacy. Dopiero komendantami kompanii (i to nie wszystkich) mieli być oficerowie legionowi. „Kursy“ były zorganizowane na wzór pułków i podzielone na bataliony i kompanie skadrowane, które miały być z czasem wypełnione rekrutem. Por. Pauli, nieokreślonej narodowości, oficer austriacki, mówiący słabo po polsku polecił mi zameldować się u komendanta I baonu austriackiego majora Tabaczyńskiego, Polaka. Tutaj otrzymałem pierwotnie przydział do 2. kompanii, której komendantem teoretycznie był kpt. Czesław Schindler z 2. p. p. Legionów, chory, więc nieobecny na

kursie, w ten sposób faktycznie objąłem 2. kompanię, gdyż kpt. Schindler do końca kursu nie zameldował się do służby. Kompania była nieliczna, składała się z kilku podoficerów i kilkunastu żołnierzy, stan bojowy nie wynosił nigdy powyżej 20 bagnetów. Były to typowe kadry bez wojska. Kadry podoficerskie pochodziły z 4. p. p. Najstarszymi oficerami na kursie I Brygady byli: kpt. Zosik-Tessaro, komendant 1. kompanii, i por. Dąbrowa-Młodzianowski. Oni też zakrzętnęli się natychmiast około skupienia oficerów legionowych celem zorganizowania jednolitego frontu przeciw ewentualnym zarządzeniom Niemców, co do odseparowania nas od tradycji i zwyczajów legionowych. Kpt. Zosik został faktycznym komendantem wszystkich oficerów legionowych kursu i jego rozkazom podporządkowywali się wszyscy legionieści, bez względu na przynależność pułkową. W ten sam sposób zorganizowany został i kurs wyszkolenia Nr 6, gdzie również najstarszy oficer legionowy objął „wewnętrzną” komendę nad oficerami polskimi i w ich imieniu występował zawsze wobec Niemców i Austriaków. Miało to głównie miejsce na odprawach pułkowych, gdzie najstarszy oficer polski zabierał głos imieniem oficerów polskich i formułował nasze żądania.

Zaczęło się od walki o język urzędowy. Rozkazy pułkowe z początku redagowane były po niemiecku. Zażądaliśmy rozkazów w języku polskim i zmusiliśmy komendanta kursu do przysyłania nam rozkazów po polsku, uzyskując równocześnie przydzielenie do pułku 2. adiutanta Polaka, bo por. Pauli nie znał dostatecznie języka polskiego.

Następnie prowadziliśmy walkę o „mundur legionowy”, który usiłowano zastąpić mundurem Wehrmachtu, o sądownictwo, które organizowano na wzór niemiecki itp.

Tymczasem wobec choroby kpt. Schindlera stała się aktualna kwestia obsady 2. kompanii. Już miałem otrzymać nominację na dowódcę kompanii, kiedy wyszło na jaw, że młodszy wprawdzie ode mnie oficer Legionów, ale wedle „Listy starszeństwa oficerów Legionów Polskich w dniu oddania Legionów Wojsku Polskiemu 12 kwietnia 1917 r.” „starszy” lokatą podporucznik Mieczysław Radek-Korkozowicz z 4. p. p. musi otrzymać kompanię. On więc objął 2. kompanię, a mnie przeniesiono do 9. kompanii, której komendantem był Niemiec kpt. Vierzig, nieobecny na razie na kursie. Objąłem więc 9. kompanię na kilka dni, aby gdy przyjedzie kpt. Vierzig oddać mu dowództwo. Zabawny był to Niemiec. Pochodził z „feldfelbel-leutnantów”, gdyż mając tylko 6-klasowe wykształcenie w cywilu był pisarzem sądowym. Odznaczył się jednak na wojnie, miał żelazny krzyż i doszedł do stopnia kapitana. Urodził się na Mazurach i jak sam opowiadał z pochodzenia był Mazurem,

a nawet kiedyś miał się nazywać „Ferskim“. Ale że na Mazurach „nieładnie“ jest nazywać się „po Mazursku“, więc się „przechścił na Vierziga“, co ogromnie pono ułatwiło mu karierę wojskową, bo nikt nie mógł go posądzić o „polskie pochodzenie“. Mówił wprawdzie po polsku, ale skażonym dialektem mazurskim i ćwiczyć kompanii nie mógł, bo komendy polskiej nie znał. Toteż po jego przybyciu nic się nie zmieniło: ja ćwiczyłem kompanię, on stał na placu i od czasu do czasu bawił mię niewybrednymi anegdotami.

Niedługo to jednak trwało, gdyż w końcu maja zostałem odkomenderowany do Warszawy na kurs oficerów sądowych. Kurs ten trwał kilka dni i prowadzony był przez Polaka z Sądu Dywizyjnego kpt. Katke, oficera niemieckiego. Po kursie wróciłem do Zambrowa, aby objąć funkcję oficera sądowego pułku, pełnione dotąd przez jednego z feldfebel-leutnantów niemieckich. Mój poprzednik, stary feldfebel, bez żadnego wykształcenia, nie mógł oczywiście wykryć żadnego przestępstwa i ogromnie był zdziwiony, kiedy przysłano akta kradzieży butów z magazynu pułkowego „przeciw nieznanemu“, a ja zamiast je zakwalifikować do umorzenia, w kilka godzin drogą dość żmudnego śledztwa wykryłem „nieznanych sprawców“. Dzielnie mi w tym pomagał pisarz sądowy leg. Stanisław Szymański, obecny dyrektor Biura Personalnego Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych. Byłem teraz przy dowództwie pułku, miałem więc ułatwioną możliwość poruszania się, toteż używano mię jako „łącznika“ z innymi oddziałami. Pojechałem więc na rowerze do Ostrowia, aby nawiązać łączność z kursem Nr 5, byłem też w Łomży celem nawiązania łączności z 4. p. p. A robiło się coraz goręcej.

Tymczasem walka o sądownictwo niemieckie i o mundury Wehrmachtu toczyła się dalej, zwłaszcza sprawa mundurów wywołała jawny opór. Złożono nowe mundury na placu i polecono żołnierzom, aby je „fasowali“ i przebierali się w te nowe mundury. Na rozkazy oficerów niemieckich i austriackich żołnierze wcale nie reagowali. Wówczas polecono oficerom polskim wydać rozkazy. Ale żołnierze uprzednio przygotowani przez tychże oficerów nie reagowali również na ich rozkazy i Niemcy musieli zaniechać myśli o „przebraniu żołnierzy“. Bunt ten wywołał wielkie rozgoryczenie oficerów niemieckich i części oficerów austriackich przeciwko nam, że nie „umiemy utrzymać dyscypliny“. Ale my wewnętrznie byliśmy zdyscyplinowani. Instrukcje otrzymywaliśmy z Warszawy i przestrzegaliśmy ich ściśle, tak że nikt się z nich nie wyłamywał.

Wobec tego odwołano się do Komendy Legionów. Z Warszawy przyjechał płk. Władysław Sikorski, przyjechał mjr Włodzimierz

Zagórski. Urządzili zebranie oficerów polskich, nawoływali do posłuszeństwa „Dowództwu Wojsk Polskich“ (gen. Beselerowi), otrzymując od nas kategoryczną odpowiedź że podporządkujemy się jedynie rozkazom rządu polskiego, nie wykonamy natomiast żadnych zarządzeń władz okupacyjnych, które będą wprowadzały różnice organizacyjne w zwarte dotąd szeregi legionowe. Aż wreszcie przyszła sprawa przysięgi. Mielśmy przysiąc wierność i braterstwo broni dwom armiom Niemiec i Austro-Węgier, ale przysięga ta była nie do pomyślenia w obecnych warunkach. Już przysięga w Kielcach „królowi polskiemu Franciszkowi Józefowi“, którego żaden organ polski na tron nie powołał, budziła w nas poważne zastrzeżenia. Ale wówczas nie było jeszcze „niepodległego“ Królestwa Polskiego, a na naszym czele stał Wódz, który nas w pole poprowadził, któremuśmy złożyli nasze życie i krew do dyspozycji, któremu wierzyliśmy bezgranicznie, bo On za nas myślał i za nas decydował. Dziś sytuacja była zupełnie inna. Komendanta nie było wśród nas. Ale zasady, na których budował wojsko polskie, pozostały niezmienione. A więc:

1. zupełna niezależność od obcych władz, wyrażająca się w samodzielności w działaniach operacyjnych i organizacji;
2. zupełna odrębność od obcych wojsk w zakresie umundurowania, wyposażenia, żołdu itd.;
3. zupełna samodzielność w zakresie metod szkolenia i walki, służby wewnętrznej, karności, oparta na duchu obywatelskim, ożywiającym wzajemnie stosunek oficera do żołnierza;
4. niezmiennie przekonanie, że tylko władze polskie mają prawo mianować oficerów i to tylko na polu walki oraz wydawać wszelkie obowiązujące nas rozkazy.

Te zasady organizacyjne 1 Legionu Polskiego i I Brygady, obowiązywały nas i teraz. Już w roku 1916 zaczęła się walka o samodzielność Legionów. Po bitwie pod Kostiuchnowką, która scementowała Legiony, „Rada Pułkowników“ zdecydowała jednomyślnie domagać się:

1. utrzymania Polskiego Korpusu Posiłkowego z własną polską Komendą, jednolitymi odrębnymi odznakami, mundurem, zrównanego pod względem praw i przywilejów z wojskiem austriackim i niemieckim;
2. odwołanie oficerów austriackich z Legionów i „zlegionizowania“ Komendy Legionów;
3. użycia Legionów jako kadry wojska polskiego, lub rozwiązania ich, gdyż po uwolnieniu Królestwa od Rosjan w innym charakterze Legiony nie mają racji bytu.

Z postulatów tych część zrealizowano, ale nie tylko nie odwołano oficerów austriackich, ale przydzielono oficerów obcych w takiej liczbie, że zmajoryzowali oficerów legionowych. Przyjęto dymisję Komendanta Józefa Piłsudskiego i jego najbliższego współpracownika płk. Kazimierza Sosnkowskiego.

W tych warunkach po odejściu Wodza, walka o niezależność Legionów musi mieć szerszą podstawę. Gdy przedtem walkę prowadziła Rada Pułkowników, teraz punkt ciężkości musiał przenieść się na dół Legionów. Już w Baranowiczach istniały Rady Oficerskie i Żołnierskie. Ale legionowe Rady Żołnierskie miały zupełnie inny charakter, niż późniejsze Rady Żołnierskie w wojsku rosyjskim, austriackim, czy niemieckim. Rady Żołnierskie w Legionach powstały bynajmniej nie na tle przemęczenia wojną, czy antagonizmu do oficerów. Przeciwnie, przeniknięte były tą samą ideą, która ożywiała oficerów, powstawały celem poparcia walki prowadzonej dotąd przez oficerów o niezależność Legionów oraz kontynuowania tej walki, gdyby oficerów nie stało, celem uświadomienia żołnierza o ich obowiązkach żołnierskich i obywatelskich.

Po akcie 5 listopada, kiedy Komendant polecił nam cofnąć dymisję, a zwłaszcza po akcie 15 stycznia 1917 r., kiedy oddano nas oficjalnie Tymczasowej Radzie Stanu — Rady Oficerskie i Żołnierskie przestały istnieć. Przez krótki czas zdawało się, że walka o niezależność Wojska Polskiego na dobre ustała.

Tymczasem jednak Rada Stanu zbierała się, radziła, ale nic uradzić nie mogła. Wojsko teoretycznie oddane Radzie Stanu, faktycznie jednak ciągle znajdowało się w rękach władz okupacyjnych.

Równocześnie nadchodziły wieści z Rosji o tworzeniu się tam Związków Wojskowych Polaków, o próbach tworzenia Wojska Polskiego. W tych warunkach wojnę z Rosją uważaliśmy za skończoną z naszego punktu widzenia. Coraz wyraźniej orientowaliśmy się, że nadchodzi chwila gdy zmuszeni będziemy do zwrócenia się frontem na Zachód, przeciw państwom centralnym, okupującym obecnie całość ziem polskich. A z frontu zachodniego nadchodziły wieści o coraz częstszych niepowodzeniach niemieckich. Cieszyliśmy się z tego i z całego serca życzyliśmy teraz zwycięstwa koalicji, gdy w jej składzie nie było już faktycznie Rosji. Nadchodziła chwila, w której musieliśmy wskrzesić na nowo Rady Oficerskie i Żołnierskie, które przejęłyby kierownictwo w walce.

Od 12 kwietnia 1917 r. tj. od dnia, w którym to „oficjalnie“ przekazano Legiony gen. Beselerowi jako „Naczelnemu Wodzowi Wojska Polskiego“, zakonspirowanemu dotychczas pod nazwą „Polnische Wehrmacht“, a zwłaszcza od 1 maja, gdy Komendant Piłsudski, będący dotąd członkiem Tymczasowej Rady Stanu

i przewodniczącym Komisji Wojskowej, wypowiedział swą słynną mowę, w której rzucił Radzie Stanu ciężkie oskarżenie i z Rady ustąpił, nie mieliśmy już żadnej wątpliwości, że otwarta walka się zbliża.

I istotnie walka z Niemcami się rozpoczęła i musiała być prowadzona aż do zwycięskiego końca.

Teraz dopiero ujawniła się w całej pełni robota „Polnische Wehrmacht“ z szefem sztabu Beselera, kpt. Nehtem na czele, z Inspekcją Wyszkożenia gen. Bartha i „Krajowym Inspektorem Zaciągu“ płk. Sikorskiego.

Po wydzieleniu „National-Polen“ i przydzieleniu nas do kursów wyszkolenia zorientowaliśmy się, że chodzi im o rozbicie ducha Legionów. Ale to co miało się przyczynić do rozbicia Legionów, dzięki rozproszeniu „zarazy pierwszobrygadowej“ po wszystkich kursach przyczyniło się do ich scementowania.

Tworzą się znowu Rady Żołnierskie i wraz z nami prowadzą walkę o język polski w rozkazodawstwie, o jednolite sądownictwo, o jednakowy mundur legionowy. Na tle tych tarć 17 maja zjeżdżają się delegaci wszystkich pułków w Ostrołęce, gdzie powzięli jednomyślną uchwałę podporządkowania się wyłącznie rządowi polskiemu i stwierdzają, że posłuszeństwo winni są jedynie temu rządowi, a nie obcym władzom. Oficerowie kursów wyszkolenia stawiają więc komendantom kursów wyszkolenia następujące żądania:

1. uznania kursów za kadry ich pułków macierzystych;
2. stwierdzenia, że wyłącznie język polski jest językiem urzędowym Wojska Polskiego;
3. usunięcia rozdziału, jaki wprowadzono pomiędzy oficerami-Królewiakami, a Galicjanami;
4. uznania obcych oficerów jako instruktorów, ale nie dowódców w Wojsku Polskim.

Po zjeździe Ostrołęckim zaczęły się represje: Płk. Zieliński, dzielny oficer frontowy, ale nie polityk, ulega wpływom mjr. Zagórskiego, który nie będąc już szefem sztabu stale „czuwa“ nad polityką Legionów. Toteż Komenda Legionów wytacza dochodzenia oficerom, którzy brali udział w zjeździe w Ostrołęce oraz rozwiązuje kursy wyszkolenia Nr 1 i 5. Władze niemieckie idą dalej. Sam „Oberbefehlshaber“ gen. Beseler wydaje swój słynny rozkaz o tym, że oficerowie polscy w stosunku do żołnierzy niemieckich są „machtlos“ i „rechtlos“. Aby przeciąć „wrzód“ legionowy, „Polnische Wehrmacht“ decyduje się zarządzić przysięgę, na mocy której będzie można „karność“ w Legionach przywrócić. Bezwolna Tymczasowa Rada Stanu aprobuje przysięgę, która w nas budzi grozę. Zawiera trzy punkty z naszego stanowiska nie do przyjęcia:

1. przysięgę składa się nie Tymczasowej Radzie Stanu jako widocznemu surogatowi rządu polskiego, lecz „przyszłemu” Królowi Polskiemu, a więc osobie nie istniejącej;
2. przysięga zawiera zobowiązanie wiernego dotrzymania braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier, co należy do kompetencji rządu polskiego, bez którego wojsko nie ma prawa kwestii tej rozstrzygnąć;
3. przysięga zawiera zobowiązanie posłuszeństwa wszystkim przełożonym, którymi są dzisiaj obcy oficerowie.

Każdy czujący się Polakiem oficer i żołnierz legionowy musiał w swym sumieniu rozstrzygnąć, czy taką przysięgę złożyć może.

Ci, którzy przysięgę złożyli, byli zmuszeni do jej złamania 18 lutego lub 11 listopada 1918 r.

Sytuacja w Zambrowie w międzyczasie uległa zasadniczej zmianie. Oficerowie liniowi obu kursów Nr 4 i 6, którzy dotąd prowadzili jednolitą akcję w stosunku do okupantów, zostali teraz zmajoryzowani przez kilkudziesięciu oficerów werbunkowych, nasłanych przez Krajowy Inspektorat Zaciągu rzekomo celem przeszkolenia. Oficerowie ci, w większości nie posiadając żadnego wykształcenia wojskowego, całą swą karierę zawdzięczali jedynie płk. Sikorskiemu i całą duszą byli mu oddani. A płk. Sikorski stał od początku na czele tej garstki oficerów legionowych, którzy od początku szli na kompromisy z okupantami, byli przeciwnikami wszelkiego oporu. Toteż i teraz sprawa przysięgi groźnie przedstawiała się w Zambrowie. Nie mogliśmy przeprowadzić jednomyślnej uchwały o odmowie przysięgi. Na zebraniu oficerskim dzięki świetnemu posunięciu por. Młodzianowskiego udało się uzyskać jedynie, że oficerowie werbunkowi zgodzili się nie składać przysięgi, o ile jej wszystkie pułki odmówią.

Po otrzymaniu tego zobowiązania uważaliśmy, że nie mamy co robić w Zambrowie. Zgłosiliśmy się do raportu z prośbą o odesłanie nas do pułków macierzystych. Na nasze miejsca przysłano z 4. i 6. p.p. oficerów-Galicjan, którzy mieli przejąć od nas nasze funkcje.

9 lipca opuściłem Zambrów, aby wrócić do mego macierzystego 5. p. p. Leg.

KONIEC EPOPEI LEGIONOWEJ

(Odmowa posłuszeństwa okupantom)

Opuszczając Zambrów zdawałem sobie sprawę z tego, że to początek końca, ale tylko końca epepei legionowej. Wiedzieliśmy wszyscy, że teraz przed nami stają nowe zadania. Wiedzieliśmy, że Komendant wskaże nam nowe cele. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, czy czeka nas „przedzieranie się przez front na tamtą stronę“, gdzie zaświtała jutrzienka swobody, gdzie pono tworzy się Wojsko Polskie, czy też walka partyzancka z okupantami na „ich“ tyłach, czy też inną formę protestu zadecyduje. Ten, któremu przed trzema laty powierzyliśmy swoje losy. Wiedzieliśmy, że czeka nas walka, toteż przygnębienia wśród nas nie było, odczuwaliśmy jedynie podniecenie wypadkami, które nadchodzą.

W drodze, czy też na dworcu w Warszawie zawiadomił mnie ktoś, że jestem wezwany do Komendy Legionów, dokąd mam się stawić bezzwłocznie. Stosownie więc do rozkazu wprost z dworca udałem się do Komendy Legionów, mieszczącej się wówczas na Nowym Świecie, i zameldowałem o swoim przybyciu.

Po chwili oczekiwania zostałem wezwany do komendanta Legionów płk. Zygmunta Zielińskiego, który przyjął mnie na stojąco w towarzystwie szefa sztabu legionów, a mego byłego komendanta pułku, ppłk. Leona Berbeckiego. Rozmowa nasza była bardzo krótka. Zadano mi zwięzłe, krótkie raczej formalne pytanie: „Czy Pan będzie przysięgał?“ Stosownie do instrukcji, którą uprzednio otrzymałem, odpowiedziałem wymijająco: „Solidaryzuję się z moimi kolegami z pułku i postąpię tak jak wszyscy inni oficerowie 5. p. p.“ Po tej odpowiedzi uśmiechnięte oblicze płk. Zielińskiego przybrało surowy wyraz twarzy i ten dzielny, kryształowy, prawy żołnierz, który całe życie spędził w zawodowej służbie wojskowej austriackiej, a powołany ze stanu spoczynku do Legionów, nie był w stanie zrozumieć ducha, który w nich panował, oświadczył mi krótko: „Tak, to jedź Pan do swego pułku.“

Odmaszerowałem i udałem się natychmiast do Zegrza. 5. pułk bowiem został w międzyczasie odwołany z Rożana i rozmieszczony w Zegrzu Południowym, aby mógł być „pod okiem“ ośmiu ba-

talionów niemieckich, rozkwaterowanych w Zegrzu Północnym. Zarządzenie to podyktowane było ostrożnością ze strony „Polnische Wehrmacht“ i Komendy Legionów, w których oczach pułk nasz uchodził za główne zarzewie buntu.

W drodze dowiedziałem się, że z rozkazu Komendy Legionów aresztowano komendanta 5. p. p. majora Mieczysława Trojanowskiego, który objął pułk po majorze St. Burhardzie-Bukackim, mianowanym adiutantem generalnym „Oberbefehlshabera“. Wraz z komendantem pułku aresztowano prawie wszystkich oficerów 5. p. p. i osadzono ich w wojskowym więzieniu na Dzikiej. W tych warunkach zdziwiłem się, że mi polecono wracać do pułku.

Sytuacja wyjaśniła się nieco, kiedy się dowiedziałem, że funkcjonuje w naszym pułku Rada Żołnierska, która powyznaczała sierżantów na komendantów pułku, baonu, i kompanii i uchwaliła maszerować na Warszawę celem odbicia aresztowanych oficerów. W wagonie spotkałem kilku oficerów, od których dowiedziałem się, że Komenda Legionów, mając wiadomości o sytuacji pułku, przestraszyła się skandalu i poleciła wszystkich aresztowanych oficerów zwolnić z więzienia, z których część nawet wraca już do pułku.

W ciągu kilku godzin sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie. Toteż na dworcu w Zegrzu ruch niezwykły. Nieliczni oficerowie i cały tłum podoficerów oczekuje pociągów z Warszawy, aby dowiedzieć się, co się dzieje w stolicy, co słychać z aresztowanymi oficerami, jaki był przebieg przysięgi w 3. p. p., który jako „najwierniejszy“ miał pójść na pierwszy ogień.

W całym pułku ogromne podniecenie. Na wszystkich ustach złowrogie słowo: „przysięga“. Po aresztowaniu mjra Trojanowskiego, Komenda Legionów wyznaczyła na komendanta pułku, dotychczasowego komendanta 2. p. p. mjra Żymierskiego. Mjr Żymierski, stojący w Pułtusku, zawiadomił 5. p. p. o swej nominacji telefonicznie i nie podając miejsca gdzie się znajduje, wydawał jedynie telefoniczne rozkazy. Oczywiście rozkazów tych nikt nie wykonywał, oczekując powrotu „swoich“ oficerów.

Toteż powrót aresztowanych oficerów powitany został z niezwykłym entuzjazmem. Z dworca do kasyna oficerów tych niesiono na ramionach, wznosząc okrzyki na ich cześć. Pomimo braku wszelkich rozkazów mjr Trojanowski po powrocie objął faktyczną komendę pułku, a mjr Żymierski po pewnym czasie zaprzestał bezskutecznego telefonowania do pułku.

Życie 5. p. p. w Zegrzu w niczym nie przypominało dawnego życia garnizonowego w czasie postoju w Pułtusku, Ostrowie, czy Rożanie. Ćwiczenia nie odbywały się. Oficerowie, którzy powrócili z kursów wyszkolenia, nie otrzymywali nawet przydziałów do kompanii. Całe życie pułku koncentrowało się w kasynie oficer-

skim, gdzie cały dzień przebywali wszyscy oficerowie pułku. Oczekując wiadomości z Warszawy dysputowali zawzięcie o oczekującej nas walce i konsekwencjach odmówienia przysięgi. Codziennie przyjeżdżali łącznicy z innych pułków: z 1. p. p. z Modlina, z 4. p. p. z Łomży, z 6. p. p. z Dębina, z 1. p. uł. z Ostrołki, z 1. p. art. z Ciechanowa. Od czasu do czasu przedostawały się do nas głuche wieści o rozwoju wypadków w 2. p. p. w Pułtusk i 3. p. p. w Warszawie. Stamtąd nie wypuszczano nikogo, zwłaszcza w kierunku Zegrza. Nasz pułk uznany powszechnie za najbardziej buntowniczy, faktycznie stawał się ośrodkiem akcji przeciwprzysięgowej. Toteż w pierwszej linii do naszego pułku zjeżdżają oficerowie zwalniani stopniowo z Legionów za odmowę przysięgi.

Nazajutrz po przysiędze w „wiernym“ 3. p. p. przybywa do nas kpt. Witold Sokołowski, zwolniony z Legionów za odmowę przysięgi. Zaraz po nim zjeżdża grupa oficerów 2. p. p. Leg. z por. Anatolem Minkowskim na czele. W ten sposób pułk nasz wzrasta liczebnie, bo wszystkich „zwolnionych“ wprowadzamy w nasz stan „wyżywienia“.

Zbliża się wreszcie chwila przysięgi i w naszym pułku. 12 lipca otrzymaliśmy wiadomość, że nazajutrz odbędzie się przysięga 5. p. p. Komendant pułku wydał stosowne rozkazy i 13 lipca o godzinie 9 rano na ogromnym błoni przykoszarowym ustawiony został cały pułk w czworobok. Wyglądał świetnie, zebrany niby na uroczystą paradę. Rynsztunek i broń poczyszczony jak przed defiladą, jedynie skupienie na twarzach oficerów i żołnierzy świadczy o tym, że to nie zwykła uroczystość pułkowa, ale chwila istotnie osobliwa.

Wszyscy oficerowie nie przydzieleni do kompanii ustawieni w środku tworzą dużą grupę obok komendanta pułku. Ten ostatni wydaje jeszcze jakieś rozkazy, chodzi wzdłuż frontu i czeka na delegatów z Warszawy. Słońce świeci cudownie, pogoda w tym ważnym dniu w naszym życiu dopisuje całkowicie. A w słońcu lśnią bagnety dobyte przed trzema laty by wywalczyć Polskę Niepodległą, a dziś gotowe do zbroczenia się we krwi w obronie naszych ideałów, w obronie honoru wojska i Narodu Polskiego.

Toteż jak nas wieści dochodzą z Zegrza Północnego, stacjonowane tam kadry niemieckich baonów zapasowych już od 6 dni są stale w pogotowiu, gdyż nie wiedzą, czego się po nas spodziewać mają.

Chwile oczekiwania się dłużej, aż wreszcie usłyszeliśmy na szosie od strony Warszawy warkot silnika samochodowego, którym nadjechał specjalny delegat Tymczasowej Rady Stanu, dziś już nieżyjący śp. inż. Antoni Kaczorowski, późniejszy kierownik Ministerstwa Przemysłu i Handlu i Ministerstwa Pracy w gabinecie Antoniego Ponikowskiego (27. II. 1918 do 4. IV. 1918), w towa-

rzystwie komendanta naszej III Brygady płk. Bolesława Roji. Rozległa się komenda: „Baczność!“, a później: „Na ramię broń! Prezentuj broń! W prawo patrz!“ i komendant pułku składa raport komendantowi Brygady płk. Roji.

Po przyjęciu raportu płk. Roja przystąpił natychmiast do wykonania rozkazu, jaki miał od Komendy Legionów. Stał więc w środku czworoboku i donośnym głosem przemówił do nas mniej więcej w te słowa:

„Żołnierze! wysłicie w bój, by walczyć o Polskę Niepodległą. Służyliście Polsce w miarę sił i możliwości, choć przysięgi żadnej od was nie wymagano. Teraz zażądano od was przysięgi. Postąpicie tak, jak wam wasze serca i wasze sumienia nakazują!“

Po tej krótkiej, żołnierskiej przemowie naszego brygadiera zabrał głos delegat Tymczasowej Rady Stanu inż. Kaczorowski, reprezentujący w Radzie Narodowej Związek Robotniczy. Mówił głosem cichym i jakby złamanym. Nie wszyscy słyszeli, co mówił. Miało się wrażenie, że mówi pod przymusem, wbrew własnej woli. Z mowy jego nawet my, stojący w środku czworoboku, rozróżnialiśmy zaledwie pojedyncze wyrazy. Treść tej mowy były mniej więcej następująca:

„Tymczasowa Rada Stanu uznała, że złożenie przysięgi w obecnej chwili będzie mogło wywrzeć pewien wpływ na rozwój sprawy polskiej. Wobec tego przysięga ta ma znaczenie dla przyszłego Państwa Polskiego. Toteż choć to może przykre dla nas, w imieniu Tymczasowej Rady Stanu wzywam was do złożenia przysięgi w następującym brzmieniu...“ I odczytał dobrze nam znaną rotę przysięgi.

Po przemówieniu inż. Kaczorowskiego, komendant pułku mjr Trojanowski donośnym głosem wezwał wszystkich obecnych oficerów i żołnierzy, którzy chcą złożyć przysięgę, aby wystąpili pięć kroków przed front ustawionych oddziałów.

Oglądamy się dokoła. Zwarte kolumny batalionów stoją bez ruchu jak mur. Ani jeden głos nie zamącił ciszy, jaka panowała na placu... Mjr Trojanowski przeczekał chwilę, ogarnął raz jeszcze wzrokiem milczące kolumny, po czym donośnym głosem zawołał: „Kto nie chce przysięgać, niech wystąpi pięć kroków przed front“. Jakby zamarłe w bezruchu kolumny ruszyły nagle z miejsca i miarowym żołnierskim krokiem, odmierzywszy pięć kroków, stanęły jak wryte. Ścisnęły się kolumny w czworoboku, a na poprzednim miejscu nie pozostał nikt.

Komendant pułku obejrzał dokoła karne kolumny, uśmiech przemknął mu pod wąsem i wyprostowawszy się w postawie zasadniczej donośnym głosem zameldował brygadierowi Roji. „Panie Pułkowniku! cały 5. p. p. odmawia złożenia przysięgi!“

Płk. Roja przyjął meldunek, po czym wyjąwszy papierosnicę poczęstował inżyniera Kaczorowskiego papierosem. Inż. Kaczorowski blade i drżący podziękował za papierosa, zdjął binokle i począł szkła wycierać. Płk. Roja tymczasem zapalił papierosa i powiedział do mjra Trojanowskiego: „A teraz proszę uszykować pułk do defilady“.

Wówczas nie przydzieleni do pododdziałów oficerowie wyszli z dwurzędu, w którym byli uszykowani, otoczyli płk. Roję i w czasie, gdy pułk rozwijał się do defilady, poczęli dopytywać o nowiny z Warszawy. Trwało to krótką chwilę, gdy rozległy się dźwięki orkiestry pułkowej pod batutą kapelmistrza Madejskiego i pułk szybko zbliżał się rozwinięty do ostatniej defilady.

Wspaniała to była ostatnia defilada sławnego, nigdy nieznuzonego 5. Warszawskiego p. p. Legionów Polskich. W ślad za orkiestrą postępowała kompania za kompanią, batalion za batalionem. Szli starzy wiarusi z pod Kielc i Krzywopłotów, Marcinkowic i Łowczówka, z pod Konar, Ożarowa, Tarłowa, Urzędowa, Jastkowa, Stowygoroża i Koszyszczy, z pod Jezierc i słynnej Kosiuchówki, Powurska i Rudki Mirińskiej. Szli ci, co na pierwsze wezwanie Wodza stanęli przed trzema laty do szeregów, a dziś posłuszni Jego rozkazom idą na niewiadomy los, ale w imię honoru żołnierza polskiego, w imię niezależności Polski, o którą walczyli, jak dotąd, naprzód.

Patrzac na świetnie wyćwiczone kolumny, uderzające miarowo krokiem paradnym w takt marsza pułkowego nikt nie mógł uwierzyć, aby to była ostatnia defilada 5. pułku „Zuchowatych“. Wprost wierzyć się nie chce, że wkrótce już śladu nie zostanie z tego świetnego pułku, a nikomu jeszcze do głowy nie przychodzi, aby okupanci zdobyć się mogli na internowanie Wodza w twierdzy Magdeburskiej i zamknięcie „National-Polen“ w obozach jeńców w Szczypiornie, Beniaminowie, Havelbergu i Rastacie, a odesłanie Galicjan w austriackich mundurach na daleki front włoski, gdzie w kavernach, wykutych w skałach alpejskich, rozpamiętywać będą niezapomniane chwile, spędzone w 5. p. p. Legionów.

Jedno było dla nas pewne, że bez względu na to, co się stanie, wszyscy do ostatniej chwili naszego życia pozostaniemy wierni rozkazom Wodza, którego wola zadecyduje o tym, co będzie z tymi, którzy „na stos rzucili swój życia los“.

Defilada skończona. Kompanie „na odtrąbiono“ odmaszerowują z radosnym śpiewem do koszar. Oficerowie tymczasem wznoszą okrzyki na cześć płk. Roji. Chwytają go na ręce i na ramionach niosą do kasyna oficerskiego 5. p. p. Żołnierze kompanii, które odszedłszy do koszar rozeszły się, tłumnie otaczają oficerów bez końca wznoszą okrzyki: „Niech żyje płk. Roja“. „Niech żyje

nasz komendant mjr Trojanowski“. Od czasu do czasu słyhać również złowrogie okrzyki: „Precz ze zdrajcą Stanu“, jak powszechnie wśród braci Legionowej nazywano radców Stanu.

Inż. Kaczorowski opuszczony przez wszystkich, błądy jak ściana, idzie samotnie za tłumem żołnierzy i oficerów i nie wie, co ma właściwie ze sobą zrobić. A pochód cały z niesionym na ramionach płk. Roją dociera do drzwi wejściowych kasyna oficerskiego i uroczyście zaprasza brygadiera na obiad. Ostatni uroczyty obiad oficerów 5. pułku piechoty Legionowej...

Inż. Kaczorowski stoi samotnie przed wejściem do kasyna. Nikt go nie zaprasza do środka. Zauważyli to płk. Roja i mjr Trojanowski i któryś z nich zwraca się do oficerów, aby zaprosili inż. Kaczorowskiego do kasyna, boć przecież jest naszym gościem. Po pewnej chwili wahania, wśród pomruków niektórych oficerów, że nie chcą siedzieć w towarzystwie zdrajcy Stanu, wychodzi wreszcie gospodarz kasyna chor. Szolkowski i zaprasza p. inż. Kaczorowskiego jako osobę prywatną, która się znalazła na terenie naszego pułku.

Obecność członka Rady Stanu w Kasynie zważyła humory. Obiad przeszedł w milczeniu bez toastów i mów. Wszyscy oczekiwali wyjazdu radcy Stanu, aby podzielić się wrażeniami z dopiero co przeżytych chwil.

Aż wreszcie nadszedł oczekiwany moment. Oficerowie wyszli przed kasyno odprowadzić płk. Roję, przed drzwiami oczekuje samochód radcy stanu.

W czasie obiadu żołnierze udekorowali kwiatami prawą stronę siedzenia i zatknęli karteczkę z napisem: „Miejsce pułkownika Roji“ na drugiej połowie siedzenia zawiesili stryczek z napisem „Dla zdrajców Stanu“. Demonstracja ta, nie przewidziana nawet przez oficerów 5. p. p. pognębiła do reszty inż. Kaczorowskiego, który z miną skazańca wskoczył do samochodu w towarzystwie płk. Roji oraz adiutanta naszego pułku por. Dobrodzickiego i szybko odjechał w kierunku Warszawy.

Reszta dnia upłynęła na rozpamiętywaniu chwil przeżytych i dyskutowaniu o naszej przyszłości wobec rozkazu nadeszłego w międzyczasie z Komendy Legionów, aby żołnierze Królewiaczy niezwłocznie złożyli broń i przygotowali się do odjazdu, zorganizowani w kompanie pod dowództwem sierżantów, do obozu koncentracyjnego w Kaliszu.

Widzieliśmy już o odstawieniu pod bagnetami żołnierzy 3. p. p. do Szczypiorny, ale nie wiedzieliśmy jeszcze o decyzji internowania żołnierzy, sądziliśmy raczej, że jest to punkt demobilizacyjny, skąd będą grupami odesłani do domów.

Nazajutrz 14 lipca zgodnie z rozkazem Komendy Legionów żołnierze-Królewiacy złożyli broń i, zorganizowani w specjalne kompanie pod komendą sierżantów, przygotowali się do odjazdu do Szczypiorna.

Pułk zebrał się na tym samym placu, na którym poprzedniego dnia odmówił przysięgi, tym razem jednak już rozdzielony był na dwie kolumny. W skład jednej kolumny wchodzi żołnierze-Królewiacy podzieleni na 4 kompanie bez broni, którzy pod komendą kpt. Olszyny-Wilczyńskiego za chwilę mają odjechać do Szczypiorna. W drugiej — żołnierze-Galicjanie w pełnym rynsztunku, zorganizowani w specjalny batalion honorowy.

W milczeniu spoglądają na siebie obie kolumny. Pod powieką niejednego starego wiarusa, Leguna-Królewiaka, który w ciągu ostatnich trzech lat przemierzył ziemię polską od Krakowa i Nowego Sącza po Kamieniec Litewski i Rafałówkę i nigdy nie zaznał smutku, dziś dostrzec można lśniąca łzę. Bo oto nadeszła chwila pożegnania ze swym „sitwesem — Galicjaninem“, z którym się było pod wozem i na wozie, z którym się z jednej menażki jadło zupę, piło kawę, dzieliło ostatnią kromkę chleba, szczyptą tytoniu, ostatnim ładunkiem w ogniu i kurzu bitew...

Na ogół jednak panuje nastrój raczej wesoły, Żołnierz I Brygady przywykł już do zmiennej losów kolei. Wszyscy wiemy, że choć czekają nas ciężkie przeżycia, ale Komendant za nas czuwa. On myśli o nas i losem naszym kieruje. Skoro chce, abyśmy bez oporu broń złożyli, to widać tak być musi. Spotkamy się jeszcze pod Jego komendą i znów będziemy walczyć o te same ideały, które nas do Legionów zaprowadziły, bo Polska będzie, a my walczyć dalej będziemy o Jej moc i potęgę.

Toteż ze śpiewem maszeruje kolumna Królewiaków na dworzec. Słowa pieśni „Nie damy ziemi skąd nasz ród“ mieszają się z pożegnalnymi okrzykami na cześć komendanta pułku, komendantów baonów i kompanii, na cześć wreszcie najpopularniejszego bodaj oficera w pułku kpt. dr Sławoja Składkowskiego, naczelnego lekarza pułku. Tuż za kolumną Królewiaków maszeruje batalion honorowy z orkiestrą i ustawia się na dworcu. Załadowanie następuje szybko, ostatnie pożegnania, ostatnie zlecenia. Orkiestra gra „Jeszcze nie zginęła“ i marsz pułkowy. Batalion honorowy prezentuje broń. Pociąg rusza i uwozi w nieznaną dal naszych trzechletnich towarzyszy broni. Zwłaszcza nam oficerom-Królewiakom strasznie ciężko rozstawać się z kolegami, gdy my na miejscu mamy oczekiwać dekretów, zwalniających nas z Legionów. Wbrew zakazowi Komendy Legionów trzej oficerowie 5. p. p., przebrani w mundury sierżantów, odjeżdżają także, aby podtrzymywać ducha

w żołnierzach. Byli to ppor. Leon Koc, Artur Maruszewski i chor. Witold Czachowski.

W pułku zapanowała teraz cisza i smutek. Stan pułku zmniejszył się do połowy. Oficerowie spokojnie oczekiwali dalszych swoich losów. W kasynie codziennie odbywają się zebrania oficerskie, na których kierownicy akcji z por. Wacławem Stachiewiczem na czele informują nas o rozwoju sytuacji. Już wiemy, że żołnierzy naszych internowano w Szczypiornie, skąd jednak stopniowo mają być zwalniani. Codziennie nadchodzą rozkazy z Komendy Legionów, zawierające długie listy oficerów-Królewiaków zwalnianych za odmowę przysięgi oraz oficerów-Galicjan odsyłanych do wojska austriackiego za kierownictwo „buntem“. Komenda Legionów straciła chyba zupełnie głowę, rozbijając Legiony i sama oddając się na pastwę okupantów. Nie może nam w głowie się pomieścić, aby znaleźli się Polacy, którzy dobrowolnie w ten sposób wysługują się Niemcom. Cała opinia publiczna kraju jest po naszej stronie, gdyż nawet obojętni lub wrogonastroszeni endecy, wyrażnie się opowiadają za nami.

Dłużą się chwile oczekiwania na rozstrzygnięcie naszych losów. Zakazano wydawania dokumentów podróży na jazdę koleją do Warszawy. Korzystamy więc tylko z prywatnej kolejki Mareckiej i na własny koszt jedziemy sobie przez Strugę do Warszawy, aby zasięgnąć języka.

Dopułku naszego poza oficerami 2. i 3. p.p. pojedynczo zjeżdżają oficerowie innych pułków, zwolnieni z Legionów, i grono nasze coraz to się powiększa. Toczmy nieskończone dyskusje w kasynie, czy należy biernie oczekiwać wypadków, czy rozjechać się po kraju, wstępować do P. O. W. i przygotowywać rozbrojenie okupantów. Wielu z nas wypowiada się za tym, ale rozkaz rozstrzyga wszystko. Komendant widocznie chce, abyśmy lojalnie wykonali wszystkie rozkazy, abyśmy ofiarą z siebie otworzyli oczy krajowi na konieczność walki z okupantami.

Nadchodzą wiadomości o przebiegu przysięgi w innych pułkach. Wszędzie przebieg był podobny jak u nas. Jedynie tam, gdzie komendantem pułku był zwolennik przysięgi, przebieg był jeszcze ostrzejszy niż u nas. W pierwszym pułku piechoty płk.-bryg. Januszajtisowi miano rzucać szable pod nogi. Zwolniono za to z Legionów kpt. Juliana Stachewicza, p. o. komendanta 1. p.p. po zwolnieniu z Legionów płk. Edwarda Rydza-Śmigłego. Zwolniono również mjr Władysława Belinę-Prażmowskiego, płk. Norwida-Neugebauera i cały szereg innych oficerów. Mjr Żymierski, który ciągle był formalnie komendantem 5. p.p., przestał wreszcie całkowicie interesować się naszym pułkiem i nawet telefonicznie nie przekazywał żadnych rozkazów. A zwolnienia z Legionów dla nas ciągle nie nadchodziły.

Wreszcie 21 lipca przyszedł rozkaz Komendy Legionów, aby wszyscy oficerowie-Królewiacy stawili się 22 lipca na forcie Beniaminów pod Zegrzem, gdzie otrzymają dokumenty zwolnienia z Legionów.

Przed południem zajęła przed kasyno długa kolumna wozów taborowych z przyrządzonymi siedzeniami. Ładujemy nasze bagaże, siadamy na wozy i w pokażnej liczbie, blisko 40 oficerów 5. p. p. z mjr. Trojanowskim, komendantem pułku, i kpt. Narbuttem-Łuczyńskim, komendantem I baonu, na czele wyruszamy w drogę.

Wraz z nami jadą oficerowie 2. i 3. p. p. oraz ci spośród oficerów innych pułków, którzy w ostatnich dniach do nas się przydzielili. Pułk objął komendant II baonu kpt. Karasiewicz-Tokarzewski, żegnając nas uroczyście. Wszyscy niemal oficerowie-Galicjanie konno lub na rowerach odprowadzają nas do Beniaminowa. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, że jedziemy tam na kilka miesięcy, a niektórzy z nas spędzą tam rok cały. Z naszego pułku prócz oficerów-Królewiaków jadą także oficerowie innych zaborów, którzy jako dezterterzy z armii austriackiej lub niemieckiej muszą udawać Królewiaków, aby się pod sąd nie dostać. Są to por. Włodzimierz Maxymowicz-Raczyński i por. Roman Pogoń-Dunin, obywatele austriaccy, i por. Wiktor Nowakowski, Wielkopolanin obywatel pruski.

Oficerowie 5. p. p. najsolidarniej wystąpili w czasie kryzysu przysięgowego, toteż ani jeden nie wyłamał się w tych ciężkich chwilach. Jedynie ci oficerowie, którzy pracowali w P. O. W., do obozu się nie stawili, reszta w liczbie 42 oficerów zgłosiła się karnie do obozu. Por. Tadeusz Trapszo pozostał na wolności celem zorganizowania w Pułtuskim pomocy aprowizacyjnej dla obozu, następnie jednak pozostawiony sobie, załamał się i przysięgę złożył. Reszta wytrzymała w obozie do końca prócz por. S. R., który w czasie pobytu w Beniaminowie idąc za przykładem kilku oficerów innych pułków złożył podanie o dopuszczenie go do przysięgi. Zresztą ta najliczniejsza grupa, stanowiąca w obozie prawie $\frac{1}{3}$ internowanych oficerów, okazała obok 1. p. p. i 1. p. uł. najwyższą solidarność i wytrzymała do końca, by w dniu 11 listopada 1918 r. znaleźć się ponownie w różnych okolicach kraju w zwartych szeregach rozbrajających Niemców i Austriaków. Podobną solidarność wśród żołnierzy 5. p. p. spowodowała, że oficerów tego pułku, przebranych za sierżantów znajdujących się wśród żołnierzy w Szczypiornie i Łomży, Niemcy nie zdołali wykryć aż do końca ich pobytu w obozach. Przetrwali oni wraz z żołnierzami dołą i niedołą obozu jeńców, gdy wszystkich oficerów innych pułków Niemcy stopniowo wyłapali. Ciężkie warunki pobytu w Szczypiornie spowodowały, że nie obeszło się bez ofiar, toteż niejednen życiem przypłacił pobyt w Szczypiornie. A jedną z pier-

wszych ofiar był kapral Walter z 1. komp. 5. p. p. Po odejściu oficerów-Królewiaków do Beniaminowa 5. p. p. nie przestał jeszcze istnieć, więc choć zamknięty w Beniaminowie nie brałem udziału w jego życiu, dla ciągłości muszę zanotować dalsze jego losy.

Przez kilka tygodni pobytu naszego w Beniaminowie 5. p. p. stał nadal w Zegrzu i wówczas utrzymywaliśmy z nim stały kontakt. Codziennie ktoś do nas przyjeżdżał przywożąc wiadomości i prowianty, o które w obozie było coraz trudniej. W kilka dni po naszym odjeździe Komenda Legionów przysłała mjra Józefa Zajęca z 3. p. p., który miał objąć komendę pułku. Wobec jednak trudności z jakimi ze zrozumiałych powodów mjr Zajęc spotkał się ze strony oficerów 5. p. p., do objęcia pułku nie doszło. Mjr Zajęc odebrał tylko broń, budynki, majątek pułku, potem resztę rozbrojonego pułku odesłano do Przemyśla celem ostatecznej likwidacji.

Szeregowych i oficerów w stopniach sierżantów odesłano do wojska austriackiego i w większości przeznaczono na front włoski. Część z nich zdołała się z wojska austriackiego uwolnić i zaciągnęła się w szeregi P. O. W. na terenie okupacji austriackiej i Galicji. Niektórzy przedarli się do Rosji, gdzie wzięli udział w formowaniu tamtejszych korpusów polskich, inni dostawszy się do niewoli włoskiej przeszli stamtąd do armii Hallera, z którą powrócili do Polski, większość dotrwała na froncie włoskim do końca wojny i po upadku Austrii powróciła do Galicji w listopadzie 1918 roku, by wziąć udział w tworzeniu wojska Polskiego i obronie Lwowa.

Jak silna jednak była więź pułkowa, jak wielkie było przywiązanie oficerów i szeregowych do swego pułku, niech świadczy fakt, że 5. p. p. właśnie obok 4. p. p. mimo niesłychanego rozproszenia oficerów i szeregowych pierwszy zgromadził się i stanął do walki. W tym samym Przemyśle, w którym 5. p. p. przed rokiem został zlikwidowany, powstał znowu w listopadzie 1918 r., skąd bezpośrednio po sformowaniu uderzył na oblężony przez Ukraińców Lwów, walcie przyczyniając się do oswobodzenia tego „zawsze wiernego“ miasta. Toteż na cmentarzu obrońców Lwowa widzimy liczne mogiły wiarusów 5. p. p., którzy, przetrwawszy 4 lata wielkiej wojny, na progu nowego życia Polski Niepodległej życie swe złożyli w ofierze na ołtarzu idei, której od lat służyli.

Wśród nich leży również kapral I plutonu 1. komp. 5. p. p. Wacław Kaucz, który po powrocie ze Szczypiorna w rodzimej Łodzi oczekiwał chwili, aby znowu stanąć do szeregu. Na wieść o rozbijaniu Austriaków w Galicji przekradł się natychmiast na teren okupacji Austriackiej, dotarł do swego 5. p. p., by oddać życie w szeregach swego macierzystego oddziału.

Jesienią 1917 roku przestały istnieć Legiony. Pozostała jedynie tzw. Polska Siła Zbrojna („Polnische Wehrmacht“) w Królestwie,

oraz brygada gen. Hallera t. zw. Polskiego Korpusu Posiłkowego w Galicji, sformowana z resztek b. II Brygady Legionów. Ta ostatnia po pokoju brzeskim przeszła na drugą stronę frontu i weszła w skład II Korpusu Wschodniego, by ostatecznie rozproszyć się po bitwie pod Kaniowem 11 maja 1918 r.

Taki był koniec epopei legionowej. Ale idea Legionów przetrwała ich istnienie i żyła nadal w obozach jeńców, a przede wszystkim w tępionej przez Niemców, a mimo to rozrastającej się ciągle P. O. W. Idea ta przetrwała ciężki rok 1917/18, aby się na nowo przerodzić w czyn w decydującej chwili, tj. w momencie rozkładu armii austriackiej, a następnie niemieckiej. Metoda wychowawcza Komendanta Piłsudskiego puszczania swych podkomendnych „na głęboką wodę” wydała obfity plon. Dzięki tej metodzie 11 listopada 1918 r. nie zastał nas w rozsypce. Wszyscy Piłsudczycy, gdziekolwiek się znaleźli, wiedzieli, co mają robić w chwili, gdy wojska okupacyjne zaczęły toczyć rak rewolucji. Tworzące się w wojskach państw centralnych Rady Żołnierskie od pierwszej chwili uznały autorytet Wodza Narodu Polskiego, jakim stał się Komendant Piłsudski, i składanie broni żołnierzom Bohatera Narodowego nie było dla nich dyshonorem.

Nim jednak do tego doszło, upłynął jeszcze rok cały, którego dzieje pokrótce przedstawię w następnych rozdziałach.

W NIEMIECKICH OBOZACH JENCÓW

(Beniaminów)

W chwili, gdyśmy „dobrowolnie“ przekraczali bramę Beniaminowa, nie wiedzieliśmy jeszcze, że nie jedziemy tu „celem demobilizacji“, nie przypuszczaliśmy, że siedzieć będziemy po kilka, czy kilkanaście miesięcy za drutami. Nie wiedzieliśmy również o aresztowaniu i wywiezieniu Komendanta. Mogliśmy jednak spodziewać się wszystkiego.

Sytuacja ogólna stała się wyraźna od chwili, gdy Komendant ustąpił z Rady Stanu. Zanosilo się widocznie na rozgrywkę decydującą, w której mogliśmy wygrać, lub przegrać. Wszystko jednak świadczyło o tym, że na razie przegrywamy. Toteż elementy ugodowe w stosunku do okupantów angażowały się coraz bardziej w pracy „państwowo-twórczej“ gen. Beselera i jego polskich pomocników. Ale i oni musieli odczuwać potężną wolę Komendanta, która dawała im się we znaki na każdym kroku. Zwłaszcza, gdy Komendant polecił wstrzymać werbunek do „Wojska Polskiego“, które miało być „mięsem armatnim“, przygotowanym przez gen. Beselera dla zasilenia frontu zachodniego. Poczuli, że niewiele mogą zrobić. Wówczas to cała nienawiść polskich współpracowników gen. Beselera zwróciła się przeciw Komendantowi. Cała prasa gadzinowa przez wielkie „G“, a więc „Godzina Polski“, organ niemal urzędowy generał-gubernatora, prusofilski „Goniec“, niegdyś organ N. Z. R., a dziś germanofilskiego „Centrum“ (Władysława Studnickiego) i austrofilski „Głos“, organ Ligi Państwowości Polskiej (płk. Władysława Sikorskiego), poczęły coraz agresywniej występować przeciw Komendantowi i Niemcy chcieli stworzyć pozory, że samo społeczeństwo polskie domaga się „unieszkodliwienia“ Komendanta. Użyto do tego celu zdecydowanych germanofilów, którzy go publicznie atakowali. Przedtem poczęto już dobierać się do P. O. W. i pojedynczo osadzano peowiaków bądź w więzieniach, bądź w obozie internowanych cywilnych w Modlinie.

W chwili rozpoczęcia zwalniania oficerów-Królewiaków z Legionów za odmówienie przysięgi aresztowano jednego z najbliższych

współpracowników Komendanta, Walerego Sławka, i wywieziono go do Modlina. 22 lipca, tj. w dniu, w którym my zgłaszamy się do Beniaminowa, zdecydowano się na aresztowanie Komendanta Piłsudskiego wraz z szefem płk. Sosnkowskim i na wywiezienie go do Gdańska, Szpandawy, Wesel, aż w końcu uwięzienia w twierdzy Magdeburskiej. I to był dla nas cios najcięższy, o wiele groźniejszy od naszego internowania w Szczypiornie i Beniaminowie.

Równocześnie z aresztowaniem Komendanta rozpoczęły się represje na wielką skalę w stosunku do P.O.Wiaków, których koncentrowano w Modlinie, Szczypiornie i Havelbergu. Spośród internowanych wybierano stopniowo najbardziej, zdaniem Niemców, niebezpiecznych i wywożono ich do Niemiec do obozów jeńców w Havelbergu, Rastacie i Werlu.

Tak się zarysowywała sytuacja ogólna w chwili przybycia naszego do Beniaminowa, z której nie zdawaliśmy sobie dokładnie sprawy. Nie przypuszczaliśmy, aby Niemcy ważyli się porwać na Komendanta, nie myśleliśmy, aby oficerów legionowych, z których wielu odznaczonych było nawet niemieckimi „żelaznymi krzyżami“, można było traktować jak zwykłych „Zivilgefangenen“.

Gdyśmy przyjechali do Beniaminowa, zastaliśmy tam komendanta obozu w osobie leutnanta Siebrechta, który przyjął nas z całą kurtuazją, prosząc jedynie abyśmy nie wydalali się z granic obozu (zresztą niezupełnie ogrodzonego), nie przyjmowali kobiet w obozie i wreszcie abyśmy gasili światło o godzinie 11 wieczorem.

Przyjęto nas z honorami wojskowymi, wyznaczono kwatery w murowanych barakach Nr 2 do 6, gdyż w baraku Nr 1 mieściła się Komenda obozu. W głębi były baraki dla naszych ordynansów i żołnierzy niemieckich, a dalej zabudowania gospodarcze, mieszczące kasyno oficerskie, magazyny, łaźnie itp.

Traktowano nas na razie jako oficerów, proszono jedynie o oddanie broni palnej, której nikt z nas zresztą nie miał już przy sobie. Szable mogliśmy na razie zatrzymać. Zainstalowaliśmy się na nowych kwaterach i cały dzień spędziliśmy w towarzystwie kolegów Galicjan z 5. p.p., którzy bez przeszkód chodzili po obozie.

Nam, to znaczy mnie i moim obu braciom oraz kilku innym kolegom, przeznaczono dwa pokoje w baraku Nr 2, gdzie rozmieszczamy się w sześciu. Mamy łóżka żelazne, przyzwoicie zasłane, stoły, stolki, umywalnie, jednym słowem wszystkie niezbędne sprzęty w życiu garnizonowym. Urządzamy się więc i wychodzimy, by pożegnać kolegów — Galicjan. Zastaliśmy większą grupę oficerów, która śpiewem „Roty“ protestowała na wieść, świeżo otrzymaną o aresztowaniu Komendanta.

Nazajutrz 23 lipca wstaliśmy późno, bo nie było do czego się spieszyć. Rano zakomunikowano nam nowe ograniczenia. Zabro-

niono mianowicie odwiedzenia obozu przez oficerów — Galicjan bez przepustki i polecono, aby od godziny 9 wieczorem nie opuszczać kwater, gdyż podoficer służbowy będzie sprawdzał naszą obecność.

Rozglądamy się więc po obozie. A największym powodzeniem cieszy się wysoka wieża obserwacyjna, z której widać w oddali Bug i przylegającą do obozu wieś Białobrzegi, gdzie mieszkają żony por. Polkowskiego i chor. Szólkowskiego, jak również jedna z moich znajomych p. Jadwiga Ginathówna.

24 lipca przybyli do obozu oficerowie 1. p. p., poza tym codziennie przybywają pojedynczo oficerowie różnych pułków. Na razie mamy w kasynie wikt oficerski i nie odczuwamy wielkiej zmiany wyżywienia, mamy zresztą jeszcze pieniądze, więc możemy dokupić sobie żywność w kantynie, założonej przez niezmordowanego gospodarza naszego chor. Szólkowskiego.

Koledzy — Galicjanie odwiedzają nas licznie i zawiadamiają, że w 5. p. p. odbyło się zebranie oficerskie, które uchwaliło żądanie utworzenia rządu polskiego, zwolnienia Komendanta oraz internowanych oficerów i żołnierzy, zrównania praw oficerskich — Galicjan i Królewaków, usunięcia Komendy Legionów, przemianowania oficerów — werbunkowych na urzędników wojskowych oraz nieprzydzielania obcych oficerów do pułku.

Wieczorem niespodzianie dokonano u nas pierwszej rewizji. Co prawda w formie dość uprzejmej, ppor. Siebrecht obchodził kwatery i każdego oficera z osobna pytał, czy nie ma broni palnej.

Powoli zaczynamy urządzać się w obozie. Rano zaprowadzamy obowiązkową gimnastykę dla wszystkich, a poza tym powstaje szereg projektów organizacji klubów sportowych: tenisowego, futbolowego, szermierczego, kwitnie również gra w szachy i karty, zwłaszcza w bridge'a i pokiera.

25 lipca przybyli do obozu oficerowie 1. p. ułanów z rtm. Głuchowskim na czele. Robi się coraz rojniej w Beniaminowie. Jednocześnie jednak coraz wyraźniej widzimy, że pobyt nasz zapowiada się na dłużej. Wartownicy niemieccy pośpiesznie ogradzają teren obozu drutem kolczastym. Listy, które otrzymujemy dotąd za pośrednictwem 5. p. p., możemy otrzymać tylko przez niemiecką Komendę obozu, gdyż muszą one ulegać „specjalnej“ cenzurze, co oczywiście opóźnia ich doręczenie.

26 lipca zmieniono oddział wartowniczy. Zamiast młodych chłopców, którzy nas „pilnowali“ dość ogłędnie, przyszedł nowy oddział „landsturmu“, przy czym ilość posterunków została podwojona.

28 lipca zakończono budowę pierwszej linii drutów kolczastych i ze wszystkich stron umieszczono tablicę z dwujęzycznym napisem

„Obcym wstęp wzbroniony pod grozą rozstrzelania!“. Nie możemy już swobodnie widywać się, zwłaszcza, że na odległość 5 metrów od ogrodzenia nie wolno zbliżać się do drutów. Nie mamy więc wiadomości ze świata, gazety otrzymujemy jedynie przypadkowo. Rodzą się plotki z powodu braku wiadomości prawdziwych. Ponieważ jednak codziennie ktoś nas odwiedza, przyjeżdżają nowi koledzy, a zwłaszcza przyjeżdża z Radzimina moja dawna koleżanka z „Promienia“ i „Strzelca“ krakowskiego, a później z oddziału wywiadowczego por. Świętopelka, Marysia Kornilłowiczówna, stale mająca nowe wiadomości polityczne. Nasuwa mi się myśl wydawania dziennika w obozie.

Jako polonista z zawodu miałem pociąg do pióra i wrodzoną żylkę dziennikarską. Nie myślałem wprowadzić nigdy, aby dziennikarstwo traktować zawodowo, ale publicystykę uprawiałem od dawna. Jeszcze jako uczeń gimnazjalny pisywałem nowelki, które drukowałem w latach 1907—1910 na łamach prowincjonalnego tygodnika „Łowiczanina“. W czasie studiów uniwersyteckich debutowałem na łamach „Naprzodu“ krakowskiego i „Głosu“ lwowskiego, drukując sprawozdania z wieców akademickich, pisywałem korespondencje z Krakowa do „Głosu Młodych“, wydawanego przy „Dzienniku Petersburskim“, redagowałem organa Unii Filareckiej „Naszą Pracę“ i „Nurt“, drukowałem sprawozdania i artykuły w Krakowskiej „Krytyce“ i Warszawskiej „Prawdzie“.

Nie zaprzestałem tej pracy i w czasie wojny, zamieszczając artykuły i korespondencje z frontu w „Wiadomościach Polskich“, dąbrowskiej „Gazecie Polskiej“ i warszawskim „Widnokregu“. Nie byłem więc w publicystyce zupełnym nowicjuszem. W oddziale wywiadowczym nauczyłem się zbierania informacji i teraz pragnąłem te moje kwalifikacje oddać na usługi kolegów w obozie. Podjąłem się wielkiej pracy, która czasem przechodziła siły jednego człowieka. Miałem wprowadzić stały „serwis“ informacyjny Marysi Kornilłowiczówny, ale poza tym musiałem pełnić funkcje reportera i redaktora, metrapaży, zecera, a zarazem kolportera mego dziennika. Nie przepuściłem nikogo, kto przybywał bądź na stałe do obozu, bądź tylko w odwiedziny, odbierałem wszystkie gazety, notowałem wszelkie nowiny, aby móc wydać numer.

29 lipca wypuściłem pierwszy numer „Biuletynu Benjaminowskiego“, dziennika ściśle informacyjnego, formatu zwykłego arkusza papieru kancelaryjnego, na którym drobnymi literkami usiłowałem zmieścić wszystkie informacje, zebrane w ciągu całego dnia. A jednocześnie musiałem pilnować „bramy“, aby się ktoś, niepostrzeżony przeze mnie, nie przemknął koło obozu. Głównym źródłem wiadomości była zawsze Marysia Kornilłowiczówna, która prawie

codziennie obóz odwiedzała. Początkowo mogłem z nią swobodnie rozmawiać przez druty, potem było coraz trudniej, zwłaszcza, gdy zbudowano drugi rząd drutów i zabroniono zbliżać się do nich. Wówczas kładłem się na trawie w pobliżu drutów, gdy kol. Marysia kładła się w rowie przydrożnym i czekaliśmy, aż posterunek się oddali, aby kilka słów zamienić. Czasem 4—5 razy musieliśmy zmieniać miejsca naszej pogawędki, zanim zdołałem pochwycić nieco wiadomości. Czasem nie mogliśmy mówić, wówczas Marysia pisała na papierze posiadane informacje, obwijala węń kamień i rzucała mi do obozu. Ktokolwiek zdobył wiadomości, przynosił mi je do „redakcji“, która była czynna od 8 rano do 11 wieczór. Po południu „składałem“ i drukowałem numer, a gdy po „zamknięciu“ numeru przychodziły wiadomości, wydawałem wieczorny dodatek nadzwyczajny. W każdym razie numer musiał być gotów przed kolacją, gdyż umieszczałem go w kasynie na tablicy, gdzie tłum kolegów skupiał się zawsze koło „Biuletynu“, aby dowiedzieć się „najświeższych“ wiadomości.

„Biuletyn“ pochłaniał mi tyle czasu, że w pierwszym miesiącu naszego „siedzenia“ w Beniaminowie nie mogłem brać udziału w innych pracach obozu, zwłaszcza, że „Biuletyn“ rozrastał się i Nr 9 z dnia 6 sierpnia wydałem już jako numer trzykolumnowy z artykułem wstępnym i wspomnieniami legionowymi. Odtąd już najczęściej wydawałem numery dwukolumnowe. „Biuletyn“ budził coraz większe zainteresowanie kolegów, którzy chcieli mieć „na własność“ przynajmniej pojedyncze numery. Musiałem więc dobrać sobie współpracowników, najprzód technicznych do „przedrukowywania“ numeru w osobach ppor. Mieczysława Brodzińskiego i chor. Zdzisława Czubińskiego, później udało mi się pozyskać i współpracowników redakcyjnych w postaci bezimiennych korespondentów w dziale „listów“ do redakcji, a w końcu i w dziale artykułowym. Każdy numer „Biuletynu“ podlegał naturalnie cenzurze (czas wojenny)!, ale nie cenzurze niemieckiej, lecz wewnętrznej, polskiej Komendy obozu, którą wówczas sprawował jeszcze mjr Mieczysław Trojanowski. Komenda obozu baczyła, by nie prowokować Niemców i zachować pewną ostrożność w podawaniu wiadomości. Toteż niejednokrotnie zdarzało się, że konfiskowała mi artykuły lub poszczególne wiadomości. Tak się też stało z artykułem wstępnym w Nr 31 „Biuletynu“ z dnia 28 sierpnia, napisanym przez ppor. Juliusza Ulrycha. Konfiskaty te zniechęciły mnie do wydawania pisma, zwłaszcza, że coraz trudniej było ze zdobywaniem wiadomości i już miałem zamiar wydawać pismo tylko 3 razy na tydzień. Po konfiskacie Nr 31 w miesiąc po rozpoczęciu wydawnictwa, zawiesiłem je, nie mogąc nadal podolać trudnościom, związanym z wydawaniem dziennika. Cały komplet numerów

„Biuletynu“ zachowałem i po wojnie złożyłem go w dziale rękopisów Centralnej Biblioteki Wojskowej, gdzie się dziś znajdują.

Przez swe wydawnictwo wywołałem jednak powstanie innego pisma, którego Nr 1 ukazał się 12 sierpnia, wydany przez por. Wacława Kostka-Biernackiego. Tym razem było to pismo humorystyczne pn. „Sprzymierzeniec“. Pismo to, na wzór „Konferencji Pokojowej“, wydawanej ongiś przez 1. p.p. na froncie, było bardzo dowcipne i bogate, a pięknie ilustrowane dzięki współpracy naszych znakomitych rysowników i malarzy w osobach: por. Dąbrowy-Młodzianowskiego, ppor. Golińskiego, kpt. Jarnuszkiewicza i innych. Por. Biernacki wydał coś około 8 numerów „Sprzymierzeńca“ (mniej więcej 1 na tydzień), ale 30 września zawiesił swe wydawnictwo, z tych samych powodów, co ja.

Te dwa wydawnictwa jedno ściśle informacyjne, drugie wyłącznie humorystyczne, wywołały wreszcie powstanie poważnego organu ideowego, już jako oficjalnego organu obozu pn. „Benjaminów“. Powstał więc Komitet Redakcyjny z udziałem ppor. Adama Koca, kpt. Aleksandra Narbutta-Łuczyńskiego, ppor. Juliusza Ulrycha i jeszcze kilku innych kolegów, który czuwał nad stroną ideową. Redaktorem był por. Anatol Minkowski. Nr 1 „Benjaminowa“ ukazał się 20 września, ale po kilku numerach (3 czy 4) i to pismo przestało istnieć.

Po tej krótkiej dygresji na temat „prasy“ obozowej, której upadek zeszedł się z pewnym ustaleniem się stosunków w obozie, kiedy nam wreszcie zezwolono na otrzymywanie przynajmniej prasy „gadzinowej“ (Godzina Polski, Goniec, Głos), przejdziemy do wypadków rozgrywających się w międzyczasie.

28 lipca zmieniono po raz pierwszy komendanta obozu. Grzecznego i uprzejmego leutenaanta Siebrechta zastąpił, zresztą na krótko, leutenaant Naumann. On to urządził nam pierwszą niespodziankę w postaci uroczystości z dnia 30 lipca. Było to bezpośrednio po ukończeniu pierwszej linii drutów, kiedy obóz został zamknięty ze wszystkich stron. Wezwano nas na zbiórkę przed budynkiem Niemieckiej Komendy Obozu. Ustawiliśmy się w dwurzędzie (obecnym dwuszeremu), po czym sprawdzano naszą obecność. Bezpośrednio po tej czynności wkroczyły kompanie niemieckie, które poczęły nas otaczać niemal ze wszystkich stron. Jednocześnie zauważyliśmy, że sąsiednie wzgórza obsadzone są liniami tyralierskimi z k. m., skierowanymi na obóz. Wówczas to zjawił się w obozie gen. Massow z licznym sztabem. Tak uroczyście wręczono nam dekrety zwolnienia z Legionów, podpisane przez płk. Zielińskiego. Bezpośrednio po tym akcie gen. Massow zażądał oddania broni (białej, oczywiście, bo palnej nie mieliśmy). Na ustawionych stolikach musieliśmy złożyć nasze szable i bagnety, zaopatrzone w karteczki z nazwiskami. Zawiadomiono

nas, że nie wolno nosić odznak oficerskich, które winniśmy odpruć niezwłocznie, a na stałe winniśmy nosić ubrania cywilne. Potem przeprowadzono rewizje we wszystkich barakach, sprawdzając czy broni nie ukryliśmy.

Po dokonaniu tych „wyczynów“ gen. Massow wraz z batalionami niemieckimi, podobno w liczbie 8, odmaszerował do Zegrza. Pogotowie niemieckie świadczyło, jak się nas okupanci obawiają, nie wróżyło jednak nic dobrego.

Bezpośrednio po tej „rewizji“ odbyło się w kasynie pierwsze zebranie oficerów „internowanych“, które uchwaliło zaprotestować przeciwko internowaniu Komendanta, nie uznawać naszego zwolnienia, zachować wewnętrzną dyscyplinę wojskową i solidarność z żołnierzami w Szczypiornie. Wyłoniono więc Polską Komendę Obozu, którą objął pierwotnie mjr Mieczysław Trojanowski, później mjr Kazimierz Fabrycy, w końcu mjr Stanisław Burhardt-Bukacki.

Ponieważ równocześnie wstrzymano z dniem 31 lipca pobory i strawne, wyłoniliśmy Komisję Kasynową do troszczenia się o nasze wyżywienie, a ponadto Komisję Międzypułkową, która była tymczasową naszą reprezentacją polityczną i gospodarczą. Komisja ta zredagowała pismo do gen. Beselera, wysłane 3 sierpnia, w którym zapytujemy: 1) jakie były motywy naszego internowania, 2) kiedy nastąpi zwolnienie, 3) czy zwolnienie z Legionów mamy uważać równocześnie jako pozbawienie nas stopni oficerskich, 4) czy odznaczenia wojenne niemieckie i austriackie, jakie posiadamy, mamy zwrócić.

Tymczasem przestaliśmy być oficerami, zaczęto nas traktować jako „Zivilgefangene“, przystąpiono do budowy drugiej linii drutów. 1 sierpnia nie otrzymaliśmy już poborów i po raz pierwszy musieliśmy się zadowolić żywnością jeńców. Odżywianie było okropne. Kasze, konserwy rybne, z rzadka kawałeczek mięsa, okropna kawa i chleb żołnierski. 3 sierpnia zmieniono znowu komendanta obozu, którym został leutnant Ebner, przewany przez nas „Kopciuszkiem“. On to zakazał wszelkich rozmów „przez druty“, które odtąd mogły się odbywać tylko w czasie „widzeń“ w kancelarii obozowej w jego obecności na podstawie pozwolenia, uzyskanego w generał-gubernatorstwie w Warszawie. On to wprowadził obowiązkowe apele, na które musieliśmy zbierać się przed kasynem.

6 sierpnia obchodziliśmy trzecią rocznicę wymarszu na wojnę, po raz pierwszy zdala od Komendanta, zamknięci w obozie jeńców. Mimo to obchód ten dał początek pierwszym pracom historycznym, spisywaniom wspomnień z lat 1914—1917 i zachęcił nas do pracy w tej dziedzinie. Najbardziej dawało się we znaki fatalne odżywianie. Koledzy z 5. p.p. rozwinęli propagandę wśród dworów w Pułtuskim i Radzyńskim, aby nam dostarczano żywności.

10 sierpnia zjawił się w obozie delegat „Komisji Jeńców” p. Kasperowicz, który nie chciał wprawdzie udzielić żadnych informacji politycznych, ale obiecał zająć się naszym losem ekonomicznym. I rzeczywiście nazajutrz przybył do obozu jako delegat Rady Głównej Opiekuńczej p. Roman Żelazowski, administrator dóbr Raddziwiłłowskich w Zegrzu, przywożąc furę prowiantów. Na wozie w charakterze furmana ujrzałem Marysię Kornilowiczównę, przywołującą mi „furę” wiadomości dla „Biuletynu”.

12 sierpnia po raz pierwszy przybyli z Warszawy goście, którzy zdołali uzyskać „przepustki” w generał-gubernatorstwie na widzenie się z nami. I odtąd już co niedziela ktoś z nas miał „widzenie”, jako jedyny kontakt ze światem zewnętrznym. Następnego dnia przybył z Zegrza „Zahlmeister”, który wypłacił nam po 30 m. jako pensję internowanych, asygnowaną podobno przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. 16 sierpnia mieliśmy znowu „uroczystość”. Otrzymaliśmy „odповідь” gen. Beselera, odczytaną z taką samą „paradą”, z jaką wręczono nam dekrety zwolnienia. Gen. Beseler uznał, że zażalenie nasze nie ma podstaw, gdyż przez odmówienie przysięgi staliśmy się szkodliwymi i niebezpiecznymi dla „Państwa Polskiego”. Należało się tego spodziewać. Coraz bardziej obostrzano przepisy, przytwardzano nas do miejsca, zabraniając zmieniać dowolnie kwatery. Ja mieszkam nadal w budynku Nr 2 zajmując wraz z pięciu kolegami 2 pokoje Nr 9 i 10, z oknami wychodzącymi na szosę Nieporęt — fort Beniaminów. Jest nas trzech podporuczników: ja, brat mój Mieczysław i Lucjan Janiszewski i trzech chorążych: brat mój Stefan, Tadeusz Młodkowski, wszyscy z 5. p. p. i Julian Kulski z 3. p. p. Tworzymy „sitwę”. Ma ona ogromne znaczenie zwłaszcza z powodu braku tytoniu. Musimy oszczędzać. Jeden więc prowadzi gospodarkę i wydziela nam po pół papierosa. Mistrzem w tym zakresie okazał się Lucjan Janiszewski, który skrupulatnie wydzielał „połówki”.

18 sierpnia mamy sensację. Uciekł jeden z ordynansów. Nic dziwnego, jako Galicjanin bezprawnie przecież był internowany. Odtąd ordynansom przyznano prawo uzyskiwania przepustek do wsi Białobrzegi, dokąd chodzą „na dziewczynki”. Nazajutrz po tym wypadku komendę obozu obejmuje kpt. Cleinow, brat znanego publicysty i cenzora prasy polskiej w Warszawie. Leutenant Ebner nie odchodzi jednak i pozostaje nadal jako adiutant komendanta obozu. Każdy komendant uważał za stosowne wydawać nowe jakieś obostrzenia. Kpt. Cleinow zabronił zbliżania się do drutów na odległość 5 kroków i ostatecznie uniemożliwił wszelki kontakt ze światem zewnętrznym. Otoczeni więc podwójnymi rzędami drutów, pomiędzy którymi rozmieszczono posterunki, strzeżeni przez Komendę Obozu, złożoną z 2 oficerów i plutonu

szeregowych niemieckich, odcięci byliśmy kompletnie od 5. p. p., kiedy nadeszła wieść, że 27 sierpnia odmaszerowuje z Zegrza w nieznaną dal. Nie słyszeliśmy nawet ich śpiewu, z którym odjechali.

„Nie chcemy już od was uznania,
Ni waszych trosk, ni waszych łask,
Skończyły się dni kołatania,
Do waszych serc, do waszych kiesi!“

W ten sposób żegnali rozgoryczeni żołnierze I Brygady społeczeństwo Królestwa, w którym nie znaleźli zrozumienia ani oparcia w walce o niezależność wojska polskiego, tak samo jak przed trzema laty nie znaleźli go dla swego czynnego wystąpienia do walki orężnej o niepodł głość kraju.

Życie w Beniaminowie płynęło dość normalnie. Rano zbieraliśmy się wszyscy na apel i gimnastykę. Po śniadaniu część zajmowała się sportami, inni pracowali zawodowo w „Akademii Medycznej“ kpt. Sławoja Składkowskiego, malowali, fotografowali, inni wreszcie grali w karty. Utworzono Akademię Wojskową pod kierunkiem mjr Kazimierza Fabrycego, w której specjaliści różnych dziedzin wojskowości wykładali swoje przedmioty. Mnie powierzono wykłady historii wojskowości polskiej, którą się zajmowałem jeszcze w garnizonie komorowskim.

Obiad i kolacja zgromadzały wszystkich oficerów przy stole kasynowym. Wówczas to komunikowano zarządzenia Polskiej Komendy Obozu, czytano „Biuletyny“, chciwie chwymano wszelkie wiadomości.

Wypadków godnych zanotowania było mało, ale psychika więźnia czy jeńca zupełnie inaczej reaguje na zjawiska otaczające, niż psychika „normalnego“ człowieka. Toteż różne drobiazgi wydawały nam się wówczas „wielkimi“ wypadkami. Nie tylko zresztą wiadomości polityczne absorbowwały naszą uwagę.

21 sierpnia podczas meczu piłki nożnej złamał nogę ppor. Brodziński. Wywieziono go do szpitala. Był to wypadek, który zrobił duże wrażenie, stwierdzono bowiem, że w pewnych warunkach można obóz opuścić. 27 sierpnia aresztowano żołnierza naszej eskorty, niemieckiego landsturmistę Ślązaka Dobka za to, że ułatwił ppor. Polkowskiemu przesłanie listu do żony, zamieszkałej w Białobrzegach. Skazano biedaka na pół roku więzienia, a ppor. Polkowskiego wywieziono do Niemiec. Wśród naszej eskorty było kilku Ślazaków i Alzatzyków, nie kryli się z sympatiami do nas, ale wypadek z Dobkiem nauczył ich ostrożności.

28 sierpnia odwiedził nas w obozie delegat R. G. O. ks. Eustachy Sapieha. Liczyliśmy, że się czegoś od niego dowiemy o przyszłym

losie. Tymczasem ks. Sapieha przyjechał tylko po to, aby nas przekonywać, że nie powinniśmy wiązać naszych losów z losem Komendanta i nic więcej. Zawód na całej linii. Coraz bardziej przekonujemy się, że zanosì się na dłuższy pobyt. 31 sierpnia wymieniono naszych ordynansów-Galicjan na Królewaków, którzy przybyli ze Szczypiorna. Uzyskaliśmy w ten sposób bezpośredni kontakt z naszymi żołnierzami, dowiedzieliśmy się, jakie straszne katusze przechodzą.

W pracy szukaliśmy zapomnienia. Tadeusz Młodkowski wziął się do szkolenia naszych ordynansów, dla których zorganizował regularne kursy dla dorosłych. Ja po zawieszeniu „Biuletynu“ zabrałem się do przygotowania do egzaminów, przerwanych przez wojnę. Napisałem listy do moich profesorów: Łosia, Chrzanowskiego, Tokarza, Sobieskiego, Heinricha i wedle ich wskazówek przygotowywałem się do rygorozów.

Monotonie pobytu w Beniaminowie przerywały jedynie wypadki przykre, jak wywiezienie ppor. Polkowskiego, a w ślad za nim kpt. Kroka-Paszkowskiego, to znowu ucieczka jakiegoś ordynansa, kradzież u Niemców itp.

Po bytności ks. Sapiehy urządziliśmy zebranie, na którym po raz pierwszy ujawniła się „opozycja“ w obozie. Jeden z oficerów 6. p. p. chor. P. zadeklarował, że chce przysięgać. Zbojkotowaliśmy go, ale 11 kolegów wyłamało się z ogólnej solidarności. W ten sposób i ppor. R. z 5. p.p. przylgnął do tej grupki, która w kilka tygodni później złożyła przysięgę.

Komisja Międzypułkowa rozwiązała się, a na jej miejsce powstała Delegacja, wyłoniona z Walnego Zgromadzenia w dniu 11 września, która odtąd była naszą reprezentacją polityczną.

Życie płynęło coraz monotonnaiej, ja zagłębiłem się w swoje studia, w których sekundował mi Tadeusz Młodkowski, również polonista. 15 października urządziliśmy wspólny obchód Kościuszkowski z okazji 100 rocznicy śmierci Naczelnika, wysyłając równocześnie list na ręce ks. Zdzisława Lubomirskiego do Głównego Komitetu Obchodu, w którym zaznaczyliśmy swój udział w obchodzie ogólnonarodowym. W 3 dni po tym obchodzie niespodziewanie wywieziono mjr. Trojanowskiego do Niemiec. Widocznie Niemcy mieli swój wywiad, zdołali stwierdzić, że mjr. Trojanowski jest naszym komendantem.

Wiadomości o mianowaniu Rady Regencyjnej otrzymaliśmy równocześnie z dalszymi obostrzeniami, dotyczącymi dowozu produktów. W związku jednak z mianowaniem Rady spodziewaliśmy się, że zmieni się coś w naszym losie. Chodziły jakieś, nie wiadomo skąd powstałe, pogłoski, że ks. Lubomirski ma nas odwiedzić w obozie. Czekaliśmy tej chwili w nadziei, że te odwiedziny zmienią nasze

położenie. I rzeczywiście 25 października kpt. Cleinow zawiadomił nas, że ktoś przejeżdża nazajutrz.

Zebrałiśmy się uroczyście w oczekiwaniu dostojnego gościa. Sprawdzają obecność. Czekamy na przyjazd. Nagle pojawia się sfera szpiclów. Zapędzają nas do kasyna, przeprowadzają osobistą rewizję. Potem rewidują nasze pokoje. Oczywiście nic nie znaleźli.

Zebrań ogólnie bezpośrednio po tej przygodzie uchwaliło za protestować przeciw tego rodzaju metodom i na znak protestu „zerwać wszelkie stosunki z Komendą Obozu“. Decyzję tę zakomunikowali kpt. Cleinowowi czterej najstarsi kapitanowie wszystkich 4 broni, a mianowicie kpt. Scaevola-Wieczorkiewicz, rtm. Janusz Głuchowski, kpt. Knoll-Kownacki i kpt. Mieczysław Dąbkowski. Poza tym złożyliśmy protest do gen. Beselera odsyłając mu równocześnie wszystkie posiadane przez nas ordery i odznaczenia niemieckie i austriackie. Kpt. Cleinow wpadł we wściekłość. Najprzód zakazał zbliżania się do budynku Komendy Obozu, następnie wydał rozkaz obowiązkowego kłaniania się oficerom niemieckim, co oczywiście zignorowano, chodząc odtąd stale bez czapek. Potem wydał specjalne przepisy co do otrzymywania poczty, utrudniające komunikacje ze światem, w końcu wydał zakaz fotografowania obozu. Nic to nie pomogło, „stosunki“ pomiędzy nami a Niemiecką Komendą Obozu zostały zerwane.

5 listopada wywieziono do Niemiec tych oficerów, którzy w naszym imieniu zaprotestowali przeciw rewidowaniu nas przez szpiclów cywilnych. A nazajutrz otrzymaliśmy odpowiedź gen. Beselera, „wyjaśniającą“, że jako jeńcy cywilni podlegamy ogólnym przepisom cywilnym i możemy być rewidowani przez cywilnych agentów policyjnych. Życie w obozie było coraz przykrzejsze. Niemiecka Komenda Obozu przystąpiła energicznie do „likwidowania“ naszej solidarności. Najprzód zaczęło się od agitacji wśród ordynansów, później intensywnie rozpoczęto pracę wśród oficerów. Jak już wspomniałem wyżej, pierwszy załamał się chor. P. z 6. p. p. W ślad za nim poszła „jedenastka“, która się z nim w swoim czasie zsolidaryzowała. Polska Komenda Obozu, widząc coraz bardziej szerzącą się depresję, przystąpiła do przeprowadzenia ankiety wśród 125 oficerów obozu. Z ankiety tej wynikało, że znaczna większość, bo 74 oficerów pragnie służyć w wojsku zawodowo, reszta zadeklarowała się jako oficerowie rezerwy, pragnący służyć do końca wojny, a 17 oświadczyło, że ma już dość wojny i pragnie powrócić do swego zawodu cywilnego. Ja byłem w liczbie tych ostatnich, gdyż nigdy nie uważałem wojska jako swego zawodu, a obecnie nie widziałem celu dalszej wojny. Byłem zdania, że teraz tylko drogą rewolucji można wypędzić okupanta, że należy dążyć do wydostania się z obozu i podjęcia prac związanych z koniecznością rozbrojenia okupantów, z chwilą, gdy im się noga powinie na

Zachodzie. Nie przypuszczałem wówczas, że na rozkaz Komendanta stanę po raz drugi do szeregów i że łącznie spędzę 15 lat w wojsku, co da mi tytuł oficera zawodowego.

A w obozie działo się dalej niedobrze. 4 listopada na rozkaz Cleinowa zastrzelono jedyną żywą istotę w obozie, psa „Bekasa“, własność chor. Szolkowskiego. Wszyscyśmy go lubili, toteż śmierć jego na wszystkich wywarła przykre wrażenie. Liczyliśmy jednak, że zmiana nastąpi, gdy świeżo ukonstytuowana Rada Regencyjna zechce zająć się naszym losem. Oczekiwaliśmy dawno zapowiedzianej wizyty Rady Regencyjnej w obozie. Wreszcie 13 listopada nastąpił moment kulminacyjny. Przyjechał wprawdzie nie żaden z regentów, ale sekretarz generalny Rady Regencyjnej ks. prałat Chełmicki. Przywiązywaliśmy do tej wizyty wielką wagę, ale z dużej chmury wyszedł mały deszcz. Ks. Chełmicki interesował się tylko tym, czy nie mamy zamiaru przysięgać i czy można oddzielić naszą sprawę od sprawy Komendanta. Bezpośrednio po jego wizycie 8 oficerów, a w tym jeden z naszego pułku ppor. R. wyjechali z obozu, aby złożyć przysięgę. Zbojkotowaliśmy ich przed wyjazdem, toteż z nietęgimi minami opuszczali obóz.

17 listopada na rannej zbiórce rtm. Cleinow zupełnie niespodziewanie zawiadomił mnie i obu moich braci, że wszyscy trzej otrzymaliśmy urlop do Łodzi. Od dawna już nie mieliśmy listów z domu, toteż nagły urlop zaskoczył nas. W Warszawie dowiedzieliśmy się od rodziny, że ojciec nasz ciężko zachorował i ciotka w kancelarii generał-gubernatora uzyskała dla nas czasowo zezwolenie na wyjazd do domu. Z bijącym sercem prawie po 4 miesiącach zamknięcia jechałem do Łodzi. W domu zastałem sytuację bardzo przykrą, ojciec martwił się tak naszym internowaniem, że aż wreszcie ciężko zaniemógł. Matka, zajęta pracą zawodową, nie miała możliwości pielęgnować ojca w ciężkiej chorobie i nie miał się kto nim zająć. A nasz urlop wygasł po trzech dniach. Po dłuższych pertraktacjach w gubernatorstwie łódzkim matka zdołała uzyskać przedłużenie urlopu na dwa tygodnie, ale tylko dla mnie jako najstarszego. Bracia musieli wracać do Beniaminowa.

Siedziałem teraz całe dni przy łóżku chorego ojca, ale koniec zbliżał się szybko. Wśród strasznych cierpień w dniu 26 listopada ojciec mój zakończył życie. Ponownie więc zwróciliśmy się do gubernatorstwa łódzkiego o urlop dla braci, którzy zdążyli przybyć w ostatniej chwili, gdy kondukt pogrzebowy wyruszał już z kościoła. Bezpośrednio po pogrzebie bracia moi musieli znów wracać do obozu, ja miałem jeszcze urlop do 9 grudnia, więc zająłem się zlikwidowaniem różnych spraw, związanych ze śmiercią ojca.

Wówczas to miałem możliwość zorientowania się w sytuacji, jaka wytworzyła się w Łodzi i w kraju po naszym internowaniu. Spo-

leczeństwo, jak mi się zdawało, w całości niemal opowiadało się po naszej stronie. Toteż możemy liczyć na pewno na otrzymanie posad w razie zwolnienia z obozu. Szczególnie duże szanse miałem ja jako polonista, gdyż w szkolnictwie dawał się odczuwać ogromny brak fachowców. Toteż z wielu stron otrzymałem propozycje objęcia stanowiska, bezpośrednio po wyjściu z Beniaminowa. Zatrzymałem się na ofercie gimnazjum tow. „Uczelnia“, gdzie proponowano mi wykłady języka polskiego i historii w wyższych klasach, od 4. do 8. Na razie jednak musiałem wracać do Beniaminowa. Po powrocie 10 grudnia do obozu zastałem sytuację zupełnie zmienioną. Od 27 listopada toczyły się już pertraktacje o zwolnienie lekarzy z obozu, którzyby zgodzili się objąć posady lekarzy powiatowych. Mówiono, że zwolnią wszystkich, którzy przedłożą świadectwa o możliwości otrzymania posady. Ja miałem już takie zaświadczenie z gimnazjum tow. „Uczelnia“ w Łodzi. Na razie jednak sytuacja była niewyraźna i zmieniała się z godziny na godzinę.

Tymczasem w Komendzie Obozu nie było już znienawidzonego Cleinowa, jego miejsce zajął dawny instruktor 1. pułku ułanów Beliny rtm. Stechow.

W związku z tą zmianą i stosunki nasze z Niemiecką Komendą Obozu poprawiły się. Natomiast generał-gubernatorstwo w Warszawie zaczęło stosować coraz ostrzejsze rygory przy udzielaniu urlopów, podobno w związku z odmową lekarzy objęcia stanowisk lekarzy powiatowych.

Po tygodniu pobytu w Beniaminowie, 18 grudnia, zostałem wezwany do Komendy Obozu, aby natychmiast udać się do Sądu Polnische Wehrmacht w Warszawie. Nie wiedziałem, o co chodzi. Rano odstawił mnie feldfelbel-Alzatzkyk, bardzo miły zresztą człowiek, na dworzec w Zegrzu. Tam „oddał“ mnie oczekującemu już na mnie chorążemu żandarmerii Wehrmachtu. Zaskoczony w pierwszej chwili zetknięciem się z bojkotowanym przez nas oficerem Wehrmachtu, nie wiedziałem, co mam z tym faktem robić. Ułatwił mi sytuację chor. Kuciel, który zachował się bardzo przyzwoicie, zameldował mi jako starszemu rangą i oświadczył, że ma rozkaz dostarczenia mnie do Sądu. W czasie drogi prawie nie rozmawialiśmy ze sobą, ja przestrzegałem ściśle uchwał o bojkocie towarzyskim oficerów Wehrmachtu, chor. Kuciel nie narzucał mi się również. W Warszawie udaliśmy się do Sądu. Tam okazało się, że wezwano mnie jako świadka jeszcze w tej samej sprawie zajścia z podoficerem austriackim w Lublinie. Po przesłuchaniu nie wiedziałem, co dalej robić. Do odejścia pociągu do Zegrza było kilka godzin. Chor. Kuciel uprzejmie mnie zapytał, dokąd chciałbym się udać. Oświadczyłem mu, że pragnąłbym udać się na Hipoteczną 5 do pp. Sawickich, gdzie też mnie odstawił, pozostawiając na słowo honoru na kilka

godzin na wolnej stopie. Tutaj zorientowałem się w sytuacji, pilnie notując w pamięci wszystkie wiadomości, które mogą się przydać kolegom w Beniaminowie i o oznaczonej godzinie stawilem się na dworcu Gdańskim, gdzie już mnie oczekiwał chor. Kuciel. Powrotną drogę odbyłem w ten sam sposób i feldfebel Alzatczyk odstawił mnie do obozu.

W obozie trafiłem na Walne Zgromadzenie oficerów, które debatowało nad tym, jak ustosunkować się do propozycji wyjścia lekarzy z obozu. Nie było już między nami jednomyślności. Część oficerów stała wprawdzie niezłomnie na stanowisku, że powinniśmy wszyscy trwać i wytrwać w obozie, dopóki nie wyjdziemy wszyscy, albo nikt. Inna grupa uważała, że „cierpiętnictwo“ nic nam dać nie może i że powinniśmy wszystkimi sposobami starać się wydostać, choćby częściowo z obozu, aby zasilić społeczeństwo elementem czynnym, który pobudzi je do walki. Przyjrzawszy się trochę stosunkom podczas urlopu, byłem tego samego zdania. Uważałem, że dalsze „trwanie“ nasze w obozie do niczego nie prowadzi, natomiast transfuzja „świeżej krwi“ wyjdzie społeczeństwu tylko na dobre. Oczywiście te jałowe spory nie dawały żadnego rezultatu, pogarszały tylko stosunki w obozie, nie mając żadnego wpływu na bieg wypadków. Część oficerów rozpoczęła starania o zwolnienie z obozu za pośrednictwem swych rodzin, o innych starały się rodziny bez ich wiedzy. Na razie jednak władze okupacyjne nie chciały słyszeć o likwidacji obozu w Beniaminowie. Jedynie tylko zlikwidowano obóz w Szczypiornie, ale internowanych tam legionistów przeniesiono do Łomży.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia, pierwsze nasze święta „za kratami“. Nie pozwolono odwiedzić nas przez rodziny w czasie świąt. Mieliśmy je spędzić sami. Obchodziliśmy je bardzo uroczystie. Ks. Henryk Ciepichał, kapelan nasz, który co niedzielę odprawiał uroczystą mszę, początkowo polową, a później przy improvizowanym ołtarzu w kasynie, odprawił teraz uroczystą pasterkę, na której wszyscyśmy byli obecni. Wilię spędziliśmy wspólnie w kasynie i nic nie brakło, nawet alkoholu, którego nam opiekunowie z Pułtuskiego nie poskąpili. Po wili dawna redakcja „Sprzymierzeńca“ zrobiła niespodziankę, wystawiając bardzo ciekawą „Szopkę polityczną“, która znakomicie się udała. Zresztą otrzymaliśmy wszyscy dwa piękne podarunki z okazji Bożego Narodzenia. Jednym była fotografia nadesłana przez kolegów naszych, wywiezionych z Beniaminowa i Szczypiorna do Rastadtu, drugim piękny adres artystów teatrów warszawskich przesłany wraz z życzeniami świątecznymi, „niezłomnym żołnierzom Beniaminowa, Rastadtu i Szczypiorna“.

Ale wszystko, co piękne, mija szybko i my po świątach wróciliśmy do naszego szarego życia, które nie poskąpiło nowych przy-

krości. Oto 3 stycznia pozostali trzej koledzy ze słynnej „jedenastki“ zgłosili się do przysięgi i wyjechali z Beniaminowa. Tym razem odbyło się to w takiej tajemnicy, że nawet nie zdołaliśmy ich uchwycić na kliszę, jak poprzednich ośmiu.

I znowu życie popłynęło swoim trybem. Ja, obok moich prac, związanych z zamierzonymi rygorozami, zająłem się nauką języka angielskiego pod kierunkiem kpt. Roupperta.

6 stycznia nowy wypadek zelektryzował cały obóz. Przyszło mianowicie pierwsze zwolnienie z obozu oficera, który się do przysięgi nie zgłaszał. Na reklamację Uniwersytetu Warszawskiego został zwolniony z obozu por. Tadeusz Kołodziejczyk-Różycki przezwany przez nas „Gelehrterem“, powołany na stanowisko asystenta uniwersytetu. I odtąd już co kilka dni przychodziło po jednym zwolnieniu, tego, czy innego oficera, powołanego na takie, czy inne stanowisko. Wreszcie jako szósty, czy siódmy z kolei i ja otrzymałem zwolnienie na skutek reklamacji p. Czeraszkiewicza, dyrektora gimnazjum „Uczelnia“ w Łodzi.

Żał mi było opuszczać towarzyszy niedoli, ale jednocześnie rad byłem, że wyjdę z tej ciężkiej atmosfery obozu, w której dusiliśmy się wszyscy. Ciągłe kwasy, nieporozumienia, niesnaski i pojedynki odkładane na czasy powojenne dokuczyły już wszystkim. Ale uniknąć ich nie było sposobu, wobec zdenerwowania jakie panowało w obozie. Im dłużej trwała niewola, tym więcej było powodów do różnych nieporozumień.

Zostawiłem w obozie obu braci, z których jeden jako absolwent Wyższych Kursów Handlowych im. Zielińskiego (dzisiejszej Szkoły Głównej Handlowej) miał większe szanse otrzymania jakiegoś zajęcia i istotnie w kilka tygodni po mnie otrzymał je, a drugi jako niedokończony słuchacz Wydziału Inżynierii Politechniki Lwowskiej miał jeszcze przebyć w obozie 2 miesiące, zanim uzyskał zajęcie przy Odbudowie Kraju we Lwowie.

Zadowolony jednak byłem, że wyjechałem w chwili, gdy kielkować zaczęła myśl zgłoszenia się do Wehrmachtu, co uważałem za zasadnicze załamanie się naszej linii ideowej. Doszło do tego 29 marca, kiedy część oficerów zwolniona została celem złożenia przysięgi, resztę wypuszczono na wolność zatrzymując 27, z których 11 miało tu pozostać aż do chwili odzyskania niepodległości.

Tymczasem otrzymałem przepustkę zwalniającą mnie z obozu jako „ehemalige Legionsleutnant“, którą obowiązyany był „ständig Zivilkleidung zu tragen“ i zameldować się w Ortskommandantur w Łodzi celem dalszego „konfinowania“.

Zaczął się dla mnie nowy okres życia, pracy w społeczeństwie cywilnym, a zarazem ostatni okres walk naszych o niepodległość!

OSTATNIE CHWILE PRZED ODZYSKANIEM
NIEPODLEGŁOŚCI

(Rozbrojenie Niemców)

Kiedy 22 lutego 1918 roku po 7 miesiącach odosobnienia w obozie jeńców, znalazłem się w Łodzi, przede wszystkim delektowałem się wolnością. Czym jest wolność, poznałem dopiero teraz, po jej odzyskaniu. Ale była to tylko wolność indywidualna, jakaż będzie radość nasza, gdy wreszcie po 4 niemal latach walki odzyskamy wolność zbiorową, narodową!

Czasy wojenne były bardzo ciężkie i trzeba było myśleć przede wszystkim o pracy zarobkowej, aby wyżyć. Matka moja jako kierowniczką Szkoły Powszechnej Miejskiej miała bardzo mało i nie mogłem jej być ciężarem. Tymczasem gimnazjum „Uczelnia“, które na jesieni reflektowało na moją współpracę, nie mogąc doczekać się mego zwolnienia musiało stworzyć sobie prowizorium. Obecnie ofiarowano mi tylko kilka godzin w najwyższych klasach VII i VIII. To było mało, aby wyżyć. Wziąłem więc wykłady historii literatury powszechnej w kl. VII na pensji p. J. Pryssewiczówny oraz wieczorowe wykłady historii Polski na Kursach dla Nauczycieli Szkół Powszechnych. W sumie było to niewiele godzin, rozrzuconych na przestrzeni całego dnia. Do wakacji 1918 r. miałem jednak bardzo dużo pracy, zwłaszcza, że do wykładów musiałem się przygotowywać. W ciągu 3½ roku oderwałem się od mych normalnych prac naukowych, a choć w obozie przygotowywałem się do rygorozów, była to jednak praca specjalna. Teraz musiałem przysiąść fałdów, aby przypomnieć sobie kurs szkolny i opanować go w trakcie roku szkolnego. W ten sposób odrazu praca zawodowa zaabsorbowała mnie kompletnie i pochłonęła mnóstwo czasu.

Zamieszkałem z matką w lokalu, upatrzonym jeszcze na jesieni, gdy bawiłem w Łodzi z okazji choroby i śmierci ojca. Mieściło się ono w centrum miasta przy ul. Długiej 67 (dziś Gdańskiej), skąd miałem blisko do gimnazjum. Co tydzień musiałem się meldować w Stadtkommandantur, gdzie notowano stawienie się moje, na przepustce wydanej mi w Beniaminowie. Nie wolno mi było wy-

dalać się z Łodzi, toteż nie mogłem marzyć o złożeniu rygorozów, do których byłem niemal całkowicie przygotowany. Odłożyłem więc myśl o egzaminach do lepszych czasów. Zwłaszcza, że na złożenie doktoratu nie miałem ani czasu, ani pieniędzy.

Nauczyciele gimnazjum mieli pensje niższe od czasu wojny do połowy, toteż, aby żyć, trzeba było mieć wiele godzin wykładów, których w trakcie roku szkolnego nie mogłem dostać. W czasie wakacji pensji nauczycielom nie wypłacano, więc ratowałem się lekcjami prywatnymi i dopiero po wakacjach uzyskałem 24 czy 26 godzin w gimnazjum, a resztę dobrałem sobie na 3 pensjach żeńskich pp. Prysewiczówny, Macińskiej-Pętkowskiej i Mikłaszewskiej.

Przed wakacjami byłem w ciężkiej sytuacji materialnej, po wakacjach miałem się lepiej, byłem zato przepracowany. Poza wykładami byłem wychowawcą klasy VII, opiekunem szkolnej drużyny harcerskiej, musiałem brać udział w pracach Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego, a jako polonista obowiązany byłem do wygłaszania przemówień i odczytów w czasie uroczystości szkolnych z okazji 3 Maja, 100 rocznicy śmierci Henryka Dąbrowskiego itp.

W tych warunkach niewiele miałem czasu na pracę polityczno-społeczną, do której znowu jako były oficer Legionów byłem moralnie zobowiązany.

Ośrodkiem ruchu niepodległościowego* w Łodzi był wówczas dom pp. Lipińskich. Tam koncentrowała się cała praca „legionowa“. Tam odbywały się zebrania Ligi Kobiet, stamtąd wychodziła inicjatywa wszelkich manifestacji, jak np. masowa akcja wysyłania życzeń imieninowych do Komendanta w Magdeburgu itp. Liga Kobiet zainicjowała również kursy polityczno-społeczne, na których wykladałem „Historię ruchu strzeleckiego“.

Pracę ściśle wojskową przygotowania rozbrojenia Niemców na terenie łódzkim prowadziła miejscowa P. O. W. Komendantem okręgu P. O. W. był kolega mój z Uniwersytetu Krakowskiego Jerzy Neugebauer, obecny starosta, jego zastępcą był Mieczysław Pęczkowski, dziś major dyplomowany — obaj oficerowie P. O. W., a więc zdaniem naszym od nas, oficerów „legionowych“, młodszy. Z tego powodu żaden z nas oficerów liniowych do P. O. W. nie należał, bo nie chcieliśmy podlegać „młodszemu“, ani psuć linii organizacyjnej tym, którzy do tego byli powołani, lepiej znali teren i metody prac, nam oficerom liniowym obce.

Toteż oficerowie legionowi stworzyli własne „koło“, będące w kontakcie z P. O. W., ale w jej skład nie wchodzące. Po przyjeździe do Łodzi zastałem tam trzech oficerów legionowych z 1.p.p. Leg. Byli to: por. Alfred Biłyk, Galicjanin, mianowany sędzią

śledczym w nowoorganizującym się sądownictwie polskim, ppor. inż. Emil Kaliński, b. szef łączności I Brygady, zatrudniony w elektrowni łódzkiej, oraz ppor. dr. Tadeusz Sokołowski, lekarz w szpitalu Anny Marii. W miarę zwalniania oficerów z Beniaminowa przybywali nowi oficerowie również z 1. p. p. Leg.: ppor. Feliks Kwiatek na skutek otrzymania posady w Magistracie łódzkim, oraz ppor. Jan Swarzeński, który objął wykłady polonistyki w Szkole Handlowej.

Było nas razem 6. Zbieraliśmy się systematycznie na tygodniowe zebrania w mieszkaniu najstarszego z nas por. Biłyka lub spotykaliśmy się w cukierni Gostomskiego na Piotrkowskiej. Systematycznie omawialiśmy sytuację polityczną i gotowaliśmy się do czekających nas wypadków.

A sytuacja nie była pomyślna. Wprawdzie stopniowo topniały obozy w Beniaminowie i Łomży, ale ciągle Niemcy mieli „zakładników“ w postaci tych, których trzymali do ostatka. Wyszedszy z obozów uważaliśmy, że nie mamy prawa decydować o losie pozostałych. Nie byliśmy jednak zachwyceni decyzją kolegów, którzy zgłosili się do Wehrmachtu. Wszyscy mogliśmy dostać jakieś posady i na nich przetrwać czas krytyczny, zgłoszenie się natomiast do przysięgi było zupełną kapitulacją wobec okupantów.

Początkowo utrzymywałem kontakt z obozem w Beniaminowie, dopóki tam byli bracia. Nie znałem jednak motywów, jakimi się kierowali koledzy przy decyzji o zgłoszeniu do Wehrmachtu, bo oczywiście trudno było o tych sprawach pisać. Następnie jednak, gdy obaj bracia moi znaleźli się na wolności: Stefan w Warszawie, gdzie otrzymał posadę w instytucji handlowej, a Mieczysław we Lwowie, zatrudniony w „Odbudowie Kraju“, straciłem już wszelką łączność z obozem.

Tymczasem przez nasze koło oficerskie legionowe zostałem delegowany „jako łącznik“ do „koła żołnierzy legionowych“, założonego przez zwolnionych Szczypiorniaków. Było ich około 50, a wśród nich wielu moich dawnych żołnierzy z kpr. Wacławem Kauczem na czele. Toteż łatwo mi było nawiązać z nimi kontakt i choć ze względów konspiracyjnych na ich zebraniach nie bywałem, systematycznie byłem informowany o uchwałach i nastrojach i nawzajem informowałem ich o tym, co się w naszym kole dzieje.

Niezależnie od tej roboty „wojskowej“ na terenie Łodzi rozwijała się również robota ściśle polityczna. Obok P. P. S., kierowanej wówczas przez nie należącego do naszego koła b. oficera 1. p. ułanów Beliny chor. Aleksandra Napiórkowskiego, przedwojennego filarety leodyjskiego; obok Stronnictwa Ludowego, z którym zetknąłem się za pośrednictwem b. jeńca havelberskiego magistra Wacława Sokolewicza, istniało w Łodzi trzecie stronnictwo

niepodległościowe, złożone wyłącznie z inteligencji — Stronnictwo Niezawisłości Narodowej. Do tego stronnictwa wciągnął mnie Tadeusz Szpotański. Na czele Stronnictwa w Warszawie stali wówczas: Artur Śliwiński, Wacław Sieroszewski, śp. Medard Downarowicz i Tadeusz Szpotański. W Łodzi prezesem Stronnictwa był p. Pleniewicz. Do Zarządu należeli: śp. Jadwiga Rowińska, śp. Stefan Kopciński, Langner, dr Gundelachowie i kilka innych osób, których nazwisk nie zapamiętałem. Do tego to stronnictwa zgłosiliśmy się wspólnie z por. Bilykiem i ppor. inż. Kalińskim. Współdziałał z nami mgr Wacław Sokolewicz, który jednak jako ludowiec formalnie do stronnictwa nie chciał należeć. Stronnictwo Niezawisłości Narodowej szerszej działalności przejawiać nie mogło. Zbierając się jednak systematycznie otrzymywało dyrektywy polityczne z Warszawy, które dawały nam ogólny pogląd na sytuację polityczną, pozwalały kierować i naszymi posunięciami „polityczno-wojskowymi“.

Tymczasem sytuacja Niemców na froncie była coraz gorsza. Pomimo cenzury można było wyczytać nawet z urzędowych komunikatów, że Niemcy ponoszą ciężkie straty na przeróżnych liniach Zygfrydów, Hindenburgów i nie tylko nie posuwają się naprzód, lecz wciąż się cofają. Niepowodzenia niemieckie przyjmowaliśmy z radością, nie tylko my, ale, jak się zdawało, całe społeczeństwo polskie, z wyjątkiem coraz to bardziej topniejącej garstki zatwardziałyh „aktywistów“, a raczej już teraz wyraźnych germanofilów. Dawne „orientacje“ zacierały się coraz bardziej, coraz wyraźniej zarysowywał się jednolity front antyniemiecki, a jak się nam zdawało, coraz bardziej wyraźnie i świadomie niepodległościowy. Żywsze, bardziej czynne i zdecydowane żywioły grupowały się we wspomnianych wyżej trzech stronnictwach lewicy.

Przed wojną byłem członkiem sekcji zagranicznej P. P. S. Wierzyłem, że tylko świadome klasy: robotnicza i chłopska jako przedstawicielki ogromnej większości narodu mogą wywalczyć niepodległą Polskę ludową i demokratyczną. Wojna zdecydowanie wpłynęła na zmianę moich poglądów. Przekonałem się, że ruch „masowy“ opiera się jedynie na przywódcach, którzy te masy prowadzą i poprowadzić mogą, gdzie zechcą. Przestałem wierzyć w instykt mas, którego rzekomym wyrazem są jego przywódcy. Zrozumiałem, że to raczej przywódcy narzucają masom rzekomy ich interes. Nabrałem więc przekonania, że w pierwszej linii trzeba przygotować kadry przywódców, a więc inteligencję, która jedynie może masy poruszyć do czynu i przygotować. Dlatego, choć byłem w kontakcie z kol. Napiórkowskim, pozostającym wiernym swoim ideałom przedwojennym i „robiącym“ w P. P. S, nie podzielałem jego poglądów, uważając że przede wszystkim trzeba przygotować

większą ilość działaczy inteligencji, których można będzie następnie użyć do poruszenia mas bądź pod sztandarem P. P. S., bądź też pod innym sztandarem o mniej wyłącznie klasowym charakterze.

Dlatego wstąpiłem do Stronnictwa Niezawisłości Narodowej, w którym chciałem widzieć kadrę przyszłego masowego ruchu, który pójdzie w kierunku, jaki wskaże Wódz Narodu Józef Piłsudski.

Dzięki kontaktom, jakie uzyskałem przez udział w pracach S. N. N., wiedziałem teraz, co się dzieje w świecie i w podziemiach politycznych ruchu niepodległościowego, otrzymywałem z Warszawy dyrektywy, okólniki i pisma polityczne, a nawet „plotki“, związane ze stopniową likwidacją „aktywistów“ w rządzie Królewsko-Polskim, co znalazło w końcu wyraz w gabinecie Józefa Świeżyńskiego, powołanym przez Radę Regencyjną w dniu 26 października 1918 r. Na Wszystkich Świętych udało mi się wymknąć na dwa dni do Warszawy celem „zasięgnięcia języka“ i zorientowania się w sytuacji politycznej. Dzięki Tadeuszowi Szpotańskiemu zostałem wprowadzony w cały splot ówczesnych kombinacji politycznych. Zdawałem już sobie sprawę, że chwila decydująca się zbliża i przeżywamy ostatnie momenty niewoli.

Do Łodzi przybywali nowi ludzie. Najprzód, po rozbrojeniu I Korpusu Wschodniego pojawili się dość licznie „dowborczycy“. Za pośrednictwem kolegi mego jeszcze ze szkoły realnej w Łowiczu, a obecnie nauczyciela przyrody na pensji p. Prysewiczówny, Stefana Janiszowskiego, poznałem jednego z nich, jego szwagra, pkpt. apt. Popławskiego. Dowiedziałem się od niego, że dowborczycy mają swoją organizację na terenie Łodzi i wkrótce nawiązałem z nią kontakt. Próbowaliśmy zbliżyć się do nich, aby, gdy przyjdzie odpowiedni moment, wspólnie wystąpić przeciw okupantom. Przywódcą dowborczyków był chor. Bereszko. Było ich pono 100, czy 200 nawet, a więc w naszych warunkach siła nie do pogardzenia.

Poza tym i „Wehrmacht“ zorganizował się w „okręgi wojskowe“. Na komendanta okręgu w Łodzi przysłano dowborczyka płk. Albina Jasińskiego, z którym łatwiej nam było porozumieć się, niż z dotychczasowymi „Wehrmachtowcami“.

Wreszcie na komendanta okręgu P. O. W. przysłała Komenda Naczelną oficera legionowego por. Stanisława Skwarczyńskiego („Małego“), b. komendanta kompanii V baonu I Brygady.

Poza legionistami, dowborczycami, P. O. W. była jeszcze jedna organizacja wojskowa, zorganizowana przez chor. Aleksandra Napiórkowskiego, tzw. milicja ludowa P. P. S.

W ten sposób narastały siły niepodległościowe w Łodzi, gdy na froncie zachodnim sytuacja Niemców była coraz gorsza i pod wpływem tej sytuacji pewność siebie Niemców i na terenie okupacji zaczęła słabnąć. W powietrzu czuć było rewolucję. Coraz wyraźniej

oczekiwaliśmy powszechnej mobilizacji pod egidą P. O. W. Aż przyszły wieści o rozprzężeniu dyscypliny wojskowej w Austrii, dochodziły słuchy o rokowaniach pokojowych cesarza Karola z Koalicją, o tworzeniu się „zielonych armii“ itp. Cenzura nie puszczала jeszcze wszystkich tych wiadomości, jakie nadchodziły „pocztą pantoflową“, ale między wierszami można już było wyczytać wiadomości o niepokojach w Austrii. W Krakowie powstał Komitet Likwidacyjny, organizujący wojskowe oddziały polskie. We Lwowie rozgorzały walki polsko-ruskie. Na okupacji austriackiej w Królestwie tworzy się nowy rząd polski, tzw. Rząd Lubelski z Ignacym Daszyńskim jako premierem, a gen. Rydzem-Śmigłym jako ministrem wojny i naczelnym wodzem. Nielicznych legionistów, przebywających w Łodzi, nie sposób utrzymać na miejscu. Choć sił mamy mało, coraz to któryś ucieka z Łodzi i przedziera się przez kordon niemiecki i śpieszy do Lublina lub Lwowa.

Nareszcie i my otrzymujemy z Warszawy odezwy Rządu Lubelskiego wraz z poleceniem zorganizowania w dniu 10 listopada manifestacji na rzecz Rządu Lubelskiego. Stronnictwo Niezawisłości Narodowej zwołuje wielki wiec do sali teatralnej na ul. Dzielnej (dziś Narutowicza). Miał przybyć delegat z Warszawy, lecz zawiódł. Zorganizowaliśmy wiec własnymi siłami. Przemówił por. Biłyk, proklamowaliśmy Rząd Lubelski jako pierwszy rząd Polski, niezależny od władz okupacyjnych, i wyruszyliśmy pochodem z ul. Dzielnej (dziś Prezydenta Narutowicza) przez Piotrkowską na Nowy Rynek (obecny Plac Wolności). I tu przed Magistratem zebrał się tłum kilkunastotysięczny. Wznosimy okrzyki na część Rządu Lubelskiego. Tłum czeka. Ktoś musi przemówić. Nikt na to nie był przygotowany, bo manifestacja była żywiołowa. Koledzy podnoszą mnie na ramiona i mówię, a raczej krzyczę do tłumu. Nieprzystawajony do przemawiania na powietrzu, zachrypłem wkrótce i kończę: „Nadeszła wreszcie jutrzeńka swobody. Będzie Polska, a raczej już jest Polska. Niech żyje pierwszy rząd Polski w Lublinie!“! Mawiałem kiedyś na powietrzu za czasów akademickich. Przemawiałem 1 maja 1914 r. przed Collegium Novum, przed wyruszeniem pochodu akademickiego na obchód pierwszomajowy. Mówiłem na rynku Krakowskim pod pomnikiem Mickiewicza z okazji jakiejś manifestacji akademickiej, ale wówczas mówiłem do kilkuset kolegów. Teraz po raz pierwszy musiałem przemówić do kilkutysięcznego tłumu. Ale jakoś poszło. Milicja niemiecka nie reagowała na manifestację. Spokojnie rozeszliśmy się do domów.

Po południu prezydent m. Łodzi, inż. Leopold Skulski, zwołał w Magistracie posiedzenie przedstawicieli partii politycznych, działających na terenie Łodzi, celem omówienia sytuacji w związku z propozycją władz niemieckich, przejęcia przez władze miejskie

straży bezpieczeństwa, czyli tzw. milicji miejskiej, będącej dotąd na służbie władz okupacji. Wraz z porucznikiem Biłykiem reprezentowałem na tym posiedzeniu Stronnictwa Niezawisłości Narodowej. Stronnictwa lewicy zadeklarowały gotowość natychmiastowego przejścia milicji miejskiej przez zorganizowane związki b. wojskowych, które zapewnią całkowite bezpieczeństwo miasta. Inni wahają się, czy przejmować władzę, my nie nalegamy, bo wiemy, że lada chwila „władza“ znajdzie się na ulicy i nikt nie jest w stanie jej podjąć prócz nas, organizacyj wojskowych. Porozumienie organizacji już dokonane, pogotowie ogłoszone i każdej chwili możemy przystąpić do akcji.

Nazajutrz rano 11 listopada w dziennikach już wyraźnie podano wiadomości o walkach we Lwowie, o rozkładzie w armii austriackiej, o organizacji Rządu Lubelskiego. Niemcy trzymają się jeszcze, ale już widocznie nie panują nad sytuacją. My jesteśmy gotowi, czekamy tylko hasła z Warszawy.

Po południu, jak co poniedziałek, zebraliśmy się w cukierni Gostomskiego. Jesteśmy w komplecie — wszyscy oficerowie legionowi. Nagle wpada do cukierni Wacław Sokolewicz „Wicie panowie, milicja niemiecka uciekła z ulic Łodzi. W mieście popłoch. Niemcy chowają się po domach“! Decyzja była jasna. Natychmiast przystępujemy do mobilizacji. Por. Biłyk obejmuje komendę — wydaje rozkazy. Natychmiast zbiórka wszystkich organizacji w uprzednio umówionym punkcie na dziedzińcu Straży Ogniowej przy ul. Przejazd. Rozbiegamy się w różne strony roznosząc wieści o mobilizacji. Ja wpadłem na chwilę do domu, schwyciłem płaszcz i czapkę wojskową, które włożyłem na cywilne ubranie i w tym oryginalnym stroju stawilem się na miejsce zbiórki. Tam już nadciągają legionisi, peowiacy, dowborczycy, milicjanci P. P. S. i N. Z. R. Jest nas coraz więcej. Jako najstarszy stopniem miał objąć komendę nad całością generał Suryń, dowborczyk. Por. Biłyk jako jego zastępca wysłał po gen. Surnę, ale go nigdzie znaleźć nie można. Wobec tego por. Biłyk obejmuje prowizorycznie komendę nad całością organizacji wojskowych i rozsyła rozkazy. Organizują się ad hoc oddziały i wychodzą na miasto. Większe oddziały obsadzają dworzec kolejowy i inne budynki publiczne, patrole przebiegają miasto i rozbijają pojedynczo spotkanych żołnierzy niemieckich. W ten sposób zaopatrujemy się w broń i tworzymy skład broni przy ul. Przejazd, który, powiększając się stale, uzbraja coraz to nowe oddziały. Coraz więcej mamy karabinów, ale ciągle ich jeszcze za mało, gdyż po za organizacjami wojskowymi zgłaszają się tłumy ochotników, zwłaszcza młodzieży szkolnej, wśród której nie brakuje również moich uczniów. Prawie wszyscy z klas VI—VIII zgłosili się do szeregów.

Jeden z nich, Linke, zginął tegoż wieczoru pod koszarami niemieckimi na Konstantynowskiej.

Na ulicach ciekawe tłumy przypatrują się, co się dzieje. Żołnierze niemieccy niejednokrotnie sami rzucają broń, odpinają kokardki państwowe z czapek i przypinają czerwone. Zrewolucjonizowani żołnierze gromadzą się w Soldatenheimie przy ul. Średniej (dziś Pomorska). Tam tworzy się Rada Żołnierska, kierowana jednak przez przebranego oficera.

Na mieście rozlegają się pojedyncze strzały. To tu, to tam wywiązuje się walka. Pojedyncze grupy żołnierzy, nieorientowane w sytuacji, usiłują się bronić. Co gorętsza młodzież atakuje opornych. Są już ranni i zabici. Walka rozwija się i może pociągnąć za sobą liczne ofiary. Garnizon niemiecki Łodzi jest dość duży i nie tak łatwo będzie siłą go rozbroić niemal z pustymi rękami.

W tej sytuacji musimy spróbować pertraktacyj. Wreszcie zjawia się jakiś łącznik, który melduje por. Biłkowi, że Rada Żołnierska pragnie mówić z przedstawicielem „des Generals Pilsudski“. Por. Biłyk deleguje mnie i ob. Konopczyńskiego z milicji ludowej P. P. S. do pertraktacyj z Radą Żołnierską. Zarekwirowaną jakąś dorożką udajemy się na ul. Średnią. Na ulicach już — pustka. Gdzieś na peryferiach miasta słychać strzały. Od Radogoszcza po Chojny i od dworca Kaliskiego po Widzew walka trwa. Podobno w koszarach przy ul. Konstantynowskiej oddziały niemieckie, wierne przysiędze, chcą się bronić i fortyfikują koszary. Na Nowym Rynku zawiadamiają nas, że Niemcy z karabinów maszynowych ostrzeliwują ul. Konstantynowską. Spieszymy więc do Soldatenheimu, aby coprędzej powstrzymać walkę. Żołnierze niemieccy na widok moich naramienników oficerskich przyjmują nas wrogo. Ob. Konopczyński łamanym językiem niemieckim wyjaśnia im, że jestem wprawdzie oficerem, ale oficerem „des Pilsudskis“, a nie „Wehrmachtu“ i to magiczne słowo „Pilsudski“ działa piorunująco. Niemcy się udobruchali i gotowi są do układów. Rozmawiamy jednak przez tłumacza, Ślązaka, który haniebnie przekręcając nasze słowa tłumaczy zgromadzonym z czym przybywamy. Żądamy zawieszenia broni celem porozumienia się, co do warunków przejęcia miasta. W tej chwili, gdy to oświadczamy, nadchodzi wieść, że rozgorzała na ul. Piotrkowskiej walka. Adiutant gubernatora ustawił dwa karabiny maszynowe w oknach Grand-Hotelu i strzela w obie strony ul. Piotrkowskiej, przecinając miasto na dwie połowy. O koszary na Konstantynowskiej też walka toczy się dalej.

W tych warunkach szybko zapada decyzja. Na samochodach wojskowych wysyłamy mieszane patrole niemiecko-polskie z białymi oraz czerwonymi chorągiewkami. Naszych jest już sporo w Soldatenheimie, gdyż pod ogniem musieli się wycofać z ul. Średniej. Toteż

łatwo przychodzi organizacja patroli pacyfikacyjnych. Wyjeżdżają na miasto i w językach polskim i niemieckim ogłaszają wszędzie zawieszenie broni. Akcja ta skutkuje i strzały cichną.

My dalej prowadzimy pertraktacje o wydanie broni, co idzie jednak kulawo ze względu na słabą naszą znajomość języka niemieckiego i brak dobrego tłumacza. Pomimo że obiecujemy Niemcom eskortę do granicy, nie chcą się zgodzić na odjazd bez broni, w obawie, aby w drodze nie byli napadnięci przez powstańców. Wysłałam więc meldunek do por. Biłyka i proszę o pomoc ze strony kogoś biegle władającego językiem niemieckim. Kiedy odpowiedź przez dłuższy czas nie nadchodzi, jadę niemieckim samochodem na ul. Przejazd i wracam z por. Biłykiem, który osobiście zdecydował się objąć kierownictwo pertraktacji. Jako b. oficer austriacki por. Biłyk znakomicie włada językiem niemieckim. Wygłosił więc dłuższe przemówienie do zgromadzonej Rady Żołnierskiej, wyjaśnił im, że w imieniu „generała Piłsudskiego“ objęliśmy władzę w Łodzi i jako Jego żołnierze nie chcemy walki z wojskami niemieckimi. Pragniemy ułatwić im tylko powrót do Ojczyzny, nie możemy jednak zgodzić się, aby odeszli z bronią, która jako łup wojenny należy się Polsce. Dziś gdy Niemcy i Austria stoją już w ogniu rewolucji, gdy lada chwila pokój będzie zawarty, żołnierze niemieccy powinni jak najszybciej wracać do domu, a broń muszą nam oddać, gdyż jest ona potrzebna do utrzymania porządku. Około 2 po północy zawarliśmy wreszcie prowizoryczny układ, na mocy którego Niemcy oddadzą nam część broni i częściowo z bronią będą odstawieni pod naszą eskortą do granicy, a na granicy oddadzą resztę broni eskortcie.

Po zawarciu układu, wracamy na Przejazd. Tu praca wre w całej pełni. Przychodzą oddziały z patroli, wychodzą na warty, ale gdzie kto stoi, nic nie wiadomo. Trzeba zrobić jakiś porządek, ustalić jakiś plan. Gen. Suryna nie można nigdzie znaleźć przez całą noc, więc por. Biłyk obejmuje definitywnie komendę nad miastem i przystępuje do pracy. Około czwartej uzyskałem zwolnienie na kilka godzin, aby nieco odpocząć. Na ulicach pustka zupełna. Miasto pogrążone we śnie i ciszy, przerywanej jedynie odgłosem kroków patroli, przeciągających wszystkimi ulicami miasta i stojących na straży bezpieczeństwa mieszkańców. Tak upłynął dzień 11 listopada dzień odrodzenia niepodległego Państwa Polskiego.

Nazajutrz około 8 rano byłem znów na nogach i zameldowałem się do służby. W zarekwirowanym lokalu jakiejś firmy na ul. Moniuszki zebraliśmy się, aby ustalić nowe władze. Komendantem miasta został por. Biłyk, jego zastępcą pkpt. Kudaj, dowborczyk, ja zostałem mianowany szefem sztabu Komendy Miasta.

Por. Skwarczyński organizuje batalion P. O. W. Z trudem uzyskujemy połączenie telefoniczne z Warszawą. Dowiadujemy się,

że Komendant wrócił z Magdeburga i objął Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich. Radość przepelnia nam serca, z nowym zapasem sił zabieramy się do pracy. Nie możemy jeszcze uwierzyć, że to wreszcie kres naszej wędrówki, że to koniec walk o Polskę Niepodległą, że to koniec męk i cierpień, że zacznie się wreszcie nowe życie w Odrodzonej Ojczyźnie.

Szał radości ogarnął całe miasto. Wszyscy chcą być w wojsku, wszyscy chcą pełnić służbę w obronie Ojczyzny. Na przemian zwożą i znoszą żywność, bieliznę, broń, co kto ma, spieszy, by oddać tym, którzy walkę podjęli. Spotykam moje uczennice z pensji p. Miklaszewskiej, które przyniosły ugotowane przez siebie śniadanie dla żołnierzy.

Nie mogę jednak brać udziału w tej ogólnej radości, bo pracy mamy w bród. Spieszę więc do Komendy Miasta, mieszczącej się w Pasażu Meyera (ul. Moniuszki), by wziąć się do pracy.

Zgłasza się do nas komendant Okręgu płk. Albin Jasiński celem porozumienia się, co do współdziałania. Stawiamy mu ultimatum, że najprzód musi uznać władzę Komendanta, a później ustalimy wzajemny stosunek. Płk. Jasiński po pewnym wahaniu, gdy stwierdził, że Komendant istotnie objął władzę nad wojskiem, złożył żadaną deklarację. My wówczas uznaliśmy jego władzę nad Okręgiem Łódzkim, a on z kolei zatwierdził por. Biłyka jako komendanta miasta. W ten sposób ułożyły się wzajemne stosunki pomiędzy nami a Wehrmachtem.

Miasto już całe jest w naszym ręku. Transporty Niemców zorganizowane i w ciągu kilku dni odchodzą w porządku. Organizuje się łódzki pułk piechoty (późniejszy 28. p. p.), w skład którego wchodzi jako baon II baon P. O. W. por. Skwarczyńskiego, w którym pełnią służbę ppor. Kwiatek i Swarzeński. Praca wre.

Uczniowie moi w szeregach. Uczennice gotują obiady żołnierzom. Szkoły zamknięte, bo nie ma nauczycieli i uczniów. Ja urzęduję w Komendzie Miasta i przeżywam ciekawe momenty, jak np. gdy zjawia się adiutant gen. gubernatora Schmidta z uprzejmą prośbą, aby zwolnić od rekwizycji szablę pamiątkową generała. Godzimy się na to chętnie, boć stać już nas na tę wspaniałomyślność. Po 4 latach wojny, po 10 latach świadomej walki o niepodległość osiągnęliśmy cel, którym żyliśmy od dawna, a który wychował nas, wypielegnował i wypieścił Ten, któremuśmy wierzyli bezgranicznie, Wódz Narodu — Józef Piłsudski.

Jakkolwiek nigdy nie miałem zamiaru zostania oficerem zawodowym, z chwilą rozbrajania Niemców włożyłem mundur i pełnię służbę wojskową. Jest to chwila osobliwa. We Lwowie walka

trwa. Odzyskaliśmy wprawdzie niepodległość, ale wojna się jeszcze nie skończyła. W tych warunkach uważam, że miejsce moje w szeregach.

Tymczasem z Warszawy żądają, abym nie rzucał roboty politycznej. Będzie przecież wybrany Sejm Ustawodawczy. Stronnictwo Niezawisłości Narodowej staje do wyborów. Muszę wziąć udział w akcji wyborczej. Jestem w rozterce. Oświadczam, że jeśli Komendant zwolni mnie z wojska, to stawię się do dyspozycji. Wzywają mnie do Warszawy. Jadę więc i dowiaduję się, że władze naczelne S. N. N. w osobach Artura Śliwińskiego i Wacława Sieroszewskiego mają interweniować u Komendanta, aby mnie zwolnił z szeregów. Komendant jednak odmówił, oświadczając że żadnego oficera I Brygady nie może oddać do roboty politycznej. Wobec jednak mojej działalności politycznej na terenie Łodzi, da mi specjalną misję, w której będę mógł połączyć funkcje polityczne i wojskowe. Poleciał poza tym, abym się zameldował u szefa Sztabu Generalnego gen. Stanisława Szeptyckiego, od którego otrzymam dalsze dyspozycje. Stosownie do rozkazu zameldowałem się więc u gen. Szeptyckiego, który mi oświadczył, że Komendant wyznaczył mnie na referenta politycznego świeżo zorganizowanego O. Gen. Łódź. Szczegółową instrukcję otrzymam 2 grudnia od samego Komendanta, u którego mam się zameldować w Belwederze.

Cały kraj został w międzyczasie podzielony na pięć okręgów generalnych: Warszawa, Łódź, Lublin, Kielce i Kraków. W skład O. Gen. Łódź weszły 4 dotychczasowe okręgi wojskowe: Kalisz, Łódź, Łowicz i Włocławek. Na komendanta O. Gen. Łódź został wyznaczony gen. Aleksander Osiński, u którego mam się zameldować po powrocie do Łodzi, jako referent polityczny, (późniejszy szef Oddziału Informacyjnego), po otrzymaniu osobistych wskazówek Komendanta.

Stosownie do tych rozkazów zameldowałem się w Belwederze. Zastałem tam: Bogusława Miedzińskiego (Kielce), Mieczysława Ścieżyńskiego (Kraków), Konrada Libickiego (Lublin) i Janusza Jędrzejewicza (Warszawa). Wszyscy oni byli wyznaczeni na referentów politycznych odpowiednich okręgów generalnych. Przyjął nas Komendant w obecności gen. Szeptyckiego i płk. Nieniewskiego. Mówił dość długo ogólnie o naszej roli. Słuchaliśmy pilnie, gdy mówił, że przywiązuje dużą wagę do naszej pracy, że liczy na nasz takt i umiejętność odpowiedniego postawienia sprawy, aby posunięcia wojskowe naszych dowódców zgodne były z ogólną linią polityczną Komendanta. A potem charakteryzował poszczególne okręgi i dawał wskazówki, jak mamy się zachować wobec ruchów społecznych. Najdłużej zatrzymał się na czerwonej Łodzi, gdyż stamtąd mogą wyjść ruchy socjalne, które całe dzieło Komendanta

mogą obrócić w niwecz. A w czasie wojny, która już toczy się na Wschodzie, w kraju musimy mieć zupełny spokój.

Tak pouczony przez Komendanta wracałem 2 grudnia do Łodzi na nowy posterunek, już jako świeżo mianowany porucznik, by jeszcze przez 11 lat nosić mundur oficera zawodowego. Ale to już należy do innego rozdziału historii.

Polska już była na zawsze — wolna!

KONIEC

SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW

- Ajdukiewicz Adam 113, 158, 229
 Aleksandrowicz Konstanty — „Kostek” 134, 179, 194, 211
 Alter Izaak 14
 Alter Wiktor 14
 Andrzej ob. Sawicki Kazimierz
 Antek ob. Chamiec
 Antoniewiczówna Janina — „Dąbrowa” 91
 Arciszewski Tomasz — „Stanisław” 69, 274
 Ast Leon 144
 Auffenberg 69, 72

 Baczyński Rajmund 71, 258
 Bajkowski Tadeusz 29
 Balicki Tadeusz 14
 Banderski 84
 Bandrowski ob. Kaden-Bandrowski
 Bandurski 227
 Barski Roman ob. Żuliński
 Barth 294
 Baścik Jan 17
 Bauer 284
 Bąbiński 142, 220
 Bednarzewska 261
 Bednarzewski 265
 Belina-Prażmowski Władysław — „Belina” 29, 35, 38, 39, 55, 61, 80, 112, 117, 121, 138, 140, 141, 145, 159, 164, 172, 198, 216, 217, 267, 277, 303, 319, 324
 Bełdowsky 92
 Berbecka 223
 Berbecki Leon 133, 134, 137, 142, 145, 146, 165, 168, 181, 183, 200—202, 216, 222, 226, 246, 247, 254, 255, 267, 268, 271, 277, 279, 283, 296
 Beres 183, 250, 252
 Bereski Roman 98, 99, 110, 158, 165
 Bereszko 326
 Berlinerblau Jan — „Prot” 41, 87
 Bernard ob. Galbarz
 Bernatowicz Janusz 55, 79
 Beseler 212, 267, 268, 270, 272—274, 276, 277, 280, 288, 289, 292—294, 307, 313, 314, 317
 Bezeg Antoni 130
 Bezmian ob. Deschu Tadeusz
 Bęben Henryk — „Huragan” 130, 131
 Biega 78
 Biegański Stanisław 96
 Biernacki Stefan ob. Dąb-Biernacki
 Biernacki Wacław — „Kostek” 59, 312
 Bigoszt Henryk 98, 99, 110
 Bilek 84
 Bilyk Alfred 323—325, 327—331
 Birencwajg Julian 252
 Birkenmayer Alfred 28
 Bittner 155, 156
 Bittnerówna Maria 29, 224
 Blauer Józef — „Kratowicz” 41, 57, 58, 211
 Blum Leon 12
 Błęszyński-Ferek Jerzy — „Ferek” 28, 134, 261
 Błyskosz 188—191, 281
 Błyskosz 190
 Błoński Józef 21
 Bobrowski Emil 54
 Bobrowski Tadeusz 274
 Bobrowski Zygmunt 91
 Bochenek Włodzimierz — „Mazur” 252
 Bogucki 210
 Bohdan ob. Prystor
 Bojarski Kazimierz — „Kuba” 53
 Bolek ob. Kubala
 Bolesławski Jan ob. Grzędziński
 Bończa ob. Karwacki

- Bończa-Uzdowski Władysław — „Bończa” 41, 45, 48, 50, 54, 55, 58, 61, 66, 113, 165, 286
- Borek ob. Haersthal
- Borkowski Zygmunt — „Zielony Brat” 128
- Borowski 163, 170
- Ból Zygmunt ob. Zahorski-Lubicz
- Brauliński Zygmunt 13
- Brodziński Mieczysław 311, 315
- Broniowski Stefan — „Leszek” 249, 263
- Brudziński 273, 275, 276
- Brusiłow 234, 256
- Brygała 234, 235
- Brzezina Ottokar — „Brzoza Stanisław” 80, 122, 206
- Brzeziński Jan — „Dunin” 274
- Brzęk ob. Osiński Tadeusz
- Brzęk Antoni 24
- Brzoza ob. Brzezina
- Brzozowski Hubert 107, 229
- Buchowieccy 77
- Buchowiecka 77
- Budiłowicz 11, 12
- Bujwidówna Kazimiera 15
- Bujwidówna Zofia 15
- Bukacki ob. Burhardt-Bukacki
- Bukowiecki Stanisław 275
- Burhardt-Bukacki Stanisław — „Bukacki” 40, 140, 255, 283, 284, 297, 313
- Burjanówna Janina 207
- Burski ob. Goldenberg
- Busse ob. Guzowski
- Ceceniewski 211
- Chamiec Antoni — „Antek” 30
- Charzewski Stanisław 249
- Cheliński Stanisław 21
- Chełmicka Halina 28, 29, 32
- Chełmicki 281, 318
- Chmielewski 273, 276, 281
- Chmura Stefan 249
- Chrzanowski Ignacy 27, 28, 32, 209, 316
- Chrzanowski Zygmunt 281
- Ciborowski Roman 15
- Cichocki Władysław — „Ordon” 185
- Ciepichał Henryk 320
- Cieślak Stefan 110
- Cięciałowie 92
- Cleinow 314, 317—319
- Cybulka ob. Cybulski
- Cybulski — „Cybulka” 134, 247
- Cynarski Jan — „Krzesławski” 29, 93
- Czachowski Leon 96
- Czachowski Witold — „Ojczulek” 192, 196, 215, 219, 303
- Czajko Włodzimierz 9
- Czajkowski Bolesław — „Wroński” 153, 154, 183
- Czaki Tytus 93
- Czarnecki Mieczysław 15
- Czarnocki Wacław — „Denhoff” 96
- Czech 130, 131, 133
- Czeraszewicz 321
- Czerny ob. Schwarzenberg
- Czerwiński Sławomir 16
- Czubiński Zdzisław 311
- Czuskiewicz 211
- Czyżewski Kazimierz 20, 29
- Daniluk 106
- Dankel 69, 72, 86
- Daszyńska 79
- Daszyńska-Golińska Zofia 93
- Daszyński Ignacy 42, 79, 273, 327
- Dąb-Biernacki Stefan — „Dąb” 228, 233, 251, 252
- Dąbkowski Mieczysław 317
- Dąbrowa ob. Antoniewiczówna
- Dąbrowa ob. Młodzianowski
- Dąbrowski 211
- Dąbrowski Marian 202
- Dąbski 156
- Dehnel 208
- Deichsel 284
- Denhoff ob. Czarnocki
- Deschu Tadeusz — „Bezmian” 249
- Długi 87
- Długosz Stanisław — „Tetera” 21, 70, 90, 94, 95, 97, 122, 166, 168, 197, 219
- Długoszowski ob. Wieniawa-Długoszowski
- Dłużniakiewicz Janusz — „Sep” 64, 69, 95
- Dmowski Roman 16, 122, 274
- Dobaczewski Eugeniusz „Stary” 41
- Dobek 315
- Dobrodzicki Adam — „Gad” 86, 256, 272, 285, 288, 301

- Dorobczyński 134
 Downarowicz Medard 325
 Downarowicz Stanisław 228
 Dragat Władysław 137
 Dreszer ob. Orlicz-Dreszer
 Drożdż Stanisław 191, 239, 240, 244
 Dudzieniec ob. Krak
 Dunin Roman — „Pogoń” 227, 261, 304
 Dunin ob. Brzeziński
 Dunin ob. Wąsowicz
 Durski 197, 258
 Dwernicki 269
 Dwiliński 104
 Dziadzio ob. Podolski
 Działowski — „Rawicz” 170, 215
 Dzieduszycki 203
 Dzierzbicki Stanisław 275, 276
 Dziejowski Stefan 275, 281
 Dziurzyński 210
 Dzwonkowski Zygmunt 79
 Ebner 313, 314
 Eydziatowicz 213, 214
 Fabrycy Kazimierz 274, 280, 313, 315
 Falski Marian — „Rafał” 12
 Fath 236
 Fedkowiczówna Stefania 45
 Ferek ob. Błęszyński-Ferek
 Fichna Bolesław 21
 Filip ob. Szajewski
 Filipkowscy 83
 Filipkowska — „Wanda” 83, 87, 95
 Filipkowski 87
 Filipowicz Tytus 22, 283
 Fleszar Albin — „Satyr” 88, 151, 270
 Floyar-Rajchman Henryk — „Floyar” 193
 Franciszek Ferdynand 33
 Franciszek Józef 71, 110, 267, 273, 275, 276, 292
 Franek ob. Gibalski
 Frączkiewicz 209
 Fröhlich 216
 Frydberg Gustaw 10
 Fuksiewicz Michał — „Funio” 124
 Funio ob. Fuksiewicz
 Furgalski Tadeusz — „Wyrwa” 28, 29, 41, 49, 53, 55—58, 61, 87, 88, 125, 179, 181, 252, 254, 255
 Furgalski Teodor — „Pandor” 30
 Gad ob. Dobrodzicki
 Galbarz Bronisław — „Bernard” 69
 Galica Andrzej 42, 95, 96, 107, 109—115, 158, 192, 228, 229
 Galos Stanisław „Tur” 41, 221
 Gaładyk Janusz 252, 255
 Gertner Roman 163, 251
 Gibalski Edward — „Franek” 198
 Giedroyciowie 98
 Giedroyc 98
 Gigiel Józef — „Melechowicz” 214, 236
 Gilewicz 114
 Ginathówna Jadwiga 309
 Glinka Jan 20
 Gluth-Nowowiejski — „Nowowiejski” 285
 Głuchowski 88
 Głuchowski Janusz — „Janusz” 38, 309, 317
 Gnatowski 273, 275
 Goldenberg — „Burski” 168
 Golińska ob. Daszyńska-Golińska
 Goliński 312
 Gołajewski Konstanty 13
 Gołąb Jan Kazimierz 62, 63
 Gorzechowski Jan — „Jur” 77
 Gostomski 324, 328
 Gottlieb 173
 Górecki Piotr — „Pietrek” 25, 39, 212
 Górecki Roman 113
 Górska Maria 12
 Górski Antoni — „Łuba” 135, 136, 155—157, 168
 Górski Bohdan 28, 29, 31
 Górski Tadeusz — „Szary” 95
 Grabałowski 135
 Grabowski Stanisław 228
 Grela 129
 Grendyszyński 273, 275
 Grohman 281
 Grot ob. Machonbaum
 Grudziński ob. Pększyc
 Grünbaumówna Czesława 29
 Gruzewski Tadeusz 281
 Grzebienowski 119
 Grzesiński Wiktor 99, 112, 114, 115, 227, 238, 240
 Grzędziński January „Bolesławski Jan” 113, 158, 203, 229
 Gundelachowie 325
 Gustaw ob. Sławek

Guzowski Stanisław — „Busse“ 193,
215, 219, 226, 247, 248
Gwiżdż Feliks 103, 113, 229

Haber ob. Mansperl
Hanna ob. Kudelska
Haecker Emil 67
Haersthal Julian — „Borek“ 251
Hajec 201, 246, 247, 250, 252, 255
Haller Józef 79, 238, 240, 277, 305,
306
Handelsman Marcelli 275
Harusewicz Jan 274, 275
Hauer 236
Heinrich 316
Heltman Stefan 15
Hełczyński Bronisław 122
Hempel Stanisław — „Waligóra“
69, 83—85, 87, 88, 91, 95
Hempel Zygmunt „Walipagórek“
70, 71
Herburt Józef — „Warski“ 178,
182, 191, 192, 215, 216, 220—222,
227, 233, 238, 241—243, 245, 247,
248, 250, 255
Herwin ob. Piątek
Hindenburg 80, 81, 85
Hladik 278, 280
Hołówko Tadeusz 21, 27—29, 31
Hozer Kazimierz — „Kazek“ 130
Hranilović 96, 278
Huragan ob. Bęben

Iskierko 156, 251
Iwbul 160, 241, 248

Jabłonowski Roman 15
Jabłoński Antoni — „Zdzisław“ 38
Jadwiga ob. Jaworowska
Jagmin ob. Sadowski
Janicki Józef — „Moch“ 248
Janik 223
Janikowski Stanisław 274
Janiszewski Lucjan 96, 215, 219,
226, 240, 314
Janiszowski Stefan 326
Jankowscy 13
Jankowski 13
Jankowski Jan 274, 281

Janusz ob. Gluchowski Janusz
Januszajtis Marian — „Żegota“ 61,
80, 277, 303
Jarnuszkiewicz Czesław — „Kazi-
mierz“ 24, 41, 272, 312
Jarosz Mieczysław 67, 103, 108, 113,
229
Jasiński Albin 326, 331
Jastrzębowski 86
Jastrzębowska 87
Jastrzębowski Mieczysław 84, 87
Jaśko ob. Śmiłowski
Jawornik 156
Jaworowska Konstancja — „Jad-
wiga“ 84, 85
Jaworowski Rajmund — „Święto-
pełk“, „Włodzimierz“ 31, 53, 59,
61, 64, 69—73, 76, 80, 83, 88—90,
92, 93, 95, 98, 192, 198, 310
Jeleniewska Maria 12
Jeleniewski Eugeniusz 10, 13
Jeleniewski Stanisław 166, 211
Jemielewski Tytus 17, 19
Jeziński 41
Jeziorański 113
Jędrzejewicz Janusz 332
Jodko-Narkiewicz Witold 16, 92,
274, 276
Joniak Franciszek 96
Józef ob. Sosnkowski
Jur ob. Gorzechowski

Kacperski Józef 11
Kaczmarczyk 242
Kaczorowski Antoni 274, 281, 298
—301
Kaden-Bandrowski Juliusz — „Ka-
den“ 202
Kaliński Emil 324, 325
Kalosz Abram ob. Kulesza Adam
Kamieniecki Witold 275
Kamieński Kazimierz — „Luboń“
25, 31, 64, 111
Karasiewicz ob. Tokarzewski-Kara-
szewicz
Karch 106
Karlsbad Henryk 14
Karlsbad Szymon 12
Karol I 276, 327
Karol Stefan z Żywca 275, 280
Karski Kazimierz 141

- Karski Mieczysław 134
 Karńska Wanda 33
 Karwacki Zygmunt — „Bończa”
 88, 244, 247, 248
 Kaschnitzówna Wanda 42
 Kasperowicz 314
 Kasprzycki Tadeusz — „Zbigniew”
 6, 40, 263
 Kaszubski Stanisław — „Król” 44,
 111
 Katke 291
 Kauz Wacław 154, 305, 324
 Kawecki 163
 Kazek ob. Hozer
 Kazimierz ob. Jarnuszkiewicz
 Kąkolewski Henryk 29
 Kempner Gustaw 29
 Kempner Stanisław 274
 Kiernik 77
 Kirchner Włodzimierz 14
 Kittay Paweł — „Stanisław” 20—
 22, 28—30, 41, 80
 Klarsfeld Gustaw — „Szczerski”
 254, 286
 Klek 118
 Klemczak 150, 169, 191, 239
 Klemensiewicz Zygmunt 33, 34, 61
 Klimowski 250
 Klinger Zygmunt 76, 79
 Klisiewicz 203, 211
 Kłeczek Jan 24
 Kmicic ob. Rusin
 Knobelsdorf 284
 Knoll — „Kownacki” 232, 317
 Koc Adam 28, 29, 249, 261, 288,
 303, 312
 Koc Leon 28
 Kogut ob. Wyrwiński
 Kołodziejczyk ob. Różycki-Koło-
 dziejczyk
 Kołodziejski Witold 134
 Konarski Kazimierz 283
 Konas ob. Wir-Konas
 Konieczny Włodzimierz 134, 167,
 240, 249
 Konopacki Konstanty 12
 Konopczyński 329
 Kopciński Stefan 325
 Korab ob. Słonecki
 Kordian ob. Kunc
 Kordian ob. Monasterski
 Korkozowicz Jan — „Radek Mie-
 czysław” 290
 Kornilowicz Tadeusz 123
 Kornilowiczówna Maria — „Ma-
 ryśka” 84, 224, 310, 311, 314
 Kosiński Wiesław 19
 Kossuth Stanisław 91, 92, 96
 Kostek ob. Aleksandrowicz
 Kostek ob. Biernacki Wacław
 Kościalkowski Marian 31
 Kowalski 162
 Kownacki ob. Knoll
 Kozaczyński Roman 236
 Kozłowska Bronisława 29, 52
 Kozłowska Helena 29
 Kozłowska Zofia 28, 29
 Kozłowski 106, 114
 Kozłowski Leon 20, 21, 29, 208, 224
 Krajewski Tadeusz 158, 165
 Krak Stefan — „Dudzieniec” 145
 Kramarczykowie 99
 Kratowicz ob. Blauer
 Krawczyk Stanisław 28
 Kriczko 9
 Krieger 284
 Krok ob. Paszkowski-Krok
 Król ob. Kaszubski
 Królikiewicz 98
 Kruk ob. Kruszewski
 Kruk ob. Mioduszewski
 Kruszewski Jan — „Kruk” 40
 Krynicki Stanisław — „Tymko-
 wicz” 79
 Krzemińska Zofia 285
 Krzesławski ob. Cynarski
 Krzewski Stanisław 21, 28
 Krzewski-Liljenfeld Karol 28
 Krzywoszewski Stefan 275
 Kuba ob. Bojarski
 Kubala Władysław „Bolek” 30
 Kuciel 319, 320
 Kuczewscy 29, 69
 Kuć Józef 15
 Kudaj 330
 Kudelska Stefania — „Hanna” 31,
 224
 Kuk 264, 265, 267, 268, 270, 279,
 280
 Kukiel Marian 79, 80, 90, 91, 93,
 252
 Kulczycki Julian — „Sas” 41
 Kulesza Adam — Kalosz Abram 216

- Kulski Julian 314
 Kulwieć Andrzej 272
 Kułakowski 16
 Kunc Bogusław — „Kordian“ 29—
 31, 42, 178
 Kuncewiczówna Alina 207, 208
 Kunicki Ryszard 92
 Kuny 204
 Kupczyński Tadeusz 18, 21
 Kurek 250
 Kwaśniewski Mikołaj 202, 203, 243,
 253
 Kwiatek Feliks — „Włada“ 41, 45,
 48, 324, 331
 Kwiatkowski Mieczysław 14, 213

 Landau 106
 Langner 325
 Lato 107
 Lauer Henryk 14
 Laveaux Ludwik 113, 229
 Lelum ob. Marusiński
 Lenczewski Kosma 42
 Leonhardi 218
 Leopold Bawarski 273
 Leszcz 163
 Leszczyński Julian 15
 Leszek ob. Broniowski
 Leszek ob. Sokolnicki
 Leško 170
 Lewandowski Hieronim 110
 Libermann Herman 103
 Libicki Konrad 21, 332
 Libicki Stanisław 275
 Liljenfeld ob. Krzewski-Liljenfeld
 Linke 329
 Lipiński 323
 Lipiński Wacław 193
 Lipski Mirosław 118
 Lipski Roman 8
 Lisowski 155, 156
 Litwin ob. Stefanowski
 Lubicz ob. Zahorski-Lubicz
 Lubińska Jadwiga 18, 19
 Lubomirski Zdzisław 227, 281, 316
 Luboń ob. Kamieński
 Ludomir ob. Rowiński
 Ludwik ob. Piskor
 Lüders 85
 Luxemburg Róża 16

 Lapiński Stanisław — „Nilski“ 111,
 116, 119, 120, 142, 250, 252, 276,
 280, 283
 Ławrentjew 10, 11
 Łazowski Jan 15
 Łempicki Zygmunt 275, 276, 281
 Łosiński 270
 Łoś Jan 35, 316
 Łuba ob. Górski Antoni
 Łuczyński Aleksander — „Narbutt
 Jerzy“ 41, 88, 114, 115, 119—122,
 124, 125, 132—135, 142, 215, 220,
 221, 226, 233, 236, 240, 243—245,
 247, 255, 276, 283, 304, 312
 Luniewscy 83
 Luniewski 275
 Łuszczewski 121

 Macenko Aleksander 8
 Machonbaum Leon — „Grot“ 36
 Machowicz Stanisław — „Sawa“
 23, 24, 41
 Macieszyna ob. Śrzednicka-Macie-
 szyna
 Macińska-Pętkowska 323
 Mackenzen 184, 195
 Made 210
 Madejski 216, 300
 Maj 281
 Majewski Stanisław 95, 96
 Majkowski Benedykt 255
 Mak ob. Piątkowski
 Makowski Wacław 275
 Malinowski Marian — „Wojtek“ 89
 Małkowski Stanisław 17
 Mały ob. Skwarczyński Stanisław
 Mansperl Bronisław — „Haber“ 14,
 64, 166, 211
 Manterys 281
 Marciniak Jan — „Promień“ 27
 Marczewski 281
 Marczewski Wiktor 289
 Marek Zygmunt 42
 Markiewicz Roman 10
 Markowski 281
 Marszałek Milan 106, 108
 Martynowicz 100
 Marusiński Mieczysław — „Lelum“
 31, 64, 211
 Maruszewski Artur 20, 29, 215, 219,
 240, 303

- Maryska ob. Kornilłowiczówna
 Massow 312, 313
 Maxymowicz-Raczyński Roman —
 „Nawrot“ 166, 219
 Maxymowicz-Raczyński Włodzimierz
 — „Rokita“ 166, 183, 280, 285, 304
 Mazur ob. Bochenek
 Mazur ob. Sękara
 Mazurkiewiczówna 207
 Melechowicz ob. Gigiel
 Miatkowski 237
 Michalski — „Oster“ 156, 167, 169,
 225, 248
 Michał w. ks. 9
 Michał ob. Sulkiewicz
 Miedzińska Janina 29
 Miedziński Bogusław 29, 332
 Mierzejewski Zygmunt 20, 31
 Miklaszewska 323, 331
 Mikołaj II 9, 26
 Mikołaj Mikołajewicz 71, 229, 268
 Mikułowski-Pomorski Józef 275
 Miłosz 244
 Minkiewiczowa Stefania — „Westa“
 76, 83, 85
 Minkiewiczowie 77
 Minkowski Anatol 298, 312
 Mioduszewski Franciszek — „Kruk“ 61
 Mirski ob. Młodkowski
 Mirski ob. Przyjałkowski
 Mitkus Bolesław 15
 Młocki 128
 Młodkowski Tadeusz — „Mirski“ 69,
 314, 316
 Młodzianowski Kazimierz — „Dą-
 browa“ 290, 295, 312
 Młynarski Ludwik 32
 Moch ob. Janicki
 Moczulski Józef 12
 Modelski Izydor 98, 105, 108, 113,
 261, 278
 Modrzewska 223
 Molenda Zygmunt 14
 Monasterski — „Kordian“ 56, 60
 Morawski 81
 Morozewicz 28
 Mścisław ob. Styczyński
 Mühlstein Anatol 14
 Münnich Tadeusz — „Żegota“ 263
 Mysłowski Mieczysław — „Rawicz“
 108—110, 113, 252, 276
 Myszkowski 230, 247, 248
 Nakonieczny 158
 Napiórkowski Aleksander 64, 324—
 326
 Naramowski 208
 Narkiewicz ob. Jodko-Narkiewicz
 Narbutt Jerzy, ob. Łuczyński
 Natanson 275, 276, 281
 Naumann 312
 Nawrot — ob. Maxymowicz-Raczyń-
 ski Roman
 Nehay Wiktor 131
 Nehring 247, 248
 Neht 294
 Neugebauer ob. Norwid-Neugebauer
 Neugebauer Jerzy 323
 Neuwert ob. Nowaczyński-Neuwert
 Neymann ob. Spława-Neyman
 Niedziałkowski Mieczysław 20, 31
 Niemojewski Andrzej 272
 Niemojowski 281
 Nieniewski 332
 Nilski ob. Łapiński
 Norwid-Neugebauer Mieczysław
 — „Norwid“ 61, 86, 87, 277, 303
 Nowaczyński-Neuwert Adolf 272
 Nowakowski Wiktor 304
 Nowicki 274
 Nowikow 55, 56, 59
 Nowowiejski ob. Gluth-Nowowiejski
 Ojczulek ob. Czachowski
 Ola ob. Szczerbińska
 Olędzki 174
 Olszewski A. 275
 Olszyna ob. Wiltczyński-Olszyna
 Ordon ob. Cichocki
 Orlicz-Dreszer Gustaw — „Orlicz“
 267
 Orłowski Wacław 13
 Orsza ob. Winiarz
 Osiecki Stanisław 274
 Osiński 86
 Osiński Aleksander 332
 Osiński Tadeusz — „Brzek“ 86
 Osmołowscy 77
 Osmołowska Iza 77
 Oster ob. Michalski
 Oster ob. Ostrowski
 Ostoja ob. Zagórski Juliusz
 Ostrowski Tadeusz — „Oster“ 217

- Pandor ob. Furgalski Teodor
 Pankowski 98, 106
 Parczewski 281
 Pareński Stanisław 21
 Paschalski Franciszek 274
 Pasierbowicz 242, 243, 250
 Paszkowski-Krok Henryk — „Krok“
 31, 40, 316
 Pauli 289
 Pełczyński Tadeusz 110
 Perl Feliks — „Res“ 29
 Perlowa Feliksowa — „Resowa“ 72
 Pędra 233
 Pęczkowski Mieczysław 323
 Pększyc Franciszek — „Grudziński“
 133, 134
 Pętkowska ob. Macińska-Pętkowska
 Piątek Kazimierz — „Herwin“ 30,
 33, 40, 49, 52, 123, 125, 168
 Piątkowski Mieczysław — „Mak“
 134
 Piekarska Wanda — „Pociecha“ 82,
 83
 Pietrek ob. Górecki Piotr
 Piltz Erazm 274
 Piłsudska Maria 92
 Piłsudski Józef 5, 6, 16, 17, 27, 28,
 36, 38—40, 43, 49, 53, 59, 61,
 66—68, 71, 73, 75, 76, 78, 80, 88,
 94, 95, 98, 99, 107, 109—112, 120,
 131, 132, 141, 142, 167, 173, 176,
 182, 200, 202, 212, 215, 216, 220,
 222, 223, 234, 238, 240, 243, 255,
 257—262, 264, 267—270, 273, 274,
 277—281, 286—289, 292, 293, 296,
 300, 302, 303, 306—309, 313, 316,
 318, 326, 329—333
 Piskor Tadeusz — „Ludwik“ 132, 179
 Pociecha ob. Piekarska
 Podolski Marian — „Dziadzio“ 133,
 134, 136, 163, 168, 170, 182, 214,
 226, 235, 242, 244, 245, 247, 255,
 283
 Podolszyc 12
 Podworski Stefan 28
 Pogoń ob. Dunin
 Pogorzelska Jadwiga 15
 Polkowski Kazimierz 20, 88, 162,
 170, 175, 176, 192, 253, 272, 309,
 315, 316
 Polniaszek Franciszek 255
 Pomorski ob. Mikułowski-Pomorski
 Ponikowski Antoni 275, 298
 Popiel 274
 Popielówna Maria 82, 83
 Popławski 326
 Popławski Seweryn 275
 Poraj ob. Pstrokoński
 Potocka Maria 12
 Prade 209
 Prauss Ksawery 31, 89
 Prażmowski ob. Belina-Prażmowski
 Prądyński 235
 Procter Antoni 208
 Procter Tadeusz 80
 Promień ob. Marciniak
 Prot ob. Berlinerblau
 Protassewicz Leon — „Szuszkowski“
 119
 Pryffer Józef 21
 Pryssewiczówna J. 322, 323, 326
 Prystor Aleksander — „Bohdan“ 23,
 28, 31
 Przybylski Zygmunt 17, 20—22,
 25, 30
 Przybyszewski Eugeniusz 15
 Przyjałkowski Zdzisław — „Mirski“
 232, 249
 Pstrokoński Feliks — „Poraj“ 156,
 162
 Puchalski 228, 240, 258
 Rabek Witold 15, 29
 Raczyński — „Robak“ 87
 Radek Mieczysław ob. Korkozowicz
 Radlicki Ignacy 190
 Radlińska Helena 93
 Radoński Zygmunt — „Żarski“ 134
 Radosz Marcin 144, 241
 Radziwiłł 276, 281
 Rafał ob. Falski
 Rajchman ob. Floyar-Rajchman
 Rappaport Bronisław — „Zbigniew“
 30
 Ratay Jan 261
 Rawicz ob. Działowski
 Rawicz ob. Mysłowski
 Relidzyński Józef 113, 229
 Res ob. Perl
 Resowa ob. Perlowa
 Robak ob. Raczyński
 Robel 206

- Roja Bolesław 111, 158, 165, 200, 201, 227, 230, 240, 277, 288, 299—301
 Rojan ob. Śladky Jerzy
 Rojanowa ob. Śladky Nora
 Rokita ob. Maksymowicz-Raczyński Włodzimierz
 Ronikier Adam 275, 276, 281
 Rostworowski 275
 Roszczycki Jerzy 10
 Rouppert Stanisław 8, 16, 17, 61, 321
 Rowecki Stefan 192, 214, 222, 225, 247
 Rowińska Jadwiga 325
 Rowiński Wacław — „Ludomir“ 24
 Rozwadowski 77
 Rożen Władysław 183, 264, 279
 Rożniecki 100, 107, 110
 Różycki-Kołodziejczyk Tadeusz — „Różycki“ 321
 Rudowski 170
 Rumiński Zygmunt 96, 98—100, 105—107, 110, 112, 113, 115
 Rusin Władysław — „Kmicic“ 192, 193, 200, 204, 219, 247, 255
 Rusinek Zygmunt 21
 Rybarski Leonard 153
 Rybarski Roman 16
 Rybka 251, 252
 Rychlik ob. Swarzeński
 Rydz-Śmigły Edward — „Śmigły“ 27, 52, 53, 55—57, 61, 134, 200, 262, 277, 303, 327
 Ryszard ob. Trojanowski Mieczysław
 Rzewuski Stefan 31

 Sadowski Jan — „Jagmin“ 107, 166, 255, 276, 283
 Sanecki 107
 Sapieha Eustachy 315, 316
 Sarmat ob. Szyszłowski
 Sarmatowa ob. Szyszłowska
 Sas ob. Kulczycki
 Satyr ob. Fleszar
 Sawa ob. Machowicz
 Sawa ob. Sawicki Jerzy
 Sawiccy 286, 319
 Sawicka Halina 18, 29
 Sawicka Janina 18, 29
 Sawicka Maria ob. Stachiewiczowa
 Sawicki Jerzy — „Sawa“ 130
 Sawicki Kazimierz — „Andrzej“ 16—18, 21, 25—27, 29, 30, 33, 34, 39, 59, 64, 69, 88, 95, 121, 125, 130, 212, 213, 272, 280
 Scaevola ob. Wiczorkiewicz
 Schindler Czesław 289, 290
 Schmidt 331
 Schön 214
 Schwarzenberg — „Czerny“ 214, 237
 Serda 219—222
 Seruga Józef 52
 Sękara Franciszek — „Mazur“ 41, 87
 Sęp ob. Dłużniakiewicz
 Siebrecht 308, 309, 312
 Sienkiewicz Henryk 71, 274
 Sieroszewski Wacław — „Sirko“ 39, 63, 274, 279, 325, 332
 Sikorski Fr. 112
 Sikorski Jan 118
 Sikorski Władysław 91—93, 96, 99, 104, 109, 114, 255, 257, 259, 268, 277—280, 282, 291, 294, 295, 307
 Simon Jan 275
 Sirko ob. Sieroszewski
 Siwicki Konrad 12
 Skarbek Aleksander 78
 Składkowski Sławoj Felicjan 63, 285, 302, 315
 Skulski Leopold 327
 Skwarczyński Adam — „Stary“ 69, 73, 76, 77, 79
 Skwarczyński Stanisław — „Mały“ 125, 126, 130, 131, 326, 330, 331
 Śladky Jerzy — „Rojan“ 41, 88
 Śladky Nora — „Rojanowa“ 88
 Sław ob. Zwierzyński
 Sławek Walery — „Gustaw“ 27, 31, 32, 36, 38, 53, 59, 308
 Słobódzki Mieczysław 279
 Słonecki Juliusz — „Korab“ 87
 Słoniowski Modest 116, 119—122, 235, 242
 Smoliński 67—70
 Smutny 278, 280
 Snarski 105
 Sobieski 316
 Sokolewicz Wacław 324, 325, 328
 Sokolnicki Michał — „Leszek“ 16, 66, 88, 92
 Sokołowski 281
 Sokołowski Tadeusz 324

- Sokołowski Witold 298
 Sokół 153
 Sosnkowska Kazimierzowa 92
 Sosnkowski Kazimierz — „Józef“ 28, 38, 39, 63, 141, 215, 238, 240, 262, 293, 308
 Sowa Tadeusz — „Zaliwski“ 249
 Spilczyński Wacław 261
 Splawa-Neyman — „Splawa“ 211
 Sporysz 209
 Sroczyński Marian 279
 Stachiewicz Julian — „Wicz“ 21, 23, 25, 28—30, 41, 59, 114, 179, 192, 303
 Stachiewicz Wacław — „Styk“ 128, 176, 192, 200, 203, 204, 237, 280, 283, 303
 Stachiewiczowa Maria 22, 28, 29, 224
 Stamirowski Kazimierz 77
 Stanisław ob. Arciszewski
 Stanisław ob. Kittay
 Stanisławski 167
 Stanisławski Stanisław 12
 Stary ob. Dobaczewski
 Stary ob. Skwarczyński Adam
 Starzecki Władysław 212
 Starzyńska Jadwiga z Lipskich 8, 12, 318, 322
 Starzyńska Stefanowa 91
 Starzyński Alfons 21, 318, 322
 Starzyński Mieczysław 8, 25, 30, 42, 80, 128, 129, 183, 204, 240, 314, 321, 324
 Starzyński Stefan 12, 20, 25, 30, 31, 91, 92, 96, 207, 255, 257, 272, 283, 314, 321, 324
 Stechow 319
 Stecki Jan 281
 Stefan ob. Wojewódzki
 Stefanowscy Stojanowie 223
 Stefanowski Stojan — „Litwin“ 20, 23, 28, 29, 89
 Stefański Paweł 226, 247
 Steinówna Janina 20
 Stelmaszczyk Czesław 115
 Sternschuss Adolf 96, 211
 Stetkiewicz 172
 Stetkiewicz Stanisław 172
 Strojek Ludwik 32, 49
 Stroński Stanisław 78
 Stryjeński Paweł 263
 Strzałkowska Zofia 29
 Strzeleccy 114
 Strzelecka Czesława 114
 Studnicki Władysław 16, 276, 281, 307
 Styczyński „Mścislaw“ 192, 249
 Styk ob. Stachiewicz Wacław
 Suchodolski Witold 15
 Suchorzewska Anna 207
 Sulkiewicz Aleksander — „Michał“ 67, 68, 227, 261
 Suryn 328, 330
 Swarzeński Jan — „Rychlik“ 134, 324, 331
 Szajewski Józef — „Filip“ 36, 38, 39
 Szaleniec ob. Trojanowski Jerzy
 Szary ob. Górski Tadeusz
 Szczepanowski — „Wojno“ 142, 215, 219, 250, 276
 Szczepański Władysław 108
 Szczerbińska Aleksandra — „Ola“ 67, 76, 95
 Szczerwski ob. Klarsfeld
 Szelepin 87
 Szenk Józef 89
 Szeptycki Stanisław 273, 277, 288, 332
 Szerauc 214
 Szolkowski 301, 309, 318
 Szpotańska Irena 18, 30
 Szpotański Tadeusz 16, 18, 19, 22, 25, 28, 30, 31, 208, 224, 234, 237, 264, 325, 326
 Szretter Jan 11
 Szumski Stanisław 99, 158, 203, 211
 Szuszkowski ob. Protassewicz
 Szybalska — „Zofia“ 84
 Szyło 238
 Szymanowska ob. Weyhert-Szymanowska
 Szymanowski Zygmunt 212, 224
 Szymański Stanisław 291
 Szyszłowska Maria — „Sarmatowa“ 158
 Szyszłowski Mikołaj — „Sarmat“ 123, 125, 158
 Ścieżyński Mieczysław 332
 Ślaski Jan 148, 150
 Śliwiński Artur 273, 274, 281, 325, 332
 Śliwiński Stanisław 274, 276

- Śmiarowski Eugeniusz 273, 275, 276
 Śmigły ob. Rydz-Śmigły
 Śmiłowski Filip — „Jaśko“ 133
 Śniadowski 277
 Śrzednicka-Macieszyna 197
 Świdorski Gustaw 137
 Świeżyński Józef 281, 326
 Święcicki Tadeusz 29
 Świętopełk ob. Jaworowski
 Świtalski Kazimierz 79, 91
- Tabaczyński 289
 Targowski 265
 Targowski Józef 275, 281
 Tarnowski Julian 281
 Terlecki Edward 112
 Tessaro Stanisław — „Zosik“ 35, 40, 188, 290
 Tetera ob. Długosz
 Thorn Maurycy 132
 Thugutt Stanisław 273, 274
 Tinz 264, 265, 269
 Tkacz 276
 Tokarz Waław 88, 209, 210, 316
 Tokarzewski Henryk 12
 Tokarzewski-Karaszewicz Michał — „Karasiewicz“ 30, 60, 61, 65, 66, 91, 240, 255, 283, 304
 Tołłockówna Kazimiera 213
 Tor Eugeniusz 80, 81, 89, 90
 Trapszo Tadeusz 151, 168, 188, 304
 Trojanowski Jerzy — „Szaleniec“ 41, 211
 Trojanowski Mieczysław — „Ryszard“ 30, 36, 38, 48, 55, 56, 59, 61, 80, 81, 88, 124, 125, 130, 133, 165, 183, 285, 286, 297, 299—301, 304, 311, 313, 316
 Trojanowski Stanisław — „Sambor“ 261
 Tunguz ob. Zawisłak
 Tur ob. Galos
 Tymkowicz ob. Krynicki
- Ulrych Juliusz 18, 21, 133, 255, 272, 283, 286, 311, 312
 Uzdowski ob. Bończa-Uzdowski
 Uziembło Adam 18—20
- Wierzig 290, 291
- Wachtel 212
 Waligóra ob. Hempel Stanisław
 Walipagórek ob. Hempel Zygmunt
 Walter 305
 Walega 107
 Wanda ob. Filipkowska
 Wańkowicz Melchior 21
 Warski ob. Herburt
 Warta 64
 Wasilewski Leon 16, 67
 Wasung Tadeusz 158
 Waszkiewicz Ludwik 21
 Waśniewski 103
 Watała 171
 Wąsik Władysław 117, 133, 142, 148, 153—155, 160, 162, 170, 171, 211, 215, 220, 223, 232, 242, 245, 247, 248, 250, 255, 276, 283
 Wąsowicz-Dunin Władysław 92
 Wąsowicz-Dunin Zbigniew 61
 Weiss 221, 222
 Wendlicz 41, 45
 Wessig 289
 Westa ob. Minkiewiczowa
 Weyhert-Szymanowska Władysław 29
 Wicz ob. Stachiewicz Julian
 Wieczorkiewicz Waław — „Scaevola“ 40, 317
 Wiede 264
 Wieniawa-Długoszowski Bolesław — „Wieniawa“ 263
 Wieniawski Antoni 275
 Wierczak 78
 Wilczyński 156, 163
 Wilczyński-Olszyna Józef — „Olszyna“ 125, 129—132, 143, 283, 285, 302
 Wilhelm II 214, 267
 Wilk 154
 Winiarski Bohdan 16
 Winiarski Leon 261
 Winiarz Jerzy — „Orsza“ 28, 29, 63
 Wir-Konas Alojzy — „Wir“ 28, 41, 61, 126, 128—130
 Witorzeniec 224
 Witoszyńska 77, 208—210
 Włada ob. Kwiatek
 Włoczewski 261
 Włodzimierz ob. Jaworowski
 Włoskowicz Władysław 84, 86, 255, 272

- Wojeńscy 89
 Wojeńska Czesława 42
 Wojteński Teofil 21, 27—29
 Wojewódzki Sylwester — „Stefan“ 94
 Wojno ob. Szczepanowski
 Wojtaszkiewicz 235, 238, 239, 244
 Wojtek ob. Malinowski
 Wolscy 105, 106
 Wołkówna 32
 Wroński ob. Czajkowski
 Wydrzyński 156
 Wyparło Tomasz 147
 Wyrwa ob. Furgalski Tadeusz
 Wyrwiński Eugeniusz — „Kogut“ 41, 87, 125
 Wyszynski Janusz 17, 33, 34, 111
 Wyszyński Kazimierz 21, 28, 172, 207

 Zagórski Juliusz — „Ostoja“ 277
 Zagórski Włodzimierz 71, 72, 79, 258, 262, 283, 292, 294
 Zahorski-Lubicz Bolesław — „Ból Zygmunta“ 69, 207
 Zajac Józef 305
 Zaliwski ob. Sowa
 Zamojski 202
 Zamorski Kordian Ignacy 23, 86, 98, 106, 107, 109—115, 128, 179
 Zaremba 254
 Zawadzki Bolesław 64, 69

 Zawadzki Prokop 276
 Zawarzin 21
 Zawiślak Józef — „Tunguz“ 134, 168, 176, 178, 249
 Zbierski Dominik 29
 Zbigniew ob. Kasprzycki
 Zbigniew ob. Rappaport
 Zdrojewski Eugeniusz 21
 Zdzieński 210
 Zdzisław ob. Jabłoński
 Zieliński 209
 Zieliński Zygmunt 112, 228, 262, 263, 269, 277, 288, 294, 296, 312
 Zielony Brat ob. Borkowski
 Zimmermann 20
 Zofia ob. Szybalska
 Zosik ob. Tessaro
 Zubowicz 71
 Zwierzyński Mieczysław — „Sław“, 61, 133, 144, 156, 176, 182, 188, 191, 192, 198, 202, 214, 215, 219, 221, 222, 227, 243, 246—248, 255

 Żarski ob. Radoński
 Żegota ob. Januszajtis
 Żegota ob. Münnich
 Żelazowski Roman 314
 Żubr 232
 Żuliński Tadeusz — „Barski Roman“ 188
 Żymierski 91, 277, 297, 303.

SPIS RZECZY

	Str.
PRZEDMOWA	5
ROZDZIAŁ I. Z motyką na słońce!	7
„ II. Hej strzelcy wraz!	23
„ III. W przededniu burzy	35
„ IV. Wojna (Marsz na Kielce)	47
„ V. Postój w Kielcach	66
„ VI. W służbie wywiadowczej	75
„ VII. Organizacja Legionów w Królestwie	82
„ VIII. W Departamencie Wojskowym N.K.N.	91
„ IX. Formowanie 4. pułku Legionów	97
„ X. W kadrze Legionów	105
„ XI. Powrót do Brygady	117
„ XII. Pod Konarami	127
„ XIII. Za Wisłę! (Ożarów, Tarłów)	140
„ XIV. Walki wśród zgliszcz Lubelszczyzny (Dzierzkowice — Urzędów — Babin)	148
„ XV. W pościgu za Wieprz (Jastków — Majdan — Kamionka — Ciemne)	164
„ XVI. Przez ziemię mogił i krzyżów (Marsz za Bug, Wysokie Litewskie, Miniewicze)	174
„ XVII. W odwrocie z Litwy	185
„ XVIII. Jesienna kampania na Wołyniu (Ma- newr na Kowel, Smolary, Kobcza, Stowycoróż)	194
„ XIX. W szpitalach austriackich i legiono- wych (Kołki — Hołoty — Kowel — Lublin — Rabka)	205
„ XX. Zimowe leża na Polesiu (Leszniewka — Jezierce)	215
„ XXI. Na pozycji pod Polską Górą	226
„ XXII. Bitwa pod Kostiuchnówką	241
„ XXIII. Ostatnie walki (Nad Stochodemina tyłach)	254
„ XXIV. W niepodległym „Królestwie Pol- skim“ (Na okupacji austriackiej)	266
„ XXV. Praca i walka w garnizonach Kró- lestwa (Na okupacji niemieckiej)	282
ROZDZIAŁ XXVI. Koniec epopei legionowej (Odmowa posłuszeństwa okupantom)	296
„ XXVII. W niemieckich obozach jeńców (Beniaminów)	307
„ XXVIII. Ostatnie chwile przed odzyskaniem niepodległości (Rozbrojenie Niemców)	322
SKOROWIDZ NAZWISK I PSEUDONIMÓW	335

**WYDAWNICTWA
INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
POŚWIĘCONEGO BADANIU
NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI**

Warszawa, Aleje Ujazdowskie 1, tel 710-36, P. K. O. 24.500.

	Cena księ- garska zł
NIEPODLEGŁOŚĆ. — Dwumiesięcznik. Czasopismo poświę- cone dziejom polskich walk wyzwoleniczych w dobie po- powstaniowej. Pod redakcją Leona Wasilewskiego. Ukazały się zeszyty od 1 do 39. Warszawa 1929—36	6.—
Prenumerata roczna	30.—
JÓZEF PIŁSUDSKI. — Pisma, mowy, rozkazy. — Wydanie zbiorowe w dziesięciu tomach, oprawne w płótno. War- szawa 1930—33	100.—
Tom dodatkowy (Suplementy), oprawny w płótno . . .	12.—
LUCJAN ŻELIGOWSKI. — Wojna w roku 1920 (Wspomnienia i rozważania). Warszawa 1930	10.—
JÓZEF PIŁSUDSKI. — Rok 1920. Wydanie III. Z przedmową autora i przypisami. Warszawa 1931	16.—
JÓZEF PIŁSUDSKI. — Poprawki historyczne. Warszawa 1931	5.—
WILHELM FELDMAN. — Dzieje polskiej myśli politycznej. — Wyd. II. Przejrzał i uzupełnił Józef Feldman. Z przedmową Leona Wasilewskiego. Warszawa 1933	10.—
SŁAWOJ SKŁADKOWSKI. — Moja służba w Brygadzie. — Pamiętnik polowy. Tom I. Wyd. II. Warszawa 1934 . .	12.—
SŁAWOJ SKŁADKOWSKI. — Moja służba w Brygadzie. — Pamiętnik polowy. Tom II. Wyd. II. Warszawa 1935 .	13.—
SŁAWOJ SKŁADKOWSKI. — Benjaminów. Warszawa 1935	13.—
WACŁAW LIPIŃSKI. — Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905—1918. Wydanie II rozszerzone. Warszawa 1935 . .	15.—
MICHAŁ SOKOLNICKI. — Czternaście lat. Warszawa 1936	10.—
SŁAWOJ SKŁADKOWSKI. — Strzępy meldunków. Wyda- nie III. Warszawa 1936	13.—

Wydawnictwa wyczerpane:

WSPOMNIENIA LEGJONOWE. — Tom I. Pod redakcją
Janusza Jędrzejewicza. Tom II. Pod redakcją Stanisława
Falkiewicza i Janusza Jędrzejewicza

POLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA. — Szkice i wspomnie-
nia. — Pod redakcją Juliana Stachewicza i Wacława Li-
pińskiego. Warszawa 1930

